

Anita
Shreve
Trudna
miłość



Prószyński i S-ka

Shreve Anita

Fortune's Rocks 01

Trudna miłość

*Przełom XIX i XX wieku, miejscowość
Letniskowa Fortune Rocks na wybrzeżu New
Hampshire. Podczas wakacji szesnastoletnia
Olimpia Biddeford, inteligentna i
wykształcona panna z dobrego domu, poznaje
doktora Johna Haskella, czterdziestoletniego
żonatego mężczyznę z czworgiem dzieci.
Wzajemna fascynacja obojga przeradza się w
namiętny romans. Kiedy ich związek zostaje
ujawniony, wybucha niewyobrażalny skandal,
którego konsekwencji nikt nie jest w stanie
przewidzieć.*

Część pierwsza
Fortune's Rocks

W czasie, jaki zajmuje przejście z kabiny kąpielowej przy falochronie w Fortune's Rocks, gdzie Olimpia zdejmując pantofle i dyskretnie zsuwa pończochy, do linii wody, czyli miejsca, w którym morze bez ustanku obmywa różowosrebrzysty piasek, poznaje smak pożądania. Pożądania, które spowalnia oddech, wywołuje przerwę w samym środku wypowiedzianej kwestii i uporczywie prowadzi wzrok ku nagim stopom podążającym w stronę wody. Pierwszą, krótkotrwałą świadomość pożądania - i bycia obiektem pożądania, stanie, o którym nie miała nigdy przedtem pojęcia - odczuwa jako coś w rodzaju leniwie postępującej blokady, jakby powietrze wokół niej sprężyło się nagle i wywołało pierwszy, słaby dreszcz dorosłego życia.

Dotyka Inianego otoku kapelusza, czego nie zrobiłaby jeszcze poprzedniego lata, a nawet poprzedniego dnia. Może nawet muska palcami długą, tiulową szarfę. Wokół niej i za nią są mężczyźni ubrani w kostiumy kąpielowe lub w koszule i kamizelki; a gdy podnosi oczy, widzi ich twarze: blade, zmęczone chłodne oblicza, które wyglądają, jakby ludzie ci wdychali oceaniczne powietrze tak jak sole trzeźwiące, przynoszące ulgę po apatii długich miesięcy spędzonych w zamknięciu. Mężczyźni są w różnym

wieku, niektórzy postawni i wysocy, kilku z nich to jeszcze chłopcy i chociaż rozmawiają, cały czas śledzą ją wzrokiem.

Sposób poruszania się Olimpii po płaskiej muszli plaży ulega zmianie. Gdy wolno posuwa się do przodu, jej stopy tworzą delikatne i ponętne wgłębienia w piasku. Kiedy wchodzi do wody, strój z brzoskwiowego jedwabiu zmienia kolor na przezroczystą sepię. Powietrze jest gorące, ale woda obmywająca jej skórę okazuje się chłodna; ten kontrast wywołuje u Olimpii dreszcze.

Zdejmuje kapelusz i zaczyna rozbryzgiwać wodę małymi fontannami. Wciąga w płuca duży haust morskiego powietrza, które ją orzeźwia. Być może wpatrujący się w dziewczynę mężczyźni widzą, jak nagle ogarniają ją zachwyty i przeczucie czegoś radosnego. I są tak samo zaskoczeni jak ona, która akceptuje swoje przeznaczenie. Bowiem w czasie, jaki zajęło jej przejście od kamiennego falochronu do brzegu morza, pokonując odległość około stu metrów, przemieniła się z dziewczynki, z pilnowanego na każdym kroku dziecka, opanowanego szaloną potrzebą wysprzątania pokoi i wymięcenia pajęczyn, w kobietę.

Jest dwudziesty dzień czerwca roku kończącego stulecie, a ona ma piętnaście lat.

Ojciec Olimpii, w białym garniturze, z wypłowiałymi od słońca, rudymi włosami zaczesanymi do góry, woła ją ze skał na północnym krańcu brzegu. Chociaż straciło tu życie wielu żeglarzy, plażę i przylegający do niej kawałek lądu nazwano Fortune's Rocks (Skały szczęścia). Ojciec woła ją, składając ręce przy ustach, ale Olimpia nie słyszy, wszystko zagłusza szum fal. Jej ojciec, biały kształt pośród szarości, to subtelny, kochający człowiek, i nicze-

go nie można mu w stosunku do niej zarzucić, chociaż jest przekonany, że ciało i dusza córki należą tylko do niego, jakby to tylko on decydował, czy powinien się nią z kimś dzielić.

Tego dnia rano Olimpia przyjechała z rodzicami pociągiem z Bostonu, a dom, do którego weszli, był w środku całkiem biały i dziwnie pozbawiony kurzu, bo wszystkie meble zasłonięto pokrowcami. Kiedy Olimpia zobaczyła białe przykrycia, zapragnęła, aby matka nie kazała Josiahowi, służącemu ojca, zdejmować ich z mebli - tworzyły fantastycznie abstrakcyjne kształty na tle sześciu par okien, biegnących od podłogi do sufitu wzdłuż długiej frontowej ściany budynku. Za szybami i cienką warstwą naniesionej na nie soli znajduje się Atlantyk, nakryty czapą cudownej mgły. W oddali widać niewielkie wysepki, które wyglądają tak, jakby unosiły się nad linią horyzontu.

Dom jest dość skromny, chociaż ojciec Olimpji należy do ludzi zamożnych. Budynek ma doskonałe proporcje, a dla niej jest piękniejszy, niż można to opisać słowami. Wysoki, o dwóch piętrach, z biało-granatowymi okiennicami i kilkoma malowniczymi werandami. Zbudowano go w stylu wielkich hoteli, jakie stoją wzdłuż Fortune's Rocks, a także dalej na południe, w Rye i Hampton: ma łagodnie podniesiony dach z regularnie rozmieszczonymi oknami mansardowymi. Dom nigdy nie służył jako hotel, mieścił się w nim kiedyś klasztor. Należał do zakonu świętego Jana Chrzciciela z Bienfaisance, a mieszkało tu dwadzieścia sióstr, które złożyły śluby ubóstwa i stały się oblubienicami Chrystusa. Wewnętrzny rozkład pomieszczeń jest dość nietypowy z uwagi na dużą liczbę sypialni przypominających cele zakonne: dwie z nich zajmują Olimpia i jej ojciec, trzy pozostałe pokoje są

w dyspozycji matki. Do domu przylega niewielka kaplica i chociaż już od dawna nie pełni swojej funkcji, rodzina Olimpii wciąż nie może się zdecydować, aby złożyć w jej drewnianych ścianach swój świecki dobytek. Kaplica pozostaje w zasadzie pusta, jeśli nie liczyć tuzina skromnych drewnianych ławek i szerokiej marmurowej płyty, która niegdyś służyła za ołtarz.

Wokół domu rosną dorodne krzaki hortensji. Trawnik od frontu sięga aż do falochronu, który tworzy skalną barykadę, chroniącą mieszkańców przed oceanem; o tej porze roku porastają go gęsto róże. Z werandy roztacza się zatem wspaniały widok na szmaragdowe liście przetykane kwiatami, dla których tłem jest żywy błękit, tak niezwykły, jakby nie był barwą fizyczną, ale zjawiskiem świetlnym. Na zachód od trawnika rozciąga się sad z jabłonią, od północy zaś posiadłość graniczy z plażą, która zajmuje obszar o długości ponad trzech kilometrów wzdłuż wybrzeża. Fortune's Rocks to nie tylko nazwa kawałka lądu w kształcie półksiężyca, obejmującego plażę, ale także skupiska letnich domów, z których jedynie ten należący do Biddefordów stoi w sąsiedztwie skał i wydm. Z góry ponownie dobiega wołanie ojca.

- Olimpio, wołałem cię - mówi nieco zirytowany, kiedy wreszcie córka, ze zmoczonym dołem sukni, wspina się na skały.

Olimpia spodziewała się, że ojciec będzie niezadowolony. Nie mogąc się już doczekać, kiedy poczuje na swoich stopach morską wodę, nierozważnie poszła na brzeg w czasie, kiedy kąpali się mężczyźni, co można by jeszcze wybaczyć dziewczynce, ale z pewnością nie dorastającej pannie. Stara się teraz możliwie przekonująco zapewnić papę, jak bardzo jej przykro z tego powodu; po prostu zapomniała o godzinach przeznaczonych dla mężczyzn,

a ponieważ wieje silny wiatr, nie słyszała wołania. Jednak wyraz jego twarzy i sposób, w jaki szybko odwraca wzrok, nie patrząc na córkę - co do niego niepodobne -nie pozostawia wątpliwości, że obserwował ją, gdy szła z gołymi nogami od falochronu na brzeg oceanu. Od wiatru oczy ojca łzawią, a on sam wydaje się zaskoczony, nawet zakłopotany jej fizyczną obecnością.

- Josiah przygotował tacę z przekąskami - mówi, ponownie kierując spojrzenie na córkę i odzyskując równowagę po chwilowym zdenerwowaniu. - Zaniósł ją do pokoju mamy, możecie więc się posilić po długiej podróży. - Zamrugał i spojrzał na zegarek. - Mój Boże, Olimpio, co za koszmar.

Oczywiście ma na myśli dom.

- Josiah chyba całkiem dobrze panuje nad sytuacją -zauważa Olimpia.

- Wszystko powinno być gotowe na nasz przyjazd. Powinniśmy już mieć kucharkę.

Ojciec wciąż ma na sobie surdut i ciężkie, czarne buty, teraz pokryte kurzem, a dziewczyna jest przekonana, że musi mu być okropnie gorąco i niewygodnie. To fakt, tego dnia ubierał się z wyraźnym niezdecydowaniem -wciąż myślał o Bostonie, chociaż powinien wziąć pod uwagę, że wyjeżdżają nad morze.

W jaskrawym słońcu Olimpia widzi twarz ojca dużo . wyraźniej niż przez całą zimę. To oblicze z charakterem, twarz, którą odziedziczył po swoim ojcu, a potem dzięki własnej silnej osobowości sam sobie na nią zasłużył. Najbardziej wyraziste są granatowe tęczęwki, tak głębokiego koloru, że już one same, chociaż ozdobione rdzawymi plamkami, sugerują, że ten człowiek wyznaje surowe zasady moralne. Jednak wachlarzyki zmarszczek i fałdki na powiekach łagodzą nieco powagę tego prawego oblicza.

Włosy na skroniach zaczynają mu siwieć i przerzedzają się nad czołem, ale ich kolor wciąż jest mocny, nie straciły pigmentu, jak to często zdarza się rudym mężczyznom w średnim wieku. Olimpia nie pamięta, czy kiedykolwiek zastanawiała się nad wzrostem ojca, nad tym, czy jest wysokim mężczyzną - naturalnie jest wyższy od niej i od matki, co wydaje się zgodne z porządkiem wszechświata. Ojciec ma pociągłą twarz, ona też kiedyś będzie taką miała, chociaż żadne z nich nie jest zdecydowanie szczupłe.

- Kiedy wypijesz herbatę, przyjdź, proszę, do mojego gabinetu - mówi ojciec w sposób, w jaki zwykle zwraca się do niej, chociaż nawet ona wyczuwa, że coś się zmieniło w ich relacjach.

Słońce wydobywa mankamenty jego skóry i w bezlitosnym świetle widać drobne refleksy srebra i rudości na obrysie linii podbródka.

Odwrócił oczy.

- Chciałbym porozmawiać z tobą o kilku sprawach. Chodzi mi o wakacyjną naukę i tak dalej - dodaje.

Wzmianka o wakacyjnej edukacji wywołuje u Olimpji szybsze bicie serca, miała bowiem nadzieję na przerwę od indywidualnej, ale intensywnej nauki. Ojciec, który stracił wiarę w szkolnictwo, sam zajął się kształceniem córki. Jest jego jedyną uczennicą, a on jej jedynym nauczycielem. Ojciec wierzy, że jej edukacja odbywa się w tempie nieosiągalnym na uczelniach czy w seminariach nauczycielskich, a zakres zdobywanej wiedzy jest większy niż gdziekolwiek w Nowej Anglii i co za tym idzie, w całych Stanach Zjednoczonych. Olimpia w zasadzie podziela to przekonanie, chociaż trudno jej znaleźć punkt odniesienia: minęły już cztery lata, odkąd przestała chodzić do szkoły z innymi dziewczętami.

- Oczywiście - odpowiada posłusznie.

Ojciec patrzy na nią przez chwilę, a następnie kieruje spojrzenie ponad jej prawe ramię w stronę morza. Potem odwraca się i idzie do domu. Olimpia obserwuje jego lekko zgarbioną sylwetkę, dziwiąc się, że wcześniej nie zwróciła uwagi na ów drobny mankament postawy, i nagle ogarnia ją smutek na myśl o ojcu, który traci coś, co mogłaby nazwać kontrolą nad jej dzieciństwem.

Olimpia przebiega przez dom, wciąż zachwycając się rzeźbami, jakie powstały z przykrytych białymi pokrowcami mebli. Wieszak na ubrania jest duchem dziewicy, długi stół obiadowy staje się stołem operacyjnym, a nakryte bielą, ustawione jeden na drugim krzesła są jak królewskie trony. Dziewczyna wchodzi po schodach na piętro, gdzie znajdują się pokoje matki.

Matka odpoczywa na wiklinowym fotelu z wysokim oparciem, z którego zdjęto już pokrowiec, i patrzy na morze. Wydaje się nie zwracać najmniejszej uwagi na mężczyznę, stojącego na drabinie tuż za oknem jej pokoju. Ten w jednej ręce trzyma butelkę z octem, w drugiej zmiętą gazetę. Josiah ubrany jest w kombinezon, stosowny do wykonywanej pracy, chociaż pod spodem ma na sobie kamizelkę i sztywny kołnierzyk. Kiedy już wyczyści szyby, zdejmie kombinezon, włoży czarny garnitur, poprawi mankiety od rękawów i wejdzie do gabinetu zapytać swego chlebodawcę, czy ma ochotę na zwyczajową szklaneczkę londyńskiego portera. Później zaś Josiah, który pracuje u jej ojca od siedemnastu lat, zanim jeszcze papa się ożenił i zanim ona przyszła na świat, i który bez mrugnięcia podjął się mycia okien w pokojach matki, ponieważ tego pierwszego dnia letniego wypoczynku chciała lepiej widzieć ocean (choć takie zajęcie nie leży w zakresie jego obowiązków), wyruszy długą, wysypaną

zwirem ścieżką do Hampton Street, aby nawymyślać człowiekowi, który miał przygotować dom na przyjazd Biddefordów.

Ponieważ matka Olimpii ma słabość do wszelkich odcieni błękitu, tego dnia ubrana jest w bluzkę z krepy w kolorze glicynii, z guzikami z masy perłowej i długimi mankietami zakrywającymi nadgarstki i podkreślającymi urodę jej dłoni. W pasie przewiązana jest szarfą z perskiego jedwabiu. Upodobanie do błękitów widoczne jest też w barwach tkanin w jej pokoju - jest tu satynowa poduszka w bladobłękitnym odcieniu berylu, wzorzysta jedwabna narzuta na krzesło i aksamitne zasłony w oknach. Pokoje matki kojarzą się Olimpii z wybujałą kobiecością: tworzą wytworne odosobnienie, oddzielną przestrzeń, odseparowaną od reszty domu, niczym nieusprawiedliwiony luksus, nigdy nieoglądany przez obcych, jedyne takie miejsce w surowo umeblowanym domu.

Matka unosi do ust filiżankę.

- Masz zaróżowioną skórę - odzywa się do córki lekkim tonem, w którym pobrzmiwa jednak cień czulej wymówki.

Olimpia wielokrotnie słyszała, że powinna nosić kapelusz, aby chronić twarz przed słońcem. Jednak podczas tych kilku szczęśliwych chwil na brzegu morza musiała poczuć dotknięcie upału. Wie, że matka nie zamierza rygorystycznie zabraniać jej takich drobnych przyjemności, po prostu wyjątkowo dba o urodę. Dziewczyna już dawno zrozumiała, że uroda zrobiła z jej matki niewolnicę i zmarnowała jej życie, uczyniła ją bowiem zależną od ludzi, którzy pragną ją widywać i jej służyć: jej ojca, męża, lekarza i służby. Wydaje się, że walka o zachowanie urody stanowi jedyną treść życia matki, jakby inne sfery jej duszy - obowiązkowość, ciekawość

świata i filantropia - uległy atrofii, a pozostała tylko ta jedna. Farbowane henną włosy, dzięki której nabrały orzechowej barwy, podpięte są na bokach grzebieniami i spływają kaskadą loków; Olimpia musi się jeszcze nauczyć, jak to się robi. Matka ma jasne, perłowszare oczy. Przystojna twarz o stanowczych rysach nie odzwierciedla jej osobowości. Jest ona niezwykle krucha - tak krucha, że Olimpia często odnosi wrażenie, iż rozszczepia się jak tęczą na migające kawałki.

- Josiah przygotował tacę - mówi matka, wskazując gestem kanapki. Olimpia siada na brzeżku krzesła. Kolana matki tworzą niewielkie wzgórczki na gładkim błękitnie spódnicy.

- Nie jestem głodna - wyznaje dziewczyna zgodnie z prawdą.

- Musisz coś zjeść. Do obiadu zostało jeszcze kilka godzin.

Aby sprawić matce przyjemność, bierze z tacy kawałek chleba. Przez chwilę unika jej badawczego wzroku i rozgląda się po pokoju. W domu w Fortune's Rocks nie ma kosztownych mebli, morskie powietrze i wilgoć są bowiem zabójcze dla kształtów i powierzchni drogich przedmiotów. Olimpia szczególnie lubi toaletkę matki, z wieloma lustrami i srebrnymi puzderkami, w których znajdują się grzebienie, perfumy i wspaniałe jasne pudro, używany wieczorem. Na komódce stoją liczne lekarstwa matki i kosmetyki. Olimpia widzi wśród nich Gołębie Mleczko, pigułki penyroyal i tonik imbirowy. Jak dalece sięga pamięcią, matka zawsze traktowana była jak inwalidka, mówiono tak przy niej i poza jej plecami - to określenie wcale jej nie irytowało, a nawet starała się utwierdzić wszystkich w takim przekonaniu. Dolegliwości, na które cierpi, mają dość nieokreślony

i niejasny charakter, a Olimpia nie jest do końca pewna, czy matka kiedykolwiek została właściwie przebadana. Mówiło się, że jako mała dziewczynka doznała urazu kręgosłupa, Olimpia słyszała też czasami o schorzeniu wątroby. W Bostonie matkę często odwiedza pewien lekarz, który może wcale nie jest szarlatanem, jak myśli o nim ojciec Olimpji. Już jako mała dziewczynka Olimpia zauważyła, że doktor Ulysses Branch odwiedza pacjentkę raczej z uwagi na jej towarzystwo niż leczenie. Matka tak naprawdę nigdy nie chorowała i Olimpia nieraz zastanawiała się, jaki sens ma w stosunku do niej określenie „inwalidka”: czuła, że poza brakiem siły fizycznej matce brakuje też motywacji.

Na skutek tych nieokreślonych dolegliwości nikt w rodzinie nie oczekiwał, że matka Olimpji będzie się zajmowała swymi najbliższymi - to ona była osobą, której należała się specjalna opieka. Olimpia zauważyła, że ów stan rzeczy odpowiadał obojgu rodzicom, gdyż żadne nigdy nie starało się zmienić tej sytuacji. Co więcej, w miarę upływu czasu, być może wskutek pewnej atrofii, matka zaczęła się zachowywać jak inwalidka. Rzadko opuszczała dom, jedynie o zmierzchu wychodziła z mężem na spacer do kamiennych skał, gdzie siadała i śpiewała dla niego. W ciągu minionych lat matka zauważyła, że morskie powietrze ma zbawienny wpływ zarówno na jej psychikę, jak i na głos. Mimo wilgoci w domu w Fortune's Rocks stoi pianino, a matka wychodzi ze swoich pokoi, aby na nim zagrać, co robi bardzo dobrze. Matka Olimpji jest cudownie zbudowana, ma delikatny kościec, jednak Olimpia nie odziedziczyła po niej ani rysów twarzy, ani też, na szczęście, kruchej psychiki.

Matka Olimpji poznała swojego przyszłego męża w Bostonie, podczas obiadu wydanego przez jej ojca.

Miała wówczas dwadzieścia trzy lata, ale wyszła za mąż dopiero w wieku dwudziestu ośmiu. Chociaż była przystojną kobietą, mówiono, że słabe nerwy nie czynią z niej dobrej kandydatki na żonę. Ojciec Olimpii, zawsze skory do wyzwania i urzeczony zachowaniem młodej damy, które odstraszało innych mężczyzn - chodziło o występujące na przemian stany głębokiego spokoju i wydumane wybryki fantazji - przekonywał ją do siebie z żarliwością, do której później rzadko się przyznawał. Olimpia nie wie, co sądzić o pożyciu małżeńskim rodziców. Matka, chociaż nad wyraz wrażliwa, wydaje się jej najmniej materialna ze wszystkich znanych kobiet; czasami, jeżeli bywa zaskoczona, wzdryga się pod dotknięciem dłoni męża. Olimpia nie zapuszcza się w myślach tak daleko, aby zajrzeć za zasłonę niedozwolonych miejsc, gdzie mogłaby wyobrazić sobie szczegóły pożycia intymnego rodziców. Ich małżeństwo sprawia wrażenie związku słabnącego w miarę upływu lat, aż wreszcie Olimpia, mając piętnaście lat, zaczęła się zastanawiać nad tym, że jest jedynaczką i dostrzegła, jak wątłe i bardzo oficjalne są stosunki między rodzicami.

- Jesteś taka milcząca, Olimpio - zauważyła matka, badawczo się jej przyglądając.

Mimo całej delikatności potrafi być przenikliwa i trudno ukryć przed nią myśli. Olimpia myślała właśnie o swoim spacerze po plaży, próbując spojrzeć na to z perspektywy kogoś z zewnątrz - przyglądała się trochę niewyraźnej i rozmytej postaci młodej dziewczyny w brzoskwińowym jedwabiu, idącej brzegiem morza pod obstrzałem spojrzeń kilku tuzinów mężczyzn i młodzieńców. I teraz, w pokoju matki, rumieni się nagle, jakby została przyłapana na czymś niewłaściwym.

Matka poprawia się lekko na krześle.

- Obawiam się, że może jest już za... za późno na rozmowę - zaczyna niepewnie - ale rzeczywiście zauważyłam coś, czym nawet jestem zaskoczona; to znaczy, dużo dzisiaj myślałam o pewnych sprawach fizycznych, związanych z tobą i sądzę, że powinnyśmy porozmawiać o tym, co już wkrótce może się zdarzyć, o pewnych rozterkach, jakie przeżywają wszystkie kobiety.

Chociaż owo zdanie nie było czytelne pod względem gramatycznym, jego znaczenie jest oczywiste i Olimpia szybko kręci głową i macha ręką, jakby chciała powiedzieć matce, że nie musi mówić dalej.

Dziewczyna całkowicie polega na Lisette, służącej matki, która dostarcza jej wszelkich informacji dotyczących kobiecego ciała.

Matka patrzy na nią przez chwilę zaskoczona, jak ktoś, kto pośpiesznie przygotował sobie długą przemowę i musiał ją w połowie przerwać. Jednocześnie Olimpia widzi na jej twarzy ulgę, rysy matki się wygładzają.

- Czy już z kimś o tym rozmawiałaś? - pyta.

- Z Lisette - odpowiada córka, marząc, aby ta rozmowa już się skończyła.

- Kiedy?

- Jakiś czas temu.

- Och. Jestem zdziwiona.

Olimpia także jest zaskoczona, że Lisette zachowała dyskrecję w sprawach córki swojej pani. Ma nadzieję, że pokojówka nie dostanie od matki bury za milczenie.

- Zadowolona jesteś już? - pyta matka, najwyraźniej także chcąc zmienić temat. - Czujesz się tu szczęśliwa?

- Dość szczęśliwa - odpowiada Olimpia, co jest zgodne z prawdą i co matka pragnie usłyszeć.

To niezbędne, aby nic nie zakłócało jej spokoju. Za oknem Josiah przesuwają drabinę i obie spoglądają w jego kierunku.

- Zastanawiam się... - mówi matka w zamyśleniu. -Czy twoim zdaniem Josiah jest przystojnym mężczyzną?

Olimpia patrzy na postać, która wydaje się wisieć w powietrzu.

Josiah jest jasnym szatynem, włosy ma zaczesane do góry, wysokie czoło i wąską twarz, która pasuje do szczupłej sylwetki. Olimpia jest wyraźnie zaskoczona tym pytaniem - czuje się tak zawsze, gdy w wystudiowanym, pełnym powagi sposobie bycia matki pojawia się niespodziewane, nagłe pęknięcie - i nie wie, co odpowiedzieć.

- Możesz sobie wyobrazić, że ma kochankę w Ely Falls? - pyta matka nieco złośliwym tonem.

Dziewczyna odpowiada dopiero po chwili, wydaje się bowiem, że w jej głosie brzmi tęsknota (natychmiast jednak stłumiona) za innym życiem.

- Nie, chyba nie.

Tego dnia Olimpia po raz kolejny odnosi wrażenie, że wszyscy wokół niej dziwnie się zachowują. Nie potrafi powiedzieć, czy rzeczywiście chodzi o odmienne zachowanie otaczających ją osób, czy też problem tkwi w niej samej, niemniej wyczuwa to wyraźnie jak zapach. Jak inaczej wytłumaczyć bowiem przemilczanie przez ojca pewnych spraw, tak niepodobne do niego, lub poruszanie przez matkę tematów, które zwykle omija?

- Chciałabym, abyś zabrała tacę, gdy będziesz wychodzić. Trzeba pomóc Josiahowi, ma dzisiaj dużo pracy.

Olimpia nie jest w zasadzie zaskoczona tym brakiem konsekwencji w prowadzeniu rozmowy, ponieważ matka doskonale opanowała umiejętność odsuwania niewygodnych tematów. Dziewczyna wstaje z krzesła i bierze srebrną tacę, szczęśliwa, że może pomóc Josiahowi, którego lubi. Czuje ulgę, że może już odejść.

- Musisz bardziej na siebie uważać - słyszy jeszcze słowa matki, gdy opuszcza pokój.

Po odniesieniu tacy do kuchni Olimpia idzie do gabinetu. Ojciec siedzi na wygodnym, mahoniowym fotelu kapitańskim z *Wybrzeżem Zatoki Saco* Johna Staplesa Locka w rękach, pierwszą z wielu książek, które zamierza tego lata przeczytać. Phillip Biddeford jest mężczyzną wykształconym i zdyscyplinowanym, wymaga tego uprawiany przezeń zawód. Wynika to również z jego charakteru, uważa bowiem, że dyscyplina jest niezbędnym czynnikiem, chroniącym człowieka przed chaosem i rozkładem; nie lubi zmieniać swoich przyzwyczajzeń i planów, co widać wyraźnie pierwszego dnia urlopu, kiedy dom nie został należycie przygotowany na ich przyjazd i panuje wyjątkowy rozgardiasz.

Na czas letnich wakacji, podobnie jak w poprzednich latach, ojciec zaprosił do ich domu letniskowego wielu gości, ludzi, których poznał, piastując stanowisko prezesa Atlantyckiego Klubu Literackiego, a także jako wydawca „The Bay Quarterly”, poważnego periodyku o dużej renomie. Będzie prowadził z nimi, głównie z poetami, eseistami i artystami, długie dysputy, organizując coś w rodzaju permanentnego salonu literackiego. W ciągu dnia zadba o odpoczynek przybyłych, proponując im kąpiele, grę w tenisa w Ely Tennis Club lub pływanie o zachodzie słońca po zatoce, wśród zabarwionych na różowo wodorostów. Wieczorne posiłki przeciągną się do późna w nocy, nawet jeśli żona gospodarza przeprosi obecnych i pójdzie do siebie wcześniej. Uczestniczące w kolacjach kobiety będą miały na sobie białe, lniane suknie i szale z grubo tkanego jedwabiu. Olimpię zawsze fascynowały eleganckie stroje i dodatki, noszone przez owe damy z towarzystwa. Ojciec spogląda na brzeg jej sukni, który wciąż jest wilgotny. Olimpia chce wiedzieć, jaka będzie jej pierwsza

lektura tego lata. Ojciec zdejmuje okulary i kładzie je na zielonym marmurowym blacie stolika, będącego dokładną- repliką stolika z jego biblioteki w Bostonie. Okna są otwarte i pokój wypełnia charakterystyczny, słony zapach nadchodzącego przypiływu.

- Chciałbym, abyś przeczytała eseje Johna Warrena Haskella - mówi, sięgając po książkę i podając ją córce. -Później przedyskutujemy ich treść, ponieważ autor jest w Fortune's Rocks i spędzi z nami weekend.

Wtedy po raz pierwszy Olimpia słyszy o Johnie Haskellu.

- Haskell przywiezie do nas żonę i dzieci - dodaje ojciec - i mam nadzieję, że dotrzymasz im towarzystwa.

- Oczywiście - mówi Olimpia, gładząc dłonią okładkę książki z brązowego jedwabiu i dotykając palcem złoconych liter tytułu - ale wracając do tych esejów, nic nie wiem o ich autorze.

- Jest lekarzem i od czasu do czasu ma wykłady w col-lege'u, gdzie po raz pierwszy się spotkaliśmy; jednak, moim zdaniem, jego prawdziwe powołanie to eseistyka, dlatego wydałem kilka z najlepszych prac. Haskella interesują problemy związane z pracą w fabrykach, a zwłaszcza to, jak polepszyć warunki socjalne, w jakich żyją i pracują robotnice. Dlatego też zamierza zapoznać się z ich sytuacją w Ely Falls.

- Rozumiem - mówi Olimpia, kartkując książkę. Chociaż temat wydaje się jej raczej nudny, później w nieskończoność będzie przywoływać w pamięci tę rozmowę, szukając każdego, najmniejszego nawet elementu, który mógł wcześniej ujść jej uwagi, a zatem byłby cenny.

- Haskell ma klinikę w East Cambridge - ciągnie ojciec. - Tego lata zaproponował swoje usługi w Ely Falls,

biorąc zastępstwo za jednego z lekarzy, który wziął urlop. - Ojciec przełknął ślinę. - Haskell uważa, że to niezwykle sprzyjająca okoliczność, ponieważ po pierwsze będzie tutaj w czasie, gdy właśnie kończy się budowa jego letniego domu, a po drugie może bezpośrednio obserwować problemy, które go tak bardzo interesują. Jeśli chodzi o mnie, także uważam ową wizytę za szczęśliwy zbieg okoliczności, ponieważ bardzo sobie cenię jego poczucie humoru i towarzystwo. Mam nadzieję, że polubisz jego żonę, Catherine, a także ich dzieci.

- Czyżbym miała być ich guwernantką? - pyta żartem Olimpia, ale ojciec traktuje to pytanie poważnie i patrzy na nią zaniepokojony.

- Ależ kochanie, oczywiście, że nie - zaprzecza. - Haskellowie będą naszymi gośćmi tylko przez weekend, a potem on sam zatrzyma się w Highland Hotel. Będzie tam mieszkał, dopóki dom nie zostanie ukończony, co nastąpi w końcu lipca. Natomiast Catherine i dzieci pozostaną do tego czasu w York, u jej rodziny. Na Boga, Olimpio, jak mogłaś pomyśleć, że zamierzam cię w ten sposób wykorzystać?

Olimpia krąży po pokoju, dotykając różnych znajomych przedmiotów, które ojciec kolekcjonuje od lat

i gromadzi w domu w Fortune's Rocks: jest tu malachitowy przycisk do papieru ze wschodniej Afryki, wysadzany drogimi kamieniami krzyż, kupiony w Pradze, gdy papa miał dziewiętnaście lat, poplamiony nóż z kości słoniowej do otwierania listów, pochodzący z Madagaskaru, srebrna szkatułka, gdzie trzyma listy od matki, pisane, gdy był w Londynie na rok przed ich ślubem, i witrażowa lampa na biurku, z kloszem ozdobionym bursztynami, która kiedyś należała do babki Olimpji. Ojciec kolekcjonuje także muszle, jak mały chłopiec, a kiedy spacerują

razem po plaży, zawsze ma przy sobie pudełko, w którym je pieczołowicie układa. Na półkach leżą muszle prze-grzebków o delikatnie rzeźbionych brzegach, ciemno opalizujące muszle skromnych małży i zamknięte, białe ostryg. Ojciec używa także muszli jako popielniczek.

Teraz obserwuje wędrowną córkę po gabinecie.

-Jak ci się podobał pierwszy spacer po plaży? - pyta delikatnie.

Olimpia bierze do ręki przycisk z malachitu. Nie jest pewna, czy potrafiłaby opisać wrażenia z plaży, nawet jeśli by tego chciała.

- Po tak długiej zimie wspaniale było poczuć morze i morskie powietrze - odpowiada wymijająco.

Widzi, że ojciec wkłada okulary i wykonuje ledwie zauważalny gest, wskazujący, że może już odejść.

Po opuszczeniu gabinetu Olimpia wychodzi na ganek. Ma ze sobą książkę otrzymaną od ojca, ale jest zbyt pochłonięta myślami, aby ją otworzyć. Przez zimę sporo urosła i kiedy siada na fotelu, sięga głową ponad poręcz werandy i widzi, że trawnik domaga się przycięcia. Kwiaty, których nazw nie zna, nasycają powietrze słodkim aromatem, a ich woń w połączeniu z zapachem morza tworzy wokół upajający i działający usypiająco obłok.

Odpina dwa górne guziki sukni i wachluje szyję chusteczką.

Zdejmuje kapelusz i kładzie go na podłodze, skąd natychmiast porywa go wiatr i kapelusz nieruchomieje dopiero po zaklinowaniu się między dolnymi szczebelkami werandy. Olimpia wsuwa dłonie pod suknię i odpina podwiązki, jak zrobiła to wcześniej w kabinie kąpielowej, zanim rozpoczęła spacer po plaży. Zwija pończochy w kulkę i siada na nich, a następnie unosi aż do kolan brzeg sukni, zeszywniałej na dole od morskiej wody. Wy-

ciąga nogi, zaskoczona białą skórą, której nigdy dotąd nie poświęcała uwagi. Chłodna, wilgotna bryza łaskocze ją pod kolanami i na łydkach. Olimpia wyobraża sobie zaskoczoną minę Josiaha, ojca albo matki, gdyby ktoś z nich tu przyszedł i zastał ją w takim dezabilu; uznaje jednak, że ta cudowna przyjemność, jaką sprawia jej wiatr, pieszcząc delikatnie nogi, warta jest ewentualnych konsekwencji. Jej oczy odpoczywają na linii horyzontu, w miejscu, gdzie morze spotyka się z niebem i gdzie, jak się wydaje, wszelki ruch uległ zawieszeniu. I rzeczywiście, tego dnia sama czuje, że sama też znalazła się w stanie zawieszenia - czeka na coś, co z trudem potrafi sobie wyobrazić, a do czego dopiero powoli się przygotowuje.

Olimpia lubi rozmyślać o pierwotnych mieszkankach tego domu, siostrach z zakonu Świętego Jana Chrzciciela z Bienfaisance, dwudziestu dziewczętach i kobietach z Quebecu, francuskiej prowincji Kanady. Chociaż siostry złożyły śluby ubóstwa i należały do parafii Świętego Andrzeja w Ely Falls, mieszkały w domu w Fortune's Rocks, gdzie mogły się zachwycać pięknem okolicy. Lubiła sobie wyobrażać, jak siedzą na werandzie i w zadumie spoglądają na morze albo leżą na materacach z końskiego włosia w swoich celach, ozdobionych jedynie prostym krzyżem nad wiejskim stołem. Czy też modlą się wspólnie w małej drewnianej kaplicy, myśląc po francusku, a wypowiadając słowa modlitwy po łacinie, czasami zaś wędrują po rozległych, zasolonych moczarach, rozciągających się między Fortune's Rocks a parafią Świętego Andrzeja, aby wziąć udział w mszy dla imigrantów, odprawianej przez francusko-kanadyjskich księży. Olimpię zastanawia kontrast między cudownym otoczeniem domu a surowymi obyczajami kobiet, które w nim mieszkały, ale ponieważ nie jest katoliczką, nie wnika zbyt głęboko w zagadnienia teologiczne, kryjące się za tym paradoksem. Prawdę powiedziawszy, rozmyślając tego wczesnego lata 1899 roku o kobietach w habitach cho-

dzących niegdyś na suknach po błyszczących podłogach tego domu, zauważyła, że nie zna ani jednej osoby wyznania katolickiego - ten fakt ją niepokoi, ponieważ jest kolejnym dowodem na izolację, w jakiej upływa jej życie.

W Ely Falls była tylko raz, zeszłego lata, kiedy ojciec wziął ją do miasta, aby zobaczyć to naturalne, ale niezwykle i majestatyczne zjawisko, gdy miliony litrów wody na minutę z wielką siłą wpadają do rzeki Ely, czyniąc okolicę wymarzoną miejscem do powstania zakładów tekstylnych. Pojechali powozem z Fortune's Rocks do centrum miasta, zabudowanego potężnymi fabrykami z ciemnej cegły i rzędami niskich domów, w których mieszkali robotnicy. Podróż wydawała się jej pielgrzymką przez niekończące się szeregi nazwisk: począwszy od Whittiersów i Howellów z Fortune's Rocks, ludzi należących do klasy bogaczy i w pewnym sensie próżniaków, którzy każdego lata przyjeżdżają z Bostonu, aby spędzić tu kilka letnich miesięcy; poprzez Hullsów i Butlerów z Ely, stare jankeskie rodziny właścicieli fabryk i okolicznych sklepów, mieszkające w solidnych, oszalowanych deskami budynkach; kończąc na Cadorettach i Beaudoi-nach z Ely Fall, pierwszego i drugiego pokolenia francuskich Kanadyjczyków z Quebecu, którzy wyemigrowali na południe do Maine i na wybrzeże New Hampshire w poszukiwaniu pracy. Mieszkańcy Fortune's Rocks, okolicy wyludnionej w zimie z uwagi na potężne sztormy nadchodzące z północy, od dawna starają się odłączyć od administracji w Ely. Ale władze tego miasta, do którego oprócz Fortune's Rocks włączone jest także Ely Falls, nie chcą pozwolić bogatym mieszkańcom Fortune's Rocks na secesję. Chodzi o wysokie dochody z podatków, jakie wpływają do kasy miasta za letnie rezydencje. Ojciec, który jest w tym względzie umiarkowanie postę-

powy, nie popiera owych planów secesji. Ciągłe powtarza Olimpii, że jego zdaniem bogaci obywatele mają moralny obowiązek dofinansowywać opiekę socjalną nad mieszkańcami tego fabrycznego miasta, nawet jeśli tutejsze władze są wyjątkowo skorumpowane.

W 1892 roku biskup Pierre Bellefeuille z kościoła Świętego Andrzeja zdecydował, że dla dobra parafii siostry powinny przenieść się do miasta, aby zaopiekować się szpitalem oraz sierocińcem, i sprzedał budynek klasztorny ojcu Olimpii, który akurat był w palarni Highland Hotel tego wieczoru, kiedy ojciec Pierre przyszedł na drinka i wspomniał o swoich planach. Jej ojciec łaskawie (a raczej roztropnie, jak się później okazało) zaproponował, że kupi całość bez oglądania i dał biskupowi od ręki czek na całą sumę. Przebudowa trwała miesiąc - przede wszystkim należało przerobić kilkanaście maleńkich sypialni na osiem skromnych pokoi i apartament dla matki, a także doprowadzić kanalizację, luksus, na jaki siostry nie mogły sobie pozwolić.

Olimpia rozmyśla leniwie o zakonnicach, klasztorze i miasteczku Ely Falls, siedząc na drewnianej ławce w dawnej kaplicy, przylegającej do północnej ściany domu. To małe pomieszczenie ze stromym dachem i przeszklonymi oknami, przez które można podziwiać piękno stworzone przez naturę lub, jak kto woli, Boga - Olimpia jest przekonana, że siostry przedstawiłyby to w odwrotnej kolejności. Poza kształtem kaplicy i ławkami jedynym elementem przypominającym o religijnym przeznaczeniu tego obiektu jest ołtarz - szeroki, ciężki blat z białego marmuru o delikatnych żyłkach, który wydaje się zupełnie nagi bez krzyża, świecznika i innych akcesoriów towarzyszących katolickiej mszy.

Jest późny letni poranek. Patrząc przez otwarte okno, Olimpia próbuje oddać na kartce szkicownika wygląd

drewnianej niepomalowanej łódki ze starymi żaglami w kolorze brudnej kości słoniowej. Wie, że nie jest uzdolniona plastycznie, stara się więc przedstawić łódkę raczej w konwencji impresjonistycznej niż realistycznej, jednak głównym celem szkicowania nie jest wcale chęć doskonalenia się w rysunku, lecz znalezienie pretekstu dla niczym niezakłóconych rozważań. Olimpia znajduje się bowiem na takim etapie życia, kiedy ogromnie pochłania ją rozmyślanie: nie zawsze są to refleksje konstruktywne czy owocujące inteligentnym rozwiązaniem pewnych problemów, ale raczej swobodnie płynące, podobne marzeniom impresje, przeskakujące bez wyraźnej logiki z jednego tematu na drugi, aby zatrzymać się od czasu do czasu na czymś dłużej, a potem bez żalu to zostawić, tak jak ludzie wędrują po sklepach. Gdy Olimpia odbywa codzienną przechadzkę wzdłuż falochronu lub po parku w Bostonie, gdy siedzi na werandzie, obserwując morze, gdy towarzyszy gościom ojca przy kolacji, przyglądając się, jak żółte światło świec rzuca cienie na twarze siedzących przy stole, jej myśli płyną leniwie w zmiennej scenerii. Olimpia prowadzi czasami przy stole grę sama z sobą, próbując pogodzić to, co mówi dana osoba w konkretnym momencie, z tym, o czym mogłaby w tym samym czasie myśleć, grę, która sprawiła, że dziewczyna stała się wyjątkowo wrażliwa na wygląd i zachowanie innych.

Tak więc jej szkicowanie wpisuje się w szerszy schemat. Chociaż jest zadowolona, że może siedzieć spokojnie na ławce w kaplicy, irytuje się jednak trochę tym, że nie potrafi uchwycić, nawet w przybliżeniu, proporcji łódki wobec widniejących w tle wysepek. Choć dość pochłonięta swoim zadaniem, słyszy, początkowo słabo, a potem coraz wyraźniej, niecierpliwie i podekscytowane dziecięce głosy. Wstaje, aby wyrzucić przez okno, i widzi

na werandzie od frontu grupkę dzieci; i chociaż początkowo odnosi wrażenie, że pojawiła się tam cała klasa, dostrzega tylko cztery szczupłe sylwetki. Oczywiście, domyśla się od razu, że przyjechał John Warren Haskell z całą rodziną i że powinna się przywitać. Idąc przez trawnik, natychmiast zauważa, że dzieci są do siebie bardzo podobne: trzy ciemnowłose dziewczynki w wieku od trzech do około dwunastu lat i chłopczyk, nieco starszy od najmłodszej siostrzyczki, z gęstymi, gładkimi włosami w kolorze tak niezwykle złocistym, że trudno od niego oderwać oczy. Olimpia, trzymając pod pachą szkicownik, jest już przy schodach prowadzących na werandę, a dzieci z ciekawością przyglądają się znad poręczy nieznamym kobiecie w białej, lnianej sukience. Wszystkie mają ciemne brwi (nawet chłopiec) i podobne, mocno zarysowane, szerokie usta. Dwie starsze dziewczynki pozbyły się już dziecięcego tłuszczu i są dość szczupłe; jedna z nich zapowiada się na całkiem wysoką kobietę, ponieważ już teraz ma szerokie ramiona i długie nogi. Stoi na lekko rozstawionych stopach, z dłońmi opartymi na biodrach. Jej błękitna sukienka z białym kołnierzykiem i delikatnym haftem wygląda dość zabawnie w zestawieniu z tak sportową postawą. Olimpia ma wrażenie, że ta poza jest trochę wyzywająca. Druga dziewczynka sprawia wrażenie nieśmiałej i zasłania usta dłonią. Najmłodsza z nich i chłopiec są w ciągłym ruchu, jakby w obawie, że jeśli choć na chwilę zatrzymają się na werandzie, stracą jeden z tych cudownych fascynujących widoków. Olimpia obserwuje dzieci, które chłoną oczami trawnik, skały, morze oraz zbliżającą się do nich młodą kobietę, i odnajduje na ich twarzach ten sam wyraz zachwytu, jaki pamięta u siebie z poprzedniego dnia: niemal szalone zachłyśnięcie się pierwszymi, uderzającymi do głowy oddechami lata.

Już na werandzie wita się najpierw z najmłodszymi dziećmi, które opuszczają głowy w zakłopotaniu, następnie wyciąga rękę do średniej z sióstr, a ta w milczeniu nieśmiało ją ściska, na końcu wita się z najstarszą dziewczynką, która przedstawia się Olimpii jako Martha.

- Jestem Olimpia Biddeford.

Martha wyciąga rękę, ale patrzy gdzieś ponad prawym ramieniem Olimpii.

-A ja nazywam się John Haskell - słyszy za sobą dziewczyna.

Wykonuje półobrót i widzi ciemne włosy, a także orzechowe oczy.

Mężczyzna niemal niezauważalnie skłania głowę w geście powitania. Jego koszula jest pofałdowana od wilgoci, brzegi nogawek spodni pokrywa cienka warstwa mokrego piasku. Stoi z rękoma w kieszeniach, szelki odciskają mu się na ramionach.

Mankiety koszuli ma rozpięte, chociaż jeszcze ich nie podwinął. W tym krótkim czasie, jaki zajęło mu wejście po schodach i wyciągnięcie do niej ręki, Olimpia szacuje, że John Haskell musi być mniej więcej w wieku jej ojca, może rok lub dwa lata młodszy, co znaczy, iż liczy sobie około czterdziestu lat. Jest wysoki i barczysty. Olimpia ma wrażenie, że ubranie krępuje jego ruchy.

Haskell ujmuje jej dłoń i przechodzi z cienia werandy na miejsce oświetlone słońcem. Być może, czując drżenie palców dziewczyny, szybko pochyla głowę, aby słońce nie raziło go w oczy. Spogląda na ich złączone ręce, a następnie ponownie na jej twarz. Przez kilka sekund milczy, podobnie jak Olimpia. Żadnego słowa powitania czy wymiany uprzejmości. Dziewczyna jest przekonana, że matka, która właśnie pojawia się na werandzie, z pewnością zauważyła ciszę, jaka między nimi zapadła.

- Cieszę się, że pana poznałam - odzywa się wreszcie Olimpia.

- Ja także - mówi Haskell, puszcżając jej dłoń. - Mar-thę już pani poznała.

Dziewczyna kiwa głową.

- A to jest Clementine. - Haskell wskazuje na nieśmiałą dziewczynkę. Odwraca się, aby zlokalizować najmłodsze dzieci. - A ci w ciągłym ruchu to Randall i May.

Olimpia czuje, że jej ciało ogarnia fala wstydu połączonego ze zmieszaniem.

- Pływasz? - Słyszcy tuż obok głos Marthy, który przedziera się przez ciepły strumień słów Johna Haskella i działa na nią jak chluśnięcie zimnej wody.

- Tak - odpowiada.

- Czy na plaży są muszelki?

- Bardzo dużo - zapewnia dziewczynkę z przesadnym entuzjazmem. Czuje, że musi natychmiast opuścić werandę, świadoma bacz nego wzroku matki, która w milczeniu stoi nieruchomo na progu.

-Jakie?

- Co: jakie? - pyta z roztargnieniem Olimpia. -Jakie muszelki? - powtarza niecierpliwie Martha.

- Ostryg i małży, oczywiście. Są też inne mięczaki.

- Masz koszyk?

- Na pewno jakiś znajdziemy - zapewnia dziewczynkę.

John Haskell opiera się o poręcz werandy i patrzy na morze.

- Gdzie? - pyta znowu Martha.

- W kuchni z pewnością jest kilka.

- Nad czym pracujesz?

Początkowo nie rozumie pytania, więc dziewczynka wskazuje na szkicownik, który Olimpia cały czas trzyma pod pachą.

- Rysowałam - wyjaśnia. - Ale ten widoczek mi się nie udał.

- Mogę zobaczyć?

Chociaż Olimpia wcale nie ma na to ochoty,, nie potrafi wskazać powodu, aby odmówić.

- Rzeczywiście - zgadza się Martha z rozbijającą szczerością, patrząc na rysunek.

- Martho - John Haskell zwraca się do dziewczynki z lekkim upomnieniem w głosie - nie powinniśmy zabierać więcej czasu pannie Biddeford. Chodźmy na spacer.

Olimpia patrzy, jak John Haskell z córką schodzą po szerokich frontowych schodach werandy i idą przez trawnik. Martha nie sięga ojcu nawet do ramienia. Olimpia odwraca się i widzi matkę, która nadal uważnie na nią spogląda. Rusza w jej stronę, zamierzając szybko przejść, i pyta (słyszając fałszywą nutę we własnym głosie), czy powinna wybrać się z młodszymi dziećmi nad morze. I natychmiast sama sobie odpowiada, zanim matka zdąży się odezwać.

- Tylko zmienię pantofle i wezmę szal - mówi Olimpia, przemykając obok niej.

I nawet jeśli matka coś powiedziała, dziewczyna tego nie słyszy. Pokój Olimpii daje wytchnienie oczom, a ona, podobnie jak jej matka, często szuka schronienia w jego zaciszu. Ściany pokrywa papierowa tapeta w kolorze bladego błękitu, przypominającego barwę letniego nieba; na tym tle rozrzucone są drobne bukietki kremowych róż. Chociaż jest stosunkowo duży, za całe umeblowanie służą wąskie łóżko, mały nocny stolik, toaletka, damskie biurko i krzeselko. Olimpia ustawiła biurko ha wprost okna, przez które widać trawnik, a dalej ocean. Ten widok ni-

gdy jej nie nudzi, nawet w najbardziej ponure dni, jakie może zaoferować letnikom wybrzeże New Hampshire. W oknie wiszą białe, muślinowe firanki, tak upięte, że miękka tkanina tworzy subtelną oprawę dla morskiej scenerii. Olimpii wydaje się, że dzięki rozproszonemu światłu, które przenika do wnętrza przez białą gazę, w pomieszczeniu panuje atmosfera spokoju, ogarniająca ją, ilekroć zamyka za sobą drzwi i zostaje sama.

Ale tego dnia nie znajduje ukojenia ani w swoim pokoju, ani gdzie indziej. Podchodzi do okna i zaraz się cofa. Kładzie się na łóżku, ale natychmiast wstaje i zaczyna krążyć po sypialni. Zatrzymuje się przed lustrem na toaletce i przygląda się swojej twarzy, odwraca ją w lewo i w prawo, bacznie obserwuje, zastanawia się, jak wyglądała w czasie kilku pierwszych sekund powitania, czy można powiedzieć, że jest ładna, czy raczej pospolita. Robi kilka kroków do tyłu, ocenia własną figurę i sposób, w jaki sukienka układa się na piersiach.

Znowu podchodzi do lustra, tym razem bardzo blisko, i ogląda skórę tuż nad falbankami kołnierzyka sukienki. Dopiero wówczas zauważa, że jej policzki są usiane piegami. Jest pewna, że matka także musiała je spostrzec. W tym momencie przypomina sobie, że matka z pewnością czeka, aż Olimpia wróci z szalem i w gorszych pantoflach, aby zabrać dzieci na plażę, tak jak obiecała. I jakby w odpowiedzi słyszy pukanie do drzwi.

Olimpia bierze się w garść i otwiera drzwi. Na progu stoi matka. Ręce ma złożone na piersiach i właśnie otwiera usta, aby zadać pytanie. Czysty przypadek, bardziej szczęśliwy niż Olimpia na to zasługuje, sprawia, że dziewczyna wygląda na tak chorą, jak by sobie tego życzyła. Bez wstydu i śmiało kłamie matce, że czuje się słabo, jest jej niedobrze, pewnie zjadła coś, co jej zaszkodziło.

Nie ma gorączki, dodaje, ale musi trochę odpocząć. I zanim matka zdąży zareagować, Olimpia prosi ją, aby powiedziała dzieciom, że nie może ich wziąć na spacer, jak obiecała.

- Rozumiem - mówi matka, chociaż dziewczyna widzi na jej twarzy cień wątpliwości.

Kłamała już wcześniej. To były niewinne kłamstwa, aby uchronić matkę przed odkryciem małych prawd, których ujawnienie mogłoby ją niepotrzebnie zaniepokoić, jest jednak raczej pewna, że nigdy nie skłamała, aby wybielić siebie lub tłumaczyć swoje zachowanie.

Teraz czuje wyraźnie, że chociaż matka często woli przebywać w świecie, w którym nie trzeba podejmować zbyt wielu decyzji, jedną właśnie podjęła. I że, na swój sposób, jest niemal tak samo zbita z tropu dziwnym zachowaniem córki jak ona sama.

- A zatem nie zejdziesz dziś na kolację - mówi matka, a Olimpia słyszy w jej głosie nie tyle pytanie, ile stwierdzenie.

Po jej wyjściu dziewczyna kładzie się na łóżku. Patrzy przed siebie i usiłuje się uspokoić, słuchając dźwięku fal uderzających o brzeg. Po pewnym czasie jej oddech staje się regularny. Olimpia siada na łóżku i myśli, czym wypełnić sobie czas. W torbie przy toalecie leży włóczkowa robótka, a na biurku porzucony szkicownik. Jej wzrok zatrzymuje się na nocnym stoliku, gdzie położyła książkę, którą ojciec dał jej poprzedniego dnia do przeczytania. Bierze ją do ręki i delikatnie przeciąga palcami po wypukłych literach złoczonego tytułu. Siada na jedynym w pokoju krześle i zabiera się do czytania. Tego popołudnia Olimpia przeczytała całą książkę Johna Haskella, ale nie po to, aby poszerzyć swoją wiedzę, lub zrozumieć treść, co jeszcze wczoraj wydawało się jej nud-

nym zajęciem, tylko by w szczególnych układach siów poszukać śladów myśli innego umysłu, jakby konstrukcje zdań i zawarte w nich słowa autora były formułami, po których odcyfrowaniu można odkryć małe sekrety. Jednak w miarę czytania wbrew pierwotnym intencjom czuje, jak wciąga ją sam temat. Przesłanie dzieła jest zwodniczo proste i niezwykle, przynajmniej w świetle skromnego doświadczenia, jakie ma Olimpia. W książce pod tytułem *Na brzegach rzek* John Warren Haskell prezentuje czytelnikom siedem opowiadań, a raczej, jak to widzi Olimpia, portretów przedstawionych niezwykle szczegółowo i bardzo obiektywnie zarysowanych wizerunków siedmiu osób zatrudnionych w fabrykach w Lowell, Holyoke i Manchesterze: czterech robotnic i trzech robotników. Postaci te są ukazane bez zbytecznych słów, autor nie zamierza również chwalić lub potępiać którejkolwiek z opisywanych osób. Zamiast tego czytelnik otrzymuje rzetelny opis ich życia, a autor wyraża swoje zdanie dużo bardziej wymownie, ukazując jedynie obrazy codziennych zmagania z losem tych ludzi niż, jak myśli Olimpia, uczyniłaby to jakakolwiek patetyczna retoryka. Portrety są surowe, dziewczyna odnajduje w nich fragmenty, które stanowią dla niej zarówno objawienie, jak i materiał trudny do pojęcia - nie z uwagi na język, ale ze względu na obrazy, jakie wywołują; wiedza autora, tak w sprawach bytowych, jak i medycznych, jest bowiem niezwykle szczegółowa. Olimpia zastanawia się w trakcie lektury nad motywacją ojca, kiedy polecał jej tę książkę, chociaż nie pierwszy raz dał jej do przeczytania tak trudną i kontrowersyjną lekturę - nie każdy nauczyciel zdecydowałby się na to. Ojciec zawsze zachęcał Olimpię podczas rozmów, aby nie odwracała się od spraw bolesnych i trudnych, a przynajmniej nie od literatury, która je opisuje.

Tego popołudnia, siedząc w pokoju na krześle, dziewczyna powtarza w myślach słowa: tkacze, łamistrajki, ulotki. Przejmuje ją dreszcz, gdy czyta opis zabiegu chirurgicznego, wykonywanego we wczesnym stadium nowotworu. Interesuje ją konstrukcja systemu kanalizacji w szalowanym deskami budynku. Zastanawia się też, skąd John Haskell zna się tak samo dobrze na obsłudze krosien tkackich, jak na bólu towarzyszącym narodzinom dziecka. Czytając i starając się zrozumieć różne sprawy, Olimpia podziwia, strona po stronie, ogromną wiedzę autora o ludzkim ciele i ludzkiej naturze i czuje się tak, jakby wielokrotnie rozmawiała z Johnem Haskelllem, co oczywiście nigdy się nie zdarzyło.

Kiedy wreszcie podnosi wzrok znad książki, widzi, że światło dzienne osiągnęło ten wspaniały poziom nasycenia, kiedy wszystkie przedmioty są bardziej wyraziste niż wcześniej. Podczas tej lektury udaje jej się odmienić uczucia, których początkowo nie akceptowała, na takie, z którymi czuje się dobrze, to znaczy przeobrazić zakłopotanie w szacunek, a niepokój w podziw, i dzięki tak cudownej alchemii zastanawia się nad zejściem na wieczorny posiłek, czuje się już bowiem całkiem dobrze.

Z czasem Olimpia zrozumie, na czym polega obsesja na punkcie „tej drugiej” - osoby, której kogoś odebrano: żony, byłej kochanki, narzeczonej. O nieustającym pragnieniu, sprawiającym, że inna kobieta staje się obiektem wręcz nienasyconej ciekawości. O męczącej fascynacji, która nie słabnie. Tego lata odkryje, że marzy o tym, aby poznać najbardziej intymne szczegóły z życia Catherine Haskell. Czy śpi w łóżku sama, czy przytulona do męża? Jakie czułe słowa wypowiada i jakie otrzymuje w zamian? Czy słyszy, tak jak Olimpia, nagłą ciszę, a potem niski, jednostajny krzyk, tajemny i świdrujący, który dociera jedynie do kogoś zakochanego? Będzie się zastanawiać, czy ona i Catherine Haskell podzielą te same wspomnienia i będą uczestniczyć w podobnych zdarzeniach tylko w różnych momentach, co sprawi, że wspomnienia Olimpki nie będą wyłącznie jej wspomnieniami, ale niemal powtórzeniem tych, które należą do Catherine? Czy zatem w pewnym czasowym kontinuum każda z kobiet jest tak samo zdradzana?

W latach, które dopiero nadejdą, Olimpia będzie zadawać sobie pytanie, czy w gruncie rzeczy nie uwikłała się w uczucie do pani Haskell, czy jej ciekawość w stosunku do tej kobiety i lat spędzonych przez Catherine

z Johnem Haskellem, o których Olimpia nic nie wiedziała, lat, w ciągu których naprawdę łączyły ich śluby małżeńskie i które były w ich życiu czymś najważniejszym, kiedy rodziły się dzieci i wymagały opieki, a łożo małżeńskie było używane tysiące razy, nie przerodziła się w dziwną formę miłości, miłości, jaka nigdy, z uwagi na jej naturę, nie mogła zostać odwzajemniona lub zaspokojona. Olimpia decyduje się zejść na kolację i sprawdza w lustrze toaletki, jak wygląda. Chociaż w Fortune's Rocks korzystali z usług praczki, Olimpia nie ma osobistej pokojówki (podobnie jak w Bostonie), ponieważ jej ojciec uważa, że samodzielność w sprawach ubierania się i higieny osobistej jest istotnym elementem edukacji młodej kobiety. Nie pochwałał również dziewczęcej próżności i z tego powodu nalegał, aby w szafie i toalecie Olimpji znajdowały się możliwie skromne rzeczy, i krytycznie odnosił się do wszelkich przejawów próżności. Jednak te zasady wychowania w skromności i prostocie nie dotyczyły żony: ojcu najwyraźniej podobały się lawendowo-błękitne jedwabne bluzki żony, granatowe woalki, a także wymyślne i czasochłonne fryzury oraz grzebienie w jej włosach. Oczywiście matka ma osobistą pokojówkę, jest nią Lisette. Olimpia nie buntuje się przeciwko poglądom ojca na temat jej strojów i wyglądu, ponieważ przyzwyczała się sama dbać o siebie. Czułaby się skrepowana, gdyby korzystała z pomocy służącej i musiała w obecności obcej kobiety wykonywać intymne zabiegi higieniczne. Teraz spędziła jednak męczące pół godziny w pokoju, wybierając suknię, rozmyślając nad skromnym zestawem biżuterii i zastanawiając się, czy upiąć włosy, czy też je rozpuść-

cić. Każda decyzja wymagała postawienia kilku podstawowych pytań, na które należało sobie odpowiedzieć. Jest dziewczyną czy kobietą? Czy ta kolacja to zwykły posiłek, czy bardziej oficjalne spotkanie? Czy ojciec chciałby ją widzieć z rozpuszczonymi włosami? A matka z upiętymi? Olimpia decyduje się związać włosy wstążką i włożyć granatowo-białą, lnianą sukienkę z białą lamówką, układającą się na ramionach na kształt marynarskiego kołnierza. Tuż przed wyjściem patrzy jednak w lustro i z przerażeniem spostrzega, że bardziej przypomina przerośniętą uczennicę niż młodą kobietę, wybierającą się tego letniego wieczoru na kolację. Szybko rozpina guziki i ściąga przez głowę upokarzającą sukienkę. Spośród rzeczy rozłożonych na łóżku wybiera białą bluzkę z cienkiego płótna i długą, czarną spódnicę z jedwabnej wełny, podkreślającą talię. Zdejmuje z włosów równie głupio wyglądającą wstążkę i upina je w gruby węzeł. O tej porze roku jej włosy, których nie rozjaśniły jeszcze promienie słońca, mają kolor kory dębowej. Są ciężkie i aby je upiąć, Olimpia potrzebuje wielu spinek. Uznaje wreszcie, że albo zostawi włosy rozpuszczone, albo straci tego dnia kolację. Na wszelki wypadek, wychodząc z pokoju, nie patrzy już w lustro.

Słyszy stłumione głosy dobiegające z werandy, a ponieważ nie chce jeszcze włączać się do rozmowy, kieruje się w stronę jadalni. To pierwsza kolacja w tym sezonie letnim, stół zastawiono więc wytworniej niż zwykle, znajdują się na nim pucharki z rżniętego kryształu i porcelana ozdobiona emalią, a na białym atlasowym obrusie leżą rozrzucone, na pozór przypadkowo, ale zgodnie z artystycznym smakiem matki, miniaturowe kremowe różyczki. Błyszczą tuziny świec umieszczone w lichtarzykach

i świecznikach, a płomienie odbijają się w podwójnych lustrach nad stojącymi naprzeciw siebie mahoniowymi bufetami i wydaje się, że wszędzie połyskuje mnóstwo ciepłych, żółtych światełek. Ponieważ na zewnątrz nie jest jeszcze ciemno, Olimpia dostrzega przez siatki w wielkich oknach gęste żywopłoty róż, które rosną od południowej strony trawnika, a dalej sady jabłoni. Powietrze wpływające przez siatki jest miękkie i przenika ciało jak duch, szukający drogi do pokoju. Olimpia podąża drogą, którą wybrałby duch, kierując się migotliwym blaskiem świec. Za drzwiami do kuchni słyszy podniesione głosy i brzęk metalu uderzającego o metal. A także inny dźwięk, szelest sukni w drzwiach.

- Ty musisz być Olimpią.

Dziewczyna widzi najpierw, jak bez wątpienia każdy, ogromne, zielone oczy, tak zielone i przejrzyste jak morska woda. Catherine Haskell podchodzi bliżej i Olimpia, ku własnemu zaskoczeniu, dostrzega, że kobieta jest od niej niższa i bardzo delikatnie utyka.

- Co za wspaniały pokój - mówi Catherine, zdejmując kapelusz i obrzucając spojrzeniem stół.

Olimpia zwraca uwagę na jej włosy, które mają niezwykły kolor: są ciemnoblonde, gęsto przetykane srebrnymi nitkami, co przypomina babie lato.

- Pani jest zapewne panią Haskell - odzywa się Olimpia, odzyskując mowę.

- Nigdy nie mogę się przyzwycząić do cudownej urody Fortune's Rock, niezależnie od tego, jak często tu przyjeżdżamy - wyznaje kobieta, usiłując związać włosy w węzeł na karku.

Olimpia jest zdziwiona jej uśmiechem, który w zasadzie nie wyraża zadowolenia z siebie, ale wydaje się uśmiechem prawdziwej satysfakcji.

- Byłam na spacerze - wyjaśnia pani Haskell, wskazując na trzymany w dłoni kapelusz.

Ma na sobie suknie z zielonej tafty z wieloma halkami. Olimpia uważa, że to dość dziwny strój jak na spacer. Może pani Haskell była zbyt niecierpliwa, aby się przebrać, zupełnie tak samo jak ona sama dzień wcześniej. Buty i dół spódnicy Catherine pokrywa piasek.

- Bałam się, że spóźnię się na kolację - wyznaje przybyła.

Olimpia kręci głową.

- Mam nadzieję, że dzieci nie dały ci się we znaki - mówi dalej kobieta. - Czy już je poznałaś? Wiem, że Martha będzie tobą zachwycona i zasypie cię dziesiątkami pytań, ale możesz ją odprawić, jeśli tylko zechcesz.

- Ależ nie - oponuje Olimpia, przekonana, że Martha wcale nie jest nią zachwycona. - Ledwie miałam czas je poznać, spotkaliśmy się tylko na moment, ponieważ cały dzień spędziłam w swoim pokoju.

- Naprawdę? Taki piękny dzień? Czemu?

Dziewczyna żałuje, że przyznała się do spędzenia całego dnia w pokoju, a jednocześnie instynktownie czuje, że nie może powiedzieć tej kobiecie, iż całe popołudnie czytała eseje jej męża. Chociaż Olimpia jeszcze nie bardzo rozumie dlaczego, wydaje jej się to niestosownym wścibstwem, jakby przeglądała album z prywatnymi fotografiami.

- Odpoczywałam - mówi.

- Och, myślałam, że źle się czułaś.

- Nie, czuję się bardzo dobrze, pani Haskell - zaprzecza zakłopotana, patrząc na swoje stopy.

- Mam na imię Catherine - przedstawia się kobieta, wolno wymawiając imię i akcentując każdą z trzech sylab. - Proszę, nazywaj mnie tak, w przeciwnym razie będę się czuła nieswojo.

Olimpia podnosi wzrok i próbuje się uśmiechnąć, ale widzi, że pani Haskell ją obserwuje, wędruje oczami po jej talii i włosach, potem zaś ponownie patrzy na twarz. Dziewczyna przez chwilę wytrzymuje jej spojrzenie, ale w końcu odwraca wzrok w stronę werandy.

- Jak myślisz - pyta pani Haskell - czy mam jeszcze czas, aby wśliznąć się do swojego pokoju i zmienić suknię na taką, w której nie włożyłam się po piasku i morskich wodorostach?

To w zasadzie nie jest pytanie, ponieważ Olimpia nie zna się na zwyczajach obowiązujących na proszonych kolacjach. Pani Haskell opuszcza jadalnię z tym samym szelestem spódnicy, z jakim tu weszła.

Olimpia na chwilę wspiera się o framugę drzwi, a wówczas przez siatkę w oknie widzi na skale maleńką fokę.

Tego wieczoru na kolacji jest siedem osób, wśród nich Rufus Philbrick z Rye, właściciel hoteli i pensjonatów w tym mieście, oraz Zachariah Cote, poeta z Quincy, spędzający wakacje w Highland Hotel. (Siódme nakrycie dołożono w pośpiechu dla Olimpji, której się nie spodziewano). Dzieci zjadły kolację wcześniej i teraz nie ma ich w domu; guwernantka Haskellów taktownie zaproponowała, że zabierze je na wieczorny spacer po plaży. Pan Philbrick, olbrzymi mężczyzna ze śnieżnobiałymi wąsami i brodą, ma na sobie marynarkę w prążki i kremowe spodnie. Olimpia uważa go za dandysa i bogacza. Cote, którego wiersze zaczęła kiedyś czytać, ale nie wywarły na niej większego wrażenia, przybiera niebudzącą jej entuzjazmu pozę mężczyzny przepełnionego słodyczą i smutkiem. Jest bardzo przystojny, ma ciemnoblond włosy i niezwykle białe zęby, stanowiące, zdaniem dziewczyny,

powód jego dumy, ponieważ często się uśmiecha. (Czy naprawdę jego oczy mają barwę lawendy?) Jej matka, w szyfonie koloru różowych hiacyntów, z perłowymi grzebieniami we włosach, wydaje się bardzo ożywiona, co wywołuje niepokój i czujność Olimpii, a także jej ojca; oboje wiedzą bowiem, że po takich euforycznych i radosnych chwilach matka popada często w przygnębienie. Ale migotliwe piękno jadalni z siedmioma nakryciami do kolacji, z płonącymi świecami, które w nieskończoność odbijają się w podwójnych lustrach bufetów i wilgotnym powietrzem, przepływającym przez siatki w oknach, które daje obietnicę kolejnych, niezwykłych nocy, sprawia, że Olimpia cieszy się z tego bogactwa i wrażeń.

Wszyscy siadają do stołu, goście pozdrawiają nowo przybyłą i pytają o różne rzeczy, wykazując zainteresowanie jej osobą, na co jest przygotowana i potrafi znaleźć się w takiej sytuacji. Kiedy padną już wszystkie konwencjonalne pytania, a po daniu rybnym zostaną wniesione smażone w muszlach ostrygi, będzie mogła zająć się słuchaniem innych, a jest to ta część posiłku, którą Olimpia lubi najbardziej.

Szybko dokonuje oceny gości. Widzi, że Zachariah Cote zarówno w rozmowie, jak i w gestach przesadnie stara się schlebiać jej ojcu, który nie podjął jeszcze decyzji co do wydania jego tomiku poezji. Olimpia dochodzi do wniosku, że owa wyjątkowa demonstracja gorliwości, jak bez wątpienia można określić zachowanie Cote'a w wiadomym kontekście, jest bardziej sztuczna niż miła.

Zdecydowanie woli cokolwiek burkliwe zachowanie Ru-lusa Philbricka i jego cięte riposty na pytania pana domu. Te bowiem wywołują wesołość u ojca, który dba, aby wieczór upłynął wesoło. Matka Olimpii pije dużo szampana, prawie nie ruszając przy tym jedzenia. Ojciec od

czasu do czasu rzuca jej pełne troski spojrzenie lub dotyka palcami jej dłoni. Olimpia wie, iż papa liczy na to, że jego żona wcześniej pożegna gości i pójdzie do siebie, zanim nastąpi załamanie jej nastroju. Catherine Haskell, w sukni z chińskiego jedwabiu w kolorze heliotropu, który mocno podkreśla jej blond włosy przetykane srebrnymi pasmami, uprzejmie odpowiada na pytania mężczyzn, chociaż wyraźnie kieruje swoją sympatię w stronę matki Olimpii, komplementując ją bez fałszywych pochlebstw za bukietki miniaturowych różyczek na stole i dopytując, czy jej zdaniem można pozwolić córkom na poranną przejażdżkę łódką.

John Haskell siedzi przy samym końcu stołu i jego głos dociera do Olimpii tylko od czasu do czasu. Mężczyźni, wśród nich także lekarz, relacjonują Cote'owi, nieznanemu dziejów tej okolicy, historię dotyczącą poetki Celi Thaxter, której wiersze ojciec Olimpii bardzo sobie ceni i często wydaje. Olimpia wie, że pani Thaxter odegrała marginalną, aczkolwiek niechlubną rolę w sprawie morderstwa, popełnionego jakieś dwadzieścia pięć lat wcześniej. I ponieważ już wiele razy słyszała ową dość makabryczną opowieść, pozwala swoim myślom krążyć przez pewien czas wokół innych spraw, czekając na moment, gdy podadzą medaliony jagnięce i krokiety ryżowe, a dobre maniery gości spowodują, że ponownie zostanie włączona do rozmowy przy stole. W tym roku jest całkiem dobrze przygotowana z pewnych tematów i może uczestniczyć w konwersacji; ojciec doskonale o tym wie. Całkiem możliwe, że w pewnej chwili zechce zademonstrować wiedzę córki i wciągnie ją do dyskusji na temat amerykańskiego liberalizmu lub chrześcijańskich reform społecznych. Tego wieczoru ojciec także wydaje się nad wyraz ożywiony, niemal podniecony, i Olimpia podejrze-

wa, że jest to do pewnego stopnia zasługa wyjątkowej urody obu kobiet, pani Haskell i jej matki, zdublowanej w odbiciach podwójnych luster bufetów. I rzeczywiście, patrząc na gości zgromadzonych przy stole, Olimpia odkrywa, że wszyscy mężczyźni zajęli takie miejsca, aby śledzić w lustrach nieskończone zwielokrotnienie kobiecych wdzięków, ujawniających się w szczególnym nachyleniu głowy, smukłej szyi, zwieńczonej obłokiem srebrzystego i złocistego babiego lata, w ulotnym uśmiechu, lekkim ściągnięciu brwi, ułożeniu sznura pereł na białym dekolcie, kosmyku włosów, który wymknął się spod spinki i wysadzanego diamentami grzebienia. Ona też z uwagą śledzi te szczegóły, jak gorliwy czeladnik, który obserwuje swojego mistrza, znakomitego stolarza lub kowala. Jednak kiedy zatopiona w myślach dziewczyna wędruje spojrzeniem na drugi koniec stołu widzi, że John Haskell wcale nie podziwia wdzięków swojej żony ani Rosamun-dy Biddeford, nie patrzy ani na nie, ani na ich odbicia w podwójnych lustrach, tylko na nią, na Olimpię.

To nie jest przypadkowe zerknięcie. To nie jest spojrzenie, które zwiastuje uprzejmy moment rozpoznania lub skinienie głową, zachęcające do rozmowy. Nie jest też wyrazem roztargnienia. To głęboko przenikliwy wzrok, który nie zna barier. Z takim zainteresowaniem Olimpia nie zetknęła się dotąd w swoim młodym życiu. Wydaje jej się, że wszyscy przy stole zastygli tak jak ona, wyczuwając ową trudną do zniesienia intensywność obserwacji. Opuszcza głowę, ale nic nie widzi: ani widelca w dłoni, ani koronki na rękawie bluzki, ani jagnięcego medalionu na talerzu. Kiedy zaś znowu podnosi oczy, wzrok Uaskella wciąż na niej spoczywa. W końcu na jej twarzy pojawia się wyraz zmieszania. Może na skutek owego wyraźnego zawstydzienia mężczyzna szybko odwraca głó-

wę w kierunku ojca Olimpji, jakby zamierzał z nim porozmawiać. I wtedy właśnie ojciec, bez wątpienia także zaskoczony nagłym zainteresowaniem, jakim znany lekarz obdarza jego córkę (a może tylko podświadomie wyczuwając spojrzenie mężczyzny, skierowane w stronę dziewczyny), zwraca się do gości.

- Dałem Olimpji do przeczytania nową książkę Johna.

Cisza, która zapadła po tych słowach, jest gorsza niż pochopna uwaga, jaką mogłaby w tym momencie wypowiedzieć Olimpia. Jej ojciec i goście czekają, aż się odezwie, gdyż w czasie tej fatalnej ciszy ryzykuje, że duma ojca przerodzi się w rozczarowanie. Po chwili ojciec jest zmuszony odezwać się tonem przypominającym nieco surowy głos nauczyciela.

- Czyż nie tak, Olimpjo? A może nie miałaś czasu, aby przejrzeć eseje pana Haskella?

Dziewczyna dzielnie unosi podbródek, chociaż wcale się tak nie czuje, i odpowiada raczej autorowi niż ojcu.

- Przeczytałam prawie wszystkie pańskie eseje, panie Haskell, i bardzo mi się podobają.

Tak szybko chwyta oddech, że powietrze nie dostaje się do płuc. Znowu zapada cisza, która w miarę przedłużania się irytuje ojca.

- Ależ moja droga, powinnaś wyrażać się konkretniej. Olimpia bierze głęboki oddech i odkłada widelec.

- Forma tych szkiców jest pozornie prosta, panie Haskell - mówi. - Wydaje się, że napisał pan siedem opowieści bez komentarza czy krytycznego osądu, lecz te portrety, dzięki szczegółowym opisom są, moim zdaniem, bardziej przekonujące niż jakakolwiek retoryka.

- Przekonujące o czym? - pyta Philbrick, który nie zna książki.

- Przekonujące o konieczności polepszenia warunków życia robotników - wyjaśnia Olimpia.

John Haskell rzuca szybkie spojrzenie Philbrickowi, który jest także właścicielem wielu pensjonatów w Rye, jakby chciał sprawdzić, czy tamten poczuje się urażony dalszą rozmową. Jednocześnie dostrzega, podobnie jak Olimpia, uśmiezek na twarzy jej ojca, uśmiezek wskazujący, że jego nalegania, aby wypowiedziała się na temat tej książki, stanowią w gruncie rzeczy część planu, który ma na celu wywołanie żywej dyskusji podczas kolacji. Lekarz odwraca więc spojrzenie od Philbricka i patrzy na Olimpię, która modli się właśnie, aby nie powiedział, że jest zbyt łaskawa w swojej ocenie, oznaczałoby to bowiem, że ją zbywa.

- Pańskie szkice są surowe, ale znalazłam w nich fragmenty, które były zarazem wstrząsające i trudne w czytaniu - ciągnie dalej, nie czekając aż on coś powie. - Nie chodzi jednak o język, tylko o obrazy, jakie ukazywały, szczególnie te dotyczące wypadków przy pracy i problemów medycznych.

- To prawda, Olimpio - potakuje ojciec, powoli odzyskując dumę z córki.

- Myślę, że niewielu czytelników pozostanie obojętnych na te zagadnienia - dodaje Olimpia.

- Pani młody wiek usprawiedliwia taki odbiór książki - włącza się nagle do rozmowy Rufus Philbrick, patrząc na nią przenikliwym wzrokiem.

Dziewczyna czuje na sobie jego przyjazne spojrzenie.

- Wcale nie - oponuje ojciec. - Moja córka jest wyjątkowo dobrze edukowana.

- A jaka to szkoła? - pytał Zachariah Cote, zwracając się do niej uprzejmie i z uśmiechem.

Olimpii nie podoba się jego miękki podbródek ani wyjątkowo długie bokobrody, a już na pewno nie chce,

aby rozmowa zeszła na jej temat zamiast dyskusji o książce Johna Haskella.

- Szkoła mojego ojca - odpowiada.

- Naprawdę? - dziwił się Rufus Philbrick. - Nie chodzi pani do normalnej szkoły?

Odpowiedzi udziela jej ojciec.

- Moja córka przez sześć lat uczęszczała w Bostonie do seminarium dla dziewcząt, a ów okres dobitnie udowodnił, że wiedza Olimpii była dużo większa niż wiedza jej nauczycieli. Odebrałem ją więc stamtąd i od tej pory uczę ją w domu sam; mam nadzieję, że za rok dostanie się do Wellesley College.

- Podoba ci się to? - pyta Catherine Haskell, zwracając się w jej stronę. - To, że nie masz kontaktu z innymi dziewczętami w swoim wieku?

- Mój ojciec jest utalentowanym i wyrozumiałym nauczycielem - dyplomatycznie odpowiada Olimpia.

- A zatem dużo wiesz o fabrykach? - pyta Rufus Philbrick Johna Haskella.

- Nie tyle, ile bym chciał - przyznaje ten. - Posługiwanie się formą portretów w celu opowiedzenia czyjejś historii ma jedną wadę, gdyż autorowi trudno jest ukazać wówczas całą perspektywę historyczną i moim zdaniem jest to główny minus mojej książki. Uważam bowiem, że zrozumienie kontekstu historycznego danej sytuacji to podstawa właściwego pojmowania jej czasu teraźniejszego.

Zgadza się ze mną?

- Myślę podobnie - przyznaje ojciec Olimpii.

- We wczesnym okresie powstawania fabryk - kontynuuje lekarz - kiedy z reguły pracowały w nich dziewczęta z jankeskich farm, fabrykanci przejmowali się losem swoich pracownic i czuli się w obowiązku zapewnić im skromne mieszkanie i opiekę lekarską.

Dziewczęta miesz-

kały w pokojach po dwie i trzy razy dziennie dostawały posiłki w stołówce. Hotele robotnicze stanowiły dla nich tymczasowy' dom, były czymś w rodzaju bursy. Robotnice miały tam, na przykład, do dyspozycji biblioteki i towarzystwa literackie dla dziewcząt, urządzano koncerty, grano sztuki teatralne itd. Młode kobiety mogły w ten sposób poszerzyć swojej horyzonty i wierze, że naprawdę tak było.

- Ja jednak słyszałem - do rozmowy włącza się Rufus Philbrick - że dziewczęta pracowały po dziesięć lub dwanaście godzin dziennie sześć dni w tygodniu i dość często zdarzały się przypadki utraty wzroku i inne choroby.

- To prawda, Philbrick. Mnie jednak chodzi o to, że kiedy jankeskie dziewczęta wróciły do domów i zastąpiły je Irlandki i Kanadyjki z francuskiej części Kanady, nastąpiła gwałtowna zmiana na gorsze. Imigranci przyjeżdżali całymi rodzinami, często bardzo licznymi, które tłoczyły się w pokojach pierwotnie przeznaczonych dla dwóch osób. Hotele nie były w stanie pomieścić tak wielu przybyszów, więc warunki sanitarne i zdrowotne raptownie się pogorszyły. Dopiero kilka lat temu postępowe grupy społeczników zaczęły żądać lepszych mieszkań, pomocy medycznej i opieki nad dziećmi.

- Coś słyszałem o tych postępowych grupach - mówi Zachariah Cote, patrząc na zebranych przy stole.

- W kwietniu - kontynuuje Haskell - razem z kilkoma lekarzami z Cambridge pojechaliśmy do Ely Falls i zbadaliśmy mężczyzn, kobiety i dzieci, których udało nam się do tego namówić. Siedem dolarów na rodzinę to wystarczająca zachęta, przebadaliśmy więc pięćset trzydzieści pięć osób. Tylko sześćdziesiąt z nich było całkowicie zdrowych.

- To niesłychanie mało - wtrąca matka Olimpiii.

- To prawda. Te hotele, jak się okazało, są siedliskami chorób takich jak gruźlica, odra, bysynoza*, cholera, suchoty, szkarlatyna, zapalenie opłucnej - mógłbym tak wymieniać w nieskończoność.

- Moim zdaniem, John, jednym z najpoważniejszych problemów jest to - odzywa się ojciec Olimpii - że niektórzy imigranci nie mają żadnych obiekcji, aby wysyłać do pracy dzieci. Na przykład u Francuzów pracują całe rodziny i aby ominąć zakaz zatrudniania małoletnich, właściciele fabryk dają im pracę do domu i czasami, w zależności od tego, jak bardzo zdesperowana jest rodzina, dzieciaki harują nawet czternaście godzin dziennie w izbie prawie bez wentylacji.

- Jaka to praca? - pyta Catherine Haskell.

- Dzieci szyją, fastrygują lub wypruwają nitki - wyjaśnia jej mąż. - Proste, monotonne zajęcia. - Kręci głową. - Trudno w to uwierzyć, Philbrick, trzeba zobaczyć te dzieci. Wiele z nich choruje. Niektóre nie rosną i mają zniszczony wzrok. A nie ukończyły nawet dwunastu lat.

Rozmowa urywa się, jej uczestnicy konstatuja ów oburzający fakt, który powinien zostać odpowiednio przetrawiony, zanim dyskusja potoczy się dalej. Olimpia dziobie widelcem ryż na talerzu.

Wykorzystując chwilowy przypływ odwagi, zwraca się do Johna Haskella.

- I jeszcze jedno, panie Haskell - mówi. - W pańskich portretach zawarty jest olbrzymi ładunek emocjonalny. Myślę, że darzy pan tych robotników sporą sympatią.

John Haskell uśmiecha się lekko w odpowiedzi.

* Rodzaj pylicy, choroba zawodowa występująca u robotników zatrudnionych m.in. przy oczyszczaniu włókien bawełny i ich przetwarzaniu na tkaniny (przyp. red.).

- Miałem nadzieję, że czytelnik zauważy to uczucie -zwraca się do Olimpii - ale odnoszę wrażenie, że całkowicie umknęło ono recenzentom.

- Moim zdaniem krytyk Benjamin Harrow bardziej jest znany ze swojej powagi niż humoru - mówi ojciec z uśmiechem.

- Zastanawiam się, czy te utwory nie są jednak czymś innym niż eseje - odzywa się Zachariah Cote, wciąż usiłując wziąć udział w rozmowie, która toczyła się całkiem dobrze bez niego.

- Oczywiście nie są to eseje w pełnym tego słowa znaczeniu - zgadza się John Haskell. - To jedynie szkice. Moim zdaniem jednak te fragmenty życia tworzą mozaikę, ukazującą czytelnikom coś więcej. Zamówiłem także fotografie robotników, które zamierzałem włączyć do książki, ale wydawca przekonał mnie, że ilustracje mogłyby osłabić wymowę książki, więc zrezygnowałem. Niemniej trochę żałuję tej decyzji.

- Ja także żałuję - dodaje Olimpia. - Bardzo chciałabym zobaczyć zdjęcia ludzi, o których pan pisał.

-Jestem do usług, panno Biddeford - obiecuje Haskell.

Dziewczyna widzi, że matka szybko odwraca głowę; a zatem prośba była zbyt śmiała.

- Ale czy to nie przekreśli wymowy samych szkiców? - pyta Philbrick. - Jak słowa mogą się równać z wiernością fotografii?

- Jest bardzo dużo istotnych rzeczy, których nie zdoła oddać fotografia - wyjaśnia John Haskell. - Na przykład wydarzenia historyczne lub radość z małżeństwa. Rozpacz po śmierci dziecka lub chociażby zły nastrój.

- Mnie się jednak wydaje, że na twarzy człowieka jest zapisane całe jego życie - kontynuuje Philbrick. - W inte-

resach, które robię, często kieruję się tym, co widzę na twarzach kontrahentów. Lojalność. Uczciwość. Przebiegłość. Słabość.

- Świetnie, a zatem mamy szczęście - ochoczo podchwytuje Catherine Haskell. - Mój mąż przywiózł ze sobą aparat fotograficzny. Może namówimy go, aby jutro zrobił każdemu z nas zdjęcie. Potem sami się przekonamy, czy można odczytać z tego wizerunku charakter.

- Och, nie! - wykrzykuje matka Olimpii, mylnie biorąc delikatną, kuszącą sugestię gościa za obowiązek. - Nigdy nie pozwolę sobie zrobić zdjęcia. Nigdy!

Ta trwożliwa nuta wydaje się tak niestosowna tego wieczoru jak żadna inna, a zarazem tak znacząca tego lata, jakby pianista niechcący uderzył w niewłaściwe klawisze, a wydobył z instrumentu takty zachwycająco pięknej muzyki, wibrującej w pomieszczeniu i z wolna zamierającej.

- Kochanie - mówi ojciec Olimpii, wyciągając rękę, aby dotknąć drżącej dłoni żony i uspokoić ją gestem, który dziewczynie zawsze będzie się kojarzył z niezwykłą delikatnością - nie pozwolę nikomu sfotografować twojej urody, byłbym bowiem szaleńczo zazdrosny o fotografa i każdego, kto patrzyłby na zdjęcie.

Niezależnie od tego, czy dostrzegają pierwszy sygnał o nadchodzącym niebezpieczeństwie, czy też skromny dowód miłości małżeńskiej, goście w milczeniu przyglądają się, jak Lisette stawia na stole pudding Sunderland, który następnie kroi na kawałki i podaje gościom.

Tony partity Bacha wypływają przez maleńkie oczka siatki w drzwiach na werandę, gdzie siedzą mężczyźni z cygarami i szklaneczkami brandy. Matka Olimpii, jak można się było tego spodziewać, przeprosiła gości, a pan domu po odprowadzeniu żony do sypialni wrócił do

gości. Catherine Haskell gra z wielkim talentem i ogromnym wyczuciem, co budzi podziw Olimpii. Wokół lamp fruwały ćmy, dziewczyna siedzi z dala od światła, a także z dala od grupy mężczyzn. Na werandzie nie ma innej kobiety, nie może więc przyłączyć się do panów, nie chciała jednak tkwić w domu w taki przyjemny wieczór.

Księżyc rzuca srebrzystą poświatę na morze tuż przed przypływem; ciemna, nieruchoma tafla przypomina wspaniałe jezioro. Nieustanny szum fal stanowi subtelne tło dla rozmowy i muzyki. Olimpia nie słyszy, o czym rozmawiają mężczyźni, ale rozpoznaje ich głosy: stanowcze i subtelne, chociaż czasami apodyktyczne wypowiedzi ojca; krótkie staccato wybuchów entuzjazmu i rady Rufusa Philbricka; bezdźwięczny i zbyt uległy ton Zachariaha Cote'a; i w końcu niski głos i zwarte zdania wypowiedziane przez Johna Haskeila, których ton rzadko podnosi się lub opada. Udaje jej się wyłuskać kilka słów z rozmowy: „handel... Manchester... produkcja wagonów... parodia... dobrodziejstwa...”. Słowa toną w dymie i lekko tracą na wyrazistości. Od czasu do czasu mężczyźni zniżają konspiracyjnie głosy, pochylają ku sobie głowy i, głośno wybuchając śmiechem, odsuwają się nagle. W takich momentach Olimpia zastanawia się, czy nie powinna opuścić werandy. Jest jednak zbyt zmęczona i fizycznie wyczerpana, by zmusić się do wysiłku. Ma wrażenie, że mogłaby zasnąć na fotelu i pozostać tu całą noc, krótką noc letniego przesilenia. Chciałaby zobaczyć wschód słońca nad morzem. Zatopiona w myślach nie słyszy, że pani Haskell przestała grać i z zadumy wyrywa ją dopiero głos żony lekarza.

- Wiesz, że niemal wszystkie kultury przypisują ma-juc/.ną moc nocy letniego przesilenia? - pyta Catherine.

Olimpia prostuje się na krześle, ale pani Haskell kładzie jej dłoń na ramieniu. Siada obok i patrzy na morze.

- Bardzo pięknie pani gra - mówi Olimpia. Catherine Haskell uśmiecha się leciutko i macha ręką, jakby nie zasługiwała na komplement.

- Nie tak pięknie jak twoja matka, miałam okazję ją słyszeć. Jedwab jej sukni w kolorze heliotropu rozplywa się w ciemności, wywołując złudzenie, że w przyćmionym świetle lamp całą postać kobiety tworzą jedynie szczupłe ramiona, szyja, twarz i burza włosów.

- A wiesz, że układ kamieni w Stonehenge powiązany jest ze wschodem słońca w czasie przesilenia letniego? Tego dnia składano ofiary. Czasami także z ludzi.

- W taką noc wydaje mi się, że wszystko jest możliwe - odpowiada Olimpia.

- Tak. Właśnie.

Słyszy skrzypienie wikliny, gdy pani Haskell opiera się o fotel i zaczyna kołysać. Jej białe pantofle delikatnie połyskują w świetle księżyca.

- Mam nadzieję, że twoja matka się nie rozchoruje -mówi.

- Ona bardzo łatwo się męczy - wyjaśnia dziewczyna.

- Tak, oczywiście. Olimpia waha się chwilę.

- Jest bardzo wątłego zdrowia - dodaje. -Rozumiem - mówi szybko Catherine, jakby sama domyślała się tego wcześniej. Odwraca się w stronę Olimpii, ale dziewczyna widzi tylko część jej profilu. -Wydaje mi się, że jesteś bardziej podobna do ojca.

- Jak to? - pyta Olimpia.

- Jesteś opiekuńcza. Silna, tak mi się wydaje.

Z tyłu rozlega się kolejny wybuch gromkiego śmiechu i obie patrzą w stronę mężczyzn. Dwie kobiety przyglądają się scenie, która rozgrywa się w świetle latarni.

- Oczywiście masz urodę matki - dodaje Catherine. Wygląda niewidoczną spódnicę alabastrowymi dłońmi. - Mam wrażenie, że w życiu każdej dziewczyny następuje taki szczególny moment... - zaczyna i urywa. Słyszą, jak głos Johna Haskella wybija się ponad innymi fragmentem zdania: „... pogorszyło się z nadejściem...”. - Ten moment może trwać - kontynuuje Catherine - tydzień, a czasami nawet kilka miesięcy. To okres, w którym formuje się trzon... - Przerywa, jakby szukając właściwego słowa. - I właśnie wtedy dziewczyna staje się kobietą. A w zasadzie pączkiem kobiety. I nigdy nie jest tak piękna, jak właśnie wtedy.

Olimpia jest szczęśliwa, że nie widać jej twarzy, ponieważ czuje, jak odpłynęła z niej cała krew.

- Chcę powiedzieć, kochanie - wyjaśnia Catherine - z moim zdaniem dla ciebie nadszedł teraz taki moment.

Dziewczyna patrzy na swoje kolana.

- Twoja uroda jest w ustach - mówi dalej Catherine i Olimpia podnosi oczy, zaskoczona tak szczerym stwierdzeniem.

- Oczywiście, także w całej twojej twarzy - dodaje szybko tamta - ale przede wszystkim w ustach, w ich niezwykłym kształcie, pełni. Twoje usta godne są osobnego portretu.

W uszach dziewczyny rozbrzmiewa słowo „portret”. W ciemności skrzypią kuchenne drzwi, a następnie rozlega się trzask, gdy ktoś je zamyka. To z pewnością kucharka wraca do domu. Olimpia czuje się zbyt poruszona, aby sformułować odpowiedź, która nie okazałaby się łdupkowata; jest także odrobinę przerażona intymnością komentarza Catherine Haskell, bo przecież prawie nie /na tej kobiety. Chociaż później, z perspektywy lat, zrozumie, że Catherine adresowała te uwagi bardziej do sie-

bie niż do niej, jakby poprzez określenie pewnych *tztczy* można było pozbawić je mocy.

- Wszyscy jesteście tacy mili - mówi Catherine Haskell już zupełnie innym tonem, zwykłym głosem ulubionej cioci lub kuzynki, jakby wyczuła niepokój dziewczyny. - Nie mam wątpliwości, że to lato będzie należało do ciebie.

- Zbyt mi pani pochlebia.

- Catherine.

- Catherine.

- Nie pochwaliłam cię nawet w połowie tak bardzo, jak na to zasługujesz. Sama zobaczysz. Mogę prosić cię o przysługę? Olimpia kiwa głową.

- Zastanawiam się, czy mogłabyś wziąć któregoś dnia nasze starsze dziewczynki na przejażdżkę łódką. Wiem, że Martha byłaby szczęśliwa.

- Z największą przyjemnością - zapewnia ją Olimpia.

- Chyba tylko Marthę i Clementine. Pozostałe dzieci są jeszcze za małe.

- Mamy kamizelki ratunkowe.

- Mimo to wolałabym, abyś wzięła tylko te dwie, jeśli oczywiście możesz. Nie dowierzam umiejętnościom Mil-licent. Poznałaś już guwernantkę naszych dzieci? W innych sprawach ufam jej całkowicie, ale nie, jeśli chodzi

o pływanie łódką. Ma zbyt mało doświadczenia z wodą.

Jeden z męskich głosów wybija się ponad innymi jakby zalotnie i wyjątkowo natrętnie. Catherine Haskell

i Olimpia zgodnie spoglądają w stronę siedzących przy drzwiach werandy panów, nad których głowami krąży chmara ciem.

- Cote wydaje się takim osłem - szepcze Catherine. Dziewczyna wybucha śmiechem, czując ulgę i jednocześnie przyznając rację swojej towarzyszce.

Gdy Olimpia się śmieje, jasna twarz jej rozmówcy, co może być jedynie złudzeniem wywołanym przez światło księżyca, na moment staje się jakby bardziej przezroczysta i wymizerowana.

- Nie powinniśmy jutro wstać zbyt późno - mówi Catherine i, wstając, kładzie rękę na ramieniu Olimpii, co przypomina jej, że żona Johna Haskella lekko utyka, l'alce tamtej są zaskakująco zimne.
- Ależ jesteś ciepła - mówi kobieta.

Jej twarz znajduje się zaledwie kilka centymetrów od twarzy Olimpii, tak blisko, że dziewczyna czuje oddech Catherine, który jest przesiąknięty słodkim zapachem mięty z jagnięcia. Przez moment dziewczyna ma wrażenie, że pani Haskell ją pocałuje. Olimpia zna też inne fakty związane z letnim przesileniem. Wie, że przypada ona na ostatni dzień zodiakalnych Bliźniąt, a tego dnia w Asuanie, leżącym siedemset pięćdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Aleksandrii, w samo południe promienie słoneczne padają dokładnie pod kątem prostym do ziemi. Wie też, że wyznawcy pewnych kultów w dniu przesilenia malują ciała w symboliczne znaki tańczą i oddają cześć słońcu, aż do chwili gdy tracą przytomność lub pojawią się oczekiwane wizje. Wie, że przesilenie wytwarza największą w roku falę, zwłaszcza gdy zbiega się z pełnią księżyca. Tej nocy księżyc nie jest jeszcze w pełni, ale już niemal ją osiągnął, i kiedy to się stanie, Olimpia to wie, nieliczni mieszkańcy domów położonych zbyt blisko plaży Fortune's Rocks będą mieli powody do obaw.

Teraz cicho schodzi z werandy i spaceruje wzdłuż trawnika, starając się pozostawać w cieniu, aby nie zwracać uwagi mężczyzn.
Podchodzi do falochronu i znajduje suchy

kamień, na którym można usiąść. Sadowi się na jego płaskim boku, nad połyskującą siatką morskich wodorostów, zwilżanych za każdym razem, gdy fale dochodzą do skalnej szczeliny tuż obok, i opryskują ją wodą. Fala jest rzeczywiście wysoka, dociera nawet do najwyższych położonych głazów. Im bliżej wody, tym niższa temperatura i Olimpia czuje chłód, gdy tak siedzi z podwiniętymi nogami. Weranda domu kilkadziesiąt metrów dalej zalana jest kręgami żółtego światła, migoczącego w lekkiej bryzie. Chociaż dziewczyna widzi grupkę mężczyzn przy drzwiach, nie słyszy ich głosów, zagłuszanych pluskiem przybrzeżnych fal.

Zdejmuje pantofle i pończochy, a potem stawia je obok siebie. Przyciska stopy do śliskich wodorostów, które porastają kamień. Wrażenie jest nieprzyjemne, przyprawia ją o mdłości i natychmiast przypomina o tysiącach form morskiego życia tuż pod powierzchnią zwodniczo spokojnej wody. Latem zeszłego roku ojciec nalegał, aby Olimpia nauczyła się pływać, ponieważ nikomu, kto tego nie umiał, nie pozwalał samemu brać łódki. Poszli do zatoczki, a dziewczyna była tak przerażona gęstą zawiesiną, którą czuła między palcami, i tym, że musi mieć kontakt z tak wielką liczbą oślizgłych, morskich stworzeń, że opanowała tę umiejętność w niemal rekordowym czasie. W każdym razie na tyle dobrze, że uratowałaby się, gdyby wypadła z łódki w miarę blisko brzegu. Z lekcji pływania zapamiętała jeszcze niezwykle, o ile nie wręcz komiczny, wygląd papy, ubranego w kostium kąpielowy, i jego wyjątkowe zakłopotanie z powodu tego negliżu. (Teraz wydaje się jej, że błyskawiczne tempo, w jakim nauczyła się pływać, wynikało nie tylko z jej wstrętu przed dotknięciem czegoś śliskiego i nieznanego, ale także z chęci ojca, aby móc przebrać się w bardziej stosowny strój).

Olimpia sama nie wie, jak długo już siedzi na kamieniach i obserwuje podnoszącą się wodę. Właśnie myśli o powrocie do domu, gdy jakaś fala rozbija się o kamień, na którym siedzi dziewczyna, i porywa pantofel niczym złodziej znikający natychmiast w mroku nocy. Olimpia podrywa się na nogi, zaskoczona dotknięciem lodowatej wody, która zmoczyła tył jej spódnicy. Schyla się, aby wyłowić pantofel, i widzi go, jak unosi się poza zasięgiem jej ręki, a w rezultacie otrzymuje kolejny zimny prysznic od fali, gdy ta porywa nie tylko drugi bucik, ale także pończochy. Olimpia odskakuje. To jasne, że nie odzyska już ani obuwia, ani pończoch. Widzi, jak powoli odpływają od kamieni w stronę otwartego morza, a jeden pantofel wkrótce całkiem znika pod wodą. Lekko drżąc, ze zmoczoną z tyłu halką, kieruje się w stronę domu. Przecina trawnik połyskujący od rosy, który wygląda w mroku jak ciemna plama. Ma nadzieję, że nikt nie usłyszy skrzypienia drzwi, gdy będzie wchodzić do domu.

Jest w połowie drogi przez trawnik, gdy dostrzega smukłą postać stojącą w cieniu werandy. Serce zamiera w niej z lęku. To zniecierpliwiony ojciec czeka tam na nią, zapewne zły, że tak długo nie wracała. Jednak już po kilku krokach, kiedy może lepiej przyjrzeć się sylwetce mężczyzny, widzi, że to nie ojciec. Niepokój ustępuje miejsca uldze, która jednak szybko zmienia się w obawę. Olimpia zatrzymuje się w pół kroku. Wie jednak, że ten ktoś ją widzi, nie może więc zawrócić, bo wówczas pomyślałby sobie, iż jest niegrzeczna lub przerażona, a tego by nie chciała. Z wymuszonym spokojem rusza zatem w stronę domu. John Haskell podchodzi do schodów i podaje jej rękę, którą dziewczyna na chwilę przyjmuje.

- Zapomniała pani pantofli - mówi.

- Wpadły mi do morza - tłumaczy Olimpia.

- Obawiam się, że już ich pani nie odzyska. Pozwala mu wprowadzić się na werandę.

- Powiedziałem pani ojcu, że pewnie poszła już pani spać - wyjaśnia Haskell - ale jak widać, myliłem się. Jest już bardzo późno. Powinna pani być w domu.

- Tak - zgadza się dziewczyna.

- Wygląda pani blado - stwierdza jej towarzysz. -Przyniosę filiżankę gorącej herbaty.

- Nie - protestuje Olimpia i macha dłonią. - Usiądę tylko na chwilkę i zaraz pójdę do siebie.

Czuje jego rękę na swoim łokciu, gdy mężczyzna prowadzi ją do krzesła.

- Jest pani przemoczona - zauważa Haskell. Olimpia wie, że widział tył jej spódnicy. Haskell podaje jej filiżankę herbaty.

- To moja - mówi. - Zrób mi przyjemność i wypij trochę.

Olimpia bierze z jego ręki filiżankę i podnosi do ust. Gorąca herbata rozgrzewa jej ciało, a przyjemne ciepło rozchodzi się do zziębniętych dłoni i stóp. Wypija drugi łyk gorącego płynu i oddaje filiżankę Haskellowi.

Po kolacji rozluźnił kołnierzyk koszuli. Jego marynarka wisi na oparciu wiklinowego fotela na biegunach, na którym siedzi. Olimpia czuje się zażenowana, że ma gołe stopy i kostki u nóg. Usiłując je ukryć, prostuje się na krześle i wsuwa stopy pod spódnicę.

Odstawiwszy filiżankę, Haskell opiera się wygodnie na fotelu, który stoi tak blisko Olimpji, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć kolana mężczyzny. Dziewczyna czuje, że drżą jej ramiona.

- Długo pani siedziała na falochronie - mówi.

- To noc przesilenia letniego - odpowiada Olimpia, jakby to miało wszystko wyjaśnić.

- Prawda. Była pani zbyt uprzejma, oceniając przy kolacji moją książkę.

Dziewczyna sądzi, że to tylko grzecznościowa uwaga. Myli się jednak.

- Odnoszę wrażenie, że jest pani moim wymarzonym czytelnikiem - dodaje lekarz.

-Ależ skąd - oponuje Olimpia. - Założenia pana książki są zrozumiałe dla każdego.

- Moim założeniem było, aby książka dotarła do szerszego odbiorcy, nie chciałem, aby poznało ją wąskie grono czytelników. Powinienem był wydać te szkice w formie broszury, tak jak początkowo planowałem. Obawiam się jednak, że górę wzięła chęć zdobycia rozgłosu i uznania.

- Chce pan dotrzeć do szerokiego grona odbiorców?

- To absolutnie konieczne - wyjaśnia Haskell. - Warunki życia tych ludzi są przerażające. Humanitaryzm zmienił się z biegiem lat w lekceważenie i grzech zaniedbania.

- Rozumiem - odpowiada Olimpia. Wie, że powinna wstać i pójść przebrać się w suche ubranie, ale nie chce jeszcze opuszczać werandy. - Chce pan, aby wróciły dawne czasy? - pyta.

Haskell kręci głową.

- Nie mam aż takich ambicji - mówi. - Chodzi mi o stan zdrowia robotników z fabryk. O ich kondycję fizyczną, warunki higieniczne, opiekę medyczną, gdyż to wszystko pozostawia wiele do życzenia, zapewniam cię.

- Będzie pan więc pracował w klinice?

- Tak, już zacząłem. Przez chwilę oboje milczą.

- To miło z pani strony, że chce pani zobaczyć zdjęcia odzywa się w końcu Haskell.

- Powinnam je zobaczyć.
- A zatem poproszę, żeby mi je przysłano.
- Nie chcę sprawiać panu kłopotu - zastrzega się Olimpia.
- To żaden kłopot.
- Muszę iść. - Dziewczyna wstaje.

Jej włosy, które potargał wiatr, kiedy szła przez trawnik (a może stało się to wtedy, gdy kręciła z niedowierzaniem głową, zaskoczona, że ochlapała ją fala), opadają luźno z jednej strony i wylatuje z nich grzebień. John Haskell, który także wstał z miejsca, schyla się, aby go podnieść.

- Dziękuję - odzywa się dziewczyna, biorąc grzebień do ręki.
- Jest pani taka poważna - mówi nagle Haskell. Przechyla głowę, jakby chciał się przyjrzeć Olimpii pod innym kątem. - Zrównoważona. To niezwykle u kogoś w tym wieku. Domyślam się, że to efekt indywidualnej edukacji.

Dziewczyna otwiera usta, ale nie może znaleźć stosownej odpowiedzi.

- Byłem tam wczoraj - dodaje mężczyzna. - Na plaży. Widziałem panią wczoraj na plaży.

Olimpia w milczeniu potrząsa głową, a następnie odwraca się na pięcie i odchodzi, wyczuwając szczerą w jego komplementach.

Po spotkaniu z Johnem Haskellem Olimpia idzie podekscytowana do sypialni. Otwiera okno, kładzie dłonie na parapecie i opiera na nich głowę. Przyjemna wilgoć spowija jej twarz, włosy i szyję.

Później przebiera się w białą, płócienną koszulę nocną, której nie miała na sobie od zeszłego lata. Dotyk delikatnej tkaniny sprawia Olimpii przyjemność, spostrzega także, że przez zimę bardzo urosła i rękawy są co najmniej o trzy centymetry za krótkie. Przy mankietach koszuli jest delikatna мережка, którą wykonała matka - robi bardzo piękne мережки i mając dużo wolnego czasu, wspaniale rozwinęła tę umiejętność, próbowała nawet, chociaż bez powodzenia, nauczyć tego córkę. Olimpia siada na łóżku i, jak co wieczór, zaplata warkocze, opierając stopy na nieco wilgotnych deskach podłogi. Zdążyła się już przyzwyczać do wszechobecnej wilgoci; to normalne, że wieczorem kładzie się do wilgotnej pościeli lub wyjmuje z szafy ubranie, które pod wpływem morskiego powietrza straciło swoją sztywność.

Po uczesaniu włosów wślizguje się do łóżka i zapada w niespokojny sen. Sny są zupełnie inne niż te, do jakich przywykła, inne w barwie i treści. Są dziwne, ale nie przerażają jej, wręcz odwrotnie, przeżywa tej nocy naj-

intymniejsze, sprawiające jej wręcz fizyczną przyjemność doznania, jakich nie doświadczyła jeszcze nigdy podczas swojego krótkiego życia. Budzi się zażenowana, leży w pogniecionej pościeli i wydaje się jej, że przed chwilą rozmawiała z Johnem Haskelllem, chociaż oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. Zaniepokojona zastanawia się, czy jest z nią coś nie tak, czy miała halucynacje i grozi jej, że w końcu okaże się nieodrodną córką swojej matki. Szybko jednak odgania od siebie te myśli, ponieważ sny i wrażenia, jakie one wywoływały, były, mimo ich zaskakującej nowości, tak przyjemne jak ciepła kąpiel. I nawet jeśli owe senne przeżycia nie są w pełni do zaakceptowania, wydają się głębokie i prawdziwe. I prawdę mówiąc, Olimpia żałuje, że wraz z porannym słońcem bledną, a potem całkiem znikają.

Od samego rana Philbrick i Cote oraz oczywiście Haskellowie, którzy wciąż są gośćmi Biddefordów, biorą udział w sesji fotograficznej, a Olimpia dochodzi do wniosku, że obserwowanie tego jest równie interesujące, jak aktywne uczestnictwo. Pozowanie rozpoczyna się wkrótce po śniadaniu. Haskell postanawia zacząć robienie zdjęć od dzieci, aby później mogły się zająć czymś innym, bardziej je interesującym. Angielski aparat fotograficzny w mahoniowej skrzyneczce z mosiężnymi uchwytami ma całkiem przyjemny wygląd. Wewnątrz, jak wyjaśnia właściciel, znajduje się metalowy pojemnik owinięty czarnym aksamitem, do którego wkłada się film. Po naświetleniu wszystkich klitek wyjmuje się go z drugiej strony. Film, wyjaśnia Haskell, można naświetlać czterdzieści razy, a więc każda fotografowana osoba będzie miała po kilka zdjęć. Olimpia oddycha z ulgą, widząc, że to nowy model aparatu, który trzyma się w ręku.

Chociaż więc muszą przez kilka sekund siedzieć bez ruchu przed obiektywem, nie zapowiada się wyczerpujące pozowanie, o jakim kiedyś słyszała. Nieszczęśnik, któremu robiono zdjęcie, tkwił nieruchomo na krześle tak długo, aż ustawiony na statywie aparat zarejestrował w niezmiernie długim procesie sztywny wyraz twarzy fotografowanego, a najśłabszy nawet uśmiech czy jakiegokolwiek drgnięcie psuło cały efekt.

Aby jak najlepiej wykorzystać światło, którego tego dnia nie brakuje, Haskell ustawia ich kolejno na frontowych schodach domu. Podczas gdy jedna osoba pozuje do fotografii, reszta towarzystwa siedzi na werandzie, gdzie można czytać książkę, rozmawiać lub po prostu podziwiać morze, a to przyjemne zajęcie pochłania człowieka nawet na wiele godzin. Olimpia zajmuje miejsce tuż przy schodach, aby lepiej widzieć pracę fotografa. Obserwując go, dochodzi do wniosku, że jej sny wytworzyły pozorną intymność, którą czuje się przez cały następny dzień, jakby wypowiedziano pewne słowa lub istotnie doszło do pewnych wydarzeń, których tak naprawdę nie było. Dzięki temu mężczyzna ze snu wydaje jej się bliski, aczkolwiek o żadnej rzeczywistej bliskości nie może być mowy. Haskell, ubrany w biały, płócienny garnitur, w krawacie i słomkowym kapeluszu, który zdejmuje, gdy pochłania go praca, podpowiada od czasu do czasu fotografowanej osobie, pod jakim kątem nachylić głowę lub jak ułożyć ręce. Czasami podchodzi i poprawia ustawienie modela. Dzieci są zniecierpliwione, czego można się było spodziewać, ponieważ siedzenie bez ruchu sprawia im ogromny kłopot. Olimpia podziwia spokój, z jakim lekarz podchodzi do fotografowania najmłodszych, Randalla i Mary. Zdjęcie robi dopiero w chwili, gdy oboje

dostrzegli niedaleko brzegu łódź rybacką i wpatrują się w nią z napięciem, nieruchomiejąc na moment z szeroko otwartymi oczami i lekko rozchylonymi ustami, podziwiając to niezwykle zjawisko. Później Olimpia będzie miała okazję obejrzeć fotografie, które wraz z aparatem fotograficznym zostaną przysłane z Rochester. Zachwyci ją wyrazistość, ostra precyzja konturów i rysów twarzy i wszystko to, czego nie zauważa się, patrząc na kogoś wprost - powodem może być padający cień lub zbyt krótkie grzecznościowe spojrzenie. Pozująca na schodach werandy Martha wygląda jak ktoś, kto za wszelką cenę chce być traktowany poważnie, Clementine zaś ma kłopot z tym, aby patrzeć wprost w obiektyw aparatu. Obie ubrane są w białe szwajcarskie fartuszki, spod których wystają błękitne spódniczki, we włosy mają wplecione wstążki. Swoją żonę Haskell sadza nieco bokiem, ustawiając twarz profilem. Spod spódnic widać czubki eleganckich pantofli, zapinanych na perłowe guziczki. Olimpia podziwia śliczny profil Catherine, bardzo klasyczny, wysoko sklepione kości policzkowe i długą szyję. Pani Haskell pozuje z wdziękiem, wydaje się całkiem rozluźniona. Na głowie ma słomkowy kapelusz z szeroką wstążką i bukietkiem kwiatów na rondzie, lekko uniesiony na wysoko upiętych włosach. Olimpia podziwia też jej strój: biały kostium z najszlachetniejszego, cienkiego lnu, spódnicę mocno przymarszczoną w talii, żakiet z baskinką opadającą na biodra. Ten strój świadczy zarówno o swobodnej elegancji, jak i o niechęci do falbanek. Fotografując żonę, Haskell porozumiewa się z nią językiem prostych gestów i pojedynczych sylab, kodem, który sugeruje bliskość wzajemnych relacji, jeśli nie głęboką intymność. Philbricka najbardziej interesuje sam aparat, który, jak powiedział jego właściciel, nazywa się Luzo. Ma na sobie

te samą marynarkę w paski, co poprzedniego wieczoru. Odmawia siedzenia bez ruchu i bez przerwy wstaje, aby spojrzeć w obiektyw, pyta, dlaczego obraz widać do góry nogami, i dziwi się, że Haskell potrafi dokładnie uchwycić rysy twarzy fotografowanego. Cote ubrany jest w granatowy surdut, stanowiący dobrą oprawę dla jego twarzy, i białą, jedwabną koszulę. Ojciec Olimpii, którego Haskell, rzecz jasna, fotografuje stojącego, nosi oficjalny garnitur uzupełniony kapeluszem, kamizelkę i kieszonkowy zegarek, ponieważ uważa, że nawet na plaży nie należy ubierać się zbyt swobodnie. Matka Olimpii w końcu kapituluje i pozwala zrobić sobie zdjęcie, chociaż zakrywa oczy woalką i wzdryga się za każdym razem, gdy słyszy dźwięk zamykającej się migawki, jakby w obawie, że zostanie zastrzelona.

Pod koniec sesji John Haskell patrzy zachęcająco na Olimpię.

- Tak długo już pani na to patrzy - mówi - że powinna pani wreszcie spróbować sama.

- Przyznaję, że to fascynujące - odpowiada dziewczyna, zatrzymując jednak dla siebie uwagę, że obserwując lotografowaną osobę, można się o niej dowiedzieć tak samo dużo, jak oglądając później jej zdjęcie.

- A zatem zobaczymy, co można z panią zrobić - oznajmia i Olimpia słyszy, że zwraca się do niej tonem osoby spokrewnionej, zupełnie jak jego żona poprzedniego wieczoru. - Proszę usiąść na schodach - zachęca dziewczynę, wskazując gestem miejsce.

Olimpia robi to posłusznie. Wygładza dłonią spódnicę i przesuwa na bok nogi, gdyż wydaje się jej, że kolana za bardzo sterczą. Nie chciałaby być kłopotliwą modelką, i chociaż ma wrażenie, że wygląda trochę niezgrabnie. Haskell chyba też to dostrzega, bo z uwagą jej się przygląda.

Olimpia czuje, że ten mężczyzna widzi każdy defekt jej twarzy oraz figury i zastanawia się, czy właśnie dlatego pociągają go zarówno fotografia, jak i medycyna. Bo czyż obie te dziedziny nie wymagają skupienia uwagi na ciele?

Tego dnia Olimpia ubrana jest w białą, przymarszczoną płócienną sukienkę z szeroką, granatową szarfą przewiazaną w pasie. Na ramionach ma granatowy szal, na głowie biały kapelusz z szerokim rondem. Żałuje, że nie przyozdobiła go gałązką rosnących na wydmach róż lub kwiatów hortensji. Haskell krąży wokół niespokojnie, zachodzi z prawej strony i z lewej, od czasu do czasu obserwując jej twarz przez obiektyw.

- Olimpio, proszę podnieść ramię - mówi. - Tak. Teraz proszę odwrócić głowę w moją stronę. Powoli. Tak. Zatrzymać. Dobrze. Proszę się nie ruszać.

Ona zaś posłusznie stosuje się do wskazówek. Przy zamkniętej migawce Haskell przewija błonę, nie spuszczając wzroku z Olimpii.

- Nie - mówi raczej do siebie niż do kogoś innego, a w jego głosie czuć nutkę rozczarowania.

- Według mnie wygląda dobrze - odzywa się Philbrick.

Został już sfotografowany i zapoznał się z działaniem aparatu fotograficznego, a teraz nie może się doczekać, kiedy wszyscy pójdą nad morze w czasie przeznaczonym na kąpiel w gronie rodzinnym, czyli między godziną dwunastą a pierwszą, jak również, co nawet ważniejsze, kiedy będzie można zacząć jeść przysmaki przygotowane na plażowy piknik.

- Czarująca poza - mówi Catherine, podnosząc wzrok znad robótki na drutach.

- Moim zdaniem powinna się wyprostować - oświadcza matka Olimpii. - Olimpia często się garbi.

- Proszę rozluźnić ramiona - proponuje Haskell -i przechylić głowę w ten sposób. - Pokazuje jak.

Nieco już zniecierpliwiona tymi wszystkimi instrukcjami, unosi ramiona i wyciąga szpilkę, która utrzymuje kapelusz na włosach. Zdejmuje go szybkim ruchem i rzuca na schody. Składa ręce na kolanach. Niemal słyszy, jak jej matka, która siedzi na werandzie blisko poręczy, mówi w tej chwili: „Och, nie”, ponieważ żadna /, kobiet nie pozowała do zdjęcia bez kapelusza, nawet dziewczynki. Haskell przygląda się przez dłuższą chwilę Olimpii, a w końcu do niej podchodzi. Dziewczyna sądzi, że chce coś powiedzieć, on jednak dotyka palcami jej podbródka i unosi go w górę. Podnosi go wyżej i przytrzymuje, tak że Olimpia jest zmuszona spojrzeć Haskellowi w oczy. Patrzą na siebie w milczeniu, a potem on przesuwając dłoń Olimpii jest raczej pewna, że nikt z zebranego na werandzie towarzystwa tego nie widzi - w dół po jej szyi. Kobieta tak szybko i delikatnie, że dziewczynie wydaje się, iż włosy musnęły jej skórę.

To przelotne muśnięcie, pierwszy w jej życiu intymny dotyk mężczyzny, natychmiast przywołuje wspomnienie snu, jaki miała minionej nocy. Spojrzenie Olimpii traci ostrość, rozpływa się, a twarz nabiera kolorów. Domyśla się, że policzki ma czerwone z zakłopotania. Obawia się, że tych kilka sekund, w czasie których powinna zastygnąć bez ruchu, zdradzi treść scen i obrazów, jakie przepływają przed jej oczami.

Czeka na jakiś znak wskazujący, że inni też zauważyli dotknięcie Haskella. Docierają do niej jednak tylko niecierpliwione i znudzone głosy z werandy, jakby nikt niczego nie widział. Zaczyna się więc zastanawiać, czy to zdarzyło się naprawdę, czy tylko w jej wyobraźni?

Później, gdy po raz pierwszy zobaczy swoje zdjęcia, będzie zaskoczona emanującym z niej spokojem - jaki trzeźwy wzrok, jaka wyprostowana sylwetka. Na fotografii oczy ma lekko przymknięte, a na szyi błąka się cień. Ramiona spowija szal, ręce spoczywają na kolanach. Na tym zwodniczym zdjęciu wygląda na zrównoważoną młodą kobietę, bynajmniej niezakłopotaną lub niespokojną, wręcz odwrotnie, wydaje się bardzo poważna. Pomyśli wówczas, że fotografia w swojej złudnej naturze przypomina morze, które ukazuje patrzącemu spokojną powierzchnię, chociaż pod spodem kryją się niezmierzone głębie i szaleją niebezpieczne prądy.

- Bardzo dobrze - oznajmia Haskell, wstając. - Nie wiem, jak wy, ale ja idę na plażę.

Zgodnie z planem wszyscy udają się w południe na wycieczkę, wszyscy poza matką Olimpii, a także Catherine, która zostaje, aby dotrzymać towarzystwa pani Biddeford. Josiah spakował prowiant na piknik do wiklinowego kosza, tak wielkiego, że musi go nieść dwóch chłopców. Dzień jest słoneczny i wietrzny, lecz chociaż są fale, całe towarzystwo, poza Olimpią i Haskellem, zażywa kąpieli. Świadomie nie zabrała kostiumu kąpielowego, czułaby się bowiem w nim dziś niezręcznie. Haskell nie miał czasu się przebrać, ponieważ do ostatniej chwili robił zdjęcia. Teraz też wciąż ma ze sobą mahoniową skrzyneczkę.

Piękny dzień i pora wypoczynku ściągnęły na plażę chyba wszystkich mieszkańców Fortune's Rocks. Olimpia obserwuje gromadki dzieci bawiących się pod czujnym wzrokiem nianie i guwernantek. Jedna z kobiet, która ma pod opieką ośmioro maluchów, umieściła je wszystkie w koszach na bieliznę. Z miejsca, gdzie siedzą

Olimpia z Haskellem, widać tylko małe główki i twarzyczki, podskakujące i wychylające się nad krawędziami koszyków, co tworzy dość komiczny obrazek. Gdzie indziej malowniczą grupę stanowią damy w szerokich sukniach z czarnej tafty, wykwintnych kapeluszach, rękawiczkach i eleganckich pantoflach. Chronią się pod obszytymi falbankami parasolkami, jakby desperacko broniły swoich ciał przed najsłabszymi nawet promieniami słońca i najdrobniejszym ziarnkiem piasku. Olimpia jest zdumiona, że jeszcze się nie roztopiły, zakutane w tyle ubrań. Mężczyźni stoją osobno, przebrani w stroje kąpielowe, które pozbawiają ich niezbędnej powagi: ubiory te swoją prostotą przypominają bieliźniane kombinezony, a po zmoczeniu marszczą się i oblepiają ciało w niezbyt fortunny sposób. Ale z drugiej strony, czyż na plaży nie obowiązują dowolne stroje i odstępstwa od kanonów mody? Po rozłożeniu na kocach poczęstunku, Philbrick i Cote, a także (niechętnie) ojciec Olimpji, idą z Marthą i resztą dzieci, poubieranych w marynarskie kompleciki i ciemne pończochy, nad brzeg morza, jakieś kilkanaście metrów od miejsca pikniku. Haskell i Olimpia zostają sami. Tak zdecydował przypadek, ale oboje czują się niezręcznie w sytuacji, gdy reszta towarzystwa poszła nad morze. On zrzuca marynarkę i buty, zdejmuje krawat i skarpetki, a następnie podwija do kolan nogawki białych spodni. Rozkłada się wygodnie na kocu i podparty na łokciu, obserwuje zbliżającą się do wody grupkę amatorów kąpeli.

Aby się czymś zająć, Olimpia nakłada na talerz gotowane jajka, zrolowane ozorki, pieczywo i masło, a następnie wręcza jedzenie swemu towarzyszowi. Potem przygotowuje porcję dla siebie. Siedzą razem, ona na nie-

wysokim stołeczku, specjalnie przyniesionym w tym celu. Oboje milczą. Od czasu do czasu poryw wiatru zmusza któreś z nich do przytrzymania koca lub kapelusza, który chce odfrunąć. Olimpia nalewa do szklanek lemoniadę i jedną podaje Haskellowi.

- Co pan robi w klinice? - pyta głosem, w który wyczuwa się napięcie.

- Po trosze wszystko - odpowiada lekarz. - Składam złamane kości, amputuję zmiążdżone palce, lecę dyfteryt, gruźlicę, tyfus, czerwonkę, gripę i syfilis... - Przerywa. - Ale to nie jest odpowiedni temat do rozmowy z młodą damą - dodaje, wycierając usta chusteczką. Jego oczy zaciemnia rondo słomkowego kapelusza.

- Dlaczego?

- Była pani w Ely Falls?

- Tylko raz - przyznaje Olimpia. - Z ojcem, w lecie zeszłego roku. Ale dużo nie zobaczyłam. Ojciec kazał mi zostać w powozie, gdy poszedł załatwiać swoje sprawy.

- O tym właśnie mówię. To niebezpieczne miejsce. Przeludnione, brudne i przeżarte chorobami.

Wiatr wydyma spódnicę dziewczyny, która przytrzymuje ją rękoma. Refleksy słońca na powierzchni wody są tak oślepiające, że mimo kapelusza z szerokim rondem Olimpia musi mrużyć oczy.

- Czy pewnego dnia mogłabym pojechać z panem do kliniki?

Wspomniał pan o strasznych warunkach, jakie tam panują, chciałabym to zobaczyć. Może byłabym w stanie jakoś pomóc...

- Nędza jest przygnębiająca, panno Olimpio. I brzydka. Chociaż ludzie są dobrzy, nie ośmieliłbym się sugerować, że jest inaczej, klinika nie jest odpowiednim miejscem dla młodej damy.

- Proszę mi coś wyjaśnić - wpada mu w słowo. Czuje,

że jej głos brzmi trochę zaczepnie, ale nie chce tak szybko skończyć tego tematu. - Czy w fabrykach pracują piętnastoletnie dziewczyny? Doskonale wie, że tak właśnie jest.

- Tak - przyznaje niechętnie Haskell. - Ale to nie znaczy, że powinny tam być.

- Czy piętnastoletnie dziewczyny mają prawo przebywać w klinice? Lekarz zwleka z odpowiedzią.

- Czasami - potwierdza. - Jako pacjentki, oczywiście. Albo kiedy opiekują się swoimi matkami.

- A więc...

- To nie jest dobry pomysł - oponuje. - Zresztą i tak musiałbym spytać pani ojca o pozwolenie i bardzo wątpię, aby się zgodził.

- Być może nie - odpowiada Olimpia - ale oby się pan nie zdziwił. Ojciec wyznaje nietradycyjne poglądy, jeśli chodzi o moją edukację. Haskell bierze garść piasku i przygląda się, jak ziarenka przelatują między jego palcami. Potem zdejmuje kapelusz, kładzie się na plecach i zamyka oczy.

Czy wie, że Olimpia patrzy na niego? Wydaje się spokojny, jakby zapadł w drzemkę lub zasnął. Rysy jego twarzy i linie ciała rozluźniły się, na szyi widnieje wgłębienie, powtórzone także w miejscu, gdzie koszula niknie w spodniach. Nogi poniżej kolan są gołe; Olimpia nie może się nadziwić, że ten mężczyzna ma tak gładką jedwabistą skórę.

Rzuca szybkie spojrzenie w stronę morza, a potem na swego rozmówcę. Reszta towarzystwa za chwilę wróci, wszyscy mokrzy i zziębnięci, ich stopy będą oblepione białym, wilgotnym piaskiem. Zaczną jeść i pić, pełni radości i energii po kąpieli. Podczas porannej sesji fotogra-

ficznej Olimpia bacznie przyglądała się Haskellowi, gdy wykonywał zdjęcia, i dobrze wie, jak to się robi. Powoli, aby go nie spłoszyć, wyjmuje aparat ze skrzyneczki i zbliża do oka.

W tle za leżącym mężczyzną widać rybacki domek i liczną rodzinę odpoczywającą na plaży. Dziewczyna widzi, że kilka osób przygląda jej się z zainteresowaniem. Dochodzi do wniosku, że to jakaś rodzina z Ely Falls i dostrzega, że nie zabrali ze sobą zbyt wielu rzeczy na piknik. Na jednym kocu tłoczy się jedenaście lub dwanaście osób, a ci z brzegu siedzą już częściowo na piasku i wyraźnie garną się do środka. Bez wątpienia wszyscy są już po kąpieli, nawet kobiety, mokre włosy przylegają im do głów. Gapią się na nią dość natrętnie. Olimpji wydaje się, że niektóre dzieci są wyraźnie niedożywione, dostrzega ich zapadnięte policzki.

Naciska spust migawki.

Zaskoczony mężczyzna natychmiast otwiera oczy. Olimpia spokojnie odkłada aparat do skrzyneczki.

- Panno Olimpio - mówi Haskell, siadając na kocu.

Dziewczyna zamyka wieczko i zaciska pasek.

Obserwują, jak pan Biddeford wynurza się z wody i wkłada szlafrok, który wziął ze sobą nad brzeg morza, aby jak najkrócej pokazywać się publicznie w mokrym stroju kąpielowym. Potem rusza w ich stronę, a Olimpia zastanawia się, czy mógł widzieć, jak sfotografowała Haskella. W każdym razie z pewnością wyczuwa napięcie, które wytworzyło się między nią a lekarzem, i które oboje pragną natychmiast zatuszować, zajmując się przybyłym z nadmierną gorliwością: Haskell podaje mu ręcznik, a Olimpia talerz z jedzeniem. Ojciec nie pyta jej jednak o czas spędzony z Haskellem ani teraz, ani później.

Wkrótce pojawiają się inni. Zachariah Cote wygląda komicznie w swoim jednoczęściowym kostiumie, mało twarzowym stroju, który podkreśla jego szerokie biodra i jednoznacznie wskazuje, że ten mężczyzna jest stworzony do surduta. (Ale który nie jest? - zastanawia się dziewczyna). Philbrick bez cienia zażenowania siada do lunchu i z entuzjazmem zaczyna pałaszować smakołyki. Kierowana wewnętrznym niepokojem Olimpia idzie na brzeg morza, gdzie stoją parawany. Dziewczęta przebierają się tam w suche ubrania, wyglądając przy tym jak wielkie kokony. Nawet Martha cieszy się na jej widok. Do pończoch dziewczynki dostał się piasek i wybrzuszyły się pod jego ciężarem, tworząc zabawne bańki na nogach.

Wracają razem na koc, jakby Olimpia była guwernantką, a one jej podopiecznymi na czas kąpeli. W drodze powrotnej Haskell gdzieś znika.

Nie pojawił się też na kolacji. Gdy Olimpia pyta o niego mimochodem, Catherine wyjaśnia, że męża wezwano do kliniki. Dziewczyna nie ma apetytu. Przeżywa nieobecność nowego znajomego mocniej, niż się tego spodziewała. To pierwszy z wielu takich wieczorów w jej życiu, które jeszcze wczoraj wydawało się całkiem satysfakcjonujące, a teraz jest tak puste, jakby utraciła jego najważniejszy element.

Chce być sama. Nagły grzmot wstrząsa domem tak mocno, że Olimpia czuje drżenie desek podłogi. Przez okna jadalni widać błyskawicę rozświetlającą niebo.

- Idzie sztorm - odzywa się Catherine.
- Mężczyzna, który przyniósł homary, mówi, że zanoszą się na burzę
- odpowiada matka.
- Muszę iść na górę, zamknąć okno - oświadcza Olimpia zadowolona, że ma pretekst, aby odejść od stołu.

- Czy wiecie - pyta ojciec - że na skutek silnego uderzenia pioruna wiele homarów w pobliskich wodach może stracić co najmniej jedną parę swoich szczypiec?

- Fascynujące - mówi Catherine.

Zaczyna padać deszcz. Natychmiast przeradza się w ulewę, która zacina pod okapem, a ciężkie krople uderzają o szyby, jakby chciały dostać się do środka.

Olimpia idzie na górę do swojego pokoju i kładzie się na łóżku.

Nigdy dotąd nie przeżywała czegoś takiego. Nie jest na to przygotowana i nie może z nikim o tym porozmawiać - nawet z Lisette, która mogłaby jej udzielić kilku rozsądnych rad. Bo jak może komukolwiek powiedzieć o niezwykłym, a zarazem niestosownym uczuciu, jakim darzy mężczyznę, którego ledwo zna? Człowieka prawie trzy razy starszego od niej? Który wydaje się szczęśliwym mężem kobiety podziwianej przez Olimpię?

Po pewnym czasie siada na łóżku i sięga po książkę Haskella, wciąż leżącą na nocnym stoliku. Zaczyna ją czytać na nowo i czyta tak długo, aż poczuje zmęczenie i ośpienie zmysłów. Dopiero wtedy spokojnie ściela łóżko i szykuje się do snu.

Później dowie się, że tej nocy John Haskell nie pojechał do kliniki, tylko spacerował po plaży, bijąc się z myślami. Tam zaskoczył go nagły sztorm, a ulewa w jednej chwili przemoczyła do suchej nitki. Biegiem wracał do domu.

Tuż przed świtem budzą Olimpię ochryple krzyki. Przez kilka sekund ma wrażenie, że to fragment kolejnego snu, z którego nie może się ocknąć. Dopiero po dłuższej chwili zdaje sobie sprawę, że krzyki dochodzą z za okna jej sypialni. Wskakuje z łóżka, kiedy nawoływania są tak donośne, że może rozróżnić głosy kilku ludzi.

Natychmiast przenika ją poranny chłód, sięga więc po szal, który wisi na oparciu krzesła. Wygląda przez okno i widzi płonące wzdłuż plaży ogniska. Początkowo nie rozumie, dlaczego je zapalono, ale potem dostrzega mężczyzn w kamizelkach ratunkowych i korkowych pasach, stojących blisko domu w blasku płomieni. Inni mężczyźni, wśród nich Rufus Philbrick, ojciec i John Haskell, wszyscy w szlafrokach, krążą na granicy kręgów światła. Ponieważ wszyscy pokazują sobie coś na morzu, Olimpia też tam patrzy, chcąc się dowiedzieć, co przyciąga uwagę zebranych; zaskoczona dostrzega olbrzymi, pozbawiony masztów statek, kołyszący się w białej pianie bałwanów morskich niecałe sto metrów od brzegu. Tylna część statku jest rozbita, widać rozłupany, pokiereszowany kadłub. Olimpia jak zahipnotyzowana patrzy na pozbawiony steru okręt, który unosi się na lalach, kołysze i uderza w skały, gdzie rozbiło się już wiele statków.

Drzwi stacji ratunkowej w Ely, wybudowanej rok temu, są szeroko otwarte. Pół tuzina mężczyzn w nieprzemakalnych płaszczach i wysokich kaloszach ciągnie na brzeg wzburzonego morza długą, wąską łódź ratunkową, używaną w takich sytuacjach. Akcja ratunkowa ściągnęła tłumy ludzi i Olimpia także nie może się powstrzymać; zarzuciwszy na ramiona szal, biegnie na plażę. Dygocząc z zimna, stoi w ciemnościach tuż za jasnymi światłami ognisk, a porywisty wiatr rozwiewa jej włosy lak pieczołowicie splatane poprzedniego wieczoru. Podmuchy wyrzucają w niebo snopy iskier z ognisk, przez co gorzej widać światła sygnalizacyjne czerwonych latarni. Na spienionej powierzchni morza uszkodzony statek pochyła się pod nienaturalnym kątem, a to oznacza, że pasażerowie muszą natychmiast opuścić pokład.

Czuje na ramieniu czyjaś dłoń i odwraca się zaskoczona.

- Olimpio - mówi Catherine Haskell, otulając ją połą swojego płaszcza. - Zobaczyłam cię z werandy. Nie powinnaś tu przychodzić. Dziewczyna z wdzięcznością przyjmuje okrycie i szczerzej otula się płaszczem.

- Co się stało? - pyta.

- Och, kochanie, to okropne. Po prostu przerażające. Mam tylko nadzieję, że ratownikom uda się do nich dotrzeć.

- Kim są ci ludzie? - dopytuje się Olimpia.

- Rufus mówił, że to angielski statek z Liverpoolu. Mieli zawinąć do portu w Gloucester, ale sztorm zniósł ich na skały.

Porywy wiatru utrudniają rozmowę. Włosy zasłaniają twarz Catherine, a dół nocnego stroju Olimpii płacze się jej między kolanami. Obserwują, jak ze stacji ratunkowej wyniesiono działko, umieszczono je na platformie i skierowano w stronę statku.

- Co oni robią? - dziwi się Olimpia.

- To do wystrzelenia boi ratunkowych - odpowiada Catherine.

Rakiety sygnalizacyjne oświetlają tonący statek. Ktoś na plaży krzyczy, gdy z pokładu skacze do wody przerażona kobieta.

Catherine odwraca się do Olimpii i przytula ją lekko, ale uścisk jest niezgrabny i trochę sztywny; odsuwają się więc od siebie i patrzą, jak jakiegoś nieszczęśnika zalewają wzburzone fale.

- Mój Boże - wzdycha Catherine.

Do tej pory życie Olimpii toczyło się w cieplarnianych warunkach, nigdy nie zetknęła się ze śmiercią ani niczym równie strasznym.

Dziewczyna wzdryga się, słysząc huk wystrzału. Obserwuje, jak kula z przyczepioną liną sunie

nad falami i opada za statkiem. Naprężona lina łączy teraz wrak z lądem. Jeden z mężczyzn w kamizelce ratunkowej wchodzi do boi, która przypomina, tak przynajmniej wydaje się Olimpii, olbrzymie spodnie, wiszące na sznurze. Mężczyźni na brzegu przesuwają linę za pomocą bloku, a ratownik powoli zbliża się do statku - jego nogi zabawnie dyndają nad powierzchnią wody.

Na brzegu John Haskell i ojciec Olimpii chwytają za rufę łódź ratunkową i spychają ją do wody. Papa ma napiętą, niezwykle skupioną twarz. Pasek od szlafroka rozwiązał się i Olimpia widzi cienkie, białe nogi ojca. Czuje się trochę zażenowana widokiem męskiego obnażonego ciała, ale jednocześnie jest dumna z siły fizycznej ojca: wraz z Haskellem, nie zważając na silny wiatr i fale, pomagają teraz ciągnąć linę ratunkową. Później Olimpia i Catherine dowiedzą się, że statek o nazwie „Mary Dexter” wiozł norweskich imigrantów. Doznał uszkodzeń w dokach Quebecu, jednak kapitan, chcąc jak najszybciej zakończyć rejs, postanowił wypłynąć w morze, zanim naprawiono usterki. Catherine i Olimpia obserwują, jak boja ratunkowa na linie wraca na brzeg. Nie ma w niej jednak mężczyzny, który jeszcze przed chwilą w niej siedział, jest za to wycieńczona kobieta, trzymająca w ramionach dziecko.

- Upuści je! - krzyczy Catherine.

Ludzie na brzegu mają takie same obawy. Haskell zrzuca szlafrok i brnie przez fale w nocnej koszuli, aby pomóc kobiecie. Przytrzymuje ją, pomaga uratowanej wyjść na suchy ląd, a potem, z pomocą Rufusa Philbric-ka, wydostać się z siodełka. Do boi wchodzi kolejny ratownik i rusza w stronę uszkodzonego statku.

- Muszę iść do niego - mówi Catherine. - Zostaniesz tutaj?

- Tak, oczywiście - zapewnia Olimpia. - Nic mi nie będzie.
Obserwuje, jak pani Haskell, zmagając się z wiatrem, biegnie w kierunku męża. Ojciec Olimpii zajmuje się uratowaną kobietą, owija ją w koc, który przyniósł Josiah, a John Haskell kładzie dziecko na pledzie i natychmiast rozpoczyna sztuczne oddychanie. Olimpia widzi, jak Catherine kładzie dłoń na ramieniu męża, a on odwraca się ku niej. Coś mówi, być może daje jej jakieś instrukcje, ponieważ Catherine natychmiast przejmuje opiekę nad kobietą, którą ojciec Olimpii nakrył pledem. Lekarz, przywróciwszy dziecku oddech, bierze je na ręce i szybko idzie w stronę werandy. Olimpia robi głęboki oddech. Wie, że aby dojść do domu, Haskell musi przejść obok miejsca, gdzie ona stoi, na granicy kręgu światła rzucanego przez ognisko.

Wiatr zwiewa jej włosy na twarz, Olimpia musi je przytrzymać ręką. Haskell niemal biegnie z dzieckiem, trzymając je przed sobą na płask, równoległe do ziemi. Nie zatrzymuje się, nie może się zatrzymać, ale przechodząc obok, rzuca dziewczynie szybkie spojrzenie. To zaledwie ułamek sekundy, ponieważ bardzo się spieszy. Być może Olimpia wypowiada jego imię, a raczej nazwisko, gdyż w myślach nazywa go „Haskell”. Po chwili mężczyzna jest już poza zasięgiem jej wzroku.

Olimpia stoi bez ruchu, jakby była zupełnie pusta w środku. Nagle słyszy, że ojciec ją woła, i macha do niego. Chce jakoś pomóc; oczywiście, że powinna pomóc. Usiłuje biec, ale coś się dzieje z jej nogami, jakby uległy chwilowemu paraliżowi. Ojciec się niecierpliwi i Olimpia wie, że musi się pośpieszyć. Jej stopy grzęzną w piasku, ruchy są niezgrabne, jak to się czasami zdarza w snach.
Zaczyna

biec, ale potyka się, bo przydeptuje nocną koszulę, a może uginają się pod nią nogi.

Kiedy podnosi głowę, widzi idącego w jej stronę ojca. Olimpia kręci głową; nie chce, aby widział ją w takim stanie. Ojciec pochyła się i kładzie dłonie na jej ramionach. Jego dotyk jest obcy i jakiś dziwny, nigdy bowiem nie przytulał jej do siebie, ale to ją nieco otrzeźwia. Przeciera oczy rękawem nocnej koszuli.

- Olimpio? - pyta ojciec łagodnie.

Dziewczyna wstaje niezgrabnie. Już prawie świta, coraz wyraźniej widać tonący statek, a dramat pasażerów ujawnia się z większą wyrazistością niż przedtem.

- Wszystko w porządku, papo - uspokaja go. - Zaplątałam się tylko w nocną koszulę.

Wsuwa ręce w rękawy płaszcza, który przyniosła jej Catherine.

- Powiedz, co mogę zrobić - prosi ojca. - Chcę pomóc.

Dwudziestego trzeciego czerwca 1899 roku nad ranem zatoneło siedemdziesięciu czterech pasażerów i jeden członek załogi statku „Mary Dexter”. Z katastrofy ocalało pięćdziesięciu ośmiu pasażerów i czterech członków załogi, których przewieziono na brzeg boją ratunkową. Jeden z ratowników z Ely zaginął podczas akcji. Łódź ratunkowa z prawie tuzinem ochotników odpłynęła od rozbitego statku tuż przed tym, zanim jego kadłub wywrócił się dnem do góry i roztrzaskał o skały.

Mimo silnego wiru, wytworzonego przez tonący statek, mieszkańcy Fortune's Rocks z dumą przyglądali się, jak boja ratunkowa szczęśliwie dobija do stacji ratowniczej w Ely.

Ich dom był kiedyś klasztorem i ma trochę nietypowy rozkład pomieszczeń: na pierwszym piętrze są pokoiki przypominające zakonne cele. W niektórych mieszka służba, ale inne są wolne, stoją w nich łóżka i komody. Z pomocą państwa Haskell natychmiast zorganizowano tam coś w rodzaju szpitala polowego, a niewielka rodzina Olimpii, goście i służba zamienili się w szpitalny personel: ojciec jest generałem w stanie spoczynku, zmobilizowanym w związku z tą wyjątkową sytuacją; John Haskell to oficer służby medycznej, ponoszący za wszystko odpowiedzialność, a także dopuszczany do intymności, czego wymaga jego profesja; Catherine Haskell jest pielęgniarką w skromnym, szarym szlafroku z białym fartuszkim, który znalazła w kuchni; Josiah został mianowany sierżantem-weteranem. Okazuje się doskonały na czas kryzysu, gdyż jego zdolności organizacyjne nie mają sobie równych; Philbrick, jako kwatermistrz, wziął na siebie zdobycie prowiantu dla niespodziewanie powiększonego gospodarstwa; Zachariah Cote maruder, w czasie akcji ratowniczej udawał, że śpi, a teraz zdaje mu się, że wystarczy, jak posiedzi z roztrzęsioną matką Olimpii w jej apartamentach; i w końcu Olimpia, żółtodziób-cywil, zdobywa szlify dorosłości pod nieobecność innych dorosłych kobiet.

Tej nocy dziewczyna w ogóle nie śpi, ponieważ tak jak inni ma mnóstwo roboty. Nikt z norweskich rozbitków nie mówi ani słowa po angielsku, Olimpia musi się więc domyślać, o co proszą i czego im potrzeba. Odgaduje to często jedynie na podstawie wyrazu ich twarzy, a na pytania z reguły odpowiadają jej prostymi gestami. Ponieważ w morzu zginęło wielu mężczyzn, kobiety są oszołomione i zrozpaczone. Jedna z nich, o kasztanowych włosach i szarych oczach, została sama z piątką dzieci, z których

najstarsze ma zaledwie jedenaście lat. Na jej twarzy maluje się przerażenie, jakby jej życie wciąż było śmiertelnie zagrożone i biedaczka zupełnie nie potrafi zaopiekować się swoimi dziećmi, które kąpią i przebierają Olimpia z Catherine. Olimpia żałuje, że nie może przekazać tej norweskiej kobiecie wyrazów współczucia, chociaż ma nadzieję, że swoimi gestami i tonem głosu da jej odrobinę wsparcia. Ta kobieta, podobnie jak większość rozbitków w ich domu, jest fizycznie wyczerpana, a jej stan wydaje się znacznie gorszy, niż wskazywałyby na to ostatnie przejścia. Olimpia zastanawia się, czy powodem tego nie były warunki panujące na statku imigrantów przed zatonięciem.

Na korytarzach domu rozbrzmiewa istna kakofonia dźwięków - dzieci płaczą, kobiety głośno rozmawiają w obcym języku, Josiah i reszta służby biegają z pokoju ilo pokoju. W kuchni stanęła miedziana wanna, osłonięta pośpiesznie wykonanym parawanem. Olimpia kąpie dzieci, dziewczynki i chłopców; w momencie kryzysu tracą sens nawet najsurowsze zasady, do których człowiek stosuje się w normalnych warunkach.

Przed południem w domu panuje już pewien porządek. Olimpia kąpie dziewczynkę o platynowych lokach, która prawdopodobnie ma na imię Anna. Chociaż nawiązała pewien kontakt werbalny z dzieckiem, komunikują się poprzez zabawę mydłem, które udaje statek, płynący w pianie, a potem znikający pod wodą. Jak to często bywa z dziećmi, dziewczynka otrząsnęła się już po niedawnych przeżyciach i dobrze się bawi w kąpieli. Olimpia klęczy przed wanną i nie zważając na chwilowe protesty dziewczynki, myje jej głowę. Słyszy czyjeś kroki, a kiedy odwraca się, widzi wchodzącego do kuchni Johna Haskella.

- Nie chcę ci przeszkadzać - mówi lekarz, pocierając palcami grzbiet nosa.

Opiera się o blat sosnowego stołu i stoi w milczeniu. Wydaje się zmęczony, Olimpia wie, że cały czas ciężko pracował. Już dawno przebrał się w suche ubranie, chociaż włosy wciąż ma jeszcze w nieładzie.

Zasłaniając dłonią twarz dziecka, Olimpia wylewa kolejny kubek wody na srebrne loki. Dziewczynka piszczy i niecierpliwi się, przynaglając ją, aby jak najszybciej skończyła. Przez otwarte okno Olimpia widzi wrak zatopionego statku - przypomina jej szkielet wyciągniętego na brzeg i oczyszczonego z mięsa wieloryba. Stacja ratunkowa, która jeszcze kilka godzin temu była centrum gorączkowej akcji, teraz wydaje się pusta i, co najdziwniejsze, całkiem przyjemnie prezentuje się w słonecznym świetle. Budynek ma zgrabną konstrukcję, ściany z wieloma dużymi oknami oraz solidną wieżę z platformą widokową. Okapy czerwonego, spiczastego dachu ozdobione są koronkową snycerką. Olimpia nie może się nadziwić, że nadmorska sceneria jest dzisiaj tak uporządkowana i schludna. Jaki niewybaczalny brak pokory w naturze, która jest nieczuła i obojętnie spokojna.

- To była udana akcja - mówi Haskell. -Tak.

- Sześćdziesiąt pięć dusz uratowanych i zaginął tylko jeden ratownik. To znaczy... - Zastanawia się chwilę. -Nieco mniej niż połowę pasażerów i załogi udało się ocalić, przy stracie jedynie ośmiu procent ratowników.

Olimpia zastanawia się nad jego rozumowaniem.

- Gdybym była żoną tego mężczyzny, który zaginął -ripostuje - uważałabym, że dla mnie i moich dzieci strata wynosi sto procent. Haskell przygląda się jej chwilę.

- Uważam, że jest pani nad wiek dojrzała - oświadcza. Dziewczyna rumieni się na ten komplement, chociaż później będzie się zastanawiać, czy w tej uwadze nie było więcej nadziei niż trafnej obserwacji.

- A co z innymi? - pyta szybko.

- Mieliśmy kilka złamanych kości, jednego mężczyznę z poważną raną pleców, która może się dla niego skończyć paraliżem. Philbrick usiłuje załatwić przewiezienie rannych i chorych do szpitala w Rye, ale Mason oświadczył, że dom musi być poddany kwarantannie i nikt nie może go opuścić.

Haskell mówi o inspektorze zdrowia z Ely Falls, który pojawił się u nich rano. Potem podchodzi do wanny i wyciąga norweską dziewczynkę z wody, a mydliny ochlapują mu koszulę. Olimpia podaje lekarzowi flanelowe prześcieradło, w które ten zawija dziecko. Kładzie je na kuchennym stole i skrupulatnie, w skupieniu bada. Olimpia stoi obok, zastanawiając się, czy powinna zostać, czy wyjść, a ta niepewność trzyma ją w bezruchu.

Obserwuje, jak Haskell wyjmuje suche ubranie z kosza, który przyniósł Josiah, i ubiera w nie dziewczynkę. Trzyma ją w zagłębieniu ramienia - taka krucha istota w jego pewnych rękach - i bez przerwy do niej mówi o rym i owym, słowami, których dziecko nie rozumie, ale uł uspokajający ton wywołuje zamierzoną reakcję i mała robi się senna.

- Czy pan Mason powiedział, jak długo będzie trwała kwarantanna? - pyta Olimpia, myśląc, jak nieprzyjemny jest zakaz opuszczania domu.

- Niestety nie, to typowy drobny urzędnik, który ma znikomą władzę. Nie potrafi tego określić, co trochę innie irytuje, ponieważ jutro chcieliśmy wyjechać z Catherine i dziećmi do Yorku.

Dziewczyna zaczyna zbierać z podłogi mokre ubranie.

- Gdzie państwo zatrzymają się w Yorku? - pyta.

- Matka Catherine ma tam domek. Oczywiście moja żona będzie tu przyjeżdżać na weekendy, a potem zostanie na cały sierpień, naturalnie jeśli nasz dom będzie w tym czasie gotowy, na co liczę.

Olimpia wrzuca mokre rzeczy do innego koszyka, który stoi w kącie kuchni. Podchodzi do Haskella.

- Proszę mi ją dać - mówi i bierze od niego dziewczynkę.

To taki naturalny odruch - wziąć dziecko od mężczyzny.

Na trzeci dzień po katastrofie statku „Mary Dexter” kończy się kwarantanna dla gości Biddefordów. Olimpia zastanawia się, jaki będzie dalszy los uchodźców. Ponieważ stracili cały dobytek i oszczędności, które miały im pomóc rozpocząć nowe życie w Ameryce, wielu z nich podejmuje pracę w fabrykach w Ely Falls, jednak dziewczyna nigdy się nie dowie, co stało się z małymi sierotami lakimi jak Anna.

Catherine z dziećmi pojechała do Yorku, a Haskell ponownie zamieszkał w Highland Hotel. Od pewnego czasu Olimpia go nie widuje, ponieważ doktor większą część dnia poświęca na pracę w klinice w Ely Falls i nie mają sposobności, aby się spotkać.

Obserwatorowi z zewnątrz mogłoby się wydawać, że dziewczyna spędza wakacje całkiem normalnie. Czyta książki z listy, którą sporządził jej ojciec. Zapamięta zwłaszcza niektóre z nich, takie jak *Opowieść o dwóch miastach* i *Szkarłatną literę*, dzieła napisane w jednym stuleciu, a dotyczące innego, co stanowi temat dyskusji Olimpii z ojcem (on jest zdania, że zasady moralne odchodzącej epoki lepiej tłumaczą niektóre dylematy moralne współczesnych czasów; Olimpia natomiast uważa, że pisarzy tej klasy co Edith Wharton, Charles Dickens i Natha-

niel Hawthorne pociągają po prostu bogactwo języka i koloryt minionych wieków). Aby pogłębić umiejętności rysunkowe Olimpii, które nie są imponujące, zatrudniono francuskiego malarza, Claude Legny'ego, który w sezonie letnim mieszka na wyspach Shoals i w każdy piątek rano przy pływa promem na ląd, żeby udzielać jej lekcji. Olimpia ma wiele talentów, ale natura poskąpiła jej zdolności plastycznych. Doskonale zdaje sobie z tego sprawę i wie, że nauczyciel jest nią rozczarowany. Chociaż sama potrafi wnikliwie obserwować obiekt i umiejętnie go opisać słowami, nie daje sobie rady z przeniesieniem owej wizji za pomocą palców prawej dłoni w formę rysunku. Cały ten wysiłek przypomina pracę, jaką wykonuje dorosły, dający instrukcje dziecku, ale ona tworzy coś, co nie ma nawet dziecięcego wdzięku.

Zdecydowanie większe sukcesy odnosi Olimpia w jeździe konnej i tenisie. Jeździć na koniu uczyła się już wcześniej na farmie Hull w Ely, a teraz doskonali tylko swoje umiejętności. Natomiast tenis jest dla niej czymś nowym, ta dyscyplina wymaga od niej całkowitej koncentracji i zapewnia krótkie wytchnienie od myśli i marzeń na jawie.

Jak nigdy przedtem kolejne dni wprawiają Olimpię w stan zawieszenia przypominający wydłużoną pauzę w pięknym utworze muzycznym - przerwane preludium. Czasami z trudem udaje jej się w ogóle skupić na jakimś zajęciu czy zadaniu. Często bywa oszołomiona i zaabsorbowana, nie potrafi otrząsnąć się z niepokojących myśli. Zastanawia się nawet, czy nie jest szalona: wciąż na nowo rozpamiętuje każdą chwilę spędzoną w towarzystwie Haskella; ciągle brzmią jej w uszach słowa, które padły między nimi; interpretuje i reinterpretuje każde spojrzenie, każdy gest. Siedząc przy stole w jadalni, pisząc listy na werandzie i czytając matce w jej sypialni, Olimpia wy-

myślą w duchu dialogi i odbywa długie rozmowy z Ha-skellem, wplatając w nie zabawne anegdoty, związane z banalnymi zdarzeniami z jej codziennego życia. Głównym celem jej egzystencji stało się teraz przedstawianie siebie, swojej osobowości, mężczyźnie, którego ledwo zna. Ale chociaż powtarza w myślach wciąż na nowo te same schematy rozmów i rozgrywa te same sceny, nie może się od nich uwolnić. To tak, jakby piła ze szklanki, która ciągle się napełnia, a ostatni, długi i chłodny łyk jest tak samo pożądany jak ten pierwszy, ponieważ jej pragnienie okazuje się nie do ugaszenia. Chwilami to niekończące się analizowanie krótkiego czasu, jaki spędziła z Haskelllem, doprowadza Olimpię do rozpaczki. Nie może znaleźć zadowalającej odpowiedzi na pytanie, co się właściwie między nimi zaczęło i jak to się rozwinie. Liczy sobie niespełna szesnaście lat, a Haskell jest prawie w wieku jej ojca, ma żonę i dzieci. Ona zaś znajduje się pod całkowitą opieką ojca i sama jest jeszcze dzieckiem, może nawet szalonym, upartym dzieckiem, owładniętym fantazją, opartą na zaledwie kilku krótkich epizodach, które, z czego doskonale zdaje sobie sprawę, mogła zupełnie opacznie zinterpretować. Mimo to Olimpia nie przestaje się torturować napływającymi w nieskończoność wizjami i nie ma godziny, w której John Haskell nie byłby głównym bohaterem jej myśli. To zmusza ją do refleksji, że być może w tej niekończącej się rozpaczki tkwi, obok tortury, element głębokiej przyjemności. Chociaż dziewczyna czuje się ledwo obecna w rzeczywistym świecie, zamieszkiwanym przez jej ciało, mijające dni wydają się jej bardziej aktywne i ciekawsze niż kiedykolwiek przedtem. Kolory są niezwykle wyraziste; muzyka, którą przedtem Olimpia uznawała za zaledwie przyjemną lub ewentualnie trudną w odbiorze, nagle brzmi wstrząsają-

co; morze zawsze ją przyciągało, teraz jednak wydaje się Olimpii niezmiernie kuszące - tak bardzo, że często irytuje się, kiedy obowiązki nie pozwalają jej beczynn timerzeć na wodę, a myślom unosić się nad falującą powierzchnią.

Plaża w Fortune's Rocks zawsze była demokratyczna, czuje się to zwłaszcza czwartego lipca, kiedy wszyscy mieszkańcy letniskowych miejscowości z Ely i Ely Falls zbierają się na tradycyjnym festynie na świeżym powietrzu. Na odcinku od falochronu do brzegu morza tłoczą się letnicy, rzemieślnicy z całymi rodzinami i licznie przybyli franko-amerykańscy i irlandzcy robotnicy z okolicznych fabryk.

Rozpalono olbrzymie ognisko, do którego wrzucono wilgotne wodorosty, a unoszący się dym wygląda, jakby tlił się piasek. Wokół ogniska gromadzą się ludzie z różnych klas społecznych, o różnym statusie materialnym, niektórzy w odświętnych strojach, inni ubrani bardziej swobodnie i zabawowo, a wszyscy raczą się napojami orzeźwiającymi z kamiennych naczyń wkopanych w piasek. Od czasu do czasu ludzie donoszą do ogniska wielkie kosze z małżami oraz innymi mięczakami, które układają razem z kartoflami na przykrytych wodorostami kamieniach. Kiedy jedzenie jest gotowe, uczestnicy festynu nakładają poczęstunek na niewielkie talerze.

Kobiety chronią się pod parasolkami, odpoczywając na drewnianych taboretach, a dzieci siedzą po turecku na kocach. Ponieważ festyn ma charakter dość swobodny, kobiety i mężczyźni w kostiumach kąpielowych pluskają się wspólnie przy brzegu. Co pewien czas jakiś amator kąpeli podchodzi do brzegu w towarzystwie służącego i zanurza się w wodzie powoli, aby zmniejszyć szok wywołany niską temperaturą. Woda ma niewiele ponad

szesnaście stopni - zawsze o dwunastej w południe syrena z Highland Hotel ogłasza temperaturę (sześć długich dźwięków, pięć krótkich). Obok śmiałków zażywających kąpiele członkowie Ely Club urządzają biegi po mokrym piasku wzdłuż brzegu morza. Piasek jest tak twardy, że można by na nim grać w tenisa. Przy falochronie parkują powozy, stoją konie i jeden lub dwa samochody, nowość, która wzbudza wielkie zainteresowanie dzieci, tłumnie zgromadzonych wokół automobilów. Nie mają jednak odwagi ich dotknąć, boją się bowiem, że pojazdy nagle ruszą i odjadą. (To zapowiada wypadek, jaki zdarzy się rok później. Pewien chłopiec przypadkowo uruchomił jedno z aut, które minęło falochron i zakopało się w miękkim piasku plaży, na szczęście nie robiąc krzywdy dziecku. Pozostało tam aż do następnego lata, kiedy do wyciągnięcia pojazdu użyto koni).

Tego dnia Olimpia ma na sobie strój, który wyjątkowo lubi: cienką, jasnoszarą koszulę, ściągniętą w talii paskiem, wyłożoną na prostą, granatową spódnicę z lnu. Z przyczyn, których nie umie wyjaśnić, być może z powodu ogólnego rozluźnienia, jakie zapanowało tego dnia, nie nosi kapelusza. Na ramiona zarzuciła granatowy szal, który wzięła na wypadek morskiej bryzy; dzień jest jednak tak ciepły, że Olimpia odkłada szal i odpina guziki przy mankietach koszuli, a rękawy podwija do łokci. Bardzo lubi ten strój, jest swobodny i niekrepujący, nie zwraca też niczyjej uwagi. Olimpia uwielbia bowiem obserwować otaczających ją ludzi, ale sama przy tym najchętniej włożyłaby czapkę niewidkę, a przynajmniej chciałaby mieć gwarancję, że nikt jej nie zauważy. Słyszała, że na skutek panującej na festynie swobody tego dnia nawiązuje się wiele romansów, dochodzi do licznych oświadczeń i silniej rozpala się płomień uczuć u znudzo-

nych sobą małżeństw niż któregośkolwiek innego dnia w roku, co potwierdza zwiększająca się z roku na rok liczba urodzin w pierwszym tygodniu kwietnia.

Tolerancja jej matki dla do tego typu publicznych rozrywek jest raczej znikoma, zatem Rosamunda Biddeford siedzi z Olimpią za ledwie chwilę, zjada dosłownie jedną małżę, gdyż gotowanie w plenerze nie odpowiada jej gustom, narzeka na ból głowy, spowodowany nadmiarem słońca i każe Josiahowi odprowadzić się do domu. Ponieważ taki scenariusz nie jest dla jej córki zaskoczeniem, Olimpia siada zadowolona na płóciennym krzeselku matki, opiera na kolanach talerz z wędzonymi małżami i ostrygami, a następnie oddaje się obserwacji przybyłych na festyn ludzi, poubieranych w najróżniejsze stroje. Od czasu do czasu jej wzrok pada na ojca, który wraz z innymi mężczyznami kręci się przy ognisku i pije tego dnia whiskey bez umiarkowania. Czasami zagaduje do niej ktoś z sąsiadów, niektórzy nawet zapraszają na poczęstunek, Olimpia jednak wszystkim odmawia, posługując się wysowanym z palca pretekstem, że czeka na powrót matki.

Po pewnym czasie nuży ją jednak siedzenie na krześle w piękny słoneczny dzień. Idzie więc na spacer brzegiem morza, pozdrawiając zaprzyjaźnione rodziny i znajomych. Niektórzy z przybyłych biesiadują w wytwornych, płóciennych namiotach, mając do dyspozycji skrzynie z lodem, śnieżnobiałe obrusy i srebrną zastawę. Inni spożywają posiłek skromniej, korzystając jedynie z talerzy i kubków na lemoniadę, przeznaczonych specjalnie na tę okazję. Olimpia wyławia z tłumu rodzinę, w której wszyscy, nawet dzieci, są wystrojeni niczym do kościoła i siedzą na plaży sztywno, jak wymagają tego świąteczne stroje. Obok nich widzi francusko-amerykańską rodzinę robotników fabrycznych. Ci także ubrani są w najlepsze

stroje, zachowują się jednak dużo swobodniej, ponieważ wypili już kilka butelek wina, które przynieśli na piknik. Cała grupka bawi się wesoło i już wręcz ochrypła od krzyków.

Na werandach domów letniskowych stojących wzdłuż plaży także odbywają się przyjęcia, jak każe tradycja czwartego lipca.

Biddefordowie otrzymali zaproszenia na kilka z nich. Ponieważ w tym roku Olimpij po raz pierwszy wolno chodzić z wizytami samej, bez rodziców, zastanawiała się wcześniej, czy nie odwiedzić Farragutów, ponieważ lubi towarzystwo Victorii Farragut. Jednak teraz, grzebiąc czubkiem pantofla w piasku, czuje, że nie ma ochoty na żadne rozmowy. Mija więc dom Farragutów; na werandzie widzi rozbawionych gości, ale przechodzi dyskretnie, aby nikt jej nie dostrzegł, bo inaczej z pewnością zaprosiliby ją do środka.

Po pewnym czasie zdejmuje pantofle i rusza dalej na bosaka.

Zachęca ją do tego przykład kilku nieznanym osobom, które mija po drodze. Postanawia, że włoży buty w drodze powrotnej, tak aby ojciec o niczym się nie dowiedział, bo z pewnością by tego nie pochwalił. Szybko ogarnia ją swobodny nastrój i radośnie rozbryzguje wodę przy brzegu, unosząc przy tym spódnicę, aby muskać gołymi stopami drobne fale, uciekając na brzeg przed większymi.

W pobliżu Highland Hotel Olimpia robi się czujna, hudynek jest imponujący, tak jak wiele innych hoteli w tej części wybrzeża, jednak żaden, jej zdaniem, nie jest tak wspaniały jak Highland, z obszernymi werandami, śnieżnobiałymi poręczami i czarnymi, wiklinowymi fotelami ustawionymi wzdłuż ażurowych balustrad jak wartownicy na straży. Mijają ją hotelowi goście w wyraźnie zabawowych nastrojach. Na schodach werandy siedzi grupka pracowników, pozujących do fotografii; nie mogą

powstrzymać śmiechu, jaki wywołuje w nich ta czynność, co wzbudza gwałtowne protesty bezradnego fotografa. Za nimi widać zgromadzonych w restauracji ludzi, między którymi krążą tace z ostrygami. Goście są odświętnie ubrani, kobiety mają na głowach kapelusze, wielkie i tak obficie ozdobione, że przypominają wielkie peonie, których wątle łodygi zginają się pod ciężarem kwiatów. Inni mieszkańcy hotelu, z raketami do tenisa w dłoniach i znacznie swobodniej ubrani, stoją na skraju werandy, jakby czekali na rozpoczęcie meczu.

Przypatrując się gościom, Olimpia zatrzymuje wzrok na postaci siedzącej w wiklinowym fotelu. Mężczyzna, bez kołnierzyka i kapelusza, czyta jakąś broszurę. Olimpia staje jak wryta, a jej nagle znieruchomienie wydaje się czymś tak wyjątkowym, że zwraca na siebie uwagę niektórych świętujących.

Dziewczyna okręca się na pięcie i szybkim krokiem rusza wzdłuż plaży, trzymając w ręku pantofle. Nie słyszy nic poza szumem w głowie. Co sobie wyobraża, tak beczelnie kręcąc się koło hotelu? Wie przecież, że może tam spotkać Haskella. Wie, jak bardzo jest to nie na miejscu. Olimpia pragnie jak najszybciej znaleźć się na drugim końcu plaży. Zatopiona w myślach, nie słyszy, że ktoś ją woła, zatrzymuje się i odwraca dopiero wtedy, gdy czuje na ramieniu dotyk czyjejś ręki.

- Witam, panno Olimpio - mówi Haskell, z trudem łapiąc oddech po szybkim marszu. - Widziałem panią z werandy.

Olimpia pośpiesznie opuszcza spódnicę, on zaś pochyla się, zdyszany.

- Ubolewałem nad tym, że nie miałem okazji odwiedzić pani i twojego ojca - mówi. - Bardzo lubię wasze towarzystwo.

- Podobnie jak my pańskie - odpowiada uprzejmie dziewczyna.
Haskell prostuje się i opiera dłonie na biodrach.

- A jak się czują pani rodzice? - pyta. - Mam nadzieję, że dobrze?

- O, tak, bardzo dobrze - dziękuje mu Olimpia. - A pani Haskell i dzieci? Czy są państwo tu razem?

- Nie. - Kręci głową. - Za godzinę muszę się stawić w klinice, wielu moich współpracowników na dziś wolne popołudnie. Nie było sensu, aby Catherine dzisiaj przyjeżdżała, skoro i tak nie mógłbym dotrzymać jej towarzystwa na festynie. Zresztą i tak jutro jadę do Yorku.

Olimpia unosi dłoń i osłania oczy przed słońcem. Jest zmuszona patrzeć na Haskella, gdy się do niego zwraca.

- A jak wygląda pana praca w klinice? - pyta.

- Jest ciężko - odpowiada lekarz bez wahania. - Nie miałem dość czasu, aby odpowiednio zreorganizować personel, a poza tym wciąż czekam na zaopatrzenie i lekarstwa z Bostonu, które już się skandalicznie spóźniają.

- Przykro mi, że tak to wygląda.

- Och, jestem pewien, że sobie poradzimy. Chociaż dziś po południu bardzo nam brakuje pracowników - dodaje, wkładając ręce do kieszeni spodni. Wygląda na to, że już odzyskał oddech. - Mogę panią odprowadzić? - pyta. - Będę miał okazję przywitać się z pani ojcem, jeśli jest tu gdzieś na festynie. - Nie spuszcza oczu z jej twarzy.

Dziewczyna odwraca się i razem ruszają w stronę ogniska. Plaża obniża się trochę w miejscu, w którym idzie Olimpia. Jest teraz niemal tego samego wzrostu co Haskell. W jego obecności traci swoją naturalność, nie może się pozbyć wrażenia, że jej chód musi się wydawać kontrolowany, a ruchy sztywne i nienaturalne. Tymcza-

sem on jest dużo bardziej rozluźniony i co pewien czas schyla się, aby podnieść muszelkę lub puścić kaczkę po wodzie. W pewnej chwili pyta, czy mogą się zatrzymać, ponieważ do butów dostał mu się piasek. Zdejmuje je i ustawia na plaży, poza zasięgiem fal. Postanawia zostawić je tam i zabrać w drodze powrotnej, co zdaniem Olimpii wskazuje na większe zaufanie do ludzi, niż podpowiadałaby rozwaga. Ruszają w dalszą drogę. Dziewczyna milczy, chociaż cisną się jej na usta tysiące pytań, które chciałyby mu zadać. Wyobrażając sobie rozmowy z Haskellem, jest pełna inwencji, w jego obecności natomiast traci rezon.

Tego dnia morze ma kolor głębokiej ultramaryny, jaki rzadko widuje się na wybrzeżu New Hampshire, gdzie ocean jest zazwyczaj ciemnogrnatowy lub stalowoszarzy. Woda, niebo i światło tak cudownie się łączą, że Olimpia odnosi wrażenie, iż natura, w swojej hojności, sama musi być w odświeżonym nastroju z okazji stu dwudziestej trzeciej rocznicy uzyskania przez ten kraj niepodległości.

- Czy jadł pan coś? - pyta Haskella.

- Z przykrością muszę wyznać, że jedzenie w Highland jest dość podłe, mimo wysokiego standardu obsługi. Moim zdaniem powinni zmienić kucharza.

- A zatem ma pan dzisiaj szczęście, ponieważ na festynie przygotowano smaczny poczęstunek. Wiedział pan o tym corocznym spotkaniu na świeżym powietrzu?

- Słyszałem przy śniadaniu i widziałem, jak przez cały ranek służba wymykała się na zabawę w odświeżonych strojach. Bardzo się cieszę, że dostanę coś do zjedzenia, jestem też pewien, że jadalnia będzie całkiem przestronna. Twarz ci się zaróżowiła - dodaje, zmieniając temat. - Uważam, że powinnaś nosić kapelusz.

Idą obok siebie, ich kroki są nieregularne, spowolnione przez piasek. Co pewien czas któreś z nich się potyka i wtedy rękaw ociera się o rękaw, ramię o ramię. Upał spowodował, że powietrze nad piaszczystym brzegiem oceanu jak gdyby się zagęściło, zniekształcając widok. Fale ich zaskakują i Haskell piszczy z zimna. Lodowata woda zawsze wywołuje szok, gdy obmywa delikatną skórę nad kostkami, niezależnie od tego, jak często odwiedza się tę część wybrzeża Nowej Anglii.

Z oddali Olimpia widzi, że pod jej nieobecność zabawa bardzo się rozkręciła. Mężczyźni i chłopcy grają w piłkę i w rzutki. Tuż nad wodą, gdzie piasek jest twardy, kilka par ustawiło prowizoryczne bramki i rozpoczęło mecz krykieta, chociaż ów wysiłek wydaje się daremny, ponieważ wszystkie piłki w naturalny sposób toczą się w stronę morza. Za falochronem handlarze sprzedają swoje towary wprost z wozów: chłodzone napoje, koszyki, lody i słodycze.

Olimpia zatrzymuje się nagle, nie ma ochoty tak szybko znaleźć się w tłumie. Haskell idzie jeszcze kilka kroków, zanim dostrzega, że została w tyle. Wraca do niej szybko.

- Co się stało? - pyta? - Coś nie tak?

Jej spojrzenie ślizga się po ramionach mężczyzny, widzi, że szelki wpijają się w koszulę. Jest spocona i ma ochotę odpiąć górne guziki bluzki. Nad prawym ramieniem Haskella dostrzega unoszący się w powietrzu balon w niebiesko-pomarańczowe paski.

Balon powoli wzbija się w górę w gęstym powietrzu -masywny, kolorowy i majestatyczny, płynie w ich kierunku. Zwisają z niego równoległe drążki, na których stoi dwóch mężczyzn. Machają do tłumy na plaży. Olimpia zastanawia się, jak wyglądają z góry Fortune's Rocks

i przez chwilę zazdrości aeronautom tego widoku, marząc, aby lecieć razem z nimi.

- Dobrze się pani czuje? - ponownie pyta jej towarzysz.

Stoi tak blisko, że dziewczyna widzi pory jego skóry, czuje jego zapach, zmieszany z zapachem krochmalu koszuli. Haskell ma pod pachami wilgotne półkola. Olimpia ma ochotę się położyć. Widzi, że balon nabiera wysokości i przepływa nad ich głowami. Nagle aeronauci odrywają się od niego i spadają na ziemię na spadochronach. Lecą niemal pionowo w dół. Z daleka słychać okrzyki zachwytu.

Powoli i bez żadnego wstępu dziewczyna bierze rękę Haskella i unosi ją do twarzy. Przytula policzek do jego dłoni.

Przez długą chwilę panuje między nimi cisza.

- Olimpio - odzywa się cicho Haskell, cofając rękę - muszę ci coś powiedzieć. Za chwilę będziemy przy ognisku z twoim ojcem i nie będzie sposobności.

Jej oddech ulatuje na jego pierś.

- Sto razy ganiłem się w myślach za ten dzień u was w domu, gdy pozwoliłem sobie na zbyt wiele w stosunku do ciebie. Kiedy robiłem ci zdjęcie. Nie panowałem wtedy nad sobą, chociaż ukrywanie się teraz za tego rodzaju wymówką to czyste tchórzostwo.

Olimpia kręci głową.

- To niewybaczalne, niewybaczalne - powtarza Haskell z przekonaniem. - Teraz proszę cię o wybaczenie, musisz mi wybaczyć, ponieważ nie mogę normalnie pracować, ciągle o tym myślę, o krzywdzie, jaką ci wyrządziłem.

Wokół nich biegają dzieci, nieświadome sceny, rozgrywającej się tuż obok. Mewy, zawsze pełne nadziei, że

znajdą porzucone jedzenie, zataczają kręgi niebezpiecznie blisko ich dwojga. Haskell otwiera usta, jakby chciał leszcze coś powiedzieć, ale rezygnuje. Kręci głową. Patrzy na morze, a potem znowu na Olimpię.

Aeronauci lądują na piasku. Balon leci dalej nad ich głowami.

- Teraz już pójdę - mówi Haskell. - Jeśli twój ojciec widział nas razem, przekaż mu, proszę, że musiałem wracać. To prawda. Jadę do kliniki. Nie będę was już odwiedzał. Powinnaś to zrozumieć. Nie będę się z wami kon-laktował, jakkolwiek dziwnie może to wyglądać.

Olimpia pojmuje, że on naprawdę chce odejść, chwyta go więc za ramię; i chociaż udaje się jej złapać tylko kawałek koszuli, to wystarcza.

- Pójdę z panem - oznajmia spokojnie. Nie traktuje tej propozycji jako zuchwalstwa. Jest pewna swoich słów i jasno formułuje myśli. - Sam pan powiedział, że po południu będzie panu brakowało pomocników.

- Klinika to nie jest miejsce dla... - zaczyna Haskell, ale przerywa. Już o tym rozmawiali.

- Z pewnością mogę się przydać do pomocy jak każda inna osoba. Chyba udowodniłam to tej nocy, kiedy zatonął statek?

- Olimpio, będziesz tego żałować - mówi poważnie Haskell.

Dziewczyna spogląda w kierunku linii horyzontu, balon wygląda już jak mała plamka. Zastanawia się, gdzie w końcu wyląduje.

- A zatem proszę mi pozwolić spróbować, zanim tego pożałuję - odpowiada spokojnie.

Haskell otwiera usta, jakby chciał coś powiedzieć, waha się chwilę.

- Nie, nie mogę się na to zgodzić - oświadcza wreszcie i odchodzi. Olimpia patrzy za nim długo, aż sylwetka mężczyzny zamieniła się w rozmazaną plamkę na piasku. Kiedy jest już prawie poza zasięgiem jej wzroku, rusza za nim. Początkowo idzie spacerowym krokiem, potem zaczyna biec.

Umówili się, że zaczeka na tyłach hotelu, aż Haskell wyprowadzi bryczkę ze stajni. Stoi tam teraz z gołą głową, w butach ma piasek i modli się, aby nie spotkać nikogo znajomego, ponieważ nie potrafiłaby przekonująco wytłumaczyć, co robi sama na drodze, a potem, dlaczego jedzie bryczką razem z doktorem. Ma nadzieję, że ojciec wypił na tyle dużo whiskey, aby uciąć sobie na piasku przy ognisku tradycyjną drzemkę, jak to robi zwykle czwartego lipca, podobnie do wielu mężczyzn, którzy popadają w takie demokratyczne odurzenie świętem, alkoholem i plażą.

Haskell podjeżdża na róg małą bryczką z daszkiem, która podskakuje na koleinach zakurzonej drogi. Pojazd jest w kolorze butelkowej zieleni, koła ma żółte. Na jednym boku widnieje wykaligrafowany napis: „Highland Hotel”. Haskell wziął z pokoju lekarską walizeczkę, marynarkę i kapelusz. Wygląda naprawdę wspaniale i Olimpia, chociaż jest zdenerwowana i ma świadomość własnej zuchwałości, czuje w sercu radość na myśl, że pojedzie wraz z nim. Haskell zeskakuje z bryczki, aby pomóc jej wsiąść.

Jadą drogą wijącą się między zatoką i oceanem, mijała wiele domów i kamienne obwałowania, a po utwar-

dzonej nawierzchni mkną również inne pojazdy. Na widok bryczki mężczyźni na rowerach dzwonią dzwonkami i unoszą kapelusze, a rodzina Cyganów z puszkami na datki nawet usiłuje ich zatrzymać. Ta część okolicy jest płaska, równinny krajobraz przecinają kamienne mury, z rzadka rosną tu drzewa i krzaki, a gdzieniegdzie stoją drewniane domy. Mijają wóz z sianem, na którym odbywa się wesoła biesiada, a kiedy pokonują zakręt na końcu drogi, biegnącej wzdłuż wybrzeża, przed ich oczami ponownie pojawia się stacja ratunkowa. Olimpia zastanawia się, czy ratownicy biorą udział w festynie, ale zaraz sama sobie odpowiada, że z pewnością nie, ponieważ natura nie uznaje wakacji i w każdej chwili może mieć humory czy kaprysy. Zresztą ratownicy muszą obserwować zbyt śmiałych pływaków i pilnować, aby ryzykanci nie potopili się w falach.

Za stacją ratowniczą słońce tak mocno odbija się na powierzchni wody, że Olimpia nie widzi domu ojca na samym końcu plaży - co zresztą bardzo jej odpowiada, ponieważ teraz wcale nie chce o nim pamiętać. Odwraca głowę w stronę zatoki, która rozciąga się spokojną panoramą, ożywioną flotyllą niewielkich jachtów jednożaglowych i łodzi wiosłowych na kotwicy. Widzi wieżę kościoła kongregacyjnego w barwach brązu i ochry, wyblakły od słońca budynek spółki rybackiej i długie moło, przy którym cumują statki handlowe i wycieczkowe. W głębi zatoki pływa wiele skifów i tenderów z dżentelmenami przy wiosłach i sztywno opartymi o rufy damami, zadowolonymi z przyjemnej wycieczki pod parasolkami. Dość szybko opuszczają Fortune's Rocks i wjeżdżają na bagna, porośnięte wilgotnym labiryntem wysokich trzcin. Można tu napotkać rzadkie okazy ptaków i podziwiać różowe i białe lilie. Olimpia bardzo lubi pływać po

bagnach łódką o zachodzie słońca, a raczej tuż przed zachodem, kiedy rdzawe światło *zapala* trawy i nadaje wodzie kolor metalicznego różu. Czasami, gdy płynie sama między trzcinami, lubi się zagubić wśród płytkich szlaków i odczuwa wówczas miły dreszczyk. Cała przyjemność polega wtedy na znalezieniu drogi powrotnej w wodnym labiryncie i pamięta, że tylko raz wpłynęła w ślepy zaułek i musiała prosić o pomoc chłopca, który łowił ryby na brzegu, gdzie grunt jest twardszy.

W milczeniu jadą przez Ely, miejscowość zabudowaną prostymi, drewnianymi domami, postawionymi sto lat temu przez ludzi niegustujących w ozdobach. W centrum osady znajduje się sklep rzeźnika, tuż obok stoi wóz z mięsem, dalej są sklep z artykułami żelaznymi, apteka i pompa. Z uwagi na święto miejscowość wydaje się wyludniona. Na ulicach jest tak pusto, jakby populację zdziesiątkowała jakaś zaraza, chociaż Olimpia wie oczywiście, że ludzi zainfekowała gorączka dobrych nastrojów i nakłoniła ich do opuszczenia osady.

Wjeżdżają do Ely Falls, miasta przemysłu, gdzie ściany budynków pokrywa warstwa czarnej sadzy z kominów labrycznych. Prawie ze sobą nie rozmawiają, tylko od czasu do czasu padają między nimi kurtuazyjne słowa, które brzmią dziwnie w ustach Olimpii. Usiłuje zwracać uwagę na otoczenie, chociaż jej myśli są zajęte czymś zupełnie innym. Uroki terenów bagiennych i życie miasta stanowią jedynie scenerię rzeczywistego dramatu rozgrywającego się właśnie między nimi: cichego dramatu, o którym boją się mówić zarówno Olimpia, jak i Haskell.

Na głównej ulicy jest mnóstwo sklepów, udekorowanych kilometrami odświętnych flag: apteki, cukiernie, salony, sklepy modniarskie, zakłady zegarmistrzowskie. Mijają restaurację i fabrykę obuwia: Cote i Reny. Nad

sklepami widnieją szyldy przede wszystkim z francuskimi nazwiskami, irlandzkich jest dużo mniej: Lettre, Dudley, Croteau, Harrigan, LaBrecque. Tuż za rogiem odbywa się świąteczna parada: uczestniczą w niej mężczyźni w ubiorach z epoki napoleońskiej, orkiestry wojskowe oraz strażacy na rowerach. Pochód dobiega już końca, ale Haskell i Olimpia muszą skorzystać z objazdu, który prowadzi do wielkiego namiotu, gdzie na pierwszy rzut oka zgromadziło się chyba pół miasta.

Wokół dominują masywne budynki fabryczne. To ceglane hale z szerokimi oknami, zlokalizowane głównie na brzegach rzeki Ely. Za fabrykami pobudowano hotele robotnicze, domy o surowym, funkcjonalnym wyglądzie, ustawione w szeregach. Być może kiedyś były czyste i przyjemne, ale teraz, pozbawione okiennic, od lat nieodnawiane i w zasadzie nieremontowane, zmieniają się w rudery. Haskell zatrzymuje bryczkę przed brzydkim budynkiem z cegły, jednym z wielu w szeregu. Pomaga Olimpii wysiąść i zabiera walizeczkę. Dziewczyna idzie za nim do frontowych drzwi, przy których doktor zatrzymuje się na chwilę, trzymając rękę na klamce. Waha się przez moment, jakby zamierzał coś powiedzieć.

Olimpia uprzedza jego słowa.

- Proszę się mną nie przejmować, wszystko w porządku - mówi. - W tym, co zrobiliśmy, nie ma nic złego.

Jednak oboje wiedzą, bo jakże mogliby nie wiedzieć, że nie wszystko jest w porządku. Zdecydowanie nic nie jest w porządku.

Najpierw Olimpia słyszy hałas. W dużym pomieszczeniu, które przypomina poczekalnię, rozbrzmiewają wrzaski i piski gromadki dzieci, ganiających się pomiędzy rzę-

dami ławek. Na jednej z nich siedzi skulona kobieta, na przemian krzycząc i przeklinając. Są tu także mężczyźni, mniej lub bardziej porozbierani, plujący flegmą, a także matka, ochryłym głosem przywołująca do porządku kilku chłopców, jednocześnie usiłujących wejść na wagę. Słysząc niecierpliwe narzekania pacjentów, rozżalonych, że muszą czekać tu w świąteczny dzień, i jęki innych, którzy naprawdę cierpią z bólu: jakaś stara kobieta cicho pochlipuje, a młodsza, w zaawansowanej ciąży, strasznie jęczy. Pacjenci siedzą lub leżą na drewnianych ławkach, ustawionych tak jak ławy w kościele; całe to zgromadzenie przypomina bardzo dziwacznych i hałaśliwych wiernych, czekających na swojego kapłana. Kiedy Haskell wchodzi pewnym krokiem do sali, obecni tam natychmiast się uspokajają, jakby już sam jego widok przyniósł im ulgę. Doktor rozmawia z pielęgniarką w wykrochmalonym białym czepku i niebieskiej serżowej sukni z długimi rękawami. Olimpia domyśla się, że rękawy kiedyś były białe, ale teraz są poplamione i umazane krwią oraz innymi cieczami, o których pochodzeniu nie chce nawet myśleć. Siostra trzyma w jednej ręce plik papierów, a w drugiej zegarek na łańcuszku przymocowanym do paska. Jej postawa jednoznacznie wskazuje, że spodziewała się doktora Haskella dużo wcześniej.

- Dzień świąteczny jest gorszy niż sobotni wieczór, przywieziono wielu pijanych i rannych w pijackich burdach - informuje go głosem, w którym wyraźnie słychać akcent kładziony na pełne samogłoski, co Olimpia odbiera jako wymowę charakterystyczną dla miejscowej ludności. - Mamy siedmiu pacjentów z zatruciem pokarmowym po zjedzeniu konserwy mięsnej i trzech chłopców, którzy uciekając z Falls, usiłowali przepłynąć się przez rzekę. Nie będę panu opisywała, co wyczyniali, powiem tylko tyle, że

wszyscy są nieźle pokiereszowani. A ponieważ brakuje dziś personelu, wszystko wygląda tak, jak wygląda. Aha, było jeszcze dziecko: chłopczyk Verdennesow, którego przyprowadzono do kliniki godzinę temu z krupem. Niestety, proszę pana, nie udało nam się go uratować, umarł.

(Olimpia wyrzuca sobie, że zatrzymała Haskella pół godziny na plaży i przeżywa pierwszy z wielu tego popołudnia szoków).

Lekarz wydaje się poruszony, ale nie widać po nim wyrzutów sumienia. Zapewne zdaje sobie sprawę, że on także nie uratowałby dziecka.

- To panna Olimpia Biddeford - mówi, zwracając się do pielęgniarki.

- Panno Olimpio, to siostra Graham -dodaje, dopełniając obowiązku prezentacji.

Siostra Graham, która może mieć dwadzieścia kilka lat, przez chwilę bacznie jej się przygląda, ale ta obserwacja nie trwa długo.

Pielęgniarka jest zajęta innymi, bardziej istotnymi sprawami.

- Obiecałam rodzinie, że skończę pracę o drugiej po południu - mówi.

- Oczywiście. - Haskell kiwa głową. - Czy jest ktoś jeszcze w klinice?

- Yvonne Paquet, proszę pana. I Malcolm.

- A zatem jesteś wolna - oświadcza doktor, odwracając się do czekających pacjentów, którzy są już cicho i obserwują go z nadzieją.

Haskell nabiera w płuca powietrza i na chwilę wstrzymuje oddech, a potem wypuszcza je z długim, powolnym westchnieniem.

- Zaczynamy - zwraca się do Olimpii.

Klinika mieści się na parterze budynku, który przedtem był magazynem tekstylnym. Zajmuje kilka pomiesz-

czeń, jedno Olimpia ma okazję dobrze poznać, ponieważ znajduje się w nim tymczasowy gabinet Haskella. Są tam biurko, kozetka i wiele szafek z różnymi medykamentami, o które doktor często prosi tego popołudnia: chinina, tojad, spirytus, rtęć, strychnina, kolargol i arszenik. Oprócz tego w pokoju znajdują się plansze do badania wzroku, waga z odważnikami, rozpylacz, szklane naczynie z podziałką oraz długie, metalowe tace z narzędziami - lancetami, igłami, szczypcami oraz nożyczkami. Olimpia dostrzega także duży szklany słój, mikroskop i kilka lanelowych worków, o których przeznaczeniu nie ma najmniejszego pojęcia. Na piecyku stoją naczynia i cały czas gotuje się w nich woda.

Siostra Paquet, dość ponura dziewczyna o ziemistej cerze, dużo starsza od Olimpui, przeprowadza wstępne rozmowy z pacjentami, dziewczyna zaś pełni funkcję pielęgniarki-praktykantki, podając bandaże, lekarstwa i płyny do dezynfekcji, czyści narzędzia i wkłada je do naczyń z wrzątkiem, a także raz czy dwa przytrzymuje małych pacjentów za ręce, gdy Haskell wykonuje zabiegi. Pierwszym pacjentem jest tego dnia mężczyzna, który stracił ramię w przedzarce. Kilka dni wcześniej maszyna poszarpała mu rękę aż do łokcia. Lekarz bardzo delikatnie od-wija bandaże. Rozmawia z pacjentem łagodnym tonem, usiłując odciągnąć jego uwagę różnymi pytaniami i żartami. Olimpia domyśla się, że chodzi mu o zdobycie zaufania pacjenta i skłonienie go do współpracy. Owego popołudnia przekonuje się, że Haskell jest delikatnym, a nawet wrażliwym lekarzem.

- Olimpio, przynieś mi czyste bandaże - prosi ją. - Są w metalowej szafce.

Dziewczyna podaje mu gazę i pocięty w paski materiał.

- W przeciwieństwie do rozpowszechnionej wśród lekarzy opinii ropa sama w sobie nie jest żadnym pozytywnym objawem - mówi Haskell, odwijając zabrudzone bandaże i wskazując palcem na wysięk z purpurowego kikuta, który wydziela tak ohydny zapach, że Olimpia przyciska dłoń do nosa i cofa się o krok. - Jest to jedynie sygnał, że pacjent cierpi, a rana jest zainfekowana - tłumaczy. - Wydałem polecenie, aby każdy, kto przychodzi do kliniki z cuchnącym opatrunkiem, był natychmiast zbadany, ale trudno do tego przekonać personel pielęgniarski z prowincji, przez tyle lat uczony czegoś wręcz przeciwnego.

Olimpia spogląda na siostrę Paquet, która wciąż ma ponurą minę. Obserwuje, jak Haskell wyjmuje narzędzia z wrzątku. Po dokładnym wyczyszczeniu rany zaczyna zeskrobywać martwą, zainfekowaną tkankę. Pacjent krzyczy z bólu. Haskell wykonuje zabieg szybko i sprawnie, a kiedy ból okazuje się nie do zniesienia, przerywa i każe podać pacjentowi łyżeczkę laudanum, aby zmniejszyć cierpienia - co, o dziwo, działa. Mężczyzna przestaje krzyczeć i dygotać, leży spokojnie, dopóki lekarz nie skończy i nie zabandażuje rany.

Tego popołudnia Haskell nastawia złamane nogi, robi wiele zastrzyków, pomaga chłopcu w ostatnim stadium bysynozy, a także bada mężczyznę, który narzeka na wysuszony język, miał w nocy wysoką gorączkę i bóle w okolicy piersi. Rozpoznaje też przypadek szkarlatyny, czyści wrzody, osłuchuje pewne dziecko, sprawdzając, czy nie ma zapalenia opłucnej, i podaje mu środki łagodzące kaszel. Jeden z chłopców, którzy wpadli do rzeki, umiera tego popołudnia na skutek obrażeń, kobieta zaś, u której rozpoczął się poród, wydaje na świat zdrową dziewczynkę (Haskell nie odbiera porodu).

Olimpia jest bardzo skupiona na pracy, jakby zaznajamiała się z obcym językiem i koncentrowała całą uwagę na nauce. Kilka razy żołądek podchodzi jej do gardła, ale postanawia nie okazać słabości. Kiedy Haskell bada zakaźnie chorego pacjenta, każe jej nałożyć maskę, i ciągle przypomina, aby myła ręce, które pod koniec popołudnia są już czerwone. Dziewczyna stara się nie okazywać emocji, co przychodzi jej z trudem, gdy obserwuje pacjentów, i parę razy omal nie wybuchła płaczem. Pod koniec dyżuru w klinice pojawia się kobieta z chłopcem. Oboje skarżą się na swędzenie między palcami, które paskudnie krwawią. Haskell rozpoznaje świerzb. Jednak ona spostrzega od razu, że tak naprawdę ci dwoje cierpią na zupełnie inną chorobę, która nazywa się nędza; jest tak wielka, że dziewczyna nigdy przedtem sobie tego nie wyobrażała. Kobieta jest nietrzeźwa, a Olimpii wydaje się, że chłopiec również, chociaż wygląda na nie więcej niż dziesięć lat. Jego matka ma na sobie jedwabną bluzkę w kolorze wypłowiałej zieleni, a na szyi wąski szalik z czarnej wełny. Spod brudnego, słomianego kapelusza zwisają zlepione w strąki włosy. I Jbranie chłopca - stara, bawełniana koszula, spodnie i kamizelka - są dla niego o wiele za duże, nogawki i rękawy ma pozawijane. Obcasy czarnych butów matki są wykoślawione, a chłopiec przyszedł do kliniki na bosaka. Olimpia przygląda się jego wąskim stopom, oblepionym nie tylko piaskiem, ale przede wszystkim brudem i czuje narastający wstyd. Jeszcze kilka godzin wcześniej delectowała się chodzeniem boso, a teraz wydaje się jej to żenującym kaprysem. Jak mogła nie doceniać tego, co ma tak niewielu? Haskell patrzy na Olimpię i widzi, że jest bardzo blada.

Tego dnia w klinice przygląda się jej badawczo wiele razy. Może tuzin. Szuka jej wzrokiem i chociaż nie pada

między nimi żadne słowo, a on nie zmienia wyrazu twarzy ani nie przerywa rozmowy z pacjentami, każde zerknięcie w stronę Olimpii ma wielkie znaczenie. Te spojrzenia do pewnego stopnia przeszkadzają jej, a jednocześnie sprawiają ogromną przyjemność. Pod wpływem przenikliwego wzroku mężczyzny Olimpia czuje, że traci pewność siebie, jest bliska załamania. Szybko jednak bierze się w garść, ponieważ wokół jest wielu chorych i rannych, którzy wymagają natychmiastowej uwagi i pomocy.

Ciekawe, że żaden z pacjentów nie protestuje przeciwko jej obecności w klinice. Być może jej strój: szara koszula i granatowa spódnica, a także brak biżuterii, sprawiają, że pacjenci biorą ją za pielęgniarkę-nowicjuszkę; nie dziwią się zatem także, że pozostaje w gabinecie w trakcie zabiegu. Nie wiedzą, bo ona sama z trudem dopuszcza to do swojej świadomości, że obserwując pracę w klinice, obserwuje przede wszystkim lekarza. Jest nowicjuską, ale nie tylko, jak sądzą pacjenci, w sztuce pielęgniarskiej.

Kiedy opuści wreszcie tego wieczoru klinikę, nie będzie już tą samą dziewczyną. W ciągu pięciu godzin pracy zobaczy więcej ludzkiego cierpienia i bólu, ale także ulgi niesionej w cierpieniu, niż widziała w całym swoim życiu. Ojciec wiele opowiadał jej o świecie, sama także czytała o tym w książkach, a później dyskutowała przy stole podczas posiłków, ale zawsze zachowując bezpieczny dystans. Tego popołudnia Haskell ukazuje jej prawdziwą rzeczywistość, autentyczne życie. W ten niecodzienny sposób przygotowuje ją, ale żadne z nich nie wyobraża sobie jeszcze, do czego: to gwałtowna i brutalna inicjacja, wgląd w fizjologię ciała, rzut oka na to, co możliwe, zapowiedź przyszłej intymności. Później Olimpia zrozumie, że w tym doświadczeniu ważne było za-

rowo pragnienie Haskella, by zapoznać ją z ową sferą życia, jak i jej zaufanie do niego.

Pod wieczór w klinice robi się spokojniej, pacjenci są odsyłani do domów lub umieszczani w prowizorycznej salce szpitalnej. Po zbadaniu chłopca chorego na odrę Haskell woła Malcolma, który pełni w klinice funkcję złotej rączki, chociaż zna się także na instrumentach medycznych i lekarstwach.

- Odwiozę pannę Biddeford i wrócę tutaj po kolacji. Do tego czasu zastąpi mnie siostra Paquet.

- Tak, proszę pana - mówi Malcolm - ale pani Bonneau prosiła, aby zajrzał pan do tej młodej kobiety, którą ma rodzić - odczuwa już silne bóle. Prosiła też, żeby przyniósł pan laudanum, bo bóle lędźwiowe bardzo pacjentkę wyczerpują.

Haskell patrzy na Olimpię.

- Nie śpieszę się do domu - mówi szybko dziewczyna. Mój ojciec na pewno dzisiaj za mną nie tęskni, a poza tym myśli, że jestem u Farragutów. A oni uznali, że już dawno wróciłam z ojcem do domu. Tak więc w tej chwili irstem w czyścucu wolności, przynajmniej jeśli chodzi n miejsce pobytu.

To nie do końca jest prawda i Olimpia dobrze o tym wie; ojciec po przebudzeniu ze świątecznej drzemki mógł |iiz zacząć jej szukać. Z drugiej strony jednak zdaje sobie sprawę, że ten dzień dopuszcza pewną swobodę, na którą normalnie nie można sobie pozwolić; jeśli będzie sprytna, a ojciec wypił wystarczająco dużo, potrafi tak wytłumaczyć swoją nieobecność, aby nikt nie nabrał żadnych podejrzeń.

Haskell kończy myć ręce i wyciera je w ręcznik trzymany przez Malcolma. Olimpia obserwuje, jak odwija

rękawy koszuli i zapina mankiety na spinki, które miał w kieszeni spodni. Zdejmuje fartuch, zwija go i wrzuca do kosza na brudną bieliznę, stojącego w kącie. Na ramieniu doktora widać plamkę krwi; jego twarz jest blada ze zmęczenia. Później Olimpia zrozumie, że umyślnie opóźniał wyjście ze szpitala, rozważając konsekwencje zabrania jej do pani Bonneau i rodzącej kobiety; wiedział bowiem to, z czego dziewczyna nie zdawała sobie wówczas sprawy: że Olimpia może tam zobaczyć coś, do czego nikt nie jest wystarczająco przygotowany, a taki obraz na zawsze już pozostanie w jej pamięci. Haskell zdejmuje płaszcz z wieszaka na drzwiach.

- Olimpio, w pokoju obok stoi torba ze sterylnymi materiałami - mówi. - Nie jest ciężka. Przynieś ją i możemy jechać.

Światło wydaje się już łagodniejsze, na ulicach pojawiły się cienie. W wąskich alejkach wieje zimna, wilgotna bryza ze wschodu, podmuchy wiatru regularnie przepływają nad ich głowami. Niebo jest wyraziście lazurowe, bez śladu chmur. Olimpia wie, że wieczór będzie cudowny i nawet teraz brzydkie ulice ożywia blask pełgający po ceglanych murach, odbija się w szybach, które jarzą się srebrem, zamienia czubki liści na drzewach w drżący róż. Haskell i Olimpia idą obok siebie, prawie się nie odzywając, usiłują nie zwracać uwagi na brudną drogę, za, śmieconą nie tylko pozostałościami toczącego się codziennie na ulicach życia, ale także resztkami świątecznej zabawy: potłuczonymi butelkami, ludzkimi ekstremamentami, porzuconymi fragmentami garderoby, kałużami pomyj wylewanych z drugiego piętra, opakowaniami po je; dzeniu, butelkami od piwa. Olimpia żałuje teraz, że nie ma kapelusza. Docierają do ulicy, przy której stoi poszu-

kiwany dom, i wdrapują się po schodach do mieszkania u niższej kobiety. Haskell otwiera drzwi i wchodzi do środka bez pukania. Pokój nie jest większy od sypialni Olimpii, zagracona komórka z jednym tylko oknem, które wychodzi na ścianę znajdującą się jakieś trzy metry dalej. Chociaż wciąż jeszcze jest dzień, w pomieszczeniu panuje półmrok i dopiero po chwili wzrok dziewczyny przyzwyczaja się do braku światła. Na łóżku leży kobieta, której stan przypomina agonię, ponieważ zaciska z bólu zęby, a potem wypuszcza gwałtownie powietrze, wołając coś po francusku, z tak dziwnym akcentem i tak niewyraźnie, że Olimpia nie może jej zrozumieć. Kobieta ma podwinięte wysoko spódnice i już od drzwi dziewczyna widzi krew na jej udach i na brudnej poduszce pod głową. Widok nagich nóg, poruszających się na łóżku jak w konwulsjach, wywołuje prawdziwy szok. Dziewczyna czuje się tak, jakby odwróciła kamień i niespodziewanie znalazła pod nim mnóstwo przezroczyстых robaków, pozbawionych koloru, ponieważ nigdy nie widziały słońca.

Jej oddech staje się płytki i przyspieszony. Walczy ze sobą, aby nie wymiotować i nie uciec na ulicę.

Haskell natychmiast zdejmuje marynarkę. Jeden rzut oka na pokój wystarcza, aby się zorientował, że nie ma tu wody. Musi zaniechać mycia rąk, ponieważ czas nagli. Siada na łóżku, a jego ręce znikają pod skromną warstwą bielizny, zakrywającą najbardziej intymne części ciała kobiety. Olimpia dowie się później, że rodząca nazywa się Marie Rivard. Haskell bada ją przez chwilę i najwyraźniej wiadomości, jakie mu przekazano, są prawdziwe. Rozmawia po francusku z panią Bonneau, zdenerwowaną starszą kobietą, która wyjaśnia, że została wezwana przez jedno z dzieci młodej kobiety, zaniepokojone sta-

nem matki. Dodaje także, z bardzo wyrazistą mimiką i przeplatając opowieść soczystymi przekleństwami, że kobieta jest imigrantką i niedawno przyjechała do Ameryki. Miała męża, który zostawił ją i dzieci kilka miesięcy temu. Marie Rivard zdaniem Olimpii nie ma jeszcze trzydziestu lat - chociaż doprawdy trudno określić wiek tej nieszczęsnej istoty wijącej się z bólu na łóżku - i nie mogła znaleźć pracy, ponieważ była w ciąży.

Po upływie pewnego czasu dziewczyna dospostrzega także pozostałych mieszkańców tej komórki - troje dzieci, z których żadne nie ma więcej niż dziewięć lat, siedzących pod ścianą na podłodze. Wszystkie są bose, mają na sobie brudne, nędzne ubrania, wyszarzale i sprane. Od razu widać, że dzieci od dawna się nie kąpały. W niewielkim pomieszczeniu panują niewyobrażalny smród i zaduch.

Ściany izby są gołe, ciemne i tłuste od osadzających się latami kuchennych oparów. Nie ma tu szafy ani żadnego kufra, jedynie niska szafka, pełniąca rolę spiżarni; drzwiczki są otwarte i zdumiona Olimpia widzi, że w środku jest niemal pusto. Chociaż na kołku wisi męska marynarka, w pomieszczeniu brak innych śladów obecności mężczyzny. Podłoga w jednym kącie izby jest wypalona, jakby kiedyś wybuchł tam pożar. Nad brudnym piecykiem wisi kilka kuchennych sprzętów: cedzak, nóż i rondel, a na kołkach wbitych w drewniane listwy znajduje się kilka sztuk garderoby. Olimpia nie dostrzega w pokoju żadnych dzieciennych zabawek. Na okiennym parapecie leżą natomiast schludnie złożone ubrania, częściowo opakowane w brązowy papier. Obok nich stoi fotografia w ozdobnej, srebrnej ramce, przedstawiająca mężczyznę i kobietę w ślubnych strojach. Panna młoda ma na sobie długą satynową, białą suknię i koronkowy

welon, który osłania czoło. Mężczyzna w grubym, wełnianym garniturze stoi obok, skupiony. Olimpia przenosi wzrok z fotografii na istotę na łóżku. Czy to możliwe, żeby to była ta sama kobieta? Jeśli tak, jak to się stało, że fotografia i srebrna ramka nie zostały sprzedane, jak niemal wszystko w mieszkaniu?

Haskell wlewa do ust rodzącej łyżeczkę laudanum. Używa swojej łyżeczki i uważa, aby nie rozlała się ani jedna kropla lekarstwa. Rozdygotane ciało na łóżku uspokaja się, a niewyraźne krzyki przechodzą w ciche jęki.

- Olimpio, podaj mi torbę.

Dziewczyna obserwuje, jak lekarz wyjmuje czyste prześcieradło, zwija brudną pościel na jedną stronę łóżka, rozkłada prześcieradło i naciąga, a następnie szybkim ruchem, którego Olimpia dokładnie nie zarejestrowała, wsuwa je pod ciało kobiety i prostuje z drugiej strony. Po przykryciu dolnej partii ciała ciężarnej białą płachtą, Haskell i pani Bonneau zdejmują z kobiety brudne ubranie.

- Olimpio, mogłabyś poszukać pompy? - mówi Haskell cicho i spokojnie, jakby prosił ją tylko o ołówek, poprawiając coś w pisanim właśnie tekście. - Weź rondel i przynieś wody. Muszę umyć pacjentkę.

Olimpia zdejmuje rondel z kołka nad piecem i wychodzi na korytarz w poszukiwaniu wody. Domyśla się, że pompa musi być gdzieś na tyłach ceglanego domu, ale w pierwszej chwili nie wie, jak się tam dostać najprostszą drogą, bez obchodzenia wszystkich budynków. W końcu znajduje małe drzwi w piwnicy, które prowadzą do zaniedbanego i dawno niepodlewane go ogródka. Pompa jest zardzewiała i chodzi bardzo ciężko, ale po kilku próbach udaje się wydobyć z niej wodę. Smród z pobliskiego wychodka jest wprost nie do wytrzymania i Olimpia zastanawia się, kiedy go ostatnio opróżniano. Starając się

jak najrzadziej oddychać, napełnia rondel wodą, wraca do przejścia w piwnicy i wdrapuje po schodach do mieszkania. Drzwi są zamknięte, a na korytarzu widzi trójkę dzieci. Siedzą na podłodze z nogami wyciągniętymi przed siebie i obcinają guziki od ubrań, które wyjęli z paczki leżącej na parapecie; uważają przy tym, aby ubrania nie dotykały podłogi. Szybko operują nożykami i sprawnymi ruchami podrzucają guziki w powietrze, łapią je zręcznie i wrzucają do metalowej puszki, stojącej obok na podłodze. Gdyby scena nie była tak wymowna, zręczność dzieci i tempo, w jakim poruszają się ich dłonie, za którymi nie nadąża wzrok, można by uznać za niewiarygodne, a nawet za zabawne. Ale ich wprawa świadczy jedynie

0 setkach godzin, poświęconych na zdobycie takiej umiejętności. Olimpia słyszy za drzwiami głęboki, gardłowy krzyk. Dzieci nie zwracają na to uwagi. Jedynie najmłodsze z nich, które ma nie więcej niż trzy latka, przerywa na moment zabawę i zaczyna ssać kciuk, który najstarsza dziewczynka niemal natychmiast wyciąga małemu z ust.

Olimpia stoi bezradnie z rondlem w rękach, zastanawiając się, czy może coś zrobić dla tych dzieci. Po chwili puka do drzwi. Otwiera jej stara kobieta, zabiera rondel

1 stawia go na piecyku. Dziewczyna odwraca się, aby spojrzeć na rodzącą, i jej oczom ukazuje się przedziwny widok. Haskell tak ułożył kobietę, że opiera się teraz na łokciach i kolanach. Sam klęczy obok z rękami zagłębionymi wewnątrz jej ciała. Olimpia czuje skurcze w brzuchu, wie jednak, że nie może uciec.

Olimpia ma tylko mgliste pojęcie co do porodów, a jej wiedza o anatomii jest w najlepszym razie powierzchowna. Narodziny dziecka są otoczone tajemnicą; to nie temat do rozmów w dobrych domach - nawet Lisette, któ-

ra uświadomiła ją już w kilku życiowych sprawach, ograniczała się jednak w tej kwestii do najbardziej niezbędnych informacji, przydatnych na pierwszym etapie kobiecości. Olimpia jest przerażona i zarazem zaciekawiona widokiem rozchylonych kobiecych nóg, tym najbardziej intymnym miejscem rozciągniętym i purpurowym, atakowanym nie tylko przez ręce lekarza, ale także niecierpliwie, nowe życie, które bezlitośnie podąża na zewnątrz, wywołując cierpienie. W tych wstrząsających okolicznościach Olimpia z trudem formułuje rozsądne myśli, dziwi ją jednak okrucieństwo Boga, który za pośrednictwem męczarni i bólu ofiarowuje ludzkości dar wydawania na świat dzieci.

Gdy tak patrzy, zdrętwiała z przerażenia, Haskell zmaga się z noworodkiem, wyciągając go jak upartą rzepę z twardej ziemi. Kobieta głośno krzyczy, mimo dawki laudanum. Białe prześcieradło splamione jest obficie krwią. Lekarz wydaje się jednak zadowolony z przebiegu porodu, nawet wtedy, gdy musi uciskać mocno ręką brzuch kobiety, masując i ugniatając żyjącą masę, która znajduje się w środku. Nagle gwałtownie przewraca kobietę na plecy i układa dłonie tak jak ksiądz nabierający święconą wodę. Śliska, purpurowa i niebieskawa istota wydostaje się na nowy świat.

Haskell wyjmuje kolejne prześcieradło z torby i wyciera śluz z oczu, nosa i ust dziecka. Trzyma je pod dziwnym kątem. Olimpia widzi, że to dziewczynka. Po chwili słyszą jej płacz; po kilku oddechach skóra noworodka zaczyna tracić sinawy odcień i robi się różowa. Olimpia pochlipuje - z ulgi lub wyczerpania, a może i z powodu szoku, sama tego nie wie.

Haskell bada dziecko i myje je w ciepłej wodzie. Potem wraca do matki i wyciąga z macicy resztki łożyska.

Wycieńczona porodem kobieta zapada w głęboki sen, przypominający śmierć. Lekarz instruuje panią Bonneau, która układa umytego noworodka przy piersiach nieruchomej matki. Wsłuchuje się w oddech Marie Rivard i wydaje jeszcze kilka poleceń. Tego dnia po raz pierwszy Olimpia słyszy w jego głosie irytację i domyśla się, że to skutek zmęczenia, a może i rozgoryczenia warunkami, w jakich żyje ta uboga rodzina.

Haskell myje ręce w resztkę wody, używając szarego mydła, piana łączy się z krwią, a ten widok zmusza Olimpię do odwrócenia głowy. Każe pani Bonneau wymasować później podbrzusze kobiety i obiecuje przysłać Malcolma z czystymi prześcieradłami i gazą, aby zatamować krwawienie. Sięga do kieszeni marynarki, wyjmując dwa banknoty jednodolarowe i daje je starszej kobiecie. Poleca jej kupić pomarańcze, mleko i chleb dla dzieci i pod żadnym pozorem nie dawać pieniędzy żadnemu krewnemu młodej kobiety ani ich nie przepić. Pani Bonneau, wdzięczna za uratowanie życia dziecku, a także być może jego francusko-kanadyjskiej matce, obiecuje, że zrobi wszystko dokładnie, według wskazówek lekarza. Jednak gdy Olimpia patrzy na Haskella, widzi jego sceptyczną minę i domyśla się, że chyba nie do końca wierzy, aby zastosowała się do jego zaleceń.

Umywszy się i ubrawszy, Haskell daje Olimpii znak i opuszczają mieszkanie. W korytarzu trójka dzieci kobiety, która właśnie urodziła czwarte, wciąż odcina guziki. Nawet jeśli wiedzą, że mają siostrzyczkę, nie dają tego po sobie poznać. Lekarz kuca przed najmłodszym, bierze w dłonie jego główkę i unosi w górę powiekę prawego oka. Dokładnie ją ogląda.

- Dlaczego nie bawicie się na podwórku? - pyta dziewczynkę po francusku.

Dziecko wzrusza ramionami.

Haskell sięga do kieszeni koszuli i wyjmując garść irysów, które rozdaje dzieciom. Następnie wstaje i nie pukając, otwiera drzwi do mieszkania. Daje starszej kobiecie kolejne instrukcje.

- *Out, oui, out* - słyszy Olimpia.

Wracają do bryczki. Haskell pomaga wsiąść Olimpii, potem wskakuje sam i bierze lejce. Słońce już prawie zaszło, a niebo ma kolor kurzu o barwie indygo. Wracają tą samą drogą w kierunku Ely i Fortune's Rocks, mają do przejechania jakieś dwanaście kilometrów. Na wspomnienie niezwykłych wydarzeń, których była świadkiem tego popołudnia i wieczoru, Olimpia czuje dreszcze. Zastanawia się, co sprawia, że jej towarzysz jest taki odporny i nie załamuje się pod ciężarem dramatycznych doświadczeń ze śmiertelnie rannymi i chorymi pacjentami. Domyśla się, że dla lekarza, który ma długoletnią praktykę i jest w pewien sposób zahartowany, kontakty z przypadkami narodzin i śmierci, przeplatające się ze sobą jak tego popołudnia, stają się czymś zupełnie normalnym. Trudno jej sobie jednak wyobrazić, jak mając do czynienia z ciałem ludzkim w ekstremalnych sytuacjach, podchodzić do niego bez emocji. Rękawy koszuli mężczyzny umazane są krwią i innymi wydzielinami, a Olimpia czuje odeń ostry, męski zapach - wcale zresztą nie nieprzyjemny.

- Nie powinnaś się bać rodzenia dzieci - mówi po pewnym czasie Haskell. - To, co dzisiaj widziałas, to coś absolutnie naturalnego i zwyczajnego. Czasami poród przebiega z pewnymi komplikacjami, ale nie jest ponad siły. Zdarza się, że prawa natury objawiają się w dość gwałtowny sposób przy przyjściu człowieka na świat,

a istota ludzka schodzi z niego z jękiem, ale zapewniam cię, że może być także zupełnie inaczej. Obawiam się, że dotkliwie zraniłem twoją wrażliwość.

- Nie czuję się zraniona - zaprzecza Olimpia. - Może raczej zaskoczona. A moja wrażliwość nie jest tak ogromna, jak pan sobie wyobraża. Tak naprawdę jestem wdzięczna, że pozwolił mi pan być świadkiem narodzin dziecka, to jest cudowne wydarzenie. Poza tym, czy nie lepiej znać prawdę o pewnych rzeczach?

- Mam na ten temat mieszane uczucia - odpowiada po namyśle.

- Ale czy dla swojego dobra kobieta nie powinna znać prawdy o sobie samej? Zastanawiam się, w jaki sposób mogłabym się dowiedzieć czegoś o porodzie, skoro jestem chowana pod kloszem?

- I dobrze, że tak jest - mówi Haskell. - Dzięki opiece, jaką roztacza nad tobą ojciec, masz szansę dorastać i rozwijać się, rozkwitać w zdrowych i odpowiednich warunkach. A jeśli wyjściem alternatywnym dla chowania pod kloszem jest obcinanie guzików w brudzie i warunkach urągających zdrowiu, to zdecydowanie pochwalam taką opiekę, nawet jeśli narzekam na duszną atmosferę...

- Potrząsa lejcami i bryczka zaczyna jechać szybciej. - Te dzieci powinny trafić do sierocińca - oświadcza z przekonaniem.

- Chce pan zabrać je matce? - dziwi się Olimpia.

- A dlaczego nie? Jak kobieta żyjąca w skrajnej nędzy może być odpowiedzialną matką? A w sierocińcu, pod opieką zakonnic, dzieci znajdą właściwe warunki higieniczne, dostaną regularnie posiłki, czyste ubrania, będą się bawić na świeżym powietrzu i otrzymają podstawową edukację. Jestem zdania, że to, czego byliśmy dzisiaj świadkami, to nie narodziny, ale dzieciobójstwo.

- Ależ z pewnością nie możemy obciążać matki całą winą za nędzę, w jakiej żyje wraz z dziećmi - protestuje Olimpia. - To także wina mężczyzny, który się nie zajmuje rodziną.

- Może zgodziłbym się z tobą, gdybym nie znalazł tych młodych imigrantek, zarówno z Irlandii, jak i z Francji, upijających się przy każdej nadarzającej się okazji. Ale na szczęście niektóre z owych zdesperowanych kobiet mają na tyle zdrowego rozsądku, aby prosić o pomoc. Błagają, aby ich dzieci przyjęto do sierocińców, jeśli tylko jest to możliwe.

- Nie wyobrażam sobie, abym mogła oddać komuś własne dziecko - mówi nieco zmieszana tematem rozmowy Olimpia.

Sama zauważyła, że dzieci pani Rivard są bardzo zaniedbane, ale trudniej niż Haskellowi przychodzi jej winić za to ich matkę.

Oczywiście, od kobiety o pozycji takiej, jaką ma jej matka, nikt nie oczekiwałby, aby oddała swoje dziecko do sierocińca, nawet jeśli znalazłaby się sama w trudnej sytuacji lub gdyby upijała się przy byle okazji. Czy zatem kobiecie żyjącej w nędzy i rozpaczającej po odejściu męża należy odmówić, w majestacie prawa, tego, co najcenniejsze? Olimpia przyznaje jednocześnie, że wydawanie na alkohol pieniędzy przeznaczonych na jedzenie dla dzieci jest szczególnie naganne. Problem z natury wydaje się bardziej skomplikowany i nie da się go rozstrzygnąć w krótkiej rozmowie. Wieczór przychodzi nagle, sygnalizując, że Olimpia jest już niedopuszczalnie spóźniona. Być może uda się jej wytłumaczyć swoją nieobecność w ciągu dnia, ale ojciec z całą pewnością zdenerwuje się, jeśli nie zobaczy jej w domu wieczorem.

- Wracając do naszej rozmowy - kontynuuje Haskell

- to nie wierzę, aby cokolwiek dobrego wynikało z ukrywania przed młodą kobietą, którą czeka małżeństwo i macierzyństwo, fizjologicznych konsekwencji takich decyzji. W niektórych sytuacjach, a z pewnością należy do nich poród, niewiedza może być śmiertelnie szkodliwa. W swojej praktyce nieraz miałem do czynienia z młodymi kobietami, które zaczynały rodzić, nie wiedząc nawet, że są w ciąży.

Olimpia zastanawia się, jak to możliwe. Wydaje jej się, że taka naiwność jest wynikiem świadomej ignorancji. Jadąc przez Ely, obserwują życie w małej osadzie: w oknach domów palą się światła, po ulicach przemykają ukryte w cieniu postacie, które właśnie wytoczyły się z tramwaju. Od czasu do czasu dobiegają ich śpiewy i pijackie okrzyki, ale w większości ludzie wracający z festynu są zmęczeni i spokojni. Olimpia uświadamia sobie nagle z wyjątkową jasnością, że wszyscy ci przechodnie na ulicy przyszli na świat w sposób, jaki obserwowała tego popołudnia. I nie to jest zdumiewające, że była świadkiem porodu, ale że mając prawie szesnaście lat, nie widziała tego wcześniej.

- Był pan przy narodzinach własnych dzieci? - pyta Haskella. Jej dociekliwość chyba trochę go dziwi. Kiedy wjeżdżają na drogę przez bagna, na niebie pojawia się księżyc w drugiej kwadrze. Odbijając się perłowym blaskiem na powierzchni wody, oświetla kręte drogi słonawego labiryntu, dzięki czemu krajobraz nabiera wręcz magicznej urody jak podziemna kryjówka bogów lub włości zimnej królowej.

- Nie byłem obecny przy narodzinach dwojga najstarszych dzieci - mówi Haskell - ale pomagałem przy przyjściu na świat trójki pozostałych.

- Wydawało mi się, że ma pan czwórkę - rzuca Olimpia bez zastanowienia.

- Ostatnie urodziło się martwe - wyjaśnia Haskell. -W marcu zeszłego roku.

- Och, tak mi przykro...

- To także jest w pewien sposób zgodne z naturą -przerywa jej. - Ciało dziecka było bardzo zdeformowane. Olimpię nawiedzają naraz niepokojące obrazy. Wyobraża go sobie klęczącego między nogami żony, niezwykle intymna scena, stanowiąca ostry kontrast w stosunku do powściągliwego zachowania się tej pary przy stole w jadalni. Wyobraża sobie także niemowlę, zupełnie niepodobne do tego, jakie widziała po południu, ze zdeformowanymi kończynami, gwałtownie próbujące wydostać się na zewnątrz tylko po to, aby umrzeć w chwili narodzin. Olimpia mocno zaciska dłonie na ramionach.

I wtedy, w gonitwie przypadkowych myśli, przypomina jej się zdjęcie na parapecie okna w mieszkaniu pani Rivard, niewielki obrazek w srebrnej ramce, uroda i młodość pary sfotografowanej w dniu ślubu, biała satyna sukni i welon obszyty perełkami. Zastanawia się nad różnicą między pełną godności pozą w dniu ślubu a niemal zwierzęcą pozycją podczas porodu w ponurym mieszkaniu. Odnosi wrażenie, że jeśli panna młoda i jej kawaler, robiący sobie zdjęcie, mogliby przewidzieć, w jakich warunkach będzie kiedyś stała oprawiona w ramkę fotografia, zapewne uciekliby przerażeni sprzed ołtarza. Haskell zatrzymuje konia.

- To było stanowczo za dużo, jak na jeden dzień -mówi, odwracając się do niej.

- Nie - zaprzecza Olimpia - ja...

Zaciąga się słonym powietrzem, jakby to było jej własne laudanum, i odchyła w tył głowę. Czuje, chociaż

właściwie tego nie widzi, jak nad ich głowami przelatuje nietoperz.

- Olimpio, chciałbym ci coś powiedzieć, o ile mi pozwolisz.

Dziewczyna prostuje ramiona i patrzy na niego.

- Nie musi pan pytać o pozwolenie ani ja nie muszę go dawać - oświadcza spokojnie.

- Sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, nie jest normalna, chociaż mnie wydaje się tak naturalna jak oddychanie. -Ostatnie zdanie wypowiada z pełnym przekonaniem.

- Jeśli będziemy rozmawiać o nienaturalności tej sytuacji - zauważa bez cienia wahania Olimpia - może się nam wydać, że to wszystko, co mamy sobie do powiedzenia.

Haskell dotyka palcami jej twarzy i odwraca ją tak, aby na niego spojrzała. Olimpia poddaje się jego woli.

- Olimpio, odkąd opuściłem wasz domu, myślałem tylko o tobie - wyznaje.

Dziewczyna na chwilę zamyka oczy.

- Skrzywdziłem cię najbardziej, jak mężczyzna z moją pozycją może skrzywdzić młodą kobietę - wyznaje Haskell - jeśli można w ogóle mówić o niedających się opisać uczuciach.

W świetle księżycy widzi ogniki w jego źrenicach.

- Ten tydzień był nieznośnie długi - dodaje, siedząc tak blisko, że Olimpia czuje jego oddech.

Ma ochotę pochylić się i położyć głowę na jego piersi.

- Panie Haskell - mówi. - Ja...

-Czy w myślach nie zwracasz się do mnie „John”? - pyta cicho mężczyzna.

- Kiedy o panu myślę, a myślę bez przerwy, nazywam pana „Haskell”

- odpowiada Olimpia bez wahania. I wyznając tę prawdę, przeżywa największą radość i ulgę w swoim życiu.

- Nie może tak być. Nie chciałem tego.
- To nie pana wina.
- Nie mówmy o tym więcej.
- Dobrze.
- To wszystko, co może nas łączyć. Rozumiesz?
- Tak. - Olimpia kiwa głową.
- Utraciłem wszelkie prawa, aby zwracać się do ciebie w ten sposób, a także wykorzystałem twoją dobroć, tracąc wszelką szansę na przebaczenie. Zatrzymując się tu, wykorzystuję także twoją niewinność i młodość, a to najgorszy rodzaj oportunistów. Mogę cię tylko zranić.
- Nawet przez minutę nie uwierzyłam w pana oportunistów - wyznaje szczerze Olimpia.

W powietrzu czuje się cierpki zapach morskiej soli, a także wilgotny, lecz całkiem przyjemny aromat bagien i morskich wodorostów.

Przyływ nie jest jeszcze duży.

- Nie boisz się? - pyta Haskell.
- Nie - odpowiada Olimpia.

Wtedy kładzie ręce na jej nadgarstkach i powoli przesuwając dłonie w górę pod luźnymi mankietami koszuli. Wymawia jej imię i przyciska dłonie do jej ciała, jakby chciał tchnąć w nie swoją siłę. Odrywa ręce od jej ramion i wkłada palec pod kołnierzyk bluzki, odpinając pierwszy guzik. Nachyla się i przyciska usta do skrawka skóry na szyi, gdzie wcześniej Olimpia skierowała jego rękę.

Olimpia po raz pierwszy czuje, jak jej ciało się zmienia, staje się płynne, otwiera się, chce więcej i więcej. Potem całkowicie nieruchomieje. To długi pocałunek, jeśli można go nazwać pocałunkiem, chociaż dziewczyna doświadcza czegoś innego: nie opuszcza jej wspomnienie Francuzki z rozłożonymi nogami oraz niesfornego żywego kształtu przeciskającego się przez nią; nie napawa jej to lękiem, jest raczej wrażeniem, którym się pasjonuje;

czuje, że rozumie to, co ją także spotka w odpowiednim czasie. Dotyka z tyłu szyi mężczyzny i wyczuwa delikatne włosy. Haskell odrywa usta od szyi dziewczyny i przyciska czoło do jej czoła, wzdychając, jakby tylko ten szczególny rodzaj uścisku dawał mu ukojenie.

Pozostają tak, aż księżyc wznosi się wyżej, a świerszcze zaczynają swoją muzykę. W oddali widać zbliżający się powóz.

-Jest już późno, muszę wracać - mówi Olimpia. -Proszę mnie zawieźć do falochronu, dalej pójdę sama.

Nadjeżdżający powóz jest już całkiem blisko, gdy niechętnie odsuwają się od siebie. Siedzący w nim pasażer pozdrawia oboje. Haskell chwyta lejce i jada dalej. Gdy są już przy falochronie, wokół którego kręcą się jeszcze wieczorni biesiadnicy, pomaga Olimpії wysiąść, ujmuje jej dłoń i żegna się w tak oficjalny sposób, jakby pragnął zaprzeczyć wszelkiej intymności, jaka była ich udziałem dosłownie kilka minut wcześniej.

Ojciec siedzi w fotelu na werandzie i pali - ciemna sylwetka, o której obecności świadczy jedynie żarzący się koniec cygara.

- Czy to ty, Olimpio? - pyta.

- Tak, ojczek - odpowiada, wbiegając po schodach. Staje na linii jego wzroku. Ojciec unosi świeczkę i trzyma ją chwilę przed dziewczyną. Przygląda się jej twarzy, garderobie.

- Martwiliśmy się o ciebie - mówi. - Jest już po dziesiątej.

- Poszłam na długi spacer wzdłuż plaży i spotkałam Julię Fields, z którą zjadłam obiad - wyjaśnia Olimpia, czując, że wcześniej przygotowane kłamstwo o wizycie u Farragutów mogłoby zostać zbyt łatwo odkryte.

- Nie jestem pewien, czy znam Julię Fields. Ojciec jest nieco zaskoczony. - Gdy nie wróciłaś o zmroku, poszedłem do Victorii Farragut, aby cię przyprowadzić - dodaje, potwierdzając tym samym słuszność jej wcześniejszej decyzji.

- Zatrzymałam się chwilę przy ich werandzie - tłumaczy Olimpia - ale zorientowałam się, że jeśli tam zostanę, będę zmuszona prowadzić nudną rozmowę z Zacharią Cote'em i umknęłam, wybierając własne towarzystwo.

To sprytne kłamstwo, ponieważ ojciec bez trudu rozumie kłopotliwą sytuację, w jakiej mogła się znaleźć, schwytana w pułapkę rozmowy z człowiekiem, który wygłasza przy stole same pochlebstwa i jest śmiertelnie nudny. Teraz uśmiecha się lekko, ale gdy Olimpia bierze świecę, widzi, że ojciec wpatruje się w jej rozpiętą u góry bluzkę. Słaby uśmiech znika, a na jego twarzy pojawia się cień niepokoju.

-Jestem zmęczona, ojczu - mówi szybko Olimpia, mijając go. - Dobranoc.

Ale nie nachyla się, aby go pocałować, jak czyniła to zwykle na dobranoc, ponieważ wciąż czuje zapach Johna Haskella, jakby pory jej skóry wchłonęły esencję tego mężczyzny, obcą woń, którą napawa się Olimpia, niezrażona tego ewentualnymi konsekwencjami w przyszłości.

Dni mijają za dniami i wydaje się, że całe wybrzeże pokrywa szary całun, który przez niemal tydzień nie rozwiął się ani nie zgęstniał na tyle, aby przemienić się w sztorm. Pada deszcz, regularna mżawka, uniemożliwiająca niemal wyjście z domu. Fatalna pogoda jeszcze wzmacnia poczucie izolacji Olimpii, życie obok tych, którzy ją otaczają. Czuje się tak, jakby przebywała w ciepłym i szczelnie zamkniętym kokonie, w wilgotnym i obcym świecie.

Kiedy spaceruje po werandzie, moknie w czasie krótkiego wypadu na plażę, siedzi przy posiłku w jadalni, rozmawia, wyraźnie roztargniona, z ojcem czy też próbuje czytać książkę Johna Greenleafa Whittiera lub grać z matką w trik-traka, każdą chwilę poświęca myślom -nie, jest przez nie zdominowana - o Johnie Haskellu. We wszystkich świadomych refleksjach Olimpii lub nieświadomych, pojawiających się we śnie, występuje John Haskellu. Jej roztargnienie nie umyka uwagi innych, chociaż nie wiedzą, czym zostało spowodowane. W miarę upływu dni dziewczyna z coraz większym trudem ukrywa uczucia (a może ma na to coraz mniejszą ochotę); kilkakrotnie zdarza się, że jest wręcz niebezpiecznie bliska ujawnienia

prawdziwej przyczyny swojego zachowania. Raz lub dwa zbyt gorliwie wtrąca nazwisko Haskella do rozmowy z ojcem, odwołując się częściej niż należałoby do napisanej przezeń książki lub pracy, jaką wykonuje w Ely Falls. A podczas przyjęcia, na którym są Rufus Philbrick i Zachariah Cote, tak kieruje rozmową, aby dotyczyła fabryk i postępowych reform; w towarzystwie tych dwóch wystarczy bowiem głośno wypowiedzieć słowo „fabryki” lub „postępowe”, aby natychmiast zostać nagrodzoną, a nawet zaskoczoną w pewien ukryty sposób. Jednak po zastosowaniu takiego właśnie triku Olimpia ma wrażenie, że pan Cote obrzuca ją dziwnym i pełnym zadumy spojrzeniem, a potem najślabszym ze swoich uśmiechów. Zaczyna się poważnie zastanawiać, czy to możliwe, żeby czytał w jej myślach.

Olimpia czuje, że wszyscy bacznie jej się przyglądają, uśmiechając się lub marszcząc brwi w zależności od tego, co uda im się wydedukować z jej reakcji. Ojciec zachowuje powściągliwy dystans: nie chce oskarżać córki o coś, na co nie ma dowodów. Olimpia domyśla się, że tamtego wieczoru na werandzie nie dał się zwieść i miał podejrzenia co do pewnej samowoli z jej strony, ale świadomie zdecydował się wyrzucić je z myśli. Być może matka także baczniej ją obserwuje, ale ponieważ rzadko opuszcza swój pokój, nie ma wielu okazji, aby coś zauważyć. Jednak nawet jeśli rodzice rzeczywiście zastanawiają się nad powodem jej dziwnego zachowania, Olimpia jest przekonana, że przypisują to przejściowemu stanowi, przez jaki przechodzi wiele młodych panien w jej wieku. Może wyobrażają sobie, że przeżywa niewinny romans z niedawno poznanym chłopcem albo zaangażowała się w nieszkodliwy flirt, do którego w swojej naiwności przywiązuje zbyt dużą wagę.

Dziwne, ale w tym czasie, za każdym razem, gdy rodzice przyjmują w domu gości lub gdy Olimpia ma okazję obserwować Josiaha, wykonującego swoje obowiązki albo też ojca, czytającego książkę, zwraca uwagę na pewne cechy mężczyzny, których wcześniej nie dostrzegała - albo jej nie interesowały: kawałek skóry, ukazujący się czasami między mankietem koszuli a nadgarstkiem, gdy ktoś, na przykład, wyciąga rękę do drzwi; pełna wdzięku ospałość panów, stojących niedbale z dłońmi w kieszeniach; to, w jaki sposób objawia się siła, serce męskiego ciała. Chociaż dziewczyna widziała już wcześniej wszystkie te męskie atrybuty - a raczej po prostu przyswajała je wzrokiem - nie pobudzały jej nigdy do dalszych świadomych myśli, jak dzieje się to aż za często w czasie tych licznych, deszczowych dni.

Po południu szóstego dnia Olimpia robi na drutach w swoim pokoju, lecz czynność ta wywołuje w niej jedynie odrętwienie i apatię. Aby się ożywić, postanawia wypić filiżankę herbaty. Schodząc po przykrytych dywanem schodach, słyszy męskie głosy dochodzące z gabinetu ojca. Przystaje w pół kroku, a obcas jej pantofla nieruchomieje na listwie stopnia. Bacznie nasłuchuje, aby rozróżnić uczestników rozmowy. Jeden z głosów należy, oczywiście, do jej ojca, co do drugiego też nie ma wątpliwości. Dyskusja dotyczy nowej książki z fotografiami.

Nabrawszy powietrza w płuca, Olimpia schodzi na dół i wkracza, przybierając swobodny wyraz twarzy, do gabinetu ojca, jakby chciała tylko zobaczyć, kto jest jego gościem. Ojciec dostrzega ją i przerywa w pół zdania. Haskell, który stoi do niej tyłem, odwraca się powoli. Po krótkim jak uderzenie serca wahaniu podchodzi do Olimpii, jak przystało na prawdziwego dżentelmena i ujmuje ją za rękę.

- Panno Biddeford - mówi - jak miło znów panią widzieć.
- Chyba znasz moją córkę na tyle dobrze, aby zwracać się do niej po imieniu - decyduje ochoczo ojciec (nie ma pojęcia, jaka niezamierzona ironia brzmi w tych słowach).
- A zatem, Olimpio - zwraca się do niej uprzejmie Haskell.

Trzyma w ręku kapelusz. Dziewczyna widzi krople deszczu na jego płaszczu. Buty mają ciemne plamy wilgoci przy noskach. Jego fryzura spłaszczyła się trochę pod kapeluszem, a twarz jest czerwona, jakby długo biegł. Pod pachą trzyma książkę, być może to pretekst do złożenia im wizyty.

Jacy są przebiegli, jak zdolni do oszustwa okazują się w ciągu tych kilku minut, gdy wypowiadają uświęcone rytuałem zdania.

Puszczają swoje dłonie w odpowiednim momencie i odwracają się nawet odrobinę w stronę ojca Olimpji, jakby chcieli go włączyć w to powitanie. Ten wydaje się szczególnie zadowolony z wizyty Haskellą, ponieważ szczerze go lubi i podziwia, nalega więc teraz, aby gość został na herbacie.

- Właśnie schodziłam do kuchni, aby nastawić imbryk - odzywa się Olimpia.

- Doskonale - cieszy się ojciec. - Masz doskonale wyczucie czasu, Haskell. Olimpio, przynieś herbatę do salonu. Tu nie ma miejsca, a na werandzie jest za zimno.

Opuszcza ich i wyprostowana idzie przez jadalnię i mały korytarz do kuchni. Jednak kiedy tylko zamyka za sobą drzwi, pochyla się ciężko nad blatem stołu i zwiesza głowę. Sama się sobie dziwi, że potrafi tak świetnie oszukiwać, że tak dobrze jej się to udaje.

Po chwili dochodzi do siebie, zdejmując czajnik z kuchni, napełnia go wodą i ponownie stawia na fajerkach,

jeszcze niewystygłych po lunchu. Pani Lock, która pochodzi z Halifax i nie wróci do nich przed kolacją, zostawiła na stole talerz z placuszkami jagodowymi. Ze spiżarni Olimpia wyjmuje masło i dżem, doskonale pasujący do placków, i ustawia wszystko na tacy. Potem siada na krześle, aby poczekać, aż ugotuje się woda i ustanie drżenie rąk.

Kuchnia jest obszerna, pomalowana na kolor bladej zieleni i ozdobiona białym paskiem. Okna wychodzą na ogród z tyłu domu. Na przeciwległej ścianie znajduje się ceglany kominek, tak wysoki, że Martha mogłaby stanąć w środku wyprostowana. Podłoga zrobiona jest z szerokich, sosnowych desek. Pani Lock to bardzo schludna kobieta, ponieważ na podłodze nie ma ani okruszka chleba, ani szczypty soli, ani nawet kurzu w szparach między deskami. Za szybami kredensów błyszczą naczynia i talerze, w kącie zaś stoi wypolerowana na wysoki połysk dębowa komoda.

Olimpia spuszcza wzrok na kolana i nagle dociera do niej, że ma na sobie perkalową suknię beżowego koloru, którą nosi tylko w domu. Dzisiaj włożyła ją, ponieważ nie oczekiwano niczyjej wizyty. Ścisła w dłoni wyblakły materiał i rozpaczliwie zastanawia się, jak mogłaby się przebrać w bardziej stosowny strój. Wie jednak, że nie może tego zrobić; chociaż bez trudu przebiegłaby kuchennymi schodami na górę, do swojego pokoju, gdzie zdążyłaby zmienić suknię, zostałoby to gorzej odebrane niż jej domowy ubiór. W dodatku włosy ma związane z tyłu w niedbały węzeł, nie przykładała się dzisiaj do fryzury, która jest w zupełnym nieładzie.

Słyszysz skrzypienie drzwi i odwraca się na krześle.

- Olimpio - odzywa się Haskell.

Wstaje na jego widok.

Z twarzy mężczyzny na pierwszy rzut oka nic nie można wyczytać. Dopiero w jasnym świetle kuchni Olimpia widzi cienie pod jego oczami.

- Nie potrafiłem trzymać się z dala - wyznaje Haskell. Olimpia kładzie dłoń na oparciu krzesła. On podchodzi bliżej.

- Twój ojciec szuka książki w gabinecie - mówi Haskell, ostrożny i sprytny jak sekretny kochanek. - Powiedziałem, że pomogę ci przynieść tacę. Mamy tylko minutę, najwyżej dwie.

Olimpia dotyka jego płaszcza na wysokości piersi. Jest mokry od deszczu.

Haskell obejmuje ją i mocno przytula do siebie. Olimpia wyraźnie czuje przyływ sił. Jest przy nim taka mała, że niemal ginie w jego objęciach. Uwalnia jedną rękę, zarzuca mu na szyję i przyciąga go do siebie, jej ruchy są tak instynktowne, jak ruchy kogoś, kto odpędza od twarzy muchę. Haskell otwiera usta, co przeraża Olimpię, bo nigdy przedtem nikt jej tak nie całował. Smakuje jego język, wewnętrzną linię jego warg. Pochyla głowę, odsłaniając szyję. Haskell powoli przesuwając usta po odsłoniętej skórze, a Olimpia drży pod ich dotknięciem.

I to wszystko. Kończy się czas, jaki mają dla siebie.

Haskell cofa się, jego puste dłonie zachowują jeszcze jej kształt, usta szepczą jakieś słowa. Ma przekrzywiony krawat, a Olimpia, nie mogąc wymówić ani słowa, wskazuje palcem na swój kołnierzyk.

Czuje ciężar włosów, które całkiem już opadły na plecy, i usiłuje je na nowo związać. Twarz mężczyzny nabiera nienaturalnej, czerwonej barwy, usta Olimpii są spierzchnięte.

Do kuchni wchodzi ojciec.

- A więc znalazłeś ją - mówi uprzejmie, patrząc na córkę i gościa, ale niezupełnie ich widząc. - To książka, którą chciałem ci pokazać, Haskell. Fotografie są doprawdy zdumiewające.
Przenosi wzrok z lekarza na Olimpię i wydaje się zaskoczony bezruchem córki.
- Mogę ci pomóc? - pyta.

Po spotkaniu Olimpii i Haskella w kuchni wszyscy zasiadają na werandzie, otoczeni szarym sukniem bezlitosnej pokrywy chmur. Przybyły prowadzi uprzejmą rozmowę z gospodarzem, a Olimpia zupełnie nie może pojąć, jak jest do tego zdolny. To dla niej całkowicie absurdalne - nawet więcej niż absurdalne - aby jeść placuszki z jagodami, rozmawiać o fotografii i nadchodzącym stuleciu, kiedy chwilę wcześniej ona i Haskell spotkali się w kuchni. I po raz kolejny tego lata z zaskoczeniem przyjmuje fakt, że w jej życiu mogą się zdarzyć takie rzeczy. Gdy myśli o pocałunku w kuchni, czuje ucisk w żołądku, a z jej twarzy odpływa cała krew. Wciąż na nowo przeżywa to, co wydarzyło się w rzeczywistości, a dusza i ciało doznają szoku. Zastanawia się, jak ona i Haskell mogli to zrobić? Przecież nie wolno im zachowywać się w ten sposób! A potem, jak ktoś, kto łączy w myślach dwa sprzeczne i całkiem odmienne poglądy lub dwie teorie, już po chwili ma nadzieję, że nie mają już innego wyjścia, tylko reagować w ten właśnie sposób, że to, co przyciąga Haskella do niej, a ją do niego, jest tak naturalne jak oddychanie.

Kiedy Olimpia budzi się następnego dnia, morze ma kolor połyskliwej zieleni, jego powierzchnia jest gładka,

ale nie odbija światła, wygląda jak sadzawka pokryta szumowinami. Miała niespokojną noc, nie jest pewna, czy w ogóle zasnęła; zastanawia się też, w jakim stopniu widziany przez nią kolor oceanu jest wynikiem niewyspania, a w jakim rzeczywistym obrazem natury.

Jest niedziela, a ojciec wychodzi z założenia, że letnie rozrywki nie stanowią przeszkody w oddawaniu powinności Bogu, więc Olimpia wie, że wszyscy pójną do kościoła. Ubiera się w stanie pewnego odretwienia, a toaleta zajmuje jej dwa razy więcej czasu niż zwykle. W pośpiechu zbiega ze schodów i bierze od Josiaha płaszcz oraz kapelusz. Służący informuje ją, że być może słońce wyjdzie dziś zza chmur. Sam też jest ubrany odświętnie i wyjaśnia, że jedzie do kościoła razem z nimi.

- Mama i ojciec panienki są już w powozie - dodaje, bacznie jej się przyglądając. - Mam nadzieję, że panienka dobrze się czuje?

- Tak, dziękuję, całkiem dobrze - odpowiada Olimpia, poprawiając kapelusz, zadowolona, że ma szerokie rondo, które ukryje jej zmienioną twarz.

Przed drzwiami Josiah podaje jej ramię, a dziewczyna z wdzięcznością przyjmuje pomoc, gdyż ma się na kim wesprzeć. Kościół jest skromnym, krytym brązowym gontem budynkiem z drewnianymi wykończeniami w kolorze żółtej ochry. Nad dachem góruje wysoka, drewniana wieża, zwieńczona prostym krzyżem, który jest widoczny z Fortune's Rocks. Olimpia nie cierpi jeszcze na kryzys wiary, ale nie jest też dewotką. Boga i jego przykazania, w interpretacji nadanej przez wieki, uważa za fundamentalne zobowiązania człowieka wobec społeczeństwa i rodziny. Kiedy jest w kościele, cieszy ją czasami poczucie spokoju, jakie ogarnia ją, gdy się modli, podoba się jej

również muzyka towarzysząca nabożeństwu. Częściej jednak odczuwa w tym ciemnym sanktuarium trwogę i niecierpliwie czeka, aby znaleźć się na zewnątrz.

Drogi są błotniste, więc jazda trwa dłużej niż zwykle. Całą czwórkę przenika dojmujący chłód i trwają skuleni, ze zwieszonymi głowami, chowając się przed bezlitosnym żywiołem. W kościele siadają w swojej ławce. Wokół unosi się zapach mokrej wełny, słychać też, jak przybyli otrzepują płaszcze, strząsając z nich wilgoć. Ciemnoczerwone i brązowozłociste witraże wypełniają półkolistą sklepienie okna. Mrok rozprasza jedynie światło świec w lichtarzach na ścianach. Wydaje się, że w kościele zawsze panuje noc, w pierwszej chwili trudno rozróżnić twarze i postaci wiernych. Z kościelnego sklepienia zwisa na łańcuchach ambona z rzeźbionego czereśniowego drewna. Jako dziecko Olimpia wyobrażała sobie czasami, że łańcuch się zrywa i ambona z pastorem spada na posadzkę -te przerażające fantazje były raczej wynikiem dziecięcego znużenia niż komentarzem do wygłaszanych kazań.

Siedzą w milczeniu, każde zatopione we własnych myślach. Olimpia ma wrażenie, że jej rodzice również nie są głęboko religijni, ale kto tak naprawdę może poznać głębię wiary drugiego człowieka? Przecież wiara należy do najbardziej intymnych i najlepiej strzeżonych ludzkich uczuć. Zanim chór rozpocznie śpiew, Olimpia zerka w prawo, wychylając się przed wyprostowaną i skupioną postać ojca i sprawdza, kto siedzi w ławce po drugiej stronie nawy. Chyba wydaje przy tym stłumione westchnienie, ponieważ ojciec szybko odwraca głowę w jej stronę. Olimpia zwolniona jest od odpowiedzi, gdyż właśnie rozpoczyna się pieśń.

To było tylko krótkie spojrzenie: dostrzegła kapelusz z szerokim rondem, pod którym kryje się burza srebrzy-

stych włosów; a także rękawiczki z koźlej skóry ozdobione perłowymi guzikami; dziecinny bucik, kołyszący się w przód i w tył; skrawek błękitnej bawełnianej koszuli na zwróconych bokiem ramionach; mankiet spodni, mokry na samym dole - a w górze doskonały męski profil bez brody i wąsów. Musiał ją dostrzec, domyśla się Olimpia. Z pewnością wie, że ona tu jest. A wcześniej widziała Catherine, którą służący prowadzi na miejsce naprzeciwko ławki ojca Olimpui. Zapewne przywitają się po skończonym nabożeństwie.

Olimpia siedzi nieruchomo, zdecydowana nie dać po sobie nic poznać. Jej nienaturalna sztywność daje jednak ojcu do myślenia, bo co chwila zerka na dziewczynę. Nic jednak nie mówi; przecież w kościele należy zachować milczenie.

Jeśli kiedykolwiek była świadoma obecności innej osoby w pomieszczeniu, świadoma jej fizycznej obecności - mimo że w kościele znajduje się co najmniej setka osób - to z pewnością tego ranka, w czasie półtoragodzinnego nabożeństwa, kiedy mogła się modlić, prosić Boga o wskazówki, obiecać, że wyrzuci Haskella z myśli. Ale chociaż Olimpia próbuje rozmawiać z Bogiem, nie potrafi. Nie tylko z powodu szumu w głowie, lecz także dlatego, że jej dusza nie chce się wyrzec wszystkiego, co ostatnio zdobyła. I chociaż Olimpia tęskni za spojrzeniem tego mężczyzny, wystarczy jej, że kątem oka widzi materiał opinający jego nogę, ruch stopy.

Później zrozumie, że w ciągu tej półtorej godziny w kościele w kolorze brązu i ochry, otoczona rodziną, z wiernymi jako świadkami, pojęła, że ona i Haskell mają przed sobą wspólną przyszłość. I że nie wolno jej tworzyć na tej drodze żadnych przeszkód.

Po mszy Catherine zaprasza ich na lunch do Highland Hotel, a zaproszenie jest tak znakomicie trafione, iż nawet matka Olimpii nie ukrywa zadowolenia, że może się wyrwać z klaustrofobicznego uwięzienia, w jakie wpędziła wszystkich fatalna pogoda. W dodatku, cieszy się pani Haskell, która zaplanowała tę wizytę podczas kazania pastora, Biddefordowie wcale nie muszą wracać do domu; od razu mogą iść razem do hotelu. Rozmawiają, stojąc na środku kościelnej nawy, a Olimpia uporczywie wpatruje się w nietypowo ponure przedstawienie Ostatniej Wieczery. Haskell nie śmie jej w tym przeszkadzać; nie rozmawiają ze sobą. Lecz gdy kierują się do wyjścia, dziewczyna czuje na sobie jego wzrok - spojrzenie jest tak intymne, tak pełne znaczenia, że ona natychmiast się rumieni, co on z pewnością widzi.

Olimpia bierze za dobry znak zmianę pogody, gdyż w czasie spędzonym w kościele niebo zrobiło się niebieskie, a zachodni wiatr, który czuje się w powietrzu, rozpędził niemal wszystkie chmury, odpływające teraz znad morza. Tydzień nieustannego deszczu sprawił, że świat lśni kroplami, które pokryły każdy liść, każde źdźbło trawy, każdy krzak róży obok plaży. W drodze do hotelu mijają pokryte wilgocią skały, tak błyszczące w słońcu, że Olimpia aż mruży oczy.

W hotelu przechodzą przez przeszklone, frontowe drzwi do przestronnego holu, w którym stoi mahoniowy kontuar długości dziewięciu metrów, stamtąd zaś do restauracji, tak dużej, że zmieściłaby się w niej nawet setka gości. Ponieważ to niedzielny lunch, na stołach znajdują się wykrochmalone lniane obrusy, lśniące srebrne sztucce i biała porcelana, a cała sala wygląda jak przyjazny ocean. Tak bardzo różni się od ponurego wnętrza kościoła, które opuścili kilkanaście minut wcześniej. Olimpia zastana-

wia się, czemu ludzie, budując miejsce do modlitwy, nie przywiązują większej wagi do światła i piękna.

Catherine, czując się gospodynią, sadza po jednej stronie dziewczyny jej matkę, a po drugiej Marthę, jakby Olimpia nie była ani kobietą, ani dziewczynką, ale raczej należała do jakiegoś pośredniego świata. Ich zadowolenie i ruchy są sztywne, jak to zwykle przy niedzielnym posiłku, mimo to lunch upływa w cieplej, a nawet wesołej atmosferze; elektryzujący prąd, który przepływa między Olimpią a Haskelllem, siedzącym u szczytu stołu, osłabł trochę dzięki obecności innych. Catherine zaprasza na obiad także Josiaha, lecz ten odmawia, tłumacząc się potrzebą spaceru po plaży, dzięki czemu będzie mógł zaczerpnąć świeżego powietrza po tak długim przebywaniu w domu. Gdyby nie obecność Haskella, Olimpia z chęcią przyłączyłaby się do niego.

- Catherine, ślicznie wyglądasz.
- Czuję się lepiej, gdy wyszło słońce.
- Czy Josiah już poszedł?
- Mamo, czy muszę siedzieć obok Randalla?
- A zatem powiadasz, że nie otrzymaliście jeszcze zaopatrzenia?
- To przepiękne perły.
- Uważam, że kazanie było wspaniałe.
- A kim był solista?
- Podobno mają tu doskonałą jagnięcinę.
- Naprawdę?

Olimpia przysłuchuje się niezobowiązującej rozmowie, jaka toczy się podczas posiłku. Haskell patrzy na nią z końca stołu i wygląda raczej na przystojnego nieznanego niż na kogoś, z kim łączą ją intymne stosunki. Dziewczyna zastanawia się, czemu tak ochoczo oddaje-

my serce - a przez to również duszę - komuś, kogo ledwo znamy. Dostrzega, że wiele osób wchodzących do restauracji zwraca uwagę na Catherine i Haskella, siedzących obok siebie; ciemność i jasność. Catherine nie skrywa już swojej pięknej twarzy ani srebrnej pajęczyny włosów pod kapeluszem. Olimpia widzi, jak powoli wyciąga rękę w stronę męża i wygładza kosmyk włosów za jego uchem. Ten czuły gest żony każe dziewczynie odwrócić głowę. Ma wrażenie, że Haskell również, tolerując tego typu pieszczoty w jej obecności, ma poczucie ukrytej w nich ironii.

Wokół rozbrzmiewają delikatne dźwięki sreber uderzających o porcelanę, słysząc grzechotanie kostek lodu w kubelkach i szmer spokojnych albo ożywionych rozmów. Przez lśniące, wyczyszczone octem szyby widać zawsze obecną taflę oceanu - dobiega ich monotonny szum, od czasu do czasu przerywany nawoływaniem i piśkiem mew.

Ojciec skupił na sobie całą uwagę Haskella, co, zdaniem Olimpji, przyniosło ulgę im obojgu, jej i jemu. Catherine, ożywiona, w świetnym humorze, a może po prostu pełna radości na widok słońca po tak wielu dniach niepogody, cały czas rozmawia z matką Olimpji - co nie jest łatwym zadaniem, chociaż nawet Rosamundzie udzielił się dobry nastrój.

Obok Olimpji siedzi Martha, jednak nie jest jej łatwo wyłączyć się z rozmowy dorosłych, by słuchać naiwnych i chaotycznych komentarzy dziewczynek, z których każda chce skupić na sobie niepodzielną uwagę sąsiadki. Martha od czasu do czasu przerywa jej rozmyślenia, dając Olimpji do zrozumienia, że jest nieuprzejma, ignorując ich obecność. Kiedy więc po deserze prosi, aby po-

szła na górę zobaczyć jej pokój, Olimpia nie może odmówić, bo to zwróciłyby uwagę wszystkich. Wstają, przepaszając gości, a Martha ciągnie ją nerwowo za rękaw, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie opuszczą restaurację.

- Pudding był okropny - mówi Martha, gdy idą do holu. - Nienawidzę malin, a ty? Wchodzą między zęby, a gdy się je nagryzie, sprawiają ból.

- Tak, to prawda. - Olimpia kiwa głową z roztargnieniem.

- Poszłam dziś rano na spacer, zanim jeszcze mama wstała, i udało mi się zebrać dużo różnych perłowych muszelek, które morze wyrzuciło na brzeg podczas tej fatalnej pogody. Musisz mi powiedzieć, co to za muszle.

- Nie wiem, czy potrafię - zastrzega się Olimpia.

Wchodzą na czwarte piętro, gdzie Haskellowie zajmują pokoje z widokiem na ocean. Po drodze Olimpia podziwia błękitne ściany korytarzy i wysoki, biały sufit. Ponieważ niektóre drzwi są otwarte, może zajrzeć do innych pokoi, a przez okna widzi ocean, który wygląda tak, jakby rozciągał się tuż za szybami. Połączenie błękitu i bieli wywołuje skojarzenia z niebem i pierzastymi obłokami, wróżącymi piękną pogodę, i dziewczyna podejrzewa, że wystrój hotelu inspirowany był tym właśnie widokiem. Martha wprowadza ją do salonu, z którego można przejść do następnych pokoi - prawdopodobnie sypialnych. Pięknych okien nie zasłonięto ciężkimi kotarami, tylko obramowano framugi lekkim muślinem. Pokój nasycony jest delikatnym światłem, sączącym się przez przezroczystą tkaninę. To działa uspokajająco na duszę, jednak zmysły Olimpji są nienaturalnie rozbudzone; czuje ciekawość i obawę na myśl, co może tu znaleźć, jak kochanka, która dociera do prywatnej korespondencji swojego ukochanego. Chociaż Martha cały czas coś do niej

mówi i rozkłada na stole znalezione skarby, oczy Olimpii wędrują po pokoju w poszukiwaniu oznak obecności Haskella, ciekawa jak mu się tu mieszka.

Na biurku w kącie stoi kilka książek i coś, co wygląda jak otwarta księga rachunkowa, wypełniona drobnymi pochyłymi literami, pisanymi błękitnym atramentem. Obok rejestru leżą okulary i Olimpia jest zaskoczona ich widokiem, gdyż nigdy nie widziała Haskella w okularach. Na fioletowo-różowej sofie dostrzega białą, szydełkową narzutę, zwiniętą tak, jakby ktoś okrywał sobie nią niedawno nogi. Na podłodze kolo sofy leży książka Josepha W Smitha, *Pokłosie morza*, założona jedwabną wstążeczką.

Martha ciągle ją wypytuje o muszelki. Olimpia stara się, jak może zidentyfikować skarby dziewczynki, kilku jednak nie potrafi nazwać - powierzchnia jednej muszli delikatnie opalizuje i jest tak krucha, jakby miała się rozpaść w palcach.

- Najpiękniejszej tu nie ma - narzeka Martha. - Pewnie Randall ją zabrał. Wiem, że to on. Poczekaj chwilę, domyślam się, gdzie ją schował. - Wybiega z salonu w stronę jednej z sypialni. Olimpia przez chwilę patrzy na morze. Po plaży spaceruje wiele osób, radośnie brodzą w wodzie, ciesząc się zapewne z pięknej pogody po fatalnym tygodniu deszczów.

Czekając na Marthę, podchodzi do drzwi po drugiej stronie korytarza. Nie do końca zdaje sobie sprawę z tego, co robi i dlaczego; chce być po prostu bliżej Haskella, poznać miejsce, w którym mieszka. Cicho przekracza próg drugiej sypialni.

To pokój mężczyzny - co do tego Olimpia nie ma wątpliwości - i chociaż Catherine Haskell wstawiła tu swój kufer, wydaje się raczej gościem niż współmieszkan-

ką. Na sekretarzyku pod lustrem leżą szylkretowa szczotka do włosów i grzebień. Zasłane łóżko jest lekko wgniecione, jakby Haskell siedział na nim ostatnio i wkładał skarpetki. Pod oknem na stoliku z marmurowym blatem stoi porcelanowy zestaw do mycia i komplet przyborów do golenia: pędzel, kubek i brzytwa. Obok na wieszaku z watowanymi ramionami wisi surdut.

Olimpia, ośmielona długą nieobecnością Marthy, wchodzi do środka i ogląda pozostałą część pokoju -w oczy rzuca się jej od razu wielkie, dębowe biurko, na którym leżą fotografie. Z daleka niewiele widzi: czyjś profil, fragment kapelusza, poręcz, jak u nich na werandzie. Podchodzi do biurka i wtedy okazuje się, że to zdjęcia zrobione na frontowych schodach przed ich domem, tego dnia, kiedy Haskell przyniósł aparat.

Fotografie rozłożone są w formie wachlarza. Z samego brzegu, na zdjęciu schowanym za innymi, Olimpia dostrzega nogawkę spodni. Wyciąga je i rozpoznaje zdjęcie, które zrobiła Haskellowi na plaży w dniu festynu: spokojna twarz, swobodnie układające się ubranie, podwinięte mankiety ukazujące gołe łydki, porośnięte ciemnymi włosami i obsypane piaskiem; w tle rodzina francuskich imigrantów. Olimpia zamyka na chwilę oczy. Gdy ponownie je otwiera, wzrok jej pada na inne zdjęcie, schowane za tym, które sama zrobiła. Wysuwa je lekko palcem wskazującym. To jej portret. Uwagę dziewczyny przykuwa jednak nie sam wizerunek, ale rozmazany odcisk palca, który uszkodził warstwę emulsji.

Do pokoju wchodzi Martha, trzymając w wyciągniętej ręce odnaleziony skarb, jest wyraźnie zaskoczona. Olimpia rzuca zdjęcie na blat biurka i przybiera znudzoną, obojętną minę.

- Szukałam toalety, aby umyć ręce - wyjaśnia.

- To nie tutaj - odpowiada Martha, marszcząc brwi.
- Znalazłaś muszelkę - cieszy się Olimpia, podchodząc do niej.
- To nie jest muszelka - mówi dziewczynka. Cofa się i bacznie przygląda Olimpii. - To szkło morskie.
- Mogę zobaczyć? - pyta dziewczyna, odwzajemniając spojrzenie Marthy z takim spokojem, na jaki ją tylko stać.
- Nie powinnyśmy tu wchodzić.
- Oczywiście. Podejdźmy do okna w salonie, abym mogła lepiej zobaczyć kolor.

Po wyjściu z sypialni Haskella stają przy oknie, gdzie Martha niechętnie podaje jej swój skarb - bładoniebieska powierzchnia szkiełka została wypolerowana przez miesiące lub nawet lata szorowania o skały i piasek. Wtedy Olimpia uświadamia sobie, niestety zbyt późno, że właściciel zdjęć natychmiast zauważy, iż są inaczej ułożone na biurku.

Rodzice stoją wraz z Haskellami w holu hotelowym. Olimpia nie patrzy na Haskellę, unika też wzroku Catherine. Obawia się, że Martha z jakichś osobistych pobudek objawi wszystkim, że Olimpia buszowała w sypialni ojca. Jednak Martha trzyma się z tyłu, najwyraźniej wciąż zadziwiona czymś, co, jak sądzi dziewczyna, w pewien sposób wyczuła, ale czego nie potrafi jeszcze zrozumieć. Ojciec Olimpii, który wypił przy obiedzie więcej wina niż powinien, zaprasza Haskellów na obiad we wtorek. Catherine gorąco dziękuje, nie może jednak przyjąć zaproszenia, ponieważ tego popołudnia wyjeżdża z dziewczynkami do Yorku. Narzeka też, że musi zostawić męża samego, a mówiąc to, bierze go za rękę. Właśnie w tej chwili Olimpia podnosi wzrok; nie może się powstrzy-

mać i patrzy na Haskella. I być może tylko ona dostrzega na jego twarzy wyraz cierpienia i skruchy: cierpi, myśląc o żonie i ich małżeństwie, skruchę zaś czuje w związku z uczynkami, których jeszcze nie popełnił, ale, Olimpia to rozumie, są im pewnego dnia pisane.

Czeka przez całe długie popołudnie i noc aż do świtu - kiedy jest już jasno, choć słońce jeszcze nie wzeszło, gdy cały świat zamarł na moment, jakby w skupieniu zbierał siły do życia. Po cichu myje się i ubiera w swoim pokoju, nasłuchując najdrobniejszych odgłosów z pokojów matki i ojca, a także Josiaha i Lisette, którzy mogliby tego dnia wstać wcześniej niż zwykle. Mając nadzieję, że nikt jej nie słyszy, Olimpia wyślizguje się z pokoju, przemyka przez dom i wychodzi na plażę.

Fale jeszcze śpią, brzeg morza jest płaską połacią piasku, pokrytą wodorostami. Długie pasma morskiego mchu wiszą na kamieniach jak wasy morsa. Na plaży są już zbieracze mięczaków, a na horyzoncie widać samotną łódź z brudnymi żaglami, która płynie równoległe do morskiego wybrzeża. Początkowo Olimpia idzie jakby bez celu, trzymając w jednej ręce buty, a drugą podciągając spódnice. Jednak po chwili ostrożność mija i dziewczyna zaczyna biec. Wszystkie najtrudniejsze decyzje podjęła dzień wcześniej. Wszystkie wątpliwości, a było ich niewiele, zostały wyjaśnione i usunięte.

W tym najbardziej desperackim momencie swojego krótkiego życia siada na stopniach hotelu, wkłada pończochy i pantofle i wchodzi do holu, gdzie natychmiast styka się z surową rzeczywistością w postaci nocnego recepcjonisty. Mężczyzna czyta formularz zgłoszeniowy na wyścigi i pali fajkę. Podnosi oczy, zdumiony widokiem młodej damy w holu hotelowym o tak wczesnej porze.

- Przysłano mnie po doktora Haskella - mówi Olimpia, wymyślając na poczekaniu pretekst. - Jest potrzebny w klinice. Pani Rivard miała ciężki poród...

Recepcjonista zaczyna rozumieć.

- Oczywiście, panienko. - Kiwa głową, o nic więcej nie pytając. - Pójdę po niego sam. Proszę tu poczekać.

Olimpia, trochę już zdenerwowana, spaceruje po holu, oglądając wypchane końskim włosiem sofy, portrety olejne na ścianach oraz rzeźbione kolumny, wokół których rozstawiono kryte aksamitem foteliki dla gości. Wcale nie ma ochoty na nich siadać. Czas jej się dłuży, ma wrażenie, że Haskell już dawno powinien tu przyjść. I nagle zaczyna wątpić, czy podjęła właściwą decyzję. A co będzie, jeśli Catherine nie wyjechała z dziećmi po południu, tak jak planowała? A jeśli on rozgniewa się na nią za ten podstęp? Z pewnością będzie zły, bo jakżeby mogło być inaczej? Olimpia prawie go nie zna. Z pewnością pomyśli, że jest głupia, jeśli nie szalona.

Ogarnia ją panika i zdenerwowana rozgląda się dookoła. Nie podała recepcjoniście nazwiska. Haskell domyśli się, ale przecież ona nie musi tu zostać. Szybko rusza w stronę frontowych drzwi. Lecz gdy jest już blisko wyjścia, słyszy zdyszany głos recepcjonisty.

-Jest tutaj, proszę pana. Jak dobrze!

Haskell, trzymając w jednym ręku płaszcz, a w drugim torbę lekarską, widzi ją z drugiego końca holu. Olimpia nie może zrobić kroku. Mężczyzna zbliża się do niej powoli.

- A zatem chodzi o panią Rivard - mówi spokojnie. Olimpia może jedynie kiwnąć głową.

- Świetnie, porozmawiamy o tym na werandzie. Olimpia posłusznie opuszcza hol, a następnie schodzi za Haskellem po schodach. W milczeniu idą na tyły bu-

dynku. Tuż za rogiem potyka się o wystającą rurę kanalizacyjną. Haskell chwyta ją za ramię.

- Olimpio, spójrz na mnie, proszę. Odwraca się i patrzy mu w oczy.

- Całym sercem pragnąłem - mówi Haskell - przyjść do ciebie pierwszy. Rozumiesz?

Kiwa głową, ponieważ mu wierzy.

On wchodzi pierwszy, aby otworzyć pokój. Olimpia rusza w ślad za nim, odczekawszy stosowną chwilę.

Słońce już wzeszło i przez okna w korytarzu wpada słoneczne światło, oślepiając Olimpię, gdy przechodzi z cienia do światła. W hotelu nie zapanowało jeszcze poranne ożywienie, chociaż tu i ówdzie Olimpia słyszy dźwięk płynącej z kranu wody, a nawet czyjeś kroki z tyłu. Przez okno widzi bieliznę suszącą się na sznurze oraz grupkę służących pijących herbatę na kuchennych schodach. Gdy wchodzi do pokoju, Haskell stoi przy oknie z rękoma skrzyżowanymi na piersiach, a jego ciemna sylwetka odbija się od oświetlonego muślinu. Olimpia zdejmuje kapelusz i kładzie na stole. Haskell pochyla się i patrzy na nią długą chwilę, jakby zamierzał namalować jej portret i zamiast twarzy dziewczyny widział raczej szkice, linie i punkty.

Ale w jego oczach jest także oczekiwanie. Wyraźne oczekiwanie.

- Olimpio - mówi.

Otwiera ramiona i idzie w jej stronę. Przyciska głowę Olimpji do swojej piersi, a dziewczyna opiera ją tam z wdzięcznością, czując niezwykłą ulgę.

- Jeśli naprawdę bym cię kochał - mówi Haskell - nie powinienem ci na to pozwolić.

- Naprawdę mnie kochasz - zapewnia go Olimpia. Haskell przesuwa palce w dół i w górę po jej plecach, a Olimpia obejmuje go niepewnie. Nigdy dotąd nie obejmowała mężczyzny, nigdy nie dotykała szerokich, męskich pleców, nigdy nie czuła męskich mięśni. Już się nie boi, ale nie czuje jeszcze intensywnego podniecenia, które pozna później. Doświadcza różnych wrażeń, przepływających przez nią falami i czuje się bardziej płynna niż cielesna. Kładzie dłonie na koshuli Haskella.

Nagle ma wrażenie, że przez jego ciało przebiega niemal niewyczuwalne drżenie. Jest bardziej muskularny niż sobie wyobrażała, a może sprawiają to tylko napięte mięśnie pod jej palcami. Wydaje jej się, że wszystko wokół jest większe, bardziej zachęcające i potężniejsze niż w jej marzeniach.

- Olimpio, nie możemy tego zrobić.

Jest zaskoczona, nieprzygotowana do dyskusji.

- To już się stało - mówi.

- Nie, jeszcze nie. Możemy to przerwać. Ja mogę to przerwać.

- Nie chcesz tego przerwać - zapewnia go Olimpia i wierzy, że to prawda.

Ma nadzieję, że to prawda.

- Jestem żonaty. A ty masz niespełna szesnaście lat.

- Czy to ma jakieś znaczenie? - pyta Olimpia.

- Musi mieć - odpowiada Haskell, pozwalając, aby cofnęła ręce.

Odsuwa się od niej na krok. Olimpia kręci głową. Czuje nagły lęk, dostrzegając jego wątpliwości.

- Olimpio, co ja ci zrobiłem!

- Nie chodzi o to, co zrobiliśmy - odpowiada dziewczyna. - Tak po prostu jest.

On zamyka oczy.

- Sądziłam, że to rozumiesz - dodaje Olimpia.
 - Nie możemy spodziewać się przebaczenia.
 - Od kogo? - pyta ostro. - Od Boga?
 - Od twojego ojca - mówi Haskell. - Od Catherine.
 - Nie - przyznaje Olimpia. - Nie możemy się tego spodziewać.
- Na twarzy Haskell'a pojawia się wyraz rezygnacji -a może radości?
Olimpia widzi, że jego ciało przestaje stawiać opór.
- To będzie dla ciebie dziwne - mówi Haskell, starając się ją przygotować.
 - Niech będzie dziwne - zgadza się dziewczyna. -Chcę, żeby było dziwne.

Haskell zaczyna rozpinać guziczki przy kołnierzyku jej sukienki, ale nie może sobie poradzić z perłowymi kulkami, które wyslizgują mu się z palców. Olimpia chwilę czeka, a potem sama rozpina kołnierzyk. Niecierpliwi się, pragnąc ponownie znaleźć się w tym płynnym świecie, który istnieje sam dla siebie, nie jako preludium, nie jako następstwo, nie w rozproszeniu, lecz jako pochłaniające wszystko i spowijające ją uniwersum.

Następuje zmiana tempa, Haskell zaczyna szybciej oddychać, ona chyba także. Obejmują się niezgrabnie. Olimpia uderza lekko plecami o kant sofy i sztywnieje. Wydaje się jej, że ma na sobie stanowczo zbyt wiele rzeczy, w dodatku o skomplikowanych zapięciach. Haskell jednym ruchem zrzuca marynarkę. Sukienka Olimpii jest rozpięta tylko przy kołnierzyku.

- Pozwól mi się położyć - prosi dziewczyna.

Jak to możliwe, że jej ciało wie, jak się poruszać i gdzie znaleźć najlepsze dla siebie miejsce, mimo że nigdy nikt jej tego nie uczył? To musi być instynkt - to z pewnością instynkt - coś w rodzaju fizycznej praktycz-

ności. Nikt nigdy nie opisywał Olimpii miłosnego aktu, nie widziała na rysunkach, nie czytała o tym w książce. Nawet najbardziej prymitywne dziecko wieśniaka miałoby na ten temat więcej wiedzy od niej.

Idzie sama do sypialni, do pokoju, gdzie Haskell niedawno leżał ze swoją żoną. Łóżko jest rozgrzebane, jakby ktoś zerwał się z niego w pośpiechu. Nie ma najmniejszego śladu Catherine, nie ma też fotografii, które leżały na biurku. Olimpia zdejmuje suknię, pończochy, gorset i halkę. W samej bieliźnie wślizguje się do łóżka i przykrywa kołdrą.

On wchodzi do pokoju i staje w nogach łóżka.

- Gdybyś tylko wiedziała, jak pięknie wyglądasz -mówi.

Olimpia obserwuje go, gdy zdejmuje kołnierzyk i rozpina koszulę. Po raz pierwszy w życiu widzi rozebranego mężczyznę. Jest zaskoczona tym, jak Haskell wyciąga spinki z mankietów i zdejmuje kołnierzyk, jakby uwalniał się z jarzma. Dziewczyna czuje się dziwnie, jest jej zimno pod gładką pościelą i obawia się męskiej nagości, której zresztą tego dnia nie zobaczy. On też wchodzi do łóżka w bieliźnie.

Olimpia układa się w zgięciu jego ramienia i opiera na nim głowę. Jedną rękę kładzie na piersi Haskella. Przez chwilę milczą, cisza jest niespokojna i pełna oczekiwania. W ich ruchach nie ma żadnej gwałtowności czy też pośpiechu. Gwałtowność nadejdzie później, na początku każdy gest jednego z nich w kierunku drugiego poprzedza namysł, jakby chcieli w pełni zrozumieć, co robią.

Haskell zmienia pozycję i usuwa łokieć spod głowy Olimpii, tak że dziewczyna leży teraz pod nim.

- Widziałem cię tamtego dnia na plaży. Nie pamiętasz mnie.

- Chyba nie.

- Myślę, że wtedy cię pokochałem. Tak, jestem tego pewien.

-Jak to możliwe?

- Nie wiem - odpowiada. - Ale jestem tego pewien. A potem, gdy zobaczyłem cię na werandzie tej nocy przesilenia letniego, doświadczyłem... - Haskell szuka właściwego słowa. - Poczułem, że cię znam. Poznałem cię.

- Tak. - Olimpia kiwa głową, ponieważ czuła to samo.

- Nie możesz wiedzieć, jakie to cenne - ciągnie Haskell. - Wydaje ci się, że zawsze tak jest. Ale to nie tak. -Opiera się na łokciach i całuje ją powoli w szyję, jakby należał do nich cały czas tego świata, choć przecież tak nie jest. - Zazdroszczę ci - mówi. - Zazdroszczę ci, że nie wiesz nic więcej.

Olimpia czuje, jak Haskell wsuwa się na nią, ciężar się zwiększa, jego ręce ściągają z niej resztę bielizny. Przez moment zajmuje się czymś, co musiał mieć w ręku, gdy wchodził do łóżka, a czego Olimpia nie potrafi zidentyfikować, chociaż później Haskell wyjaśni jej, co to było.

Czy czuje ból? Raczej nie. W każdym razie nie jest to straszny ból. Raczej uczucie większego ciężaru, przebijanie się, chociaż ona nie stawia oporu. Chce go w siebie przyjąć.

- Sprawiam ci ból? - pyta w pewnej chwili Haskell.

- Nie - odpowiada Olimpia, z trudem łapiąc oddech. -Nie.

Drży i dygocze w trakcie tego, co się dzieje. Słońce podnosi się, rzucając ciepły prostokąt światła na topazową, miękką narzutę, tak zadziwiająco niemęską, przypominającą kapę w pokoju jej matki.

Otula ich miętka, gładka pościel - niemal jedwabista, niemal biała - a dalej

widnieją surowe kształty mahoniowych rzeźbionych mebli: szafy, łóżka, nocnych stolików. Na krześle leży męska garderoba, jej fragmenty rozrzucone są także po chodniku przypominającym kilim. Olimpia przygląda się deseniom na suficie w kolorze szałwi. Dopiero tuż pod koniec, pod sam koniec, czuje w swoim ciele pewne napięcie i przyspieszenie, delikatną sugestię rozkoszy, przedsmak tego, co pewnego dnia otrzyma. To dziwne, ale rozumie tę zapowiedź, chociaż po raz pierwszy doświadcza głębokiego wyciszenia, jej oddech się uspokaja i wie, że już po wszystkim. Ciężar Haskella, który czuje na sobie Olimpia, wzrasta. Boi się, że on nie zdaje sobie sprawy, iż może ją zgnieść. Delikatnie porusza się pod nim, gdy mężczyzna niechętnie się z niej ześlizguje. Natychmiast jednak przyciąga ją do siebie, tuląc tak, jak tuli się dziecko, jak być może tulił własne dzieci. Olimpia układa się w jego potężnych ramionach.

Po pewnym czasie dziewczyna słyszy regularny oddech Haskella, który zapadł w drzemkę, odpływając i wracając do świadomości, w szczególny rodzaj snu, który później ona nauczy się doceniać, a nawet będzie dumna, że jest tego świadkiem.

Haskell budzi się nagle.

- Olimpio.
- Jestem tutaj.
- Mój Boże. Jak cudownie.
- Tak - szepce Olimpia.
- Nie powiem, że jest mi przykro.
- Nie, nie wolno nam tak mówić. Dziewczyna przesuwając się, aby zobaczyć jego twarz.
- Czuję się teraz inaczej - wyznaje.
- Naprawdę? Czy nie jest ci żal... ?

- Nie. - Już nigdy nie będzie tą samą dziewczyną, którą była przedtem. - Nie wiedziałam nawet tyle, aby się nad tym zastanawiać - ciągnie. - Nie miałam pojęcia. Najmniejszego pojęcia.

-Jesteś zdenerwowana...?

- Nie. Nie jestem. To cudowne. Stać się kimś takim. W taki sposób.

- To cudowne z tobą - mówi Haskell. - Z tobą.

- Powinnam już iść - oświadcza Olimpia. - Zanim przyjdzie pokojówka.

Haskell martwi się, że tak szybko poznała sztukę kłamstwa.

- Jeszcze nie - protestuje.

Leżą razem, dopóki na korytarzu nie rozlegną się kroki. Haskell niechętnie wstaje, gładząc jej rękę od ramienia do nadgarstka, jakby nie mógł fizycznie znieść rozstania. Ubiera się bardzo wolno, nie spuszczając z niej wzroku. Dopiero gdy na korytarzu słychać głosy - lokalną wymowę pokojówek - zaczyna się śpieszyć. Na chwilę wychodzi z pokoju i wraca z ręcznikiem, który jej podaje. Wtedy nagle Olimpia dostrzega w tej sytuacji coś niestosownego: to, że on jest ubrany, a ona leży naga w łóżku.

- Przyda ci się to - mówi Haskell, całując ją. Dyskretnie wychodzi do salonu i zamyka za sobą

drzwi, aby mogła się ubrać. Kiedy Olimpia wstaje, dostrzega krew na udach oraz na prześcieradle i rozumie, po co dał jej ręcznik. Widok krwi wywołuje w niej szok. Nie wiedziała o tym. Ale on wiedział.

Oczywiście, musiał wiedzieć. Przecież on wie wszystko na ten temat.

Haskell wchodzi do sypialni, gdy Olimpia kończy wiązać buty.

Podnosi się i odwraca do niego, stojąc po drugiej stronie łóżka, i wtedy spostrzega, że nie przykry-

la plamy krwi. Haskell otwiera usta, aby coś powiedzieć, ale dziewczyna macha ręką, aby go uciszyć. Rozumie, że ten moment potrzebuje specjalnej oprawy, że coś powinno się stać, chociaż nie wie, co. Nie czuje się zakłopotana, po prostu nie chce o tym teraz rozmawiać. Tak, z pewnością nie chce o tym rozmawiać. Wyciąga rękę i bez wahania naciąga topazową kapę na prześcieradło, zakrywając plamę. I jest przekonana, że oboje w tym momencie myślą o narodzinach dziecka, których byli świadkami.

Idą do drzwi. To kłopotliwa sytuacja, myśli Olimpia, jako że on musi tu zostać, a ona wychodzi. Trudno im rozmawiać. Olimpia jest wdzięczna, że Haskell nie proponuje następnego spotkania. Wie, że we właściwym momencie to nastąpi, ponieważ nie mogą być osobno. Haskell całuje ją przy drzwiach. Olimpia opuszcza pokój i wychodzi na korytarz. Słyszy wokół rozmowy, jakby cała reszta świata już się przebudziła: wysokie głosy kobiet, natrętne, domagające się posłuchu; niskie, fałszywe chichoty mężczyzn. Powietrze zmieniło się i dominuje w nim zapach pomarańczy. Haskell zamyka drzwi. Olimpia schodzi na dół na miękkich nogach. Zastanawia się, co on zrobi z zakrwawioną pościelą. W korytarzu widzi w lustrze swoje odbicie i jest zaskoczona, że jej usta są jakby rozmazane i niewyraźne. Nie ma ochoty wychodzić jak złodziej kuchennymi drzwiami i postanawia przejść przez hol, lecz kiedy tam wkracza, czuje na sobie tuzin par oczu. Domyśla się też, że recepcjonista musi być zdziwiony jej widokiem, przecież przyjechała zabrać doktora Haskell'a do pani Rivard. Hotelowi goście, którzy zeszli już na śniadanie i czekają na resztę towarzystwa przed drzwiami restauracji, także jej się przyglądają. Obserwuje ją również służba hotelowa, biegająca przez hol

ze złożonymi serwetkami. Olimpia wychodzi na werandę, gdzie zatrzymuje się na chwilę przy wiklinowym fotelu, zbierając siły na pokonanie kolejnych schodów. Słońce jest już wysoko, ale światło wydaje się jakby przyćmione. W dali widzi rybaków w łodziach do połowu homarów, którzy sprawdzają sieci.

- Panna Biddeford?

Zaskoczona Olimpia odwraca się nagle. Na jej twarzy musi się malować przestach, ponieważ Zachariah Cote wyciąga rękę, aby ją uspokoić.

- Nie chciałem pani przerazić - tłumaczy się gorliwie. Poeta, w kamizelce w kratkę, sprawiający wrażenie przyczonego, co podkreśla jeszcze jego zapadnięta klatka piersiowa, robi na niej wrażenie zjawy ze świata, który pozostawiła za sobą i do którego wcale nie chce wracać.

- Widuję panią w najdziwniejszych miejscach - mówi słodko Cote.

- Co pan ma na myśli? - pyta Olimpia, cofając się o krok.

Mężczyzna zbliża się do niej.

- Jestem pewien, że widziałem panią czwartego lipca późnym wieczorem w bryczce na poboczu drogi. Na bagnach.

Podpiera podbródek na dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym, i przygląda się Olimpji w tak imperty-nencki sposób, że dziewczyna czuje się nagle bardziej naga niż chwilę wcześniej w sypialni. Doprawdy, jego spojrzenie jest bezczelne, a uśmiech tak wyrachowany, że ma ochotę dać temu człowiekowi w twarz.

- Nie, to niemożliwe - mówi.

- A zatem pomyliłem się - oświadcza Cote, chociaż nie widać po nim skruchy. - Ale skąd się pani wzięła tu-

taj? - Patrzy wymownie na kieszonkowy zegarek. - Jest bardzo wcześnie. Właśnie wybieram się na śniadanie. Wracam ze spaceru. Zje pani ze mną?

- Nie, nie mogę - odmawia Olimpia.

Cote unosi brwi. Olimpia zostawia go na werandzie, zbiega ze schodów i kieruje się w stronę morza, które zmieniło kolor na gołębią szarość, odbijając zgromadzone nisko na niebie chmury.

Ojciec Olimpji jada zwykle śniadanie w samotności, albo, jeśli towarzyszą mu żona i córka, czyta przy jedzeniu książkę rozłożoną za talerzem. Jednak tego ranka, kiedy dziewczyna wchodzi do jadalni po powrocie od Haskella, ojciec bacznie się jej przygląda i obserwuje cały czas, gdy Olimpia bierze talerz i rozkłada na kolanach serwetkę. Chociaż bardzo ją peszy jego wzrok, nie może powiedzieć ojcu, aby przestał się w nią wpatrywać. Taka uwaga nie tylko potwierdziłaby, że dzieje się z nią coś dziwnego, ale także byłaby niedopuszczalna w ich wzajemnych relacjach. Zamiast tego więc Olimpia wita się i nalewa sobie pół filiżanki herbaty. Gdy nabiera wreszcie odwagi i zerka na ojca, nie dostrzega w jego spojrzeniu gniewu, tylko raczej dezorientację, jakby chciał się upewnić, że dziewczyna, która siedzi przed nim, nie jest, jak mogłoby się to wydawać, krętaczką i kłamczucha

— Olimpio, wyglądasz bardzo mizernie - zauważa ojciec, zatrzymując w powietrzu widelec z kawałkiem sadzonego jajka niesiony do ust. - Dobrze się czujesz? Czasami martwię się o ciebie. Byłem niespokojny zwłaszcza wczoraj wieczorem, gdy nie zeszłaś na kolację.

- Nic mi nie jest - odpowiada Olimpia, wbijając wzrok w jedzenie na talerzu. Jest głodna, a ciastko tru-

skawkowe wygląda szczególnie apetycznie. - Za bardzo się przejmujesz. Naprawdę, ojczy, nic mi nie jest. Gdybym była chora, powiedziałabym ci o tym. Ojciec pije herbatę.

- Tak, zawsze byłaś rozsądną dziewczynką - przyznaje. - To bardzo ładna sukienka.

- Dziękuję.

- A przy okazji, chciałbym wyprawić przyjęcie, częściowo z okazji twoich szesnastych urodzin.

- Przyjęcie? Tutaj?

- Matka i ja jesteśmy z ciebie bardzo dumni, Olimpio, i wiele sobie obiecujemy po twojej przyszłości.

Chociaż słowo „przyszłość” brzmi w uszach Olimpii ostrą i fałszywą nutą, odwraca głowę w stronę ojca.

- Dziękuję - mówi.

- Poza tym dostałem list od wielbego Edwarda Eve-retta Hale'a.

Pisze, że zamierza nas wkrótce odwiedzić. Wydamy kolację z tańcami. Myślałem o dziesiątym sierpnia. Jakies sto dwadzieścia osób? Większość to byliby letnicy z Bostonu, oczywiście, ale nie zapomniałem też o Philbricku i Legny. Tak, to będzie wspaniały wieczór. A co za tym idzie, chciałbym, abyś skończyła czytać kazania Hale'a przed przyjęciem. Oczywiście, przeczytałaś już *Człowieka bez kraju*.

- Tak, ojczy.

- Oczywiście zaprosimy też Haskellów, wiem, że John pragnie poznać Hale'a. Ich dom powinien zostać do tego czasu ukończony. John z pewnością nie jest zadowolony z hotelowych posiłków, niezależnie od tego, jak dobrze są podane.

- Do dziesiątego sierpnia zostały tylko trzy tygodnie -zauważa Olimpia.

- Tak, czasu mamy niewiele. Zaproszenia powinny być wysłane najpóźniej pojutrze. Dziś po południu ułoży-

my razem listę gości. Matka pomoże nam wypisać zaproszenia, jestem pewien.

- Oczywiście. - Olimpia kiwa głową.

W milczeniu rozważa plany ojca dotyczące przyjęcia. Są przerażające i podniecające zarazem. Przerażające, ponieważ publiczne spotkanie z Haskelllem i niemożność bycia z nim naprawdę będzie dla niej bolesna i niezręczna. Podniecające, gdyż każda okazja, aby go zobaczyć, nawet wśród innych ludzi, jest pożądana.

- Jeśli jest ktoś, kogo chciałabyś zaprosić... - proponuje ojciec.

Po raz kolejny obserwuje ją uważnie, a Olimpia ma nadzieję, że niczym się nie zdradziła.

- Nie, nikogo takiego nie ma - mówi. Ojciec kiwa głową.

- Muszę napisać parę słów i wysłać jak najszybciej. Josiah powinien zanieść dziś mój list Haskellowi, chcę wiedzieć, czy w tym czasie on i Catherine będą mogli przyjść. Sądzę, że John by mi nie wybaczył, gdybym zaprosił Hale'a w czasie, gdy nie mógłby nas odwiedzić. John i wielebny pasjonują się bardzo samochodami.

- Pozwól mi zanieść list do hotelu - prosi nagle Olimpia. - Mam ochotę się przejść.

Oboje jednocześnie patrzą w okno, a pogoda jest raczej kiepska. Jednak dziewczyna jest przekonana, że ojciec się zgodzi, gdyż równie mocno dba o jej fizyczną kondycję, jak intelektualną.

- Dobrze - mówi ojciec. - Spacer doskonale robi po obfitym śniadaniu. Tylko zostaw list w recepcji. Nie chciałbym, aby Haskell pomyślał, że wykorzystuję córkę do takich poleceń.

- Oczywiście. - Olimpia kiwa głową, smarując grubą warstwą masła drugi kawałek malinowego ciasta.

Wciąż ma wilczy apetyt.

- To niezwykły człowiek, nie sądzisz? - pyta ojciec.

- Bardzo go lubię - odpowiada dziewczyna.

- Mam na myśli Hale'a - wyjaśnia ojciec.

Płytką pokrywa chmur na niebie likwiduje cienie i powoduje, że krajobraz wydaje się płaski i pozbawiony koloru. Być może, rozmyśla Olimpia, idąc plażą, żadna paleta barw w naturze nie podlega takim zmianom jak wybrzeże morskie. Jeszcze dwa dni temu woda była jaskrawograna-towa, a róże obok plaży wyglądały jak maleńkie plamki różu. Lecz dzisiaj ten sam widok jest wyprany z koloru, morze wydaje się szare, a róże jakby wypłowiwały.

W kieszeni trzyma list ojca, w ręku pantofle. Wyobraża sobie, jak Haskell się ucieszy, gdy przyniesie mu ten list do pokoju. Jednak natychmiast nachodzą ją wątpliwości: a jeśli poczuje się urażony lub będzie zajęty? Nie zna jego planu dnia ani przyzwyczajień.

Na hotelowej werandzie jest tylko kilka osób. Kobieta robiąca na drutach, która uśmiecha się do Olimpii, i guwernantka z małym dzieckiem. Olimpia wchodzi do holu, wyjmując z kieszeni list i wręcza go recepcjoniście, na szczęście innemu niż ten z nocnej zmiany.

- A, doktor Haskell. - Recepcjonista czyta nazwisko na kopercie. - Właśnie je śniadanie w restauracji, panno... Zaraz mu to przekazemy. Przywołuje chłopca hotelowego i podaje mu kopertę.

- Dziękuję - mówi Olimpia.

Wychodzi na werandę i opiera się o poręcz. Zwraca oczy w stronę oceanu, ale nic nie widzi. Słyszy za sobą kroki Haskella, zanim zdążył się do niej odezwać.

- To więcej niż mogłem mieć nadzieję - mówi mężczyzna cicho.

Ma na sobie niebieską koszulę i szare lniane ubranie z kamizelką. Jego włosy są wilgotne i widać na nich ślady grzebienia. Olimpia odwraca się, Haskell instynktownie robi jeszcze krok w jej stronę i wyciąga rękę, jakby chciał jej dotknąć, ale w porę się powstrzymuje. Mimo to rzuca szybkie spojrzenie na robiącą na drutach kobietę.

- Olimpio - mówi.

Olimpia nie może zwrócić się do niego po imieniu, tak jak pieszczotliwie mówiła do niego żona.

- Miałeś wyjść - mówi, widząc, że ma ze sobą płaszcz i torbę lekarską.

- Muszę jechać do kliniki. - Haskell podchodzi bliżej. - Myślałem wyłącznie o tobie - dodaje cicho, aby tylko ona słyszała. - To agonია żyć w takim szaleństwie. Ale pragnę tej agonii, nie mogę temu zaprzeczyć.

Jest tak wiele rzeczy, o których Olimpia chce mu powiedzieć, ale nie może zebrać myśli, aby wyrazić je słowami.

On opacznie rozumie jej milczenie.

- Boli cię serce - mówi. - Dlatego przyszłaś.

- Nie - zaprzecza Olimpia, czując rumieniec zakłopotania na twarzy.

Nie potrafi spojrzeć mu w oczy i nagle uświadamia sobie własną młodość, swoją naiwność. Wie jednak, że jeśli dopuści do siebie myśl o przestępstwie, jakie popełnili, oboje będą zgubieni, a to, co zrobili, stanie się plugawe. - Nie - powtarza. - Nie boli mnie serce.

Jest w nim wielka radość i nie ma miejsca na cokolwiek innego.

Haskell znowu patrzy w stronę kobiety z robótką, która teraz pruje to, co zrobiła. Bierze Olimpię pod łokieć i sprowadza ze schodów.

Idą na tyły hotelu i zatrzymują się w niewielkiej wnęce. Stoi tam ławka, o którą

oparty jest rower. Są sami, chociaż widać ich z hotelu. Siadają na ławce.

Haskell przesuwa palce wzdłuż sukni dziewczyny, od kolana do biodra i zatrzymuje na jej udzie. Olimpia kładzie dłoń na jego ręce. Z kuchennych drzwi wychodzi pokojówka.

- To szaleństwo - mówi Haskell, niechętnie odsuwając dłoń.

Przez chwilę siedzą w milczeniu. Potem on przypomina sobie o liście.

- Z jakiej okazji jest to przyjęcie? - pyta, wyjmując kopertę z kieszeni. - Czy to twoje urodziny?

- Nie tego dnia - wyjaśnia Olimpia.

Haskell ponownie czyta list, a potem go odkłada. Dziewczyna sądzi, że chce zapomnieć o jej wieku.

- Oczywiście nie możesz... - zaczyna.

- Muszę o tym powiedzieć Catherine, bo i tak się dowie - mówi Haskell. - Z pewnością będzie miała ochotę przyjść. Zapewne będzie nalegać...

- Jest jeszcze tyle czasu - pociesza go Olimpia. - Teraz nie mogę o tym myśleć. Ojciec wspominał, że wasz dom będzie już gotowy.

Haskell kiwa głową.

- Chciałabym zobaczyć, jak wygląda. Haskell patrzy na nią dziwnie.

- Olimpio, nie potrafię z tobą rozmawiać o zwykłych sprawach, w normalny sposób. To tak, jakbym w ciągu nocy stracił poczucie normalności. Jedynym tematem, o którym pragnę myśleć i rozmawiać, jesteś ty. Dlaczego mamy przypominać sobie o domu, w którym będę musiał zamieszkać bez ciebie?

- Ponieważ taka jest rzeczywistość - odpowiada Olimpia. - Ponieważ tak będzie.

Haskell wydaje się zaskoczony, że ona już myśli o końcu.

- Gdybym miał chociaż odrobinę honoru, powinienem zostawić cię w spokoju. Gdybym dbał o twoją reputację.

Olimpia jest poruszona.

- Co znaczy reputacja w obliczu tego? - pyta. Haskell kręci głową.

- Nic, nic - mówi. - Kompletnie nic. Zdumiewasz mnie, Olimpio.

Dziewczyna odwraca głowę. Na trawniku z tyłu hotelu pojawia się mgła.

- Napisałem list - mówi mężczyzna. - Zrobiłem to dla siebie. Nie pisałem go po to, abyś przeczytała. Nie jest jeszcze skończony, to zaledwie szkic. Nie zamierzałem ci go dać, ale teraz postanowiłem to zrobić, mimo jego niedostatków. - Sięga do torby i wyjmuje kopertę. Trzyma ją chwilę w dłoni, a potem wręcza Olimpi. Potem patrzy na zegarek. - Muszę cię teraz pożegnać. Mam obowiązki w klinice. Obok ławki pojawił się chłopak, który zostawił tu swój rower. To chyba bagażowy lub stajenny, myśli Olimpia. Może to ogródek pracowników.

Haskell wstaje.

- Wolałbym, aby to było inaczej, Olimpio - oświadcza z przekonaniem. - Wolałbym sam przyjść do ciebie.

Ona też wstaje.

- Nie warto mówić o tym, co się nie stało - mówi.

Olimpia idzie wolno brzegiem plaży przez gęstniejącą mgłę. W domu, tak cicho, jak tylko potrafi, wślizguje się do swojego pokoju. Zamyka drzwi i natychmiast rozrywa kopertę. Po latach będzie wspominać tę chwilę jako dość

komiczną: siedzi na wysoko zasłanym łóżku, w kapeluszu na głowie i rwie kopertę na strzępy.

Czyta:

14 lipca 1899 Najdroższa Olimpio,

Jeśli kiedykolwiek jakiś' mężczyzna czuł, że jego dusza rozplywa się i stapia z inną, to tak właśnie czułem się tego ranka z Tobą. Dlaczego tak jest, nie umiem powiedzieć. Romans, jaki rozpoczęliśmy, jest zgubny z większej liczby powodów, niż potrafię wyliczyć. Jesteś taka młodziutka, a ja mam młodość już za sobą. Masz przed sobą całe życie, które, wiem o tym, w nieodwracalny sposób zniszczyłem. Przebacz mi, Olimpio. Nie, nie przebaczaj. Ten, kto nie żałuje, nie powinien prosić o przebaczenie; a ja, jako mężczyzna i kochanek, nie żałuję tych drogich chwil, jakie dane mi było spędzić z Tobą.

Wydawało mi się, że nie jestem typem człowieka, którego stać na wielką namiętność, że takie stany są fikcją, opisywaną przez osoby, pragnące widzieć więcej niż należy lub nawet jest wskazane w naturalnym, fizycznym kontakcie dwojga ludzi. Prawdę powiedziawszy, często byłem zadowolony z dystansu, jaki miewałem w tych sprawach, podzielany także przez Catherine, która nigdy nie objawiała silniejszej namiętności.

Przepraszam, jeśli Cię dotknąłem, pisząc w tak bezpośredni sposób. Bóg wie, że gdybym tylko mógł, przeprosiłbym również Catherine za to, że w taki sposób obnażam jej uczucia, ale wiem dobrze, że nie pozwoliłaby mi na żadne przeprosiny, tak samo jak wiem, że złamałbym jej serce swoją zdradą.

Najdroższa Olimpio, moje życie zmieniło się całkowicie od chwili, gdy po raz pierwszy zobaczyłem Cię na plaży. Ty mnie nie pamiętasz, ale ja pamiętam Ciebie: młodą kobietę w zapiaszczonej sukni z różowego jedwabiu. Szłaś boso po piasku, a każdy mężczyzna na plaży przyglądał Ci się i pragnął Cię. Później, na werandzie, gdy po raz pierwszy się spotkaliśmy, przeżyłem na Twój widok prawdziwy szok, bo czułem się tak, jakbyśmy się już kiedyś poznali.

Aż do tego dnia uważałem własne życie za w pełni satysfakcjonujące, byłem dumny ze swojej pracy, służby ludziom i zadowolony z życia rodzinnego; ale teraz to wszystko wydaje się mniej ważne, niż było kiedyś. Niewystarczające. Nie, nigdy już nie będzie wystarczające. Jak mam to sobie wytłumaczyć, nie mówiąc już o Tobie. Tobie, tak młodziutkiej, która dopiero zaczęłaś swoją życiową podróż?

Byłem także dumny z siebie, sądząc, że instynktownie rozumiem sprawy fizyczne, chociaż w rzeczywistości nie miałem o tym żadnego pojęcia, najmniejszego. Wydawało mi się, że dobrze siebie znam - moje zwyczaje były uregulowane - ale dzisiaj okazało się, że jestem dla siebie kimś obcym, całkowicie nieznanym człowiekiem. Jaki byłem spokojny, jaki z siebie zadowolony...

Jakże niezwykle jest dla mnie wszystko, co łączy się z Tobą. Wiesz już bardzo dużo o tym, jak sprawić rozkosz drugiej osobie, a także, jak sądzę, sobie samej, czego nie potrafi Catherine. Oprócz miłości do mnie i chęci sprawiania przyjemności innym nie wie, jak uszczęśliwić siebie. Myślę jednak, że nie martwi jej to zbyt. W takiej sytuacji trudno zrozumieć, co inni tracą... Aż do dziś nie zdawałem sobie sprawy, jak ważna jest dla mężczyzny rozkosz kobiety (i oczywiście, na odwrót).

Olimpio, nie powinnaś żałować tego, co zrobiłaś. Nie wolno Ci czuć wstydu. I wiem - naprawdę, to jedna z tych rzeczy, które mnie u Ciebie zdumiewają - że tego nie żałujesz, i nigdy nie będziesz. Nie tego. Może innych rzeczy, ale nie tego. Czy ja sam mam również takie samo przekonanie i pobożne życzenie? Szczerze wydaje mi się, że nie. Myślę, że rozumiesz to, co robisz. A może jestem tak obłudny, że widzę tylko to, co pragnę widzieć? Pragnę, a zatem wierzę, że jesteś bardziej dojrzała, niż wskazywałby na to Twój wiek, i masz taką wiedzę o własnym ciele, jakiej wiele kobiet nie zdobywa przez całe życie.

(Nie chcę tu sugerować, że myślałaś dzisiaj o własnej przyjemności czy nawet o tym, że nasz związek da Ci rozkosz, chociaż pewnego dnia poczujesz fizyczną rozkosz; jestem tego pewien).

Przebacz mi, Olimpio. Przebacz, że wzięłam od Ciebie to, co mi się nie należało.

Jakie to wszystko nierozważne. Jakie niebezpieczne.

Spotkałem Catherine w drugim roku pracy. Byłem pod wielkim wrażeniem jej wewnętrznego spokoju i delikatności. Jej ojciec jest pastorem metodystów, człowiekiem niezwykle skromnym, chociaż wykształconym i sympatycznym, człowiekiem, którego zdanie wiele dla mnie znaczy. (Boże, jak by mnie teraz nienawidził, gdyby wiedział'.

Między mężczyznami, między ojcem a kawalerem starającym się o rękę córki istnieje porozumienie co do pewnych spraw, którego nie można wyrazić wprost, a zwłaszcza nie w obecności kobiety; a zatem między mężczyznami musi istnieć pewnego rodzaju zaufanie, że córka, która pewnego dnia będzie żoną, nie zostanie w żaden sposób skrzywdzona. I mimo że niewypowiedziane, jest to bez wątpienia święte przekonanie.

Ojciec Catherine miał do mnie owo zaufanie, a ja uważałem, że to podsta-

wa mojego poczucia honoru. A teraz cierpię, ponieważ zawiodłem to zaufanie. Nie mogę o tym pisać.

Chciałem Ci opisać, Tobie, której pragnę mówić

O wszystkim, jak zakochałem się w Catherine i poprosiłem ją o rękę.

Miałem sposobność obserwowania jej, widziałem, jak opiekowała się swoimi siostrzenicami, których matka, Gertruda, zmarła w młodym wieku na gruźlicę. Podziwiałem sposób, w jaki Catherine zajmowała się tymi dziewczynkami, i zrozumiałem, że będzie cudowną matką dla własnych dzieci. Uznasz, że to przejaw oportunisty, i myślę, że tak było; ale ona także musiała widzieć we mnie dobry materiał na męża, ponieważ nie sądzę, aby w chwili gdy braliśmy ślub, żarliwie mnie kochała - to było raczej radosne i miłe uczucie, które dobrze świadczy o kobiecie i gwarantuje udane małżeństwo.

I mam nadzieję, że jej nie rozczarowałem.

(Chociaż teraz na pewno. Marzę, aby była Tobą. W każdej minucie. I dlatego, a także z uwagi na sekret, jaki noszę w sercu, boję się jej powrotu w piątek wieczorem. Nie potrafię cieszyć się oszustwem).

Zadaję sobie pytanie, dlaczego namiętność, która pojawia się poza małżeństwem, jest tak bezwzględnie zła? To pytanie stale do mnie powraca. Jak coś, co jest tak prawdziwe, szczere i czyste, bo tak właśnie muszę opisać swoje uczucia do Ciebie i nazywać je miłością - chociaż nigdy nie sądziłem, że może się ona zrodzić w tak krótkim czasie (jakże myliłem się także w tym względzie) - może być jednocześnie tak okropne i wywoływać taki ból? A co jeszcze dziwniejsze, dlaczego nie może mieć szczęśliwego zakończenia? Nie może... Nie...

Nie mogę zaprzeczyć, że poznałem Catherine na wszelkie możliwe dla mężczyzny sposoby i że była dla

*mnie bardzo dobra. A więc czemu - czemu - to nie wystarczyło?
Dlaczego? Szukam racjonalnej odpowiedzi, chociaż tu nie wchodzi w grę
rozum. Szukam naukowej odpowiedzi tam, gdzie nie ma
miejsca na naukę.*

*Czy to możliwe bowiem, że nasz związek, związek między Tobą a mną, ma
swoje źródło w nauce? Że ustanawia własne prawa fizyki i zasady? Czy
pewnego dnia będziemy w stanie wytropić to ślepe zjawisko zwane na-
miętnością i opisać je, a co za tym idzie ocalić się przed beznadziejną
agonią?*

*I jeszcze, czy mogę o tym marzyć? Czy mogę, naprawdę, pragnąć tego
uniesienia, tej tajemnicy, wyjaśnionej, a zatem oswojonej?*

*Muszę tu przerwać, ponieważ to wszystko złudzenia, które mnie
wyczerpują.*

*Nie jestem pisarzem, tylko człowiekiem medycyny, zarażonym chorobą
tak podstępną, że pacjent życzy sobie, by nigdy nie wyzdrowiał.*

Olimpia upuszcza kartki na podłogę, zakrywa twarz spódnicą i przez
pewien czas trwa w bezruchu.

Nigdy w życiu nie czytała takiego listu. Nigdy. Nie rozumie też w
pełni jego znaczenia ani nie czuje, aby kiedykolwiek potrafiła, poza
owym szczególnym kontekstem, sama taki napisać.

Opuszcza spódnicę i niecierpliwym ruchem rozwiązuje wstążki
kapelusza.

Mój Boże, myśli, co ja zrobiłam!

Nie ma wątpliwości, że wprawiła w ruch serię zdarzeń, których nie
da się powstrzymać, że w niezasługujący na przebaczenie sposób
wtargnęła w życie tego mężczyzny i jego rodziny, nadużyła zaufania
ojca i skrzywdziła tę miłą kobietę. Jedyne, co teraz może zrobić, to
sprawić, aby

Haskell o niej zapomniał, stąpić ostrze tego szaleństwa.

Powstrzymać chaos, który odczuwa, i z powodu którego musi być teraz bardziej rozsądna.

Nigdy więcej nie zobaczy tego człowieka, przysięga sobie, nie pozwoli mu też widywać się ze sobą. A jeśli Haskell przyjdzie do jej domu, ona wyjdzie.

Jakże była lekkomyślna, jaka samolubna, dbając jedynie o własne szczęście i nie zwracając uwagi na konsekwencje swojej decyzji.

Wie, że gdyby ojciec odkrył jej tajemnicę, na zawsze by go utraciła i już nigdy nie odzyskałaby jego zaufania.

Olimpia kładzie się na łóżku i przyciska do powiek zwinięte pięści. Potem otwiera oczy i przez pewien czas patrzy w sufit, a ponieważ jest wyczerpana, zasypia.

Budzi się jednak natychmiast i wstaje. Podchodzi do stolika z miednicą i dzbankiem wody, polewa wodą głowę i twarz, wyciska włosy. Wyciera twarz i patrzy na swoje odbicie w lustrze.

I tak szybko, jak gaśnie iskra z krzesiwa, zapomina o wcześniejszych postanowieniach. Pragnienie zobaczenia Haskella jest tak silne, że dziewczyna z całej siły musi nad sobą zapanować, aby nie zgiąć się w pół, jakby otrzymała cios w samo serce.

Zastanawia się, czy nie mogliby przynajmniej ze sobą porozmawiać, przedyskutować wątpliwości i refleksje zawarte w jego liście. Czy nie są sobie winni przynajmniej tego? A jeśli rozmowa w cztery oczy jest zbyt niebezpieczna, czy nie powinna napisać do niego? Tak, tak, powinna. I robi to.

Później zrozumie, jak sprytnie jej umysł pozwolił się przechytryć. Przecież potrzeba odpowiedzi nigdy się nie wyczerpuje, prawda? On jej, a ona jemu i tak dalej?

Olimpia nie wie, która jest godzina. Nie ma w pokoju zegara, a nie chce pokazywać się w takim stanie na dole.

Spogląda na morze, aby odczytać z barwy wody i nieba porę dnia, ale widzi to samo blade światło co wcześniej. Czy to popołudnie? Czy przegapiła lunch? A jeśli tak, dlaczego nikt jej nie wołał? Stara się jak najdokładniej wysuszyć włosy, czesze je i upina. Potem wyciąga z szuflady papier listowy oraz pióro i siada do pisania.

Drogi Panie,

już na początku mam związany język i straciłam mowę (jak zastąpić to słowo, jeśli nie chodzi o język, tylko o pióro i papier?), ponieważ nie mogę się zwracać do Ciebie ani per pan, ani John, jak mówią inni (myślę o Catherine), a w myślach, jak już wspominałam, zawsze nazywam Cię Haskell, pozwól mi więc poprawić nagłówek i chociaż nazwisko może w tym miejscu brzmieć nazbyt oficjalnie, zapewniam Cię, że wcale tak nie jest, nie w moich myślach o Tobie, które mnie ani na chwilę nie opuszczają.

Mój najdroższy Haskellu, jak daleko zawędrowaliśmy w ciągu tych kilku zaledwie krótkich godzin, których nawet nie spędziliśmy w swoim towarzystwie, ale samotnie z własnymi myślami i wątpliwościami, niezależnie od tego, jak bardzo okazały się niewystarczające.

Zastanawiałam się, czytając Twój list, który bardzo mi się podobał, przede wszystkim z uwagi na spontaniczność i brak zakończenia, czy nie powinnam nalegać, abyśmy się już nigdy nie widywali, nie kontaktowali ze sobą i zrobili wszystko, żeby się nie spotkać, nawet na najbardziej oficjalnych spotkaniach. Nie chciałam też początkowo odpowiadać na Twój list, aby jednym gwałtownym ruchem zerwać wszystko, co jest między nami. Ale okazało się, że nie stać mnie na to. Żadna cząsteczka mnie nie jest w stanie dotrzymać tego postanowienia. Co więcej, czuję, że niczego bardziej nie pragnę niż być z Tobą.

Muszę przyznać, że początkowo byłam przerażona Twoim listem i głęboko poruszona tym, że zaszliśmy tak daleko, i nie chodzi mi jedynie o doznania fizyczne, które wczoraj nami zawładnęły, lecz także o jeszcze bardziej pochłaniające sprawy duchowe, które nas połączyły i nie pozwolą nam się rozstać. Pragnę Ci powiedzieć, że jestem co najmniej tak samo jak ty odpowiedzialna za to, co stało się wczoraj i niezależnie od tego, co dzieje się z nami lub jak trudny egzamin czeka nas w przyszłości - bo czyż może z tego wyniknąć coś dobrego? Nie, podobnie jak ty, obawiam się, że nie - nigdy nie będę się czuła uwiedziona. Może jestem jeszcze młoda, ale mam swoją wolną wolę i wiele rozumiem, a chociaż to doświadczenie było dla mnie nowe, pojęłam je i zaaprobowałam, choć mogłam się w każdej chwili zatrzymać. Już teraz muszę napisać szczerze, że jestem bogatsza o wczorajsze wspomnienia i choć wspomnienia są tylko słabym echem tego, co stało się naprawdę, to skarb, z którym nie chcę się rozstać. Twój obraz jest odcisnięty we mnie tak, jak światło na papierze fotograficznym. Wiem już, że nigdy żaden mężczyzna nie będzie mi tak drogi.

(To ja pomieszałam zdjęcia na Twoim biurku. Domyśliłeś się tego od razu, prawda?)

Twoje cierpienie jest większe, ponieważ jesteś mężem wspaniałej kobiety. I chociaż ja też cierpię, ilekroć moje wewnętrzne oko spocznie na jej twarzy, jestem przekonana, że Ty niesiesz większy ciężar, ponieważ ja nie wiem tego, co Ty wiesz, co przeżyłeś z nią przez te wszystkie lata.

(Grzechem jest to, że ją krzywdzimy, prawda? Nie tylko to, że byliśmy razem wczoraj, ale że pisząc do siebie, świadomie ranimy ją w niewyobrażalny sposób?)

Tak bardzo podziwiam Twoją pracę. Ja nie mogłabym zostać lekarzem, bo chociaż interesuję się ciałem, nie

mam tyle odwagi, aby codziennie stawiać czoło brzydocie i śmierci. Ani też, co dziwne, nie mam wiele respektu dla lekarzy duszy, bo uważam, że spraw)' dotyczące duszy są zbyt osobiste, aby pozwolić tu na czyjekolwiek ingerencje. Czasami wydaje mi się, że chciałabym być pisarką lub /metką, chociaż nie jestem nadzwyczajnie utalentowana i nie wiem, co dobrego mogłoby wyniknąć z tego typu prób. Nie jestem jeszcze przekonana o wyższości sztuki nad innymi dziedzinami życia, wymagającymi zdolności i rzemiosła. Czy z dobrze zrobionego krzesła nie ma wię-'cej pożytku, a zatem i wartości? Lub z dobrze uszytego płaszcza? Z pewnością tak właśnie myśli biedna pani Ri-varđ. Podziwiam Cię jako pisarza, ale jeszcze bardziej jako lekarza, którego umiejętności i troskliwości miałam okazję podziwiać.

Tak, przyjdź na to niefortunne przyjęcie, które wydaje mój ojciec. Przyjdź. Napisz ojcu, że przyjmujesz zaproszenie. (Czy nie przypieczętuję owym największym grzechem swojego przeznaczenia, zachęcona szansą kontynuacji tego, co zaczęliśmy, tym razem w obecności Catherine i mojego ojca, których świadomie zdradzamy?) Ale naprawdę nie mogę napisać, abyś nie przychodził. Nie będę z Tobą rozmawiała, o ile nie zmusi nas do tego sytuacja towarzyska, ani nie zrobię niczego, co mogłoby zmartwić Twoją żonę. Będę szczęśliwa, że mogę patrzeć na Ciebie z odległości i wspominać chwile, gdy byliśmy ze sobą tak blisko. Już teraz czuję przyjemność, wyobrażając sobie niewypowiedziane słowa, jakie wymienimy.

We wszystkim Twoja

Olimpia czyta list od początku, dyscyplinując potoki myśli interpunkcją i poprawiając niezbyt czytelne miejsca. Zakleja kopertę i zastanawia się, jak ją doręczyć.

Szybko wpada na pomysł, aby posłać list przez Josiaha. Jeśli służący wspomniałby o tym ojcu, mogłaby wytłumaczyć, że nie czuła się na tyle dobrze, aby sama zanieść list z zaproszeniem, i posłała do Highland Hotel Josiaha.

Wychodzi z pokoju na poszukiwanie służącego. Kątem oka sprawdza jeszcze w lustrze, czy na jej twarzy nie widać śladów burzy, która zawładnęła nią wcześniej, i schodzi na dół, nasłuchując dźwięków, mogących jej ułatwić określenie pory dnia. Idąc korytarzem do kuchni, Olimpia dochodzi do wniosku, że ojciec śpi albo pracuje w gabinecie. Ma nadzieję, że Josiah nie będzie bardzo zajęty i uda jej się go namówić, aby zaniósł list. Bezszelestnie otwiera wahadłowe drzwi i oczom jej ukazuje się niezwykle widok.

W pierwszej chwili - w chwili gdy mogła jeszcze się wycofać niezauważona - Olimpia nie potrafi precyzyjnie określić, czego właściwie jest mimowolnym świadkiem. Widzi trudną do opisaną istotę, na wpół stojącą, na wpół siedzącą, z członkami obejmującymi ciało w nieprawdopodobnej pozycji, z ubraniem w nieładzie, dwoma parami białych półkul, z głową odrzuconą w tył i ustami otwartymi w szerokim uśmiechu. Dopiero potem, moment później, będąc już w kuchni, Olimpia rozpoznaje sytuację i widzi, że stojąca tyłem do niej postać - teraz twarz ma odwróconą w jej stronę, a choć nie jest w stanie zaprzestać swoich pchnięć - to Josiah, a obejmujące go kończyny, zamotane w pończochy i halki, są nogami Lisette.

Bliźniacze półkule to pośladki mężczyzny i piersi kobiety; szeroki uśmiech na twarzy Lisette wyraża rozkosz.

Akt miłości, jaki Olimpia przeżyła z Haskellem dzień wcześniej, był łagodnym doznaniem. Jednak teraz, obserwowany przez przypadkowego świadka, wydaje się

w najlepszym wypadku komiczny, a także brutalny i wcale nie kojarzy się z miłością ani z czułością, przypomina natomiast zwierzęcą kopulację dwóch istot ludzkich. Olimpia dostrzega w nim natychmiast brutalność porodu, która także jest zaprzeczeniem świętości i piękna tego zjawiska.

Olimpia opuszcza kuchnię, mając świadomość, że została dostrzeżona. Opiera się o ścianę w sieni i czuje zażenowane nieumyślnego podglądacza, a także szok wywołany przerwaniem tak intymnego aktu. Jednak, co dziwne, wcale nie jest przerażona. Jest zadowolona, że jej wiedza na ten temat pochodzi z kontaktów z Haskelllem, a nie z oglądania owej trywialnej sceny w kuchni. Mogłaby bowiem - i kto wie, na jak długo - poczuć wstręt do miłości fizycznej.

Wciąż trzyma w ręce list, schowany w rękawie. Wychodzi na werandę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Domyśla się, że ojca nie ma w domu, ponieważ inaczej Josiah nie pozwoliłby sobie na takie ryzyko. I wtedy czuje nagle, że owa cielesna rzeczywistość otacza ją ze wszystkich stron. Błądząc wzrokiem po morzu, pojmuje, zaszokowana skokiem skojarzeniowym, że jej matka i ojciec również mieli i mają takie życie intymne. Ze pokoje jej matki są tak bardzo kobiece i zmysłowe, ponieważ ojciec to lubi. Przypomina sobie jedwabny strój nocny matki, leżący każdego wieczoru na łóżku, satynową pościel w kolorze glicynii, świece na nocnym stoliku, puzderko z wonnymi płatkami róż i wiele wazonów z kwiatami, kunsztowne fryzury i wieczorne toalety matki, a także przedłużające się nieobecności ojca, gdy po kolacji odprowadza ją do buduaru. Jeśli Haskell i Josiah są istotami seksualnymi, to są także nimi jej ojciec i matka.

Nie mając odwagi wyobrazić sobie tego, co dzieje się dalej, a co nie powinno interesować córki, dziewczyna porzuca te myśli. Na plaży kilku chłopców gra w piłkę. Olimpia wpada na pewien pomysł, wraca szybko do swojego pokoju, wyjmując z portmonetki kilka monet i zbiega na plażę. Woła najstarszego chłopca, biegającego w krótkich spodenkach. Jego włosy, wysychając na słońcu po kąpieli, zeszywniały w formie komicznej rzeźby uformowanej przez słońce i wiatr.

- Chciałabym, abyś zaniósł list - mówi dziewczyna. -Do doktora Haskella, który zatrzymał się w Highland Hotel. Wiesz, gdzie to jest?

- Tak, panienko.

- To drobne wynagrodzenie za fatygę. Chciałabym, żebyś zaniósł go natychmiast.

- Oczywiście, panienko. Dziękuję.

Olimpia wręcza chłopcu list oraz pieniądze i patrzy, jak mały rusza biegiem po twardym piasku nad samym morzem, a jego postać przypomina jej posłańca bogów, Merkurego.

Ostatniej nocy wybuchł w Rye okropny pożar. Słyszałaś o nim?

- Pożar? - pyta Olimpia.

Kuca na podłodze werandy, usiłując otworzyć zamek mahoniowej kasetki, w której znajduje się teleskop zamówiony przez jej ojca w Nowym Jorku jako prezent na szesnaste urodziny córki. Ojciec chce ustawić instrument tak, aby Olimpia mogła obserwować wspaniałe morskie widoki i życie ptaków; chociaż ona sądzi, że znacznie częściej będzie go używał ojciec oraz jego goście i że nakierują teleskop w stronę letnich domów, stojących w kształcie półksiężyca wzdłuż Fortune's Rocks.

- Poczekaj, pozwól, że ja to zrobię - mówi ojciec, nachylając się i zamiatając dołem płaszczą deski podłogi.

- Mówiłeś o pożarze?

Myśli Olimpji tylko częściowo skupione są na tym, co robi, z trudem także koncentruje się na słowach ojca.

- Straszny pożar. W Centennial Hotel. Wspaniały budynek, ale najlepsze czasy ma już za sobą. Mówiono, że nie można było otworzyć okien z obawy, że wylecą szyby. Chłopcy hotelowi musieli walić młotkami w rury, aby dać znać gościom, że gorące powietrze idzie do góry. Rozumiesz?

Olimpia wyjmuje wreszcie teleskop, wyposażony w składany statyw i kilka obiektywów. Jej ojciec, który rzadko przywiązuje wagę do rzeczy materialnych, cieszy się teraz jak dziecko z nowej zabawki na Gwiazdkę. Wstaje i zaczyna składać instrument. Ale, podobnie jak córka, nie lubi instrukcji i do tej pory jeszcze jej nie przeczytał; w związku z tym musi poświęcić dwa razy więcej czasu na zmontowanie teleskopu.

- Spłonął w ciągu godziny - opowiada dalej. - Jak hubka od iskry krzesiwa. Te hotele wszystkie są takie. Goście palą papierosy i zasypiają lub ktoś zaproszy ogień w piecu. To już czwarty spalony hotel w tym roku.

- Mam nadzieję, że żaden nie należał do pana Philbricka - mówi Olimpia.

- Nie, Rufus miał szczęście. Olimpio, pomóż mi. Czemu siedzisz i gapisz się na morze?

Chyba słyszy w jego głosie nutę rozdrażnienia.

- Naprawdę, Olimpio - narzeka ojciec. - Nie rozumiem, co się z tobą dzieje. Stałaś się taka... taka... sam nie wiem. Otumaniona. Powiedz mi proszę, że to przejściowe.

- Będzie ci potrzebny klucz francuski - mówi Olimpia.

Zostawia ojca na chwilę i idzie do kuchni po narzędzie, które znajduje w skrzynce na tyłach domu. To prawda, jest rozkojarzona. Nie tylko nie otrzymała odpowiedzi na list, który wysłała wczoraj, ale nawet nie wie, czy Haskell w ogóle go otrzymał. Podejrzewa, że chłopiec po prostu mógł wyrzucić list do morza i wziąć sobie pieniądze.

- Ojczy, uważam, że powinniśmy zainstalować w domu telefon - mówi, przynosząc klucz na werandę.

- A po co? - pyta ojciec. - Ludzie wyjeżdżają na wakacje, aby się uwolnić od takich wynalazków.

- Może się przydać w razie niebezpieczeństwa. Mieliśmy już taką sytuację. Moglibyśmy wtedy zadzwonić po pomoc.

- O ile pamiętam, mieliśmy wystarczająco dużo pomocników i poza przypadkami utonięć, na które żadne z nas nie miało wpływu, daliśmy sobie dość dobrze radę ze wszystkim.

Olimpia siada na leżaku i obserwuje jak ojciec, który nie jest szczególnie sprawny manualnie, składa teleskop. Nie chce mu przeszkadzać, ponieważ dwie nieuzdolnione w tych sprawach osoby z pewnością będą sobie gorzej radzić niż jedna. W końcu ojcu udaje się połączyć wszystkie części przyrządu. Patrzy przez niego zaciekawiony i ustawia ostrość. Jest zachwycony widokiem.

- Olimpio, podejdz tu, musisz to zobaczyć. Dziewczyna podchodzi do teleskopu i przykłada oko

do soczewki. Z początku nie potrafi określić, na co patrzy. Na moment cofa się i widzi, że teleskop jest skierowany na słupek poręczy werandy. Znowu się pochyla i przesuwa instrument w górę i w dół, a następnie zatrzymuje go w wybranej pozycji i patrzy, jak poruszające się masy błękitu stają się morzem, biała, rozmazana plamka mewą, a maź-nięcie czerwieni łodzią rybacką, kołyszącą się na falach. Obraz przekazywany przez obiektyw jest nowy dla jej oczu: Olimpia widzi tylko wyostrome fragmenty, dezorientujące, koliste wycinki rzeczywistości i z początku ma trudności, aby zbudować z nich spójną całość. Oko musi zyskać czas na niezbędną adaptację, ponieważ obraz się rozmywa, a ona czuje, że kręci się jej w głowie. Kiedy jednak kieruje teleskop w stronę plaży, w nagrodę jej oczom ukazuje się letni domek Farragutów, z dachem pokrytym zmurszałym gontem, podniszczone bujane fotele i miękkie cienie siatkowych ekranów w oknach. Widzi matkę

Victorii, siedzącą w kącie na werandzie, otwarte okno, w którym morską bryza wydyma dwie białe firanki, i sznur do suszenia bielizny z powiewającą błękitną pościelą. Zostawiając dom Farragutów, Olimpia przesuwając wolno teleskop wzdłuż linii brzegu, obserwując każdy ze stojących tam letnich domków, i zauważa pewne rzeczy, których nie dostrzegłaby z poziomu ziemi - kształty dachów i liczbę szczytów - aż w końcu obiektyw zatrzymuje się na fasadzie Highland Hotel. Przez chwilę Olimpia przygląda się hotelowi, długiemu trawnikowi przed jego frontem, a nawet oknom w niektórych pokojach. Widzi ludzi wokół budynku, ale ponieważ nie ma wśród nich tej jednej osoby, której szuka, podejrzewa, że Haskell jest w klinice lub w sypialni. Całkowicie zaskoczona słyszy nagle zdziwiony i radosny głos ojca, mówiącego za jej plecami.

- Witaj, John!

W drzwiach stoi Haskell w beżowym garniturze, trzymając w ręku kapelusz. Przez jedną straszną chwilę Olimpia podejrzewa, że przyszedł powiedzieć ojcu o ich romansie i jako dowód przyniósł jej list. Gdy jednak spogląda mu w oczy, w których widzi szczególny wyraz cierpienia połączonego z oczekiwaniem, obawa natychmiast mija. Haskell podchodzi i bierze ją za rękę.

- Olimpio - mówi. - To przyjemność widzieć cię znowu.

- I pana również - odpowiada dziewczyna. Niechętnie cofa dłoń.

- Widzę, że ojciec wciąż znajduje ci nowe zajęcia.

- Właśnie mówiłem Olimpii, że tego lata jest wyjątkowo rozkojarzona - oznajmia ojciec.

Haskell szuka wzrokiem jej oczu.

- W takim pięknym miejscu ja także byłbym rozkojarzony. - Jak nakazują dobre maniere, zwraca uwagę na teleskop. - Co ty tu masz, Biddeford?

- Dostarczyli go dzisiaj - mówi ojciec z pewną dumą w głosie.

- Przyjemny instrument - chwali Haskell. - Mogę spojrzeć?

Schyła się i dopasowuje ostrość do swojego wzroku.

- Wspaniała widoczność, Biddeford - ocenia. Kieruje teleskop w dół, na plażę i zatrzymuje go w takiej pozycji. - Mogę ci coś pokazać?

Zobacz, Olimpio.

Dziewczyna podchodzi do Haskella i pochyla się, aby spojrzeć przez teleskop. Czuje bliskość mężczyzny, jego noga dotyka jej uda.

Dopiero po chwili udaje się Olimpii nastawić ostrość, a wtedy widzi drewnianą konstrukcję letniego domu. Stoi na wzniesieniu wśród wydm, otoczony piaskiem i przystrzyżoną trawą. Widzi, że dom będzie duży, z obszernymi werandami. Widzi szeroki szczyt, w którego centrum znajduje się okrągłe okno z wieloma małymi szybkami. Zastanawia się, do kogo będzie należało. Do Marthy? Haskella i jego żony?

Olimpia prostuje się i odsuwa na bok. Jej miejsce zajmuje ojciec i z uwagą wpatruje się w dom.

- Świetny projekt, Haskell! - wykrzykuje. - Naprawdę. I ekipa robi widoczne postępy. Wciąż planują skończenie go przed pierwszym sierpnia?

- Ostatnio dowiedziałem się, że będzie gotowy tydzień później - mówi gość, obracając w dłoniach kapelusz. - Może pojedziesz tam ze mną, Biddeford? Jeśli masz trochę wolnego czasu, chciałbym z tobą skonsultować na miejscu kilka spraw.

Ojciec Olimpii jest wyraźnie zadowolony i mile połączony tą propozycją, ale już po chwili widać, że coś sobie przypomniał.

- Psiakrew - mówi, najwyraźniej rozczarowany. - Chciałbym zobaczyć twój dom, John, ale mam umówio-

ną wizytę u dentysty. Psiakrew. Gdybym tylko mógł go zawiadomić...

- Gdybyśmy mieli telefon, ojciec... - Olimpia nie może powstrzymać uśmiechu.

Ojciec przełyka ślinę.

- Moja córka uważa, że powinniśmy założyć telefon w Fortune's Rocks, a ja usiłuję jej wytłumaczyć, że ludzie uciekają na wakacje właśnie po to, aby odpocząć od takich urządzeń. - Kręci głową. - Niestety, nie mogę z tobą pojechać - decyduje.

- A zatem innym razem - wycofuje się Haskell.

- Ale Olimpia na pewno z przyjemnością pojedzie - mówi nagle ojciec, jakby nie było jej na werandzie. - To będzie dla niej świetna odmiana - dodaje. - Ostatnio nie jest sobą i myślę, że przyda jej się mała wycieczka.

Haskell patrzy jej w oczy.

- To dla mnie przyjemność móc ci pokazać ten dom -oznajmia. - O ile oczywiście nie będziesz się tam nudzić.

- Wątpię, abym się nudziła - odpowiada spokojnie Olimpia.

- A zatem ustalone - stwierdza ojciec. - Mam nadzieję, John, że przyszedłeś także po to, aby mi powiedzieć, że ty i Catherine przyjmujecie nasze zaproszenie na przyjęcie. Napisałem ci, że to z okazji szesnastych urodzin mojej córki?

Wspomnienie wieku Olimpji w obecności Haskella wywołuje w powietrzu lekkie drżenie, które ojciec najwyraźniej wyczuwa, ponieważ patrzy najpierw na córkę, a potem na przyjaciela.

- To ważny moment w życiu każdego człowieka - odzywa się Haskell. - Oczywiście zanim przyjmę zaproszenie, najpierw muszę zapytać Catherine.

- Będzie też Hale - oświadcza z dumą ojciec.

- Hale - powtarza Haskell, patrząc na Olimpię, jakby usiłował sobie przypomnieć, skąd zna to nazwisko.

- Hale - powtarza raz jeszcze. - Oczywiście. - Chwila przerwy. - Olimpio, możemy jechać?

Pomaga jej wsiąść do bryczki w kolorze butelkowej zieleni.

- Nie mogłem dłużej bez ciebie wytrzymać - mówi, siadając obok niej. - Całym sobą wchłonałem twój list. Gdybym mógł, pragnąłbym, abyś pisała do mnie codziennie.

- A zatem będę pisać codziennie - obiecuje dziewczyna. - Ale musisz mi przyrzec, że zniszczysz moje listy.

- Nie jestem pewien, czy zdołam to zrobić.

- W takim razie nie będę pisać, ponieważ nie mogę ryzykować, że Catherine je znajdzie.

- No to obiecuję ci, że je zniszczę, ale tego nie zrobię

- przekomarza się Haskell.

Olimpia nie może powstrzymać uśmiechu.

Haskell nie jedzie drogą wzdłuż wybrzeża, jak sugerował ojcu Olimpii, lecz prawie od razu skręca w Ely Road. Przybływ jest jeszcze bardzo mały i wyschnięte moczary jak okiem sięgnąć pokryte są spękaniem i bruzdami. Błoto tworzy miniaturowe klify i kaniony, układające się w większy labirynt. Kiedy są już poza zasięgiem widoku z werandy domu Olimpii, Haskell gwałtownie zatrzymuje bryczkę na skraju drogi.

- Mam coś dla ciebie - mówi.

Wyjmuje z kieszeni maleńkie, aksamitne puzderko i otwiera je.

Olimpia jest zaskoczona, widząc medalion: śliczny, złoty owal z jej inicjałami wygrawerowanymi na wierzchu.

- Nie mogę - protestuje.

- Ależ oczywiście możesz, Olimpio. Chcę, żebyś go przyjęła.
Złoto cudownie połyskuje w słońcu.

- Tak mało mogę ci ofiarować - mówi Haskell. - Proszę, przyjmij ten drobiazg. Pozwól, abym się cieszył, wiedząc, że go masz.

Delikatnie odwraca ją plecami do siebie i zapina na szyi łańcuszek.

- Nigdy go nie zdejmę - obiecuje dziewczyna.

- Wiem, że nikt nie powinien go zobaczyć - tłumaczy Haskell. - Ale możesz go nosić w ten sposób.

Wpuszcza medalion pod kołnierzyk sukni i Olimpia czuje, jak złoto dotyka jej piersi. Haskell pociera palcem miejsce, gdzie pod tkaniną wyczuwa owalny kształt. I chyba właśnie ten intymny gest, jeden ze stu innych, sprawia, że Olimpia płacze.

- Chciałem, żebyś była szczęśliwa - tłumaczy się Ha-skell, przytulając ją do siebie. - Olimpio, to wszystko jest dla ciebie złe.

Dziewczyna prostuje się i wyciera oczy. Pociąga nosem.

- Kwestia, czy to, co robimy, jest dla mnie złe czy nie, nie ma tu nic do rzeczy - oświadcza, nie zamierzając wyrzec się tego, co ostatnio zdobyli. - Oczywiście, że jest dla mnie złe. A jeszcze gorsze dla ciebie. To w ogóle jest złe. Ale umówiliśmy się, że nie będziemy niszczyć naszego szczęścia, przyczyniając sobie wzajemnie zmartwień.

Kapelusz Olimpii ześlizguje się i spada na piasek. Ha-skell zanurza palce w jej gęstych włosach i przechyla głowę dziewczyny do tyłu, obnażając smukłą szyję. Siedzi cała skrecona, wygięta na drewnianej ławce, spódnica podwinęła jej się do kolan. Uścisk jest nieporadny, Haskell nie może swobodnie objąć Olimpii. Zeskakuje z siedzenia, podaje jej rękę i prowadzi dziewczynę na trawę.

Kłękają, a wysokie trzciny natychmiast pochylają się nad nimi. Haskell pociąga ją na ziemię i kładą się na trawie, zwróceniu do siebie twarzami. Haskell zrzuca marynarkę i uwalnia ramiona z szelek. Rozwiązuje tasienki przy staniku Olimpui, a ona wyciąga mu koszulę ze spodni. Ubranie wydyma się jak spadochron. Olimpia przesuwając rękę po jego torsie i jest to najśmielszy gest w jej życiu. Tuż za nimi słycać głuhy plusk i trzepot ptasich skrzydeł, bijących o powierzchnię wody. W plecy Olimpui wbija się coś ostrego. Słońce tak ją oślepią, że musi przesunąć głowę Haskellą, aby osłonić oczy. Pragnie głośno wykrzyzczyć słowo „ukochany”. Waha się chwilę, a potem krzyczy - raz, drugi, trzeci. Słowa wydobywają się z niej z przerwami, jakby otrzymywała ciosy w sam żołądek.

- Olimpio - szepcze Haskell w jej włosy.

Zaczyna ssać koniuszek jej ucha i dotyka jej dłonią przez suknię. Olimpia czuje, że przez jej ciało przebiega nagłe drzenie. Instynkt, o którym jeszcze nie wie, każe jej unieść biodra na spotkanie jego rąk. Skąd ciało wie takie rzeczy? Prostuje nogi i gwałtownie się do niego przytula. Nowe wrażenia, jakich doznaje, są przyjemne i silne. Ramiona Olimpui ześlizgują się na trawę, plecy się wyginają. Haskell mocno ją obejmuje, twarz ma wtuloną w jej szyję.

Leżą razem na trawie. Czują wilgoć.

- Nie wyobrażałam sobie tego - szepcze Olimpia.

Chce jeszcze porozmawiać o tym, co wstrząsa jej ciałem, jakby była szmacianą lalką, i co pozostawiło ją z nieznaną trwogą, a także pełnym tęsknoty pragnieniem. Pragnie, aby Haskell był w niej, tak jak wtedy, w hotelu. Nie wie, jak mu o tym powiedzieć, unosi tylko spódnice.

Skąd w niej tyle śmiałości, myśli.

- To właśnie tak? - pyta. - Czy to jest ten sekret, który dzielą wszyscy mężczyźni i kobiety?

- Niektórzy - odpowiada Haskell. - Nie wszyscy. Większość mężczyzn, tak. Są jednak kobiety, które nigdy tego nie odczuwają, nie pozwalają sobie na to.

A Catherine? - zastanawia się natychmiast Olimpia. Jak to jest z Catherine?

- Nie powinniśmy tu leżeć - mówi Haskell. Pomagają sobie wstać: całuje Olimpię. - Pojedziemy teraz do mojego domu - proponuje. - Posiedzimy na słońcu i ubrania nam wyschną.

Nogi drżą pod Olimpią, z trudem wsiada do bryczki. Suknia z jednej strony jest całkiem mokra.

Haskell bierze lejce, wykręca i rusza w stronę nowego domu. Szuka jej dłoni, którą Olimpia trzyma w fałdach sukni.

- Lubisz ryzyko w miłości - odzywa się dziewczyna.

- To nie jest dla mnie naturalne. - Haskell przyciska rękę do jej uda.

- Czasami powtarzam sobie, że nie możemy się widywać i jestem zdecydowany... - serce w niej zamiera - ... a potem natychmiast uświadamiam sobie, że nigdy się na to nie zdobędę.

Jadą drogą wzdłuż brzegu, a Olimpia modli się, aby nie spotkał ich nikt znajomy. Po pewnym czasie bryczka podjeżdża pod nowy dom Haskellów. Olimpia jest zachwycona cudownym widokiem na Atlantyk, rozciągającym się z trawnika. Haskell pomaga jej wysiąść i bierze ją pod ramię. Dziewczyna zastanawia się, czy ojciec próbuje ich jeszcze wypatrzeć przez teleskop, czy znajdują się teraz sami w tym kolistym fragmencie świata. Dom jest prawie gotowy, w wielu pomieszczeniach wychodzących na ocean wstawiono już okna.

Olimpia wyobraża sobie, jak wyglądałby ten dom, gdyby zbudowano go ze szkła - wszędzie byłoby dużo słonecznego światła i człowiek czułby się otoczony przez piasek i wodę.

- Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek widziałam dom w budowie - mówi.

Wchodzą razem do środka i wędrują przez pokoje, które w dużej mierze trzeba sobie jeszcze wyobrazić -prostokątne i podłużne wnętrza, wykończone sosną i dębem, tworzące budynek, który pewnego dnia stanie się schronieniem rodziny. Olimpia zastanawia się, jak powstaje taka budowla, skąd ludzie wiedzą, gdzie należy postawić filar czy umieścić belkę, jak przebić okno. Co jakiś czas Haskell objaśnia: „Tu będzie kuchnia”, „Ten pokój jest bardzo słoneczny”, ale Olimpia słucha go dość nieuważnie. W tej chwili woli myśleć o tym domu jako czymś efemerycznym i wyobrażonym.

- To jadalnia - mówi Haskell, gdy zatrzymują się w przestronnym wnętrzu, częściowo zadaszonym.

Olimpia natychmiast wyobraża sobie tłumy gości, jakie pewnego dnia pojawią się w tym pokoju. Może nawet ona też zostanie zaproszona na kolację i zasiądzie tu, gdzie teraz stoi. Nagle kręci głową i szybko się odwraca.

- Co się stało? - pyta Haskell.

- To... - zaczyna. - To nieważne.

- Nie powinienem cię tu przywozić.

- Ile lat ma Catherine? - pyta Olimpia.

- Trzydzieści cztery.

- A ty?

- Czterdzieści jeden.

- Masz rodzinę? Mam na myśli braci i siostry. Czy twoi rodzice jeszcze żyją?

- Matka żyje. Ojciec zmarł. Matka mieszka u siostry w Cambridge. Mam też brata, który jest pastorem w Milton.

Dziewczyna czuje nagle, że coś przygniata jej pierś. Zadaje sobie pytanie, które później będzie jeszcze wiele razy do niej wracało: dlaczego miłość musi być obciążo-

na takim poczuciu winy. Dlaczego, tak szybko po kilku zaledwie chwilach niezwykłych uniesień nawiedzają ją obrazy sprawiające ból: Haskell z inną kobietą, mówiący słowa, które powinny być przeznaczone dla niej, Haskell w intymnych sytuacjach, o jakich z trudem można myśleć? Stojąc w pokoju, który nie jest jeszcze pokojem, zadaje sobie pytanie: czemu musi sobie wyobrażać z najdrobniejszymi szczegółami posiłek spożywany przez Haskella nie z nią, tylko z żoną? W liście do niej napisał, że zna Catherine „tak, jak mężczyzna może znać kobietę”. To zdanie nie pozostawia żadnych wątpliwości. Nawet wówczas, gdy Haskell bierze Olimpię za rękę, dziewczyna wyobraża sobie, jak trzyma za rękę Catherine; i chociaż jego dotyk powoli przywraca ją do rzeczywistości i momentalnie przesłania wszystkie wcześniejsze myśli, Olimpia czuje ból, który, jeśli tylko na to pozwoli, przytępi jej radość i będzie towarzyszył rozkoszy.

Tym razem robią to szybko, jakby w każdej chwili mógł ich tu znaleźć jej ojciec lub jakiś spóźniony robotnik budowlany. Stoją oparci o ścianę. Olimpia jest zaskoczona, że ciało tak szybko może znowu tego pragnąć. Czuje podwójną winę: wynikającą z ich zdrady i dodatkową za to, że kochają się w domu, który będzie pewnego dnia domem Haskella i jego żony. Poczucie winy miesza się jednak z dziwnym i spokojnym uniesieniem, chwilą odpoczynku, kiedy nie musi myśleć, co stanie się później. A także wyraźnym poczuciem posiadania. Dom nie należy do niej, lecz ta chwila tak, i nic ani nikt jej tego nie odbierze.

Przed wyjściem z domu Olimpia wsuwa dłoń pod kołnierzyk i wyjmuje złoty medalion.

- Dziękuję ci za to - mówi i całuje Haskella.
- To tylko medalion.
- Nie - odpowiada Olimpia. - Nie tylko.

Przez jakiś czas będzie pamiętać każdą chwilą spędzoną i. Haskellem: w co był ubrany pierwszego dnia, co ona miała na sobie drugiego, kiedy jedli razem lunch w hotelu, co podano do stołu - a także ich konwencjonalną rozmowę przy pozostałych gościach i wszystkie słowa, jakie wypowiedzieli w innych sytuacjach. Bardzo dobrze zapamięta późne popołudnie, gdy pływali po moczarach, zagubieni w wodnym labiryncie. I noc, gdy w pośpiechu opuściła swój pokój, nie dbając o to, czy ktoś ją zauważy, i pobiegła boso po plaży, korzystając z dobrodziejstwa ciemności, aż ujrzała oświetlone okna hotelu, ich sanktuarium, i ogarnęło ją szczęście. Pamięta każdą pieśczętę i słowa miłości, a także zdania, jakie wyrzucili z siebie podczas zakończonej płaczem sprzeczki, jaka wywiązała się między nią i Haskellem, który cały czas obwinał się o to, że ją uwiódł, a ona nie mogła, mimo najszczerzych chęci, przekonać go, że jest przynajmniej tak samo odpowiedzialna za wszystko, co między nimi zaszło.

Jednak w miarę upływu lat w jej pamięci pozostaną tylko rozmyte obrazy, same wrażenia, pozbawione szczegółów: lekko odwrócona twarz z krótkim zarostem; zapach wilgotnej skóry, który czasami czuła, gdy opuszczała Haskella; bluzka z krepy w kolorze kości słoniowej,

często noszona, ponieważ bardzo ją lubił; ona klęcząca na plaży i zanosząca się śmiechem na widok Haskella w kostiumie kąpielowym; jego dłoń przesuwająca się w górę od jej stopy aż do uda; talerz ostryg zamówiony do pokoju, które zjedli, siedząc pod kołdrą; pełne zadumy pochylenie głowy, gdy stała na progu jego sypialni, a on machał ręką na pożegnanie...

Czasami Olimpia czuje się tak, jakby nieustannie się żegnali. Kiedy Haskell pracuje w klinice, ona stara się pod byle pretekstem wyjść z domu, aby spotkać się z nim, gdy ma wolną chwilę, co czasami wymaga od niej nadzwyczajnego sprytu, jakim musi się wykazać, tłumacząc rodzicom swoją nieobecność. W tym celu wymyśliła cały zastęp przyjaciół, znajomych i zajęć. Opowiada ojcu, że wielką przyjemność sprawia jej gra w golfa. Wybrała ten sport, ponieważ ojciec kompletnie się nim nie interesuje, jest więc małe prawdopodobieństwo, aby któregoś dnia chciał sprawdzić jej umiejętności - to zresztą dobrze, ponieważ Olimpia nie ma najmniejszego pojęcia, na czym polega owa gra. Wymyśliła także „przyjaźń” z kilkoma młodymi kobietami, między innymi z Julią Fields, a wybujały rozkwit życia towarzyskiego córki wywołał zdziwienie rodziców. Raz czy dwa omal nie została przyłapana na tych oszustwach, a kilka razy było jej wstyd, że wykazuje tak niezwykły talent do kłamstw.

Olimpia zdaje sobie sprawę, że ojciec jest zaskoczony jej zachowaniem i najwyraźniej widzi córkę w zupełnie nowym świetle. Nie rozpoznaje w niej już tej dziewczynki, którą kochał i z której był dumny jeszcze w czerwcu; przygląda się jej jak obcej istocie, komuś, kto jest bez przerwy rozkojarzony. Nagle przestała być pojętną uczennicą i ma kłopoty z przyswajaniem wybieranych przez niego lektur. Nadużywa jego cierpliwości, wprawia

go w zakłopotanie, a także znacznie częściej zasmuca, niż daje powody do radości. Olimpia jest też prawie pewna, że matka podejrzewa ją o ukrytą sympatię do jakiegoś chłopca. Kilka razy zadawała jej pytania w taki sposób, aby nakłonić córkę do zwierzeń. Czasami przygląda jej się tak, jakby przypominała sobie imiona synów znajomych, którzy spędzają w okolicy wakacje. Pomimo tych drobnych incydentów Olimpia ma wiele szczęścia, ponieważ jej rodzice zajęci są przede wszystkim własnymi sprawami: ojciec życiem intelektualnym, a matka światem; myśl, jak się od niego odizolować, absorbuje niemal całą jej uwagę. Oczywiście zdarzają się nieprzewidziane sytuacje, gdy na przykład zmienia się plan zajęć Haskella i mogą być razem, a on ma okazję za-
wiadomić o tym Olimpię; wszystkie takie szanse dziewczyna stara się wykorzystać. Ich romans bez wątpienia jest ryzykowny, chociaż oboje postanowili, że nie będą się spotykać, gdy Catherine i dzieci przyjeżdżają do Fortune's Rocks na weekendy. Haskell powstrzymuje się też od składania wizyt rodzicom Olimpii. Najczęściej spotkają się w nowym domu, który niemal codziennie bywa ich kryjówką. Przychodzą tam wcześniej rano lub późnym wieczorem, kiedy nie ma jeszcze robotników lub gdy skończono już pracę. W miarę postępu-lących robót wykończeniowych jest im coraz łatwiej chronić się za grubymi, drewnianymi ścianami i pod cedrowym dachem z gontu. Kochają się w pomieszczeniu, które stanie się już wkrótce słoneczną werandą, na strychu, gdzie mieścić się będzie sypialnia służącej, na twardej podłodze przyszłej kuchni na tyłach domu. Haskell przynosi do domu plasterki bekonu, które podkrađa z hotelowej jadalni, i później pieką je na kuchni razem z kawałkami chleba - Olimpia zapamięta owe tosty z be-

konem jako najsmaczniejszy posiłek w życiu. To dziwne, ale gdy są razem, zawsze czuje się głodna, przynoszą więc jedzenie, często jest to spory posiłek, a czasami nawet butelkę szampana. Olimpia nieco przybiera na wadze, rozkwitają jej piersi, uda i brzuch, formuje się ciało kobiety - zupełnie jakby jej zewnętrzna otoczka pragnęła nadażyć za doświadczeniami życia wewnętrznego.

Z zainteresowaniem obserwuje, jak robotnicy wstawiają okna w letnim domu, a potem pojawiają się w nich szyby, jak powstaje wejście, w którym następnie osadzają masywne, podwójne drewniane drzwi, jak kładą deski podłogowe, cyklinują je, a później przykrywają kolorowymi chodnikami, ozdabiają gzymsami sypialnie i zamykają dach, przez który widać było gwiazdy. Dni mijają i wydaje się, że Haskell i Olimpia coraz bardziej izolują się od świata - oddalonego, obcego świata - i nabierają coraz większej śmiałości w odkrywaniu się nawzajem.

Olimpia uważa, że dom jest piękny, zachwyca się dachem z wieloma szczytami, obszernymi werandami, delikatną snycerką wzdłuż okapów. W górnych partiach okien wstawiono romboidalne szybki lawendowej barwy, a we wszystkich ogólnie dostępnych pomieszczeniach ściany obite są piękną boazerią z wiśniowego drewna. Dzięki usytuowaniu domu tuż przy plaży z okien roztacza się wspaniały, niespotykany widok na piasek i ocean. To dom, po którym zostaną wspomnienia, dom, który ojciec przekáže córce, a ona synowi; dom, w którym Haskell zamieszka ze swoją żoną. Leżą na podłodze, zawinięci w koce i pledy poplamione sokiem z brzoskwini, który spływa im z podbródków na prowizoryczne serwetki przykrywające piersi. Olimpia ma na sobie tylko medalion. Na jej udzie chwieje się talerz

z serem, konfiturą z mango i kromkami razowego chleba, i na przykryciach widać bursztynowe plamy od jedzenia.

- Ollie to imię dla chłopca - protestuje Olimpia. - Od Oliviera.

- Nie. Można je wywieść od Olivii - mówi Haskell.

- Ale może być też od Olafa - upiera się dziewczyna przy imieniu dla chłopca.

- Olive - odpowiada Haskell, podejmując wyzwanie.

- Olney - proponuje ona.

- Olinda - szybko rzuca Haskell. Olimpia myśli przez chwilę.

- Olin.

- Nie. - Haskell kręci głową. - Nie mogę się zgodzić.

- To może... - zastanawia się. - Ole.

- Dość lekkie - przyznaje. Ale nie daje za wygraną. -Olwen! - rzuca triumfalnie.

- Ale to imię męskie - zauważa Olimpia.

- Nie, wcale nie. Dziewczyna mruży oczy.

- Oleksandr! - krzyczy.

Haskell zastanawia się chwilę i przechyla głowę. Potem całuje Olimpię.

- Chyba wygrałaś - poddaje się w końcu.

- Dziękuję, doktorze Haskell - mówi Olimpia, sadowiąc się naprzeciw niego. I nagle, dość niespodziewanie, pyta: - Czy sądzisz, że nasze uczucia są takie same?

- Co masz na myśli?

- No, wiesz, twoje wyobrażenia i wspomnienia z pewnością nie są takie same jak moje, ponieważ ja widuję się tylko z tobą, czuję tylko ciebie i rozmawiam tylko z tobą. I czy nie masz, jako mężczyzna, z twoją męską wrażliwością i męskim ciałem, odmiennych wrażeń niż ja, a zatem innych wspomnień?

- Wszyscy kochankowie szukają złudzenia jedności - odpowiada Haskell. - Ale masz rację. Większość przeżyć miłosnych odbywa się w umyśle.

-Tak?

- Oczywiście, tak się dzieje, gdy jesteśmy razem - tłumaczy. - Gdy wyznajemy sobie miłość. Czy właśnie to nie owe epizody żywią prawdziwych i nienasyconych kochanków, jakimi są umysły, same dla siebie? Miłość nie jest prostą sumą słodkich słów, smutnych rozstań, pocałunków i uścisków, ale składa się w dużej mierze ze wspomnienia tego, co się stało, i wyobrażeń o tym, co nastąpi.

- Jeśli to prawda - zauważa Olimpia - to nie trzeba być razem w sensie fizycznym. Można byłoby po prostu sobie to wyobrazić i po wszystkim. Nie trzeba by się martwić, że związek kochanków może się wydać i że kogoś się skrzywdzi.

- No tak - zgadza się Haskell. - Ale wyobraźnia musi się czymś karmić. Musi być coś, z czego biorą się wspomnienia. Na początku naszych spotkań często zastanawiałem się, dlaczego nigdy nie zaczynaliśmy od miejsca, w którym ostatnio skończyliśmy, tylko przeskakiwaliśmy na wyższy poziom, a potem na jeszcze wyższy. Umysł jest niezwykle niecierpliwy. Może wyobrazić sobie w ułamku chwili cały akt miłosny.

Zapada pełna napięcia cisza.

- Robiłeś to? - pyta cicho Olimpia. - Wyobrażałeś sobie wszystko, co mogło być między nami?

- Tak - odpowiada Haskell. - Podobnie jak ty. Olimpia wstaje i podchodzi do okna. Już dawno przestała się wstydzić przed kochankiem swego ciała.

- Dom będzie gotów do weekendu? - pyta. -Tak.

-A więc Catherine i dzieci przyjadą tu na stałe -oświadcza, wyrzucając z siebie prawdę, która dręczyła ją od tygodni.

- Tak - mówi Haskell krótko. Wyplątuje się z koców i staje obok niej przy oknie. - O co chodzi? - pyta, chociaż dobrze wie.

Przeszłość otula ich jak gęstniejąca mgła. Niepokoi ich powrót Catherine, nie tylko z powodu domu - ich domu, który Olimpia i Haskell ochrzcili, w którym się kochali i zadomowili się w nim; jej powrót znaczy także, że on będzie musiał się wyprowadzić z Highland Hotel. Nie będą mieli gdzie się spotykać. Dla Olimpii dziesiąty sierpnia nie będzie dniem świętowania, ale raczej datą, kiedy zapadnie wyjątkowo dla niej bolesny wyrok.

- Kończy się nasz czas - mówi dziewczyna.

- Jeśli pograżymy się w cierpieniu - przypomina jej Haskell - zaprzepaścimy całą przyjemność. To ty mnie tego nauczyłaś.

- Przyjęcie wydane przez mojego ojca stanie się groteskową maskaradą. Najlepiej byłoby, gdybym udawała chorą.

Jednak oboje wiedzą, że to niemożliwe.

Przez pokryte nalotem soli szyby widzą zbierających się na plaży amatorów kąpeli. Obserwują mężczyznę w kapeluszu, który buduje skomplikowany namiot z drewnianych palików i płótna wokół sztywno siedzącej kobiety i nad jej głową. Dama siedzi wyprostowana na składanym, drewnianym krześle i patrzy na morze. Dzień jest gorący, nad brzegiem wieje lekki wiatr, a ona ma na sobie grubą suknię z czarnej tafty. Mimo kapelusza i skonstruowanego przez męża parawanu kobieta trzyma jeszcze nad głową czarny parasol. Jej wyniosła i zimna postawa stanowi zdumiewający kontrast w stosunku do gorliwości mężczyzny, co sugeruje, że w tym stadle role

nie są równo podzielone, o ile oczywiście ta para jest małżeństwem. A może jego wysiłki świadczą o chęci zadośćuczynienia za nieznane przewinienie? Patrząc na wodę, Olimpia czuje nagle ochotę, aby wykąpać się w morzu razem z Haskelllem.

Opiera głowę na jego ramieniu. Zna go już dużo lepiej: poznała kępki włosów na nadgarstkach, linie na udach, uspokajającą ciszę, jakby cały świat zatrzymał nagle oddech, a następnie gwałtowny wybuch rozkoszy. Czasami do jej myśli zakradają się jednak wątpliwości: może Catherine wie o nim coś, o czym ona nie miała czasu się dowiedzieć?

- Co za głupia kobieta - mówi Haskell, obserwując smutną komedię gorliwego męża i zasłoniętej damy. Podchodzi do Olimpii od tyłu i obejmuje ją tuż pod piersiami. Patrzy przez okno zza jej ramion. - No, ale ci na pewno będą się lepiej bawić. - Wskazuje na parę z dzieckiem, siedzącą nad samą wodą.

Zona ubrana jest w luźną, białą koszulę, spódnicę ma podciągniętą aż do kolan. Wydaje się zrelaksowana, chociaż Olimpia zauważa, że ani na chwilę nie spuszcza oczu z dziecka, które bawi się w wodzie tuż obok. Jej mąż niedawno się kąpał, z jego kostiumu cieknie jeszcze woda. Siada koło żony i przesuwając palce w górę i w dół po jej plecach. Olimpia czuje nagle ukłucie zazdrości. Ona i Haskell nigdy nie będą mieli tego, co ma owa para, która pewnie nawet nie zdaje sobie sprawy, jakie to cenne: dziecko, małżeństwo, wspólne spędzanie czasu między ludźmi i jawne dotykanie się w ich obecności.

Odwraca się do Haskell'a. Jej ciało znowu przeszywa dreszcz, ta nieustannie powtarzająca się błyskawica. To potrzeba ulgi i ukojenia, które tylko on może jej dać. Kładzie twarz na ramieniu kochanka.

- Mamy tylko cztery dni - mówi.

Haskell gładzi ją po plecach, jakby powtarzał gest mężczyzny na plaży.

- W naszej wyobraźni - mówi - mamy całe życie.

Olimpia wraca do domu później, niż zapowiedziała, i po drodze przygotowuje sobie różne kłamstwa: „Mama Victorii poprosiła, żebym została na herbacie”. „W hotelu odbywał się mecz krykieta”. „Razem z Julią grałyśmy na cztery ręce na fortepianie i straciłam poczucie czasu”. Piasek jest twardy. Dziewczyna spogląda w stronę domu i z przerażeniem myśli, że musi tam wejść, n kiedy jest już przy schodach, zaskoczona dostrzega na werandzie matkę, Catherine Haskell i Zachariaha Cote'a.

Jak to, przecież Catherine miała być w Yorku!

Olimpia odruchowo odwraca się i pochyla, jakby upuściła chusteczkę lub torebkę.

Mój Boże, myśli. Mogła nas przyłapać.

Powoli prostuje się i wygładza zmiętą spódnice. Dotyka guzików przy kołnierzyku, upewniając się, że są po-zapinane. Sprawdza też, czy medalion jest schowany pod lliknią. Kiedy się odwraca, matka macha do niej zachęcająco, aby się przyłączyła do towarzystwa.

Dziewczyna wchodzi na stopnie werandy.

- Olimpio - wita ją Catherine - tak się cieszę, że cię widzę. Jak znosisz tę koszmarną pogodę?

- Mam wrażenie, że moja córka prowadzi ostatnio sekretne życie - odpowiada za nią matka.

- To prawda - przytakuje Cote, uśmiechając się tajemniczo.

- Opowiedz mi o tym - prosi Catherine. - Poznałaś jakiegoś młodzieńca?

- Nie - zaprzecza zażenowana dziewczyna.

- Olimpio, usiądź z nami - mówi matka.
 - Po prostu nawiązałam tego lata wiele znajomości i spędzam sporo czasu z przyjaciółmi - wyjaśnia Olimpia, a w jej głosie brzmi napięcie, które, jak sądzi, wyczuwają także Catherine i Cote.
 - Olimpia nauczyła się grać w tenisa - mówi matka. Dziewczyna czuje na plecach badawczy wzrok mężczyzny.
 - To wspaniale - zachwyca się pani Haskell.
 - Catherine przyjechała dzień wcześniej - wyjaśnia matka. - Chce zrobić Johnowi niespodziankę.
 - Ale poczułam nagle wielką ochotę, aby najpierw odwiedzić twoją mamę - mówi Catherine, pochylając się w stronę Olimpii i kładąc jej rękę na kolanie. - I porozmawiać o tym wspaniałym przyjęciu na twoją cześć w sobotę wieczorem. Mama opowiadała mi o twojej sukni.
 - Ja także przyjechałem wcześniej - wtrąca Zachariah Cote. - Nie miałem ochoty podróżować tym upiornym pociągiem w piątek, wyjechałem więc z miasta już dziś. Mam nadzieję, że będę mógł trochę pomieszkać w Fortune's Rocks. - Zrobił efektowną przerwę. - Jestem pewien, że muza mnie tu nawiedzi - dodaje, znowu uśmiechając się do Olimpii.
- Bierze od pani domu kolejną szklanekę lemoniady i siada z powrotem na krześle.
- Ja także kiedyś grywałam w tenisa - mówi Rosamunda, w zaskakujący sposób zmieniając temat rozmowy.
- Dziewczyna nie ma odwagi spojrzeć na matkę ani na Catherine.
- Byłam całkiem dobra - dodaje nieśmiało pani Bid-deford. - Prawdę powiedziawszy, miałam wielbiciela, który doskonale grał w tenisa. Oczywiście to było, zanim poznałam Phillipa.

Olimpia z trudem koncentruje się na tym, co mówi matka.

Zastanawia się, czy powinna w jakiś sposób uprzedzić Haskella, że przyjechała Catherine. Usiłuje sobie przypomnieć, czy nie zostawili czegoś w domu.

- Był synem wytwórcy powozów z Rowley. - Matka Olimpii kontynuuje swoje wspomnienia.

- Och, Rosamundo, opowiedz nam... - prosi Cote.

- Nie ma właściwie o czym opowiadać.

- Rosamundo, proszę - nalega Catherine. Matka Olimpii patrzy przez chwilę w dal, a potem na swoje ręce złożone na kolanach.

- Spotkałam go w dniu, gdy towarzyszyłam papie, który postanowił kupić powóz - mówi. - Byłam młoda, miałam może siedemnaście lat i niezbyt często wyjeżdżaliśmy na wakacje na północ. Tata poszedł do sklepu, a ja czekałam na niego w bryczce. Pamiętam, że wcale mnie to nie bawiło, ponieważ był upał i chciało mi się pić, a wszystko wskazywało na to, że transakcja zajmie tacie dużo czasu. Gdy siedziałam sama, do bryczki podszedł młody człowiek.

Matka Olimpii unosi rękę, aby poprawić włosy i dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, że bardzo się zaangażowała w opowiadanie.

- Jak on wyglądał? - dopytuje się Catherine.

- Miał jasne brwi i gęste, jasne rzęsy - mówi pani Bid-deford.

- A jak się nazywał? - dopytuje się Cote.

- Gerald - odpowiada matka. - Utrzymał, że jest Szkotem, ale mój ojciec twierdził, że pochodzi z Irlandii. Bardzo go polubiłam.

Tamtego dnia sporo rozmawialiśmy. Zanim wrócił papa,

umówiliśmy się już z Geraldem w klubie tenisowym następnego

ranka. - Przerzywa na chwilę. - Przez kilka następnych tygodni dość często się

spotykaliśmy. Gerald brał czasami jeden z powozów ojca i przyjeżdżał po mnie. Wychodziłam z domu i spotykaliśmy się w umówionym miejscu. Nie wiem dlaczego powzięłam taką myśl, ale ostatniego ranka, kiedy jechaliśmy razem, postanowiłam mu powiedzieć, że go lubię, czułam bowiem, że on także bardzo mnie lubi. - Znowu milknie na dłuższą chwilę, jakby miała nadzieję, że dzięki tej zwłoce będzie mogła zmienić zakończenie historii. - Tego dnia zamierzaliśmy zrobić sobie piknik na plaży w Hampton. Gdy spacerowaliśmy po piasku, pochylił się do mnie i powiedział coś, czego nie dosłyszałam i co przez wszystkie te lata starałam się odgadnąć. Zanim bowiem zdążył powtórzyć swoje słowa, podszedł do niego mężczyzna, którego opłacił mój ojciec, aby nas śledził, i kazał mu iść ze sobą.

- Rosamundo, nie - wzdycha Catherine.

- Prawie całe lato spędziłam zamknięta w swoim pokoju.

- To okropne - mówi Cote.

- Nigdy więcej nie usłyszałam już o Geraldzie - ciągnie matka Olimpiii. - Nie wiedziałam, jak do niego dotrzeć, nie znałam też nikogo z jego przyjaciół. Nie miałam nawet jego adresu. Ale pod koniec tamtego lata pozwolono mi opuścić dom i wziąć udział w meczu tenisowym w Exeter. Ponieważ pojechałam tam z mamą i tatą, pewnie wydawało im się, że jestem całkowicie bezpieczna. Jednak podczas przerwy, gdy poszłam przynieść sobie szklankę wody, zobaczyłam w holu gablotę z fotografiami zwycięskich zespołów. Na jednym ze zdjęć zauważyłam Geralda. Otworzyłam pokrywę gabloty i wyjęłam tę fotografię. Ukryłam ją w kieszeni. Po powrocie do domu wyjęłam z pudełka z przyrządami krawieckimi nożyczki i wycięłam jego podobiznę. Wciąż ją mam.

- Musisz nam pokazać - nalega Cote.
- Może kiedyś - mówi pani Biddeford, unosząc do ust szklanę.
Olimpia przygląda się matce, która nagle wydaje się jakaś inna, inna fizycznie, jakby jej wygląd uległ metamorfozie. Przypuszcza, że taka przemiana może dotyczyć każdego, kogo zna. Spotykając kogoś, tworzymy zaledwie zarys jego wizerunku, dopiero w miarę upływu czasu, niezależnie od bliskości wzajemnych relacji, wyłania się prawdziwy portret tej osoby: olejny, w pastelach, tuszem lub malowany akwarelami, dopiero jednak śmierć modela jest sygnałem, że obraz został ukończony. A może nawet i wtedy nie.
- To piękna opowieść - zachwyca się Catherine, natomiast Olimpia jest zaszokowana tak arbitralną decyzją dotyczącą czyjegoś losu.
- Nigdy się nie dowiedziałam, co on wtedy powiedział - dodaje matka. - Jakże często marzyłam, aby czas się cofnął i abym usłyszała te słowa.

Catherine bierze ją za rękę.

- Pewnie bardzo pani tęskni za swoim przystojnym mężem - zwraca się Cote do pani Haskell, co Olimpia odbiera jako podejrzenie nagłą zmianę tematu.
- To prawda, bardzo mi go brakuje - przyznaje Catherine. - Nie mogę się już doczekać, kiedy nasz dom będzie gotowy. Właśnie się tam wybieram.

Dziewczyna czuje, jak po plecach spływa jej strużka potu.

- A gdzie jest teraz nasz dobry doktor? - pyta Cote.
- Zapewne w klinice - odpowiada Catherine. - Prawdę powiedziawszy, nie wie, że tu jestem. Chciałam mu zrobić niespodziankę.
- Z pewnością będzie zaskoczony, jestem tego pewien

- mówi poeta, odwraca się i patrzy na morze. - Mój Boże, cóż za wspaniały widok. O ile się nie mylę, wieje lekka bryza. Co za ulga, że jestem na tej pięknej werandzie, a nie w Ely Falls.
 - Byłeś ostatnio w Ely Falls? - pyta matka Olimpii.
 - Tak, u krawca. Ostatnie poprawki. To strój na przyjęcie.
 - A tak, oczywiście.
 - Muszę powiedzieć, że nie znoszę tych Francuzów -oświadcza Cote.
 - Czyżby? - dziwi się matka Olimpii, rzucając szybkie spojrzenie na córkę.
 - Ten mój krawiec, taki impertynencki mikrus z tłustymi wąsami, udaje kogoś lepszego niż jest. Muszę przyznać, że to cecha wszystkich Francuzów.
 - Olimpio, kochanie, czy wiesz, która godzina? - pyta pani Biddeford.
 - Wszyscy wiedzą, że ci ludzie są zdemoralizowani i bardzo nieuczciwi. Nie wspomnę już o pijakach i przygłupach.
 - Zachariah - mówi matka Olimpii z lekką naganą w głosie, przypominając mu o obecności córki.
 - Wybacz, Rosamundo, dałem się ponieść. Muszę jednak powiedzieć, że ci ludzie to prawdziwe nieszczęście dla naszych amerykańskich miast. Obawiam się, że negatywnie wpłyną na wizerunek Ely i Fortune's Rocks. Są dni, kiedy aż roi się od nich na plaży.
- Olimpia jest zdziwiona, że takie poglądy wypowiada ktoś, kto nie jest nawet letnikiem w Fortune's Rocks. A potem, obserwując twarz poety - orli nos, przystojny profil, błękitne oczy (chyba trochę zbyt blisko osadzone?) - przypomina sobie powrót z Ely Falls: to był Cote z Renym, woźnicą. Później wpada jej do głowy jeszcze in-

na myśl, która prowadzi w naturalny sposób do następnej i dziewczyna nie może się oprzeć pokusie.

- Jestem zaskoczona pana nieprzychylnością dla Franko-Amerykanów, panie Cote - odzywa się grzecznie. -Prawdę powiedziawszy zastanawiałam się, czy „Cote” to nie jest przypadkiem francuskie nazwisko? - pyta, wymawiając je z odpowiednim akcentem.

Jej bystra, chociaż bez wątpienia bezczelna uwaga zaskakuje mężczyznę, który natychmiast prostuje się na krześle. Zdobywa się jednak na wymuszony uśmiech.

- Ależ nie, to stare, angielskie nazwisko - oponuje, chociaż Olimpia jest głęboko przekonana, że kłamie.

Zapada niezręczna cisza, w czasie której dziewczyna czuje na sobie chłodny wzrok matki.

- Szkoda, że nie ma tu Johna, Catherine - mówi nagle Cote - wiem, że darzy Olimpię i oczywiście także Rosamndę, szczególnym uczuciem, nieprawdaż?

Ta uwaga jest dla Olimpii sygnałem ostrzegawczym.

Catherine zdaje się nie zwracać uwagi na kontekst, w jakim padły imiona jej męża i Olimpii, mimo że uwaga Cote'a jest wymowna, jeśli wręcz nie niegrzeczna. W dodatku wymienił Olimpię przed jej matką.

- On... tak, oczywiście... Wiem, że uważa Rosamundę... i Olimpię... Tak, z pewnością - kończy Catherine, w nienaturalny sposób podekscytowana.

- Czy Hale już przyjechał? - pyta Cote matkę Olimpii, zdradzając, zbyt szybko, powód swojej wizyty.

- Nie. Phillip powiedział, że nie przyjedzie przed sobotą.

Na twarzy poety pojawia się cień rozczarowania.

- Z Newburyport czy z Bostonu? - pyta.

- Z Bostonu. Znasz jego rodzinę?

- Tak, chyba tak. - Cote kiwa głową. - Tę gałąź

z Newburyport. Brat Hale'a poślubił pannę Brown, nieprawdaż?

- Lavinie. Tak.

- To kuzynka mojej matki - chwali się Cote, pragnąc zapewne podkreślić swoje jankeskie koligacje. - Oczywiście moje kuzynki uważają Hale'a za czarną owcę. W towarzystwie jest źle widziane mieć pisarza w rodzinie, nieprawdaż? - ironizuje, umniejszając też własną pozycję, ale w tym gronie jego uwaga jakoś nie wywołuje oczekiwanej reakcji. Zachariah popija oranżadę i zwraca się do Olimpii. - Szkoda, że nie spędzała pani z nami festynu z okazji czwartego lipca. Miałem wrażenie, że Farraguto-nowie czekali na panią.

Olimpia rozumie, że aluzje do Haskella i jej nieobecności na festynie nie są przypadkowe. Oddycha lekko, aby nie zdradzić zaniepokojenia. Jest przekonana, że Cote posiada zwierzęcy instynkt i wyczuje najłżejszy zapach strachu.

- Byłam gdzie indziej - wyjaśnia oględnie.

- Z pewnością - potakuje Cote. - Muszę powiedzieć, że miałem tego lata szczęście wpadać na pannę Olimpię w różnych miejscach - dodaje, zwracając się do dwóch starszych kobiet.

- Czyżby? - dziwi się matka Olimpii, spoglądając na córkę. - A gdzie, jeśli można spytać? Bardzo chciałabym wiedzieć. Olimpia jest dla mnie ostatnio zagadką.

- Naprawdę? - Teraz dziwi się Cote. Sięga po kanapkę. - Mogę?

- Oczywiście - zaprasza matka. - Olimpio, może kanapkę?

- Nie jestem głodna - odpowiada szybko dziewczyna. - Muszę już iść. Obiecałam Julii, że pojeżdżę z nią konno.

- W taki upał? - rzuca Cote. - To niedopuszczalne. I zabójcze dla koni!

Co za tupet, myśli Olimpia.

- Z wielką przyjemnością oczekujemy przyjęcia na pani cześć - mówi Zachariah, ignorując jej zakłopotanie. Zlizuje końcem języka odrobinę majonezu z kącika ust. -Które to urodziny?

- Szesnaste - oznajmia Olimpia.

- Cóż za piękny wiek, nieprawdaż, Catherine?

- Z pewnością - potwierdza pani Haskell. - Cudowny wiek. Właśnie mówiłam to Rosamundzie przed twoim przyjściem, Olimpio.

Cote patrzy na dziewczynę z wyraźną bezczelnością.

- Czemu jest pani taka ponura, panno Olimpio? - pyta, gryząc kanapkę. - Proszę się uśmiechnąć, życie nie jest takie złe.

Olimpia, która nie lubi, gdy ktoś każe się jej uśmiechać, a już szczególnie irytująco brzmi to polecenie w ustach Zachariaha Cote'a, zmęczona insynuacjami, pochlebstwami, żartami i dręczącymi ją wyrzutami sumienia, wstaje z krzesła i przeprasza gości. Przechodzi na tył domu, opuszcza go kuchennymi drzwiami i kieruje się do falochronu, gdzie zdejmuje buty i pończochy, zostawia je tam i biegnie, tak szybko, jak tylko może, po twardym piasku, tuż nad brzegiem oceanu.

Dziesiątego sierpnia rano siedzi w swoim pokoju i wygląda przez okno, niezdolna poruszać się, mówić, czytać czy nawet myśleć, unieruchomiona jak głuchoniema upośledzona istota w stanie katatonii. Z całych sił stara się odegnać złe myśli, nie potrafi jednak nad nimi zapanować, bo właśnie teraz Catherine i dzieci wprowadzają się do nowego domu. Wyobrażając sobie tę scenę, Olimpia czuje smak gorzkiej ironii, kiedy widzi w myślach panią Haskell, która przechadza się po pokojach, i nic nie wiedząc o poprzednich lokatorach, sądzi, że dom należy do niej, tylko do niej, co oczywiście jest zgodne z prawdą. Dziewczyna zastanawia się też, biorąc pod uwagę całą swoją intymną wiedzę o Haskellu i o tym, co robili w zakamarkach willi, jak on sobie poradzi w tej niezręcznej i bolesnej sytuacji. Z pewnością bowiem nie będzie dzielił radości żony. Ale czy uda mu się udawać zainteresowanie? Czy podobnie jak Olimpia znajduje się w stanie katatonii? Jeśli tak, to czy Catherine zauważy, co się dzieje, i będzie chciała o tym rozmawiać? Haskell i Olimpia rozstali się zaledwie wczoraj, zawierając milczące porozumienie, aby nie rozmawiać o zaistniałej sytuacji, ponieważ im więcej słów by jej poświęcili, tym bardziej wydawałaby się realna. Olimpia nie może

przekreślić jego małżeństwa, nie zdecydowała się też na ostateczne pożegnanie, stali więc w milczeniu na progu jego pokoju, sycąc się swoim widokiem, a potem się rozstali. Dla niej okazało się to trudniejsze, ponieważ to ona musiała odejść.

Na klatce schodowej słysząc było echo jej kroków. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa. Na dole schodów musiała oprzeć się o nowiutki słupek, zanim zebrała siły, aby przejść przez ozdobne, drewniane drzwi. Rozstawała się nie tylko z Haskelllem, ale także z idyllą, jaką przeżyła tego lata. Wiedziała bowiem, że nawet jeśli znajdą jakiś sposób, aby się spotykać, nie będzie już tak samo.

W minionych tygodniach wielokrotnie wyobrażała sobie, że naprawdę są razem, mieszkają w Ely Falls lub w Cambridge. Mogłaby pomagać mu w klinice albo też zostać nauczycielką. Mogłoby mieć dzieci, wspólny dom. Takie marzenia nie napawały jej jednak beztroską radością, doskonale bowiem zdawała sobie sprawę z tego, że gdyby się zrealizowały, towarzyszyłoby im cierpienie porzuconej żony i dzieci; nikt nie czułby się szczęśliwy za taką wielką cenę. Gdyby nawet Haskell pogodził się z krzywdą wyrządzoną Catherine, z pewnością nie zniósłby utraty Marthy, Clementine, Randalla i Mai. Olimpię prześladowała ponura wizja, w której widziała siebie i jego, jak siedzą przy stole i nie potrafią spojrzeć sobie w oczy. Jest przekonana, że lepiej za sobą tęsknić niż się nienawidzić.

Na parterze słysząc gorączkową krzątaninę, przyjeżdżają dostawcy, służba nawołuje się po całym domu, przestawia meble, układa świeże kwiaty w wazonach. Ojciec posłał do Bostonu po najlepszą rodzinną porcelanę, srebra oraz kryształy i na werandzie piętrzą się drewniane

skrzynki, wokół których leżą pomięte gazety. Rodzice zaprosili na kolację i tańce sto czterdzieści osób, na trawniku ustawiono już wielki, biały namiot. O północy zostaną podane homary, szampan, ostrygi i jagody. Poręcze werandy zdobią bukiety lawendowobłękitnych kwiatów hortensji. Trawnik jest tak doskonale przystrzyżony, że przypomina sztuczną trawę. W normalnej sytuacji Olimpia cieszyłaby się przygotowaniem do przyjęcia, zwykle bowiem bardzo lubiła tę szczególną atmosferę na godzinę przed przybyciem gości, kiedy dom jest już całkowicie gotowy, ale jeszcze panuje wokół spokój i można się przechadzać w ciszy po pokojach i trawniku, podziwiając ten krótki moment doskonałości.

Wstaje z łóżka i podchodzi do szafy, na drzwiach której wisi suknia przygotowana na przyjęcie. Jest biała, gdyż taki kolor obowiązuje tego wieczoru. Przesuwa dłonią po satynowej halce, po staniku wyszywanym drobnymi perełkami, a potem po spódnicy z białego szyfonu, tak lekkiego i delikatnego, że bardziej przypomina obłok niż materiał. Suknia, którą matka zamówiła w Paryżu, wygląda cudownie i jest odpowiednia na bal z kotyliionami, a nawet na przyjęcie zaręczynowe. Pani Biddeford sugerowała Olimpii, aby włożyła do sukni perły, i kiedy szuka w szkatułce odpowiednich kolczyków, słyszy pukanie do drzwi.

Olimpia otwiera i widzi Josiaha z tacą. Chociaż nie jest głodna, docenia jego troskliwość.

Od dnia, kiedy zaskoczyła go w kuchni z Lisette, spotkali się już wiele razy. Mimo że przedtem dziewczyna nic nie wiedziała o ich wzajemnym uczuciu, wielokrotnie widywała drobne gesty i spojrzenia, jakie wymieniali, i gdyby była lepszą obserwatorką, mogłaby się wcześniej wszystkiego domyślić. Początkowo Josiah czuł się wyraż-

nie zmieszany, gdy spotykał ją po incydencie w kuchni, ale kiedy okazało się, że jest dyskretna i nie zdradza się z tym, co widziała, docenia jej milczenie. Olimpia miała nawet ochotę powiedzieć Josiahowi, że nie stało się nic złego, a nawet, w pewnym sensie, czego sama do końca nie rozumie, jest mu wdzięczna; niemniej rozmowa na ten temat byłaby dla obojga krępująca. Olimpia postrzeża teraz Josiaha w nieco innym świetle i wie, że kamerdyner się tego domyśla. Korci ją, żeby mu opowiedzieć o swojej miłości, zapewnić, że rozumie, co znaczy skraść kilka chwil, aby być razem.

Ale, oczywiście, to nie do pomyślenia.

- Dziękuję, Josiah - mówi, biorąc od niego tacę.

Służący zwleka z odejściem, stojąc w drzwiach. Olimpia stawia tacę na komodzie. Okno w pokoju jest szeroko otwarte. Robi się przeciąg i powiew wiatru zrzuca z biurka wszystkie papiery, a firanka wydyma się aż pod sufit.

- W domu panuje okropne zamieszanie - mówi Olimpia, schylając się razem z Josiahem, aby pozbierać kartki. - Musisz być strasznie zmęczony - dodaje.

- Jesteśmy na nogach od czwartej rano, panienko.

1 z pewnością nie położymy się spać przed czwartą po północy. Ale to wielka okazja, a ojciec panienki jest bardzo zadowolony z przygotowań.

Olimpia patrzy w milczeniu na niego i uświadamia sobie nagle, że pierwszy raz - może w ogóle po raz pierwszy w życiu - ich oczy naprawdę się spotkały.

- Nie czuje się panienka dobrze - zauważa Josiah.

- Nie - odpowiada szczerze Olimpia.

- Przykro mi. - Wręcza jej zebrane papiery i staje z rękoma złożonymi na plecach, na szeroko rozstawionych nogach.

- Dziękuję - mówi Olimpia.

Na kamizelce Josiaha widać ciemne plamy, zapewne ślad po czyszczeniu sreber.

- Lisette i ja... - zaczyna i przerywa. - Mamy zamiar się pobrać. Chcemy porozmawiać o tym z ojcem panienki jutro, gdy będzie już po przyjęciu.

- Na pewno się ucieszy - mówi Olimpia szybko.

- Nie chciałbym, aby panienka myślała...

- Nie myślałam.

- Może zawołam mamę panienki? Albo Lisette?

- Nie - Olimpia kręci głową. - Nic mi nie jest. Muszę być w dobrej formie wieczorem. To tylko przeziębienie.

Olimpia kłamie i widzi, że Josiah nie wie, o co zapytać i co powiedzieć.

- Proszę zostawić tacę za drzwiami, panienko, to nie będę przeszkadzał.

- Tak zrobię. Dziękuję.

- Mam nadzieję, że panienka będzie się dobrze bawiła wieczorem.

- Spróbuję, Josiah.

Ręce ciężą jej, jakby była w letargu i z trudem je unosi, aby ułożyć fryzurę. Zastanawia się, jak w takim stanie wytrzyma całe przyjęcie. Lisette zaoferowała jej pomoc przy upinaniu włosów, gdy tylko skończy toaletę matki, ale dziewczyna czuje, że nie zniosłaby uprzejmej pogawędki na temat nadchodzącego wieczoru z młodą kobietą, którą, w przeciwieństwie do Olimpji, czeka małżeńskie szczęście.

Z niemałym wysiłkiem kończy toaletę i staje przed lustrem, aby ocenić ostateczny rezultat. Widzi w nim młodą pannę, bardziej dojrzałą niż była w czerwcu, o pełniejszej twarzy i ramionach i bardziej okrągłym biuście niż jeszcze dwa miesiące temu. Jej włosy nabrały złotego połysku od słońca, a dekolci obsypany jest piegami, których

Olimpia nie zdołała ukryć pod warstwą pudru. Uczesała włosy w podwójny kok i zebrała go perłowymi grzebieniami. Jedwabna suknia opina jej ciało i podkreśla sylwetkę bardziej niż inne stroje. Ostatecznie Olimpia ocenia własny wygląd jako zadowalający, ale brakuje jej uśmiechu i tego szczególnego światła w oczach.

Szczęśliwa kobieta wygląda zupełnie inaczej, jej uroda rozkwita pod wpływem zadowolenia i świadomości, że jest naprawdę kochana.

Nawet kobieta o przeciętnej urodzie, jeśli promienieje radością, przyciąga wzrok; i na odwrót, najpiękniej ubrana i obwieszona biżuterią, jeśli nie jest zadowolona z życia, wydaje się co najwyżej wystrojona.

Olimpia siada na łóżku, walcząc ze łzami, ale przegrywa w tej walce. Gdyby tylko mogła porozmawiać z Haskelllem. Gdyby mogła się do niego na chwilę przytulić, wszystko byłoby dobrze. Wiedziała, jak ją pocieszyć. Zaopiekowałby się nią. Nie, to nieprawda, Haskell nie może się nią zaopiekować. Jest zobowiązany opiekować się kimś innym. Olimpia wyszarpuje grzebień z włosów, pozwalając im luźno opaść na ramiona, chociaż jeszcze godzinę temu z niemałym trudem je upinała. Nie dba

O to! Nie zejdzie na przyjęcie! Zostanie w swoim pokoju i nikt jej nie zmusi, aby pokazała się na dole. Czy nie ma przynajmniej na to wpływu w swoim życiu? Nikt nie zmusi jej do udziału w zabawie, nikt nie namówi, aby wdała się w konwencjonalną rozmowę z Johnem Haskelllem i jego żoną.

Gdy tak siedzi z rozpuszczonymi włosami, płacz powoli ustaje i Olimpia podnosi głowę. Podejmuje decyzję, że musi jednak zejść na przyjęcie. Oczywiście, że zejdzie. Jeśli zostałaby w pokoju, ojciec poczułby się straszliwie dotknięty. Jakie to egoistyczne z jej strony, że w ogóle

rozważała taki wariant. Czy jest aż tak słaba, tak beznadziejnie dziecinna, że nie może przebywać w tym samym towarzystwie z Haskelllem i jego żoną? Myśli o cierpieniach, jakich na co dzień doświadczają inni - na przykład pani Rivard i jej dzieci - i czuje wstyd za swoje wyimaginowane męczarnie. Tak niewiele się od niej wymaga. Czy nie może przynajmniej tyle z siebie dać? Haskell powiedział, że takich spotkań może być więcej. Czy chce z nich zrezygnować?

Poprawianie wyglądu zajmuje Olimpii tyle czasu, że kiedy jest gotowa, zaczynają już nadjeżdżać pierwsi goście. Otwiera drzwi swojego pokoju i słyszy pierwsze szmery powitań tego wieczoru, zapowiadające morze głosów, rozbrzmiewających coraz donośniej w ciągu nocy. Olimpia staje na szczycie schodów i patrzy w dół na dwadzieścia, może trzydzieści osób, do których wysłano zaproszenia na pergaminie z granatową obwódką. Gromadzą się w holu: kobiety wystrojone w białe jedwabie, szyfony, krynoliny, moreę, satynę i tiul; mężczyźni w eleganckich garniturach i białych krawatach. U stóp schodów stoją obok siebie rodzice, tworząc piękną parę. Matka, której fryzura składa się z kunsztownie splecionych, luźnych pukli, podtrzymywanych sznurami pereł, przybrała pozę godną królowej i obdarza wchodzących uśmiechem, wyrażającym pełnię zadowolenia i gościnność. Całkowicie docenić go potrafią jedynie Olimpia i jej ojciec. Jest to znakomite przedstawienie i dziewczyna nie może oderwać od nich oczu.

Rosamunda pamięta nazwisko każdego zaproszonego i z każdym się wita. Zna też imiona dzieci i przyjaciół gości. Olimpia zastanawia się, jak to jest możliwe, skoro matka tak rzadko bywa w towarzystwie. Wyobraża ją sobie, jak siedzi w swoich apartamentach i uczy się na pa-

mieć długiej listy zaproszonych niczym uczennica przygotowująca się do egzaminu. Ojciec także prezentuje się wspaniale. Znakomicie łączy dwie cechy, niezbędne dla wzorowego gospodarza: spokój i uprzejmość. W przeciwieństwie do żony osobiście zna wszystkich przybyłych, ponieważ sam sporządzał listę gości. Jest także, w odróżnieniu od Rosamundy, szczerze zadowolony z ich przyjścia. Poświęcił dużo czasu, przygotowując dla każdego słowa powitania i tak rozmieszczając biesiadników przy stole, aby mogli prowadzić ożywione rozmowy. Wielu zaproszonych zajmuje się dziedzinami, które ojciec doskonale zna: literaturą, dziennikarstwem, malarstwem, muzyką i architekturą. Są wśród nich także ludzie biznesu, tacy jak Rufus Philbrick, co gwarantuje, że spotkanie nie będzie nudne. Przyglądając się rodzicom, Olimpia zauważa, że matka nie omieszkała włączyć do swojego stroju szala w subtelnym odcieniu przejrzystej wody, a w uszach ma kolczyki z opalami, mieniące się błękitnym blaskiem; w ten sposób pozostała wierna swoim wręcz obsesyjnym przyzwyczajeniom. Niezależnie od trosk czy rozczarowań rodzice promieniają zadowoleniem, uprzejmością i okazują wszystkim szacunek, co sprawia, że goście czują się mile widziani. Wszystko to stwarza oczekiwaną i niezastąpioną atmosferę gwarantującą (jeśli przyjęcie ma się udać), że ten właśnie dom, tego właśnie wieczoru jest jedynym takim miejscem na świecie. Olimpia bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze z płuc. Schodzi na dół. Ojciec podnosi głowę i patrzy na córkę, chwilę potem robi to samo matka, a następnie wszyscy goście zgromadzeni w holu; schodzącą po stopniach Olimpię obserwuje więc publiczność, o którą dziewczyna w najmniejszym stopniu nie dba. Nie powinna

jednak tak myśleć, ponieważ to przyjęcie wydał ojciec, gdyż jest z niej bardzo dumny; Olimpia wie, że musi mu pozwolić na tę chwilową satysfakcję. Widzi wśród gości twarz Philbricka, który uśmiecha się do niej tak szeroko, jakby była jego córką, a także twarze kilku młodych mężczyzn, których nigdy przedtem nie spotkała, z rodzin z Newburyport, Exeter i Bostonu, od lat, o ile nie od pokoleń, przyjeżdżających do Fortune's Rocks z północy. To młodzieńcy, którzy za rok lub dwa lata mogą być brani pod uwagę jako dobre partie dla niej. Zbliżając się do gości, Olimpia czuje nagle ból, tak wielki, że prawie ją paraliżuje: jak ona to zniesie?

Bardzo konkretnie wyobraża sobie kolejkę młodych mężczyzn, którzy podchodzą do niej, zagadują, może nawet się oświadczają, a ona musi odrzucić ich zaloty ze względu na tajemnicę, jaką ukrywa. I wtedy nagle dociera do niej, że nigdy nie wyjdzie za mąż, nigdy nie będzie miała dzieci; zniszczyła swoją przyszłość. Olimpia wyciąga rękę, aby utrzymać równowagę. Ojciec dostrzega to i wyraźnie się niepokoi. Przez głowę dziewczyny przebiega myśl: Teraz nie wolno jej zajmować się takimi sprawami. Nie wolno i koniec. Bierze się w garść i schodzi na parter.

Już w holu podchodzi do Olimpii ojciec i podaje jej rękę. Oboje z matką całują ją w policzek.

- Olimpio, wyglądasz jak zjawisko - mówi ojciec tak głośno, aby wszyscy słyszeli.

A matka, bardziej powściągliwa, ale równie zadowolona z fryzury i stroju córki, uśmiecha się i poprawia kosmyk włosów za jej uchem.

- Jestem z ciebie dzisiaj naprawdę dumny, Olimpio - mówi ojciec bardziej prywatnie.

W jego oczach na ułamek sekundy pojawiają się łzy. Ale po chwili, już opanowany, wita się z Zachariahem Cote'em.

Ten odwzajemnia powitanie i pośpiesznie - zbyt pośpiesznie, a nawet niegrzecznie, jak sądzi Olimpia - zwraca się do niej z powitaniem:

- Panno Biddeford. - Ujmuje jej dłoń w rękawiczce i kłania się uprzejmie.

Po chwili unosi głowę, lecz w dalszym ciągu mocno trzyma dłoń Olimpii, która czuje się złapana w pułapkę jak małe zwierzątko. Ma wrażenie, że dolatuje do niej zapach tłustych włosów poety - gęsty, obrzydliwy zapach, który przyprawia o mdłości.

- Wygląda pani zachwycająco - mówi Cote, uśmiechając się powściągliwie. - Jak młoda dama w wieczór zaręczynowy, tak sądzę. A może nawet w dniu ślubu.

Olimpia jest przerażona, ponieważ impertynenckie aluzje tego mężczyzny są niemal echem jej własnych myśli sprzed godziny. Wrywa dłoń z jego ręki jak rybak, który z obrzydzeniem strząsa oślizłego stwora wyciągniętego na wędce z wody.

- Ależ z pewnością nie - odzywa się matka Olimpii, biorąc za rękę Cote'a. - Jak możesz mówić takie rzeczy, Zachariahu? Myślę, że nastrój wieczoru uderzył ci do głowy. Dobrze wiesz, że Olimpia ma dopiero szesnaście lat. Nie myślimy jeszcze o jej małżeństwie.

Matka karci go lekkim tonem, stosownym do atmosfery przyjęcia, ale Cote przed odejściem posyła Olimpii spojrzenie, z którego wyraźnie biją chłód i stanowczość. Jakby chciał powiedzieć: Jeśli upierasz się przy tej maskaradzie...

Olimpia jest poruszona tym spotkaniem, ale musi pozostać z rodzicami i witać następnych gości, którzy coraz liczniej przybywają na przyjęcie. Towarzyszy im tak długo, dopóki jest w stanie podołać sytuacji, a potem przeprasza i wychodzi na werandę.

Od strony morza napływa rozświetlona blaskiem zachodzącego słońca mgła i filtruje światło tak, że wszystkie przedmioty nabierają łososiowego odcienia, zwłaszcza białe suknie pań i długie kotary namiotu. Olimpia nic do końca pojmuje istoty zjawiska świetlnego, w którego efekcie różowawa mgła podkreśla jeszcze akwamarynową barwę morza, rozjaśnianego grzywami fal przy brzegu, ale ojciec z pewnością musi być zadowolony, że natura tak pięknie przystroiła się na ten wieczór, ogromnie ważny dla rodziny Biddefordów i gości.

Uroda krajobrazu zaczyna powoli wymazywać wspomnienie nieprzyjemnego epizodu z Cote'em. Olimpia idzie w stronę namiotu, wchodzi do środka i przygląda się pięknie zastawionym stolom z najlepszą porcelaną i ciężkimi, srebrnymi sztućcami z wygrawerowanymi na trzonkach inicjałami. Kieliszki z opalizującego szkła czekają na szampana, w lichtarzach palą się świece. Przed namiotami przechadzają się już goście i zaglądają do środka. Kelnerzy czekają w pogotowiu, trzymając tace z ostrzygami i napojami.

- Olimpio - słyszy za sobą czyjś głos.

Odwraca się w chwili, gdy Victoria Farragut dotyka jej ramienia dłonią w białej rękawiczce.

- Jakie to wszystko wspaniałe - mówi. - Ty też wyglądasz pięknie. A ja nie mogłam wyprostować włosów, chociaż bardzo się starałam. To przez tę okropną wilgoć.

Olimpia przygląda się włosom Victorii, które wiją się niesfornie wokół twarzy, przez, co wydaje się bardzo pociągająca. Dzieli się wrażeniami z Victorią.

- Ależ nie! - wykrzykuje dziewczyna. - Wyglądam jak straszdyło. Ty natomiast wyglądasz naprawdę cudownie. Wiem, że ta suknia jest z Paryża, mama mi powiedziała.

Obu dziewczętom, ku zaskoczeniu Olimpii, podano szampana. Olimpia kosztowała już go na oficjalnych

przyjęciach, lecz dopóki nie spotkała Haskella, nigdy nie wypła całego kieliszka. Teraz jednak przezroczyste bąbelki stały się dla niej czymś bardzo znajomym i przez chwilę dziewczyna zmagą się z napływającymi niemal fizycznymi wspomnieniami, które zrodziły się w zmysłach, ii nie w myślach.

- Szampan łaskocze mnie w gardło - mówi Victoria, odchrząkując. - Nie znam połowy tych ludzi. Czy wszyscy są z Fortune's Rocks? Nie, to z pewnością niemożliwe.

- Są też goście z Bostonu i Newburyport. Ja sama nie znam większości z nich.

- Moja mama bardzo długo wybierała suknię na wasze przyjęcie - wyznaje Victoria. - Ma nadzieję, że znajdzie tu męża. Ale nie powinnam ci tego mówić.

Olimpia uśmiecha się lekko.

- Mam nadzieję, że tak się stanie - zapewnia przyjaciółkę. - Z pewnością spotka tu wielu mężczyzn, mogących być dobrą partią - dodaje, obserwując tłum gości, w którym większość stanowią panowie w różnym wieku.

- Tylko że nikt nie chce kobiety z prawie dorosłymi dziećmi. - Victoria lekko wzdycha. - A zwłaszcza niezamożnej kobiety.

- Nie sądzę, że mężczyzna szukający kobiety kieruje się wielkością jej majątku - mówi Olimpia. - A także aby przeszkadzała mu dorastająca córka. Czy o to chodzi w miłości?

- Och, bardzo wątpię, aby moja matka miała nadzieję na miłość - oznajmia Victoria. - Ona chce męża. Bogatego. Zatańczysz, gdy ktoś cię poprosi?

- Chyba powinnam - przyznaje Olimpia.

- Olimpio, mówisz jak stara kobieta zmęczona życiem.

- Przepraszam - odpowiada. - Być może jestem po prostu przemęczona.

Pije kolejny łyk szampana i kieruje spojrzenie na Ru fusa Philbricka, w białym krawacie i z białą brodą, który właśnie zmierza w ich stronę.

- Oto nadchodzi ktoś, aby poprosić cię do tańca -mówi Victoria konspiracyjnym szeptem.

- Na Boga, Victorio, on jest starszy od mojego ojca! -śmieje się Olimpia i natychmiast zdaje sobie sprawę z ironii, jaka brzmi w tym stwierdzeniu.

Rufus Philbrick wita się z Olimpią, która przedstawia mu Victorie. Philbrick skłania się lekko w jej stronę.

- Znałem pani ojca - mówi. - Prowadziliśmy razem interesy. Mam nadzieję, że pani i matka macie udane wakacje?

- Tak, bardzo udane - odpowiada Victoria. - Dziękuję. To mi przypomniało, że powinnam do niej pójść. Przepraszam...

Olimpia i Philbrick patrzą, jak Victoria toruje sobie drogę przez tłum gości, którzy wylegli na trawnik.

- Czy nawiązałaś tego lata nowe przyjaźnie? - pyta Olimpię Philbrick.

Olimpii przypomina się nagle tamten wieczór, kiedy Philbrick i Haskell byli u nich na kolacji.

- Prawdę powiedziawszy byłam zajęta czymś innym -mówi.

- Nic poważnego, mam nadzieję? - pyta Philbrick.

- Nie. Nic naprawdę poważnego.

Olimpia czuje nieprzewartą ochotę, aby opowiedzieć temu życzliwemu i dobrodusznemu człowiekowi o sobie i Haskellu.

Chciałaby to komuś wyjawić, jakkolwiek byłoby to nierozsądne.

Wyznać głośno, nadać temu znaczenie. To śmiała pokusa, podobna do uczucia, jakie się pojawia, gdy stoimy na krawędzi głębokiej przepaści i ogarnia nas nieprzewartę pragnienie, aby skoczyć.

- Na zdrowie, moja droga - odzywa się Philbrick, przywołując gestem kelnera, aby napełnił mu kieliszek szampanem. - Myślę, że mężczyzna, który pewnego dnia cię porwie, będzie niezwykłym szczęściarzem.

Olimpia patrzy na człowieka, który jest właścicielem kilku hoteli, i rozważa jego słowa, tak bardzo odmienne w tonie od wypowiedzianych wcześniej przez Cote'a, ponieważ nie ma w nich najmniejszej nawet dwuznaczności, tak wyraźnie wyczuwalnej u poety.

- Och, mam nadzieję, że nie zostanę wywieziona zbyt daleko od mojej mamy i taty - rzuca lekko, aby uprzedzić dalsze rozważania.

- Olimpio Biddeford, wyczuwam w tobie duszę żądną przygód. - Philbrick myśli przez chwilę. - Tak. Jestem tego pewien. Spotkasz handlarza bydła, pojedziesz na zachód, będziecie mieli hotele i ośmioro dzieci.

Ona się śmieje.

- Mam nadzieję, że nie jest pan tak dobry w przepowiadaniu przyszłości jak w interesach.

Philbrick uśmiecha się do niej znad kieliszka z szampanem.

Rozmowy wokoło są coraz głośniejsze, co kieruje wzrok obojga na werandę, niemal pełną gości.

- Spoglądałem na okolicę przez twój teleskop - mówi Philbrick. - Dowiedziałem się, że to prezent od ojca na urodziny.

Olimpia kiwa głową.

- Cudowny instrument. Bardzo przyjemny. Na początku tygodnia obserwowałem przez niego całą drogę do Appledore.

- Dziś wieczór nie byłoby to możliwe.

- Nie, ale mgła także jest intrygująca, nie sądzisz? Olimpia zastanawia się nagle, czemu nigdy nie widuje

Philbricka z żoną i dziećmi. Czyżby mieszkał sam? W jed-

nym ze swoich hoteli? Dziewczyna obserwuje zgromadzonych gości. Najpierw uderza ją myśl, że każda z tych pięknie ubranych i doskonale wychowanych osób, obecna na przyjęciu, przyszła na świat w taki sam sposób, jak dziecko pani Rivard; później, że większość gości na werandzie co najmniej raz lub kilka razy w życiu, o ile nic częściej, otwierało usta, rozchyłało nogi, było nagich w obecności ukochanej osoby, pragnęło rozkoszy, krzyczało, przeżywając ją, a może nawet wydawało z siebie nieprzyzwoite lub okropne dźwięki; a potem jeszcze, że obok niej są pary, które w ten intymny sposób obcowały ze sobą właśnie tego dnia. Te spostrzeżenia budzą w Olimpii refleksję dotyczącą dysonansu między jedwabnymi strojami a naturalnymi kształtami ciała i zastanawia się, dlaczego tak bardzo pragniemy udawać, że nie jesteśmy cieleśni.

- Aha - mówi jej towarzysz. - Przyjechał Hale. Nasz gość honorowy.

- Nie bardziej honorowy niż pan - zauważa Olimpia. Philbrick patrzy na nią i szeroko się uśmiecha.

- Wiem, że jesteś zwolenniczką demokracji - odpowiada.

Razem przyglądają się, jak wielebny wchodzi na werandę, trzymając pod rękę kobietę. Olimpia dostrzega jej bladą twarz i rzadkie włosy. Hale'a natychmiast otaczają goście, którzy albo pragną go poznać, albo chcą zobaczyć tych, którzy właśnie się z nim witają, więc już po chwili pastor znika z jej pola widzenia; Olimpia wie, że wkrótce i tak zostanie mu przedstawiona. Niezbyt ją to cieszy, ponieważ nie przeczytała jego kazań, o co prosił ojciec. Wprawdzie nie przypuszcza, aby autor przywiązywał do tego faktu szczególną wagę, nie ma jednak wątpliwości, że ojcu ogromnie na tym zależało. Ma nadzieję, że będzie

bardzo zajęty gośćmi i zapomni o przepytaniu jej z zadanej lektury w obecności Hale'a.

Wypadki potoczyły się jednak tak, że Olimpia nie została przedstawiona Hale'owi ani tego wieczoru, ani później.

- Przyszedł Haskell z żoną. - Słyszy za sobą słowa Philbricka.

Serce zamiera jej w piersi. Szybko przebiega wzrokiem tłum gości i widzi ich, jak wchodzą przez frontowe drzwi i idą w stronę werandy.

Olimpia od razu dostrzega, że oboje zachowują się jakoś inaczej.

Catherine z czułością garnie się do męża, na którego twarzy widać ogromne napięcie. Kierują się w przeciwną stronę niż Hale, jakby w milczącym porozumieniu zdecydowali się odejść na sam kraniec zgromadzenia. Powoli zbliżają się do balustrady, tuż obok miejsca, gdzie stoją Philbrick i Olimpia.

Philbrick robi kilka kroków w ich stronę, aby się przywitać, ale ona nie jest w stanie ruszyć się z miejsca.

Haskell ma lekko zmierzwiłone włosy, jakby je uczesał, a potem, zapominając o tym, zburzył palcami fryzurę. Krawat przy koszuli nie jest zawiązany jak należy. Catherine, w długiej, białej, jedwabnej sukni, delikatnie dotyka ramienia męża. Haskell najwyraźniej nie dostrzega Olimpii, która stoi wprost na linii jego wzroku, gdyż jest zatopiony we własnych myślach. Philbrick wchodzi na werandę i wita się z Catherine, całując jej dłoń. Haskell chwilę z nim rozmawia, ale może się zdobyć jedynie na krótkie słowa powitania.

On nie jest sobą, myśli Olimpia. Jest chory.

Nie wie, co zrobić, odejść czy przyłączyć się do grupki na werandzie.

Philbrick, zakłopotany milczeniem tamtego, rozmawia z jakimś mężczyzną z Rye, którego Olimpia prawie nie zna. Haskell opiera dłoń na balustradzie,

pochyla się i patrzy pod nogi, zachowując się jak ktoś, kto nie najlepiej się czuje. Catherine od czasu do czasu odwraca głowę w stronę męża, sprawdzając, co się z nim dzieje. Jest bardziej zdziwiona niż inni - zaniepokojona, lecz także zakłopotana tym niezwykłym u niego brakiem uprzejmości.

Ale to nie brak uprzejmości wpływa na nienaturalne zachowanie Haskella. Zdecydowanie nie. Catherine, po raz kolejny zerkając na męża, dostrzega dziewczynę.

- Olimpia! - woła, a jej twarz się rozjaśnia. - Olimpia! Spójrzcie na nią, John, widzisz? Czyż nie wygląda wspaniale?

Haskell kieruje wzrok w jej stronę. Chociaż dzieli ich spora odległość, Olimpia widzi go bardzo wyraźnie. Ale z twarzy mężczyzny nic nie można wyczytać. Dziewczyna czeka na znak, wskazówkę, jak powinna się zachować. Haskell jednak wita się z nią skinieniem głowy i nic nie mówi.

Za to Catherine mówi dużo jak ktoś, kto pragnie zatuszować wrażenie niezręcznej sytuacji.

- Olimpio, chodź do nas! - woła. - Musimy ci się przyjrzeć!

Słyszałam, że twoja suknia wygląda jak marzenie, lecz nie miałam pojęcia, że jest aż tak piękna. Oczywiście, ten wspaniały efekt to przede wszystkim zasługa młodej damy, która ją nosi, prawda John? Ale, Olimpio, dlaczego stoisz sama, przecież każdy młodzieniec, na przyjęciu powinien marzyć o chwili rozmowy z tobą?

Haskell zaciska wargi.

Czy Catherine wie? - zastanawia się zaniepokojona dziewczyna. Czy jej powiedział? A może Catherine próbuje z całej mocy przezwyciężyć kryzys i zapomnieć o wszystkim? O to jej chodzi? Co zaszło tego popołudnia między małżonkami w ich nowym domu? Olimpia szuka

wzrokiem Haskella, jej oczy spoglądają przenikliwie w jego oczy i usta, lecz nie otrzymuje odpowiedzi na dręczące ją pytania.

I nagle Haskell prostuje się, próbując być sobą.

- Dobry wieczór, Olimpio - mówi. - "Wybacz mi.

Co mam wybaczyć, chce wykrzyknąć Olimpia. Co mam ci wybaczyć? Na twarzy Catherine widać ulgę, że mąż się odezwał. Uśmiecha się do dziewczyny.

- Zapraszamy do nas, Olimpio, jeśli nie zechcesz, przyjdę po ciebie sama - mówi.

Olimpia podejmuje decyzję. Unosi spódnicę i wchodzi na werandę bocznymi schodami, na których kiedyś stał Haskell, obserwując ją, gdy wracała z plaży. Ale tym razem wita ją Catherine, wyciągając przed siebie dłoń w rękawiczce. Olimpia tonie w uścisku przesyconym zapachem gardenii i perfumowanego mydła, a także ledwo wyczuwalną wonią odrobinę nieświeżego oddechu.

Suknia Catherine zebrana jest pod biustem w stylu z epoki empire i ponętnie układa się na talii i biodrach. Uzupełnia ją komplet biżuterii z kamieniami księżycowymi. Włosy spływają swobodnie do ramion i Olimpia ma nieprzeparte wrażenie, że twarz kobiety jest wręcz niematerialna i może się nagle rozpuścić jak mgła. Catherine trzyma ją pod ramię jak ciotka przyzwoitka, która bierze pod skrzydła siostrzenicę. Haskell odwraca się, pochyla i całuje dłoń Olimpii w rękawiczce. Stojąc blisko, dziewczyna widzi napięte mięśnie jego twarzy.

- Jak się pani podoba nowy dom? - Olimpia zmusza się do uprzejmej rozmowy.

Haskell odwraca głowę i patrzy na morze.

- Och! - Catherine wzdycha z wyraźnym zachwytem i składa dłonie, jakby chciała klasnąć. - Jest wspaniały.

Nigdy nie widziałam takiego domu. Z każdego okna widać morze, a morskie powietrze... Naprawdę, Olimpio, musicie do nas wpaść jak najszybciej, chciałabym pokazać tobie i twojej mamie wszystkie pokoje. Takie dopracowane... I dziewczęta... Każda ma własny salonik i są, jak możesz sobie wyobrazić, całkowicie zachwycone. Catherine milknie. Olimpia chce coś powiedzieć, ale nie może znaleźć właściwych słów. Dookoła słychać ożywione głosy. Dziewczyna czuje dławienie w piersi.

Catherine przenosi wzrok z Haskella na nią i znowu patrzy na męża.

- John nie jest dzisiaj sobą - wyjaśnia, przeprasząc za jego zachowanie. - Obawiam się, że zbyt wiele pracował.

- Przykro mi - rzuca Olimpia.

Nawet Catherine, mimo swoich umiejętności nawiązywania kontaktów towarzyskich, nie potrafi podtrzymać rozmowy. Pełne napięcia milczenie Haskella jest paraliżujące i Olimpia ma ochotę zniknąć. Nie zdoła już dłużej wytrzymać w obecności tej pary.

Napięcie stało się tak wielkie, że ona albo Haskell mogą ulec presji i wyrzucić z siebie prawdziwy powód milczenia.

- Bardzo przepraszam, muszę poszukać ojca - mówi szybko. - Nie będzie zadowolony, jeśli przegapię okazję, aby poznać pana Hale'a. Nie czekając na odpowiedź Catherine i Haskella, odwraca się i idzie w stronę drzwi. Czy to tłum się przed nią rozstępuje, czy też ona roztrąca gości? Nie, nie jest tak źle. Z trudem się przeciska między zgromadzonymi, grzecznie kiwając głową i unikając dłuższych rozmów. Wchodzi do domu, do salonu, gdzie jest pełno ludzi i panuje wesoła atmosfera. Idzie dalej, zupełnie bez celu, pragnąc jedynie zwiększyć odległość między sobą a Catherine

Haskell, bo nie może już dłużej prowadzić spokojnej rozmowy z tą kobietą.

W myślach składa sobie gorące obietnice: nie wolno jej, pod żadnym pozorem, odwiedzać żony Haskell'a. Postara się odwieść Catherine od zaproszenia ich do nowego domu. Za wszelką cenę musi unikać jakichkolwiek spotkań czy przyjęć, na których mogłyby się spotkać. Musi wyjechać z Fortune's Rocks, wrócić do Bostonu. Wymyśli jakiś pretekst, ale musi tak zrobić. Namówi ojca, aby odesłał ją do miasta. Pojedzie natychmiast. Jutro rano. Olimpia jest już w holu, pośpiesznie wymijając gości. Słyszy, że orkiestra stroi instrumenty. Za chwilę zaczną się tańce. Boże, myśli, jak ja to zniosę?

Wchodzi do pustego korytarza, który łączy dom z kaplicą, i przystaje na chwilę, aby złapać oddech. Opiera się o ścianę, odrzuca do tyłu głowę i zamyka oczy. Stoi tak przez kilka minut, próbując się uspokoić. Słyszy dźwięki skrzypiec, zaczyna się walc. Czy Haskell tańczy z Catherine? Olimpia zasłania dłońmi oczy. Wzburzona wyciąga z włosów perłowe grzebienie i uważnie im się przygląda. Potem zaciska je mocno w dłoniach, aż zęby wbijają się w skórę.

Nagle słyszy kroki na wypolerowanej posadzce i odwraca głowę. Powinna była wiedzieć, że Haskell za nią pójdzie. Patrzy, jak on się zbliża, ale nie jest w stanie się poruszyć. Na jego twarzy maluje się wyraz, który Olimpia dobrze zna: połączenie bólu i oczekiwania. Podchodzi bliżej i dziewczyna czuje jego oddech na twarzy. Słyszy urywane westchnienie, gwałtowny jęk. Haskell pochyla się i mocno przyciska usta do jej ramienia; Olimpię przez moment opanowuje lęk. Czuje na skórze jego zęby. Nigdy przedtem tego nie robił. Czuje też wilgoć

i dociera do niej, że Haskell płacze. Płacze tak, jak płaczą

mężczyźni, jednocześnie cicho i hałaśliwie, z trudem łapiąc oddech. Ta całkowita utrata kontroli sprawia, że szloch wywołuje pożądanie, a może na odwrót. Olimpia pragnie dotknąć jego twarzy, unieść ją, uspokoić go, ale usta Haskella opadają na jej piersi; obejmuje ją tak mocno, że z trudem może oddychać. Chwiejnym krokiem idą dalej korytarzem, szukając ciemności, aby się w niej skryć, byle schować się gdziekolwiek. Olimpia obija się o ścianę, z której spada obraz. Obawia się, że hałas może ściągnąć służbę lub któregoś z gości. Obejmuje dłońmi głowę Haskellą i zamieniają się miejscami, tak że teraz on dotyka plecami ściany. Olimpia następuje na brzeg spódnicy i słyszy głucho trzaśnięcie materiału, gdy suknia pęka w talii. Wchodzą do kaplicy i zatrzymują się na progu, patrząc na stary ołtarz otoczony drewnianymi ławkami. Gdzieś z tyłu słychać szcęknięcie klamki. Haskell zamyka zasuwkę. Olimpia siada na marmurowej płycie dawnego ołtarza, a Haskell pochyla się nad nią.

- Co się stało? - pyta Olimpia. Nie widzi jego twarzy.
- Nie powiedziałem jej - przyznaje się Haskell. Olimpia obejmuje ramionami jego tors i opiera na nim czoło.
- Nie mogę mieszkać w tym domu - mówi dalej. - Nie mogę. Nie mogę.
- Nie. - Olimpia kręci głową. Też zaczyna łkać.
- Wyjadę stąd - oświadcza Haskell. - Znajdę jakiś powód. Nie mogę tu zostać.
- Pozwól mi to zrobić - prosi Olimpia, podnosząc głowę. - Pozwól mi wyjechać. Ty jesteś tu potrzebny, ja nie. Już postanowiłam, jutro porozmawiam z ojcem.

Haskell zanurza dłonie głęboko w jej włosach.

- Nie, nie mogę zostać - powtarza. - Wszystko w tym domu przypomina mi ciebie i sprawia, że wciąż cię pragnę.

Jego usta dotykają warg Olimpii. Całuje ją, ale to coś więcej niż pocałunek. Coś, w czym można utonąć.

Ciało nie zadowala się tylko pocałunkiem, niezależnie od tego jak odwzajemnionym i szczodrym. Ciało pragnie czegoś więcej.

Olimpia kładzie się, opierając głowę o zimny marmur. Kamień jest twardy i niewygodny, czuje się niezręcznie z rozsuniętymi nogami, dotykając posadzki czubkami pantofli. Haskell klęka. Jego mokry policzek dotyka uda Olimpii. Odpina jedną pończochę i przesuwa dłonią po gołym ciele. Olimpia próbuje się unieść, aby spojrzeć mu w twarz. Wola go. Lecz Haskell zatracą się w najpotężniejszym pożądaniu, zrodzonym z uczucia beznadziejności. Olimpia się boi - o niego i o siebie. Wie jednak, że nie może tego powstrzymać, to musi mieć swój moment kulminacyjny, swój początek i koniec.

Wtedy właśnie odwraca na bok głowę i spogląda przez otwarte okno kaplicy, przez które widzi, jak Zachariah Cote z wdziękiem ustępuje miejsca na werandzie Catherine, która podchodzi do teleskopu, pochyla się nad wizjerem i przez moment reguluje ostrość, aż wreszcie scena, na którą precyzyjnie ustawił instrument Zachariah, objawia się w całej wyrazistości.

Olimpia wyobraża sobie to tak: Catherine prostuje się, usta ma lekko otwarte, przyciska do piersi dłoń w jedwabnej rękawiczce. Cote, udając ciekawość, schyla się do teleskopu, a potem też się podnosi, udając szok na widok tego, co zobaczył. „Moja droga - mówi zapewne. - Tak mi przykro. Jakże to musi być dla pani straszne". To mogłoby zaalarmować Catherine i spowodować, że popatrzy mu w twarz. Ujrzy zmarszczone w napięciu brwi i niedokładnie zamaskowany chytry uśmiech na ustach.

I może wtedy Catherine wzdryga się, a następnie podchodzi i daje mu w twarz.

Olimpia ma nadzieję, że żona Haskella tak właśnie zrobiła.

Gdy dociera do głównego holu, przytrzymując rozdartą w talii suknię, ma wrażenie, że słyszy wokół psykanie, jakby ktoś rozregulował wszystkie zegary świata. Czy to się stało za przyczyną jej i Haskella, ten chaos, to pandemonium? Ludzie i przedmioty wokół niej wirują, poruszając się z niesamowitą prędkością. Haskell wybiegi pierwszy i Olimpia szuka go wzrokiem, rozgląda się też za Catherine. Jej matka ma białą, zmrożoną twarz i nie może wydobyć z siebie głosu. Ojciec podchodzi do Olimpii i obrzuca ją pytającym wzrokiem. - Czy to prawda, Olimpio? - pyta.

Ona odpowiada, ale brzmi to tak, jakby mówiła w obcym języku; ojciec zdaje się nie rozumieć słów, które do niego płyną. I nagle Olimpia widzi, jak dociera do niego prawda. Po twarzy przebiega mu lekki dreszcz; widzi też, co owa świadomość dla niego znaczy: to ruina, utrata wszystkiego, co cenił - córki i jej reputacji, koniec wakacji w Fortune's Rocks, w domu, który tak bardzo kochał, kres życia, które cenił. Olimpia uważa, że w tym najsmutniejszym momencie urodzinowego przyjęcia ojciec znakomicie sobie radzi i próbuje zachować pozory, mimo że straszliwa prawda wciska mu się do świadomości ze wszystkich stron. Olimpia podziwia to, jak rozmawia z gośćmi, uspokaja ich, zachowuje się niczym odpowiedzialny kapitan, chociaż okręt tonie, a woda zalewa kajuty. Ojciec próbuje wziąć ją za rękę, ale Olimpia wyrywa się i biegnie przez pokoje. Wszyscy goście wychodzą, wzywają powozy. Olimpia musi zobaczyć się z Haskel-

lem. Musi odnaleźć Catherine. Musi jej coś powiedzieć.
Dostrzega ich w końcu na korytarzu wiodącym do kuchni. Catherine płacze, nie pozwalając się dotknąć mężowi. Haskell patrzy na Olimpię w milczeniu. Na jego i warzy maluje się cierpienie. My tego nie zrobiliśmy, chce do niego krzyknąć Olimpia. Nie mogliśmy tego zrobić!
Tamci dwoje wychodzą razem kuchennymi drzwiami. I Haskell z żoną. Musi wyjść z żoną. Musi zawieźć ją do nowego domu. Jaki koszmar ich tam czeka, zastanawia się Olimpia. Jaki płacz rozlegnie się echem tej nocy, gdy Catherine będzie zasypiać i budzić się, zasypiać i budzić, w tym okrutnym i bezlitosnym rytmie?
Olimpia patrzy, jak Haskell opuszcza ich dom, zostawiając ją na korytarzu. Orkiestra już dawno przestała grać. Dziewczyna osuwa się na kolana. Patrzy na znikający w ciemności płaszcz Haskella. I właśnie wtedy dociera do niej w pełni to, co powinna była wiedzieć od samego początku. On nie jest jej. Nigdy nie był.

Część druga
Na wygnaniu

Rankiem jedenastego sierpnia Olimpia i jej rodzice wyjeżdżają pociągiem z Fortune's Rocks, zostawiając na miejscu Josiaha i Lisette, którzy w tych okolicznościach nie mieli okazji, aby powiadomić ojca o swoich planach. Ich obowiązkiem jest dopilnowanie armii wynajętej służby, mającej uprzątnąć wszystkie ślady po nieszczęsnym przyjęciu. Matka Olimpji podróżuje z zaciśniętymi ustami, a wynajęta pielęgniarzka od czasu do czasu podaje jej sole trzeźwiące. Ojciec po raz pierwszy odzywa się do dziewczyny dopiero w zaciszu salonu ich bostońskiego domu, gdzie nie ma jeszcze odpowiedniej liczby służby. Z trudem hamując wściekłość, oświadcza córce, że zniszczyła rodzinę i zaprzepaściła wszelkie szanse na szczęśliwe życie wszystkich jej członków. Co więcej, wynikające z głupoty lekceważenie konsekwencji popełnionego czynu całkowicie przekreśliło jej własną przyszłość. Chociaż on osobiście nie ma wątpliwości, że została uwiedziona przez zwykłego łajdaka, przez resztę życia będzie ponosiła odpowiedzialność za swój postępek. I czy rozumie -wykrzykuje na cały pokój z furią ojca, który przeżył najgorszy koszmar, zanim jeszcze zdążył go sobie wyobrazić - że zrujnowała nie tylko życie Catherine Haskell, niewinnej i tak straszliwie skrzywdzonej kobiety, ale jej

uczynek wpłynie także na dalsze losy Bogu ducha winnych dzieci? Co się tyczy zaś samego Johna Haskella, ojciec nie jest w stanie nawet wymówić jego imienia. Ufał temu człowiekowi jak przyjacielowi, a teraz ma ochotę spuścić mu tęgie lanie.

Olimpia siedzi w milczeniu i słucha wyroku: w najbliższej przyszłości nie będzie jej wolno wychodzić z domu, a przynajmniej przez miesiąc, dopóki rodzice wspólnie nie postanowią, co z nią zrobić i jak uratować nędzne resztki jej przyszłości. Nie wolno jej także opuszczać pokoju. Nie będzie miała żadnego towarzystwa, nie wolno jej pisać ani otrzymywać listów, jak również kontaktować się w inny sposób ze światem, ma też całkowity zakaz czytania książek, aby jej nie rozpraszały. Posiłki będą jej przynoszone na tacy, nie ma mowy nawet o spacerach do parku. Ojciec wyjaśnia, że celem tych restrykcji ma być zapewnienie jej odpowiedniego czasu, aby uprzytomniła sobie całą grozę położenia, w jakim się znalazła. I nagle, ku zaskoczeniu i przerażeniu Olimpji, ojciec zaczyna płakać, co jest dużo bardziej przerażające niż jego pełne oburzenia słowa. Siedzi sztywno na krześle, a dziewczyna ma wrażenie, że za chwilę runie na podłogę. Wstaje więc i klęka przed nim, błagając, aby przestał, nie może bowiem znieść jego rozpacz. Ojciec opanowuje się i każe jej wstać. Prosi ją też, aby w czasie najbliższych tygodni i miesięcy starała się ograniczyć do absolutnego minimum rozmowy z osobami mieszkającymi z nią pod jednym dachem. Potem chłodno oznajmia, że może opuścić salon i udać się do swojego pokoju, miejsca odosobnienia.

Ojciec nie mógł wymyślić dla niej gorszej kary, nawet gdyby działał z największą premedytacją. Olimpia ma siedzieć sama i godzinami rozmyślać nad swoim zmartowa-

nym życiem: nie będzie mieć męża ani rodziny; nie będzie mogła kontynuować edukacji ani prywatnie, jak dotychczas, ani w żadnej szkole; czeka ją najgorszy los, jaki może spotkać kobietę - staropanieństwo i całkowita bezużyteczność. Na zawsze pozostanie napiętnowana skandalem, który z jednej strony intryguje ludzi, a z drugiej ich odstręcza; będzie przykładem kobiety skalanej grzechem i krótko mówiąc, może tylko budzić litość, to najgorsze i zasługujące na największą pogardę uczucie. Świadomość, że odpowiada za zruinowane życie niewinnych osób, jest dla Olimpii niemal nie do zniesienia. Od czasu do czasu ojciec puka do drzwi, wchodzi i przekazuje wiadomości, które uważa za istotne dla jej rozmyślań o popełnionym czynie lub mające jeszcze bardziej obciążyć sumienie dziewczyny. Pewnego dnia lakonicznie mówi jej, nie pozwalając zadać sobie żadnego pytania, że Catherine z dziećmi wróciła jedenastego sierpnia do Yorku. Później Olimpia dowiaduje się, że Haskell został pozbawiony posady w college'u i w klinikach w Cambridge i Ely Falls. Ani słowa na temat, co się z nim teraz dzieje, ani jak zarabia na życie. Olimpia nie wie też, z czego żyje Catherine z dziećmi, ojciec powiedział jej tylko, że nowy dom, w którym nieszczęsna para spędziła zaledwie jedną, koszmarną noc, został wystawiony na sprzedaż.

Jest zupełnie sama z własnymi myślami i spekulacjami, które odnawiają się każdego ranka tuż po przebudzeniu i niezwykle trudno przychodzi jej osvajanie się z owymi refleksjami. Jednak po upływie miesiąca ze zdumieniem zauważa, że jej zdolność do żalu za grzechy, które popełniła, wyczerpała się. Już rozumie, że jej duch nie poddaje się karze, a więc będzie szukał drogi, chociaż biegnie ona przez najbardziej skomplikowany z labiryntów, w którym wiele się ryzykuje, aby zyskać ukojenie i zaleczyć rany.

Olimpii udaje się to, w zamknięciu sypialni, dzięki wspomnieniom. Jedne są głęboko w niej zakorzenione, inne zaś ulotne, ale nikt nie może jej ich pozbawić; i chociaż wydarzenia utrwalone w tych wspomnieniach doprowadziły ją wprost do katastrofy, zawierają w sobie tak niewiarygodną słodycz, że fatalne konsekwencje nie są w stanie jej osłabić. Towarzyszem Olimpii staje się przeszłość. W październiku dziewczyna zaczyna źle się czuć fizycznie. Całymi dniami czuje w tylnej części gardła metaliczny smak, ma też dolegliwości żołądkowe. Dwudziestego dziewiątego października zbiera się w końcu na odwagę i mówi Lisette o swoich dolegliwościach, chce, aby zbadał ją doktor Branch, który leczy matkę. Służąca słucha przez chwilę w milczeniu, a następnie ciężko wzdycha. I wtedy Olimpia nabiera pewności, bo już wcześniej zaczynała się tego domyślać, co jest powodem jej choroby. Przez moment czuje zawrót głowy, ale później, gdy przykładła dłoń do czoła i pokonuje w sobie niedowierzanie oraz wstyd, nie jest w stanie powstrzymać uśmiechu, uśmiecha się nie tylko do swoich myśli, uśmiecha się naprawdę. Bo chociaż w pełni zdaje sobie sprawę z dramatycznej sytuacji, czuje zarazem radość z powodu tego, co zrodziło się w efekcie dni i tygodni spędzonych z Johnem Haskellem. To jest coś. To jest coś...

Lisette proponuje, że sama przekáže nowinę ojcu, ale Olimpia zapewnia ją, że wystarczy jej odwagi. Następnego ranka przed śniadaniem wkłada skromną, błękitną sukienkę, która nie ukrywa całkiem jej stanu, ale także nadmiernie go nie podkreśla. Gdy wchodzi do jadalni, ojciec czyta *Szkarłatną literę* Hawthorne'a i ten zbieg okoliczności tak ją wytrąca z równowagi, że ma ochotę natychmiast odwrócić się na pięcie i wyjść. Za oknami pada

ostry, bębniący o szyby deszcz, a zapach kawy sprawia, że w gardle dziewczyny rośnie dławiąca kula. Dziewczyna z całej mocy pragnie nie okazywać słabości, nie chce zdradzić przed ojcem swojej niedyspozycji.

Ojciec w pierwszej chwili zdaje się nie zauważać Olimpii, chociaż ona wie, że jest zaskoczony jej obecnością. Zwykle nie jada z nim śniadania, więc jej pojawienie się jest dla niego niespodzianką. Tak spokojnie, jak tylko ją stać, bierze z bufetu jajka i biszkopty, nalewa sobie także filiżankę gorącego mleka. Jednak gdy tylko stawia przed sobą na stole talerz i filiżankę, wie, że długo nie powstrzyma mdłości. Postanawia więc natychmiast wygłosić wcześniej przygotowaną mowę.

- Ojcie, muszę ci przekazać coś bardzo ważnego, nie chcę bowiem, abyś dowiedział się o tym od...

Ojciec odwraca ku niej głowę i patrzy w milczeniu.

- Tak mi przykro... - mówi dziewczyna.

- Olimpio, o co chodzi? - pyta ojciec.

-Ja... - zaczyna. - Jestem... - Dotyka sukni na wysokości talii.

- Nie. - Wypowiada to jedno słowo bardzo spokojnie, zbyt spokojnie, Olimpia słyszy w jego głosie pełne zaskoczenia niedowierzanie.

Ojciec prostuje się i blednie. Nie patrzy na nią, raczej wpatruje się gdzieś ponad jej głowę, cały czas trzymając dłonie na książce.

Olimpia nigdy przedtem nie widziała nikogo, kto tak bardzo starałby się nad sobą panować. Ojciec zwilża usta językiem. Pije łyk wody.

- Powiedz mi, że to nieprawda - prosi. Olimpia milczy.

Ojciec ponownie pije wodę; zaczynają drżeć mu palce. Zapada długa cisza.

- Zostaną poczynione odpowiednie przygotowania -

oświadcza po chwili głosem lekko zachrypniętym na skutek przeżytego szoku.

Olimpia opuszcza głowę, kiwa nią. Przygotowania do porodu.

- Dobry Boże! - wybucha ojciec. - Czy ten człowiek nie mógł myśleć?

- Nie chciałam was zranić - mówi cicho Olimpia.

- Nie mam podstaw, żeby ci wierzyć - oświadcza ojciec.

Dziewczyna zamyka oczy.

- To zabije twoją matkę - dodaje ojciec. Olimpię uderza zawarta w tym zdaniu przesada.

- To nie dotyczy matki! - krzyczy, zapominając, że postanowiła być opanowana. - Dziecko to tylko moja sprawa. To ja straciłam ukochanego. To ja cierpię!

- Dość! - reaguje ostro ojciec. Wyciera usta serwetką i kładzie ją na stole. - Mylisz się, moja droga - mówi z zaciśniętymi ustami, a głowa drży mu jak u starca. - Troszczyłem się o ciebie w każdej sekundzie, odkąd przyszedłeś na świat. Ale ta sprawa dotyczy także twojej matki. Dotyczy matki, mnie i całego naszego życia. A także tego nienarodzonego, niewinnego stworzenia, o którego istnieniu właśnie mnie powiadomiłaś. Podobnie jak dotyczy Catherine Haskell i jej dzieci. A także Josiaha oraz Lisette, którzy przeżywają wraz z nami ten koszmar. I chociaż z trudem przechodzi mi przez gardło jego imię, dotyczy to także Johna Haskella, który swoim czynem zrujnował sobie życie. To jest sprawa nie tylko, podkreślam, nie tylko Olimpii Biddeford.

Mówiąc to, wstaje od stołu. W skupieniu odsuwa krzesło, bierze powieść i dopiero wówczas dociera do niego jej związek z obecną sytuacją. Rzuca książkę na blat i bez słowa opuszcza jadalnię.

Od tego dnia ojciec komunikuje się z Olimpią wyłącznie poprzez wiadomości na piśmie, pozostawiane rano na stole w jadalni lub przynieszone jej przez Lisette, która kręci głową na takie zadanie. Jedną z tych informacji brzmi: „Twoja matka i ja wyjeżdżamy na dwa tygodnie”. Inna: „W piątek przyjdzie elektryk, proszę, abyś udostępniła mu swój pokój”. Olimpii wolno teraz czytać książki, a ponieważ i tak już wszystko stracone, oferowane lektury są bardzo różnorodne: książki Walta Whitmana i Jacka Londona, a także niektóre wiersze Christiny Rossetti. Dostała też podręcznik medyczny pod tytułem *Rodzinnna biblioteka zdrowia*, zapewne po to, aby mogła się przygotować do ciąży i porodu. Olimpia czyta tę książkę tak zachłannie, jakby chciała ją wchłonąć, i nawet po latach będzie umiała wyrecytować z pamięci najważniejsze fragmenty: „Pacjentka powinna być ubrana w zwykłą koszulę nocną, zrolowaną na wysokości talii, aby ochronić strój przed zaplamieniem”. „Wydawane odgłosy przypominają w zasadzie przeciągłe jęki i są łatwo rozpoznawalne przez osobę obeznaną z ich specyfiką”. „Oszołomienie popołożowe to dolegliwość, która może się pojawić w tydzień lub dziesięć dni po porodzie i często charakteryzuje się niechęcią do dziecka, a także, co może się zdarzyć, do męża. Zdarzają się też próby samobójcze, zatem podatnymi na takie stany pacjentkami należy się troskliwie opiekować”. Jednak mimo owych niepokojących wiadomości Olimpia nie obawia się porodu; osoba niedoświadczona nie jest bowiem w stanie wyobrazić sobie towarzyszącego mu bólu. Ani na chwilę nie opuszczają jej myśli o Johnie Haskellu. Wie już, że nie ma sensu wyrzekać się tego uczucia, ponieważ cała jej dusza buntuje się przeciwko temu. Choć jest przekonana, że nigdy więcej nie zobaczy ukochanego,

nie potrafi powstrzymać wspomnień, zastanawia się, co się z nim dzieje, i czy myśli o niej tak często jak ona o nim. Wie tylko (od ojca, który odwiedza ją czasem i zawiadamia o pewnych sprawach), że dom Haskellów w Cambridge został sprzedany. Domyśla się, że Catherine z dziećmi pozostanie przez pewien czas w Yorku u swojej matki, a pewnego dnia znajduje w gazecie ich nazwiska na liście pasażerów statku „Lundgren” płynącego do Hawru. W zaciszu swojego pokoju Olimpia próbuje sobie wyobrazić, co dokładnie wydarzyło się w domu Haskellów jedenastego sierpnia nad ranem? Co Haskell powiedział Catherine, a co ona jemu? Czy opuścił wtedy żonę i dzieci? A może było odwrotnie, może to Catherine obudziła dzieci, ubrała je i kazała szoferowi zawieźć się do Yorku? W sylwestra 1899 roku Olimpia siedzi na parapecie w bostońskim domu swoich rodziców i spogląda przez okno, które wychodzi na miejskie ogrody. Przez szyby koloru lawendy obserwuje spacerujących po ulicy przechodniów, zarówno szacownych obywateli, jak i weselącą się młodzież. Zaczyna padać lekki śnieg, nadchodzi zmierzch. Na ulicy jest coraz więcej ludzi, większość w eleganckich strojach i kapeluszach śpieszy na przyjęcia. Powozy turkoczą po bruku i Olimpia widzi, że w rejonie ogrodów powstają korki. Nie zapaliła jeszcze światła w salonie, chcąc lepiej widzieć to, co dzieje się za oknem; mrok wewnątrz jest niemal nieprzenikniony. Gdzieś w domu są ojciec, matka, Josiah i Lisette, ale do Olimpki nie docierają żadne odgłosy ich obecności. Josiah i Lisette, którzy wzięli cichy ślub w Dniu Dziękczynienia i mieszkają teraz razem na najwyższym piętrze domu, wybierają się późnym wieczorem na zabawę. Rodzice Olimpki zostają w domu.

Spędziła z rodzicami smutne święta Bożego Narodzenia, perspektywa zbliżającej się nieuchronnie, nieznannej przyszłości zniweczyła nawet wysiłki ojca, który starał się trochę rozluźnić atmosferę. Wręczono sobie nieliczne prezenty. Olimpia zrobiła dla matki na szydełku koronkowy szal, dla ojca zaś szalik na drutach, nie mogła bowiem opuścić domu, aby kupić podarki w sklepie. Sama dostała wyjątkowo niedorzeczne upominki: łyżwy i niebieską, aksamitną pelerynę - jakby rodzice całkowicie chcieli zaprzeczyć aktualnemu stanowi córki. Jedynie prezent od Lisette, który przyniosła w Wigilię do pokoju Olimpji, był trafnie dobrany: wyściełane, żółte pudełko z płóciennymi ubrankami dla dziecka, wyszywanymi w drobniutkie, zielone kwiatki. Ta kobieca życzliwość wywołała prawdziwe łyzy dziewczyny.

Chociaż na kominku płonie ogień, w salonie czuje się wilgoć. Olimpia owija się szczelniej szalem, którego frędzle opadają jej na kolana. Jakże chciałyby wyjść tego ostatniego wieczoru kończącego się stulecia, aby chociaż fizycznie uczestniczyć w tak doniosłym wydarzeniu. Mimo że uważa tę datę za arbitralnie ustanowioną granicę -bo któż może wiedzieć, którego dnia zaczyna się odliczanie nowego tysiąclecia - i obecny sylwester nie ma dla niej mistycznej mocy, niezmiernie intryguje ją ogarniająca prawie wszystkich histeria i zalew przepowiedni, które pojawiły się w kraju w ostatnich chwilach kończącego się wieku. Olimpia domyśla się, że zwolennicy zabaw sylwestrowych będą tej nocy folgować sobie bardziej niż kiedy indziej. Wie też z bostońskich gazet, że niektórzy ludzie zbudowali sobie podziemne bunkry, gdzie zamierzają przeczekać katastrofę, zapowiadaną w prorocत्वach dotyczących pierwszego dnia nowego roku. Wierni zgromadzą się na wieczornych nabożeństwach w kościołach.

W innych okolicznościach jej rodzice szykowaliby się na jakieś wytworne przyjęcie. Być może jeszcze przed dziesiątym sierpnia sami planowali wydanie balu; w pewnych wypadkach zaproszenia na tę uroczystość zostały wysłane już rok temu. Ale oczywiście teraz wszystko się zmieniło. Odkąd Biddefordowie opuścili Fortune's Rocks, nie należą już do towarzystwa.

Olimpia wsłuchuje się w tykanie zegara z orzechowego drewna, który stoi w kącie. Wyobraża sobie, że jej życie także upływa bezpowrotnie w tym przygnębiającym salonie z ciężkimi, adamaszkowymi portierami, rzeźbionymi meblami i wzorzystymi perskimi dywanami. Jakże tęskni za pokojem z wielkimi oknami, przez które wpada rozproszone światło.

Czuje znane już ruchy w swoim ciele i porównuje do musujących bąbelków szampana (Lisette jest szczególnie dumna z tego określenia).

Wspólnie poszerzyły wszystkie sukienki, ale zdają sobie sprawę, że nawet mimo przeróbek ta garderoba nie na długo jej wystarczy. Nie zażywając ruchu, tyje z każdym tygodniem i nie próbuje już ukryć swojego stanu. Wygładza flanelową spódnicę na brzuchu i rozmyśla, co często się jej zdarza, o nadchodzącym porodzie, i o dziwo, prawie się go nie lęka, a także o ojcu dziecka, o którego losie w dalszym ciągu nic nie wie. Gdy zapadnie zmrok, dziewczynie wolno będzie wyjść na spacer po obrzeżach parku. To jedyna przechadzka w ciągu dnia, na jaką pozwalano jej tej jesieni i zimy. Towarzyszą jej zawsze Josiah i Lisette.

W salonie zapala się światło, tworząc natychmiast odbicie na szybie, co uniemożliwia obserwowanie wesołych przechodniów na ulicy.

- Lisette - prosi Olimpia - czy sądzisz, że mogłybyśmy wyjść teraz na spacer? Marzę, aby trochę rozprostować nogi.

- To nie Lisette - odpowiada cicho ojciec. Olimpia odwraca się na krzesło.

- Nie wstawaj - mówi pan Biddeford.

Podchodzi do córki i przysuwa sobie krzesło. Jest wyraźnie spięty, a od dnia, kiedy Olimpia powiedziała mu, że spodziewa się dziecka, ani razu nie rozmawiał z nią z własnej woli. Przez ostatnie miesiące wyraźnie schudł i postarzał się, z mężczyzny w średnim wieku przemienił się w starszego pana i to jeszcze jedna rzecz, o którą Olimpia się obwinia. Ojciec ma na sobie zwykłą, wełnianą marynarkę, Olimpia dostrzega też, że zgolił wąsy. Ponieważ trochę wyłysiał, wydaje się nieco niższy niż latem.

- Musimy porozmawiać o paru sprawach - oznajmia ojciec i chociaż ta formułka brzmi oficjalnie, jego ton jest niemal ciepły.

Głos ojca brzmi miękko; takiego tonu Olimpia dawno już nie słyszała. Sądzi, że nawet ojciec nie mógł już dłużej wytrzymać własnego gniewu.

- Olimpio, znosiłaś karę z godnością - oświadcza, a jej serce zaczyna topnieć pod wpływem tych słów. - Byłem dla ciebie zbyt srogim.

- Ojczy... - zaczyna Olimpia.

- Nie mówmy o tym więcej. - Pan Biddeford podnosi rękę.

Chociaż ojciec stara się być surowy i nadać swojej twarzy uprzedni, niemal twardy wyraz, Olimpia zauważa, że w środku, w samym jego wnętrzu, coś złagodniało i nawet nie siedzi już tak sztywno na krzesle.

- Poczynilem pewne przygotowania - oświadcza ojciec, nie mogąc oderwać wzroku od jej brzucha.

-Jakie ustalenia? - pyta Olimpia. Ojciec odwraca głowę i patrzy w okno.

- Lepiej, jeśli nie będziemy roztrząsać szczegółów.

Olimpia chce coś powiedzieć, ale on kręci głową.

- Nie może być mowy o tym, abyś zatrzymała dziecko - mówi szybko ojciec. - Zorganizowałem wszystko tak, aby było bezpieczne i miało dobrą opiekę, zapewniam cię.

Chociaż Olimpia przewidywała, że sprawy mogą przybrać taki obrót, nie dopuszcza do siebie myśli o oddaniu komukolwiek dziecka.

- Ależ ojciec - protestuje, pochylając się ku niemu - pragnę zatrzymać to dziecko!

- Nie może być o tym mowy - powtarza on. - Twoja matka na to nie pozwoli, ja także, a ty musisz zrozumieć, że nie dasz sobie rady bez naszej pomocy.

- Ależ ojciec - powtarza dziewczyna.

- Olimpio, posłuchaj mnie, musisz mi zaufać. Minie pewien czas i będziesz miała za sobą ten okropny epizod. Przypuszczam, że już najbliższej jesieni całkowicie wydo-brzejesz po wszystkich tych okropnych przejściach. I mimo że niektórych rzeczy nie da się naprawić, sądzę, że możesz sobie jeszcze ułożyć życie. Przecież żyjemy w nowoczesnym świecie. Młode kobiety są coraz bardziej samodzielne i żyją po swojemu. To nie jest całkiem niewyobrażalne. Musisz jednak zdobyć wykształcenie, dzięki któremu będziesz mogła znaleźć kiedyś pracę.

- Dziecko jest moje! - woła Olimpia. - Moje i Johna Haskella! To my powinniśmy decydować, co się z nim stanie.

Na policzkach ojca pojawiają się czerwone plamy i dopiero po kilku chwilach udaje mu się zapanować nad gniewem.

- Jak śmiesz w mojej obecności wspominać tego człowieka - mówi. Olimpia otwiera usta, aby coś powiedzieć, ale ojciec podnosi rękę.

- Na jesieni wyślę cię na zachód stanu, do żeńskiego seminarium w Hastings - oznajmia, a ton jego głosu wskazuje, że nie zniesie sprzeciwu. - Najlepiej dla ciebie będzie - to jedyne rozwiązanie - jeśli zostaniesz nauczycielką. Jest pewne zapotrzebowanie na dobrych nauczycieli, zwłaszcza w rolniczych częściach Nowej Anglii, a w ten sposób twoje życie będzie miało pewną wartość dla innych.

- Ojczy, nie rób mi tego.

Biddeford patrzy na córkę długo i nieprzejeźdnie. Olimpia dobrze wie, że widzi grubą, szesnastoletnią dziewczynę, której nie można ufać.

- Nie będziemy więcej rozmawiać na ten temat - oświadcza ojciec. Olimpia zagryza wargi i z trudem powstrzymuje płacz. Tak mocno ściska poręcz krzesła, że aż drętwieją jej palce.

Nachodzą ją myśli, aby sprzeciwić się woli rodziców. Może podjąć wyzwanie, które wyczytała w jego słowach i żyć na własną rękę. Ale już po chwili zadaje sobie pytanie: w jaki sposób? Bez pomocy ojca nie przeżyje. A jeśli ona nie przeżyje, to nie przeżyje także dziecko. Ojciec udaje, że obserwuje przechodniów za oknem, ale Olimpia wie, że widzi tylko ich dwoje, obramowanych kremowymi listwami okiennej framugi. Chyba nie podoba mu się ten widok, bo odwraca się do niej.

- Po szkole chciałbym ci znaleźć posadę gdzieś daleko od Bostonu, gdzie na początku ludzie nie będą nic o tobie wiedzieli - ciągnie i widać, że wszystko sobie dobrze przemyślał. - Ale mimo to musisz być przygotowana, że inni wcześniej czy później dowiedzą się o wszystkim, ponieważ wątpię, abyś mogła znaleźć takie miejsce, w którym ta sprawa nie wyszłaby na światło dzienne. Chyba że

zmienisz nazwisko... - Przez chwilę rozważał tę możliwość. - Nie - kręci głową. - Nie, nie zrobisz tego. W naszej rodzinie nie ma tchórzy. Oczywiście zabezpieczymy cię. Nie sądzę, abyś mogła żyć na odpowiednim poziomie z nauczycielskiej pensji. Nie będę jednak szastał pieniędzmi, dostaniesz tyle, ile trzeba. Olimpio, mimo wszystko...

Dziewczyna rzuca mu szybkie spojrzenie, gdyż wyczuwa maleńkie pęknięcie w jego stanowczości.

- ...ja i matka kochamy cię.

Jej oczy błyszczą, gdy słyszy te słowa, ponieważ nic może uwierzyć, że ojciec przyznaje się do miłości do niej.

Ojciec wzdycha, jakby to wyznanie kosztowało go więcej niż przypuszczał. Unosi głowę i chwytą szybko powietrze.

- To wszystko - kończy, jakby czuł, że zapędził się zbyt daleko w sentymentach. - Przynieś płaszcz i kapelusz, pójdę z tobą na spacer do parku. A potem wrócimy i zrobimy sobie kakao, aby w ten skromny sposób uczcić nadejście nowego stulecia, w którym, mam nadzieję, będziesz wieść życie pełne zadowolenia, jeśli nie szczęścia.

Olimpia usiłuje wstać, ale nogi odmawiają jej posłuszeństwa. Ojciec podaje jej ramię i Olimpia dostrzega, że jest zażenowany, widząc jaka jest gruba, dawno już bowiem nie znajdował się tak blisko niej. Stojąc już pewnie na nogach, puszcza jego ramię.

- Co do jednej rzeczy mylisz się, ojciec - mówi tak spokojnie, jak potrafi. - Mylisz się zasadniczo.

- W czym mianowicie? - pyta z umiarkowanym zainteresowaniem, ponieważ spełnił już swój obowiązek i czuje się teraz bardziej odprężony, niż w chwili gdy wchodził do pokoju.

Olimpia patrzy na ojca, czekając, aż ich oczy się spotkają.

- Przewidujesz, że do najbliższej jesieni całkowicie wydobrzeję po tym „epizodzie”, jak to nazwałeś. Ale mylisz się, nigdy nie wydobrzeję, ojcze. Nigdy. Jeśli zabierzecie mi dziecko, nigdy z tego nie wyjdę.

Przez chwilę ojciec patrzy w jej twarz.

- Olimpio - mówi. - Jesteś jeszcze taka młoda.

Wkrótce po północy czternastego kwietnia Olimpia budzi się, czując pod sobą wilgoć. Po chwili dostrzega, że koszula nocna i prześcieradło są zmoczone ciepłą cieczą. Z trudem wstaje z łóżka i przebiera się w suchą koszulę. Z książek medycznych wie, co to znaczy. Podchodzi do schodów wiodących na trzecie piętro i energicznie, ale niezbyt głośno puka w ścianę. Nie chce obudzić rodziców.

Na podeście pojawia się Josiah w piżamie, włosy układają mu się w komiczny kształt.

- Zawołaj Lisette - prosi Olimpia.

Służąca wchodzi do jej pokoju w koszuli nocnej, włosy ma zaplecione w warkocze. Obejmuje Olimpię i wydaje się tak podniecona, jakby sama miała rodzić. Jej opanowanie i optymizm udzielają się Olimpui. Siedzi na krześle i obserwuje, jak Lisette zmienia pościel na łóżku. Gdy wszystko jest już gotowe, dziewczyna wchodzi pod kołdrę, przykrywa się i czeka. Noc jest ciepła. Olimpia pyta Lisette, czy widziała kiedyś poród. Służąca odpowiada, że nawet kilka razy. Jest najstarsza z siedmioroga rodzeństwa, a jej matka „wyciskała z siebie dzieci jak biszkopty”.

- Ja także widziałam poród - chwali się dziewczyna.

- Tak? Gdzie?

- Kiedy byłam w Ely Falls z Johnem Haskellem -opowiada Olimpia, zadziwiona, że wypowiada głośno to nazwisko. Nigdy nikomu nie opowiadała o sobie i Ha-

skellu, nawet Lisette. - Pojechałam z nim, gdy przyjmował poród. To było tam, gdzie mieszkają robotnicy.

- Weszła panienka do takiego domu?

- Widziałam wszystko. To był poród pośladowy i ta kobieta, biedna Francuzka z trójką dzieci, omal nie umarła z bólu. Doktor Haskell dał jej chyba trochę laudanum i odrobinę jej ulżyło. Ale pamiętam, jak się męczył, żeby odwrócić dziecko. Musiał wsunąć ręce w...

Olimpia nie może dalej mówić, ponieważ właśnie sama czuje pierwsze bóle. Prostuje się zaskoczona i przestaje oddychać, czekając aż miną. Potem bierze głęboki wdech.

Lisette stoi u wezglowia łóżka.

- Nie może panienka wstrzymywać oddechu - instruuje ją. - Musi panienka oddychać za każdym razem, gdy pojawia się ból.

Olimpia kiwa głową, zaskoczona siłą skurczu.

- Tak właśnie powinno być? - dopytuje się gorączkowo.

- Proszę mnie posłuchać - mówi Lisette, przysuwając krzesło do łóżka. Bierze Olimpię za rękę. - Jest panienka nauczona zachowywać się we właściwy sposób. Zawsze bardzo odpowiedni. Rzadko się panienka gniewa, a nawet jeśli coś panience przeszkadza, zatrzymuje to panienka dla siebie. Ale teraz nie czas na dobre wychowanie. To byłoby złe dla dziecka i dla panienki. Proszę się nie przejmować i krzyczeć z bólu. Proszę się nie wstydzić tych znaków, które daje panienki ciało, a będzie ich dużo. Chce panienka, abym zawołała mamę?

- Nie - mówi Olimpia. - Nie ma potrzeby.

Wkrótce pojawiają się dalsze bóle i są okropne. Olimpia jest przerażona i po godzinie myśli, że to nie może trwać dłużej, ponieważ ból wydaje się nie do zniesienia.

O świcie wchodzi do pokoju matka Olimpii, wezwana przez służącą. Ma na sobie błękitny, jedwabny szlafrok, przewiązany w talii paskiem, a włosy nawinięte na papiloty.

- Zawiadam doktora Brancha - mówi do Lisette. Zwilża ręcznik w miednicy i kładzie go na czole córki. Twarz ma pokrytą grubą warstwą kremu i błyszczy się w świetle lampy. - Potrzebne są też twarde cukierki dla Olimpii, powinna je ssać - dodaje. - Są w moim pokoju, w srebrnym pudełeczku na komodzie.

Dziewczyna jest zaskoczona, widząc jak łatwo matka przejmuje dowodzenie. Wyciera jej czoło ręcznikiem, kiedy Olimpia zaciska zęby i szarpie z bólu pościel. Lisette wraca z wiadomością, że doktor wyszedł do pacjentów i przyjedzie, jak tylko otrzyma wiadomość. Gdy Olimpia ma bóle, matka nachyla się nad nią i przyciska jej ramiona do łóżka, co o dziwo, przynosi ulgę. W przerwach między skurczami matka rozkręca papiloty, wypija też filiżankę herbaty, przyniesioną przez Lisette, a raz nawet odchodzi od łóżka i ogląda żółte pudełko ze skarbami córki. Nie myśląc o elegancji, angażuje się, tak jak Lisette, w przebieg porodu. Udowadnia tym samym, że nie brak jej odwagi, ciepła i zdrowego rozsądku, cech, o jakie Olimpia nigdy wcześniej jej nie podejrzewała. W pewnej chwili dziewczyna, zbudziwszy się z krótkiej drzemki, słyszy jak matka miło gawędzi z Lisette, a nawet się śmieje. Mimo bólu panująca między nimi zażyłość dodaje jej pewności. Jeśli one nie okazują niepokoju, ona też nie powinna.

Doktor przyjeżdża wkrótce po dwunastej i Olimpia czuje od niego woń alkoholu. Zastanawia się, gdzie był, może wypił z ojcem drinka, zanim pojawił się w jej sypialni, chociaż to dość nietypowe o tak wczesnej porze.

Dziewczyna ma kłopoty z logicznym myśleniem, zbiera wszystkie siły, aby wytrzymać powracający ból. Wie, że będzie się powtarzał, będzie się powtarzał ciągle, mimo że ją wyczerpuje, i nie można go powstrzymać. Zaczyna błagać o laudanum i doktor podaje jej trzy łyżeczki brązowego płynu. Dzięki temu co jakiś czas zapada w krótki sen, z którego budzi ją za każdym razem ostry skurcz, a wtedy widzi nad sobą matkę i Lisette.

O drugiej po południu czternastego kwietnia Olimpia zaczyna krzyczeć. Męczy się już od trzynastu godzin. Doktor Branch wchodzi do pokoju bardziej skupiony niż dotychczas. Prosi matkę Olimpії i Lisette, aby pomogły jej wyprostować się na łóżku. Następnie podchodzi i przywiązuje jej stopy do słupków. Matka cały czas łagodnie do niej przemawia.

- Nie mogę! - krzyczy Olimpia. - Nie mogę.

1 wtedy przychodzi na świat jej dziecko, synek.

Ile razy Olimpia będzie żałować, że poprosiła doktora Brancha o laudanum? Bo gdyby była przytomna po porodzie, może nie pozwoliłaby im zabrać dziecka. Po latach będzie pamiętać jedynie ułamki sekund, w których widziała synka: przebudzenie, kiedy ze zdziwieniem zobaczyła okutane zawiniątko, leżące tuż obok niej na łóżku, to, że odwróciła w jego stronę głowę i dostrzegła pomarszczoną buzię i wystające z pieluszek delikatne rączki. Jednak środek odurzający i wyczerpanie zrobiły swoje, nie mogła powstrzymać się od snu. Mimo to jej ciało, jeśli nie serce, radośnie przyjęło synka.

Później będzie analizować te chwile tysiąc - nie, dziesięć tysięcy - razy w nadziei, że przypomni sobie coś, co wcześniej umknęło jej pamięci. Zapamiętała wilgotne, ciemne, nastroszone włoski, błękitne, szczere oczy, ma-

Ieńkie usteczka, wygięte w podkówkę, cudowne. Nigdy nie przyłożyła swojego synka do piersi. Nigdy nie widziała jego maleńkich stopek. Nigdy nie słyszała jego płaczu. A kiedy wreszcie wróciła jej świadomość, gdy obudziła się z narkotycznego snu, dziecka już przy niej nie było.

Dwudziestego siódmego września 1900 roku Olimpia przyjeżdża do żeńskiego seminarium w Hastings w zachodniej części stanu Massachusetts. To przemysłowe miasteczko, w którym zakłady produkcyjne zdominowały okolicę, rozrastając się i otaczając kościoły, sklepy oraz budynek seminarium w taki sposób, że nie można powiedzieć, gdzie fabryka się zaczyna, a gdzie kończy. Wszystkie budynki są z pociemniałej cegły, nawet te należące do właścicieli fabryk. Szyje się w nich obuwie, w mieście są więc liczne garbarnie i nawet drzewa cuchną odpadkami skór. Olimpia domyśla się od razu, że ojciec nigdy nie widział miasta, w którym znajduje się seminarium; gdyby tak było, najkoszmarniejsze z możliwych miejsce jej kary wstrząsnęłoby nawet jego poczuciem sprawiedliwości. Jego córka nie popełniła aż takiej zbrodni, aby skazywać ją na to ponure zesłanie.

W pamięci Olimpji pozostaną obrazy z tego roku, miesiące, które ćmią niczym tępy ból w tyle głowy, ale nie przemijają. Zimna wołowina na niebieskim talerzu w wierzbowe liście. Gobelin nad łóżkiem. Rozpieszczone panienki, które oświadczają, że boją się miłości. Budynki z ciemnej cegły w deszczu. Marzenia, pojawiające się i znikające nad wyblakłą ścianą. Dziewczynka w jedwabnej sukience, która myła noże. Setki jajek do ciasta. Kauczukowe maty w łazience i biurka z wiśniowego drewna z zielonymi blatami. Pudełko zapalek z drzaską. Drewniana weranda, nad którą rosły rozłożyste klony. Dzew-

czynka płacząca w garderobie. Sztywne, białe prześcic radła, schnące na podwórku. Brązowozłociste dywany i wyplatane krzesła. Godzina recytacji, a po niej godzina modlitwy. Błazi metodyści, przyglądający się dziewczynkom ćwiczącym z kólkami na lekcji gimnastyki. Worcer's Elements i Goldsmith's England. Młode kobiety wysyłane za granicę. Kufry, które muszą być spakowane przed sobotnią nocą.

Olimpia wie, że seminarium zostało założone w 1873 roku przez metodystów filantropów, jako szkoła dla dziewcząt zatrudnionych w fabrykach, z której mogły korzystać w czasie wolnym od pracy; była to zarazem pierwsza wieczorowa szkoła w kraju. Kiedy jednak fundatorzy zorientowali się, że dziewczęta z fabryki mają bardzo niewiele wolnego czasu (i wcale nie chcą go spędzać w kolejnym zamknięciu), seminarium zaczęło przyjmować uczennice z klasy średniej: córki pastorów, kupców i nauczycieli. W teorii i praktyce seminarium ma za zadanie dać młodym kobietom takie wykształcenie, aby same mogły uczyć gdzie indziej: w Smyrnie, Turcji, Indianie, Worcester albo pracować wśród Zulusów w Afryce Południowej. Oprócz wypełniania obowiązków pedagogicznych absolwentki seminarium, gdziekolwiek się znajdą, powinny służyć za wzór wykształconych, chrześcijańskich dziewcząt. Olimpia spokojnie rozważa taką wizję, co jest miarą jej wyobcowania z życia: ani się nie lęka, ani nie cieszy perspektywą przyszłego wyjazdu, wszystkie bowiem miejsca inne niż Fortune's Rocks ze wspomnień są jej równie obojętne.

W czasie pobytu w seminarium uczy się łaciny, geografii, matematyki, biologii i wielu innych przedmiotów, ma też dodatkowe zajęcia z pisania, gimnastyki, śpiewu, szycia i prowadzenia domu. Chodzi o praktykę; nauczy -

cielki z powołania należą tu do wyjątków. Ponieważ ani program nauki, ani wykładowcy nie wzbudzają w uczennicach lęku, ku zaskoczeniu wielu ludzi seminarium świetnie się rozwija i chętnych do nauki jest więcej niż miejsc. Olimpia wcześniej nie zdawała sobie sprawy, jak wiele młodych kobiet pragnie opuścić swoje domy, a w zasadzie wioski w Nowej Anglii, by wyjechać w dalekie strony, gdzie się doświadcza prawdziwej samotności lub można zachorować na egzotyczne choroby. Zastanawia się też, czy bierność uczennic jest wynikiem indywidualnych, osobistych katastrof życiowych, które sprawiły, że młode kobiety boją się małżeństwa, czy też braku wiary w przyszłość.

Począwszy od centralnego budynku, szkoła rozlewa się jak wypłowiąły kleks, zagarniając niezamieszkałe hotele robotnicze w pobliżu i rywalizując z fabryką o tereny. W latach 1900 - 1903, gdy Olimpia uczy się w seminarium, placówka ta zajmuje siedemnaście budynków, włączając gimnazjum i obserwatorium. Ufundowała je absolwentka seminarium, która poślubiła członka bogatej rodziny Mellonów. Olimpia wie, że te z dziewcząt, które w ogóle wyjdą za mąż, poślubią o wiele mniej zamożnych mężczyzn lub wręcz biedaków, a wiele z nich zostanie starymi pannami. Jedna z koleżanek Olimpji wyjedzie po szkole na zachód, gdzie założy sieć hoteli; to przypomni dziewczynie o Rufusie Philbricku i jego przepowiedni.

Podczas pobytu w szkole Olimpia ma pokój tylko dla siebie, z czego jest bardzo zadowolona (czy jej ojciec zapłacił więcej, także za miejsce jej współlokatorki?). Jest w nim pojedyncze łóżko z dwoma skromnymi wełnianymi kocami, a także kominek, biurko, krzesło i duże okno, wychodzące na owalny trawnik w centrum głównego ze-

społu budynków szkolnych, lecz mimo spartańskich warunków Olimpia lubi swoje schronienie. Nie pragnie go opuścić ani porzucić i z upływem czasu zaczyna traktować bardziej jako kryjówkę niż miejsce uwięzienia. Gdy jest na zajęciach, posiłkach lub obowiązkowych ćwiczeniach, marzy tylko o tym, aby wrócić do swojej skromnej samotni, gdzie może usiąść na wąskim łóżku, patrzeć na wyblakłą ścianę po drugiej stronie i widzieć twarze dawno znanych osób, wyobrażać sobie sceny lub przywoływać wydarzenia z przeszłości. Opuściła dom sióstr jedynie po to, aby przyjąć ich zwyczaje, zwyczaje katolickich zakonnic. Kontemplacja. Medytacja. Refleksja. Zaduma.

Ale nie modlitwa. Modlić się to mieć nadzieję, a mieć nadzieję to przyznać się w duszy do cierpienia z powodu braku nadziei. A tego Olimpia nie chce.

Nic dziwnego, że uchodzi za małomówną. Opowiadanie nawet drobnego fragmentu własnej historii może nieopatrznie doprowadzić do ujawnienia innej jej części, którą chciałoby się utrzymać w tajemnicy. Mówi więc bardzo niewiele o sobie, co otoczenie traktuje z pewną podejrzliwością. Olimpia nie jest popularna, chociaż ma wrażenie, że nie wzbudza również niechęci. Jest raczej osobą, o której inni wiedzą mało, mimo przyjaznych prób zdobycia bliższych informacji.

W gronie pedagogicznym znajduje się wszakże pewien wykładowca, którego Olimpia szczególnie podziwia, nauczyciel biologii, pan Benton z Syracuse, który ma pracownię w Belcher Hall - pokój wypełniony różnymi przedmiotami, książkami i zdjęciami kobiety (żony?), którą, jak wspominał kiedyś Olimpui, utracił. Często piją wspólnie herbatę, zwłaszcza gdy w drugim roku nauki dziewczyna decyduje się na dodatkowe zajęcia z biologii. Może pan Benton, jasnowłosa blondyn w wieku, jak się

Olimpii wydaje, około czterdziestu lat, przypomina jej ojca, takiego, jaki był przed jej osobistym dramatem, dlatego czuje do tego człowieka tak wielką sympatię. Pan Benton i Olimpia regularnie spotykają się na pogawędkach, rozmawiają o anatomii, czerwonych krwinkach i funkcjonowaniu mózgu, a jeśli on wyczuwa u niej pewną rezerwę, za którą kryje się bolesna rana, ona też domyśla się jakiejś smutnej historii w jego życiu: może kobieta z fotografii wcale nie była jego żoną. Rozmawiają o życiu, posługując się metaforą komórek i gatunków, językiem, który umożliwia pozostawienie na boku spraw sercowych, chociaż o sercu, jako o organie, rozmawiają dość często. W ten sposób stają się pokrewnymi duszami. Po latach Olimpia będzie się zastanawiać, czy nie napisać do tego mężczyzny, ale ostatecznie porzuci ów zamiar, ponieważ musiałyby opowiedzieć mu o swoim życiu, używając do tego słownictwa, które byłoby tak obce nastrojowi ich wspólnie spędzanych popołudni jak język przybysza z Chin lub przedstawiciela plemienia Urdu.

Ojciec, którego Olimpia widuje jedynie podczas świąt Bożego Narodzenia i letnich wakacji, ponieważ przerwa w zajęciach na święta Dziękczynienia i Wielkanocy jest zbyt krótka na podróż, powrócił do swojego uprzedniego stylu życia, chociaż straciło dla niego cały blask, jak pierścionek, z którego wypadło brylantowe oczko: obrączka pozostała, ale pierścionek jest uszkodzony, z ziejącą dziurą. Ojciec czasami pisze do Olimpii: „Mam pewne wątpliwości związane z wyborem przez Ciebie biologii, jako tematu zajęć. To ograniczy Ci perspektywy rozwoju, czego nie byłoby w wypadku historii”. „Wysyłam Ci w tym liście dwadzieścia dolarów, abyś mogła zaopatrzyć się w ciepłą odzież na zimę. Powiedziano mi, że pani

Monckton na Hadley Street jest stosunkowo tanią krawcową".

„Twoja matka nalega, abyśmy pojechali do Paryża. Mam nadzieję, że zdrowie jej na to pozwoli".

Ojciec nigdy nie nawiązuje w listach do przeszłości, nie pyta Olimpii o samopoczucie, nie pisze o niczym, co mogłoby sprowokować pełną emocji odpowiedź. Nie pyta córki, czy jest zadowolona, czy ma przyjaciół lub czy udało jej się zapomnieć.

Ale gdyby zapytał, Olimpia odpowiedziałaby mu tak: „Nie jestem w stanie zapomnieć. Ani jednego dnia. Ani jednej godziny".

Ojciec przewidywał, że do jesieni wydobrzeje. Nie wydobrzała.

Nie ma dnia, w którym nie myśli o tym, co się stało z jej synem. Jego odebranie odczuwa jako ranę wyciętą w samym środku jej ciała, pustkę, której nie można wypełnić czytaniem, nauką czy marzeniami. Pewnego dnia, gdy przechodzi Holyoke Street, idąc do Belcher Hall, widzi matkę z chłopczykiem w wieku około trzech lat. Sterczące kosmyki włosów dodają mu wdzięku, a bawełniane skarpetki opadają do kostek w absolutnie uroczy sposób. Wokół tej pary lśni złociste światło słoneczne, przefiltrowane przez przezroczyste, żółte liście klonów, które rozpościerają się nad ich głowami. Olimpia przygląda się malcowi i kobiecie przez zabłoconą ulicę. Chłopiec jest ufny i spokojny, bo dopóki mocno trzyma za rękę matkę, nic złego nie może mu się przytrafić. Gdy tak idą, pod nogi spada im purpurowy liść. Chłopiec wyciąga po niego maleńką rączkę, podnosi liść i z dumą pokazuje swój skarb matce.

Olimpia odwraca się gwałtownie, wraca do pokoju, ostatkiem sił zamyka drzwi i rzuca się na łóżko. Łka rozpaczliwie, tak głośno, że opiekunka pensjonatu, pani

Cowper, podchodzi do drzwi i domaga się, aby ją wpuścić. Olimpia wyjaśnia, że właśnie się dowiedziała, iż jej matka jest umierająca (wciąż potrafi świetnie kłamać, jeśli musi), prosi więc, aby zostawiono ją w spokoju.

I jeśli każdego dnia myśli o swoim nieznanym synku, jeszcze częściej myśli o Haskellu, ponieważ z nim wiąże się więcej wspomnień i więcej może sobie wyobrażać. Jego obecność staje się faktem zakorzenionym w jej codzienności: ciągle o nim marzy, chociaż te wizje czasami są zamazane i bezkształtne. Niekiedy nie może sobie przypomnieć jego twarzy. Już wcześniej zapomniała, jak brzmi jego głos. Większość jej marzeń ma naturę spekulatywną: Olimpia wyobraża sobie ich przypadkowe spotkanie i co by sobie wtedy powiedzieli. Widzi go na dworcu, odwróconego do niej plecami. Ona rozpoznaje -co? - jego ramiona i postawę, gdy tak stoi z rękoma opartymi na biodrach. Obserwuje, jak Haskell spogląda na zegarek. Ma na sobie ciemny garnitur, w ręce trzyma skórzaną torbę. Zdejmuje kapelusz z wąskim rondem i przeczesuje palcami włosy. Olimpia podchodzi do niego po cichutku, a on, wyczuwając jej obecność, odwraca się nagle. „Olimpio”, mówi, jakby nagle zmartwychwstała.

Czy ośmieli się ją objąć? Tam, na dworcu, w obecności innych? Wyobraża sobie, jak jednym tchem wyrzuca z siebie wszystko i udziela mu rozgrzeszenia. Wyobraża sobie jego wyrzuty sumienia i jednocześnie radość. A także szok, jakiego doznaje Haskell. Bo przecież nie wiedział, że ma syna. Rzuca mu się na szyję, a on obiecuje, że od tej pory będzie się nią opiekował. Te marzenia są najpiękniejszymi chwilami jej pobytu w Hastings.

Podczas wakacji seminarium prowadzi nowatorski program letnich zajęć, wyjątkowy w amerykańskim

szkolnictwie. Ponieważ większość uczennic pochodzi z niezamożnych rodzin, które ledwo stać na chesne, szkoła proponuje latem dziewczętom pracę w charakterze guwernantek, dam do towarzystwa lub pomocy domowych, dzięki czemu same mogą zarobić na opłacenie swoich rachunków. Typową pracą wakacyjną jest na przykład pomoc w zarządzaniu domem lub posada nauczycielki, gdy dzieci z jakichś powodów nie uczęszczają do szkoły. Pod koniec trzeciego roku nauki Olimpia zaczyna się zastanawiać nad podjęciem wakacyjnej pracy. Wie, że jeśli wykaże się inicjatywą, może znaleźć odpowiednią posadę; w zasadzie większość uczennic ze starszych klas wraca na miejsca, które otrzymały rok wcześniej, a najbardziej pożądane są te w Bostonie. Jednak Olimpia nie chce jechać do Bostonu, nawet jeśli miałyby zamieszkać z rodzicami (a może właśnie dlatego, że mogłaby się u nich zatrzymać), ponieważ już trzy lata spędzała wakacje w dusznych pokojach przy Beacon Hill. Z trudem to znosiła: była w stanie myśleć jedynie o miejscu, do którego nie mogła pojechać, o Fortune's Rocks. Każdy dzień stawał się dla niej torturą, jakby umieszczała znaki na kamieniach milowych: tego dnia rok temu spotkaliśmy się z Haskellem na werandzie. Tego dnia dwa lata temu obserwowaliśmy balon wznoszący się do nieba. Tego dnia trzy lata temu kochaliśmy się w na wpół wybudowanym domu. Aby uniknąć powracania myślami do tych bolesnych rocznic, a także ogromnej nudy i miejskiego skwaru podczas letnich miesięcy, Olimpia postanawia znaleźć pracę w odległej części stanu: „Lato na farmie w Berkshire” -tej treści ogłoszenie wisi przed gabinetem pani dziekan. „Potrzebna guwernantka do trójki dzieci. Niewielkie obowiązki; rozsądna zapłata”.

Olimpia wysłała ofertę na piśmie i zostaje przyjęta. Odpowiedź nadchodzi od kobiety, która jest siostrą wdowca szukającego guwernantki dla swoich trzech synów. Owa siostra (Olimpia sądzi, że ta dama prowadzi gospodarstwo bratu, ale później okaże się, że to nieprawda) zapewnia Olimpię, że na pewno będzie szczęśliwa na farmie i znajdzie tam przyjemny odpoczynek po zajęciach w seminarium. Chociaż dziewczyna nie wierzy w perspektywę bycia szczęśliwą, w zasadzie zgadza się, że farma może być ucieczką od Hastings i Bostonu.

Pisze do ojca, aby zawiadomić go o przyjęciu posady na farmie, zapomina jednak dodać, że sama jej szukała. Ustalają, że Olimpia przyjedzie do domu na krótki wypoczynek zaraz po końcowych egzaminach, a po dwóch tygodniach wyruszy pociągiem do zachodniej części Massachusetts.

Podczas pobytu w Bostonie czyta matce powieści Emily Bronte. Matka wypoczywa na leżance, otulona wzorzystym pledem, popijając herbatę, a Olimpia czyta o wrzosowiskach i wielkich namiętnościach. Ojciec, o ile nie przebywa w zaciszu gabinetu, spaceruje po pokojach na piętrze, trzymając ręce w kieszeniach. Chociaż wizyta jest krótka, Olimpia nie może się doczekać, kiedy opuści dom, miejsce, gdzie wciąż ściga ją delikatny odór wstydu i upadku, który wydaje się tkwić w ścianach i dywanach, w meblach we wszystkich pokojach, jak dym po pożarze. Olimpia ma dziewiętnaście lat, większość dziewcząt w jej wieku i z jej środowiska opuszcza miasto i wyjeżdża nad morze, na wybrzeże Nowej Anglii. Chodzą na bale i przyjęcia, grają w tenisa, a potem zaręczają się z przystojnymi lub głupimi młodzieńcami. Ponieważ to oczywiste, że taka przyszłość nie jest jej pisana, będzie lepiej, jeśli znajdzie sobie zajęcie gdzie indziej.

Podróż do zachodniej części stanu Massachusetts okaże się długa i żmudna, ale Olimpia zachwyca się delikatnie pofałdowanym krajobrazem na zachód od prześmyślowych miasteczek. Kiedy pociąg mijał Berkshire Mountains, Olimpia wysiada w miejscu, które wygląda jak skrzyżowanie dróg, z jednym sklepem i małym kamiennym domem. Pyta konduktora, czy na pewno tu powinna wysiąść, a on zapewnia ją, że tak. Czekając więc na skrzyżowaniu, aż przyjedzie jej pracodawca, Averii Hardy, aby zabrać ją na farmę. Pan Hardy jest czerstwym mężczyzną w wieku około trzydziestu pięciu lat. Ma gęste, przedwcześnie posiwiałe włosy i brodę, która sięga niemal do połowy piersi. Ma też dwa drewniane zęby na przodzie i jest ogorzały od słońca. Z czterech synów trzech wciąż mieszka z nim na farmie. Czwarty wyjechał do Springfield. Jeszcze po drodze Averii Hardy zawiadamia Olimpię, że na farmie nie ma żadnej kobiety i oświadcza, że do jej obowiązków będzie także należało przygotowywanie posiłków, pranie i cerowanie ubrań, oczywiście wtedy, gdy nie będzie zajęta uczeniem jego synów czytania i pisania. Dziewczyna początkowo oburza się na tę propozycję i stanowczo odmawia, twierdząc, że nie została o tym uprzedzona. Jednak później, gdy widzi, w jakich warunkach żyje ten biedny człowiek, decyduje się mu pomóc; w przeciwnym bowiem razie sama musiałaby mieszkać jak w chlewie. I ponieważ jedyną inną możliwością byłaby rezygnacja z posady i powrót do Bostonu, czego z całego serca nie chce, godzi się na warunki pana Hardy'ego. W gruncie rzeczy Olimpia nie ma nic przeciwko tego typu pracy. W Hastings nauczyła się, jak prowadzić dom, poza tym monotonia domowych obowiązków ma dobroczynny wpływ na jej chorą duszę. Farma jest podobna do

innych w tej okolicy: piętrowy budynek, białe oszalowane ściany, ciemne okiennice i przybudówka na tyłach. Sam budynek nie jest brzydki, chociaż stoi tuż obok obory, a w upalne dni było okropnie śmierdzi. Olimpia zajmuje pokój na tyłach domu, małą izdebkę z oknami wychodzącymi na rosnące w pobliżu dęby i klony.

Chłopcy są nieśmiali i rośli, mają od dwunastu do siedemnastu lat. Ku zaskoczeniu Olimpji żaden nie potrafi czytać. Rano, gdy ona wstaje, pan Hardy i jego synowie są już na nogach, zajmują się inwentarzem i pracują na polu; mają sto akrów kukurydzy pastewnej. Kuchnia jest obszerna i wygodna, a Olimpia zdobyła w seminarium dość wiedzy kulinarnej, aby bez trudu przygotowywać posiłki. Codziennie robi obiad dla czterech osób, a rano szykuje śniadanie, składające się z kiełbasek, owsianki i jajek, które podaje w pół godziny po obudzeniu. Sama nigdy nie jada śniadań razem z panem Hardym i jego synami, woli samotny posiłek, gdy wszyscy wyjdą w pole. Po drugim śniadaniu, jeśli ojciec da chłopcom wolne, Olimpia siada z nimi w pokoju i uczy podstaw pisania i czytania. Uczniowie są grzeczni, a nawet w pewien sposób wdzięczni, chociaż najstarszy z nich, Seth, przyswaja sobie wiedzę wyjątkowo powoli i z trudem, cierpi też, ponieważ nie może dorównać młodszym braciom. Olimpia szybko dostrzega, że jej uczniowie łączywie pochłaniają nawet podstawowe umiejętności i dochodzi do wniosku, że jej praca nie idzie na marne.

Czasami pan Hardy wraca do domu przed wieczornym posiłkiem i wówczas wywiązuje się między nimi miła pogawędka; jednak dziewczyna szybko odkrywa właściwy powód wczesnych powrotów swego pracodawcy: gdy sądzi, że Olimpia go nie widzi, idzie do pokoju, otwiera kredens i raczy się szklaneczką alkoholu. Olim-

pia nie ma pojęcia, czy gospodarz kiedykolwiek myje tę szklanke, ponieważ nigdy nie widziała jej w kuchni. Po pewnym czasie dochodzi też do wniosku, że ogorzała i zarumieniona twarz farmera to niekoniecznie efekt długiego przebywania na słońcu.

Pewnego dnia, kiedy dziewczyna spędziła już na farmie około trzech tygodni i opanowała rutynowe obowiązki w gospodarstwie, jak również wypracowała podstawowe metody nauczania, pan Hardy wyjątkowo długo zwleka z odejściem od stołu po drugim śniadaniu. Olimpia nie jest z tego zadowolona, ponieważ czuje głód, a zazwyczaj nie siada do posiłku, póki jej pracodawca nie wróci do pracy w gospodarstwie. Po przygotowaniu śniadania Olimpia udaje się zwykle na pięterko, gdzie siada na krześle w pokoju pana Hardy'ego i zaczyna cerować ubrania. Pokój kiedyś należał także do pani Hardy i jest tam stolik do szycia i kasetka z przyborami krawieckimi. To najprzyjemniejszy pokój do wypoczynku w całym domu i zarazem jedyny, który rzuca nieco światła na osobę pani Hardy, jak się okazuje bardzo utalentowaną w robótkach, którymi suto ozdobiła małżeńską sypialnię. Podziw Olimpii budzą zwłaszcza liczne wielobarwne i bardzo dekoracyjne makatki wiszące na ścianach oraz ręcznie szyte kapy, które złożone w kostkę na komodzie czekają na nadejście zimy.

Zajęta cerowaniem słyszy nagle kroki na schodach. Zaskoczona odkłada robótkę. Wydaje się jej, że pan Hardy źle się poczuł i zapewne ma ochotę odpocząć chwilę w pokoju. Wstaje więc z krzesła, trzymając w ręku cerowane ubranie i igłę.

Hardy podchodzi do drzwi i staje w progu. Olimpia widzi, że oczy mu błyszczą i łzawią, szybko więc koryguje swoje przypuszczenia i dochodzi do wniosku, że jej

pracodawca zapewne tęskni za swoją zmarłą żoną. W sypialni jest gorąco, na wypastowanych deskach podłogi odbija się prostokąt słonecznego światła.

-Jesteś dobrą dziewczyną - mówi pan Hardy od drzwi.

Olimpia ma wrażenie, że usiłuje się do niej uśmiechnąć. Nie jest tego pewna, ponieważ nigdy przedtem nie widziała go uśmiechniętego, ale na jego ustach pojawia się wykrzywiony grymas, który z powodu drewnianych zębów nie należy do przyjemnych. Wydaje się jej również, że pan Hardy zachowuje się bardziej niespokojnie niż dotychczas.

Czuje się zakłopotana, stojąc w jego sypialni. Słyszy słowa, jakie do niej kieruje ten mężczyzna, ale nie potrafi sformułować stosownej odpowiedzi, a co więcej, nie bardzo rozumie, po co tu przyszedł.

Robi więc krok w jego stronę, mając nadzieję, że się odsunie i pozwoli jej przejść. Jednak pan Hardy najwyraźniej rozumie jej zachowanie po swojemu. Następuje moment konsternacji, ponieważ Olimpia nie ma gdzie postawić stopy.

Pan Hardy, niewątpliwie pod wpływem sporej ilości wypitego alkoholu, niezdarnie obejmuje dziewczynę i przyciąga do siebie, mocno przyciskając ją do piersi. Olimpia usiłuje się opierać, ale nie daje rady, nie jest też pewna, czy dociera do niego jej sprzeciw. Pan Hardy, który jest sporo od niej wyższy, pochyła się, szuka jej twarzy i całuje Olimpię w usta. To wilgotny, odrażający pocałunek.

Dziewczyna czuje na wargach tępe krawędzie jego drewnianych zębów. Szorstka i kłująca broda mężczyzny drapie ją po twarzy i szyi. Czuje też płynący z jego ust nieświeży zapach, który, o czym wie lepiej niż ktokolwiek inny, jest mieszaniną zapachu wódki, kiełbasy i starego sera. Następnie, zanim Olimpia ma szansę otrząsnąć się

z szoku, pan Hardy kładzie swoją wielką łapę na staniku jej sukni i mocno przyciska palce, jakby chciał zmiażdżyć jej piersi. W tym momencie Olimpia szarpie się i udaje się jej odwrócić do niego plecami.

- Nie! - krzyczy.

Pan Hardy puszcza ją i dziewczyna cofa się w głąb pokoju.

- Nie podobało ci się? - pyta mężczyzna ochrypłym głosem.

Olimpia jest zaskoczona, pracodawca wydaje się bowiem szczerze skonsternowany, a nawet zdziwiony jej reakcją.

Pod wpływem szoku wywołanego jego zapachem i bliskością Olimpia nie może wydobyć z siebie głosu. Stoi, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu albo odpowiedzi, wciąż trzymając w ręku igłę i ubranie i modląc się, aby to się już skończyło. I rzeczywiście kończy się, ponieważ pan Hardy opuszcza pokój.

Ręce Olimpii zaczynają drżeć. Ubrania wraz z igłą spadają na podłogę.

- Mój Boże - szepcze do siebie. Siada na krześle pani Hardy. - To nie ja - mówi.

Patrzy na swoje dłonie, a potem podnosi wzrok na kapy złożone na komodzie. Jak mogło do tego dojść?

Ponieważ uwierzyła, że jest nic niewarta i gorsza od innych kobiet? Ale dlaczego? Ponieważ kiedyś była kochana? Ponieważ z tej miłości zrodziło się dziecko? Ponieważ jej ojciec, a także świat, w który on wierzy, tak postanowił?

Kręci głową, jakby chciała odzrzucić całą swoją bierność.

Odwraca się w stronę błękitnej mgiełki nad wzgórzami, widocznej przez pieczołowicie naprawioną siatkę

w oknie. Podchodzi do okna, otwiera je na oścież i wychyla się, by wdychać czyste powietrze. Jej myśli wyostają się z każdym oddechem, jakby przez lata była pod wpływem narkotyku i dopiero obecny wstrząs wydobyl ją z odrętwienia i apatii. Powietrze niesie obietnicę tam, gdzie przedtem była pustka. To powietrze może być pokarmem dla jej życia, gdyż do tej pory umierała z głodu. Opuści tę farmę i nigdy tu nie wróci. Zakończy swoje wygnanie. Powróci do miejsca, gdzie czuła się szczęśliwa.

Część trzecia
Powrót do Fortune's Rocks

Całą drogę z zachodniej części stanu Massachusetts do New Hampshire - z Berkshire do Springfield bryczką, ze Springfield do Rye pociągiem, potem do Ely elektrycznym tramwajem i do Fortune's Rocks znowu wynajętą bryczką - Olimpia zastanawia się, jak to będzie, gdy wejdzie do domu, w którym przez lata nikt nie mieszkał. Czy był dobrze zamknięty i nikt go nie splądrował? A może jacyś włóczędzy zakłócili jednak spokojny sen zhańbionego domostwa? Może Josiah i Lisette, w pośpiechu sprzątając po fatalnym przyjęciu, zostawili otwarte drzwi, ułatwiając ciekawskim obejrzenie scenerii ostatniego skandalu w Fortune's Rocks, a może wręcz największego w historii letniska?

Znajomy krajobraz, nawet pomimo kilku lat spędzonych przez Olimpię z dala od natury, wcale nie cieszy jej oczu, raczej budzi obawę zmianami, jakie w nim zaszły. Tam, gdzie przedtem rozciągały się piaszczyste lub skaliste nadmorskie tereny, stoją teraz domy różnej wielkości i w różnym stylu, których także w samym Rye jest teraz tak dużo, że gdyby nie charakterystyczny chodnik z drewnianych desek, Olimpia chyba nie rozpoznałaby miasteczka. Przejeżdża obok kręgielni, której nie pamięta, i nowej arkady między hotelami, wyglądającej jak

ulicznica wśród szacownych bogatych wdów. W drugim tygodniu lipca hotele i pensjonaty są pełne letników, na plaży roi się od ludzi w kostiumach o bardziej śmiałycli fasonach, niż te, które Olimpia pamięta sprzed lat. Dopiero gdy bryczka mija Rye i zbliża się do Fortune's Rocks, dziewczyna zaczyna dostrzegać pewne uspokojenie nadmorskiego pejzażu, podobnie jak własnej duszy. Tutaj niewiele się zmieniło, jeśli nie liczyć zupełnie świeżych dachów z cedrowego gontu nad nowo powstającymi domostwami.

Olimpia odpina guziki płaszcz (wełniany materiał był odpowiedni na chłodny klimat w Berkshire, ale nie na upał, jaki panuje w lipcu na wybrzeżu Nowej Anglii) i dochodzi do wniosku, że garderoba, którą przywiozła z zachodniego Massachusetts, nie jest ani wygodna, ani stosowna na plażę. Siedzący obok woźnica, chudy i kościsty mężczyzna z brodą, pochodzący z tej okolicy, pogania konie, a serce Olimpii zaczyna bić szybciej. Skręcają w wąską, krętą drogę, która wiedzie wprost do Fortune's Rocks, i wtedy Olimpię nachodzą wątpliwości: a co będzie, jeśli domu już nie ma? Przecież mógł spłonąć doszczętnie w ubiegłych latach, a ojciec jej o tym nie powiedział. A może bez jej wiedzy sprzedał go i zaraz zobaczy na werandzie jakieś obce dzieci?

Zanim jednak zdoła się bardziej zmartwić, bryczka wyjeżdża z zakrętu i Olimpia czuje nagły ból na widok znajomego kształtu półksiężyca, na którym stoją letnie domy. Podczas odpływu z wody wystają skały, a ich czarne wierzchołki przypominają nosy fok. No i oczywiście, widać także plażę w Fortune's Rocks. Olimpia wychyla się z bryczki. Pokonują jeszcze jeden zakręt i w końcu widzi dom: dom ojca, kiedyś klasztor, teraz kompletnie opuszczony.

Wzdycha głośno, a woźnica spogląda na nią ze zdziwieniem. Okiennice zakrywają drzwi i okna; budynek przypomina twarz z zamkniętymi oczami i ustami, która za żadną cenę nie chce zdradzić swoich sekretów.

- Panienko, to chyba nie jest to miejsce - mówi woźnica z niepokojem w głosie, przeciągle wymawiając samogłoski. Przez chwilę Olimpia nie może mu odpowiedzieć. Czy to rzeczywiście to miejsce? Czy to tutaj kobiety w białych, płóciennych sukniach spożywały kolację przy świecach odbijających się w lustrach, z muzyką Chopina w tle? Czy to ten sam dom, który odwiedził kierowany przeznaczeniem John Haskell z żoną i dziećmi, chociaż nikt nie przeczuwał nieszczęścia, jakie tu na nich spadło? Z drewnianych ścian odpada farba, a trawa wyrosła na wysokość ponad pół metra, ale w domu jej wspomnień światło łagodnie wpływa przez okna, a stopy w domowych pantoflach bezszelestnie ślizgają się po wyfrotero-wanej podłodze.

- Tak, to jest to miejsce - mówi do woźnicy na koźle. W ich sąsiedztwie nie wybudowano żadnego nowego domu i Olimpia zastanawia się, dlaczego. Czy ojciec kupił również najbliższe działki? A może te tereny również należały do klasztoru? Nieopodal wciąż znajduje się stacja ratownicza, a świeża biała farba na budynku i czerwone dachówki lśnią w słońcu, co powoduje, że zaniedbany dom wygląda jeszcze żałośniej. Na plaży Olimpia widzi wiele osób w różnych stadiach roznegliżowania. Pamięta także - pamięć wspomagana jest teraz widokiem konkretnego krajobrazu, a więc staje się bardziej klarowna niż przez ubiegłe lata - swój powolny spacer sprzed czterech lat z kabiny kąpielowej nad brzeg morza, kiedy

Haskell, którego jeszcze nie znała, z napięciem obserwował każdy jej krok.

Olimpia płaci ociągającemu się woźnicy i czeka chwilę, aż tamten zdejmie z bryczki jej kufer podróżny. Mężczyzna ugina się pod jego ciężarem. Chociaż oferuje pomoc przy wniesieniu bagażu do domu, Olimpia prosi, aby postawił kufer na progu kuchennych drzwi, nie chce się bowiem zdradzić, że nie ma kluczy i nie może otworzyć ani tych drzwi, ani żadnych innych. Stoi na progu, patrząc, jak bryczka odjeżdża sprzed domu. Po chwili macha ręką, mając nadzieję, że wygląda to tak, jakby czekała na kogoś, kto opieszale podchodzi do drzwi, aby je otworzyć i zaprosić ją do środka.

Jednak nikt taki nie może się pojawić. Kiedy Olimpia jest pewna, że bryczka odjechała na dobre, rusza na spacer wokół domu, szukając jakiegoś sposobu, aby dostać się do środka. Spiesząc się, aby jak najszybciej opuścić Berkshire i przyjechać do Fortune's Rocks, nie prawie nie jadła po drodze i niewiele spała. Przez chwilę mocuje się z okiennicami (farba wyblakła i łuszczy się), ale tak jak się spodziewała, są zamknięte od środka. Okrągłe okno w piwnicy też jest zamknięte, podobnie jak cztery pary drzwi do domu. Mogłaby zbić szybę, jeśli tylko do jakiejś by się dostała, ale na razie nie widzi możliwości wejścia do zamkniętego na głucho budynku. Nie chce szukać pomocy, ponieważ musiałaby się ujawnić; i chociaż zdaje sobie sprawę z tego, że długo nie uda jej się ukryć swojej obecności, chciałaby pobyc tu trochę sama, zanim zostanie odkryta przez kogoś wścibskiego.

Olimpia stoi przed domem, tuż koło dawnej kaplicy, i uważnie mu się przygląda. Żdźbła dzikiej trawy dostały się jej pod spódnicę i łaskoczą w łydki. Widzi, że na dachu obluzowały się dachówki, a deski oszalowania trzeba

na nowo pomalować. Poręcz na werandzie jest uszkodzona przez sztorm, być może ten sam, który zerwał listwy w oknach mansardowych. Dom wymaga wielu napraw i sama nie zdoła ich wykonać. Nagle dziewczyna uzmysławia sobie, że patrzy na te wszystkie zniszczenia - pęknięty słupek podtrzymujący poręcz schodów, framugę drzwi, która zmurszała od wilgoci, obluzowane cegły komina - okiem właściciela. I podczas tej inspekcji zauważa wyłamany zawias w oknie.

Szuka czegoś, na czym mogłaby stanąć, ponieważ nie może sięgnąć do okiennicy, i znajduje stół ogrodowy. Z dużym trudem (choć jej ramiona i nogi wzmocniła praca w Hastings, praca, o której nawet teraz nie może spokojnie myśleć) przenosi ciężki stół pod okno. Wchodzi na surowy blat i kilka razy mocno szarpie obluzowaną okiennicę, aż wreszcie udaje się jej wyrwać ułamany zawias. Zdejmuje okiennicę i rzuca ją na ziemię. Wyciera rdzę z palców. Uderza o framugę okna pięścią, aby poluzować osłabiony od wilgoci zamek, a kiedy okno się otwiera, Olimpia nie może powstrzymać okrzyku radości. Wspina się na parapet, chwilę na nim balansuje, a potem zeskakuje na kamienną posadzkę.

Rozgląda się po wnętrzu kaplicy i niemal natychmiast ogarnia ją fala smutku. Przypomina sobie ostatnie namiętne spotkanie z Haskelllem; widzi też dziewczynę szkicującą widok za oknem, której głowy nie zaprzęta jeszcze żadna niespokojna myśl; widzi małego chłopca, dziecko, którego nigdy nie było jej dane poznać, i wyobraża sobie, że mógłby się tu bawić. Wreszcie sama, bez świadków, siada na marmurowej ławce. Spływające łzy żłobią ścieżki na pokrytych podróżnym kurzem policzkach. Olimpia wyciera nos brzegiem spódnicy. Po chwili prostuje się, przekonana, że najgorsze ma już za sobą,

i rozpiną dwa górne guziki bluzki. Ale ten odruch, to niewinne dotknięcie wstrząsa jej pamięcią tak mocno i tak słodko, że dziewczyna po raz kolejny przeżywa atak tęsknoty, a jej ciałem wstrząsają dreszcze.

Po pewnym czasie opuszcza dłonie i rozgląda się wokoło. W kaplicy byli jacyś wandalowie, którzy pomazali ściany oraz marmury węglem lub czarnym tuszem. W kącie wala się woskowany papier, w jaki zawija się smażone ryby. Na oparciu drewnianej ławki wisi jakieś ubranie, a kiedy Olimpia podchodzi bliżej, okazuje się, że to damska koszula z taniego muślinu, poplamiona czymś niebieskim. Olimpia rzuca ją na posadzkę. Czuje się dziwnie oburzona. Może to nie ona i Haskell pierwsi sprofanowali to wnętrze? Ale czy była to profanacja, czy najświętszy z ludzkich obrzędów? Nie wie, chociaż zastanawiała się nad tą sprawą przez lata. Traktuje jednak ślady nowych profanacji jako coś gorszego. Woskowane papiery, gry-zmoły na ścianach i damska bielizna są dla niej profanacją wspomnień, które stanowią teraz jej jedyny majątek.

Wychodzi z kaplicy do wąskiego korytarzyka, łączącego przybudówkę z domem, otwiera po drodze okiennice, okna i drzwi, zostawiając za sobą jasność i zmierzając w stronę mroku. Obcasami jej pantofli stukają przyjemnie po płytkach posadzki w kuchni, w której stoją puste kredensy i gołe stoły. Widać na nich ślady myszy, zlew pokrywa warstwa rdzy. Olimpia przechodzi przez wahadłowe drzwi, za którymi niegdyś zaskoczyła Josiaha i Lisette, przez obity boazerią korytarz, gdzie po raz ostatni widziała Haskella, przez jadalnię, gdzie jedli razem kolację, aby wreszcie znaleźć się w salonie, upiornym wnętrzu z białymi kształtami, nienaruszonym i nietkniętym. Wydaje jej się, że ukryte w tym widmowym miejscu wspomnienia czekają, aby zdjąć z nich pokrowce. Sól nanie-

siona przez wiatr na szyby wygląda jak mróz i chociaż Olimpia słyszy nieustanny szum morza, nie widzi go wyraźnie. Stoi pośrodku pokoju, w którym unosi się zapach wilgoci, i odwiązuje tasiemki kapelusza. Zdejmuje płaszcz i wstążkę zawiązaną pod szyją, pochyla się i rozwiązuje sfatygowane pantofle, noszone od tygodni. Odpina guziki przy mankietach bluzki i podwija rękawy do łokci. Teatralnym gestem zrywa pokrowiec, zakrywający krzesło wyściełane kremowo-czerwonym jedwabiem. Czy to myszy zniszczyły tapicerkę, czy już przedtem była wystrzępiona? Olimpia ściąga kolejny pokrowiec i ukazuje się mahoniowy stoliczek na nodze z rzeźbionymi pazurami. Jak ciężko i ponuro wygląda ten mebel w białym pokoju. Podchodzi do drzwi, odsuwa zamek i otwiera je na oścież. Nagły powiew powietrza natychmiast ją otrzeźwia i dziewczyna czuje, że ma w sobie więcej energii niż kiedykolwiek przedtem. Podchodzi do poręczy werandy, przysłania dłonią oczy, oślepią nagłym blaskiem srebrzystego światła. Z namysłem przygląda się skałom i drzewom w starym sadzie, patrzy na falochron i plażę. Zamieszka w tym domu i będzie wolna.

- Panienko?

Zaskoczona Olimpia słyszy głos woźnicy, który niedawno ją tu przywiózł. Mężczyzna stoi u podnóża schodów i patrzy na nią, trzymając w ręku czapkę. Jest wysoki, odrobinę zwalisty.

- Wróciłem sprawdzić, czy wszystko w porządku -mówi wolno głosem pozbawionym emocji. - Miałem wyrzuty, że zostawiłem tak panienkę na progu tego domu. Stoi zamknięty na trzy spusty i ludzie boją się tu przychodzić

- Dziękuję - mówi Olimpia.
- Widzę, że dostała się panienka do środka.
- Tak.
- Ma tam panienka bieżącą wodę?
- Nie wiem.
- A więc prawdopodobnie nie. Ta pompa wymaga solidnej naprawy.
- Tak.

Jego granatowy płaszcz z surowej wełny jest rozdarty na ramieniu. Mężczyzna ma wyjątkowo długie ręce, które zwisają po bokach jak nienaturalne dodatki. Jasnobłękitne oczy błyszczą w nieogolonej twarzy.

- Nie ma tu także elektryczności i gazu - wylicza. - Ma panienka gdzie się zatrzymać na noc?

- Zostanę tutaj - mówi Olimpia.

Mężczyzna drapie się po brodzie i patrzy na nią z powątpiewaniem.

- Moim zdaniem, panienko, to nie jest odpowiednie miejsce dla młodej damy - mówi wprost.

Olimpia stara się odgadnąć, ile ma lat. Trzydzieści pięć?

Czterdzieści? Jego ogorzała twarz od ciągłego przebywania na świeżym powietrzu niewiele zdradza.

- A ponieważ robi się późno, uważam, że powinna panienka znaleźć sobie nocleg, zanim zapadnie zmrok. O tej porze roku większość pokoi w mieście jest już zajęta, ale moja siostra Alice przyjmuje u siebie przyjezdnych, którzy nie mają gdzie się podziać.

Olimpia ma się gdzie podziać, lecz, aczkolwiek niechętnie, rozważa propozycję mężczyzny. On ma rację: skoro w domu brak wody, nie może tu zostać, chociaż bardzo by chciała.

- Dobrze - decyduje się w końcu. - Dziękuję.
- Możemy jechać zaraz?

Olimpia się waha. Nie może znieść myśli, że tak szybko ma opuścić ten dom. -Ja...

- A zatem przyjadę po panienkę za godzinę - mówi woźnica.

- Dziękuję. Jest pan bardzo miły. Jak się pan nazywa?

- Ezra Stebbins. Kiedy panienki rodzice jeszcze tu przyjeżdżali, przywoziłem homary.

- Rozumiem. Jest pan rybakiem. -Tak.

- Mieszka pan w okolicy?

- W Ely, panienko.

Olimpia na moment odwraca głowę i patrzy na morze. Zastanawia się, czy Stebbins wie również, dlaczego dom przez lata stał pusty. Szybko jednak bierze się w garść. To dopiero pierwsze spotkanie z wielu, jakim będzie musiała stawić czoło w nadchodzących tygodniach, jeśli zdecyduje się zamieszkać w Fortune's Rocks. Odwraca się, aby powiedzieć coś do mężczyzny, ale już sobie poszedł.

Na werandzie nie ma krzeseł, jedynie koło poręczy stoi wepchnięty w kąt stary taboret. Olimpia wyciąga go, stawia na środku i siada, podwijając spódnicę do kolan. Cztery lata temu ona i Haskell pierwszy raz spotkali się na tej werandzie. Aż nazbyt dobrze pamięta moment, gdy witali się w obecności Marthy, Clementine, Randalla oraz Mai. Ona, Olimpia, zaczynała już wtedy podświadomie przeczuwać, że jej przywitanie z Johnem Warrenem Haskellem nie było dokładnie takie, jakie powinno być. Pozornie wszystko wydawało się w porządku, czuła jednak całym ciałem, że te proste i na pozór niewinne gesty, obarczone są głębokimi pokładami znaczeń, które

pewnego dnia zostaną zinterpretowane. Zastanawia się teraz, czy w życiu każdego człowieka są takie momenty - cztery, pięć, a może siedem - gdy zmienia się ono lub gna z całych sił w nieprzewidywanym kierunku. Takie momenty nadchodzą nieproszone, kiedy wcale się ich nie oczekuje, często w dziwnych i nieodpowiednich lub wręcz banalnych okolicznościach; mogą objawiać się tak delikatnie i ulotnie, że przypominają maleńkie ptaszki przysiadające na najbardziej wysuniętej gałęzi drzewa. Tylko że owe szczególne ptaszki nie odlatują. Taki moment można nadejść, gdy rzuca się mimochodem spojrzenie na twarz ukochanego lub po raz pierwszy słyszy się nieostrożne westchnienie lub odczytuje jakieś słowo w telegramie (i wówczas człowiek niemal widzi, jak życie zaczyna zbaczać z pierwotnego toru). Olimpia wie, że dla niej takim momentem było spotkanie z Haskelllem na werandzie; innym zaś bez wątpienia ten ułamek sekundy, kiedy Catherine pochyliła się nad teleskopem; chwila, na której wspomnienie dziewczyna nawet teraz wzdryga się mimowolnie (gdyby człowiek mógł wymazać z pamięci takie rzeczy!). Zadaje sobie jednak pytanie, czy był także moment, jej życie przypominało szaleństwo? I kiedy to się zdarzyło? To pierwsze popołudnie w pokoju Haskell'a? Gdy leżeli obok siebie w na wpół zbudowanym domu? Na piasku, w nocy, gdy niewidziana przez nikogo wymknęła się z domu? Haskell wyjaśniał jej kiedyś, w jaki sposób usiłuje zapobiec poczęciu dziecka, i czasami widywała, i czuła maleńkie, wilgotne baloniki; powiedział jej jednak także, że ta metoda nie zawsze skutkuje. I dlatego kiedy leżeli na podłodze w ich nowym domu, pytał ją o miesiączkę. Teraz zdumiewało ją, że rozmawiali o takich rzeczach, że mówiła mężczyźnie o tak intymnych sprawach; a jakie to

było wtedy proste. Ogarnia ją nowa fala smutku, który z trudem z siebie strząsa, wstaje i idzie na plażę.

Przez dziesięć dni Olimpia mieszka u Alice Stebbins, siostry Ezry, rybaka, który okazał jej życzliwość. Zajmuje małeńki pokój na samej górze, dostaje też trzy posiłki dziennie. Ma pewne problemy z przejazdami do domu ojca, ale udaje się jej znaleźć nowego dozorcę. Studnia została już naprawiona i jest woda. Chociaż okazało się, że przewody elektryczne w domu są w opłakanym stanie i wymagają porządnej naprawy, nie wpływa to na decyzję dziewczyny, aby zamieszkać w Fortune's Rocks, w domu znajduje się bowiem wiele lamp naftowych. Olimpia wprowadza się tam wreszcie, a dzięki latom spędzonym w Hastings, gdzie nauczono ją wielu podstawowych rzeczy o prowadzeniu gospodarstwa i gotowaniu, udaje się jej sprawić, że w domu można mieszkać, co daje jej ogromną satysfakcję. Zamiata podłogi i trzepie chodniki. Ponieważ ma już wodę w kuchni, pierze obrusy i pościel, a także myje okna. Wyrzuca z kredensów stopy zaschniętych ciem, ściąga pajęczyny, przycina krzewy, wyciera z kurzu meble i prasuje bluzki. Wietrzy ubrania z szaf i ceruje te, które tego wymagają. Wszystkie szuflady wykłada papierem, wyciąga na słońce materace i trzepie je. Szoruje garnki i naczynia, myje podłogi, poleruje drewno i czyści do połysku mosiężne elementy kominka. Stopniowo dom zaczyna powracać do normalnego stanu, a nawet lśnić w słońcu. Pościel pachnie słońcem i morskim powietrzem i przyjemnie jest wśliznąć się wieczorem, po dniu wyteżonej pracy, między wonne, czyste prześcieradła. Dzięki niewielkim oszczędnościom, poczynionym z pieniędzy, które dostała od ojca na początku lata na po-

dróż, Olimpia ma za co kupować jedzenie i robić drobne sprawunki w wiosce. Do sklepu jest kawałek drogi; chodzi tam zawsze rano, aby zmniejszyć ryzyko spotkania kogoś, kto mógłby ją rozpoznać. Zapewne wiele osób z okolicy słyszało o tamtym skandalu, znacznie mniej jednak wie, jak wyglądała jego bohaterka, w dodatku przez te cztery lata bardzo się zmieniła. Jej brwi nabrały wyrazistości, podbródek zapewne się wyostrzył. Kiedy świeci słońce, dziewczyna wkłada ciemne okulary, które kupiła kiedyś w Hastings. Wie jednak, że długo nie zostanie osobą anonimową, nie ukryje także przed najbliższymi sąsiadami faktu, że zamieszkała w Fortune's Rocks. Jej obecność w domu już wzbudziła pewną ciekawość -przechodnie zerkają na suszące się na tyłach domu pranie, a jacyś chłopcy podglądali ją, gdy grabiła liście na trawniku. Jeśli zaś sąsiedzi zobaczą, że tu mieszka, pozostanie jedynie kwestią czasu, aby dowiedział się o tym także jej ojciec. Zatem pewnego popołudnia, wkrótce po tym, jak wprowadziła się do domu, Olimpia siada przy starym biurku i pisze list.

Zawiadamia ojca, że zamieszkała w Fortune's Rocks i postanowiła jakiś czas tu pozostać. Pisze też, że nie zmieni swojej decyzji i jesienią nie wróci do szkoły w Hastings. Gdyby zaś nalegał, aby opuściła ten dom, na zawsze zerwie kontakty z rodziną. Nie chce nikogo ranić, zapewnia, pragnie tylko, żeby zostawiono ją w spokoju. Na końcu dodaje, że przydałoby się jej trochę pieniędzy, ponieważ dom wymaga wielu napraw, i wymienia, co należy zrobić. Została jej już niewielka suma na własne wydatki.

Wysłała list i czeka na odpowiedź. Ponieważ nie przychodzi natychmiast, zaczyna się denerwować, że ojciec może przyjechać tu osobiście. Z lękiem słucha stukotu

przejeżdżających drogą bryczek. W końcu po dwunastu dniach listonosz przynosi list, a Olimpia rozpoznaje na kopercie pismo ojca.

3 sierpnia 1903

Moja droga Olimpio,

zaskoczyła mnie wiadomość, że jesteś w Fortune's Rocks. Nie uważam, aby było to odpowiednie miejsce dla Ciebie. Jeszcze bardziej zmartwiłem się na wieść, że postanowiłaś porzucić szkołę w Hastings. Muszę przyznać, że miałem nadzieję, iż zawód nauczycielki sprawi Ci satysfakcję, a niezależność, jaką dzięki temu zyskasz, da ci ukojenie. Nie chcę jednak już dłużej Cię karać. Być może satysfakcja i ukojenie nie są Ci potrzebne. Wyznaję, że w Twoim wieku nie ceniłem zbyt wysoko tych wartości, chociaż obecnie uważam, że są bardzo ważne.

Olimpio, powinnaś była od razu do mnie napisać. Wkrótce po opuszczeniu przez Ciebie posady guwernantki otrzymałem list od pani dziekan Bardwell. To zrozumiałe, że była zaniepokojona Twoim zniknięciem, i powiadomiła nas o swoich obawach. Przekazano mi wiadomość, że zrezygnowałaś na własne życzenie, i bardzo się o ciebie martwiłem. Przez pewien czas myślałem, że w jakiś sposób skontaktował się z Tobą ten człowiek i uciekłaś z nim. Zakładam, że jesteś ze mną szczerą i nie mieszkacie razem.

Olimpio, martwię się o Ciebie. Nie wiem, jak sobie dasz radę w tym domu pełnym przeciągów. Jednak jeśli postanowiłaś w nim zamieszkać, nie będę się sprzeciwiał. Nie zamierzam nigdy więcej tam powrócić ani w ogóle przyjeżdżać na wybrzeże New Hampshire. Oczywiście, pewnego dnia będę musiał sprzedać dom w Fortune's Rocks, lecz na razie nie mam takich planów, ponieważ

wątpię, abym w obecnych czasach otrzymał za niego rozsądną cenę. Twoja matka i ja bardzo żałujemy, że nie spędziliśmy razem Twoich dwudziestych urodzin. Pamiętaj, proszę, że codziennie o Tobie myślimy. I pisz do mnie od czasu do czasu. Chcę wiedzieć, że masz się dobrze.

Twój kochający ojciec

PS Przysyłam czek na sto pięćdziesiąt dolarów. Wszystkie rachunki za większe naprawy wysyłaj bezpośrednio do mnie.

Olimpia kończy czytać list i opiera czoło o blat kuchennego stołu.

Nie może się powstrzymać, aby nie myśleć o ojcu ze smutkiem.

Przez chwilę ma ochotę spakować walizkę, wsiąść do' pociągu i pojechać do Bostonu uściskać rodziców. Wspomina czas, jaki ojciec poświęcił na jej naukę, i jak wiele zainwestował w jej przyszłość.

Po dłuższej chwili odkłada list. Pod zlewozmywakiem znajduje ostrą szczotkę. Napełnia wiadro wodą z mydłem, zanosí je do kominka i zaczyna zeskrobywać ślady sadzy. Kamień, z którego zrobiono kominek, jest niemal czarny i Olimpia niemal natychmiast musi wymienić wodę na nową. Mocno szoruje zabrudzenia, coraz wyraźniej bowiem czuje, że jedynie fizyczna praca może dać jej ukojenie.

Jakaż przyjemność czerpie z tych prostych zajęć! Często po zakończeniu codziennych obowiązków spaceruje po pokojach, podziwiając efekty swoich starań. Podoba jej się połysk drewnianych słupków przy poręczach, załamująca się linia horyzontu, widoczna przez falujące szkło w umytych octem oknach i lśnienie pomalowanych na nowo parapetów. Czasami, gdy już wyczyści cały pokój,

zabiera się do przesuwania mebli. Początkowo z trudem przenosi z miejsca na miejsce stół lub krzesło, później jednak dochodzi do wniosku, że dom jest zagracony. Niepotrzebne rzeczy, które może udźwignąć, przenosi do kaplicy, gdzie urządza składzik. W efekcie frontowy salon staje się coraz bardziej pusty, co, o dziwo, ogromnie jej się podoba. Oczywiście, nie jest w stanie ruszyć fortepianu czy kanapy lub angielskiego biurka, wynosi jednak lampę z abażurem zakończonym kryształowymi wisiorami, podnózek nakryty kordonkową narzutą, skórę jakiegoś zwierzątka, która służyła jako chodnik, marmurowy zegar z metalowymi ozdobami, kute świeczniki, małe stoliczki, bambusowe krzesło, kilimy, mahoniową podstawkę na kwiaty, malowany parawan, zwierciadło w złoczonej ramie i wiele doniczkowych roślin, dawno już wyschniętych. Na środku pokoju ustawia windsorskie krzesło z podnoszonym blatem. Kiedy na nim siada, widzi przed sobą ocean. Czyni tak często; od czasu do czasu wstaje, aby zaparzyć sobie filiżankę herbaty, dużo robi na drutach i bardzo rzadko czyta. Do książek podchodzi ostrożnie, obawia się bowiem, że niechcący może wyzwolić niepożądane emocje. Już od tygodni próbuje stawiać fundamenty, wznosi rusztowania i nie chce, aby mocne ściany, które dopiero co zbudowała, zawaliły się od słów na papierze.

Olimpia zwykle ubiera się w domowe, proste stroje, ponieważ ciągle sprząta i porządkuje. Czasami jednak wkłada suknie z piki lub tafty, które znalazła w garderobie. Ubieranie się i przesiadywanie na windsorskim krześle, skąd można podziwiać piękny widok na ocean, to jej jedyna rozrywka i Olimpia rozumie już, ile dla niej znaczy ten wypoczynek. Jest pewna, że jeśli instynkt jej nie pomoże, nigdy nie wydobrzeje i za pewien czas grożą jej różne obezwładniające dolegliwości nerwowe, na które

cierpi wiele kobiet w dojrzałym wieku, czego najlepszym przykładem jest jej własna matka.

Pod koniec każdego dnia Olimpia bywa cudownie zmęczona i zwykle także okropnie głodna. Jada wówczas słodką kukurydzę, jagody, pieczone biszkopty i biały ser. Mleko przywozi jej mleczarz, chleb oferuje piekarz, a Ezra zobowiązał się raz w tygodniu dostarczać homara lub świeże ryby. I właśnie tuż po odjeździe rybaka, kiedy Olimpia wkłada świeżego węgorza do skrzyni z lodem, pod tylną bramę jej domu podjeżdża lśniący, czarny automobil. Zdumiona widzi przez okno, że wysiada z niego Rufus Philbrick. Rzuca szybkie spojrzenie na swoją sukienkę - z wypłowiałego perkalu - i przeczesuje palcami włosy, niemyte od tygodnia. Nie ma jednak czasu, aby się przebrać. Po raz pierwszy, odkąd zamieszkała w Fortune's Rocks, żałuje, że brak jej służącej, która otworzyłaby drzwi.

- Mam nadzieję, że nie składam ci wizyty w nieodpowiednim momencie - mówi Philbrick, zdejmując kapelusz i ujmując jej dłoń.
- Nie, oczywiście, że nie - zapewnia go Olimpia, nieco oszołomiona tymi niespodziewanymi odwiedzinami.

Jest także zaskoczona, bo Philbrick bardzo utył od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni, jednak od razu sobie przypomina, że był nie tylko dandysem, ale także he-donistą. Zauważa również, że mężczyzna podpira się laską oraz że ma na nogach dwa różne buty, jeden sporo szerszy. Być może cierpi na podagrę. Zgolił wąsy i teraz widać jego różowe policzki i masywną szczękę. Powieki ma lekko zaczerwienione na brzegach. Kiedy zaprasza gościa, aby wszedł do środka, jeszcze raz przygląda się swojej wypłowiałej sukience i myśli: on także pewnie znajduje mnie inną niż kiedyś.

Philbrick idzie za nią do kuchni, która, chociaż spartańska, wygląda przyjemnie. Na środku stołu do pracy stoi wazon z różami z wydm, na parapecie zaś waza z hortensjami. Olimpia wciąż czuje się zakłopotana i nie wie, jak zająć się Philbrickiem. Oprócz Ezry i dostawców nie przyjmowała w domu żadnych gości (a i tych trudno by w zasadzie nazwać gośćmi). Jednak szybko bierze się w garść i, proponując przybyłemu lemoniadę oraz słodkie placuszki z jęczmiennej mąki, zaprasza go na skromny poczęstunek. I chociaż Philbrick prosi, aby nie robiła sobie kłopotu, jest wyraźnie zadowolony z perspektywy domowej przekąski.

- Dobrze wyglądasz - odzywa się, gdy siadają w salonie.

Philbrick zajmuje windsorskie krzesło, a Olimpia siada na bujanym fotelu przyniesionym z dawnego pokoju matki. Dzień jest piękny, okna są więc otwarte i wpada przez nie monotony szum oceanu, przerywany od czasu do czasu okrzykami dzieci bawiących się na plaży.

- Dziękuję - mówi Olimpia, podając mu szklaneczkę lemoniady.

- Od jak dawna tu jesteś? - pyta Philbrick, rozglądając się po pokoju. Olimpia widzi, że jest zaskoczony brakiem mebli.

- W zeszłym roku chodziłam do szkoły dla dziewcząt w Hastings, w zachodniej części Massachusetts - opowiada - ale postanowiłam tam nie wracać. Jestem tu od połowy lipca.

- Matka i ojciec czują się dobrze?

- Tak, dziękuję. Ma pan ochotę na kanapki z pastą śledziową?

- Dziękuję, chyba tak.

Olimpia stawia przed nim tacę z kanapkami. - Jak pan się dowiedział, że tu jestem?

- Och, moja droga - wyjaśnia uprzejmie Philbrick. - Ta wiadomość dotarła do mnie od wielu ludzi. Myślałaś, że uda ci się utrzymać swój przyjazd w tajemnicy? Jeśli tak, są dżę, że niezbyt dobrze znasz naturę małej społeczności.

Olimpia dopiero teraz zwraca uwagę na niezwykle strój Philbricka: ma żółto-czarną, jedwabną kamizelkę, włożoną na jasnożółtą koszulę, do tego wykwinny garnitur z doskonałego lnu. Gdzie on znalazł takie ubranie w New Hampshire, zastanawia się mimochodem.

- Nie, nie zamierzałam robić ze swojej obecności sekretu - odpowiada - ale nie chciałam zarazem obwieszczać wszem wobec, że tu mieszkam. Ale bardzo się cieszę z pana wizyty. Nikogo tu jeszcze nie zapraszałam.

- Mój Boże, Olimpio, zmieniłaś się w pustelnicę. Chciałem tylko sprawdzić, czy masz wszystko, co trzeba. Kiedyś twój ojciec był moim najbliższym przyjacielem.

- Dziękuję - mówi serdecznie dziewczyna - ale w tej chwili mam wszystko, czego potrzebuję. - Rozgląda się po pokoju. - Może oprócz ogrzewania.

Philbrick wydaje się zaskoczony.

- Zamierzasz spędzić tu zimę?

- Możliwe. - Olimpia częstuje go następną kanapką. Wie, że jej gość lubi sobie pojeść.

- Czemu? - pyta mężczyzna. - Zimy są tu okropne.

- Powoli przygotowuję dom na zimę. Oczywiście zamknę część pokoi.

- Niemniej jednak. Olimpia kiwa głową.

- Chciałabym przez jakiś czas pomieszkać sama - wyznaje cicho. Mężczyzna przygląda się jej uważnie.

- Byłam tu kiedyś bardzo szczęśliwa - dodaje szczerze dziewczyna.

Philbrick odstawia szklanke i sklada dlonie na wydatnym brzuchu. Przez dluga chwile panuje cisza.

- Olimpio, bardzo ci wspolczuje z powodu tego, co cie spotkalo - mowi w koncu. - Nie jestem od tego, aby osadzac innych. W dodatku sam wiem, co znaczy trudna miłość i wynikajace z niej konsekwencje. - Przerywa na chwile, a Olimpia zastanawia sie, jakiej trudnej miłości došwiadczył. - Rozumiem takze, ile wycierpialas z powodu swego uczucia. Nie watpie bowiem, ze twój związek z Johnem Haskelllem zrodzil sie z miłości. Kiedy teraz o tym myśle, musze powiedziec, ze bylo widać, co was laczy.

Olimpia nie jest w stanie nic odpowiedziec.

- To czulo sie w powietrzu, gdy byliście razem w jednym miejscu - dodaje Philbrick, gestykułujac.

Olimpia pragnie porozmawiac z kimś o Haskellu. Wie jednak, ze rozmowa na ten temat z Philbrickiem grozi zawiązaniem sie między nimi pewnej zażyłości i niesie ryzyko, ze on moze zmienic opinie na jej temat.

- Prawde powiedziawszy - gość siega po kolejny placuszek, szczęśliwie przebrnawszy przez nieco zdradliwy temat miłości - myslalem, ze przyjechałas tu po dziecko. - Strzepnal okruszek ze swojej jedwabnej kamizelki.

Olimpia czuje, ze caly swiat wstrzymal oddech, a podłoga umyka jej spod nog i opada gwałtownie w dol. Później bedzie sie zastanawiac, jak zdolala - poza szybkim i byc moze zbyt przerażonym spojrzeniem na Philbricka - udac, ze ma wieksze pojecie o tym, o czym mowil, niz bylo w rzeczywistości.

- To stosunkowo dobra instytucja - dodaje mężczyzna. Dziewczyna zwilza jezykiem wargi, które sa suche jak pergamin. Nie śmie jednak siegnac po cos do picia, poniewaz boi sie, ze gość zauwazy drzenie jej rak.

- Niektóre z tych sierocińców sa naprawde okropne -

mówi dalej Philbrick - ale matka Margerite prowadzi swój bardzo przyzwoicie, muszę przyznać. Ojczulkowie z para fii Świętego Andrzeja ciągle proszą o datki i w końcu uzna li, że trzeba zrobić ze mnie członka zarządu. - Wzrusza ramionami. - Oczywiście, nie mam nic przeciwko temu. Tb organizacja, która zawsze będzie potrzebować wsparcia.

Olimpia kiwa głową. Uświadamia sobie, że wstrzyma ła oddech. Powolutku wypuszcza powietrze z płuc, żeby się niczym nie zdradzić.

Otwiera usta, ale nie może wydobyć z siebie głosu.

Philbrick pochyła się w jej stronę.

- Moja droga - mówi. - Jesteś bardzo blada. Chyba źle, że o tym wspomniałem. Powinien wiedzieć, że to dla ciebie bolesne sprawy. No cóż, nigdy nie miałem dość taktu... - Patrzy na nią współczująco. - Wybacz staremu człowiekowi brak manier.

Dziewczyna kręci głową. Kiedy się odzywa, jej głos lekko drży.

- Zawsze podziwiałam pana szczerość - mówi z przekonaniem.

Philbrick wyciera usta serwetką.

- Nie będę ci zajmował więcej czasu, moja droga. Pójdę, zanim znowu palnę głupstwo. Chciałem po prostu cię odwiedzić. Proszę, daj mi znać, gdybyś czegoś potrzebowała. Sprawisz mi wielką przyjemność, jeśli będę mógł ci w czymś pomóc.

Wstaje, Olimpia także podnosi się od stołu, lekko chwiejąc się na nogach.

- Obawiam się, że cię zdenerwowałem - mówi Philbrick.

- Pana wizyta była wspaniałym odpoczynkiem od codziennych zajęć - odpowiada dziewczyna szybko, aby nie nabrał żadnych podejrzeń. - Mam nadzieję, że przyjdzie pan znowu.

Philbrick wyjmując wizytówkę z portfela i wręcza ją Olimpi.

- Możesz zawsze do mnie napisać. Przekaż moje uszanowania ojcu i mamie.

Dziewczyna jest już spokojna; idzie w stronę drzwi, mając świadomość, że mężczyzna ją obserwuje.

- Dziękuję za lemoniadę - mówi przy drzwiach, podając jej rękę. - I pochwal ode mnie kucharkę.

- Nie mam kucharki - wyjaśnia Olimpia.

- Mój Boże, Olimpio, naprawdę jesteś tu sama - dziwi się mężczyzna.

- Tak, i to wolę.

Philbrick schodzi po stopniach na trawnik i ponownie jej się przygląda.

- Zawsze wiedziałem, że będziesz mieć niezwykle życie - mówi.

Olimpia zamyka za nim drzwi i czeka, aż samochód odjedzie. Źle widzi na prawe oko, w lewej skroni czuje przejmujący ból. Przykłada rękę do głowy, ale ból koncentruje się i wzrasta. „Było widać, co was łączy”, powiedział Philbrick. Czuje mdłości i przyciska czoło do zimnej szyby w drzwiach. Musi otrzeźwieć i dotrzeć do sypialni. „To czuło się w powietrzu”... Idzie na tył domu, ale musi przytrzymać się ścian, aby zachować równowagę. W kącie korytarza zgina się nagle w pół i z lękiem myśli, że się rozchoruje. „Myślałem, że przyjechałaś tu po dziecko”... Ociera twarz spódnicą i usiłuje się opanować. Musi dojść do łóżka. Ból wzmagają się i rozsada czaszkę. „Niektóre z tych sierocińców są naprawdę okropne”...

Ściany wokół niej wirują, a jej synek jest w Ely Falls.

Olimpia przez kilka dni leży na łóżku w swoim wyjątkowo czystym domu. Pada tak bardzo, że mleko, chleb i homary pod kuchennymi drzwiami zmieniły się rozmiękłe paczki. Od czasu do czasu słyszy pukanie i domyśla się, że to Ezra. Nie chce, aby się o nią martwił, bo i tak ma dość własnych problemów, ale brak jej siły, aby wstać i z nim porozmawiać.

Trzeciego lub czwartego dnia wstaje, osłabiona z głodu. W sypialni panuje zaduch, pokój wygląda nieprzyjemnie. Olimpia myje się, przebiera w czyste ubranie i czesze. Otwiera kuchenne drzwi, znajduje pozostawioną żywność, którą natychmiast wyrzuca, poza bochenkiem starego chleba. Robi z niego grzanki i zjada je, popijając herbatą. Zastanawia się, jak ojciec mógł oddać dziecko do sierocińca w Ely Falls, nic jej o tym nie mówiąc. Wyobraża sobie, że poblądł, widząc na kopercie ze stemplem z Fortune's Rocks charakter pisma Olimpii. Ciekawe, czy teraz też obawia się, że przypadkowo mogłaby odkryć miejsce pobytu chłopca. Oczami duszy widzi, jak ojciec nerwowo spaceruje po korytarzu na piętrze.

Od chwili gdy Philbrick opuścił dom, Olimpia wie, że zacznie szukać synka. Dni, które spędziła, leżąc w łóżku, nie były czasem podejmowania decyzji, lecz raczej okre-

sem zbierania sił przed czekającym ją zadaniem. Wiele razy zadawała sobie pytanie, czy jest gotowa: założmy, że odnajdzie dziecko i co dalej? Czy tak po prostu poprosi, aby oddali jej synka? A jeśli tak, to czy go dostanie? A jeśli go odbierze, czy będzie umiała od razu właściwie się nim zająć? Chłopiec już skończył trzy latka. Zastanawia się, czy dobrze nim się opiekowano, i modli się, aby tak było. Nie zna nawet jego imienia.

Jak więc ma go szukać? Jakie nadano mu imię na chrzcie? A co z nazwiskiem? Czy ojciec pozwolił mu nosić nazwisko Biddetord, czy nazywa się zupełnie inaczej? Olimpia nic nie wie na ten temat i oczywiście nie może zapytać ojca, od razu domyśliłby się bowiem, że odkryła, co stało się z dzieckiem. Ryzykowałaby wtedy, że ojciec przeniesie gdzieś chłopca lub przyjedzie do Fortune's Rocks, aby z nią porozmawiać, czego najmniej sobie życzy.

Rankiem siódmego dnia wkłada jedwabny lawendowobłękitny kostium znaleziony w mahoniowej szafie matki i kapelusz z szerokim rondem. Stojąc przed lustrem widzi, że jeśli pochyli rondo pod odpowiednim kątem, kapelusz przysłoni dużą część jej twarzy. Nie obawia się rozpoznania, nie chce jednak pozwolić, aby jakiś intruz, która ją pamięta, wtargnął w kruchy świat, jaki Olimpia właśnie buduje.

Tramwaj do Ely Falls odchodzi z Ely, jakieś sześć kilometrów od plaży w Fortune's Rocks. Początkowo Olimpia zamierzała przejść tę odległość piechotą, ale później uznała, że po drodze może pobrudzić buty i spódnicę; wymięte i nieświeże ubranie nie pomogłoby jej w wykonaniu zadania. Korzysta więc z uprzejmości Ezry, z którym rozmawiała dzień wcześniej, i jedzie do tramwaju jego bryczką.

Poławiacz homarów, o którym wie już, że dobiega czterdziestki, to przyjemne towarzystwo na krótkiej tra sie do Ely.

- Czy pana ojciec też był rybakiem? - zagaduje go po drodze Olimpia.

- Tak. I jego ojciec też - odpowiada Ezra.

- Lubi pan takie życie? - pyta dalej dziewczyna.

- Mam dwieście więcierzy w morzu i dzięki temu jestem ciągle zajęty - tłumaczy jej rybak. - Sprawdzam je o świcie, zanim słońce wzniesie się ponad linię horyzontu. Myślę, że przynajmniej jeden z trzech synów pójdzie w moje ślady, chociaż zbytnio ich nie zachęcam do takiej harówki w przyszłości. I to chyba odpowiedź na pytanie panienki. To bardzo ciężki kawałek chleba.

Mówi bez uzalania się nad sobą, przeciągle wymawiane samogłoski wpływają kojąco na Olimpię. Na jego rękach widać ślady ciężkiej, fizycznej pracy. Niewiele myśląc, dziewczyna dotyka palcami jednej z blizn na jego dłoni, a ten gest zaskakuje ich oboje.

Olimpia przeprosza za śmiałość, a Ezra macha ręką, że nic się nie stało, wyjaśniając, iż głębokie bruzdy to ślady szczypiec homara.

Dziewczyna ma ochotę zapytać

o żonę rybaka, jak wygląda życie tej kobiety; chce też zapytać, ale nie ma odwagi - nie, nigdy nie zapyta o to - czy Ezra kocha swoją żonę i czy myśli, że żona kocha jego; czy są ze sobą szczęśliwi.

Chociaż jej doświadczenia wydają się bardzo ograniczone, wie, że miłość często bywa zaskakująca i trudno ją uchwycić. Kiedy dojeżdżają do tramwaju, Ezra życzy dziewczynie szczęśliwej podróży i zapewnia, że będzie na nią czekał o czwartej.

Tramwaj jest pełen okolicznej ludności i letników, z których wielu przyjechało z Rye, aby zrobić zakupy w Ely Falls. W zakurczonym pojeździe nie ma miejsc sie-

lizających i wydaje się, że cały skwar tego letniego dnia skoncentrował się wewnątrz drewnianych ścianek pojazdu. Pasażerowie tłoczą się i rozpychają, gdy wagon toczy się i kołysze, a woń przeпоconych ciał nie należy do przyjemnych. Gdyby Olimpia nie musiała trzymać się obiema rękoma poręczy, zakryłaby nos chusteczką.

Od czasu do czasu między głowami ludzi Olimpia dostrzega przesuwający się krajobraz. Pobudowano dużo nowych domów, a przedmieścia Ely Falls zaczynają się dużo wcześniej niż cztery lata temu. Na ulicach widać wiele szyldów, reklamujących różne usługi: „Specyfiki medyczne”, „Biblioteka francuska”, „H.R Poisson, fotograf. 1 dalej: „Galanteria”, „Wędzarnia Paraday”, „Apteka Boynoins”, a obok szyld z napisem „Lewis Polake-wich”. Na ulicach jest dużo markiz w kolorowe pasy, stoją wysokie domy handlowe, których Olimpia nie zauważyła podczas poprzednich pobytów w tym mieście, a może po prostu jeszcze ich nie było. Wokoło widać dużo śpieszących się ludzi i powozów, nastrój zakupów ogarnia też pasażerów tramwaju. Olimpia wysiada razem z innymi, chociaż nie ma pojęcia, gdzie jest.

Podchodzi do policjanta na ulicy, który wyjaśnia jej, jak dojść do sierocińca. Niebo zmieniło barwę na granatową. Z oddali słychać pomruk nadciągającej burzy. Olimpia zaczyna biec, ale i tak dopada ją gwałtowna ulewa. Chroni się w bankowym holu. Po kilku minutach znieczepiwna wychodzi na ulicę i dosłownie przecznicę przed budynkiem sierocińca po raz kolejny dopada ją rześisty deszcz. Zaczyna biec i początkowo wydaje się jej, że wysoki, granitowy gmach z długimi rzędami okien na rogu Merton i Washington jest domem towarowym. Dopiero po chwili widzi nad drzwiami tabliczkę z napisem „Sierociniec Świętego Andrzeja”.

W głównym holu jest kamienna posadzka. Olimpia kieruje się w stronę drzwi z napisem „Biuro”, zostawiając na posadzce mokre ślady. Po chwili wahania puka do drzwi.

Otwiera je drobna kobieta w habicie i barbecie. Ma małe, czarne oczy, pomarszczone powieki i cienkie zaciśnięte usta. W pierwszej chwili jest zaskoczona, widząc Olimpię, ale już po chwili taksuje ją uważnym spojrzeniem. Patrzy na jej jedwabny, pognieciony kapelusz, mokre buty i lawendową spódnicę, która oblepia uda. Oględziny odbywają się w milczeniu i dziewczyna ma wrażenie, że siostra zatrzaśnie jej drzwi przed nosem.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mówi Olimpia -ale chciałabym się zobaczyć z kimś, kto prowadzi sierociniec.

- O co chodzi? - pyta siostra.

Pytanie jest zadane wprost, tonem nauczycielki, która wymaga równie szybkiej odpowiedzi. Zakonnica mówi z francusko-kanadyjskim akcentem.

Olimpia tyle razy przygotowywała sobie tę odpowiedź, że wydawało się jej, iż nic nie wytrąci jej z równowagi. Jednak twarz siostry jest tak surowa, że dziewczyna zaczyna się jąkać, chociaż wie, że to osłabia jej pozycję.

-Ja... chciałabym odnaleźć dziecko - tłumaczy. - To znaczy... chciałabym upewnić się co do sytuacji pewnego dziecka. Zostało tu przywiezione trzy lata temu. Na wiosnę.

- Ale dlaczego? - pyta zakonnica, wciąż rozmawiając z nią przed drzwiami.

- Ponieważ... - Olimpia wstrzymuje oddech. - Ponieważ to moje dziecko - wyjaśnia szybko.

Siostra wzdycha ciężko i cofa się o krok.

- Proszę wejść. - Sama podchodzi do krzesła za biur-

kiem i siada. - Wy, młode dziewczyny, wszystkie jesteście podobne - mówi. - Wydaje się wam, że możecie porzucić swoje dzieci, zostawić je na progu, a potem wrócić po iłwóch, trzech latach i zabrać je z sobą. Ale tak nie jest.

- Nie - odpowiada Olimpia, podchodząc do biurka. Zakonnica każe jej usiąść szybkim ruchem ręki. Spódnica jest z tyłu mokra i dziewczyna wie, że zostawi na krześle wilgotny ślad. Kapelusz jest tak ciężki od deszczu, że musi go zdjąć. Związane w węzeł włosy opadły na szyję i Olimpia chowa za uszami niesforne kosmyki.

- Jak się nazywasz? - pyta siostra.

- Olimpia Biddeford.

Jeśli zakonnica zna to nazwisko, nie daje po sobie nic poznać. Spłata dłonie i kładzie je na biurku.

- A jak nazywa się dziecko?

- Tego nie wiem - przyznaje Olimpia.

Palce siostry są czerwone i błyszczące. Na lewej ręce ma srebrną obrączkę.

- Chcesz tylko wiedzieć, czy dziecko jest zdrowe? - pyta.

- Ja... - Olimpia spuszcza wzrok na kolana. Trzyma tam swoją torebkę, w której ma sporą sumę pieniędzy. Nie podoba jej się pomysł odkupienia dziecka, ale jeśli trzeba będzie, jest na to przygotowana.

- Niezupełnie - mówi Olimpia, nie całkiem szczerze.

- Masz męża? Olimpia kręci głową.

Jej rozmówczyni wysuwa do przodu podbródek w geście niezadowolenia.

- To jak zamierzasz utrzymać dziecko?

- Mam środki - wyjaśnia Olimpia. - Mam dom.

- Gdzie jest ten dom?

- W Fortune's Rocks.

Zakonnica obserwuje Olimpię z wyrazem lekkiej po gardy kobiety uczciwej, która ma przewagę nad uprzywi lejowaną.

- Masz rodzinę? Służbę?

- Nie, nie w tej chwili. Moi rodzice mieszkają w Bostonie.

- Rozumiem. Czy miałaś pieniądze, kiedy opuściłaś dziecko?

- Ja go nie opuściłam. Zostało mi odebrane.

- No tak. - Tamta przygląda jej się z uwagą. - Ile masz lat?

- Dwadzieścia - odpowiada Olimpia.

- Istnieją pewne procedury - wyjaśnia siostra. - Nie oddajemy dzieci, rozumiesz?

-Tak.

- Jak nazywa się twoje dziecko?

- Nie wiem.

- To nie będzie zatem łatwe - zauważa siostra. - Kto je przyniósł?

- Nie jestem tego pewna. Tuż po porodzie zabrał je mój ojciec. On sam pewnie go tu nie przywiózł, wątpię też, czy ujawnił własne nazwisko przy... - Szuka właściwego określenia - ...transakcji.

- Właśnie - mówi siostra.

Otwiera biurko i wyjmuje gruby skoroszyt, wypełniony papierami. Przez dłuższą chwilę uważnie przegląda zapiski. Kartki cicho szeleszczą.

- Nie widzę tu nazwiska Biddeford - oznajmia po jakimś czasie. - Przynajmniej w okresie, o jakim wspominałaś. Czy można brać pod uwagę inne nazwisko?

Olimpia waha się i spuszcza oczy na biurko.

- Haskell - szepcze cicho.

Zakonnica, której imienia Olimpia wciąż nie zna, spogląda na nią z uwagą.

- Rozumiem - mówi, nie sprawdzając kartoteki. -A imię?
 - John.
 - Dlaczego podajesz to nazwisko?
 - On był... jest... ojcem - wyjaśnia Olimpia.
 - No tak. - Tamta nadal patrzy na nią przenikliwie. -Czy mógł obojście przywieźć dziecko?
 - Nie, nie - wyjaśnia szybko dziewczyna. - Nie sądzę. Mój ojciec nie rozmawiałby z doktorem Haskelllem, nie pozwolił nawet, aby jego nazwisko wymawiano w naszym domu. Szczerze wątpię, aby chciał mieć z nim do czynienia.
 - A gdzie teraz może być John Haskell?
 - Nie mam pojęcia - wyznaje Olimpia. Zakonnica cmoka i kręci głową.
 - Rozumiesz, że to może długo potrwać. Serce Olimpii uderza mocno. Czy to znaczy, że odnalezienie dziecka jest jednak możliwe?
 - Tak - odpowiada i chyba nawet się uśmiecha.
 - I że dziecka może wcale tu nie być? - Siostra patrzy na nią groźnie, co powoduje, że twarz dziewczyny tężeje.
 - Modłę się, aby tak nie było - przyznaje Olimpia, zdając sobie jednocześnie sprawę, że zakonnica nie przywiązuje większej wagi do jej protestanckiej modlitwy.
 - Z całą pewnością będziesz potrzebowała porady prawnej - mówi siostra.
 - Chciałabym przede wszystkim wiedzieć, czy dziecko ma się dobrze
 - tłumaczy dziewczyna. - I chciałabym... znać jego imię.
- Tamta kiwa głową. Jak wygląda życie takiej kobiety?, zastanawia się nagle Olimpia. Życie spędzane w celibacie i na modlitwie, służba innym. Czy naturalne pragnienie miłości jest tak wielkie, że człowiek zawsze czuje jej brak,

czy też ta tęsknota zanika wraz z powołaniem zakonnym?

-Wiele dzieci jest stąd przenoszonych, zanim matka się o nie upomni

- wyjaśnia siostra. - Czasami są adoptowane w legalny sposób.

Czemu tak długo czekałaś?

- Dopiero niedawno mogłam podjąć taką decyzję -odpowiada Olimpia.

- Dziecko to wielki skarb - oświadcza zakonnica. -Czy sądzisz, że dziewczyna, która zgrzeszyła, powinna zostać nagrodzona za swoją głupotę takim skarbem?

Olimpia otwiera usta, ale nie jest w stanie jej odpowiedzieć.

Siostra wstaje z krzesła.

- Proszę tu zostać - wydaje polecenie i wychodzi z biura.

Olimpia siedzi na krześle w mokrej sukni i czeka na powrót zakonnicy. W pokoju robi się coraz chłodniej i dziewczyna drży, ze strachu, zimna lub napięcia, sama tego nie wie. Nie ma nic, czym mogłaby się okryć. Krople deszczu uderzają w szyby wysokich okien, których parapety znajdują się na poziomie jej podbródka. Ściany pomalowane są na brązowo, a farba lśni w świetle elektrycznym i wyraźnie widać wszystkie szczeliny i nierówności powierzchni. Na ścianie za biurkiem wisi ozdobny krucyfiks z cierpiącym Chrystusem.

Skoroszyt z dokumentami - kartki o różnych wymiarach i kolorach - leży na blacie biurka. Olimpia zastanawia się, czy jeśli zajrzy do środka, znajdzie tam nazwisko, którego szuka.

Wstaje z krzesła i zaczyna spacerować po pokoju, aby się trochę rozgrzać. Spódnica wciąż oblepia jej uda i musi ją odrywać. Drży coraz mocniej. Zastanawia się, czemu siostra tak długo nie wraca. Dokąd właściwie poszła?

jej rozmówczynie słyszała o Johnie Haskellu, tego Olimpia jest pewna.

Podchodzi do okna i patrzy na strugi deszczu, który rozpadał się na dobre. Odwraca się i rozgląda po kancelarii, gdzie wzdłuż jednej ze ścian stoją wysokie, fornirowane dębem szafy i biblioteczka wypełniona książkami. Jedyne krzesło dla gościa, na którym siedziała, jest surowe i niewygodne i dziewczyna dochodzi do wniosku, że atmosfera tego gabinetu nie wlewa optymizmu w serca petentów.

Olimpia zaczyna szczekać zębami z zimna i musi je mocno zacisnąć. Szuka jakiegoś źródła ciepła i znajduje pod biurkiem grzejnik, ale kiedy podchodzi bliżej, okazuje się, że jest zaledwie letni. To jednak coś, lepszy letni niż zimny. Dziewczyna przytula się do niego. Jest jej zimno, nie dba, że siostra może ją zastać za swoim biurkiem. Nasłuchuje dziecięcych głosów, ale nic nie słyszy. Raz tylko dobiega do jej uszu dźwięk obcasów stukających po kamiennej posadzce. Wraca więc na swoje miejsce, ale gdy okazuje się, że to fałszywy alarm, z powrotem przyciska się do grzejnika. Gdzie są dzieci?, myśli. Czy ich domem jest ten zimny, granitowy budynek? Z pewnością nie. Bo czyż może to być dom dla dzieci? Nie chce nawet o tym myśleć. Nawiedza ją przykry obraz dziecięcych łóżeczek stojących pod ścianami jak łóżka żołnierzy w szpitalu polowym. Zakonnicy nie ma już tak długo, że Olimpia zastanawia się, czy w ogóle jeszcze tu wróci. Może powinna jej poszukać. Wpatruje się w gruby skoroszyt, zahipnotyzowana widokiem postrzępionego grzbietu i plikiem kolorowych kartek różnych formatów. Ze swojej pozycji koło grzejnika udaje się jej odczytać kilka słów, skreślonych piórem: „dziecko, które zostawiam”, czyta. I: „rozłaka

jest straszna". Olimpia podchodzi bliżej, wyciąga rękę i opuszką wskazującego palca otwiera rejestr. Między stronami leży list.

24 maja 1897

*Do sióstr prowadzących sierociniec,
nie wiem, co napisać, poza tym, że jestem matką słodkiej, maleńkiej
dziewczynki, pozostawionej poprzedniej nocy pod drzwiami ochronki w
koszyczku, w którym były trzy dolary. Ból po rozstaniu z najdroższą
córeczką jest nie do opisania, ale musiałam ją tu zostawić, ponieważ nikt
nie zatrudniłby mnie z maleńkim dzieckiem (nic mam ani męża, ani ojca,
którzy by mi pomogli). Proszę, dbajcie o nią, bądźcie dla niej dobre i
powiedzcie jej, że matka ma na imię Francine. Nie mogę teraz podać
Wam swojego nazwiska, zrobię to jednak kiedyś', gdy wrócę po nią, a
modłę się, aby nastąpiło to wkrótce, ponieważ bardzo tego pragnę,
potrafię ciężko pracować i z pewnością uda mi się zaoszczędzić trochę
pieniędzy. Dziecko ma dopiero cztery tygodnie, a ponieważ nie miałam za
co jej ochrzcić, proszę, zróbcie to za mnie. Moja córeczka nazywa się
Marie Christine i mam nadzieję, że zachowacie jej imiona, abym pewnego
dnia mogła ją odnaleźć. A jeśli Bóg mi na to nie pozwoli, mam nadzieję,
że połączymy się w niebie.*

Matka

Olimpia zamyka oczy. 18 97. Ile lat ma teraz Marie Christine?
Siedem, może osiem? Czy matka wróciła po nią, tak jak pragnęła?
Odwraca następną kartkę.

15 grudnia 1899

Matka Przełożona, siostra M. Marguerite, to dziecko jest owocem gwałtu na pewnej młodej kobiecie, która poprosiła mnie o opiekę. To przyzwoita dziewczyna, ale zbyt biedna, aby utrzymać synka, tym bardziej że ma już jedno, którego ojcem jest nieznany mężczyzna. Uczestniczyłem w przekazaniu niemowlęcia do sierocińca i stwierdzam, że było w dobrym zdrowiu, chociaż jego matka powiedziała mi potem, że chłopczyk miał przez kilka dni kłopoty z oddychaniem. Dziecko nie jest ochrzczone. Byłoby lepiej, gdyby siostry oddały go na wychowanie jakiejś rodzinie, jeśli nadarzy się ku temu okazja, ponieważ szczerze wątpię, aby ta młoda panna kiedykolwiek po nie wróciła. Wydarzenie, w wyniku którego urodziła to dziecko, jest dla niej źródłem wielkiego cierpienia, musiała się też w wyniku tego wyprowadzić od matki i ojczyma; mam nadzieję, że siostry zrozumieją, co chcę powiedzieć.

Z szacunkiem Dr R. Martin

Twarz Olimpii płonie, na czole zbierają się krople potu. Odwraca kolejną stronę, gdzie znajduje czysty papier firmowy, jedynie z nagłówkiem. Widnieje tam imię matki Marguerite i Olimpia domyśla się, że to musi być ta drobna kobieta z czarnymi oczami, na którą wciąż czeka. Z lewej strony papieru listowego pod nagłówkiem wymieniony jest skład zarządu sierocińca, a wśród nazwisk figuruje też Rufus Philbrick. Oczywiście. Olimpia odwraca jeszcze jedną kartkę i wyjmuje list napisany na skrawku brązowego papieru pakowego.

4 lutego 1901

*Drogie siostry,
jesteście takie dobre i wiem, że pokochacie mojego maleńkiego Charlesa.
W swoim miłosierdziu, błagam, przebaczcie matce, która urodziła go bez
ślubu i ma złamane serce. Proszę także, jeśli mi wolno, abyście umieściły
go w katolickiej rodzinie, chciałabym bowiem, aby poznał Kościół i mógł
trafić do nieba. Wybaczcie, że się nie podpisuję.*

Olimpia siada z powrotem na krzesło i wpatruje się w rejestr. Czy wszystkie listy w kartotece są tak rozpaczliwe? Zakrywa twarz dłońmi. Porzuciła swoje dziecko bez listu i bez jednego dolara, czy ma coś na swoje usprawiedliwienie? Nie. Nie była uboga. Nie była nawet ofiarą gwałtu. A dziecko, bez względu na okoliczności, zostało poczęte w miłości. Taka jest prawda. Jak mogła tak łatwo pogodzić się ze stratą synka?

Prostuje się, słysząc skrzypienie otwieranych drzwi. Matka Marguerite przechodzi obok niej i siada przy biurku, jakby nic się nie stało. Nie wyjaśnia Olimpii, czemu tak długo jej nie było, ale nie patrzy już na nią tak surowo jak przedtem. Rzeczywiście, jest nastawiona dużo łaskawiej.

- Przeziębisz się - zauważa. Olimpia milczy.

- Chcesz, żebym przyniosła ci coś do przykrycia? A może herbaty?

Olimpia kręci głową.

- Otrzymałam pozwolenie, aby podać ci imię dziecka. Dziewczyna składa ręce jak do modlitwy i opiera podbródek na koniuszkach palców.

- Nazywa się Pierre - mówi zakonnica.

Olimpia wstrzymuje z wrażenia oddech i powtarza w myślach: nazywa się Pierre!

- Niestety, mam ci także do przekazania niezbyt dobre wieści - dodaje jej rozmówczyni.

Jest zatroskana i Olimpia czuje mróz na plecach.

- Chłopiec został umieszczony poza sierocińcem.

- Co to znaczy? - pyta Olimpia.

- Chłopiec ma kochających przybranych rodziców - wyjaśnia zakonnica.

- Nie - buntuje się dziewczyna. - To niemożliwe!

- Obawiam się, dziecko, że tak jest.

- Nie - powtarza Olimpia jeszcze bardziej stanowczo. Kładzie dłonie na biurku. - Z pewnością jest jakiś sposób, aby go odzyskać - oświadcza. - Przecież mogę go odebrać? Mimo wszystko to moje dziecko. Moja krew. Żadne prawo nie może mi zabronić odzyskania go.

Nie jest w stanie ukryć desperacji, którą słyszą w jej głosie.

- Ale minęło już sporo czasu - zauważa kobieta łagodnie, lecz z wyraźną nutą stanowczości.

Olimpia czuje, że odpływa z niej cała krew. Zakonnica najwyraźniej też to zauważa.

- Czy ci słabo? - pyta szybko.

- Gdzie on jest? - pyta Olimpia, w ustach ma sucho. Tamta ściąga wargi i kręci głową.

- Nie mogę ci tego powiedzieć - mówi. - Nasze założenie...

- Musi mi matka powiedzieć - przerywa jej dziewczyna. - Proszę, muszę wiedzieć, gdzie on jest.

- Nie wolno mi - powtarza zakonnica. - Mogę cię jednak zapewnić, że ma kochającą matkę i ojca. Znam łych ludzi i wiem, że twój syn otrzyma dobrą opiekę.

- Czy mieszkają tutaj, w Ely Falls?

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie. Przykro mi, ale sytuacja jest dość typowa. A jeśli spojrzymy na ni. | z punktu widzenia chłopca, czyż nie lepiej dla niego, że był przez ten cały czas z kochającymi opiekunami w ciepłym domu z dobrym jedzeniem i czystym łóżkiem, za miast mieszkać z niezamężną matką, która się go wstydzi i może jest zbyt młoda, aby zaopiekować się dzieckiem?

- Nie wstydziłam się niczego - oponuje dziewczyna. Jej rozmówczyni poprawia się na krześle.

- Ależ ty jesteś impertynencka - oznajmia zimno. -Przychodzisz tu, aby prosić mnie o pomoc, którą ci ofiarowuję, a ty śmiesz mówić mnie, matce przełożonej katolickiego klasztoru, że nie popełniłaś grzechu? Nie masz/ sumienia, dziewczyno?

- Mam sumienie - odpowiada spokojnie Olimpia. -Żałuję, że wyrządziłam krzywdę innej kobiecie i jej dzieciom. Ale nie żałuję, że kochałam i byłam kochana. I nic sędzę, że jestem za młoda do opieki nad dzieckiem. Zatrzaszczyłabym się o mojego syna wystarczająco dobrze po porodzie.

-Ach tak, ale nie zrobiłaś tego, prawda? - Matka przełożona uśmiecha się nieprzyjemnie. - Przekonasz się, że prawo, podobnie jak Kościół, zdecydowanie się sprzeciwi, abyś przejęła opiekę nad dzieckiem. Kobieta bez ślubu, niemoralna w oczach społeczeństwa i grzesznica w oczach Boga, to zrozumiała, że jesteś najmniej odpowiedzialną osobą, aby wychowywać syna.

- To nieprawda - żarliwie przekonuje ją Olimpia. -Uważa siostra, że ojciec, który zgwałcił swoją córkę, bardziej zasługuje na to, aby być rodzicem, niż silna młoda kobieta, której zdarzyło się urodzić nieślubne dziecko?

- Nikomu nie „zdarza się” urodzić dziecka - replikuje zakonnica. - W to są zaangażowane wola i chęć. Ponie-

waż to pewne, że nie zostałaś uwiedziona ani zgwałcona, wydaje się, że całkiem chętnie zgrzeszyłaś przeciwko naturze, Bogu i innej kobiecie oraz jej rodzinie, niech Bóg okaże miłosierdzie twojej duszy. Olimpia prostuje się gwałtownie.

- Miłość nie jest sprzeciwianiem się naturze, nigdy w to nie uwierzę. Jej rozmówczyni wstaje.

- Jeśli nie przyznasz się do grzechu i nie będziesz błagać o przebaczenie, nie zostaniesz przyjęta do społeczności ludzi prawych. Olimpia też wstaje.

- Będę błagać - mówi. - Może matka być pewna, że będę błagać. - Bierze torebkę, w której są pieniądze, aby wykupić dziecko. Może powinna była to zaproponować od razu, zastanawia się, na początku dać pieniądze. Teraz jest już za późno. - Zapewniam matkę, że będę błagać i prosić, a także walczyć i użyję wszystkich dostępnych mi sposobów - oświadcza wyraźnie - i pewnego dnia poznam nowe nazwisko swojego syna i odzyskam go.

Słyszając te słowa, matka przełożona robi znak krzyża, a Olimpia odbiera ten gest jako nieprzychylny, a nawet przerażający.

16 sierpnia 1903

*Drogi Panie Philbrick,
powiedział Pan ostatnio, że mogę napisać, jeśli będę potrzebowała pomocy. Nie zwracałabym się do Pana, gdyby sytuacja nie była naprawdę poważna, i mam nadzieję, że pozwoli mi Pan przyjść do siebie i wysłucha tego, co chcę powiedzieć.*

Jeśli to możliwe, chciałabym odwiedzić Pana w przyszły wtorek o jedenastej rano. Proszę nie informować mo-

*jego ojca o tym liście, jak również o naszym spotkaniu.
Mam dwadzieścia lat i mogę z Panem rozmawiać, jeśli nu pan pozwoli,
jak osoba dorosła. Oczekuję na odpowiedź.*

Z poważaniem,

Olimpia Biddeford

17 sierpnia 1903

Droga Panno Biddeford,

*Oczywiście, pomogę Pani, w czym tylko będę mógł. Czekam we wtorek,
21 sierpnia o jedenastej. Przypuszczam, że zachowała Pani moją
wizytówkę z adresem.*

Mam nadzieję, że czuje się Pani dobrze.

Oddany R. Philbrick

Wtorkowy poranek zapowiada się pięknie, co Olimpia bierze za dobrą wróżbę przed czekającym ją spotkaniem. Denerwuje się na myśl, że musi przedstawić swój problem Philbrickowi, lecz chociaż uważa podjętą decyzję za trudną, pociesza się niewysłowionym szczęściem, jakie ją spotka, jeśli poszukiwania się powiodą.

Wyobraża sobie chłopczyka o imieniu Peter, którego trzyma na kolanach, siedząc na werandzie, i rozmawia z nim o oceanie, falach i o tym, że słońce zawsze wynurza się z wody na wschodzie. O przesileniu letnim, tenisie i dziwnie wyglądających stworzeniach, które nazywają się homarami. Przedstawi mu Ezrę i zabierze malca ze sobą do sklepu. Będą razem spacerować po plaży i zbierać muszelki, on będzie wkładał je do wiaderka.

Olimpia tego dnia ma na sobie jasnobrzoskwiniową bluzkę, którą długo przedtem krochmaliła i prasowała,

aby udowodnić, że zna się na pracach domowych i świetnie sobie z nimi radzi. Jest tak zdenerwowana, że źle wyliczyła czas potrzebny na toaletę, i czeka gotowa niemal na godzinę przed umówioną porą przyjazdu Ezry. Ćwiczy przygotowaną wcześniej przemowę, usiłując zachować delikatną równowagę między rozsądkiem a uczuciem. Pomoc Rufusa Philbricka jest kluczem do powodzenia w tej sprawie.

Woźnica przyjeżdża po nią o umówionej godzinie. Olimpia jest tak przejęta czekającym ją spotkaniem, że nie może rozmawiać. Ezra jest z natury bardzo taktowny, więc całą drogę odbywają w milczeniu. Po przyjeździe do Rye Olimpia wręcza mu wizytówkę z adresem Philbricka. W pierwszej chwili wydaje się zaskoczony miejscem, gdzie ma jechać, chociaż wie, gdzie to jest. Po kilku skrętach w coraz węższe ulice dojeżdżają w końcu do takiej, gdzie bryczka z trudem się mieści, i zatrzymują się przed niewielkim domkiem.

- Czy to tu? - pyta z niedowierzaniem Olimpia.

- Tak, panienko.

- Nie sędzę, aby to był ten adres.

Przygląda się domkowi zarośniętemu kapryfolium, skąd bardzo blisko do morza. Dach pokryty jest zwiertzałym gontem, we frontowej ścianie znajdują się dwa okna z drobnymi szybkami, a od tyłu spora, przeszklona weranda. Na pierwszym piętrze, jeśli można to nazwać piętrem, a nie poddaszem, wąskie okna biegną przez całą długość ściany. Domek jest uroczy, ale przypomina bardziej chatkę ogrodnika niż siedzibę człowieka interesów. To z pewnością jakaś pomyłka.

Niemal w tej samej chwili dostrzega jednak ubranego w jasnoniebieski garnitur Philbricka, który schodzi z nasłonecznionej werandy, aby się przywitać; Olimpii nie

pozostaje nic innego, jak wysiąść z bryczki i wyjść mu na przeciw.

- Panie Philbrick.

- Panno Biddeford.

Umówili się z Ezrą, że na nią poczeka. Olimpia ma cha mu ręką i bierze pod ramię Philbricka, który prowa dzi ją do domu.

-Jesteś bardzo miła i nic nie mówisz, ale zaskoczyło cię, że tak mieszkam - rozbijając szczerze odzywa się gospodarz.

- Tak, chyba tak - przyznaje Olimpia, uśmiechając się lekko. -

Wyobrażałam sobie...

- Rzeczywiście. Jestem człowiekiem, który niewiele potrzebuje do życia poza najpotrzebniejszymi uciechami, i uznałem, że wolę mieszkać w małym domu niż snuć się po pustej rezydencji, stanowczo za dużej dla samotnego mężczyzny. Poza tym nie lubię ciągłego zagrożenia mojej prywatności, co nieodłącznie wiąże się z zatrudnianiem służby. Tak więc kilka lat temu postanowiłem porzucić zbytek na korzyść spokoju i muszę przyznać, że nigdy nie żałowałem tej decyzji. Ponieważ jednak moje umiejętności prowadzenia domu są minimalne, jeśli w ogóle istnieją, mam gospodynię, która przychodzi dwa razy w tygodniu i gotuje. Ale ja tu gadu-gadu, a ty z pewnością chciałybyś coś wypić i przekąsić.

- Nie, nie - protestuje Olimpia, podając mu parasolkę. - Proszę nie robić sobie kłopotu.

- To nie jest żaden kłopot. Rzadko miewam gości, więc pani Marsh przygotowała ciasto z jagodami. Chodźmy do pokoju zjeść kanapki, a na deser będzie ciasto. Chyba że wolisz posiedzieć tutaj?

Olimpia rozgląda się, stojąc na zalanej słońcem werandzie.

Pomalowane na biało deski sięgają do górnej

krawędzi oparcia bujanych foteli, wyżej zaś jaśniejają wielkie okna. Niektóre z nich są otwarte pod sufitem, przez siatkę wpada więc do środka świeży powiew morskiej bryzy. Wokół werandy ktoś zasadził róże i floksy, z jednej strony widać morze. Przez otwarte drzwi domu dziewczyna dostrzega fragment kuchni umeblowanej sprzętami z jasnego drewna.

- Tutaj będzie przyjemnie - mówi.

Philbrick prosi ją, aby usiadła na jednym z dwóch wiklinowych, bujanych foteli, które przysunął do okrągłego stolika, i prawie nie utykając, znika w kuchni. Z jego nogą musi być lepiej, zauważa Olimpia. Wstaje i idzie za nim. Pyta, czy mogłaby umyć ręce.

- Oczywiście, moja kochana. Idź tędy prosto, a na końcu korytarza znajdziesz łazienkę.

Dziewczyna udaje się we wskazanym kierunku, podziwiając po drodze niewielki salonik, który wygląda bardziej jak gabinet niż pokój dzienny. Na dużym orzechowym biurku z wieloma szufladkami widać z pół tuzina różnej wielkości fotografii w srebrnych ramkach, przedstawiających zapewne członków rodziny, wśród nich kilku przystojnych młodych mężczyzn, którzy są chyba młodszymi braćmi Philbricka. W kącie pokoju stoi wielki fortepian, zbyt duży jak na ten skromny pokój, a na nim bukiet słodko pachnących floksów w wazonie z różowego szkła. Obok fortepianu znajduje się niewielka, pokryta jedwabiem sofa i ozdobne krzesło kapitańskie, bardzo podobne do tego w gabinecie jej ojca. Podłogę przykrywa perski dywan, wręcz zachodzący na ściany. Pokój wypełniają meble, które zapewne stanowiły wcześniej wyposażenie poprzedniego, dużego domu - zbyt ukochane, aby się ich pozbyć. Na ścianach korytarza pokrytych gustowną tapetą w zielono-czarne paski wisi kilka dobrych obrazów olej-

nych. Olimpia rozpoznaje jeden autorstwa Childe Hassa ma, a drugi Claude'a Legny'ego. Na końcu korytarza znajdują się dwa pomieszczenia i Olimpia domyśla się, że łazienka jest po prawej stronie. Od razu jednak spostrze ga swoją pomyłkę, gdy okazuje się, że wchodzi do sypiał ni Philbricka. Umeblowanie jest typowo męskie: nieza słane podwójne łóżko, komoda z wiśniowego drewna, niemal pusta, ze szczotkami do włosów i rozpylaczem z wodą, jeszcze jedno biurko z jasnej sosny, na którym stoją miska i dzbanek. Dziewczyna odwraca się, aby wyjść, ale coś dziwnego w tym pokoju sprawia, że zwleka sekundę dłużej niż powinna i właśnie wtedy dostrzega drugi zestaw ostrych szczotek do włosów, dwa identyczne jedwabne szlafroki, wiszące na ścianie obok biurka, dwie piżamy w paski, złożone w kostkę na poduszkach podwójnego łóżka. Na nocnych stolikach stoją dwie identyczne witrażowe lampki, a obok nich dwie duże szklane popielniczki z niedopałkami cygar. Podchodzi bliżej do jednego z nocnych stolików i bierze do ręki zdjęcie w intarsjowanej ramce. Jest na nim młody mężczyzna o pięknej twarzy, sfotografowany z profilu, z burzą jasnych włosów oświetlonych od tyłu. Twarz ma gładką, bez zmarszczek i wysoko sklepione kości policzkowe. Olimpia jest zdziwiona, lecz nie wstrząśnięta, nie tak, jak mogłaby być jeszcze pewien czas temu. Nie jest też zakłopotana. Chociaż jednak nie wie tego na pewno i nie do końca rozumie sytuację, którą właśnie zobaczyła, postrzega Philbricka inaczej niż zaledwie chwilę temu. I myśląc o zdjęciach młodych mężczyzn, które stoją w srebrnych ramkach na orzechowym biurku (zapewne nie są to wcale bracia pana domu), przypomina sobie jego wypowiedź o miłości - słowa, które już wówczas wydały się jej dość dziwne, a które teraz objawiły jej swój nowy

sens. „Wydaje mi się, że rozumiem trudną miłość i jej konsekwencje” - powiedział jej wtedy.

Portrety, myśli, odstawiając na miejsce ozdobną ramkę. Wszyscy jesteśmy niedokończonymi portretami.

Gdy wraca na słoneczną werandę, gospodarz wnosi właśnie tacę z kanapkami i oszroniony dzbanek mrożonej herbaty. Widok Philbricka w błękitnym garniturze wśród tego skromnego otoczenia - a później obraz tego człowieka w jedwabnym szlafroku, rozmawiającego z młodym mężczyzną, który stoi przy biurku i zawiązuje krawat - wzrusza dziewczynę i przez chwilę Olimpia zapomina o dobrych manierach i nie spuszcza wzroku z gospodarza. Ale już po chwili znowu jest sobą, ożywia ją zapach jedzenia, a jowialny pan Philbrick, wnoszący tacę z kanapkami wygląda tak zabawnie, że Olimpia ma ochotę się uśmiechnąć, niezależnie od wagi misji, z jaką tu przybyła.

Otwiera usta, aby coś powiedzieć, lecz mężczyzna podnosi rękę.

- Wiem, że przyszłaś tu porozmawiać o czymś ważnym - mówi - ale uważam, że nie należy poruszać trudnych tematów na pusty żołądek, ponieważ prowadzi to jedynie do zawrotów głowy i słabości serca.

„Z tak logicznym wywodem nie sposób się nie zgodzić; poza tym Olimpia czuje się nagle głodna jak wilk. Później zapamięta ten skromny lunch jako jeden z najwspanialszych posiłków w jej życiu; prostota poczęstunku i okoliczności, w jakich się odbył, budzą w niej apetyt, który przez całe tygodnie był uśpiony.

Przez pewien czas rozmawiają o paście rybnej, błękitnej porcelanie, fatalnej modzie obowiązującej w kostiumach kąpielowych i nowym łuku w mieście.

- Widzę, że masz zdrowy apetyt - mówi z aprobatą

Philbrick, kiedy z talerzy znikają prawie wszystkie kanapki. - Teraz musisz spróbować wspaniałego ciasta z jagodami pani March.

Przynosi z kuchni dwa białe talerze ciasta ze śladami ciemnego soku.

- To lokalna odmiana jagód - wyjaśnia, podając dziewczynie deserowy talerzyk i widelczyk. - Krzyżówka malin, czarnej borówki i żurawin.

Olimpia próbuje ciasta i szkarłatna kropla soku spada z widelca na jej brzoskwińową bluzkę. Philbrick nachyla się, aby wytrzeć plamę serwetką. Przez chwilę jedzą w milczeniu, a jedynym dźwiękiem, jaki słyszą, jest natarczywe brzęczenie pszczoł za oknami werandy.

- Wspaniałe - Olimpia chwali ciasto. - Słodkie, a jednocześnie cierpkie. Nie widziałam, że coś takiego jest możliwe.

- Dobrze ukrywany sekret - chwali się pan domu. Olimpia odstawia szklanę.

- Panie Philbrick - zaczyna. - Wiem, że jest pan bardzo zajęтым człowiekiem i nie chciałabym zabierać zbyt wiele czasu. Proszę mi pozwolić wyjaśnić, z czym przyjechałam.

- Proszę. Co to za poważna sprawa?

- Jak pan wie, w kwietniu tysiąc dziewięćsetnego roku urodziłam synka - zaczyna śmiało, a krew pulsuje jej w uszach. Nigdy przedtem nie wypowiedziała głośno tego zdania do nikogo. Philbrick, który pochylił się nad stołem, aby odstawić szklanę, wygodnie rozsiada się na krześle. - Niemowlę zostało mi natychmiast po porodzie zabrane - mówi dalej Olimpia. - Ojciec poczynił stosowne przygotowania. Nie wiem, komu oddał dziecko. Wiem tylko, że sam nie opuszczał domu tego dnia ani następnego.

- Rozumiem.

- Kiedy przyszedł pan do mnie, nie wiedziałam, że dziecko zostało oddane do Ely Falls - ciągnie Olimpia.

Wcześniej postanowiła sobie, że będzie z Philbrickiem szczerą, gdyż ten człowiek potrafi wyczuć fałsz. A jeśli odkryłby, że nie jest z nim szczerą, jej prośba nie miałaby szans.

- To był dla mnie szok, gdy dowiedziałam się, że moje dziecko oddano do sierocińca Świętego Andrzeja. Wkrótce po pana odwiedzinach poszłam do przytułku, aby dowiedzieć się czegoś o chłopcu.

- Naprawdę to zrobiłaś? - pyta Philbrick, przyglądając się jej badawczo.

- Rozmawiałam tam z pewną zakonnice.

- Pewnie z matką Marguerite Pelletier. Drobna, ale groźnie wygląda?

- Bardzo groźnie.

- Przeżyłaś to?

- Z trudem. - I co dalej?

Olimpia bierze głęboki wdech.

- Powiedziała mi tylko, że mój syn ma na imię Pierre. I że przebywa poza sierocińcem.

- Znałaś wcześniej imię dziecka?

- JSfie, nikt mi nic nie mówił. Ojciec nie rozmawia ze mną na ten temat.

- No tak. - Rufus Philbrick wyciera kąci warg serwetką. - Chcesz się więc dowiedzieć, gdzie jest teraz twój syn? - pyta.

- Tak, tak, chcę. Chcę też wiedzieć, jakie nosi teraz nazwisko. Gdzie jest, z kim mieszka. Chcę wiedzieć, czy jest mu dobrze.

- I?

Olimpia składa dłonie na kolanach.

- Mogłabym skłamać - oświadcza - że chcę się tylko upewnić, czy chłopcu jest dobrze, ale pragnę być z panem szczerą, ponieważ proszę o pomoc. Mam nadzieję, że któregoś dnia mój syn zamieszka ze mną.

Philbrick zdaje się ogarniać wzrokiem całą postać dziewczyny, jakby chciał ocenić jej postawę moralną. Drapie się po brodzie.

- To bardzo poważny zamiar.

- Tak, wiem - zgadza się Olimpia. - Jednak nie mogę ukrywać przed panem, że chcę spróbować go odzyskać. Zabrano go, a nawet można powiedzieć, że mi go ukradziono, i nie mogę się pogodzić z tą stratą. Przez długi czas żyłam z takim ciężarem. Mam wrażenie, że zapłaciłam za to sporą cenę.

Philbrick milczy. Poprawia krawat i przygląda się swojemu okazałemu brzuchowi, jakby chciał się uspokoić. Następnie pochyla się w stronę Olimpii, podkreślając wagę wypowiedzianych słów.

- Olimpio Biddeford, zawsze uważałem cię za odpowiedzialną i inteligentną młodą damę. Muszę przyznać, że byłem zaszokowany i zasmucony wydarzeniami, do jakich doszło cztery lata temu.

Wydawało mi się to tak niepodobne do ciebie, że nie wiedziałem, co o tym myśleć. Współczułem twojemu ojcu, oczywiście, który był moim przyjacielem, martwiłem się też o panią Haskell i jej dzieci.

Przykro mi, że o tym wspominam, ale musiałem ci to powiedzieć.

-Tak.

- Prawdę powiedziawszy, słysząc o dziecku, nie byłem tak zaskoczony, jak mogłoby się zdawać. To smutne, ale trzeba przyznać, że takie sytuacje zdarzają się dość często. Dlatego istnieją sierocińce.

- Tak.

- Olimpio, muszę cię o coś zapytać. Czy jesteś przy-

gotowana, aby zabrać to dziecko, bardzo malutkie, z jego domu? Od jedynej matki, jaką zna?

Olimpia myślała o tym i przygotowała sobie odpowiedź.

- Ona nie jest jego matką - oświadcza szybko. Philbrick kręci głową.

- Skrzywdziłaś już jedną rodzinę. Wybacz, że mówię wprost, ale to prawda. Jesteś pewna, że chcesz to zrobić jeszcze raz? Chyba nie sądzisz, że ta, która opiekowała się twoim dzieckiem, tak łatwo je odda?

- To nie jej dziecko - powtarza dziewczyna.

- Bardzo wątpię, aby ta kobieta też tak myślała.

- A co, jeśli nie dba o mojego synka w odpowiedni sposób? - pyta Olimpia. - Jeśli ma też własne dzieci i nie może mu poświęcić tyle czasu, ile trzeba? A jeśli jest Francuzką? Sądząc po imieniu chłopca, ta kobieta z pewnością pochodzi z Francji. Czy mam pozwolić, aby moje dziecko było wychowywane w innej kulturze?

- A jeśli matka jest kochającą, troskliwą kobietą? - pyta Philbrick. - Czy pozycja społeczna, majątek lub kultura znaczą coś w takiej sytuacji? Nie zastanawiałaś się, co będzie najlepsze dla dziecka?

- Oczywiście - wybucha Olimpia. - Zastanawiałam się. I wiem, że będę najlepszą matką dla swojego dziecka. Mam pewne oszczędności. I żadnych obowiązków. Wiem, że dobrze zaopiekuję się chłopcem. Będę dobrą matką. Wierzę w to!

Olimpia słyszy w swoim głosie nutkę hysterii i stara się nad nią zapanować.

- Panie Philbrick, nie mogę tego lepiej udowodnić, ale argumenty są wypisane w moim sercu. To decyzja, która powinna być rozstrzygnięta uczuciem, a nie rozumem.

Mężczyzna wstaje i podchodzi do okna.

- Czy mam już zawsze cierpieć, nie znając nawet miej sca pobytu mojego syna? - pyta Olimpia. - Nie może nu pan przynajmniej powiedzieć, czy żyje w godziwych wa runkach, i jaka jest jego sytuacja? Czy do końca życia nic dowiem się tego?

Jej rozmówca się odwraca.

-Pozwól mi się nad tym zastanowić, Olimpio. To trudna sprawa.

- Wiem.

- Chyba uda mi się odpowiedzieć przynajmniej na jedno twoje pytanie - oznajmia Philbrick. - Nie jestem pewien, jak chłopiec nazywa się teraz, ale wiem, że kiedyś miał na nazwisko Haskell.

- Mój ojciec dał mu na nazwisko Haskell? - dziwi się Olimpia.

- To John przyniósł chłopca do sierocińca - wyjaśnia Philbrick.

Olimpia odwraca głowę i patrzy przez okno na stary krzew bzu, teraz pozbawiony kwiatów. Philbrick pochyla się nad dziewczyną, ale ona tylko macha ręką.

- Nie wiedziałam - odpowiada. - Myślałam, że to ojciec tak wszystko urządził, kiedy usłyszał o sierocińcu i uznał, że jest wystarczająco daleko od Bostonu.

- I niewątpliwie tak było. Ale razem z Johnem. Olimpia kręci głową. Nie może uwierzyć, że jej ojciec kontaktował się z Haskellem w tym koszmarnym okresie przed jej porodem. Nie mogła uwierzyć, że Haskell oddał do przytułku własne dziecko. Wyjmując jednak z torebki chusteczkę do nosa, przypomina sobie sprzeczkę, jaką mieli kiedyś w bryczce, w drodze powrotnej od pani Rivard. Przypomina sobie, jak tłumaczył wtedy, że w sierocińcu tym dzieciom jest lepiej niż z niezameżną matką, nieprzygotowaną do stawienia czoła losowi.

- Od tamtej pory nigdy już nie słyszałaś o Johnie? -pyta mężczyzna cicho.

-Nie.

Philbrick przełyka ślinę.

- Sądzę, że dziecko dobrze się miewa - mówi. - Chociaż interesowałem się jego sytuacją dość dawno, muszę powiedzieć ze wstydem, że było to kilka lat temu. Nie wiedziałem, że już nie mieszka w sierocińcu.

-Jak mój ojciec mógł porozumieć się z Haskellem, aby zabrać mi dziecko! - wybuch nagle Olimpia. W jednej chwili szok przemienia się w gniew.

- Moja kochana - tłumaczy Philbrick. - Wiesz przecież, że zrobili to dla twojego dobra. Jestem pewien, że chcieli jak najlepiej.

- Nie mogli wiedzieć, co jest dla mnie najlepsze -oponuje gorąco Olimpia i wstaje z krzesła. - Muszę już się pożegnać - dodaje, przypominając sobie o dobrych manierach. - Panie Philbrick, bardzo dziękuję za wspaniały poczęstunek. Mówię to szczerze. Jestem zachwycona pańskim domem.

- Naprawdę?

Olimpia przygląda się przez chwilę Philbrickowi, zastanawiając się, jak wpływa na niego mieszkanie w tych skromnych warunkach.

Szuka też symptomów jego sekretnego życia: jej rozmówca jednak, w swoim błękitnym garniturze, wciąż pozostaje miłym, choć trochę nieokrzesanym człowiekiem w średnim wieku.

- Nie napisze pan do mojego ojca? - pyta.

- Nie - zapewnia ją Philbrick. - Mogę ci to przyrzec. To sprawa między tobą i mną.

Wychodzą na trawnik przed domem. Na drodze czeka Ezra w bryczce.

- Postaram się ustalić, gdzie mieszka mały - obiecuje

Philbrick - i sam sprawdzę, czy jest mu dobrze, zanim porozmawiamy o tej sprawie ponownie. Nie chciałbym decydować o twoich sprawach, ale sama postawiłaś mnie w takiej sytuacji.

- Nic innego nie mogłam wymyślić.

- Napiszę do ciebie - mówi na pożegnanie Philbrick. Nachyla się i całuje Olimpię w policzek, co zaskakuje

ją równie mocno, jak rewelacje, których ostatnio musiała wysłuchać.

Tak jak codziennie przez jedenaście popołudni od dnia wizyty w domu Rufusa Philbricka Olimpia znowu siedzi na werandzie, patrząc na morze, a zajęcie to pochłania niemal cały jej wolny czas. Czasami przynosi sobie książkę lub jakieś ubranie do pocerowania, ale są to jedynie akcesoria, jak szybko zrozumiała, towarzyszące właściwemu zajęciu, które w zasadzie nie jest żadnym zajęciem, lecz raczej koniecznością: musi być cierpliwa, siedzieć, patrzeć na wodę i czekać na list.

Nagłym i niecierpliwym gestem Olimpia odkłada książkę, którą udawała, że czyta, nudny traktat o włoskim malarstwie pejzażowym. Wszystkie jej myśli krążą wokół tego samego tematu, nie nastąpił tu żaden postęp. Sama skazała się na tak porażającą beczynność, okropny stan oczekiwania. Siedem, osiem, a nawet czasami dziesięć razy dziennie podchodzi do kuchennych drzwi, gdzie znajduje się skrzynka na listy, i wpatruje się w puste wnętrze, wyczekując widoku koperty na pomalowanych deseczkach. Choć korespondencja dostarczana jest czasami nieregularnie, dziewczyna dość dobrze poznała zwyczaje listonosza i często chodzi tam, gdzie alejka na tyłach domu styka się z drogą. Rozmawia nawet z lekko zaskoczonym mężczyzną, z nadzieją oczekując na kopertę z jej nazwiskiem.

Wstaje i zaczyna spacerować po werandzie. Dlaczego Rufus Philbrick tak długo nie odpowiada? Czy to możliwe, że postanowił w ogóle nie wszczynać poszukiwań." Ale czy w takim razie nie powiadomiłby jej o tym listów nie? Zawsze sprawiał wrażenie człowieka, który dotrzyma danego słowa, i jeśli powiedział, że spróbuje jej po móc, z pewnością to zrobi.

Cierpliwości, upomina sama siebie. Jest jednak zmęczona byciem cierpliwą, znużona biernością.

Bierze do ręki książkę, ale natychmiast ją odkłada. Z pewnością musi być coś ciekawszego do czytania niż ta niemal hermetyczna proza nudnego włoskiego krytyka. Idzie więc przez dom do gabinetu ojca, gdzie zostało kilka książek, zwilgotniałych i żałośnie odkształconych przez nadmorski klimat. Odkąd Olimpia zamieszkała w Fortune's Rocks, rzadko zagląda do tego pokoju, obecność ojca daje się wyczuć w ścianach i podłodze tego niewielkiego wnętrza, jakby wciąż tam był i siedział na kapitańskim krześle, patrząc na nią karcąco.

Wchodzi do gabinetu bokiem (unikając choć na moment widoku krzesła) i zaczyna szukać na niemal pustych półkach książki, którą przynajmniej mogłaby przekartkować i której fabuła zdołałaby ją wciągnąć. Jednak w miarę przeglądania tytułów, takich jak *Biologia morza Clappa*, *Krótką historia plemienia Zulu* czy *Żywoty sławnych cesarzy*, ta nadzieja słabnie. Rozczarowana, odwraca się, zamierzając wrócić na werandę, i wówczas jej spojrzenie pada na ciemny tom ze złożonymi literami i zakładką z tasiemki, który leży na podłodze obok krzesła, tak jakby ojciec go tu rzucił. A kiedy Olimpia odczytuje tytuł, dziwi się, że książka w ogóle przetrwała, że nie wyrzucono jej lub nie spalono w kominku, ponieważ jest to ten sam tytuł, dzięki któremu poznała kiedyś sposób myślenia Johna Haskella.

Olimpia podnosi książkę i siada na jedynym krześle w pokoju, zapominając na moment, kto wcześniej go używał. Otwiera ją tam, gdzie została założona, i w tym samym momencie pomiędzy stronic wypada jej na kolana plik listów. Dziewczyna dobrze zna to pióro i męski charakter pisma, które nie należy do jej ojca, i widok pisma Haskella wciska ją głębiej w krzesło. Mija pewien czas, zanim przeczyta listy. Oczywiście, domyśla się, rozkładając pierwszą kartkę; naturalnie, korespondował z ojcem tamtego lata.

17 czerwca 1899

Mój drogi Biddeford,

dziękuję za serdeczne zaproszenie, aby spędzić weekend z Twoją rodziną w Fortune's Rocks dwudziestego czerwca. Nie mylisz się, uważając, że Catherine i dzieci

byłyby niezbyt zadowolone, mieszkając w hotelu podczas weekendowych przyjazdów, niemniej jednak nie chcielibyśmy...

24 czerwca 1899

Drogi Biddeford,

jak mógłbym opisać przyjemność, jaką sprawiła nam wizyta u Twojej rodziny w zeszły weekend? Spędziliśmy ten czas wspaniale i jakże trudno nam było opuszczać Was wszystkich! Catherine jest w znakomitym humorze, co wynika z tego, że znalazła czarujące towarzystwo i przyjaciółkę w osobie Rosamundy. Ja zaś, jak zawsze, cenię sobie oczywiście rozmowy z Tobą i Philbrickiem. Nasze dzieci są zachwycone Waszą wspaniałą córką, Olimpią...

2 lipca 1899

Mój szanowny Biddeford,

nie, naprawdę muszę przyznać, że nie rozumiem Twoich argumentów w naszej dyskusji o Zachariahu Cote ja ko o poecie i nie powinienem zabierać głosu w sprawie opublikowania jego krótkich utworów w Twoim kwartale ni ku, który tak podziwiam. W tych wierszach brakuje mu muskułu, który powściągnąłby strofy, naznaczone barokową opisoivoscia i kobiecymi westchnieniami. Ale, oczy wiście, to Ty jesteś wydawcą tego wspaniałego pisma, a ja jedynie człowiekiem nauki...

11 lipca 1899

Drogi Biddeford,

dziękuję za miłe zaproszenie na wspólny obiad w Rye Club czternastego lipca, ale tego dnia oczekuję wizyty wybitnego lekarza, Dwighta Willistona z Baltimore, będę zatem zajęty...

18 lipca 1899

Moi drodzy Rosamundo i Phillipie,

John i ja z przyjemnością przyjmujemy Wasze serdeczne zaproszenie na wieczorną galę dziesiątego sierpnia 1899, aby uczcić szesnaste urodziny waszej córki, Olimpii.

Z góry się cieszę i serdecznie pozdrawiam,

Catherine Haskell

Olimpia gniecie listy w dłoni, a potem, żałując tego impulsu, prostuje je na kolanach. Jakie to niezwykle, że przez całe lato istniała tak silna więź między ojcem a Johnem Haskelllem, człowiekiem, którego ojciec tak bardzo

podziwiał, a ów podziw był szczerze odwzajemniany. Jak podwójnie (nie, potrójnie) zraniony musiał się czuć ojciec - przez córkę, przyjaciela i przez tę nieszczerą korespondencję, nasyconą ironią. Czy ojciec czytał listy na nowo po tym, co wydarzyło się w noc przyjęcia? Nie, dochodzi do wniosku dziewczyna, nie czytał, bo wówczas zniszczyłby je w ataku gniewu.

Książka jest otwarta na stronie przedtytułowej i Olimpia czyta dedykację: „Dla Phillipa Biddeforda w uznaniu jego wspaniałego intelektu, ten skromny dar. Szczerze oddany John Haskell”.

Dziewczyna wkłada listy z powrotem do książki i zamyka ją. Zastanawia się, czy Haskell wciąż pracuje na osiedlu robotniczym? Czy zaprzestał praktyki lekarskiej? Czy zaprzestał także pisania? A może któregoś dnia Olimpia wejdzie do biblioteki, otworzy tam jakieś pismo o literaturze lub polityce i znajdzie jego nazwisko jako autora zamieszczonej publikacji? Patrzy przez otwarte drzwi do jadalni, eleganckiego pokoju z podwójnymi zwierciadłami i kredensami, wnętrza o kształtnych proporcjach i z widokiem na ocean. Patrzy na kryształowy żyrandol bardzo przypominający kobiecy naszyjnik. Dotyka palcami medalionu, który kiedyś podarował jej Haskell i którego nigdy nie zdejmowała - ani podczas pobytu w seminarium, ani podczas odosobnienia w Bostonie, ani podczas trudnych chwil, gdy rodziła swojego (ich) syna.

Zamyka oczy i pozwala, aby opadły ją wspomnienia. Przychodzą zawsze jak fala, obmywają ją i odpływają. Kiedy jest już po wszystkim, Olimpia kładzie książkę na marmurowym stole obok krzesła ojca i wstaje. Oszaleje, jeśli pozostanie w tym domu chociaż minutę dłużej.

Piasek na plaży chrzęści pod stopami. Mężczyźni i ko biety w ciężkich bawełnianych strojach kąpielowych stoją na brzegu, tęsknie patrząc na ocean. Olimpia pamięta, że niemal każdego lata w sierpniu przychodzi taki ty dzień, kiedy woda wydaje się nieruchoma i widać ciemne nitki wodorostów, a powierzchnia jest śliska od meduz. W ciągu tego tygodnia nikt nie kąpie się w morzu z oba wy przed oparzeniami, jakie mogą powstać po kontakcie z tymi galaretowatymi stworami. Niemal wszyscy znają historię nieszczęsnego Tommy'ego Yeatona, komendanta policji z Fortune's Rocks, który pewnego sierpniowego popołudnia poszedł się kąpać i miał pecha, napotkał bowiem ławicę meduz. Biedak zmarł następnego ranka w wyniku gorączki wywołanej oparzeniami. Olimpia pamięta, jak jej ojciec od czasu do czasu opowiadał jej o tym podczas spacerów plażą, bez wątpienia pragnąc przestrzec ją tą pouczającą historią.

Niebawem plaże opustoszeją. Za tydzień będzie już wrzesień i wówczas większość letników wyjedzie z Fortune's Rocks. Olimpia z utęsknieniem czeka na przyjscie jesieni, kiedy na plaży zapanuje cisza, przerywana jedynie krzykiem mew i szumem morza, a domy letniskowe zostaną zamknięte na trzy spusty. Dni będą coraz chłodniejsze, a liście na drzewach zmieniają kolor. Olimpia zgromadzi zapasy przetworów, owoców i warzyw, suszonego dorsza i węgla na opał. Możliwe, że zimą będzie zmuszona przenieść się na parter; tak zapewne zrobi. Wyobraża sobie, jak siedzi sama we frontowym pokoju w zimne, jesienne dni i patrzy przez wysokie okna i na pustą plażę, rozmyślając o pozamykanych domach letniskowych, oczekujących na przyjazd właścicieli, aby przywrócili je do życia; taka wizja wywołuje w niej tak nagły i nieoczekiwany przypływ przygnębienia, że natychmiast przesta-

je o tym myśleć. Ów smutek, ku jej zaskoczeniu, wiąże się z osobą ojca; Olimpia rozumie bowiem lepiej niż kiedykolwiek wcześniej (a może aż do teraz nie dopuszczała do siebie podobnych myśli), jak bardzo musiał być zdruzgotany, widząc, że córka, jego jedyne dziecko, straciła poczucie przyzwoitości, grzebiąc bezpowrotnie wszystkie nadzieje, jakie w niej pokładał. Czyż nie była jego życiowym eksperymentem i dumą? Pamięta wieczór, kiedy jedli kolację z Haskellem i Philbrickiem, gdy ojciec opowiadał o wyjątkowym wykształceniu Olimpji. Dobrze wie, że to prawda; rzeczywiście otrzymała bardzo staranną edukację. I po co to wszystko?

Olimpia kuca na piasku i obejmuje ramionami nogi, opierając czoło na kolanach. Kapelusz zsuwa jej się na tył głowy. Rozmyśla o tych wszystkich godzinach, jakie ojciec spędził na nauce z nią, o lekcjach i dyskusjach, które prowadzili. Co on teraz robi w wolnym czasie?

- Dobrze się pani czuje? - słyszy obok czyjś głos. Podnosi głowę i widzi chłopca, który marszczy brwi

i wydaje się nieco zaskoczony jej dziwną pozycją. Olimpia siada na piasku i opiera się na wyciągniętych do tyłu rękach.

- Tak - mówi, przyglądając mu się. - Już mi lepiej.

Chłopiec stoi grzecznie, ma na sobie granatowy kostium kąpielowy, ręce trzyma splecione na plecach, a jego poza absurdalnie przypomina postawę wojskową. Olimpia widzi jego jasne, kręcone włosy i piegi pod oczami, tak jasnymi, że przypominają wodę w szklance.

- Jest pani smutna - zauważa chłopiec.

- Troszeczkę.

- Z powodu meduz? Dziewczyna się uśmiecha.

- No, niezupełnie. - Jak się pani nazywa?

- Olimpia.

-Aha.

- A ty?

- Edward. Mam dziewięć lat.

Olimpia wyciąga do niego rękę, którą chłopiec ściska jak dobrze wychowany młodzieniec.

- Jest pani na wakacjach? - pyta.

- Nie, ja tu mieszkam.

- Och, ma pani szczęście.

Dziewczyna siada wygodniej, obejmując kolana ramionami.

- Ale nigdy jeszcze nie mieszkałam tu w zimie. Podobno zimy są ciężkie.

- Ja mieszkam w Bostonie - wyjaśnia chłopiec, siadając obok. -
Mogę?

- Tak, oczywiście - odpowiada Olimpia z uśmiechem, zachwycona jego manierami. - Jesteś tu z braćmi i siostrami?

- Mam jedną siostrę, ale to jeszcze dziecko - mówi jej towarzysz, dając do zrozumienia, że z dzieci jest niewielki pożytek.

Olimpia rozgląda się dookoła i nie widzi w pobliżu nikogo dorosłego.

- Czy rodzice nie będą się o ciebie niepokoić?

- Nie sędzę. Są teraz we Francji. Przyjechałem tu z guwernantką.

- A czy ona nie zastanawia się, dokąd poszedłeś?

- Wątpię. Gdy wychodziłem, spała na werandzie. -Wskazuje ręką w kierunku dużego domu z białą stolarką, pokrytego gontem, tuż za falochronem.

Olimpia kiwa głową.

- Naturalnie wiesz, że nie powinieneś chodzić nad wodę bez opieki?

- Oczywiście. Ale dzisiaj i tak nie wolno wchodzić do wody.

-Nie.

Olimpia patrzy, jak chłopiec wyciąga przed siebie długie i chude nogi. Zakopuje pięty w piasku.

- Czy one są straszne? - pyta nagle chłopiec. - Oparzenia?

- Nigdy żadna meduza mnie nie oparzyła. Ale słyszałam, że to nieprzyjemne.

- Umiera się od tego?

- Można umrzeć. Czasami kończy się tylko na gorączce. Był tu kiedyś pewien policjant, nazywał się Tommy Yeaton, wpłynął w ich ławicę i okropnie go poparzyły. Następnego dnia zmarł.

Chłopiec zastanawia się nad tym, co usłyszał.

- Chce się pani ze mną pościgać? - pyta po chwili.

- Pościgać? - pyta Olimpia ze śmiechem.

- Tak - mówi. - Możemy zacząć tutaj. - Patrzy na plażę. - Widzi pani tamto miejsce? Ten parasol w paski w oddali?

-Tak.

- Ten, kto pierwszy tam dobiegnie, wygrywa.

- Dobrze... - zgadza się z wahaniem dziewczyna.

Nie pamięta już, kiedy ostatni raz biegała. Z pewnością kiedy sama była dzieckiem. Jednak propozycja została wyrażona tak entuzjastycznie, że nie można odmówić.

- Czemu nie. - Olimpia zaczyna rozwiązywać sznurowadła pantofli.

Chłopiec wstaje. Rysuje linię na piasku.

- To start - oznajmia podekscytowany.

- W porządku - odpowiada dziewczyna. Dyskretnie ściąga pończochy i wkłada je do pantofli. Chłopiec staje na linii startu, pochyla się i cofa jedną

nogę jak przy prawdziwym wyścigu. Olimpia zostawia

pantofle, pończochy i kapelusz, staje przed linią obok chłopca i podnosi spódnicę z żółtej bawełnianej tkaniny na tyle wysoko, aby się w nią nie zaplątać.

- Gotowa?

- Tak, myślę, że tak.

- A zatem odliczam do trzech!

Chłopiec puszcza się pędem, jakby nauczył się biegać w szkole, ma wysunięty podbródek, jasne włosy powiewają z tyłu. Olimpia z początku czuje się trochę niezdarnie, ale nabiera prędkości i usiłuje dotrzymać mu tempa. Niemal natychmiast jej włosy wysuwają się ze spinek i opadają ciężko na kark. Chłopiec, niezmordowany i silny, ogląda się przez ramię i widząc, że Olimpia niemal go dogania, przyśpiesza, Olimpia czuje, jak jej pięty zanurzają się głęboko w piasku. Mięśnie ma sprężyste po wielu tygodniach prac domowych. Podnosi wyżej spódnicę i mocniej wyciąga nogi. Początkowo czuje się trochę speszona takimi wygłupami, ale ten stan szybko zamienia się w uczucie przyjemności, a nawet radości z zabawy. Wystawia twarz do słońca. Mój Boże, myśli, minęły wieki, odkąd czułam się tak dobrze.

Kiedy są już blisko pasiastego parasola, Olimpia odwraca się i widzi, że zanosí się na to, iż to ona wygra wyścig. Chłopiec biegnie z wdziękiem i determinacją, ale jego dziecięce jeszcze nogi są wyraźnie zmęczone. Olimpia udaje, że też się zmęczyła i nieco zwalnia. Chłopiec, czując, że zwycięstwo jest w zasięgu jego możliwości, nabiera świeżej energii i rzuca się do parasola z takim impetem, że pada pod nim w piasek, ku zaskoczeniu właścicieli, którzy odpoczywają na plażowych krzeselkach. Kiedy dziewczyna dobiega do mety, jej przeciwnik siedzi z rozłożonymi szeroko nogami i z trudem łapie oddech. Olimpia pochyla się wyczerpana. Chłopiec ma piasek na czole i na górnej wardze.

- Wygrałeś! - mówi Olimpia, oddychając z trudem. Opiera dłonie na kolanach.

Mały jest tak zmęczony, że nawet nie może się uśmiechnąć. Po chwili jednak na jego twarzy pojawia się cień niepokoju.

- Pozwoliła mi pani wygrać, prawda? - pyta. Olimpia się prostuje.

- Oczywiście, że nie - zapewnia go. - Nigdy bym tego nie zrobiła.

Chłopiec strzepuje piasek z twarzy i nóg.

- Jeśli pani chce, możemy się pościgać jeszcze jutro - proponuje.

- Byłoby fajnie.

- I może jutro pani wygra - dodaje chytrze. Olimpia powstrzymuje uśmiech.

- A zatem będę cię wypatrywać na plaży - przyrzeka - i jutro ja wygram.

- Dobra - mówi chłopiec. Wstaje, ale niechętnie zbiera się do odejścia. -

Ma pani synka? - pyta nagle.

- Tak - odpowiada krótko Olimpia.

- Jak mu na imię?

- Peter.

- Myśli pani, że chciałby się z nami pościgać?

T- Może chciałby, ale dość łatwo byśmy go pokonali. Ma dopiero trzy lata.

- Aha. - Chłopiec jest wyraźnie rozczarowany.

- Ale z pewnością moglibyśmy się spotkać któregoś dnia - szybko dodaje Olimpia. - Bardzo mu imponują tacy duzi chłopcy jak ty.

- Tak?

- Zapewniam cię.

Chłopiec uśmiecha się nieoczekiwanie. Patrzy w stronę pokrytego gontem domu.

- Powinieneś już wracać - mówi Olimpia. - Poszukam cię tu jutro - dodaje.

Chłopiec kiwa głową. Powoli odchodzi, ale odwraca się jeszcze i macha do niej raz, pośpiesznie. Olimpia też mu macha. Wtedy chłopiec zaczyna biec i dziewczyna widzi, że zmierza do miejsca, w którym się spotkali, jak by już ćwiczył przed jutrzejszym spotkaniem.

Patrzy za nim, aż staje się małą plamką.

Tak, myśli Olimpia. Mam trzyletniego synka.

Spogląda na swoje stopy oblepione piaskiem. Dotyka włosów, których splecione pasma spływają jej na plecy. Pod suknią jest mokra od potu. Próbuje związać włosy bez spinek, są jednak tak ciężkie, że niemal natychmiast opadają z powrotem na plecy.

Nie ma ochoty jeszcze wracać do domu, powrót oznacza bowiem czekanie na list, a ona nie chce ponownie doświadczać

paralizującego stanu zawieszenia. Postanawia przespacerować się na drugi koniec plaży. Buty, pończochy i kapelusz zabierze później.

Idzie szybkim krokiem, wciąż rozgrzana wysiłkiem fizycznym, i zwalnia dopiero wtedy, gdy z oddali wyłania się sylwetka Highland Hotel. Od powrotu do Fortune's Rocks nie była w tej części plaży.

Przygląda się hotelowej werandzie, gościom odpoczywającym na bujanych fotelach, oknom na wyższych piętrach, zwłaszcza jednemu, za którym miga jaskrawa, kolorowa tkanina, jakby jakaś kobieta w środku trzepała narzutę. Hotel wygląda zupełnie tak samo, chociaż Olimpji wydaje się, że jest w nim więcej ludzi niż przed laty.

Przypomina sobie morze białego płótna i otwarty rejestr zapisany pochyłymi literami. Dostrzega muślinowe firanki w oknach, widzi spódnicę unoszącą się nad chodnikiem w kolorze ochry. Słyszy głos: „Gdybyś tylko wiedział...”. Niemal czuje jedwabistą bawełnianą

pościel, wydaje się jej nawet, że dostrzega wysoki sufit w kolorze szafli i wytłoczony na nim wzór. Słyszy echo swoich kroków na klatce schodowej.

Po chwili uwagę jej zwraca grupa gości na werandzie od południa. Przyjęcie pod koniec sezonu, dedukuje i myśli: Jak elegancko wyglądają te kobiety w modnych sukniach z bufiastymi rękawami. I kiedy przesuwają wzrok po zgromadzonych, jej oczy zatrzymują się na znajomej postaci. Olimpia sztywnieje, rozpoznając to wskazujące na zarozumiałość pochylenie głowy, charakterystyczny profil, błysk białych zębów. Mężczyzna ma na sobie kamizelkę w żółto-czarną kratkę, a w oku nowy monokl. Zapamiętał wąsy oraz bokobrody, co się Olimpii nie podoba. Obserwuje, jak Zachariah Cote odrzuca do tyłu głowę i wybucha śmiechem. Nawet z tej odległości widzi, że jego gesty są przesadne, nastawione na publiczność. Olimpia słyszała, że Cote osiągnął sukces, jego poezja stała się popularna; publikuje wiersze w pismach kobiecych i jest szczególnie uwielbiany przez zamężne damy. Kilka razy widziała jego utwory wydrukowane i w dalszym ciągu uważa, że są okropne: ociekają sentymentalizmem i czuje się w nich skłonność do patologii. Nagle nachodzi ją gorzka refleksja, że z nich wszystkich najlepiej powiodło się temu człowiekowi. Że to on - nie jej ojciec ani matka lub John Haskell, Catherine czy nawet ona (nie, z pewnością nie ona) - został zaproszony na tę werandę w jedno z ostatnich popołudni lata 1903 roku.

A przecież czyż to nie Cote, jedyny ze wszystkich, świadomie wykazał się złą wolą? Czy to nie on właśnie zaproponował Catherine Haskell, aby spojrzała przez teleskop, wiedząc doskonale, co zobaczy? Przecież rodzice Olimpii, a także Catherine byli całkowicie niewinni, chociaż poprzez prywatne układy związani z tym skandalem.

Wprawdzie Olimpia nie rozgrzesza siebie i czuje się odpowiedzialna za tamtą katastrofę, lecz teraz, na plaży wzrasta w niej złość. Co za osioł, jak kiedyś nazwała go Catherine. Dziewczyna uważała wówczas, że to określenie doskonale pasuje do Cote'a i nadal tak sądzi. Zastanawia się, czy Catherine Haskell miała kiedykolwiek okazję przeczytać jego wiersze, a jeśli tak, to co o nich sądzi. Gdy tak rozmyśla, Cote, wciąż odgrywając przedst. i wienie przed swoją publicznością, odwraca się i dostrzega na plaży Olimpię - w żółtej, bawełnianej spódnicy, bo so, z włosami opadającymi luźno na plecy. Dziewczyn. ! powstrzymuje chęć odejścia i spokojnie odwzajemnia je go spojrzenie. Widzi, że jest zaskoczony, przez chwilę pełen niedowierzania, a uśmiech na jego twarzy zamieni. i się w wyraz zaintrygowania.

Kobieta stojąca obok poety coś mówi, a on krótko jej odpowiada, nie spuszczać oczu z Olimpii. Kobieta patrzy w jej stronę, zapewne ciekawa, kto tak zawładnął uwagą Zachariaha Cote'a. Jeśli jednak nawet rozpoznała dziewczynę, nie daje tego po sobie poznać.

Olimpia nie rusza się z miejsca, gdy Cote opuszcza krąg wielbicielek, schodzi po stopniach werandy i idzie w jej kierunku. Co za niezwykle opanowanie, myśli, obserwując go, gdy podchodzi bliżej.

Cote zatrzymuje się niespełna metr przed nią. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywa.

- Panna Biddeford - mówi wreszcie mężczyzna. Przygląda się jej dłuższy czas, zastanawiając się zapewne, jak może się potoczyć ich spotkanie. W kąćku jego ust pojawia się uśmiech, uśmiech szachisty, który być może widzi możliwość, aby dać przeciwnikowi mata. - Cóż za chwycająca niespodzianka - dodaje.

- Nie widzę w tym nic zachwycającego - odpowiada Olimpia.
- Oczywiście wiedziałem, że pani tu mieszka - kontynuuje Cote, ignorując jej nieprzychylną uwagę. - Trudno to utrzymać w tajemnicy.

Ona milczy.

- Czy naprawdę mieszka pani sama? - pyta poeta. - To byłoby zdumiewające.

Jego postawa w dziwny sposób przypomina pozę Olimpii: jedno ramię złożone na piersi, podbródek oparty na kłykciach drugiej ręki.

- Uważam, że to, jak żyję, nie powinno pana interesować, panie Cote. Jej rozmówca przykłada dłoń do serca.

- Och, czuję się zraniony - oświadcza szyderczym tonem.

- Cieszę się jednak, że mam możliwość powiedzenia panu, iż uważam go za najpodlejszego ze wszystkich ludzi. - Obserwuje, jak Cote przygląda się jej bosym stopom, włosom w nieładzie i niemodnej żółtej spódnicy.

- Chyba przemawia przez panią rozgoryczenie, mam rację? Pozwolę jednak pani na te impertynencje, ponieważ z pewnością jest pani najbardziej nieszczęśliwą z kobiet..

- O, nie! - replikuje dziewczyna. - Moim zadaniem najbardziej nieszczęśliwą z kobiet będzie ta, która pewnego dnia zostanie pana żoną. Czy może już dostał pan kosza?

- No, no, ależ się pani zmieniła, Olimpio Biddeford. A była pani taka słodka, tak dobrze wychowana. Nie wiedziałem, że ma pani taki ostry język.

- Chciałabym, aby w tej sytuacji mój język stał się ostry jak brzytwa.

- Ty mała jędzo. - Usta Cote'a stają się nagle białe jak papier. - Jak śmiesz zwracać się do mnie w ten sposób? Ty, która popełniłaś najhaniebniejszy z grzechów? Ty, która obnażyłaś przed wszystkimi swoją rozpustną naturę? Czy uważasz, że byłem ślepy, jeśli chodzi o ciebie i Johna Ha skella? Od chwili gdy zobaczyłem was obściskujących się na poboczu drogi, wiedziałem, co knujecie. Ale powstrzymałem swój język. Powstrzymałem się przez tygodnie, panno Biddeford. Ty jednak byłaś tak dumna, że niemal ze mną nie rozmawiałaś. Czy myślisz, że nie zauważyłem twojego protekcyjnego zachowania? I czy myślisz, że mogłem w takiej sytuacji stać z boku i patrzeć, co ty i Ha skell robicie, nie myśląc o konsekwencjach? Uważasz, że pozwoliłbym, abyście zrujnowali życie nie tylko Catherine Haskell, lecz także twoim rodzicom, których, muszę przyznać, nie mogę już darzyć szacunkiem? Mój Boże, Olimpio Biddeford, przychodziłaś tutaj, aby cudzołożyć z tamtym mężczyzną! - Wypluwa z siebie ostatnie słowa i wskazuje ręką na hotel, a kilka kobiet na werandzie odwraca się w ich stronę, aby zobaczyć przyczynę zamieszania.

Olimpia patrzy na swoje dłonie, które drżą. Po raz pierwszy zauważa, że są czerwone i spierzchnięte.

Kieruje wzrok na Cote'a. Wie, jest tego pewna, że poeta wróci na werandę i opowie zgromadzonym tam gościom o ich spotkaniu; wyobraża sobie, jak przedstawi historię skandalu i hańby jej rodziny. Niemal czuje niezwykłą przyjemność, jakiej dozna ten oślizły gad, opowiadając tak pikantną historię.

- To, co zrobiłam - mówi do niego Olimpia - zrobiłam z miłości, A to, co pan uczynił, wynika z jadu, jaki ma pan w sercu.

Odwraca się i odchodzi, powoli i statecznie, starając się kroczyć tak godnie, jak tylko może bosa kobieta w ba-

wetnianej spódnicy. Czuje pulsowanie w skroniach, z trudem oddycha; zmusza się, aby iść przed siebie i się nie oglądać. Kiedy ma pewność, że jest poza zasięgiem jego wzroku, jej ciało zaczyna drżeć tak mocno, że musi wejść do oceanu, nie zważając na wodorosty i meduzy, aby lodowata woda na stopach, łydkach i kolanach przywróciła jej równowagę. Już w wodzie Olimpia stwierdza, że nie jest w stanie się poruszyć, w żadną stronę; pozostaje więc w tej pozycji - jedyna kąpiąca się na plaży osoba, na której skupione są zdziwione spojrzenia - i trwa tak, dopóki jej stopy nie zdrtwieją tak bardzo, że w ogóle ich nie czuje.

Zbliżając się do miejsca, gdzie zostawiła pantofle, pończochy i kapelusz, Olimpia widzi, że czeka tam na nią poznany na plaży chłopiec, Edward. Na jej widok zrywa się z piasku.

- Martwiłem się o panią. Tak długo pani nie wracała. Olimpia dotyka jego włosów, które są poskręcane i jedwabiste.

1 sierpnia 1903

Droga Panno Biddeford,

proszę mi wybaczyć, Olimpio, że tak długo nie odpowiadałem, ale znalezienie odpowiedzi na Twoje pytania zabrało mi trochę czasu, a jeszcze więcej rozważanie, czy powinienem Ci przekazać uzyskane wiadomości. Matka Marguerite, jak wiesz z własnego doświadczenia, jest srogą strażniczką informacji i nawet jako członek zarządu musiałem użyć niemal całej swojej siły perswazji, aby przekonać ją do swoich racji. Proszę cię, Olimpio, rozważ to, co teraz zrobisz. Informacje, o które mnie prosiłaś, spisałem na osobnej kartce

i włożyłem je do osobnej zaklejonej koperty dołączonej do tego listu. Musisz dobrze się zastanowić przed otwarczeniem jej. To, co jest tam napisane, może bowiem przynieść ogromne cierpienie nie tylko Tobie, ale także innym ludziom. Jeśli potrzebowałabyś jeszcze mojej pomocy w tej, jak również innych sprawach, nie wahaj się i daj mi znać.

Twój wierny R. Philbrick

Olimpia kładzie na stole zaklejoną kopertę i przez dłuższą chwilę przygląda się jej, częściowo z szacunku dla Rufusa Philbricka i jego słów, a częściowo powodowana lękiem przed tym, co tam znajdzie. Jednak w miarę upływu czasu dochodzi do wniosku, że chociaż brakuje jej odwagi i trzeźwego osądu sytuacji, pragnienie, aby poznać nazwisko syna i warunki, w jakich żyje, zwycięża wszelkie inne względy. Niecierpliwie rozrywa kopertę.

Chłopiec nazywa się Pierre Francis Haskell. Został ochrzczony dwudziestego maja 1900 roku w kościele Świętego Andrzeja. Oddano go pod opiekę Albertine i Te-lesphorea Bolducom, pracującym w fabryce w Ely Falls, którzy mieszkają przy Alfred Street 137 w Ely Falls. Chłopiec jest zdrowy i taki był od urodzenia.

Olimpia zamyka oczy i przyciska kartkę do piersi. Ma syna, dociera do niej powoli, i chłopiec jest zdrowy. Ma syna, który nosi nazwisko Haskell.

Czując zawroty głowy od ścisku w tramwaju, Olimpia wysiada na rogu ulic Alfred i Washington. Z nadmiernie rozświetlonego nieba pada na ulice białe światło, przemieniając gałęzie wiązów w nikiel, a twarze kobiet w porcelanę. To jeden z najgorszych dni, jakie trafiają się na wybrzeżu morskim w New Hampshire: żar i gorące powietrze, bez najmniejszego powiewu wschodniego wiatru. Pewnie zbliża się sztorm.

Trzymając w ręku list Philbricka, Olimpia idzie chodnikiem, sprawdzając numerację domów. Jak się okazało, Alfred Street jest ulicą zarówno mieszkalną, jak i handlową, na parterze domów mieszczą się sklepy, a wyżej mieszkania. Tego dnia niemal wszystkie okna na wyższych piętrach są otwarte, ludzie wychylają się, opierając łokcie na parapetach, i wachlują, szukając najmniejszego powiewu wiatru. Olimpia znajduje numer 135 i 139, domyśla się więc, że numer 137 to wąski, nieoznakowany budynek wciśnięty między tamte, tuż obok gabinetu dentysty, zbudowany z cegły w kolorze ochry. Sprawdza informacje zawarte w liście, nie do końca ufając, że znalazła właściwy adres. Ponieważ jednak chce pozostać osobą anonimową, szybko chowa list do torebki i rozgląda się za jakimś miejscem, gdzie mogłaby usiąść.

Ma dwie możliwości: ławka pod wiażem około pięć nastu metrów na skos od domu lub piekarnia, którą nu za plecami, a napisy na szybie zachęcają do wypicia het baty, skosztowania ciastek i galaretek. Ponieważ w piekarni na pewno jest jeszcze bardziej gorąco, Olimpia wy biera ławkę i rusza w jej kierunku.

Na Alfred Street jest tłoczno, przechodnie szukają eie nia pod markizami sklepowymi. Mężczyźni są w koszu lach bez kołnierzyków, ze spodni zwisają opuszczone szelki. Kobiety, w rozpiętych pod szyją bluzkach, mają rękawy podwinęte do łokci. Wokół ulicznego sprzedawcy lodów i zimnych napoi gromadzi się tłumek dzieci. Niektóre są niemal zupełnie na golasa i bez wątpienia ocze kują na okazję, aby ochłodzić się porcją lodów. Olimpia, spragniona po podróży, ma przez chwilę wielką ochotę, aby kupić sobie coś zimnego do picia, ale perspektywa przywołania sprzedawcy, a co za tym idzie, zwrócenia na siebie uwagi, wydaje jej się nierozsądna.

Żałuje, że włożyła kapelusz i zapomniała o białej, batystowej sukience, najbardziej przewiewnej ze wszystkich, jakie wiszą w szafie. Teraz czuje, jak pot spływa jej po udach, ma też spocone stopy. Czyta napisy w witrynach po drugiej stronie ulicy. „Zęby, protezy - 8 dolarów”, „Srebrne wypełnienia - 50 centów”. Obok gabinetu dentystycznego znajduje się drogeria, reklamująca, jak głośi pośpiesznie wykonany napis na kartonie, zimną sasparillę. Na całej ulicy sklepowe drzwi są otwarte i dziewczyna widzi stojących w nich właścicieli w białych fartuchach - niektórzy palą papierosy, inni wycierają szyje chusteczkami.

Mimo lejącego się z nieba skwaru i ulicznego ruchu Olimpia cały czas obserwuje niewielkie, pomalowane na niebiesko drzwi powyżej trzech schodków, wiodące do

domku stojącego między drogerią a przychodnią dentystyczną. W pewnej chwili na ławce obok niej siada mężczyzna w garniturze w żółto-brązową kratę. W parnym powietrzu Olimpia wyczuwa zapach niemytego ciała, połączony z wonią taniej wody kolońskiej oraz tytoniu, co niemal wywołuje mdłości. Odsuwa się nieco od mężczyzny, ale ku jej przerażeniu ten pochyła się i pyta, kiedy odjeżdża następny tramwaj. Niema] nie odwracając się w jego stronę, dziewczyna odpowiada, że niestety nie wie.

- Jadę na plażę - oświadcza nieznajomy. - Ani minuty dłużej nie wytrzymam w tym śmierdzącym mieście!

Olimpia milczy, nie chcąc zachęcać go do rozmowy.

- Proszę pozwolić, że się przedstawię - mówi mężczyzna. - Lyman Fogg, terenowy dostawca Boston Drug. „Kawa to najlepsza kuracja na nadużywanie alkoholu przez mężów". To nasz slogan, tak przy okazji.

Wyciąga rękę, a Olimpia, która właśnie zdjęła rękawiczki z powodu upału, jest zmuszona ją uścisnąć. Mężczyzna ubrał się całkowicie niestosownie do pogody, w wełniany garnitur i melonik, który nosi zawadiacko przechylony i spod którego spadają na czoło tłuste, czarne kosmyki. Drugą ręką wkłada do ust cygaro i wypuszcza obłok dymu, wiszący przez dłuższy czas w powietrzu tuż „przed nimi. Ma czerwoną twarz i Olimpia widzi, że mężczyzna jest rozgrzany jak piecyk.

- Potwornie gorąco, nieprawdaż? - pyta ją. Zdejmuje kapelusz, a jego otok jest czarny od potu.

Olimpia odwraca się, aby dalej obserwować dom.

- Czy pani też czeka na tramwaj?

- Nie - cierpliwie odpowiada dziewczyna. - Odpoczywam.

- Świetnie, czyż nie jestem zatem szczęściarzem? - woła mężczyzna jowialnie. - Właśnie mówiłem sobie:

Lyman, oto urocza ławeczka z uroczą kobietą, która n.i niej przysiadła, czemu więc nie podejść i nie przedstawić się?

Mimo że Olimpia ma odwróconą głowę, czuje bijący od niego odór alkoholu. Mężczyzna opiera się o ławkę, przysuwając się jednocześnie odrobinę bliżej.

Olimpia wyjmuje z torebki uperfumowaną chusteczkę i przykłada ją do nosa, mając nadzieję, że natręt zrozumie aluzję. Jednak mężczyzna kompletnie nie zwraca

uwagi na jej sygnały.

- Wydaje mi się - zaczyna spekulować, a Olimpia czuje na sobie jego spojrzenie - że nie pochodzi pani stąd, a to każe mi się zastanowić, a nawet być tak bezczelnym, aby zapytać, co taka piękna, młoda kobieta, jak pani, robi na ławce na Alfred Street, która, chociaż niepozbawiona uroku, nie jest odpowiednim miejscem dla damy?

Kątem oka dziewczyna widzi, że niebieskie drzwi w domu pomiędzy drogerią a gabinetem dentystycznym otwierają się nagle. Wychodzi przez nie kobieta w brązowej, bawełnianej sukience i wyraźnie przytrzymuje je, czekając jeszcze na kogoś. Wyciąga za siebie rękę.

- Ale - kontynuuje przemowę mężczyzna - jestem pewien, że przyjechała pani z Fortune's Rocks, gdzie stoją te eleganckie domy letniskowe. Czy dobrze się domyślam?

Olimpia widzi, że kobieta w drzwiach pochyła się, jakby mówiła do kogoś w głębi korytarza.

- Panienko?

- Słucham? - pyta Olimpia z roztargnieniem. - Ach tak, ma pan rację.

- Świetnie - mówi mężczyzna, zadowolony, że udało mu się zgadnąć. - Mogę zapytać, jak się pani nazywa? - docieka, zachęcony sukcesem.

Kobieta w drzwiach dotyka ciemnych włosów, uczesanych w stylu pompadour, z grzywką na czole. Wygładza ręką stanik sukni z trzema zakładkami od karczku do talii. Olimpia ocenia, że może mieć około trzydziestu lat. Na spódnicy ma zawiązany czarny fartuszek. Cofa się w głąb domu, a drzwi zatrząskują się za nią. Po chwili pojawia się z powrotem, trzymając za rękę chłopca.

- A może jestem zbyt natrętny? - kontynuuje siedzący obok dziewczyny mężczyzna.

Matka i chłopiec, trzymając się za ręce, stoją na betonowych schodkach, jakby chcieli być dobrze widziani. Olimpia wyraźnie widzi rysy twarzy malca.

Kasztanowe włosy. Orzechowe oczy. Podobieństwo jest oczywiste. Przyciska pięść do ust.

Mężczyzna patrzy na nią badawczo.

- Dobrze się pani czuje? - pyta.

Olimpię ogarnia gwałtowna fala tęsknoty. Później, analizując to uczucie, zrozumie, że była to podwójna tęsknota: za chłopcem i jego ojcem.

Patrzy, jak kobieta z dzieckiem schodzą po schodach. Malec nosi wyblakłe krótkie, niebieskie spodenki i dobraną kolorem marynareczkę. Odwraca się i idzie za matką, oddalając się od Olimpii. Dziewczyna widzi teraz tylko jego plecy i porządnie ostrzyżone włosy, a także zdarte, brązowe buciki skórzane i krótkie, okrągłe nóżki. Olimpia wstaje.

- Ależ, proszę pani! - Mężczyzna także wstaje. - Nie trzeba uciekać. Mam nadzieję, że pani nie uraziłem. Może byłem zbyt natrętny? Jeśli tak, proszę wybaczyć zmęczonemu sprzedawcy w upalny dzień.

Olimpia traci z oczu kobietę i chłopca, którzy wtapiają się w tłum na chodniku. Ogarnięta paniką, robi krok do przodu.

- Mogę zaproponować, abyśmy wstąpili do tej drogerii, gdzie jestem dość dobrze znany, i wypili dwie zimne sasparille, których reklamę widać w oknie sklepu? Za pewnością, że dostaniemy je gratis.

Dziewczyna zdecydowanie kręci głową.

- Proszę mnie zostawić - rzuca niecierpliwie, chociaż to ona zostawia go na ławce.

Przechodzi na drugą stronę ulicy, szukając wzrokiem w tłumie brązowej sukienki. Przepycha się łokciami i w zamian także otrzymuje kuksańce. Przyśpiesza, niemal biegnie, dopóki na następnym rogu nie wypatrzy kobiety z chłopcem, którzy wchodzą do sklepu. Na drzwiach znajduje się napis „Cukiernia”.

Olimpia podchodzi do sklepu i staje tak blisko drzwi, jak pozwala jej odwaga. Udaje, że przegląda zawartość torebki, jakby czegoś szukała. Marszczy nawet brwi, aby uwiarygodnić skupienie.

To szaleństwo, myśli, chociaż cały czas udaje, że przeszukuje torebkę. Nawet nie wiem, czy to ta kobieta i to dziecko.

Natychmiast jednak zapewnia samą siebie: oczywiście, wiem, że to oni.

Wokół niej przechodzą mężczyźni i chłopcy; szelki mają opuszczone, koszule bez kołnierzyków. Słyszy ich nawoływania, choć nie rozumie słów^f. Kiedy kobieta z chłopcem wychodzą z cukierni, malec trzyma w ręku loda w foremce, który kapie na jego małą rączkę. Być może przerażony tym, że lód znika, chłopiec wygląda tak, jakby zaraz miał się rozpłakać. Kobieta bierze od niego loda i oblizuje rożek, a potem zwraca go małemu, który wydaje się spokojniejszy.

Dziewczyna stoi tak blisko nich, że gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć malca. Podobieństwo jest uderza-

jące. Czuje się tak, jakby patrzyła w twarz małego Johna Haskella. Kobieta w brązowej sukni, być może wyczuwając natarczywe spojrzenie Olimpii, bierze chłopca za rękę i idą dalej przed siebie. Olimpia zostaje przed sklepem, z trudem łapiąc oddech. W pewnej chwili kobieta pochyla się i całuje dziecko w policzek. Olimpia widzi maleńkie, brązowe bucki chłopca, znoszone i wykoślawione. Przeszywa ją ukłucie zazdrości i upuszcza wciąż otwartą torebkę. Na płyty chodnika wypadają monety i grzebienie.

Ogarnięta chwilowym paraliżem, nie jest w stanie się schylić, aby pozbierać rozrzucone przedmioty. Nagle czuje zapach cygara i dociera do niej, że mężczyzna w żółto-brązowym garniturze kuca obok i podnosi jej drobiazgi.

- Teraz jestem pewien, że nie czuje się pani dobrze - mówi.

Bierze ją pod ramię.

- Poszedłem za panią - wyjaśnia. - Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani tego za złe, ponieważ czuję, że coś pani dolega. - Wprowadza ją do zacienionego wnętrza sklepu i prosi, aby spoczęła na metalowym krzeselku. Olimpia ciężko osuwa się na nie. Między nimi znajduje się okrągły stolik ze szklanym blatem. - I nagle zobaczyłem, jak szuka pani czegoś w torebce. Musiała się pani bardzo przestraszyć, bo zbladła pani jak papier. - Mężczyzna bierze kubek z sąsiedniego stolika. - Była pani taka biała, jak ten kubek.

Olimpia podnosi oczy i widzi rozwichrzone brwi, zwężone, zielone oczy, wilgotne, różowe usta i źdźbło tytoniu na dolnej wardze swego rozmówcy, ale mimo wysiłku nie potrafi uformować obrazu jego całej twarzy.

Białe punkty, wirujące przed prawym okiem, utrudniają jej widzenie.

Mężczyzna pochyła się nad nią i Olimpia na nowo czuje jego nieświeży oddech i alkohol.

- Czy straciła pani coś cennego? - pyta.

Białych punkcików jest coraz więcej, teraz zasłaniają już niemal całą jego postać. Olimpia zaczyna się śmiać i widzi, że jej śmiech wprawia mężczyznę w zdumienie.

Czując, że upada - wolno, jak piórko unoszące się na wietrze - myśli: Tak, tak, rzeczywiście. Straciłam coś bardzo cennego.

Niebo jest ciężkie i promieniuje dziwnym, żółtawym światłem.

Powietrze stoi nieruchome, bardziej niż wczoraj i czuje się w nim siarkę. Kiedy Olimpia dociera do zatoki, zdejmuje buty i brodzi w czarnym błocie, które dwa razy dziennie przynosi przypyływ. Stopy ma szczupłe, białe i gładkie, to najwrażliwsza część jej ciała, więc każde nadeptanie na skorupę muszli lub kamień sprawia ból.

Dziewczyna zastanawia się, jak to jest, że człowiek może być silny i muskularny, a stopy są tak bezbronne.

Na piasku leżą wodorosty w różnych kolorach i różnych kształtach, wyrzucone przez fale, obok nich kraby i meduzy połyskują na zwałach błota. Olimpia stara się uważać, aby ominąć nieprzyjemne, galaretowate stwory, które parzą. Wysuszone algi leżące tam, gdzie nie sięga już fala, przypominają poszarpane gazety. Olimpia słyszała, że niektórzy ludzie robią z roślin zupę i duszone potrawy, ale sama nie miałaby na nie ochoty.

Używając grabek pożyczonych od Ezry, wygrzebuje z mułu jadalne mięczaki. Zajmuje się tym dobrą godzinę, aż napęlnia cały koszyczek. Żółta bawełniana spódniczka już kilkakrotnie ubrudziła się w mule i Olimpia musiała ją wy-

żymać, a stopy i obrąbek wyglądają, jakby były powalane melasą. Dziewczyna wchodzi na sporą skałę, która wrzyna się w morze, i siada na niej, wystawiając nogi i spódnicę na słońce. Kiedy stopy są suche, wkłada pończochy i buty.

Wczoraj w cukierni w Ely Falls zasłała, a Lyman Fogg zdążył ją podtrzymać, zanim spadła z krzeselka. Na szczęście niemal natychmiast odzyskała przytomność i skończyło się na potwornym bólu głowy. Mężczyzna podał jej szklanek zimnej wody i Olimpia poczuła się lepiej, mimo narastającej migreny. Pozwoliła mu odprowadzić się do tramwaju, a nawet odwieźć do Ely, ale kiedy znaleźli się na miejscu, podziękowała za opiekę, pożegnała się i mimo protestów sama wróciła bryczką do domu. Kiedy już się w nim znalazła, poszła prosto do sypialni i rzuciła się na łóżko. Zapadła w głęboki sen i obudziła się dopiero następnego dnia koło południa. Nigdy więcej nie pojedzie do Ely Falls, obiecuje sobie solennie. Widziała chłopca i to wystarczy. Napisze do Rufusa Philbricka i podziękuje za pomoc, będzie zadowolony, że ona na razie nie planuje nic więcej.

Nie jest łatwo zmusić się do wysiłku w taki upał, ale Olimpia zabiera koszyk z mięczakami i postanawia wracać do domu. Morze, plażę nad brzegiem i stojące powyżej w domy pokrywa przyćmiona, żółta mgiełka, która utrudnia oddychanie. Dziewczyna postanawia przyrządzić mięczaki na obiad. Ma jeszcze krakersy, a także resztę mleka i może sobie ugotować rosół.

Dokładnie myje mięczaki, tak jak uczył ją Ezra. Wyciąga duży garnek, wlewa do niego wodę i stawia na ogniu, żeby się zagotowała. W kuchni natychmiast robi się tak duszno, że nie sposób wytrzymać. Olimpia otwiera wszystkie okna, a ponieważ to niewiele pomaga, idzie do frontowego pokoju i tam też otwiera okna.

Patrzy w dół na plażę, która tego dnia jest prawie pusta, częściowo z powodu duchoty, ale i dlatego, że wiele rodzin wróciło już do miasta. Wzdryga się, słysząc uderzenie pio runa, i przez sekundę myśli, że coś ciężkiego i ostrego spa dło na podłogę na piętrze domu. W mgnieniu oka niebo obniża się, jakby zbyt wcześnie nadeszła noc. Zaczyna dmuchać wiatr, tłukąc się po domu. Skrzydła okien obija ją się o framugi od nieregularnych porywów wichury.

Niebo, mimo złowrogiego wyglądu, jest dziwnie wspaniałe; Olimpia rozmyśla o tym, że rozszalały żywioł, katastrofalny w skutkach, może stworzyć obrazy o zapierającym dech w piersiach pięknie. Na przykład płonący hotel wzbudza przerażenie wśród świadków nieszczęścia lub skłania ludzi do bohaterskich czynów, lecz czyż jednocześnie widzów nie zachwyca majestat ognia?

Temperatura powietrza znacznie spadła. Zziębnięta Olimpia zdejmuje z oparcia krzesła wełniany szal zrobiony na szydełku i dokładnie się nim otula. Doskonale pamięta katastrofę statku u wybrzeży Fortune's Rocks i jej piękno pośród horroru i strachu. Wspomina moment, gdy John Haskell przechodził koło niej, niosąc dziecko. O czym wtedy myślała? Ze chociaż nie chciała zostać zauważona, nie miała nic przeciwko temu, aby Haskell ją zobaczył? Ze gdyby nie obawa przed srogą reprimendą ojca, nie ruszyłaby się z białego piasku, w którym ugrzęzły jej bosa stopy? Ze chociaż pragnęła włączyć się w akcję ratunkową, nie była w stanie spuścić oczu z sylwetki Johna Haskella, sylwetki, która dla niej i dla wszystkich innych tam zgromadzonych, rysowała się bardzo wyraziście, ponieważ morska woda całkowicie przemoczyła jego szlafrok i koszulę nocną?

Co tak naprawdę zaszło między nią i Haskellem w ciągu tych kilku sekund rankiem na plaży? To nie był

sygnał miłosny - nie, oczywiście, że nie - nawet nie zauroczenie, gdyż uczucie to wymaga, jak jej się wydaje, nieco więcej kontaktów, niż było im dane tego wczesnego lata. Nie, to było raczej rozpoznanie, tak sądzi, jakby każde z nich znało tę drugą osobę nie zaledwie jeden dzień, ale także z przyszłych spotkań.

Deszcz zacina o ściany domu niemal pod kątem prostym, wdzierając się pod okap. Poryw wiatru uderza w wiklinowy fotel na werandzie, a Olimpia zbyt późno przypomina sobie, że na sznurze suszy się pościel.

Ale to była miłość, przekonuje się. Oczywiście, że tak. Nawet wówczas. Nawet tamtej nocy. Bo czyż ona i Ha-skell nie znaleźli się już w tym niebezpiecznym stanie zniewolenia, który nazwa się miłością lub obsesją, lub romanssem czy po prostu złudzeniem, zależnie od stopnia bliskości kontaktów osoby postronnej z tym zjawiskiem i jej wiary w to, że dwie dusze blakające się we wszechświecie mogą być sobie przeznaczone i tylko ich spotkanie nadaje życiu sens?

Morze już wdziera się gwałtownie na piaszczysty brzeg, pustoszy plażę i tworzy głębokie wyrwy. Olimpia zdaje sobie sprawę, że erozja może zagrozić także domom letniskowym. Przysuwa się do okna i czuje, jak z powodu wiatru drżą szyby. Czy nie wiedziała, zakochując się w Johnie Haskellu, jakie mogą być tego konsekwencje? Czy mogła być aż tak nieostrożna? Czyżby wyobrażała sobie, że z wdziękiem, odporna na zranienia, zdoła muskać powierzchnię niebezpiecznych i śmiertelnie poważnych spraw, jak mewa, która fruwa nad wodami oceanu, nigdzie nie siadając, a jedynie drażniąc fale?

Szczelniej owija się szalem. Gdzie jest teraz chłopczyk, zastanawia się. Dokąd chodzi z tą kobietą na spacer? Dlaczego ona nosi czarny fartuch? Olimpia przypomina

sobie zniszczone buciki malca, tak bardzo znoszone, /< aż zabolą ją serce. Z pewnością były kupione w sklepu z używaną odzieżą, ponieważ chłopiec nie mógł sam d<» prowadzić ich do takiego stanu. Wielka miłość przychodzi znienacka i tylko raz w ży ciu, dochodzi do wniosku Olimpia. Ponieważ z natury rzeczy takie okoliczności nie mogą się powtórzyć; wielka miłość pozostaje w pamięci, na wargach i w oczach tych, którzy kochali, i nigdy nie zdołają o niej zapomnieć. Zakrywa twarz dłońmi.

Dlaczego za miłość trzeba ponieść karę?

Potężny wiatr szarpie domem i Olimpia czuje, jak drewno skrzypi pod jego naporem. Patrzy z przerażeniem, gdy wiatr szaleje na plaży, zwiewa pianę z przybrzeżnych fal, unosi w powietrze krzaki, wyrzucone na brzeg kawałki drewna, wodorosty. Nad wodą zawisła przez chwilę bez ruchu mewa, niezdolna pofrunąć pod wiatr, który od rzuca ją gwałtownie do tyłu. Dalej nad brzegiem toczy się kawałek blachy, zerwany z dachu rybackiej chaty. Wiklinowe fotele przesuwają się po deskach podłogi werandy i uderzają z głuchym łoskotem o poręcz balustrady. Z góry Olimpia słyszy dźwięk tłuczonego szkła.

Huragan szaleje po całym wybrzeżu aż do Bar Harbor. W nocy Olimpia chodzi po kuchni, przysłuchując się trzeszczeniu drewna, potężnemu szumowi na morzu i zawodzeniom wiatru. Tuż obok domu zwała się sosna, o kilka centymetrów omijając budynek. Raz czy dwa, kiedy wichura nabiera wyjątkowej gwałtowności, Olimpia dla bezpieczeństwa chroni się pod kuchennym stołem. Z niepokojem myśli o Ezrze i ma nadzieję, że zdążył przybić do brzegu przed sztormem. W taką noc nikt nie przeżyłby na morzu.

Od czasu do czasu podchodzi do okna od północnej strony i spogląda na stację ratowniczą. Stacja wysyła sygnały świetlne, a także, słychać to wyraźnie, emituje dźwiękowe sygnały alfabetem Morse'a. Wichura napiera na dach domu i dziewczyna z przerażeniem wsłuchuje się w skrzypienie drewna, jakby budynek był statkiem na wzburzonym morzu.

Do rana plaża jest zalana wodą niemal do samego falochronu. Huragan obruszył fundamenty wielu domów, połamał słupy na werandach. Trawnik Olimpii usłany jest śmieciami - leżą tam liście, gałęzie i, co dziwne, również zabrudzona smarem męska marynarka. Domy w Fortune's Rocks straciły szyby w oknach, a nawet dachy. Tam, gdzie na plaży nie ma wyrw po potężnych morskich bałwanach, przewracają się jakieś metalowe przedmioty, fragmenty pokrycia dachów, szkło i kawałki drewna. Jedynie morze, niby zwycięzca w jakiejś nienazwanej bitwie, pozostaje nietknięte, a olbrzymie fale monotonnie rozbijają się o świeżo wytyczoną linię brzegową. Korzystając z chwilowej poprawy pogody, ludzie wychodzą z domów, aby ocenić zniszczenia. Olimpia zarzuca na ramiona szal i staje na werandzie. Powietrze jest czyste i ostre, jakby świeżo wyprane. Dziewczyna idzie w stronę falochronu, odwraca się i patrzy na swój dom. Od razu widzi, że wichura zwała nadstawkę kominową. Ogląda budynek, ale myślami jest gdzie indziej, i zastanawia się, będzie to robić tysiące razy, co dzieje się z kobietą i dzieckiem (zrozumiała już, że nigdy nie uwolni się od tych myśli, choć musi sobie dać z nimi radę, bo inaczej oszaleje, będąc ciągle daleko i nie mogąc niczego zmienić). Z pewnością sztorm narobił mniej szkód w głębi lądu, ale czy liche domy w mieście wytrzymały potężne podmuchy huraganu? A co z liniami wysokiego napię-

cia? Czy ludzie w miasteczku mają bieżącą wodę? I c/y chłopiec, którego imienia Olimpia nie może jeszcze spo kojnie wypowiadać, jest bezpieczny?

Dziesiątego dnia po sztormie Olimpia wsiada do pierwszego tramwaju wyjeżdżającego z Ely i udaje się w męczącą podróż do Ely Falls. Jazda trwa półtorej go dziny i jest trzy razy dłuższa niż normalnie. Po drodze Olimpia i pasażerowie tramwaju zaszokowani przyglądają się zniszczeniom, jakie spowodował sztorm: pozrywane linie telefoniczne i wysokiego napięcia, poprzewracane bryczki, dachy domów przedziurawione pniami zwalonych sosen, których krótkie korzenie nie wytrzymały porywów wichury.

Po sztormie temperatura powietrza wyraźnie spadła i zrobiło się chłodno. Po raz pierwszy od przyjazdu do Fortune's Rocks Olimpia wyjęła z kufra wełniane kostiumy, wywietrzyła je na werandzie, a potem powiesiła w szafach, które stoją w kilku sypialniach. Na podróż do Ely Falls wybrała tego ranka swój najlepszy ubiór, żakiet i spódnicę z szarej wełny, które lubi nosić z białą bluzką z wysokim kołnierzykiem i aksamitnym krawatem. Na włosach uczesanych w kok upięła toczek w kolorze śliwkowym, lekko przekrzywiając go na bok. Przyglądając się pasażerom w tramwaju, dziewczyna dochodzi do wniosku, że przez cztery lata moda nieco się zmieniła. Spódnice są dłuższe, rękawy szersze, a żakiety wydają się bardziej dopasowane.

Razem z kilkoma innymi pasażerami Olimpia wysiada na rogu Alfred i Washington, gdzie robotnicy na rusztowaniach naprawiają dach jakiegoś budynku i szklą okna. Przeczytała wcześniej w lokalnej gazecie, że siedemnastu robotników fabrycznych straciło życie, kiedy podczas huraganu zawaliła się hala przędzalni. Właściciel fabryki nie

chciał odwołać nocnej zmiany, mimo że pracownicy kilkakrotnie go o to prosili. Olimpia czytała listę zabitych jak żona sprawdzająca listę ofiar działań wojennych; szybko przebiegała wzrokiem nazwiska, szukając tego jednego. Inaczej niż podczas poprzedniej wizyty nastroje w mieście - które wówczas, mimo zabójczego upału, były zdecydowanie wesołe - są teraz poważne, jeśli nie ponure. Olimpia idzie chodnikiem Alfred Street i widzi w wielu sklepach zabite deskami okna.

Zaskoczona słyszy nagle głośny gwizd, jak sygnał nadjeżdżającego pociągu. Po kilku minutach na ulicy roi się od mężczyzn i kobiet znikających szybko w drzwiach hoteli robotniczych. Olimpia patrzy na zegar uliczny na rogu Washington i Alfred: jest pięć po dwunastej w południe. A więc to przerwa na lunch.

Podchodzi do domu numer 137 i ponownie siada na ławce po drugiej stronie ulicy. Kilka kobiet wchodzi przez niebieskie drzwi, jednak żadna z nich nie jest tą, której wyczekuje. Przez chwilę zastanawia się, czy nie zatrzymać kogoś na schodach domu i nie zagadnąć na temat rodziny Bolduc, ale natychmiast porzuca tę myśl, gdyż wydaje się jej pozbawiona sensu. Czuje, że długo nie wytrzyma na tej ławce; robi się coraz chłodniej, teraz na ulicach jest niewielu przechodniów i obecność Olimpii rzuca się w oczy bardziej niż podczas poprzedniej wizyty.

Dokładnie za dziesięć pierwsza z hoteli robotniczych wylewa się tłum ludzi. Kobiety naciągają rękawiczki, zapinają torebki i przytrzymują kapelusze; wszyscy śpieszą z powrotem do pracy. O pierwszej na ulicy znowu robi się cicho.

Mimo wełnianego kostiumu Olimpia marznie i idzie do piekarni. Młoda sprzedawczyni w czarnej sukience

przepasanej niebieskim fartuchem patrzy na nią zdziwił > na, jakby sklep był nieczynny.

- Mogę dostać filiżankę herbaty? - pyta Olimpia.

- Obiady już się skończyły - oznajmia sprzedawczyni - ale filiżanka herbaty się znajdzie.

- Dziękuję - odpowiada Olimpia.

Siada przy oknie, skąd ma doskonały widok na dom numer 137.

Zdejmuje rękawiczki i wkłada je do kieszeni żakietu.

Zaniepokojona, że może dziś nie uzyskać no wych informacji o chłopcu, pyta dziewczynę podającą jej herbatę, czy zna rodzinę Bolduców.

- Chyba tak - odpowiada ta z irlandzkim akcentem. - Tu w okolicy jest z tuzin Bolduców. O których pani chodzi?

- Albertine - mówi Olimpia, a głos na chwile grzęźnie jej w gardle. - I Telesphore.

- No to ma pani szczęście - odpowiada tamta, wycierając ręce w fartuch. - Mieszkają po drugiej stronie ulicy.

Olimpia uśmiecha się z ulgą.

- Ale na które z nich pani czeka? - pyta dziewczyna. - Albertine wraca dziś do domu dopiero po czwartej, kiedy skończy się pierwsza zmiana. Ale Telesphore będzie w domu do czwartej. To tam. -

Wskazuje na niebieskie drzwi. - Mieszkają w tym domu. Nie wygląda pani na krewną, a zatem jest pani pewnie przyjaciółką.

- Przyjaciółką - powtarza Olimpia.

- Pewnie zna pani też chłopca. - Tak.

- Słodki malec, prawda? Olimpia kiwa głową.

- Nie mam pojęcia, kiedy mąż i żona się widują - mówi dziewczyna.

- Pracują na różne zmiany. Jedno przychodzi, a drugie wychodzi.

Szychty zmieniają się w nocy.

Jeśli jest pani głodna, mogę podać miseczkę duszonych ostryg. Olimpia, nie chcąc odrzucić propozycji dziewczyny, zgadza się na poczęstunek. Potrawa jest wodnista, ale zmusza się, by ją zjeść. Przęłyka powoli, aby zyskać na czasie, bo nie chce opuścić znakomitego punktu obserwacyjnego. Dziewczyna przynosi jej krakersy, trochę placuszków i na deser ciastko, a potem przeprasza i udaje się na zaplecze, aby też zjeść obiad.

Olimpia siedzi przy stoliku, ogrzany teraz popołudniowym słońcem. Zjadła tak dużo, że ogarnia ją senność. O wpół do czwartej ożywia się jednak, widząc jak po schodach domu numer 137 wbiega Albertine, ubrana tego dnia w skromną, czarną, bawełnianą sukienkę i czarny fartuch. Pięć minut później przez te same niebieskie drzwi wychodzi mężczyzna w błękitnej, roboczej bluzie i czarnej czapce (głowę ma pochyloną i nie widać dobrze jego twarzy), zbiega po schodach i skręca na chodnik. Olimpia nie ma pojęcia, co robić dalej, ale ponieważ nie zamierza zapukać do niebieskich drzwi, nadal siedzi przy oknie. W krótkim czasie jej cierpliwość zostaje nagrodzona. Dwadzieścia po czwartej Albertine Bolduc jeszcze raz otwiera niebieskie drzwi. Olimpia, w napięciu przygotowuje się do widoku, którego się spodziewa, lecz kiedy pojawia się w nich chłopiec, staje na schodach i mruga, oślepiony słońcem, Olimpia rozumie, że żadne przygotowania nie uchronią jej przed ciosem, który uderza z taką siłą, że musi przycisnąć pięść do ust.

Gęste, kasztanowe włosy chłopca musiały być ostatnio strzyżone przy użyciu miski do modelowania. Falują wdzięcznie nad jego brwiami, podkreślając błyszczące, orzechowe oczy. Dominują one w twarzy

malca, który ma maleńki nosek, pełne usta i podwójny, pucułowaty podbródek. Chłopiec wyciąga do matki rączkę i razem schodzą po trzech betonowych schódkach. Nosi tego dnia długie spodnie i szary sweter zrobiony na drutach, a do tego wełnianą czapkę. Jedyne buty, wykoślawione, brązowe skórzane trzewiki, są te same. Olimpia kładzie na stoliku monety i niezauważona opuszcza sklep, by podążać za obojgiem w stosownym oddaleniu. Zdaje sobie sprawę, że ogarnęło ją szczególnego rodzaju szaleństwo i dlatego zachowuje się w sposób, na jaki nigdy przedtem by sobie nie pozwoliła. Czuje się okropnie, niczym szpieg, którym oczywiście jest. W pełni rozumiejąc absurd sytuacji, nie może jednak spuścić oczu z kobiety i dziecka, nie może pozwolić, aby zniknęli z pola widzenia. Idąc przecznicę za nimi, Olimpia dociera do skrzyżowania Alfred i Washington i dalej, wzdłuż Washington do Pembroke, gdzie stoją hotele robotnicze, identyczne ceglane budynki z małymi oknami i nędznymi trawnikami od frontu, które są ogrodzone niepomalowanymi sztachetami. Albertine z chłopcem wchodzi do jednego z tych domów, a malec wbiega po frontowych stopniach i otwiera drzwi w taki sposób, jakby bywał tu setki razy. Olimpia boi się wejść na Pembroke Street, aby nie zostać zauważoną, stoi więc na rogu i obserwuje tę scenę. Ma ochotę usiąść i poczekać na chłopca, ponieważ gdy ona odejdzie, malec zniknie; dopiero po kilku minutach zbiera dość siły, aby ruszyć w stronę przystanku tramwajowego. Dochodzi już piąta i musi złapać ostatni tramwaj do Ely, bo inaczej czeka ją nocleg w Ely Falls. Przez pewien czas idzie zatopiona w myślach o chłopcu. Czy to wszystko, czego się może kiedykolwiek spo-

dziewać? Te kradzione spojrzenia? Olimpia wie, że nigdy nie nawiąże znajomości z Albertine. Nigdy. Rozumie też, że nie może kontynuować potajemnych obserwacji bez ryzyka zwrócenia na siebie uwagi. A na to nie jest przygotowana.

Tak dalej być nie może. Nie może. Musi zwalczyć tę obsesję, jak już kiedyś zrobiła. Musi zapomnieć o synku i żyć dalej. Musi znaleźć jakąś pracę, może jako guwernantka lub nauczycielka. Spróbuje porozmawiać o tym z Rufusem Philbrickiem. Z pewnością będzie bardziej zadowolony, pomagając jej znaleźć posadę, niż kiedy zaangażował się w szukanie jej syna.

Zatopiona w myślach Olimpia nie zwraca uwagi, dokąd idzie, dopiero po pewnym czasie orientuje się, że nie ma pojęcia, gdzie jest. Rozgląda się dookoła i widzi gmach Banku New Hampshire i redakcję lokalnej gazety. Obok mieszczą się zakład pogrzebowy i towarzystwo ubezpieczeniowe, które zajmuje cały wielki budynek biurowy. Jest tu też wiele innych firm, których nazwy umieszczono na froncie gmachów, w oknach lub, bardziej dyskretnie, na mosiężnych tabliczkach obok dzwonek. Po drugiej stronie ulicy widzi na parterze czarną tabliczkę przy drzwiach. Czarna tabliczka ze złożonymi nazwiskami głosi: „Tucker & Tucker. Kancelaria adwokacka”. Dziewczyna odwraca głowę od wizytówki i zagląda przez szklaną szybę do banku. Jest zamknięty, a ona zastanawia się, która jest godzina.

Kancelaria też jest nieczynna, tak przynajmniej się wydaje. Nawet jeśli Olimpia zadzwoni, nikt jej nie otworzy. Jeśli nikogo już tam nie ma, to będzie znak, nieprawdaż? Wtedy może zostawić tę sprawę. Wróci do Fortune's Rocks i nigdy już nie przyjedzie do Ely Falls. Tak, to będzie znak. Znak, którego nie zignoruje.

Uzbrojona w te kruche złudzenia Olimpia przechodzi na drugą stronę Dover Street w Ely Falls i wkracza do kancelarii adwokackiej Tucker & Tucker, ojciec i syn, aby oświadczyć, że zamierza odzyskać swojego syna, Pierre'a Francisa Haskella, a oni muszą jej w tym pomóc. Jest czternasty sierpnia 1903 roku.

Część czwarta
Proces

Mowi pani, że poznała go w domu ojca? - upewnia się Payson Tucker.

Młody prawnik trzyma na kolanach obłożony w mar-murkowy papier notes, podobny do tych, w jakich Olimpia, gdy była młodsza, ćwiczyła kaligrafię. Tucker od czasu do czasu robi notatki, maczając pióro w szklanym kałamarzu na biurku. Kancelaria jest mała - lakierowane drewno, brązowa skóra, mosiężne ozdobne okucia - i przypomina dziewczynie gabinet ojca w Bostonie. I może właśnie owo podobieństwo lub powaga i sumienność Tuckera nadaje jego pytaniom wagę.

- Spotkaliśmy się dwudziestego pierwszego czerwca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku w domu mojego ojca w Fortune's Rocks - wyjaśnia Olimpia. - Pamiętam dobrze, bo był to dzień letniego przesilenia.

- Ile miała pani lat?

- Niespełna szesnaście. - Olimpia obserwuje reakcję prawnika, ale jego twarz pozostaje nieprzenikniona.

- W jakim wieku był wówczas pan Haskell?

- Miał czterdzieści jeden lat.

- A teraz ile ma pani lat?

- Dwadzieścia.

Tucker poprawia swoje okulary w złotej oprawie i przez chwilę przygląda się dziewczynie.

- I John Haskell odwiedzał pani ojca? - kontynuuje.

- Tak. Był tam z żoną i dziećmi.

- Rozumiem - kwituje to dyplomatycznie Tucker, a Olimpia zastanawia się, co on właściwie rozumie.

Usiłuje zgadnąć, ile Tucker może mieć lat - dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć - i dochodzi do wniosku, że prawnik stara się wyglądać na starszego niż jest, a zakol.i na czole mu to ułatwiają. Jest szczupły, ma wąsy, jasną ce rę i czarne, jedwabiste włosy, które opadają na policzki, gdy pochyla głowę.

- Może mi pani podać ich imiona?

- Catherine - mówi Olimpia. - Ona jest, była, jego żoną. Właściwie nie wiem, czy są taraz formalnie rozwie dzeni. Słyszałam jedynie, że ona mieszka tylko z dziećmi, i wydaje mi się, że nie są ze sobą od sierpnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

Dzieci nazywają się: Martha, Clementine, Randall i May.

Parę minut wcześniej Olimpia weszła do kancelarii Tucker & Tucker i przerwała Paysonowi Tuckerowi szykowanie się do wyjścia.

Przedstawiła się, lekko speszona i powiedziała, że potrzebuje prawnika. Był nieco zaskoczony, ale wskazał jej krzesło. Od tej chwili dziewczyna stara się jak najlepiej odpowiadać na jego pytania.

- W jakim wieku były wtedy dzieci? - pyta prawnik.

- Martha miała dwanaście lat. Pozostałe były młodsze.

- A gdzie teraz jest John Haskell?

- Nie wiem. Tucker odłożył pióro.

- Może będzie lepiej, jeśli sama opowie mi pani wszystko, od samego początku - proponuje.

Olimpia na chwilę odwraca głowę w stronę wysokiej, dębowej biblioteki. Na półkach stoją setki tomów, oprawione w skórę książki o skomplikowanych tytułach. Dziewczyna waha się, czy powinna wyjawiać temu człowiekowi szczegóły swoich najbardziej intymnych przeżyć. Bo słowa, nawet najlepiej dobrane, nigdy nie oddadzą rzeczywistości. Po prostu nie ma takich słów, którymi mogłaby opisać radość i szczęście, jakie przeżywali razem z Haskellem. Boi się, że opowiadając o tym, siłą rzeczy będzie musiała zredukować najsubtelniejsze doznania do pewnych postępów i sekwencji wydarzeń. Czynności, których opis mógłby kogoś postronnego wręcz krępować. Ich obraz zdołałby zaszokować przypadkowego obserwatora, kiedy nagle i nieoczekiwanie odsuwa się zasłona skrywająca parę kochanków w trakcie najintymniejszego zbliżenia. I czy takie wtargnięcie, ta obca para oczu, nie zmieni na zawsze wymowy owego zdarzenia i nie odbierze mu czegoś cennego?

- Opowiem panu, co zaszło - mówi Olimpia - ale musi pan uświadomić sobie coś ważnego.

- Tak, oczywiście.

- Chociaż byłam bardzo młoda i niewiele rozumiałam z tego, w co się angażowałam, nie zostałam uwiedziona. Z całą pewnością nie zostałam uwiedziona. Robiłam wszystko z własnej woli i wiedziałam, co czynię. Mogłam to w każdej chwili przerwać, rozumie pan?

- Tak mi się wydaje - oświadcza prawnik.

- Wierzy mi pan?

Tucker głęboko zastanawia się nad jej słowami, trzymając pióro w palcach i mechanicznie przesuwając je w przód i w tył. Olimpia próbuje zgadnąć, czy firma Tucker & C Tucker to ojciec i syn, czy bracia.

- Tak - odpowiada prawnik. - Tak. Wierzę pani. Nie

sądę, aby mówiła pani o tym w ten sposób, gdyby to nic była prawda. W kancelarii jest ciepło, więc Olimpia zdejmuje rękawiczki.

- John Haskell i ja widzieliśmy się podczas tego pierwszego weekendu kilka razy w towarzystwie innych ludzi. - zaczyna. - Potem spotkaliśmy się ponownie w dniu czwartego lipca. Doszło między nami do... zbliżenia... jakieś dwa tygodnie później. W ciągu tamtego lata znałam go tylko przez sześć tygodni.

- A gdzie mieszkali wówczas John Haskell i jego rodzina?

- On mieszkał w Highland Hotel. W Fortune's Rocks. Catherine z dziećmi zatrzymała się do czasu ukończenia domu w Fortune's Rocks u rodziców, w Yorku, w stanie Maine.

- Tak, znam Highland Hotel. A pani... - Tucker waha się, zdejmując niewidoczną nitkę z rękawa prążkowanej marynarki. - Odwiedzała go pani w hotelu? Czy on przychodził do waszego domu? A może spotykaliście się gdzie indziej?

- Zwykle odwiedzałam go w hotelu - mówi powoli Olimpia. - Haskell odwiedził mnie w domu trzykrotnie i za trzecim razem widziałam go po raz ostatni.

- Kiedy to było?

- Dziesiątego sierpnia.

- Co zaszło tego dnia?

Olimpia patrzy na swoje kolana. Ręce ma splecione tak *mocno*, że aż zbiały jej kostki. Myśli o wieczorze, gdy ostatni raz widziała Haskella, o wszystkich tych dniach, które wiodły do tego ostatniego. O wszystkich dniach, kiedy mogła jeszcze powstrzymać Haskella i Catherine przed przyjściem na swoje urodzinowe przyjęcie. Ale nie zrobiła

tęgo. Ponieważ wstąpiła w tę fazę romansu, kiedy wszystkie spotkania z ukochanym stają się bardzo pożądane, niezależnie od tego jak są oficjalne czy niezręczne, ponieważ dają nie tylko możliwość spojrzenia na niego, ale także powodują ten szczególnie rozkoszny dreszcz milczącego porozumienia wśród niczego nieświadomego towarzystwa. Olimpia mogła powiedzieć Tuckerowi, że nie chciała, aby ojciec zapraszał Haskellów albo że martwiła się, by nie sprawić bólu Catherine Haskell, którą naprawdę szanowała, byłaby to jednak obłuda, jeśli nie całkowity fałsz.

- Mój ojciec urządzał przyjęcie, na które przyszli Haskellowie. Tej nocy Catherine Haskell zobaczyła nas razem.

Prawnik zanurza pióro w kałamarzu i coś notuje.

- Czy ona sama was zaskoczyła, czy też był ktoś inny, kto jej o tym powiedział?

Olimpia odwraca oczy.

- Jeśli to zbyt bolesne... - mówi Tucker.

- Ktoś pomógł w tym pani Haskell. Pewien mężczyzna, nazywa się Zachariah Cote.

Payson Tucker podnosi oczy znad notatek. Olimpia widzi refleks światła w jego okularach.

- Ten poeta?

- Tak - potwierdza, nieco zaskoczona, że prawnik słyszał o Zachariah. - Od tego dnia nie widziałam Johna Haskell - dodaje.

- Dokąd wyjechał?

- Noc dziesiątego sierpnia spędził w swoim nowym domu. Nie mam pojęcia, dokąd pojechał później. Wydaje mi się, że opuścił Fortune's Rocks i Ely Falls.

- Mieszkał także w Ely Falls? - pyta prawnik.

- Nie, był lekarzem w fabrycznej lecznicy w Ely Falls.

- Ach tak. A kiedy zorientowała się pani, że spodziewa się dziecka?

Zadaje to pytanie, jakby dotyczyło tylko jednego faktu z tysięcy, jest to jedynie zdanie w akapicie. Olimpu otwiera usta, aby mu odpowiedzieć, ale nie może. Czuje, jak płonie jej twarz. Tucker, bacznie się przyglądając, po chyłą się w jej kierunku. Fala ciemnych włosów opada i i prawnik zakłada je sobie za ucho.

- Panno Biddeford, wiem, że to bardzo nieprzyjemne pytania. I uważam, że wykazała się pani wielką odwagą, odpowiadając na nie. Ale jeśli mam zająć się pani sprawą, potrzebuję tych informacji. Chcę też wiedzieć, czy ma pani dość siły, aby stawić czoło pewnym faktom z przeszłości. Proszę mi wierzyć, to tylko łagodna na miastka pytań, które będą pani zadawane w sądzie, jeśli zdecyduje się pani przeprowadzić tę sprawę.

Olimpia robi głęboki oddech i kiwa głową.

- Moi rodzice i ja wyjechaliśmy z Fortune's Rocks rankiem jedenastego sierpnia - mówi. - Mają dom na Beacon Hill w Bostonie. Zorientowałam się, że jestem w ciąży, dwudziestego dziewiątego października.

- Zbadał panią lekarz?

- Nie od razu.

Tucker opiera się wygodniej na krześle. Z tyłu na biurku stoi fotografia w srebrnej ramce, przedstawiająca kobietę w wieku około trzydziestu lat - pewnie jego matkę, kiedy była młoda - domyśla się Olimpia.

- Panno Biddeford, moje następne pytanie będzie szczególnie bolesne, ale muszę je zadać. Czy istnieje możliwość, że jakiś inny mężczyzna, nie John Haskell, mógł być ojcem chłopca?

Mimo wcześniejszego ostrzeżenia Olimpia jest zaszokowana, nie tyle samym pytaniem, ile przypuszczeniem, że mogłaby mieć tego typu kontakty z kimś innym niż Haskell.

- Nie - oświadcza gwałtownie. - Nie ma takiej możliwości.
- Dobrze - rzuca Tucker, a na jego twarzy widać ulgę. - To dobrze.
Czy skontaktowała się pani wówczas z Johnem Haskellem, aby mu to powiedzieć?

-Nie.

- Proszę mi powiedzieć, co stało się w dniu porodu?

- Nie bardzo wiem. Pod koniec podano mi laudanum i zasnęłam, a kiedy się obudziłam, dziecka już nie było.

- Ale widziała je pani? -Tak.

- I wie pani, że to był chłopiec?

- Powiedziano mi, że to chłopiec.

- Był z panią lekarz? Położna?

- Lekarz. Doktor Ulysses Branch z Newbury Street w Bostonie.

- Czy to on zabrał dziecko?

- Nie wiem. Mogę się tylko domyślać, że ktokolwiek to był, zrobił to na prośbę mojego ojca, ponieważ kilkakrotnie wspominał mi o „przygotowaniach”, które poczyniono. Nigdy jednak nie powiedział wprost, ani wtedy, ani później, co się stało z dzieckiem.

- Czy kiedykolwiek pytała go pani o to? r- Nie - mówi Olimpia. - Nie pytałam.

I nagle zaskakuje ją fakt, że tego nie zrobiła. Jak to się stało, że tak pokornie przyjęła swój los?

- Czy pani ojciec opuszczał tamtego dnia dom?

-Nie.

-A zatem musiał przekazać dziecko komuś innemu?

- Tak. Nie wiem jednak komu. Dowiedziałam się, że wkrótce potem dziecko znalazło się pod opieką Johna Haskella.

- Wypytyuję o szczegóły samego porodu, ponieważ

kwestia, jak i kiedy odebrano pani dziecko, może okazać się bardzo ważna - wyjaśnia Tucker.

- Tak, rozumiem.

- Skąd dowiedziała się pani, gdzie przebywa syn? -Przez przypadek - mówi Olimpia. - Wkrótce po

moim przyjeździe do Fortune's Rocks, kiedy wróciłam tam w lipcu, odwiedził mnie stary przyjaciel mojego ojca, pan Rufus Philbrick.

- Znam go - wtrąca Tucker.

- W czasie tej wizyty wspomniał mi przypadkowo, że dziecko jest w sierocińcu Świętego Andrzeja.

- Skąd o tym wiedział?

- Jest członkiem zarządu tej placówki - wyjaśnia Olimpia. -

Następnego dnia pojechałam do przytułku i rozma wiałam z zakonnica, która nazywa się, jak przypuszczam, matka Marguerite Pelletier. Potwierdziła, że dziecko było w sierocińcu, ale zostało komuś oddane. Wyjawiła mi imię chłopca, nie chciała jednak ujawnić nazwiska.

- Pani powiedziała jednak, że chłopiec nazywa się... -Tucker sprawdza w notatkach - ...Pierre Francis Haskell.

- Tak - wyjaśnia Olimpia. - Odwiedziłam Rufusa Philbricka i poprosiłam, aby dowiedział się, gdzie jest chłopiec. Oświadczył mi, że dziecko nosiło początkowo - i być może nosi nadal - nazwisko Haskell. Później to potwierdził.

- Co jeszcze pani powiedział?

- Tego dnia niewiele mógł dodać, ale później napisał, że opiekunami dziecka są Franko-Amerykanie, Albertine i Telesphore Bolduc. Mieszkają w Ely Falls przy Alfred Street i pracują w fabryce w mieście. Mały ma trzy lata, a Rufus Philbrick zapewnił mnie w liście, że jest zdrowy. Widziałam chłopca i też mi się tak wydaje. To wszystko, co wiem. Aha, został ochrzczony w wierze katolickiej.

- Rozmawiała z nim pani?

- Nie, widziałam go tylko z daleka.

Tucker zdejmuje okulary i przeciera jej chusteczką.

- Czy wygląd chłopca potwierdza, że może być synem pani i Johna Haskella?

Olimpia nigdy nie zapomni wrażenia, jakie wywarła na niej twarz chłopca.

- Tak. Zdecydowanie. Bardzo przypomina swojego ojca. Wydaje mi się, że każdy może zauważyć podobieństwo.

Tucker wkłada okulary.

- Czy rozmawiała pani z Albertine lub Telesphore'em Bolduc?

-Nie.

- Czy mówiła pani komuś, że pragnie odzyskać dziecko?

- Tylko Rufusowi Philbrickowi.

- Wspominała pani, że dzisiaj też widziała chłopca?

-Tak.

Tucker położył łokcie na biurku i oparł podbródek na splecionych dłoniach.

- Nie umiem już dzisiaj pani powiedzieć, czy możemy założyć sprawę.

- Rozumiem.

- Trzeba sprawdzić kilka kwestii. Olimpia kiwa głową.

- Aby to zrobić, będę zmuszony wynająć prywatnego detektywa. W takich sprawach to normalne...

- Tak - zgadza się dziewczyna.

- Przykro mi wspominać o wynagrodzeniu, ale obawiam się...

- Mam pieniądze - wtrąca szybko Olimpia. - Pieniądze nie stanowią przeszkody.

-A zatem dobrze - mówi Tucker i wstaje, a razem z nim Olimpia.

- Czy wezwać pani powóz? - pyta prawnik. - A może przyjechała pani samochodem?

- Panie Tucker, mieszkam sama - wyjaśnia dziewczyna. - Nie mam ani powozu, ani samochodu i obawiam się, że odjechał już ostatni tramwaj do Ely. Jeśli mógłby mi pan wezwać taksówkę...

Adwokat wyjmując z kieszeni kamizelki złoty zegarek i sprawdza godzinę.

- Tak, tak, oczywiście - mówi. Odwraca się i szuka czegoś na biurku.

- Można się z panią skontaktować tele fonicznie?

-Nie.

- A zatem będzie mi potrzebny pani adres.

- Naturalnie.

- Prawdopodobnie będę zmuszony odwiedzać panią od czasu do czasu w Fortune's Rocks, aby przedyskutować sprawy na bieżąco - zapowiada Tucker i patrzy wyczekująco z notesem adresowym w ręku.

Zaskoczona dziewczyna widzi po wyrazie twarzy mężczyzny, że Payson Tucker uważa ją za interesującą lub intrygującą, a być może nawet atrakcyjną kobietę. I z tej przyczyny zajmie się jej sprawą.

Olimpia przez chwilę zastanawia się nad możliwością wykorzystania tej przewagi, aby uzyskać to, na czym jej zależy.

Potem wraca myślami do chłopca, swojego syna, w wykoślawionych, skórzanych bucikach.

- Będę oczekiwała pańskiej wizyty - mówi.

Po powrocie do Fortune's Rocks Olimpia pisze list do Rufusa Philbricka. Zawiadamia go, że wynajęła prawnika, który ma się zająć sprawą chłopca. Pisze także do oj-

ca i prosi go o pieniądze, nie ujawniając przy tym, na co są jej potrzebne. Czekać na odpowiedzi, zastanawia się, w jaki sposób sama mogłaby trochę zarobić, aby opłacić koszty ewentualnego procesu; nie przychodzi jej jednak do głowy nic poza pracą guwernantki, czego szczerze by sobie nie życzyła. Aby zabić czas, czyta książki i gazety, ale zewnętrzny świat wydaje się jej coraz bardziej odległy, zwłaszcza gdy z Fortune's Rocks wyjechali już wszyscy letnicy. Dni robią się coraz chłodniejsze i Olimpia zastanawia się coraz częściej, czy będzie w stanie przetrwać w tym domu zimą.

Dwudziestego ósmego września otrzymuje list, nie jest to jednak odpowiedź od ojca ani od Rufusa Philbricka.

27 września 1903

*Droga Panno Biddeford,
drugiego października przyjadę do Highland Hotel i byłoby mi miło,
gdyby zechciała Pani zjeść ze mną obiad. Domyślam się, że ta okoliczność
może być dla pani niezręczna, więc jestem gotów, jeśli Pani sobie życzy,
umówić się w innym miejscu. Niezależnie od tego, jeśli Pani pozwoli,
przyjadę po nią o szóstej po południu drugiego października. Mam pewne
informacje odnośnie do Pani sprawy, które chciałbym niezwłocznie
przekazać.*

Z wyrazami szacunku, Payson Tucker, Esq.

Olimpia siada przy kuchennym stole z listem w dłoni i jeszcze raz czyta go od początku. Highland Hotel. Widzi jego wysokie sufity, ciemny hol, długie, mahoniowe kontuary w recepcji. Nie sądziła, że jeszcze kiedykolwiek tam wejdzie, ale byłoby zwykłym tchórzostwem, gdyby

odpowiedziała Tuckerowi, że nie zdoła tego zrobić, zwłaszcza jeśli chce mu udowodnić, że jest odważna i rozsądna. Wyjmuje z szuflady w kuchennym stole pióro oraz atrament i zaczyna pisać.

29 września 1903

Drogi Panie Tucker,

Z przyjemnością zjem z Panem obiad w Highland Hotel drugiego października. Czekam na Pana w domu

O szóstej. Z niecierpliwością oczekuję wiadomości, o których Pan wspominał.

Ciesząc się na Pański przyjazd pozostaję z szacunkiem

Olimpia Biddeford

Osusza papier listowy, wkłada go do koperty i pieczętuje ją woskiem. Rozgląda się po kuchni. A więc zaczyna się.

Na wieczór drugiego października Olimpia wkłada aksamitny kostium w kolorze szmaragdowym, z długimi połami, wykończony czarną lamówką. Żakiet, chociaż odrobinę niemodny, podnosi jej ramiona i podkreśla talię. Do kostiumu wybiera jedwabną bluzkę w kolorze kości słoniowej z wysokim kołnierzykiem, która należała do matki i została w jej szafie. Do tego perły: kolczyki, naszyjnik i bransoletka. Ponad godzinę układa włosy, upinając po bokach swobodne fale, a z tyłu podwójny kok. Kiedy jest gotowa, przegląda się w kuchennym lustrze

i ze zdziwieniem zauważa, że jej twarz wydaje się dużo starsza niż w rzeczywistości, a rysy są bardziej wyraziste. Poza tym wyszczuplała, jej sylwetka jest bardziej smukła, a przynajmniej sprawia takie wrażenie w tym stroju. Nie,

jednak zdecydowanie schudła. Wydaje się sobie obca, a jednocześnie dziwnie znajoma, znajoma z czasów, kiedy nie nosiła aksamitnych strojów i pereł i nie poświęcała godziny na układanie włosów.

Payson Tucker przyjeżdża, tak jak zapowiedział, dokładnie o szóstej, eleganckim samochodem w kolorze cytrynowo-czarnym. Gors śnieżnobiałej koszuli połyskuje w świetle reflektorów, gdy prawnik przechodzi przed maską, po tym, jak pomógł Olimpii zająć miejsce w aucie. Wydaje się wyższy i lepiej zbudowany niż poprzednio.

Dziewczyna tylko raz w życiu jechała samochodem (nie powiedziała o tym Tuckerowi) i czuje się lekko przestraszona, gdy auto nabiera prędkości na wąskiej, krętej drodze, która oddziela falochron od letnich domów w Fortune's Rocks.

- Jest pani zapewne jedną z niewielu osób, mieszkających tu na stałe - odzywa się Tucker.

- To bardzo możliwe.

- Nie przeszkadza pani życie w takiej izolacji? - pyta.

- Nie - mówi Olimpia. - Nawet chyba jestem z tego zadowolona.

Boy hotelowy odprowadza samochód, a prawnik bierze ją delikatnie pod ramię i prowadzi po schodach na górę. Chociaż Olimpia przygotowała się wcześniej, przez ułamek sekundy waha się przed wejściem do środka i pokrywa treść rozmową.

- Co przywiodło pana do Highland właściwie już po sezonie? - pyta Tuckera.

- Przyjechałem do Fortune's Rocks w sprawach służbowych, które załatwiam dzisiaj i jutro - wyjaśnia, prowadząc ją pewnie przez hol - a więc uznałem, że bez sensu byłoby wracać do Exeter, gdzie mieszkam. To wspaniała okazja, żeby ponownie się z panią zobaczyć.

Prowadzi Olimpię do restauracji, która na pierwszy rzut oka wygląda tak, jak ją zapamiętała. Tego dnia jest niewielu gości. Kelner zaprasza Olimpię i Tuckera do sielaka, na którym stoją białe świece i wazon z różami zeszłego lata. Dziewczyna zajmuje miejsce i przygląda się polyskującym kieliszkom, srebrnym kubelkom do szampana, ciężkim sztućcom, olbrzymiemu, kryształowemu żyrandolowi pośrodku sufitu, a potem studiuje menu (*ragout* baranie, indyk w sosie ostrygowym, zupa na kościach cielecych, imitująca żółwiową, pieczone jabłka na deser) i nagle dociera do niej, że minęły już cztery lata, odkąd przestała bywać w towarzystwie. Co więcej, okazuje się, że przywiązywała wówczas nadmierną wagę do luksusu, eleganckich mebli, wykwintnych dań i nakryć, tak jakby były jej przypisane z racji urodzenia, jako przywilej, co przyjmowała bez refleksji, zaledwie mgliście zastanawiając się niekiedy nad losem tych, którym taki luksus nigdy nie będzie dany. Teraz wydaje się jej, że owa nieświadomość jest niezbędna, aby cieszyć się owymi przywilejami, czy wręcz móc je znieść.

- Hotel będzie otwarty jeszcze tydzień - odzywa się Tucker.

- Wydaje mi się, że nie ma tu wiele miejsc, gdzie można się zatrzymać.

- Jeśli wolno mi zauważyć - i mam nadzieję, że nie obrażę tym pani - wygląda dziś pani pięknie - mówi prawnik.

Zdejmuje okulary i kładzie je na stole obok talerza. Olimpia ze zdumieniem spostrzega wówczas, że jej towarzysz ma intensywnie czarne oczy i długie, jedwabiste rzęsy.

- Jeśli poczułabym się urażona takim komplementem - odpowiada - nie wyobrażam sobie, jak moglibyśmy

współpracować przy mojej sprawie. O ile pamiętam, w czasie naszego pierwszego spotkania w pańskiej kancelarii rozmawialiśmy o dużo bardziej drażliwych sprawach.

Włosy mężczyzny, zaczesane tego dnia do tyłu, lśnią od wosku fryzjerskiego lub brylantyny. Olimpia domyśla się, że to pewnie nowy obyczaj i czuje, że jej szmaragdowy kostium, niezależnie od tego, jak uda się jej go przerobić, już niedługo wyjdzie z mody.

- Mieszka pan w Exeter z rodziną? - pyta.

- Mieszkam z matką, ojcem i siostrą. Odbywam praktykę w kancelarii ojca i on pozwala mi prowadzić niektóre sprawy. Jeśli przyszłaby pani wówczas pół godziny wcześniej, to zapewne on zajmowałby się teraz pani problemem.

- A zatem, przynajmniej raz w życiu cieszę się, że się spóźniłam - mówi ze śmiechem dziewczyna.

- Ja także jestem bardzo szczęśliwy - zapewnia ją Tucker może trochę zbyt gorliwie, niżby sobie życzyła.

Kelner przynosi butelkę szampana, a gdy Olimpia bierze do ust pierwszy łyk, ma wrażenie, że bąbelki podchodzą jej niemal do nosa.

- Lubi pani ostrygi? - pyta prwanik. , - Tak, lubię.

- Czuję się w obowiązku poinformować panią, ponieważ nie chciałbym być nieuczciwy ani też przyczynić się w jakikolwiek sposób do niepowodzenia sprawy, że dopiero rok temu ukończyłem wydział prawa w Yale - przyznaje się rozbijając szczerze, gdy kelner odchodzi. -Rozmawiałem o pani zamiarach z ojcem i jeśli wolałaby pani, aby to on ją reprezentował, absolutnie to zrozumieć. W rzeczy samej, doradzam pani przemyślenie tej decyzji. Mój ojciec ma dużo większe doświadczenie niż

ja, chociaż ta sprawa jest niecodzienna i z przykrością muszę przyznać, że nawet on nie prowadził dotychczas podobnej. W archiwach naszego hrabstwa nie znalazłem akt procesu podobnego do tego, jaki panią czeka.

- To moja sprawa jest taka niecodzienna?

- Okazuje się, że tak. O ile się orientuję, tego typu procesy odbyły się w sądach stanu New Hampshire do tychczas tylko dwa razy.

Ma ochotę dodać coś jeszcze, ale powstrzymuje się i gładzi palcami wąsy.

- A jaki był finał tamych? - pyta Olimpia po chwili.

- Żadna nie zakończyła się sukcesem dla powództwa

- mówi cicho prawnik.

- Rozumiem.

- Byłem zafascynowany, czytając historię pani domu

- odzywa się Tucker, chcąc zmienić temat.

- Miał pan okazję znaleźć coś o moim domu? - dziwi się dziewczyna.

- Wydawało mi się, że znam ten adres, gdy podała mi go pani w kancelarii. Sześć miesięcy temu, kiedy pracowałem nad sprawą diecezji katolickiej w Ely Falls, znalazłem kilka starych dokumentów dotyczących zgromadzenia - wyjaśnia. - Czy wiedziała pani, że kościół został zmuszony do zamknięcia klasztoru? Zdaje się, że miało to związek z jakimś skandalem.

- Nie - odpowiada Olimpia. - Myślałam, że kościół postanowił przenieść siostry do Ely Falls, aby mogły prowadzić szpital i sierociniec. Jestem pewna, że to właśnie powiedział mi ojciec.

- Owszem, nie wątpię, że tak było. Starano się utrzymać sprawę w tajemnicy. Kościół katolicki miał - i nadal ma - olbrzymie polityczne wpływy w Ely Falls. - Przerywa na chwilę, gdy kelner podaje im ostrygi na dużej tacy

z lodem, cytryną i sosem chrzanowym. - Dom zbudowano w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku dla młodych kobiet, których nie akceptowali ich najbliżsi, lub które musiały z innych powodów opuścić dotychczasowe miejsce zamieszkania. Klasztor w klasztorze, tak to wyglądało - wyjaśnia Tucker.

- Uczennice?

- Niektóre z nich były bardzo młode, miały nawet po dwanaście lat. Inne niespełna dwadzieścia. Były ofiarami gwałtów, a także służącymi skrzywdzonymi przez swoich chlebodawców.

Olimpia odkłada widelec do ostryg.

- Panie Tucker, zaskoczył mnie pan tą historią.

- Panno Biddeford - mówi Tucker tonem człowieka, który spostrzegł, że popełnił straszliwą gafę. - Tak mi przykro. Proszę mi wybaczyć.

- Nie chodzi o tę historię - odpowiada dziewczyna. - Ale tak bardzo przypomina ona moją sytuację. Domyślam się, że chodzi o niezamężne matki.

- Oczywiście, ale nie zamierzałem... Nie mam pojęcia, dlaczego... Chodzi o to, że nie myślę o pani tak, jak o tych nieszczęsnych istotach. Najmocniej panią przepraszam, jeśli ją obraziłem.

- Nie, nie - Olimpia macha ręką - proszę nie robić sobie wyrzutów. Nie mogę udawać, że te informacje mnie nie zaskoczyły, jestem też bardzo wrażliwa, jeśli chodzi o własną sytuację, ale muszę przyznać, że czuję olbrzymią ulgę, mogąc z kimś porozmawiać o tych sprawach. Przez wszystkie te lata ukrywałam wszystko w głębi serca i nikomu nie ufałam. A jeśli człowiek nie może rozmawiać o ważnych dla niego problemach, widzi, jak one potężnieją, ulegają zniekształceniu i nabierają dużo większego znaczenia, niż mają w rzeczywistości, w wyni-

ku czego można się stać ofiarą własnej przeszłości. Prawdę powiedziawszy, w ciągu tych czterech lat nie mogłam myśleć o niczym innym.

Tucker milczy dłuższą chwilę.

- Przykro mi, że przeszłość jest dla pani takim brze mieniem, panno Biddeford - odpowiada wreszcie z przejęciem - a zarazem muszę wyznać, że czuję się zaszczycony, będąc tym, któremu powierza pani tak osobiste sprawy.

Olimpia dotyka ust serwetką.

- Zwykle nie jestem taka drażliwa - oznajmia szybko. - Proszę kontynuować opowieść. Rozbudził pan moją ciekawość.

- Dobrze, ale to smutna historia. Po porodzie zabierano dziewczętom dzieci i oddawano je do sierocińca. W tamtych czasach stanowiły one większość wychowanków przytułku, który dla nich właśnie założono. Jednak nie wszystkie dziewczęta znalazły się w takich tarapatach. Niektóre, z uwagi na nieokiełznany temperament, były problemem dla swoich rodzin.

- I dlatego najbliżsi chcieli się ich pozbyć?

- Tak, mając nadzieję, że dziewczęta zostaną „okiełznane” - jak konie, mam wrażenie. Dyscyplina klasztorna była bardzo surowa. Dziewczęta zmuszano do złożenia ślubów milczenia, tak jak zakonnice tej reguły. - Tucker przerywa. - To wyjaławia wyobraźnię. - Jestem zaskoczona, panie Tucker, słysząc, że dom mojego ojca służył niegdyś takim celom. Wyobrażałam sobie to miejsce całkiem inaczej, jako miejsce spokoju i kontemplacji.

- Właśnie.

Kelner przynosi kolejne danie, indyka.

- Skandal wybuchł, gdy jedna z młodych kobiet, któ-

ra została tam umieszczona przez swoją matkę z powodu „swego rozpustnego i lubieżnego zachowania”, oskarżyła księdza o molestowanie seksualne i pozwała go przed sąd - kontynuuje prawnik. - Zanim rozpoczął się proces, okazało się, że ów duchowny, którego nazwisko usunięto z akt, muszę dodać, badał fizycznie młode kobiety, aby się upewnić, czy są... - Tucker przerywa i Olimpia widzi na jego twarzy rumieniec zażenowania. - Nie można tego powiedzieć subtelniej - mówi prawnik. - W zależności od wyników badania dziewczęta segregowano zgodnie z teorią, że te, które nie są... nietknięte... mogą sprowadzić te niewinne na złą drogę.

- Rozumiem.

- Sprawa została wycofana z sądu. W ramach przyjętej ugody Kościół zgodził się zamknąć klasztor. Zakonnice, większość z nich oczywiście była bez winy, przeniosły się do Ely Falls. Dwie z nich, które współpracowały z owym księdzem, zostały odesłane do Kanady. Jak pani zapewne wie, siostry z zakonu Świętego Jana Chrzciciela z Bienfaisance mają obecnie nieskazitelną opinię, pracują dla dobra społeczności, nierzadko z prawdziwym poświęceniem. Poza tym zrezygnowały ze ślubów milczenia.

- To nie było praktyczne.

- Nie. Zaiste. I rozpatrując ten wypadek z perspektywy czasu, można podejrzewać, że milczenie sprzyjało molestowaniu dziewcząt.

- A co się z nimi stało?

- W archiwach nie znalazłem nic na ten temat. Dziewczyna usiłuje sobie wyobrazić losy wychowanek klasztoru.

- Czy rodziny przyjęły je z powrotem? - pyta.

- Nie wiem.

- Ostrygi były wyśmienite - zmienia temat.

Tucker się uśmiecha.

- Ma pani apetyt, panno Biddeford.

Olimpia, nieco speszona, wygładza serwetkę na kolanach.

- Tej jesieni słyszę to już drugi raz - oznajmia.

- To wspaniała cecha, taki dobry apetyt - zauważa Tucker. - Nie przepadam za kobietami, które pragną sprawiać wrażenie nadmiernie delikatnych, chociaż w istocie wcale takie nie są.

Kobiety powinny także czerpać radość z jedzenia. Przecież to jedna z większych przyjemności w życiu, nieprawdaż? - Czekaj, aż kelner odejdzie. - Panno Biddeford, jest kilka spraw, o których powinniśmy porozmawiać - oświadcza. - Jeśli zależałoby to ode mnie, odsunąłbym te nieprzyjemne tematy w daleką przyszłość, ale niestety nie mogę, skoro mamy wszcząć ten proces. Zanim jednak zacznę, muszę powiedzieć, że pani towarzystwo sprawia mi ogromną przyjemność i mam nadzieję, że pewnego dnia spotkamy się na obiedzie, niekoniecznie po to, aby rozmawiać o pani sprawie.

- Oczywiście - odpowiada Olimpia. - Dziękuję.

- Mogę być z panią szczery? - pyta prawnik.

- Proszę.

- Nie zamierzam pani zniechęcać, ale muszę uprzedzić, że sprawa jest bardzo trudna. W wielu stanach zdecydowano, że matka biologiczna, ma mniej praw do dziecka niż matka zastępcza. Pani, oczywiście, jest matką biologiczną, a Albertine Bolduc będzie traktowana jako matka zastępcza.

Olimpia nie jest zadowolona z nazywania innej kobiety matką jej syna, chociaż wie, że to prawda.

- Co więcej, jako kobieta niezamężna, będzie pani uważana za najmniej odpowiednią osobę do opieki nad

synkiem. Niezameżna kobieta, która porzuciła własne dziecko, w zasadzie nie ma do niego żadnych praw.

- Rozumiem.

- Wiem, że to trudne - ciągnie adwokat. - Proszę powiedzieć, jeśli zbyt panią zdenerwowałem.

Olimpia usiłuje zachować spokój. Musi, powtarza sobie, uodpornić się na tego rodzaju stwierdzenia. Nie może dać się zniechęcić zbyt szybko. Przypuszcza nawet, że Tucker z całą świadomością opowiedział jej o skandalu związanym z domem w Fortune's Rocks, aby przygotować ją w pewien sposób do bardziej drażliwych kwestii dotyczących obecnej sprawy.

- Nie, wszystko w porządku - zapewnia go. - No, dobrze, nie w porządku. Oczywiście, że się denerwuję. Ale rozumiem, że muszę wysłuchać tego, co ma mi pan do powiedzenia. Co więcej, chciałabym wiedzieć o wszystkim, o czym pan wie, ponieważ w przeciwnym razie nie mogłabym podjąć żadnej rozsądnej decyzji. Tucker kiwa głową. Jego dłoń spoczywa na stole tuż obok jej dłoni i Olimpia czuje, że w innych okolicznościach mógłby jej dotknąć, lecz nie teraz.

- Dlatego tak ważne jest, abyśmy udowodnili, że nie porzuciła pani dziecka, lecz że zostało ono pani odebrane — tłumaczy prawnik. - Dotarłem do kilku faktów, które chciałbym pani przedstawić, jeśli zdoła mnie wysłuchać.

- Czy to takie straszne?

- To dość... trudne.

- Jestem gotowa i zawsze będę - oświadcza Olimpia.

- Zaraz po narodzinach synka pani ojciec oddał chłopca Josiahowi Little - zaczyna Tucker.

- Josiahowi! - wykrzykuje Olimpia, zanim zdąży się opanować. Prawniki unoszą ręce.

- On i jego żona Lisette wzięli dziecko po południu w dniu porodu i zawieźli je pociągiem do Ely Falls.

Olimpii kręci się w głowie od zasłyszanych rewelacji. Lisette! Jak to możliwe? Olimpia wraca myślami do dnia porodu. Czy Lisette była przy niej, gdy dziecko się urodziło? Nie pamięta. Nie, chyba jej nie było. Czy to nic-matka siedziała z nią cały długi dzień, kiedy Olimpia tra ciła i odzyskiwała świadomość?

- Zawieźli noworodka do Johna Haskella, który mieszkał w hotelu w Ely Falls. Domyślam się, że John Haskell zabrał dziecko, a Josiah i Lisette wrócili następnym pociągiem do Bostonu. Następnie doktor Haskell zaniósł chłopca do sierocińca Świętego Andrzeja. Wcześniej wszystko zostało ustalone.

- Trudno mi to zrozumieć - szepcze Olimpia. - Nic-mogę pojąć, jak on mógł oddać własne dziecko do przytułku - zastanawia się, chwilowo porażona tą wiadomością.

- Chce pani chwilę odpocząć? Dziewczyna kręci głową. Tucker nakłada okulary.

- Wkrótce potem - tłumaczy - chłopiec został zabrany przez Albertine i Telesphore'a Bolduców. Formalnie nie zaadoptowali dziecka, ponieważ nie można było znaleźć Johna Haskella, który przed wyjazdem nie podpisał stosownych dokumentów. Zatem adopcja, nawet jeśli Bolducowie mieliby pieniądze na opłaty sądowe, a takiej kwoty notabene nie mieli, nie była możliwa. Jednak okaże się możliwa, w momencie gdy wniesie pani sprawę.

- A zatem mogę wnieść sprawę - mówi Olimpia.

- Z prawnego punktu widzenia, tak. Pod nieobecność Johna Haskella i uznając, że porzucił dziecko.

- Pan jednak uprzedza, że jeśli przegram, Bolducowie będą mogli legalnie zaadoptować dziecko.

- Umożliwi im to prawo stanowe.

- Rozumiem. Czy wie pan, gdzie jest teraz John Haskell? - pyta.

- Nie. Gdybym wiedział, zapewniam panią, że wyjawilibym to od razu. Kontaktowaliśmy się z byłą panią Haskell, która dwa lata temu rozwiodła się z mężem, ale nie odpowiedziała nam i zapewne już nie odpowie. Rozmawialiśmy jednak z jej adwokatem, który dał nam do zrozumienia, że doktor Haskell przysyła pani Haskell regularnie pieniądze przez Bank New Hampshire.

Olimpia zamyka oczy, skonsternowana, że Catherine została wmieszana w tę sprawę. Skonsternowana, że panią Haskell poproszono o informacje. I nagle dociera do niej, wyraźniej niż wcześniej, że zaczyna coś, co sięgnie daleko poza nią samą i nie będzie już można tego zatrzymać.

- Albertine i Telesphore mieszkają z dzieckiem w jednym pokoju - ciągnie Tucker. - Albertine pracuje jako gręplarka w fabryce w Ely Falls od godziny piątej trzydzieści rano do czwartej po południu, sześć dni w tygodniu, rozczesując surową bawełnę, tak aby można z niej uprząść nić. To niebezpieczna praca, muszę dodać, ponieważ występuje wysokie zagrożeniem bysynozą. Wie pani, co to bysynoza?

-Tak.

- Roczne wynagrodzenie tej kobiety za taką pracę wynosi trzysta trzydzieści sześć dolarów i dziewięćdziesiąt sześć centów.

Olimpia patrzy wyczekująco na Paysona Tuckera.

- Wydaje się, że oboje dobrze opiekują się dzieckiem - kontynuuje prawnik - niezależnie od tego, ile ich to kosztuje. Muszę panią uprzedzić, że ich pracowitość

i troska o potrzeby dziecka, jak również wielkie poświęcenie niewątpliwie znajdą przychylność w oczach sędziego.

Olimpia kiwa głową.

- Muszę pani powiedzieć coś jeszcze - dodaje Tucker - i ostrzegam, że nie będzie to przyjemne.

Olimpia patrzy na niego wyczekująco.

- Czy może być coś jeszcze gorszego?

Adwokat opiera łokcie na stole i pochyla się w jej stronę.

- Powiem pani teraz, że nie powinna pani wnosić tej sprawy - oświadcza. - Proszę mi pozwolić wyjaśnić, co się stanie, gdy pani to zrobi. Proces będzie żmudny i nieprzyjemny. Pani zostanie zaliczona do najniższej warstwy społecznej, niezameżnych matek. Pani życie stanie się sprawą publiczną w sposób, jakiego nawet nie może sobie pani wyobrazić. Z dużym prawdopodobieństwem można przewidzieć, że proces będą relacjonować codzienne gazety z Bostonu. W dwóch sprawach, o których wcześniej wspominałem, powódki zapłaciły wysoką cenę. Jedna z tych młodych kobiet wkrótce po ogłoszeniu wyroku popełniła samobójstwo.

Olimpia czuje, jak lodowacieją jej dłonie. Gdy Tucker nie patrzy, chowa je w fałdy spódnicy.

- Przykro mi, że mówię pani o takich przykrych rzeczach - tłumaczy się prawnik. - Chciałbym jednak, aby pani zrozumiała, że jeśli zdecyduje się na proces, z całą pewnością straci pani reputację, niezależnie od wyroku. Nie sądzę, aby adwokat Bolduców miał wzgląd na pani wrażliwość czy delikatność. Nawet ja, o ironio, nie będę mógł pani oszczędzić. Zacznę być tak bezwzględny jak przeciwnicy.

- Jakie mam wyjście?

- Bardzo proste, panno Biddeford. Proszę nie wnosić sprawy. Olimpia patrzy na Paysona Tuckera, na jego okulary w złotych oprawkach, wypomadowane włosy, dobrze przystrzyżone wąsy.
- I wówczas nigdy nie zobaczę syna - stwierdza.
- Tak będzie.
- Nigdy go do siebie nie przytulę. Prawnik milczy.
- Nigdy nie będę go uczyć - wylicza dziewczyna lekko podniesionym głosem. - Nigdy nie będę go ubierać. Nigdy do niego nie przemówię ani on do mnie.
- Nie.
- To nie jest wyjście, panie Tucker. Muszę wnieść sprawę. Adwokat wzdycha i opiera się na krześle. Rozgląda się po nadmiernie ozdobionej restauracji i obserwuje nielicznych gości.
- A zatem proszę pozwolić mi sobie pomóc - mówi krótko. Chmury zakryły księżyc i Olimpia widzi tylko fragment drogi oświetlony reflektorami samochodu: błysk ściany falochronu, róg drewnianego domu, wydłużoną * sylwetkę słupa telefonicznego.
- Do tej pory tylko raz jechałam samochodem - przyznaje się. - Kiedy byłam w szkole, któregoś dnia odwiedził nas jeden z fundatorów seminarium. Znalazłam się wśród uczennic zaproszonych na przejażdżkę do obserwatorium, które znajdowało się na niewielkim wzgórzu.
- Gdzie się pani uczyła?
- Jestem pewna, że nigdy pan nie słyszał o tej szkole. Żeńskie seminarium w Hastings. To niedaleko Fairbanks, w zachodniej części Massachusetts.

- Podobała się pani?

- Myśli pan o przejażdżce czy o szkole? Tucker się uśmiecha.

- Mam na myśli jedno i drugie.

-Jazda samochodem przeraziła mnie. Byłam przeko nana, że ześlizgniemy się ze zbocza góry. Przez cały czas w obserwatorium zastanawiałam się, co zrobić, żeby zejść na dół piechotą. A jeśli chodzi o szkołę, to szczerze jej nienawidziłam.

Przygląda się z zainteresowaniem, jak jej towarzysz zmienia biegi. I teraz wydaje się jej, że polubiłaby prowadzenie samochodu.

Wyobraża sobie luksus jeżdżenia do Ely Falls i z powrotem.

Kiedy Tucker otwiera drzwi auta, Olimpię natychmiast otula delikatna jak pajęczyna mgiełka, którą czuje na twarzy i na dłoniach.

- Pada deszcz? - pyta.

- Właśnie zaczyna - mówi prawnik, ujmując ją pod ramię.

- Jest bardzo ciemno - zauważa Olimpia, wyczuwając stopami kamienistą dróżkę.

- Mam poczekać, aż zapali pani lampę? - pyta Tucker, gdy dochodzą do kamiennych schodków.

- Nie, znam drogę. Dziękuję.

W ciemności nie widzi jego twarzy. Wyciąga rękę, którą on ujmuje. Ma pewny uścisk i ciepłe dłonie.

- Jest mi szalenie przykro, bardziej niż potrafię to wyrazić, że byłem zmuszony przekazać pani takie nieprzyjemne wiadomości - mówi. -

Podziwiam panią od chwili, gdy weszła pani do mojej kancelarii.

Olimpia wycofuje rękę. W powietrzu czuć delikatną woń wody Castile. Już dawno nie stała tak blisko mężczyzny.

- Wciąż go pani kocha? - pyta nagle adwokat. Dziewczyna nie jest tak bardzo zaskoczona pytaniem

młodego prawnika, jak mogłaby być, ponieważ domyśla się, że Payson Tucker czeka! zapewne cały wieczór, aby je zadać.

- Czy kobieta jest w stanie nadal kochać mężczyznę, który być może nawet nie istnieje? - odpowiada.

Słyszy odjeżdżający samochód, warkot silnika cichnie w ciemności. W kapeluszu i rękawiczkach przechodzi przez pokoje, wyobrażając je sobie pełne dziewcząt, które złożyły śluby milczenia i zostały odseparowane od swoich rodzin, gdyż bliscy nie potrafili im wybaczyć. Jakie to niezwykle, że dom, w którym zaznała luksusów i miłości, w którym John Haskell kiedyś ją całował i przytulał, gdzie Josiah figlował niegdyś z Lisette, grała orkiestra i tańczyły piękne kobiety, a mężczyźni prowadzili mądre rozmowy i palili cygara, krył w sobie przez cały czas tak przerażającą historię, a po dawnych cierpieniach i smutku nie pozostał żaden ślad.

Olimpia wchodzi na piętro do rzadko używanej sypialni i siada na łóżku. To przyjemny pokój, na ścianach są tapety w niezapominajki, w oknach wiszą delikatne, kordonkowe firanki. W świetle ozdobionej bursztynami lampy, oświetlającej toaletkę matki, widzi ślady mokrych filiżanek i kieliszków, stawianych na nocnym stoliku z mahoni. Stara się pamiętać o dwóch obliczach tego domu, jego przeszłości i terażniejszości, o klasztorze i miejscu letniego wypoczynku i nagle zaczyna rozumieć - a może ma wizję tego - co zrobi pewnego dnia z letnim domem ojca.

Obcasy zimowych butów Olimpii głośno stukają na kamiennej posadzce sądu. Po obu stronach mrocznego korytarza stoją na wysokich, kamiennych postumentach brązowe popiersia, a pomiędzy nimi ustawiono niskie, obite skórą ławki, tak więc gdy dziewczyna siada na jednej z nich, czekając na Paysona Tuckera, czuje się mała i pozbawiona znaczenia, co zapewne było intencją architekta. Prawo jest potężniejsze niż człowiek, który je stworzył, to właśnie zdają się głosić mędrcy z brązu. Prawo jest potężniejsze od tych, którzy domagają się jego przestrzegania.

Olimpia przygląda się, jak śnieg z jej butów topnieje i na posadzce powstają niewielkie kałuże. Szyby w wysoko umieszczonych oknach na przeciwległej ścianie niemal nie przepuszczają światła z powodu brudu i starości, w budynku nie tylko więc nie słychać, ale także nie widać burzy śnieżnej, która szaleje nad miastem. Dziewczyna będzie musiała spędzić najbliższą noc w hotelu Ely Falls, pogoda bowiem uniemożliwi powrót do domu.

W Fortune's Rocks była tego roku sroga zima. Cały styczeń, luty i marzec padał śnieg, zasypując nie tylko dom i plażę, ale także nadmorskie skały. Kiedy Olimpia czekała, aż rozpoczną się przesłuchania, domem wstrzą-

sały porywy wiatru, a pod oknem rosły śnieżne zaspasy. Przez kilka tygodni nie opuszczała domu, a kiedy mogła przedostać się do Goldthwaite po zakupy albo pojechać do Ely Falls na spotkanie z Paysonem Tuckerem, ludzie zawsze rozmawiali o sztormach. To niezwykle, aby na wybrzeżu padał taki śnieg. Kiedy to się skończy? Z zasłyszanych komentarzy domyśliła się więc, że nie mogła wybrać gorszej zimy na zamieszkanie w Fortune's Rocks.

W perspektywie długiego korytarza spostrzega idącego w jej stronę Tuckera, jego wrzecionowata sylwetka wyłania się z zasłony kurzu. Olimpia najpierw widzi błysk jego okularów, a dopiero później twarz. Za nim pojawiają się na korytarzu także inne osoby, jakby pod gmach sądu przyjechał tramwaj. Futrzany kołnierz płaszcza Tuckera pokryty jest śniegiem, a okulary pod wpływem ciepła zachodzą mgłą, więc kiedy adwokat podchodzi, Olimpii wydaje się, że w jego twarzy nie ma oczu. Tucker stawia przed nią teczkę.

- Panno Biddeford - wita się, zdejmując okulary i przecierając je chusteczką do nosa wyjętą z kieszeni.

- Panie Tucker.

Tucker zdejmuje szal, za nimi słychać lekkie syczenie grzejnika.

- Jest pani gotowa?

- Mam nadzieję, że tak - odpowiada Olimpia.

- Poproszę panią pierwszą, tak jak ustaliliśmy. Aczkolwiek to może trochę potrwać. Wszystko zależy od tego, jakie kroki poczyni pan Sears.

- Tak, rozumiem.

- Okropny sztorm. Mam nadzieję, że przesłuchanie nie zostanie przełożone. - Tucker na moment odwraca wzrok, ale po chwili ponownie patrzy na swoją klientkę. - Przed wejściem muszę jeszcze o czymś panią zawiado-

mić - mówi - nie chciałbym bowiem, aby była pani zaskoczona lub zbita z tropu.

- Tak?

Tucker siada obok niej na ławce. Pachnie mokrą welną i oczywiście Castile.

- Wezwałem do sądu pani ojca - oznajmia.

Jest tak bardzo zaszokowana, że adwokat natychmiast kładzie rękę na jej dłoniach.

- Usiłowałem się z nim skontaktować przez kilka tygodni, ale pani rodzice przebywali za granicą.

- We Włoszech. - Olimpia kiwa głową. - Ale czemu pan to zrobił?

- Nie mogę udowodnić pani racji bez zeznań pani ojca i Josiaha jako świadków.

- Wezwał pan także Josiaha? - Olimpia czuje, że pod płaszczem robi się jej gorąco. Rozpina kilka górnych guzików. - Jak mógł pan to uczynić bez porozumienia się ze mną?

- Panno Biddeford, wynajęła mnie pani, abym przedstawił sądowi pani sprawę - mówi, zdejmując płaszcz, adwokat.

- Tak, ale...

- I muszę to zrobić najlepiej, jak potrafię. A to może ode mnie wymagać poczynań, których wcześniej nie przedyskutowaliśmy.

- Mój ojciec tu przyjedzie? Dzisiaj?

- Tak. Wierzę, że będzie mógł, jeśli sztorm mu nie przeszkodzi. Mam nadzieję, że przyjechał do miasta już wczoraj.

Olimpia odwraca głowę. Nie powiedziała ojcu nawet o tym, że wie, gdzie znajduje się jej syn, a co dopiero o wystąpieniu o przywrócenie praw do dziecka.

-Jeśli pani rzeczywiście uważała, że może wnieść

sprawę bez zeznań innych osób - ciągnie Tucker - to obawiam się, że wprowadziłem panią w błąd.

- Mój ojciec nic nie wiedział o tej sprawie - obrusza się Olimpia.

- No tak. Ale teraz już wie. Wie o wszystkim.

- Czy bardzo był zaskoczony, gdy go pan zawiadomił? Tucker chwilę się zastanawiał.

- Wydawał się nieco zdziwiony, choć nie tak bardzo, jak się spodziewałem. W rzeczy samej, może mi pani wierzyć lub nie, ale pani ojciec obiecał pomóc we wszystkim, w czym będzie mógł. Muszę przyznać, że odniosłem wrażenie, iż sprawiło mu to ulgę.

- Rozmawiał pan z nim?

- Najpierw napisałem list, a nawet dwa. Wczoraj rano zaś rozmawiałem z nim przez telefon.

- To mój ojciec ma telefon? - nie może uwierzyć Olimpia.

Pomieszczenie jest niewielkie, wykładane drewnem, przeznaczone do przesłuchań, nie dla publiczności. Przytulna atmosfera, jaką początkowo czuje Olimpia, znika po kilka minutach, gdy wchodzi Albertine i Telesphore Bolduc i siadają, zgodnie z poleceniem woźnego sądowego, po drugiej stronie przejścia między krzesłami, w tym samym rzędzie co Olimpia i Payson Tucker. Oboje są tak blisko niej, jak to bywa w kościele. Chociaż dziewczyna dwukrotnie widziała Albertine, ta nigdy jej nie spotkała i przez dłuższą chwilę obie kobiety przyglądają się sobie. Ta wymiana spojrzeń jest krępująca, Olimpia jednak wytrzymuje i nie odwraca wzroku. Jeśli ma przedstawić sądowi swoją sprawę, powtarza sobie, powinna umieć patrzeć tej kobiecie w twarz.

Albertine ma głęboko osadzone oczy. Rysy jej twarzy są wyraziste, chociaż daleko im do klasycznej regularności.

Z tej twarzy łatwo wyczytać emocje i Olimpia natych miast orientuje się, że pani Bolduc jest wściekła. Ale jej wściekłość przeplata się z ciekawością. Czy szuka w twarzy Olimpji podobieństwa do chłopca? A może próbuje zrozumieć, jakie względy kierowały dziewczyną, gdy zde cydowała się wytoczyć sprawę? Szuka wyrazu stanów czości? Gęste, ciemne włosy Albertine wyrastają stosunkowo nisko nad brwiami, a nad górną wargą widai meszek. Jej wargi i policzki są czerwone z natury, jak do myślą się Olimpia, a nie dzięki kosmetykom. Kobieta ma na sobie czarny, wełniany kostium, który albo został uszyty przez niezbyt utalentowaną krawcową, albo pożyczony na tę okoliczność od znajomej. Jednak mimo źle dopasowanego stroju Albertine siedzi godnie wyprostowana. Jej mąż, zajmujący krzesło obok, wychyla się w pewnej chwili do przodu, aby zobaczyć, komu tak uporczywie przygląda się jego żona. Przypomina sobie wówczas, że wciąż ma na głowie czapkę, i natychmiast ją zdejmuje. Jego wąsy są wilgotne, policzki czerwone od mrozu. Mówi coś do Albertine, a ona odpowiada, ledwo poruszając ustami.

Miejsce z drugiej strony pani Bolduc zajmuje otyły, łysiejący mężczyzna z bokobrodami i monoklem, który zasłania Olimpji widok. Mężczyzna stawia na stoliku przed sobą skórzaną teczkę. Obserwację adwersarzy przerywa Olimpji głos woźnego sądowego, który ogłasza wejście sędziego.

- Proszę wstać, idzie sędzia przewodniczący Levi Littlefield. Sędzia wkracza do sali z zamaszystym poszumem togi. Niewysoki, drobny blondyn, bez wąsów, brody czy okularów, wydaje się Olimpji młodszy, niż się spodziewała. Jedynie toga sędziowska dodaje mu atrybutu władzy.

- Wydaje się taki młody - szepcze Olimpia Tuckerowi, gdy ponownie zajmują swoje miejsca.
- Wcale nie jest taki młody - odpowiada adwokat. - Niech pani nie da się zwieść jego wyglądowi. To przenikliwy i twardy prawnik.
- Pan Payson Tucker - zwraca się do zgromadzonych Levi Littlefield, przeglądając rozłożone przed sobą na stole dokumenty - jako adwokat powódki proszony jest o przedstawienie sądowi sprawy. Tucker wstaje i podchodzi do mównicy ustawionej między miejscami adwokatów obu stron. Jest tak wysoki, że musi się pochylać, aby przeczytać przygotowane notatki. Olimpia zwraca uwagę, że przystrzygł włosy i zaczesał je do tyłu. Widzi go teraz z profilu, siedząc nieco z tyłu, z lewej strony mównicy. Dłonie Tuckera lekko drżą. Czy to możliwe, że to jego pierwsza sprawa?, zastanawia się Olimpia. Nigdy o to nie pytała.
- Występuję z pozwem *habeas corpus* w sprawie dotyczącej dziecka płci męskiej, Pierre'a Francisa Haskella, w wieku trzech lat, dziesięciu miesięcy i trzynastu dni, zamieszkałego aktualnie w Ely Falls, New Hampshire.
- Mecenasi Tucker, proszę przedstawić sprawę.
- Otóż Albertine i Telesphore Bolduc, zamieszkali przy Alfred Street sto trzydzieści siedem w Ely Falls, New Hampshire, przez okres trzech lat i około dziesięciu miesięcy pozbawili wspomniane dziecko wolności. To pozbawienie wolności jest rezultatem bezprawnego i potajemnego odebrania chłopca w dniu czternastego kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku jego matce, powódce Olimpii Biddeford. Owo bezprawne odebranie dziecka miało miejsce za sprawą ojca powódki, Phillipa Arthura Biddeforda z Bostonu w Massachusetts, w wyniku czego dziecko zostało pozbawione wolności, a wspomniana matka

pozbawiona praw macierzyńskich. Czternastego kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku dziecko zostało bezprawnie oddane pod opiekę jego ojca, doktora Johna Warrena Haskella, miejsce zamieszkania nieznane. Piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku wspomniany ojciec bezprawnie oddał dziecko pod opiekę zakonnic pro wadzających sierociniec Świętego Andrzeja w Ely Falls, w New Hampshire, które równie bezprawnie przekazały później dziecko aktualnym opiekunom.

- Panie Tucker, czy dziecko jest w sali? - pyta sędzia, przerywając adwokatowi.

- Wysoki sędzie - wyjaśnia Payson - pozwani prosili, aby dziecko mogło pozostać na czas przesłuchania pod opieką rodziców Albertine Bolduc, którzy mieszkają przecznicę od budynku sądu. Chłopiec pozostanie z nimi do dnia ogłoszenia wyroku, kiedy to będzie przyrowadzony na salę rozpraw.

- Czy strona wnosząca sprawę wyraża zgodę?

- Tak, wysoki sędzie. Nie chcemy, aby dziecko przebywało w warunkach, do których nie jest przyzwyczajone.

- Zgoda. Czy Phillip Biddeford i przedstawicielka sierocińca Świętego Andrzeja są dzisiaj reprezentowani w sądzie?

- Phillip Biddeford zrezygnował z prawnego reprezentanta i zgodził się złożyć zeznania na rzecz powódki. Także przedstawicielka sierocińca Świętego Andrzeja zgodziła się złożyć zeznania na rzecz pozwanych, których reprezentuje mój kolega, mecenas Addison Sears.

- Czy pan to potwierdza, panie Sears?

- Tak wysoki sędzie, potwierdzam.

Przeglądając notatki, Tucker zwraca się mniej formalnie do sędziego.

- Wysoki sędzie, ponieważ ten proces o bezprawne

decyzje nieodwołalnie skupia się na dziecku pozostającym pod opieką Albertine i Telesphore'a Bolduców i ponieważ nie jest to sprawa karna, a raczej sprawa o przyznanie opieki nad dzieckiem, powódka chce jedynie pozwać państwa Bolduców jako nielegalnych rodziców zastępczych. W trakcie procesu okaże się więc, czy pojawią się zarzuty o charakterze karnym.

- Rozumiem, że nie ustalono miejsca pobytu ojca rzezonego dziecka płci męskiej? - upewnia się sędzia Littlefield.

- Nie zdołano tego ustalić - odpowiada Payson Tucker.

- Dobrze - mówi sędzia. - Zaczynamy.

Wstaje Addison Sears, nieco niższy od Olimpii, podchodzi do mównicy i poprawia monokl. Olimpia widzi na jego pulchnych palcach lewej ręki kilka diamentowych pierścionków. Jego surdut jest świetnie skrojony, co stanowi uderzający kontrast z ubraniem klientów. Przed rozpoczęciem mowy pije wodę ze szklanki, którą wziął ze sobą na mównicę.

- Dzień dobry, wysoki sądzie - mówi tonem sugerującym, że osobiście zna sędziego.

- Dzień dobry, panie Sears - odpowiada przyjacielsko sędzia.

- Wysoki sądzie, sprawa jest prosta - zaczyna Sears, kartkując notatki, jakby nie było tam nic naprawdę istotnego. - W naszym kraju nie ma ustawy, która obligowałaby sąd do powierzenia opieki nad Pierre'em Francisem Haskellem młodej osobie siedzącej po mojej lewej stronie. - Przerywa na chwilę, pozwalając, aby skojarzenia z określeniem młoda osoba nabrały wyrazu. - Ale przyjrzyjmy się faktom - kontynuuje. - Rozwiązała piętnastolatka, niemal jeszcze dziecko, z dziecięcym widzeniem

świata i brakiem dojrzałej oceny sytuacji, cudzołóży z mężczyzną niemal trzykrotnie starszym od niej, w efekcie czego mężczyzna ów porzuca swoją żonę i czworo dzieci. - Sears przerywa, aby moralna wymowa tych słów dotarła do wysokiego sądu. - Następnie wydaje na świat syna, którego porzuca - kontynuuje. - Przez lata nie wykazuje najmniejszego zainteresowania jego sytuacją. Nie dopytuje się o zdrowie i warunki, w jakich żyje chłopiec. Nigdy go nie odwiedza. A teraz zwraca się do sądu o prawo opieki nad tym dzieckiem? - Sears kręci głową, jakby z niedowierzaniem. - Prawdę powiedziawszy, wysoki sędzi, gdyby protokoły nie były tak poważne, sytuacja byłaby śmiechu warta.

Sędzia Littlefield się nie śmieje. Sears wkłada palce do kieszeni wełnianej kamizelki.

- Bez uciekania się do hermetycznego języka naszej szacownej profesji, zwracam się o pozwolenie przedstawienia stanowiska pozwanych w taki sposób, aby młoda osoba po mojej lewej stronie była w stanie zrozumieć - mówi Sears, patrząc znacząco na Tuckera, który sam, oczywiście, nie miał zamiaru odrzucić hermetyzmu prawniczego języka.

- Bardzo proszę, panie Sears. Proszę dalej.

- Zadanie pozwanych na dzień dzisiejszy jest dwukierunkowe.

Udowodnimy, że Olimpia Biddeford nie jest odpowiednią matką dla swojego syna ani w ogóle jakiegokolwiek dziecka. Udowodnimy także, że w najlepiej pojętym interesie dziecka powinno ono pozostać pod opieką Albertine i Telesphore'a Bolduców, którzy byli przybranymi rodzicami dziecka niemal od chwili jego urodzenia. - Sears znowu pije wodę, przepłukując gardło. - Zdołamy dowieść, wysoki sędzi, że powódka, Olimpia Biddeford, gdy miała piętnaście lat, a więc była

w wieku, kiedy formuje się charakter człowieka, nawiązała niedopuszczalne relacje seksualne z żonatym mężczyzną, który miał czwórkę dzieci. Pokażemy, że Olimpia Biddeford nie tylko jest winna rozpustnego i lubieżnego zachowania, ale także okazała się zdeprawowaną, wulgarną i nikczemną kobietą.

Sears powoli odwraca się i spogląda wprost na Olimpię. Chociaż obiecała sobie, że będzie spokojna, policzki jej płoną, jakby potwierdzając słuszność oskarżeń Searsa. Adwokat gwałtownie odwraca się plecami do dziewczyny, okazując, że nie może nawet na nią patrzeć.

- Wysoki sędzie, sądy w tym kraju zawsze stały na stanowisku, że jeśli pozostawi się dziecko pod opieką niemoralnie prowadzącej się matki, istnieje niebezpieczeństwo, iż owo dziecko w przyszłości może stać się człowiekiem niemoralnym. Niezameżne matki w niemal wszystkich sprawach, jakie trafiały do sądów, pozbawiane były nie tylko opieki nad dziećmi, ale także prawa ich widywania. Olimpia Biddeford nie interesowała się sytuacją materialną chłopca - kontynuuje Sears. - Opuściła syna w dniu, gdy go urodziła, nigdy nie starała się go odszukać, nigdy nie wysłała ani centa na jego utrzymanie, aż do ubiegłej jesieni nie wiedziała nawet, gdzie jest. Co więcej, nigdy nie spotkała się z nim ani nie rozmawiała. Zgodnie z prawem naszego kraju matka, która porzuca swoje dziecko, która pozwala, aby zbyt długo pozostawało w rodzinie zastępczej, traci prawa do opieki nad nim i prawne przywileje. Ponieważ w stanie New Hampshire nie ma precedensów prawnych w podobnych sytuacjach, chciałbym przytoczyć wyroki wydane w interesujących nas procesach w innych stanach. Jeśli można, zacytuję fragment wyroku z tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego roku, jaki zapadł w Sądzie Najwyższym Connec-

ticut w sprawie Hoxie versus Potter: „Sądy nie są powołane, aby zrywać więzy, które uformowały się za przyzwoleniem prawa, i stoją na stanowisku, że szczęście chłopca, prawa i uczucia jego przybranych rodziców będą najlepiej chronione, jeśli prawa opiekuńcze pozostaną tam, gdzie były dotąd”.

Olimpia patrzy na Tuckera, który utkwił spojrzenie w rozłożonych notatkach.

- Olimpia Biddeford jest matką naturalną, ale nie matką, która wychowywała to dziecko - zaznacza Sears. - Nawet jeśli byłaby kobietą moralnie nieskazitelną, jaką oczywiście nie jest, zostałaby uznana za niewłaściwą opiekunkę z uwagi na swój wiek w chwili poczęcia dziecka, gdyż miała wówczas zaledwie piętnaście lat, jak również z uwagi na to, że jest niezamężna i nie gwarantuje religijnego wychowania chłopca. Sama nie należy do żadnego kościoła, a także nie uczestniczy regularnie w nabożeństwach. - Sears odwraca się na chwilę i wskazuje na Olimpię gestem, od którego przechodzą ją dreszcze. - Być może Olimpia Biddeford chce się zrehabilitować i próbuje odzyskać dziecko - mówi, jak gdyby było to niezwykle osobliwe pragnienie. - Faktycznie, raz próbowano w ten sposób zmylić sąd. Zacytuję tu fragment werdyktu z tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku Sądu Najwyższego Tennessee: „Jeśli kobieta jest niezamężną matką, dziecko może pozytywnie wpłynąć na odbudowę jej charakteru poprzez uczucia macierzyńskie. Miłość do dziecka i lęk przed rozłąką może okazać się dla niej zbawieniem”. - Sears patrzy na sędziego i podnosi rękę. - Jednak wysoki sędzię, stan New Hampshire nie dba o rehabilitację moralną matki. Przede wszystkim i nade wszystko musi dbać o dobro samego dziecka.

Olimpia mocno splata dłonie na kolanach. Ale ja też dbam o dobro dziecka, ma ochotę zawołać.

- Tak więc, nie zajmujmy się przez chwilę charakterem Olimpii Biddeford - kontynuuje adwokat. - Zajmijmy się wyłącznie dobrem dziecka.

Teraz Sears odwraca się i patrzy na Albertine i Telesphore'a Bolduców, którzy jednocześnie opuszczają głowy, jakby sami czuli się winni. Wydają się co najmniej tak samo zawstydzeni procesem jak Olimpia.

- Zacytujmy fragment wyroku, jaki zapadł w sprawie Chapsky versus Wood z tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku - mówi. - Jeśli przez lata nikt nie upomina się o dziecko, a zatem tworzą się nowe więzy i dziecko przyzwyczaja się do określonego życia oraz myślenia, należy zwrócić szczególną uwagę, aby na skutek zmiany dziecko nie poniosło szkód. Powszechnie wiadomo, że w miarę upływu czasu więzy krwi ulegają osłabieniu, a wzrasta przywiązanie do opiekunów; rozwój i dobro dziecka zależą od tego, czy robi się wszystko, aby te więzy umiejętnie zacieśnić. - Pod pretekstem przeglądania notatek robi kolejną przerwę. - Państwo Bolduc od dziesiątego dnia życia Pierre'a Francisa Haskella byli jego przybranymi rodzicami - w rzeczy samej, przez całe jego życie. Dziecko nie zna innych krewnych. Bolducowie przelali na chłopca całą miłość i serce, jakim obdarzyliby własne dziecko, gdyby Albertine nie była bezpłodna. Państwo Bolduc są w odpowiednim wieku, aby opiekować się dzieckiem: oboje mają po trzydzieści dwa lata. Tworzą solidny związek małżeński, żyjąc razem w zgodzie i szczęściu przez jedenaście lat. Oboje są od wielu lat członkami parafii Świętego Andrzeja przy kościele katolickim w Ely Falls i regularnie biorą udział w nabożeństwach. Wyrazili głębokie pragnienie, aby dać chłopcu odpowiednie pod-

stawy religijne. Co więcej, są mocno zaangażowani w życie społeczności franko-amerykańskiej w Ely Falls, a tak że mają liczną rodzinę, wielu kuzynów, ciotki, wujków i dziadków, którzy nie widzą świata poza tym dzieckiem. Jak wysoki sąd z całą pewnością wie, Franko-Amerykanie są znani z silnych więzów rodzinnych i kulturalnych, które określa się terminem *la fot*. Oprócz tego przybrani rodzice chłopca ciężko pracują. Oboje są zatrudnieni w fabryce w Ely Falls i z wielkim poświęceniem, dostatecznie, jeśli nie wręcz wspaniale, opiekują się dzieckiem. Wysoki sąd będzie mógł wysłuchać zeznań Albertine Bolduc odnoszących się do jej uczuć i poświęcenia dla chłopca. - Sears zdejmuje monokl i pozwala mu opaść na pierś.

- Wysoki sędzie, to byłaby zbrodnia - zbrodnia - pozbawiać dziecka jedynych rodziców, jakich zna. A ponieważ stan New Hampshire nie jest zainteresowany popełnianiem zbrodni na swoich obywatelach, pozwani wnioskuje, aby oskarżenie *habeas corpus*, przedstawione dzisiaj przez adwokata powódki, zostało w całości oddalone. - Adwokat zajmuje miejsce obok Bolduców, a następnie pociera grzbiet nosa kciukiem i palcem wskazującym, jakby już znał stanowisko sędziego.

- Wniosek o oddalenie oskarżenia *habeas corpus* odrzucony - oświadcza jednak Levi Littlefield i Olimpia domyśla się, że mowa Searsa nie tyle miała spowodować odrzucenie zasadności procesu, ile raczej zaprezentowanie stanowiska pozwanych. I to się adwokatowi udało, musi przyznać, dokonał tego w znakomitym stylu.

Tucker wstaje.

- Wysoki sędzie - mówi. - Chciałbym przesłuchać Olimpię Biddeford.

Olimpia i Tucker wcześniej ustalili, że powinna ubrać się konserwatywnie, nie ukrywając swojego pochodzenia i zamożności, ale też ich nie podkreślając. W tym celu Olimpia kupiła kostium z grafitowej gabardyny, do którego włożyła białą bluzkę z wysokim kołnierzykiem, kapelusz, aksamitny, czarny krawat i skromny sznur pereł.

Tucker wstaje, zostawia na stole notatki i podchodzi do miejsca dla świadków, na którym usiadła Olimpia.

- Panno Biddeford - odzywa się przyjaźnie i z uśmiechem, który, aczkolwiek wystudiowany, nieco ją uspokaja, co było zamiarem Paysona.

- Ile ma pani lat?

- Dwadzieścia.

- Czy mieszka pani w tej okolicy?

- W Fortune's Rocks.

- Gdzie mieszkała pani wcześniej?

- Uczyłam się w żeńskim seminarium w Hastings, niedaleko Fairbanks, w Massachusetts - odpowiada Olimpia, starając się, zgodnie z wcześniejszą sugestią adwokata, położyć akcent na słowo seminarium.

- Jak długo przebywała pani w seminarium?

- Trzy lata.

-Jakie są cele tej żeńskiej uczelni?

- Szkoła służy przygotowaniu młodych kobiet do pracy za granicą, gdzie mogłyby uczyć dzieci i dawać dobry przykład chrześcijańskiego modelu kobiety.

- Akceptowała pani cele tej szkoły?

- Nie sprzeciwiałam im się - ostrożnie udziela odpowiedzi Olimpia.

- W pełni godziła się pani zostać tego typu misjonarką? - pyta Tucker, kładąc nacisk na słowo misjonarka.

- Zakładałam, że tak będzie wyglądać moja przyszłość.

- Jak się pani zaaklimatyzowała w tej szkole?

- Wydaje mi się, że dobrze.
 - Czy to prawda, że na wydziale liczącym dwieście siedemdziesiąt młodych kobiet plasowała się pani zwykle na pierwszym lub drugim miejscu pod względem ocen?
 - Tak.
 - Czy to prawda, że mogłaby pani, jeśli taka byłaby jej decyzja, już teraz podjąć pracę nauczycielki, bez dodatkowych przygotowań?
 - Tak - mówi Olimpia. - Wydaje mi się, że tak.
 - Proszę zatem wyjaśnić sądowi, dlaczego postanowiła pani teraz tego nie robić.
 - Chciałabym odzyskać swojego syna.
- Na sali słychać stłumione westchnienie Albertine Bol-duc, która podnosi dłoń do ust. Mąż otacza ją ramieniem.
- Uważam, że z całą odpowiedzialnością możemy oświadczyć - mówi Tucker, ignorując ten mały przerywnik i patrząc wprost na Searsa - iż wykładowcy w owym seminarium o religijnej orientacji nie uznali pani za rozpustną, lubieżną, zdeprawowaną, wulgarną i nikczemną.
 - Wysoki sędzie. - Addison Sears gwałtownie wstaje. - Wnioskuje, aby adwokat powódki porzucił tę linię przesłuchania, ponieważ odpowiedzi są jedynie domniemaniami ze strony świadka.
 - Panie Tucker - upomina go sędzia.
- Tucker zdaje się nie przejmować tym delikatnym upomnieniem.
- Panno Biddeford, z czego pani żyje?
 - Dostaję pieniądze od ojca.
 - Czy można powiedzieć, że w dającej się przewidzieć przyszłość pieniądze nie stanowią dla pani problemu?
 - Zawsze należy być ostrożnym, jeśli chodzi o kwestie finansowe - zastrzega się Olimpia - ale tak, wydaje mi się, że można tak powiedzieć.

- Zatem, w wypadku uzyskania opieki nad synem nie musiałyby pani opuszczać domu, aby podjąć pracę?

- Nie, nie musiałabym.

- I mogłaby pani cały czas poświęcić na opiekę nad dzieckiem?

- Tak, mogłabym.

Tucker odwraca się i patrzy na Albertine Bolduc, jakby chciał podkreślić różnicę pomiędzy swoją klientką a francuską emigrantką. Podchodzi do stolika i przez chwilę przegląda notatki.

- Panno Biddeford, wiem, że to bolesne pytania. Jednak chciałbym teraz wrócić do dnia, w którym urodziła pani dziecko.

Olimpia bierze głęboki, powolny wdech. Chociaż razem z Tuckerem wielokrotnie ćwiczyli owe odpowiedzi, tego typu pytania wzbudzają wciąż w niej niepokój.

- Gdzie odbył się poród?

- W mojej sypialni, w domu ojca w Bostonie.

- Kiedy dokładnie to miało miejsce?

- O drugiej po południu, czternastego kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku.

- Czy poród odbył się normalnie?

-Tak.

- A co się zdarzyło zaraz po urodzeniu dziecka?

- Zostało mi zabrane.

- Przez kogo?

- Nie wiem. Wiem jedynie, że stało się to na polecenie mojego ojca.

Wątpię jednak, aby to on osobiście zabrał dziecko.

- A dlaczego nie wie pani, kto zabrał dziecko?

- Lekarz matki podał mi laudanum.

- Chodzi o doktora Ulyssesa Brancha, mieszkającego w Bostonie przy ulicy Newbury?

-Tak.

- Jaka dawkę laudanum pani otrzymała?

- Wydaje mi się, że trzy łyżki.

- A więc zasnęła pani?

-Tak.

- Czy w ogóle pamięta pani swego syna?

Nawet podczas przygotowań do przesłuchania Olini nie od razu była w stanie odpowiedzieć na to pytanie bez łez w oczach.

- Tak - mówi o tyle spokojnie, o ile ją na to stać. -Niektóre rzeczy pamiętam. Traciłam świadomość i odży skiwałam ją.

- Proszę powiedzieć sądowi, co pani pamięta.

- Powiedziano mi, że urodziłam synka. Był owinięty w pieluszki i leżał przy mnie. Pamiętam jego nastroszone, czarne włoski, piękne oczy... - Zagryza wargi.

- To wystarczy - szybko mówi Tucker. - Czy zamierzała pani oddać dziecko?

-Nie.

- Czy wyraźnie sprecyzowała pani swoje życzenie?

- Tak, rozmawiałam o tym z ojcem.

- I co on powiedział?

- Powiedział, że zostały już poczynione odpowiednie przygotowania. I że jeśli zatrzymam dziecko, wydziedziczy mnie.

- Panno Biddeford, czy nie zależało pani bardziej na dziecku niż na majątku?

- Oczywiście, że bardziej zależało mi na dziecku -oświadczam z ferworem Olimpia. - Jednak uznałam, że jeśli postąpię wbrew życzeniom ojca, nie będę miała z czego żyć. A jeśli ja nie będę miała z czego żyć, moje dziecko też nie przeżyje.

- Panno Biddeford, proszę wyjaśnić sądowi, dlaczego

właśnie teraz wniosła pani sprawę, a nie, powiedzmy, dwa lata lub rok temu.

Olimpia patrzy na Tuckera, a potem przenosi spojrzenie na sędziego Littlefielda, urzędnika sądowego, woźnego, Bolduców, Searsa, na wszystkich, których ma przed sobą. Tucker uprzedził ją, że to, co teraz powie, może zadecydować o przebiegu sprawy.

- Ukradzono mi dziecko - mówi. - To była dla mnie olbrzymia strata. Myślałam o swoim synku każdego dnia od chwili jego narodzin i pragnęłam być razem z nim. Aż do teraz jednak nie byłam w odpowiednim wieku ani nie miałam właściwych warunków, aby wnieść sprawę o odzyskanie dziecka. Nie wiedziałam też, gdzie ono się znajduje, ponieważ przez wszystkie owe lata trzymano to przede mną w tajemnicy.

Adwokat zachęcająco kiwa głową. Nagle Olimpia czuje, że czegoś jej brak podczas przesłuchania, czegoś bardzo ważnego. Chłopca. Jej syna. Chociaż nie chciała, aby tu był, nie chciała, aby przysłuchiwał się zeznaniom, ta sala wydaje się osobliwie pusta bez niego.

- Nie pragnę odzyskać dziecka jedynie dlatego, że chcę zwrotu swojej własności - oświadcza zdecydowanie. - Nie, wierzę, że będę dobrą i kochającą matką dla swojego synka i że mogę mu zagwarantować taki poziom życia i edukacji, który nie jest osiągalny dla wielu innych dzieci.

Albertine Bolduc przeszywa ją tak gniewnym spojrzeniem, że Olimpia z trudem znosi jej wzrok. Usiłuje skupić się tylko na twarzy Tuckera, na jego okularach.

- Panie Tucker, moje serce cierpi z powodu utraty synka - mówi z głębokim przekonaniem. - Nasza rozłąka jest nienaturalna i dla mnie bolesna. Modlę się, aby sąd naprawił straszliwe zło, które uczyniono mnie i mojemu synkowi, i wierzę, że pewnego dnia będziemy razem, jak chcą Bóg i natura.

Albertine Bolduc zamyka oczy. Telesphore, wciąż/ obejmując żonę ramieniem, patrzy na Olimpię z wyrazu.) nienawiścią. Tucker stoi bez ruchu, pozwalając, aby ją słowa rozbrzmiewały w sali przesłuchań.

- Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie - oznajmia po chwili, siadając.

Wstaje Addison Sears.

- Wysoki sędzie, mam kilka pytań do powódki.

- Proszę pytać, panie Sears.

Korpulentny prawnik podchodzi do miejsca dla świadków, przeglądając notatki. W sali jest tak zimno, że Olimpia przez chwilę widzi mgiełkę oddechu adwokata.

- Dzień dobry, panno Biddeford - wita się Sears, nie patrząc nawet na nią i wciąż przeglądając notatki.

- Dzień dobry - odpowiada mu głucho.

Dopiero teraz Sears mierzy ją wzrokiem wyrażającym reprimendę.

-Jeśli nie będzie pani mówiła głośniej, sąd pani nie usłyszy.

Olimpia natychmiast pojmuję, że adwokat przyjął manierę besztania jej i upominania. Unosi brodę.

- Dzień dobry - powtarza głośno i wyraźnie.

- Panno Biddeford, czy jest pani lub kiedykolwiek była zamężna?

-Nie.

- Zatem jeśli otrzyma pani prawo do opieki nad dzieckiem, będzie pani zmuszona sprawować ją jako niezamężna matka. Czy to prawda?

- Tak - odpowiada krótko Olimpia.

- Panno Biddeford, powiedziała pani sądowi, że przed przyjazdem do Fortune's Rocks była pani w szkole. Ale czy jest prawdą, że bezpośrednio przed przybyciem do Fortune's Rocks pracowała pani u nijakiego Averilla

Hardy'ego w Tetbury, w Massachusetts, a nie, jak pani zeznała, uczyła się w żeńskiej szkole w Hastings?

Celowe podanie niewłaściwej nazwy szkoły nie zrobiło wrażenia ani na Olimpii, ani, jak się jej wydaje, na sędzie.

- Tak - odpowiada - to prawda. Ponieważ była to praca wakacyjna, podjęta w ramach programu prowadzonego przez żeńskie seminarium Hastings, traktuję ją jako część mojej edukacji w seminarium. Przyjęłam tę posadę za zgodą kierownictwa szkoły.

- Tak, oczywiście - zgadza się Sears. - Była pani zatrudniona jako guwernantka trzech synów pana Hardy'ego, prawda?

-Tak.

- Czy prawdą jest także, że dwunastego lipca ubiegłego roku zrezygnowała pani z tej pracy? Że przerwała pani edukację chłopców, nie podając nawet powodu swojego wyjazdu?

- Okoliczności sprawiły, że...

- Czy nie porzuciła pani posady u pana Hardy'ego w podejrzanych okolicznościach?

- Wysoki sędzie - protestuje Tucker. - Pan Sears nie pozwolił świadkowi dokończyć odpowiedzi.

- Panie Sears.

Addison Sears pokazowo skłania się przed sędzią. Gdy ponownie odwraca się do Olimpii, uśmiecha się z pozorną uprzejmością.

- Panno Biddeford, przepraszam, że pani przerwałam. Zapewne zbyt szybko chcę dotrzeć do prawdy. Bardzo proszę dokończyć odpowiedź.

Jednak dziewczyna nie może tego uczynić. Gdy Tucker i Sears wymieniali uwagi, woźny usłyszał pukanie do drzwi i otworzył je. Na progu, w pokrytym śniegiem

płaszczu, trzymając w ręku kapelusz, stoi Phillip Biddeford. Wydaje się zagubiony, jakby zakłopotany okolicznościami, w których nie potrafi się znaleźć. Po chwili dostrzega córkę siedzącą na miejscu dla świadka, widzi górującą nad nią postać sędziego i ten obraz musi mu się wydawać tak nienaturalny, tak niewłaściwy, że blednie i podnosi rękę do piersi. Olimpia pochyla się do przodu, jakby chciała do niego podejść, i dopiero wtedy zdaje sobie sprawę, że jest jak uwięziona na miejscu dla świadków, w małym czasowym zamknięciu. Nie może podejść do ojca i nie wolno jej nawet się odezwać do niego. Co gorsza, będzie musiała w jego obecności odpowiedzieć na podstępne pytanie Searsa.

Woźny prowadzi Phillipa Biddeforda do ławki. Tucker, który wychylił się ze swojego miejsca, bezskutecznie próbując dać znak przybyłemu, z powrotem odwraca się do Olimpii.

Niestety, to Sears jest przy głosie.

- Proszę, panno Biddeford. Przypomnę pytanie: Czy opuściła pani chłopców bez słowa, nie żegnając się nawet z nimi?

Olimpia instynktownie dotyka medalionu, który nosi pod bluzką.

- Pan Hardy złożył mi niedopuszczalną i niestosowną propozycję, pomyślałam więc, że będzie rozsądniej i bezpieczniej, jeśli natychmiast wyjadę. To była sytuacja, którą trudno byłoby mi wyjaśnić jego synom.

- Rozumiem. A zatem po raz kolejny zaangażowała się pani w niestosowne relacje uczuciowe.

Tucker zrywa się na równe nogi, tym razem wściekły.

- Sprzeciw!

- Jesteśmy tu po to, aby ocenić moralną postawę panny Biddeford - oświadcza spokojnie Sears, jakby spodziewał się takiej reakcji swego adwersarza.

- Wysoki sędzie, określając znajomość panny Biddeford z Averillem Hardym jako relacje uczuciowe, mój przeciwnik mylnie zinterpretował zeznanie świadka -mówi Tucker z przejęciem. - To panna Biddeford była molestowana przez Averilla Hardy'ego, a nie na odwrót.

- Czy tej sprawy nie mogłaby nam wyjaśnić sama panna Biddeford? - pyta Sears.

- Sąd przyjmuje sprzeciw - oświadcza sędzia Littlefield. - Na przyszłość, panie Sears, proszę precyzyjniej formułować pytania.

- Tak, wysoki sędzie. - Adwokat dotyka palcem nosa, jakby się głęboko zamyślił. Nagle odwraca się w stronę Olimpii. - Panno Biddeford, kiedy rozpoczęły się stosunki seksualne między panią a doktorem Haskellem?

Dosadność pytania zaskakuje nie tylko ją, ale także Tuckera, który gwałtownie unosi głowę znad notatek. Żadne z nich nie było przygotowane na taki frontalny atak. Wbrew radom prawnika i własnym intencjom, Olimpia spuszcza oczy. Mój Boże, myśli, mój ojciec nie może tego słuchać. Nie dam rady odpowiedzieć na to pytanie w jego obecności. Podnosi wzrok i błagalnie patrzy na swego adwokata, mając nadzieję, że ten coś zrobi.

Tucker wstaje, właściwie odczytując desperację w spojrzeniu dziewczyny lub myśląc o tym samym.

- Wysoki sędzie, adwokat powódki prosi, aby pan Phillip Biddeford, ojciec powódki, który właśnie przybył na salę, mógł wyjść na czas zeznań składanych przez córkę.

Littlefield kiwa głową.

- Proszę woźnego o przeprowadzenie pana Biddeforda do innego pomieszczenia, gdzie będzie mógł zaczekać na swoją kolej lub... - sędzia Littlefield spogląda na zegarek - ...przerwę.

Olimpia patrzy, jak ojciec wychodzi z sali, i wydaje się jej, że wspiera się na ramieniu woźnego. Sears ponownie zwraca się do Olimpii.

- Powtarzam pytanie: kiedy zaczęły się stosunki seksualne między panią a doktorem Haskelllem?

- Czternastego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

- Jaka była natura owych seksualnych stosunków?

- Sprzeciw, wysoki sędzie - protestuje Tucker. - Czy świadek musi odpowiadać na tak odrażające pytanie?

- Sprzeciw przyjęty - oświadcza Littlefield. - Panie Sears, sąd nie aprobuje tego typu pytań skierowanych do świadka.

- Panno Biddeford - kontynuuje Sears - gdzie spotykała się pani z panem Haskelllem w celach seksualnych?

- U niego w hotelu.

- Czy był to Highland Hotel w Fortune's Rocks?

- Tak.

- Chodziła pani do jego pokoju? -Tak.

- Do tego samego, który pan Haskell dzielił ze swoją żoną, gdy odwiedzała go w weekendy?

- Tak mi się wydaje - odpowiada Olimpia, zastanawiając się, skąd Sears zna takie szczegóły.

- Czy słuszne jest stwierdzenie, że to pani zainicjowała owe stosunki?

Olimpia myśli chwilę nad odpowiedzią. Często sama zadawała sobie to pytanie.

- Tak - mówi w końcu.

- Wiedziała pani, że doktor Haskell ma żonę i dzieci?

- Tak.

- W rzeczy samej poznała pani jego żonę i dzieci i kilkakrotnie spotykała się z nimi?

-Tak.

- Gościli w domu pani ojca?

-Tak.

- Ile razy spotykała się pani z panem Haskellem w celach seksualnych?

- Nie wiem.

- Więcej niż tuzin?

- Możliwe.

- Zawsze chodziła pani do niego do hotelu?

-Nie.

- Gdzie jeszcze się spotykaliście?

- Na budowie.

- Na budowie? - z niedowierzaniem pyta Sears. Odwraca się od Olimpi i patrzy na Albertine i Tele-sphore'a.

- Doktor Haskell budował dom - wyjaśnia dziewczyna.

- W Fortune's Rocks?

-Tak.

-I uprawiała pani z nim seks w na wpół wykończonym domu? - pyta adwokat Bolduców.

- Już powiedziałam, że tak.

Napięcie spowodowane dociekliwością Searsa wywołuje u Olimpii przejmujący ból głowy, promieniujący aż do karku. Jak długo będą jeszcze trwały te koszmarne pytania?

- Panno Biddeford, czy w czasie gdy zaangażowała się pani w te zasługujące na potępienie stosunki, uważała pani, że postępuje nagannie?

- Uważałam za złe skrzywdzenie pani Catherine Haskell - odpowiada Olimpia. - Miłości do Johna Haskella nie uważałam za złą.

- Catherine Haskell była żoną doktora Haskella?

-Tak.

- Czy teraz postrzega pani swoje zachowanie z tamtego okresu jako grzeszne?

-Nie.

- Naprawdę, panno Biddeford? Czy chodzi pani do kościoła?

- Chodzę.

- Kiedy była pani ostatni raz w kościele na nabożeństwie?

- W czerwcu ubiegłego roku.

- Rozumiem. To było dziesięć miesięcy temu. Czy jeśli otrzyma pani prawo do opieki nad dzieckiem, uzna pani swój postępek za grzeszny?

- Wysoki sędzie! - Tucker znowu zrywa się z krzesła. - Świadek nie może wiedzieć, co będzie odczuwać w przyszłości.

- Panie Sears!

- Wysoki sędzie, proszę pozwolić mi sformułować pytanie w inny sposób. Panno Biddeford, jak pani wytłumaczy synowi, gdy osiągnie odpowiedni wiek, aby zrozumieć te sprawy, okoliczności jego poczęcia, o ile takie nienaturalne postępowanie można w ogóle wyjaśnić?

- Wyjaśnię je w taki sposób, w jaki chciałabym, aby pani Bolduc mu je wyjaśniła. To znaczy, powiem mu prawdę.

Albertine kręci głową i szepcze coś mężowi.

- Panno Biddeford, czy kontaktowała się pani kiedykolwiek z dzieckiem?

-Nie.

- Czy wykazała pani zainteresowanie jego sytuacją materialną?

- Wniosłam sprawę do sądu.

- A w inny sposób?

- Od chwili urodzenia syna myślałam o nim.

- Czy przed przeprowadzką do Fortune's Rocks w czerwcu ubiegłego roku rozmawiała pani z kimś o swoim zainteresowaniu losem dziecka?

-Nie.

- Czy spotkała się pani kiedykolwiek z dzieckiem?

-Nie.

- Panno Biddeford, czy wciąż kocha pani Johna Haskella?

Olimpia odpowiada bez chwili wahania.

-Tak.

Po raz pierwszy od chwili przesłuchania Addison Sears patrzy na nią z zaskoczeniem. Pije łyk wody.

- Czy może sobie pani wyobrazić w przyszłości sytuację, gdy wyrzeka się pani miłości do Johna Haskella w imię dobra dziecka? - pyta.

Tucker ponownie zrywa się z miejsca, ale ona odpowiada na pytanie:

- Nie - oświadcza wyraźnie. - Dobro mojego dziecka nigdy nie będzie wymagało ode mnie wyrzeczenia się miłości do Johna Haskella.

- Wysoki sędzie, nie mam więcej pytań.

Olimpia spotyka się z ojcem w małej salce obok sali rozpraw podczas południowej przerwy w przesłuchaniach. Pan Biddeford chwieje się i musi wesprzeć się rękoma o blat stołu. Chociaż widziała ojca dziesięć miesięcy temu, z trudem dostrzega w nim człowieka, jakiego pamięta. Twarz ojca jest kredowobiała i wydaje się bardzo słaby. Olimpia nie wie, czy to rezultat szoku, jaki mógł przeżyć w sali rozpraw, widząc córkę na ławie świadków, czy też kwestia wieku. Z pewnością ojciec nie czuje się dobrze. Olimpia ściska go i całuje, chociaż oboje nie nawykli do takich czułości.

- Moja droga - mówi ojciec.

Ściskają sobie dłonie, a pocałunek rozkliwia dziewczynę. Siadają na skórzanych fotelach przy stole. Tucker dyskretnie pozostaje przy drzwiach.

- Olimpio, czy musisz przez to wszystko przechodzić? - pyta ojciec.

- Chcę odzyskać syna - oznajmia dziewczyna. - Martwię się jednak, widząc, jaki ból sprawia ta sytuacja tobie.

- Ja nie cierpię, jeśli ty nie cierpisz - mówi Phillip Biddeford. - I nie dbam już o skandal. Powinnaś wiedzieć, że twoja matka nie godziła się na... oddanie... chłopca w ten sposób. Była na mnie bardzo zła. A teraz... No tak, teraz trudno mi o tym mówić.

- Powiedziałaś jej o tym procesie?

- Tak, oczywiście. Czuję, że powinienem. Ona musi o tym wiedzieć. Olimpio, pozwól sobie pomóc. Chciałbym naprawić tamte błędy. Zostanę tutaj tak długo, jak będzie trzeba. Muszę ci powiedzieć, że będę zeznawać, zostałem wezwany na przesłuchanie.

- A więc zrób to, ojczu. Powiedz prawdę. To mi tylko pomoże.

- Będziesz potrzebowała pieniędzy.

Olimpia prostuje się i odwraca głowę w stronę adwokata.

- Pan Tucker był tak miły, że odłożył wszystkie moje zobowiązania finansowe do czasu, gdy będę mogła je spłacić.

- Dobrze zatem, załatwię tę sprawę z panem Tucke-rem - oświadcza ojciec. - Olimpio, nie staraj się być za wszelką cenę niezależna. To źle wpływa na serce.

Olimpia patrzy na jego twarz, a potem na pognieciony płaszcz, wilgotny jeszcze po niedawno odbytej podró-

ży i myśli, że ojciec z pewnością zna się na wielu rzeczach.

- Ojciec... - mówi, ale nie kończy zdania, ponieważ drzwi się otwierają i do salki wchodzi Levi Littlefield.

- Och, przepraszam - odzywa się sędzia. - Nie wiedziałem, że ktoś tu jest.

Littlefield, który wydaje się dużo niższy bez togi, dopiero po chwili zauważa ojca Olimpii.

- Phillipie - mówi, kierując się w jego stronę. Ojciec Olimpii wstaje.

- Levi - odpowiada, wyciągając rękę.

- Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach.

Przyjechałeś wczoraj wieczorem?

- Dziś rano.

- Mam nadzieję, że ominął cię sztorm?

- O włos.

- W takim razie zostawię was samych.

Skłaniając lekko głowę w stronę Olimpii, Littlefield wychodzi z pokoju.

- A więc zna pan sędziego Littlefielda - odzywa się Tucker.

- Poznaliśmy się, o ile pamiętam, przy sprawie świń, które tratowały ogrody i generalnie dawały się we znaki właścicielom domów w Fortune's Rocks - wyjaśnia ojciec Olimpii. - Sędzia Littlefield rozpatrywał tę skargę z niezwykłym wdziękiem i humorem.

Olimpia *pamięta* inwazję świń z farmy Trainera. Kiedy to było?

Sześć, a może siedem lat temu? Tucker się uśmiecha.

- Wyobrażam sobie, że była to jedna z najzabawniejszych spraw, jakie trafiły do sądu.

- Owszem, to prawda.

- Ojciec - włącza się Olimpia - zaprosimy pana Tucke-

ra na lunch i upewnijmy się także, że masz zarezerwowany pokój w hotelu. Nie ma mowy, abyś wracał do Bostonu, dopóki nie polepszy się pogoda.

- Olimpio - ojciec odwraca się do niej, twarz ma lekko zaróżowioną - tak bardzo za tobą tęskniłem.

Adwokat powódki wzywa na świadka Phillipa Arthura Biddeforda.

- Panie Biddeford, czy po południu dnia czternastego kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku bezprawnie zabrał pan dziecko płci męskiej, Pierre'a Francisa Haskella, od jego matki, a pańskiej córki, Olimpii Biddeford?

- Tak, panie Tucker, zrobiłem to.

- Czy zabrał pan dziecko osobiście?

- Nie. Poprosiłem służącą mojej żony, aby wzięła dziecko i przyniosła je do mnie na dół, gdzie natychmiast poleciłem służącemu, Josiahowi Little'owi, aby zawiózł dziecko do jego ojca, doktora Johna Haskella.

- Czy ustalił pan to wcześniej z doktorem Haskellem?

- Tak.

- W jaki sposób?

- Listownie.

- Z pana inspiracji czy jego?

- Z mojej. Wysłałem list na ręce jego prawnika.

- Jakie to były ustalenia?

- Haskell miał umieścić dziecko w sierocińcu. Mógł to uczynić, ponieważ często współpracował z instytucjami charytatywnymi w Ely Falls i innych miejscowościach.

- Panie Biddeford, proszę powiedzieć sądowi, dlaczego podjął pan taką decyzję i zdecydował się pan potajemnie wykraść dziecko swojej córki.

- Dbałem o jej reputację.

- Żałuje pan tego, co pan zrobił?

- Tak, bardzo żałuję. Modlę się, aby pewnego dnia córka mi wybaczyła.

Adwokat pozwanych również pragnie zadać pytania panu Phillipowi Arthurowi Biddefordowi:

- Panie Biddeford, co pan myślał, gdy dowiedział się pan, że córka spodziewa się dziecka?

- Byłem przerażony.

- Czy uważał pan, że córka jest za młoda, aby mieć dziecko?

- Ta, panie Sears, tak uważałem.

- Czy uważał pan, że jest za młoda, aby wychowywać dziecko?

-Tak.

- Pańska córka miała wówczas szesnaście lat?

-Tak.

- Czy uważał pan, że sama jest jeszcze dzieckiem?

- Tak, panie Sears, tak uważałem.

- Czy zastanawiał się pan wówczas, co będzie najlepsze dla tego dziecka?

- Czasami.

- I co pan sądził?

- Wówczas sądziłem, że będzie lepiej, jeśli zajmie się . nim jakaś instytucja, ale teraz żałuję...

- Proszę odpowiadać dokładnie na pytania, panie Biddeford.

- Oczywiście.

- A zastanawiając się czasami o tym, co jest najlepsze dla dziecka, o czym jeszcze pan myślał?

- Ubolewałem nad upadkiem mojej córki.

Adwokat powódki wzywa Josiaha Little'a:

- Panie Little, według zeznań, które usłyszeliśmy,

czternastego kwietnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego
dziesiątego roku Phillip Biddeford, ojciec panny Olimpii Biddeford,
powierzył panu czasową opiekę nad jej dzieckiem, niemowlęciem
płci męskiej, w celu przewiezienia go do doktora Johna Haskella.

Czy to prawda?

- Tak, panie Tucker, prawda.

- Co pan wtedy zrobił z dzieckiem?

- Moja żona, Lisette, spakowała walizkę z wyprawką chłopca,
następnie pojechaliśmy powozem na South Station, a tam
wsiedliśmy do pociągu, który jechał do Rye w New Hampshire.

- Żona pojechała z panem?

- Tak, pojechała i muszę powiedzieć, że całą drogę płakała.

- Czy wiedzieliście, że wszystko to zastało zaplanowane bez wiedzy
panny Olimpii Biddeford, która pod wpływem działania środków
uspokajających, podanych jej podczas porodu, nie była całkiem
świadoma, co się z nią dzieje?

- Tak, proszę pana i dlatego żona płakała.

- Co się stało, gdy dojechaliście do Rye?

- Pojechaliśmy powozem bezpośrednio do Ely Falls. Pan Biddeford
wyposażył nas na podróż w sporą sumę pieniędzy.

- I tam spotkaliście się z doktorem Johnem Haskellem?

-Tak.

- Gdzie to miało miejsce?

- W hotelu w Ely Falls.

- Proszę powiedzieć sądowi, jak przebiegało to spotkanie.

- Poszliśmy do pokoju doktora. Znałem go już wcześniej, ponieważ
bywał gościem w domu pana Biddeforda. Oddaliśmy mu dziecko.

- Co było potem?
- Potem doktor Haskell zaczął strasznie płakać. Och, to zbyt bolesne, aby o tym mówić.
- Przykro mi, ale musi pan. Proszę dokładnie opowiedzieć, co zaszło potem.
- No więc, zaczął strasznie płakać, później położył dziecko na łóżku, rozebrał i delikatnie je zbadał, a kiedy wziął się w garść, powiedział nam, że dziecko jest zdrowe. Moja żona poczuła wielką ulgę, bo bardzo się martwiła, czy wszystko z nim w porządku.
- Co było dalej?
- Pan Haskell podszedł do drzwi, gdzie staliśmy oboje z żoną, podziękował nam, podał mi rękę, a moja żona powiedziała: „Proszę zadbać, aby dziecko trafiło w dobre ręce”, a pan Haskell obiecał, że tak będzie.
- A potem?
- Potem zapytał o pannę Biddeford, chciał wiedzieć, jak się czuje i jak przebiegał poród, o czym mogła go poinformować moja żona, która cały czas była przy paniencie. Potem dziecko zaczęło płakać i ja oddałem doktorowi Haskellowi walizkę, a on podszedł do dziecka i wziął je na ręce. Ja z żoną opuściliśmy pokój. Spędziliśmy noc w hotelu, ponieważ tego dnia nie było już pociągu do Bostonu. Adwokat powódki wzywa matkę Marguerite Pelletier.
- Jest matka przełożoną sióstr w klasztorze pod wezwaniem Świętego Jana Chrzciciela z Bienfaisance, zgadza się?
- Tak.
- A więc również dyrektorką sierocińca Świętego Andrzeja?
- Zgadza się.

- Czy przed piętnastym kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku doktor John Haskell kontaktował się z panią? - Tak, doktor współpracował z nami w kilku wypadkach przed piętnastym kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku, ponieważ szukał miejsca dla dzieci matek, które zmarły przy porodzie lub młodych dziewcząt, zbyt młodych, aby opiekować się dziećmi.

- Rozumiem. Skontaktował się z panią również w sprawie dziecka Olimpij Biddeford?

- Tak, proszę pana, skontaktował się, chociaż nie podał nam nazwiska matki. Kiedy przyniósł nam w kwietniu dziecko, które nie miało matki ani ojca, mogłyśmy go zapewnić, że w sierocińcu znajdzie się miejsce dla chłopca. Oczywiście było tak dlatego, że doktor Haskell leczył wiele naszych dzieci i nigdy nie brał za to pieniędzy,

- Czy doktor Haskell przyniósł niemowlę do pani sierocińca rano piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku?

- Dokładnie po południu piętnastego kwietnia. Przyniósł dziecko do mojego gabinetu.

- Co było dalej ?

- Wydawał się bardzo przejęty losem dziecka i chciał i mieć pewność, że będzie pod dobrą opieką. Chociaż nie powiedział słowa na temat okoliczności urodzin chłopca, a ja nie czułam się upoważniona, aby o cokolwiek pytać, pomyślałam jednak, że być może ta sprawa dotyczy bezpośrednio doktora Haskella, tym bardziej że był bardzo wzruszony i dał dziecku własne nazwisko. Chociaż to mógł być przypadek, sytuacja wydawała mi się niecodzienna. Poza tym doktor przekazał na moje ręce znaczną sumę pieniędzy, które miały być przeznaczone na opiekę nad dzieckiem. Nalegał również, abyśmy możliwie szybko znalazły dla niego przybranych rodziców

-Co stało się dalej?

- Ucałował chłopca w czoło i oddał go mnie.
 - Gzy znalazła pani dla chłopca nową rodzinę, jak prosił?
 - Tak, proszę pana. Oddaliśmy dziecko państwu Bolducom.
- Adwokat pozwanych pragnie zadać pytania matce Marguerite Pelletier.
- Matko Marguerite, czy we wrześniu ubiegłego roku miała matka okazję spotkać powódkę?
 - Tak, panie Sears.
 - Czy może matka opisać sądowi to spotkanie?
 - Przyszła do sierocińca, aby uzyskać informacje o pewnym chłopcu. Dość szybko zorientowałam się, że dziecko, o które pytała, jest jej dzieckiem. Podała mi kilka faktów na temat swojej aktualnej sytuacji.
 - Kiedy zorientowała się matka, że dziecko, o które pytała powódka, to dziecko oddane pod pani opiekę piętnastego kwietnia tysiąc dziewięćsetnego roku przez doktora Haskella?
 - Podała mi nazwisko ojca.
 - Rozumiem. Co było później?
 - Zostawiłam ją w biurze i poszłam naradzić się w tej sprawie z biskupem Louisem Giguere'em, jednym z dyrektorów sierocińca.
 - Co postanowiliście wspólnie z biskupem?
 - Uznaliśmy, że możemy powiedzieć tej młodej kobiecie, iż jej synek znajdował się pod naszą opieką, ale został oddany bezdzietnej parze. Postanowiliśmy także podać tej młodej kobiecie imiona dziecka, ale bez nazwiska.
 - Dlaczego?
 - Chcieliśmy chronić dziecko, a także jego przybranych rodziców.

- Jak Olimpia Biddeford zareagowała na te informacje?
- Wydawała się dość poruszona.
- Czy było coś niezwykłego w rozmowie, jaką matka przeprowadziła tego dnia z Olimpią Biddeford?
- Owszem.
- Czy może matka powiedzieć sądowi, co to takiego?
- Panie Sears, niestety, widuję wiele młodych dziewcząt w podobnej sytuacji. Wydaje im się, że mogą porzucić własne dzieci i ułożyć sobie życie, a potem, powodowane wyrzutami sumienia, poczuciem winy czy innymi emocjami lub motywacjami, pojawiają się na progu naszego klasztoru i chcą odzyskać dzieci. Początkowo wydawało mi się, że Olimpia Biddeford jest taka jak inne młode kobiety, które spotykam. Jednak tak nie było.
- A jak było?
- Ona nie żałowała swojego uczynku. Zapytałam ją, czy jest gotowa prosić o przebaczenie za grzech, jaki popełniła, a ona wyraźnie dała mi do zrozumienia, że nie uważa swojego postępuku za grzeszny i nie będzie prosić o przebaczenie za coś, czego nie postrzega jako zło.
- Przypomina sobie pani specyficzny język tej rozmowy?
- Powiedziała jej, że nikomu nie „zdarza się” począć dziecka, że ma to związek z wolą i zamiarem, i że zgrzeszyła przeciwko naturze i przeciwko Bogu. Odrzekła na to: „Miłość nie jest grzechem przeciwko naturze, nigdy w to nie uwierzę”. Była dość zuchwałą, odniosłam takie wrażenie i miała czelność powiedzieć mnie, matce przełożonej katolickiego klasztoru, że nie żałuje tego, iż kochała i była kochana w grzesznym związku.
- Co było później?
- Zaczęłam się modlić za jej duszę.

Adwokat pozwanych wzywa na świadka panią dziekan Bardwell z żeńskiego seminarium w Hastings.

- Pani dziekan, dziękuję, że odbyła pani podróż z zachodniej części stanu Massachusetts do Ely Falls, pokonując, co wszyscy wiemy, znaczną odległość.

- Owszem. Jednak gdy otrzymałam zapewnienie, że pokryje pan koszty tej podróży, pomyślałam, że przy okazji odpocznę trochę nad morzem.

- No tak. Pani dziekan, czy pamięta pani powódkę, Olimpię Biddeford, z czasów, gdy uczyła się w seminarium?

- Tak, panie Sears, pamiętam.

- Co może pani powiedzieć sądowi o jej pobycie w seminarium?

- Wyróżniała się poziomem wiedzy. Była najlepszą uczennicą w szkole. Wszyscy nauczyciele wystawiali jej doskonałą opinię.

- A co mogłaby pani powiedzieć o osobistym stosunku do szkoły powódki?

- Była, jakby to ująć, typem samotnika. Zamknięta w sobie. Jeśli nawet miała jakieś przyjaciółki w szkole, nic o tym nie wiem. Muszę dodać, że to bardzo niezwykle. Można bowiem oczekiwać, że w ciągu trzech lat młoda dziewczyna nawiąże bliskie przyjaźnie.

- Czy chce pani przez to powiedzieć, że Olimpia Biddeford była aspołeczna?

- Tak, proszę pana.

- Czy może pani powiedzieć, że Olimpia Biddeford jest pod względem naukowym przygotowana, aby wkroczyć w świat i podjąć pracę nauczycielki?

- Tak, zdecydowanie.

- Czy rekomendowałaby ją pani na takie stanowisko?

- Nie. Nie mogę rekomendować kogoś, kto bez powodu porzuca pracę.

-Jak się pani dowiedziała, że powódka opuściła w lipcu ubiegłego roku swoją posadę guwernantki synów pana Averilla Hardy'ego?

- Otrzymałam list od pana Hardy'ego. Wtedy dowiedziałam się o tym fakcie. Panna Biddeford nie uznała za stosowne poinformować nas o tym sama. Pan Hardy napisał, że cieszy się, iż dziewczyna wyjechała, ponieważ jeden z jego synów przyznał, iż złożyła mu niestosowną propozycję.

- Czy pozwoliłaby pani Olimpii Biddeford kontynuować naukę w Hastings?

- Biorąc pod uwagę informacje zawarte w liście, nie.

Adwokat pozwanych wzywa na świadka pana Zachariaha Cote'a:

- Panie Cote, jest pan znanym poetą, cieszącym się sporym poważaniem w środowisku literackim, mam rację?

- Tak, panie Sears, miałem szczęście, jeśli chodzi o karierę zawodową.

- Mógłby pan opowiedzieć sądowi, jak pan poznał pannę Olimpię Biddeford?

- Kilka razy byłem gościem jej ojca w ich domu w Fortune's Rocks.

- Co pan pomyślał o Olimpii Biddeford, kiedy ją pan poznał?

- Była bez wątpienia bardzo dobrze wykształcona. Wydawała się dość miła, chociaż może zbyt pewna siebie.

- Czy w ciągu tamtego lata miał pan powody, aby zmienić tę opinię?

- Tak, zdecydowanie.

- Może nam pan o tym opowiedzieć?

- Czwartego lipca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku wracałem z uroczystości w Rye. Palenie wozów, słyszał pan o tym? Chłopi gromadzą w centrum miasta wozy, którymi zwozili siano i podpalają je...
- Tak, panie Cote. Jestem pewien, że wszyscy znają ten lokalny zwyczaj. Proszę kontynuować.
- Mój woźnica postanowił wracać do Fortune's Rocks drogą przez bagna, ponieważ tamtędy jest krócej. Mieszkałem wówczas w Highland Hotel.
- Rozumiem, proszę dalej.
- Kiedy wyjechaliśmy z za zakrętu, zobaczyłem na poboczu drogi obejmującą się parę.
- Może nam pan powiedzieć, kto to był?
- Oczywiście. Olimpia Biddeford i doktor John Haskell.
- Jest pan tego pewien?
- Tak. Latarnia mojego powozu oświetliła ich twarze.
- Jaka była pana reakcja?
- Przeżyłem wtedy prawdziwy szok. Doktor Haskell był żonatym mężczyzną, Olimpia Biddeford zaś miała tylko piętnaście lat.
- Czy powiedział pan komuś o tym, co zobaczył pan tego wieczoru?
- Nie, nikomu nie powiedziałem. Chociaż pomyślałem, że w przyszłości być może będę miał okazję porozmawiać z Phillipem Biddefordem.
- Czy tamtego lata widział pan jeszcze Olimpię Biddeford w jakiś niecodziennych lub kompromitujących okolicznościach?
- Owszem, panie Sears, widziałem. Pewnego dnia, podczas mojego pobytu w Highland Hotel, wracałem z porannej przechadzki i spotkałem na werandzie Olimpię Biddeford.

- Która to była godzina?
- Dochodziła ósma rano.
- Jak wyglądała panna Biddeford?
- Muszę powiedzieć, że jej wygląd bardzo mnie zaskoczył. Była... jakby to powiedzieć... rozczochrana.
- Rozmawiał pan z nią?
- Tak. Próbowałem nawiązać rozmowę.
- Udało się panu?
- Zachowywała się dość zuchwale. Odrzuciła moje zaproszenie na śniadanie i prawdę powiedziawszy, uciekła, tak muszę to określić.
- Panie Cote, czy znał pan Catherine Haskell?
- Tak, właściwie znałem ją dość dobrze. To czarująca kobieta, wspaniała żona i matka.
- Czy pan i Catherine Haskell mieliście okazję zobaczyć Olimpię Biddeford w kompromitującej sytuacji z doktorem Johnem Haskellem?
- Tak, niestety.
- Czy może pan nam o tym opowiedzieć?
- Proszę pana, to delikatna sprawa. To było podczas wieczornego przyjęcia z tańcami w domu Phillipa Biddeforda, dziesiątego sierpnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku. Gdy staliśmy z panią Haskell na werandzie, Catherine spojrzała przez stojący tam teleskop, nakierowany na okno kaplicy sąsiadującej z domem. I wtedy właśnie zobaczyła widok, który ją zaszokował.
- Czy pan widział to samo?
- Tak, widziałem. Zauważyłem przerażenie na twarzy pani Haskell i także spojrzałem w obiektyw.
- I co pan zobaczył?
- Zobaczyłem Olimpię Biddeford i doktora Johna Haskella w sytuacji... jak to ująć... *in flagrante delicto*?

- W kaplicy, panie Cote?
- Tak, proszę pana, w kaplicy. I jeśli mogę podać szczegóły, na ołtarzu.

- Na ołtarzu, panie Cote? -Tak.

- Jaka była reakcja pani Haskell?

- Odeszła z twarzą białą jak kreda.

Adwokat powódki chce zadać kilka pytań Zachariahowi Cote'owi:

- Panie Cote, jest pan poetą, prawda?

- Tak, panie Tucker, już powiedziałem.

- O pewnej reputacji.

- Niemależ, muszę podkreślić.

- Czy posiadał pan tę niemałą, jak pan skromnie zauważył, reputację w lecie tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku?

- Wierzę, że tak.

- Panie Cote, czy w czerwcu owego roku przekazał pan pół tuzina swoich wierszy Phillipowi Biddefordowi, wydawcy „Bay Quarterly”, w nadziei, że zostaną przez niego opublikowane?

- Być może. Czy to istotne?

- Sędzia Littlefield będzie decydował, czy to istotna informacja, panie Cote. Proszę odpowiedzieć.

- Nie jestem pewien.

- Proszę pomyśleć, panie Cote.

- Tak jak powiedziałem, być może.

- Czy nie myślę się, mówiąc, że pan Biddeford odmówił publikacji owych wierszy?

- Jeśli chce pan to tak ująć.

- Nie jestem poetą, panie Cote; wolę mówić wprost.

- Dokładnie tego nie pamiętam.

- Być może to odświeży panu pamięć, panie Cote. Czy to kopia listu, który wysłał do pana Phillip Biddeford?
- Nie jestem pewien.
- Proszę pomyśleć.
- Wydaje się, że tak.
- Jaka data widnieje na liście?
- Czwarty sierpnia tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.
- Co znaczy, że otrzymał go pan na krótko przed dziesiątym sierpnia, dniem, kiedy odbywało się wieczorne przyjęcie u Phillipa Biddeforda?
- Być może.
- Panie Cote, czy byłby pan tak uprzejmy, aby przeczytać ten list głośno?
- Wysoki sędzie, czy to naprawdę konieczne?
- Panie Tucker, czy to konieczne?
- Wysoki sędzie, chcę dowieść, że pan Cote może nie być w tej sprawie bezstronnym świadkiem.
- A więc dobrze. Proszę kontynuować.
- Panie Cote? -Tak?
- List.
- Świetnie, panie Tucker. Mogę przeczytać ten list, jeśli to konieczne. Jednak proszę zaznaczyć, że wnoszę protest przeciwko pogwałceniu mojej prywatności.
- Panie Cote, przesłuchanie w sprawie praw do opieki nad dzieckiem jest w całej rozciągłości pogwałceniem czyjejś prywatności.
- „Drogi panie Cote. Zwracam panu wiersze, ponieważ nie mogę ich opublikować w Bay Quarterly, tak jak miałem nadzieję. Chociaż utwory te bez wątpienia odznaczają się wyjątkowym stylem i treścią, nie stanowią

materiału do publikacji. W przyszłości mógłby pan rozważyć zmniejszenie w wierszach liczby przymiotników, przez co, być może, staną się mniej sentymentalne w wyrazie. Z poważaniem, Phillip Biddeford".

- Panie Cote, czy ten list rozgniewał pana?
- Z pewnością mnie rozczarował. Ten osąd był mylny, muszę dodać.
- Jednak mimo to poszedł pan dziesiątego sierpnia na przyjęcie do Biddefordów?
- Tak, poszedłem. Napisałem, że przyjdę, a zawsze dotrzymuję słowa.
- Nie wątpię. Panie Cote, czy pana zdaniem Olimpia Biddeford zachowywała się w towarzystwie rozpustnie?
- Co ma pan na myśli?
- Czy ona i doktor Haskell publicznie zachowywali się w sposób kompromitujący?
- Nie, jeśli nie liczyć owej sytuacji w kaplicy.
- Czy kaplica była widoczna z okien któregoś z pokoi, w których przebywali zaproszeni goście?
- Nie.
- Czy ktoś poza panem i panią Haskell widział tego wieczoru Olimpię Biddeford i doktora Johna Haskella razem ?
- Nie wiem.
- Panie Cote, czy nie jest faktem, że tej nocy Catherine Haskell nie spojrzała w teleskop przypadkiem, lecz została zachęcona do tego przez pana?
- Zdecydowanie nie.
- Przez pana, gdyż obserwował pan tamtych dwoje cały wieczór i wiedział, że poszli do kaplicy?
- Nie, panie Tucker.
- I że faktycznie to pan tak ustawił teleskop, żeby można było z niego zobaczyć właśnie okno kaplicy?

- Nie, panie Tucker, z całą pewnością nie! Jestem oburzony tak nieprzyzwoitą insynuacją!
- Wysoki sędzie, nie mam więcej pytań do świadka.
- Doskonale, panie Cote, jest pan wolny.
- Ależ wysoki sędzie, chciałbym odpowiedzieć na te całkowicie wyssane z palca sugestie pana Tuckera.
- Jestem pewien, że mógłby pan. Lecz teraz jest pan wolny.
- Dobrze, ale nie podoba mi się to, co zostało tu powiedziane.
- Rozumiem. Ponieważ jest już późne popołudnie, skończymy na dzisiaj i jeśli ta okropna pogoda pozwoli, udamy się do domów. Panie Sears, ma pan jeszcze jakichś świadków?
- Tak, wysoki sędzie, jutro chciałbym przesłuchać panią Bolduc.
- Świetnie. A zatem udajemy się na obiad.

Olimpia z trudem toruje sobie drogę przez na wpół stopiony śnieg, pokonując odległość trzech przecznic między hotelem a budynkiem sądu. Spódnica jej kostiumu zachlapana jest brudną breją. Słońce stoi wysoko i świeci tak mocno, że w powietrzu czuje się wiosnę - która ma nadejść za dwadzieścia dni. Wszystko wskazuje na to, że jednak przeżyje tę zimę. Nagle Olimpię ogarnia silne pragnienie, aby wrócić do domu w Fortune's Rocks. Od dzisiaj śnieg na trawniku od frontu będzie topniał i całkiem możliwe, że wyłoni się spod niego jakaś zieleń, nowe rośliny.

Zjadła wczoraj z ojcem obiad w Ely Falls Hotel, a dzisiaj rano byli tam na śniadaniu - restauracja znajduje się w opłakanym stanie, ale ich wzajemne uczucia bynajmniej nie; oboje z wielką radością rozmawiali o tym, co się dzieje na świecie. Ojciec powiedział, że chciałby poznać zdanie Olimpji na temat Roosevelta i kontrowersyjnej sprawy filipińskiej, córka dokuczała mu, wytykając w żartach, że w końcu zgodził się na zainstalowanie telefonu. Ojciec przyznał, że kupił również fonograf i jego zdaniem to dzięki francuskim nagraniom skrzypka Pabla Casals'a matka czuje się już prawie dobrze.

- Ojcze, powinieneś wracać do domu - odzywa się

Olimpia, gdy po śniadaniu siadają w hotelowej bibliotece, aby wypić kawę. - Doceniam to, że przyjechałeś, bardziej, niż mogę wyrazić, ale mama cię potrzebuje.

- A ty nie potrzebujesz wsparcia podczas procesu?

- Wystarczy mi obecność Paysona Tuckera. Bardzo mi pomógł.

Dziękuję, że wzięłeś na siebie sprawę jego honorarium. Obiecuję, że przyjadę was odwiedzić, gdy tylko to wszystko się skończy. - I przywiozę chłopca, dodaje w myślach.

- Dobrze więc - zgadza się ojciec - ale tylko pod warunkiem, że pozwolisz mi przysłać do Fortune's Rocks Charlesa Knowltona, aby zobaczył, co trzeba jeszcze naprawić. Olimpio, jeśli zamierzasz tu dłużej mieszkać, w domu będzie trzeba przeprowadzić remont. Nie wiem, jak udało ci się przetrwać tę zimę.

- Prawdę powiedziawszy, przeniosłam się do kuchni -wyznaje dziewczyna, a ojciec wybucha śmiechem.

Olimpia ma wrażenie, że podczas pobytu w Ely Falls odmłodził o dwadzieścia lat. Kiedy żegna się z nią, aby pójść na dworzec, jest w doskonałym humorze.

Jednak dobry nastrój, który jej także się udzielił, topnieje, w miarę gdy Olimpia zbliża się do budynku sądu. Z rosnącym przerażeniem myśli, że będzie musiała wejść do sali przesłuchań. Do ciemnego, klaustrofobicznego pomieszczenia, zbyt małego na tak wielkie namietności, pragnienia i niechęć. Czuje w ustach kwaśny smak na myśl, że znowu będzie musiała obnażać swoje myśli i uczucia, o których nikt nie powinien mówić publicznie. Mimo że bardzo pragnie wygrać tę sprawę, jest pełna współczucia dla Albertine Bolduc. Dzisiaj to ona będzie musiała zeznawać i odpowiedzieć na wiele podobnych pytań, na jakie wczoraj odpowiadała Olimpia.

Lęk zamienia się jednak w niedowierzanie, gdy Olimpia wychodzi z za rogu i oczom jej ukazuje się gmach sądu. Na kamiennych schodach stoi tłum ludzi, niektórzy z aparatami fotograficznymi, inni z odręcznie napisanymi transparentami. „*La Survivance!*” - może Olimpia odczytać na jednym. „*Je me souviens!*” - widnieje na drugim. Jakiś mężczyzna stojący na kamiennej balustradzie dostrzega Olimpię, zamarłą bez ruchu na rogu ulicy. „*Ici la jeune filie!*” - krzyczy do innych. Przerażona Olimpia widzi, jak tłum rusza w jej stronę, wymachując transparentami. Zanim decyduje się, co robić, jest otoczona ludźmi, którzy wykrzykują pod jej adresem ordynarne komentarze i uwagi: „*Ouest le docteur?*”, „Panno Biddeford, dlaczego wniosła pani sprawę o opiekę nad dzieckiem”, „*Ou est la justice?*”. Ktoś rzuca jeden z transparentów w jej stronę i Olimpia wyciąga przed siebie ręce, aby zasłonić twarz. Chwilę potem czuje silne uderzenie w ramię, którym zasłania się do momentu, gdy słyszy znajomy głos Paysona Tuckera. W tej samej chwili widzi wysoką, szczupłą postać adwokata górującą nad tłumem.

- Zostawcie ją - nakazuje zaskakująco stanowczym głosem. - Dajcie nam przejść.

Bierze Olimpię pod ramię i wyprowadza z tłumy, rozstępującego się przed nimi. Prowadzi ją po schodach, przez drzwi gmachu sądowego, które otwierają się tylko dla nich. Wchodzą do poczekalni.

- Zranili panią? - pyta od razu.

- Nie - odpowiada Olimpia, chociaż jest wstrząśnięta. - Chyba nie. Nic nie rozumiem.

- To katastrofa - mówi Tucker, szukając kontaktu, aby zapalić światło. Nie mogąc go znaleźć, odsuwa zakurzone firanki. - To katastrofa. - Otwiera teczkę. - Widziała pani gazety?

- Nie - mówi Olimpia, ale już przeczuwa, co się stało.

- Proszę spojrzeć na to!

Podaje jej dwie gazety: „Ely Falls Sentinel”, którą Olimpia zna i „L'Avenir”, francuskojęzyczny dziennik, który czasami widywała w kioskach, ale nigdy nie miała w ręku. „Piękna córka bostońskiego intelektualisty domaga się praw do francuskiego dziecka”, głosi nagłówek amerykańskiej gazety. „Skandal w Fortune's Rocks!”, krzyczy tytuł francuskiego dziennika, a podtytuł wyjaśnia:

„Rozbicie francuskiej rodziny”. Wydawcy gazet zamieścili rysunkowe podobizny Olimpji. Portret w „Ely Falls Sentinel” ujęty jest w owalną ramkę jak kamea i przedstawia młodą, ale poważną twarz ładnej kobiety, przypominającą dziewczynę Gibsona.

Natomiast rysunek ilustrujący artykuł w „L'Avenir” przedstawia kobietę w sukni z głębokim dekoltem, ukazującym spory fragment biustu. Usta kobiety są rozchylone, a twarz okolona kosmykami włosów.

- Och - szepcze Olimpia i siada.

- To jest dokładnie to, czego się obawiałem - mówi Tucker. Bierze jedną z gazet i uderza w nią palcami. -Miasto się podzieliło. Jako społeczność, Francuzi są bardzo solidarni i będą popierać Bolduców. A jankesi, podrażnieni hasłem *La Survivance*, będą demonstrować najgorsze uprzedzenia, do jakich tylko oni są zdolni. Tu wrze od lat, od zawsze, od czasu do czasu zaś, gdy nadarza się okazja taka jak ten proces, animozje wypływają na wierzch. To robota Searsa, wiem o tym. Nie ma nic do stracenia, a może wygrać wszystko. Domyślam się, że właśnie po to wziął tę sprawę. Dla reklamy. Bo z pewnością nie dla honorarium.

Olimpia myśli jednak o czymś innym, słuchając jego słów.

- Ja wyczuwam, że maczał w tym pałce Zachariah Cote - mówi. - W ten sposób odpłacił panu za upokorzenie, jakiego doznał wczoraj w sądzie.

Tucker patrzy na dziewczynę, jakby widział ją pierwszy raz w życiu.

- Panno Biddeford - mówi, odkładając gazetę. - Ja tu wygłaszam hasła o podziałach klasowych, a przecież to pani dzieje się krzywda.

- Próbował mnie pan ostrzec - odpowiada Olimpia.

- Tak, ale ostrzeżenie jest niczym w porównaniu do szokującej rzeczywistości. Wiem o tym. - Prawnik bierze ze stołu gazety i chowa je do teczki. - Jest pani pewna, że chce kontynuować ten proces? - pyta. - Jeszcze nie za późno, aby się wycofać.

- Cieszę się, że mój ojciec wyjechał i tego nie widzi. Olimpia wstaje i podchodzi do okna. - Co znaczy to *La Survivance*? - pyta, patrząc na zgromadzony przed sądem tłum. - Wiem, że chodzi o przetrwanie, ale jaki jest kontekst?

- To ironiczne zawołanie społeczności franko-amerykańskiej.

Chodzi o zachowanie kultury i czystości języka, obronę przed wpływami jankesów. W świetle historii okazało się, że to daremny wysiłek, co moim zdaniem sprawiło, że Francuzi są jeszcze bardziej zdeterminowani. Oczywiście oboje wiemy, że w tym procesie nie chodzi ani o uprzedzenia klasowe, ani o kulturę, ale oni rozumieją to inaczej.

- Jest pan pewien? - pyta Olimpia. - Jest pan pewien, że nie chodzi o różnice klasowe i kulturę?

- Nie myślałem w tych kategoriach - odpowiada Tucker. - Ale teraz tak się stało.

Mimo że w małej salce przesłuchań jest tylko jedno okno i w dodatku zasłonięte kotarami, tu także docho-

dzą głosy zebranego na zewnątrz tłumu. Albertine wydaje się przestraszona i ściska rękę męża. Wchodzi sędzia Littlefield i Olimpia widzi, że nawet on jest poruszony.

- Miałem nadzieję, że uda nam się załatwić tę sprawę bardziej kameralnie, za zamkniętymi drzwiami - oświadcza sędzia, zajmując miejsce - tak jak powinno być. Jednak przypadkowo, nie z winy sądu, sprawa sądowa z prywatnego powództwa stała się sprawą publiczną, a publiczność domaga się informacji o okolicznościach towarzyszących procesowi. Te prywatne aspekty komentowane są teraz w gazetach i mam nadzieję, że żadna ze stron znajdujących się w tej sali nie jest odpowiedzialna za pogwałcenie zasad poufności informacji sądowych. - Littlefield spogląda znacząco na Searsa, który wygląda na zaskoczonego i rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: „To nie ja”. - Kiedy sprawa staje się publiczna - kontynuuje Littlefield - a społeczeństwo ma ograniczony dostęp do informacji, może się okazać, iż jedna lub obie strony na tym stracą. W związku z tym z wielkimi oporami i po długich przemyśleniach podjąłem decyzję, aby proces odbywał się dalej publicznie. Przeniesiemy się do większej sali, a ponieważ nie chcę, aby komukolwiek z obecnych stała się jakakolwiek krzywda ze strony zgromadzonego na zewnątrz tłumu, poproszę woźnego, aby przeprowadził państwa przez drzwi, które znajdują się za moimi plecami. Publiczność zostanie wpuszczona do sali innym wejściem. Możemy zaczynać? Tucker czeka, aż Sears opuści salę razem z Albertine i Telesphorem Bolducami i dopiero wtedy daje znak Olimpi. Bierze ją pod ramię i razem przechodzą przez cały szereg małych korytarzyków. Dziewczynie przypominają się owce prowadzone na rzeź. Przejście jest mroczne, przypomina labirynt, więc Olimpia instynk-

townie przytula się do Tuckera. Ponieważ w niektórych pomieszczeniach wcale nie ma światła, adwokat obejmuje ją ramieniem, aby się nie potknęła. To niezwykle, znowu czuje pomocną dłoń mężczyzny. Kiedy zbliżają się do drzwi sali przesłuchań, słyszy okrzyki solidaryzujące się z Albertine i Telesphore'em. Prawnik bierze Olimpię za rękę.

- Panie Tucker, bardzo się boję - szepcze dziewczyna, patrząc na swoje dłonie.

- Panno Biddeford - mówi Tucker. - Jest coś, o czym chciałbym pani powiedzieć. Wiem, że to nie najlepszy moment...

W półmroku mijanych sal Olimpia widzi tylko zarys jego twarzy i oczy.

- Wiem, że nie powinienem... - ciągnie adwokat.

- Panie Tucker?

- Chciałem tylko wyrazić swój podziw dla pani odwagi. Mam nadzieję, że pewnego dnia zostaniemy przyjaciółmi, a nie tylko znajomymi.

Olimpia odsuwa się od niego.

- Wybrał pan bardzo dziwny moment, aby wyrazić swój podziw - zauważa.

- Tak. Rzeczywiście. Ale czy w ogóle będzie odpowiedni czas i miejsce na takie oświadczenie?

- Nie wiem, być może. - Olimpia zastanawia się nad słowami mężczyzny. - Nie powinnam gasić niczyjej nadziei, bo sama bardzo jej potrzebuję - mówi ciepło. - A już zwłaszcza nie powinnam być oschła w stosunku do pana, ponieważ zawdzięczam panu już i tak więcej, niż potrafię wyrazić słowami. Jednak nie mogę nikomu obiecywać więcej, niż jestem w stanie zaoferować.

- Rozumiem.

- Proszę mówić mi po imieniu. To absurd, że prze-

strzegamy tych formalności, otoczeni taką pompą i protokołem.

- Dziękuję, Olimpio - szepcze Tucker.

- Mój Boże, Tucker. - Słyszą głos sędziego Littlefielda, którego drobna postać, ku ich zaskoczeniu, wyłania się z mroku tuż obok. - Jeśli się dowiem, że Sears jest odpowiedzialny za to pandemonium, pozbawię go uprawnień adwokackich. Powiedz mi, że to nie twoja sprawa.

- Nie, oczywiście, że nie mam z tym nic wspólnego -zapewnia go adwokat Olimpui, wyraźnie skrepowany, że ktoś słyszał jego prywatną rozmowę. - My nie odnosimy żadnych korzyści z faktu, że proces będzie prowadzony przy sali pełnej członków francuskiej społeczności.

- To jasne.

- Ale moim zdaniem - dodaje adwokat - nie powinniśmy przesądzać, że to sprawa Searsa.

- Tak, może ma pan rację. Ale w takim razie kto?

- Może urażony świadek? - sugeruje Tucker, patrząc na Olimpię.

- Pomyślę o tym - zapewnia Littlefield. - I proszę przypomnieć ojcu, że wciąż jest mi winien skrzynkę jabłek.

- Słucham, panie sędzio?

- To stary zakład, panie Tucker. Stary zakład. - Little-field kieruje się w stronę drzwi i otwiera je przed nimi.

- To będzie cyrk - mówi cicho Tucker do Olimpui, przepuszczając ją przed sobą. - Olimpio, to może być bolesne. Po odgłosach dochodzących z sali wnioskuje, że jest tutaj więcej ludzi ze społeczności francuskiej niż jan-kesów. Myśl tylko o swojej sprawie i pamiętaj, że to nie publiczność wydaje wyrok.

- No, mam nadzieję, że nie - oświadcza sędzia Littlefield.

W dużej sali przesłuchań panuje taka atmosfera, jaką przewidział Tucker: oboje z Olimpią wchodzą do środka przy akompaniamencie okrzyków: „*La Survivance!*”. Olimpia widzi mężczyzn w szarych roboczych bluzach i płóciennych czapkach, którzy krzyczą i wznoszą w górę pięści. Zastanawia się, czemu nie poszli do pracy. Sędzia Littlefield wchodzi do sali zaraz po nich obojgu i natychmiast robi użytek z młotka. Uderza nim mocno i niecierpliwie o blat swojego stołu.

- Chciałbym, aby zebrani tutaj pamiętali o obowiązujących przepisach - mówi, zwracając się do tłumu. - Takie okrzyki nie będą tolerowane, a każdy, kto się odezwie, zostanie wyproszony z sali. Panie Sears, proszę wezwać świadka.

Może z powodu napięcia związanego z procesem, a może dlatego, że Littlefield nie wierzy, aby ktokolwiek poza Searsem mógł być odpowiedzialny za to zamieszanie, zwraca się do adwokata bardziej szorstko, niż powinien.

- Adwokat pozwanych wzywa na świadka Albertine Bolduc.

Gniewny pomruk sali i srogie spojrzenie sędziego Littlefielda, które natychmiast ucisza publiczność, towarzyszą Albertine Bolduc, podchodzącej do miejsca dla świadków. Olimpia widzi wyraźnie, że kobieta jest przerażona, drżą jej ręce. Ma na sobie ten sam kostium i bluzkę co wczoraj, a włosy uczesane w stylu pompadour z grzywką.

- Wysoki sędzie - odzywa się Sears, ubrany w granatowy surdut w prążki, a diamenty na jego palcach lśnią w elektrycznym świetle - chciałbym włączyć do sprawy kilka dowodów.

- Dobrze, panie Sears, proszę.

Sala jest obszerna, ławki wypełnione publicznością stoją w licznych rzędach. Na galerii także jest mnóstwo

ludzi. Na ścianach wiszą portrety ponuro wyglądających mężczyzn o smutnych twarzach.

- Mam tu dokument wydany przez sierociniec Świętego Andrzeja i drugi, wystawiony przez władze stanu New Hampshire - wyjaśnia Sears. - Mam też kilka fotografii.

- Proszę przekazać te dokumenty i zdjęcia urzędnikowi sądowemu, aby je oznaczył jako dowody - wydaje polecenie sędzia Littlefield.

Sears rejestruje dokumenty i bierze je z powrotem. Trzymając dowody przy piersi, jakby miały dla niego wyjątkową wartość, podchodzi do Albertine Bolduc.

- Dzień dobry, pani Bolduc.

- Dzień dobry.

- Mam tu pewne dokumenty i chciałbym, aby przejrzała je pani i zidentyfikowała. - Podaje pierwszy dokument, który Albertine bierze drżącą ręką. - Może pani powiedzieć sądowi, co to jest?

- Tak - odzywa się Albertine ledwo słyszalnym głosem. - Świadcstwo opiekuńcze z sierocińca.

- A ten drugi?

- Stanowe potwierdzenie prawa do wychowania dziecka.

Sears odbiera jej dokumenty i podaje sędziemu Littlefieldowi.

- Pani Bolduc, mogłaby pani opisać, co widać na tych zdjęciach?

- Tak - mówi kobieta. - To? Mój maleńki Pierre, jak ma pięć miesięcy, i ja. A to tutaj, to Pierre na wózku, z kogutem. Ma wtedy roczek.

- Kto zrobił te zdjęcia?

- Brygadzysta z fabryki, nasz przyjaciel.

- Dziękuję - mówi Sears szybko, przekazując zdjęcia sędziemu, który przez chwilę im się przygląda.

Sears wydaje się dziwnie lakoniczny podczas przesłuchania Albertine, być może nie chce eksponować jej ewidentnego braku wykształcenia, czego dowodem jest chropawy angielski.

- Wysoki sędzie - włącza się Tucker - możemy obejrzyć te fotografie?

- Tak. Niech aplikant poda dokumenty i fotografie adwokatowi powódki. Olimpia pomyśli później: Są takie momenty w życiu człowieka, na które nie jest się przygotowanym.

Na pierwszym zdjęciu widać siedzącą kobietę, która podnosi niemowlę w długiej, białej koszulce. Ręce kobiety przykrywa białe ubranko dziecka, na jej twarzy widać szeroki, przyjemny uśmiech, ukazujący białe zęby. Ubrana jest w bluzkę z dużym, białym kołnierzem i mankietami oraz ciemną spódnicę. Dziecko ma na szyi coś, co wygląda jak korale, a na nóżkach buciki. Podobnie jak matka patrzy wprost w obiektyw aparatu i podobnie szeroko się uśmiecha bezzębnymi usteczkami. Niemal słysząc, jak się śmieje. Na twarzy matki maluje się zachwyt, jakby chciała zapytać: co myślicie o moim wspaniałym skarbie?

Na drugim zdjęciu chłopiec ma około roku i wyciąga rączkę, aby dotknąć wielkiego koguta, przywiązanego do wózka, w którym siedzi malec. Wokół widać wysokie trawy i liście, co sugeruje, że zdjęcie zrobiono na wsi.

Olimpia myśli: Był takim pięknym dzieckiem, a ja straciłam bezpowrotnie te wszystkie lata. Niezależnie od tego, co zadecyduje sąd, nigdy ich nie odzyskam.

Tucker, widząc jej reakcję na fotografie, prosi aplikanta, aby je zabrał.

- Pani Bolduc - mówi Sears. - Proszę opowiedzieć nam swoimi słowami, jak chłopiec znalazł się pod państwa opieką.

- Moimi słowami ? - pyta zakłopotana Aibertine. Patrzy na sędziego, jakby szukała u niego pomocy.

- Po angielsku, proszę - mówi Littiefleid, a w sari słyhać stłumiony pomruk niezadowoienia.

Aibertine Boiduc mruży oczy od słońca, które pada właśnie na miejsce dia świadków. Odwraca głowę, aby promienie jej nie oślepiały.

-Jestem zameżna osiem iat i nie mam dzieci - zaczyna. - I pytam siostry o sierotę. I one mówią mi, jak mogę dostać dziecko. Bo doktor mówi mi, że nie mogę mieć swoich dzieci, co bardzo smuci mnie i Teiesphore'a.

- Rozumiem - wtrąca Sears. - Proszę daiej.

- I w kwietniu tysiąc dziewięćsetnego roku odwiedza mnie matka Marguerite, która mówi, że jest dziecko.

- Czy to była matka Marguerite Peiietier?

- Tak, przychodzi do mnie w niedzielę po południu. I mówi mi, że jest dia mnie dziecko, jeśli Teiesphore i ja chcemy. Ja mówię tak, nieważne, co musimy zrobić, chcemy. I wtedy Teiesphore i ja nie idziemy rano do pracy i bierzemy dziecko.

- Jaki to był dzień?

- Dwudziesty piąty kwietnia.

- Podpisała pani dokumenty, które pokazałem wcześniej?

-Tak.

- Proszę powiedzieć, jak państwo tego dnia się czu-iiecie.

- Kiedy widzę chłopca, jest taki miutki, od razu mam miłość w sercu. I Teiesphore też, widzę to. Bierzemy chłopca do domu i szykujemy dia niego łóżko i kochamy go cały dzień.

Tucker patrzy na Oiimpie.

- Czy chłopiec był zdrowy?

- Tak, jest zdrowy. Rośnie.

- Pani Bolduc, jak zorganizowaliście sobie pracę, gdy dziecko znalazło się pod waszą opieką?

- Telesphore i ja idziemy do brygadzysty i prosimy o różne zmiany, aby opiekować się dzieckiem. Jesteśmy dobrymi pracownikami, więc mówi nam, że dobrze.

- Gdzie znajduje się teraz chłopiec?

- Jest z moją matką.

- Wysoki sędzie - Sears zwraca się do Litteifielda - mam tu oświadczenie siostry Therese Bracq, wizytatorki z sierocińca Świętego Andrzeja, która nie mogła stawić się w sądzie z powodu przewlekłej choroby. Zapewnia ona na podstawie wielokrotnych wizyt w domu państwa Bolduców, że dziecko miało dobrą opiekę. Oświadcza również, że rodzice zajmują się nim we właściwy sposób i niemal zawsze chłopiec przebywa z jednym z nich. Wspomina również, że członkowie licznej rodziny Albertine Bolduc pomagają wychowywać dziecko. - Adwokat wręcza dokument sędziemu, który przegląda go pobieżnie. - Teraz, pani Bolduc - kontynuuje Sears - jak się pani czuła, gdy ubiegłej jesieni dowiedziała się pani, że Olimpia Biddeford, naturalna matka chłopca, chce odzyskać prawo do opieki nad nim.

Z końca sali dobiega okrzyk „Non!” i Littlefield natychmiast uderza młotkiem.

- Woźny! - mówi. - Proszę wyprowadzić tego mężczyznę. Wszyscy czekają, aż mężczyzna w niebieskim szaliku i z transparentem zostanie usunięty z pomieszczenia. Albertine patrzy na Olimpię i po raz pierwszy od chwili spotkania w sądzie obie kobiety spoglądają sobie w oczy.

- Nie wierzę w to - mówi, jakby kierowała te słowa wprost do dziewczyny. - Nie wierzę w to. Chłopiec jest

nasz. Nie można go zabrać, mówię do Telesphore'a. A on krzyczy i jest bardzo zły. Ja mówię, żeby był cicho ze względu na chłopca. I trzymam chłopca, i mówię mu, że nigdy go nie oddam. I potem ktoś mówi nam o panu, który czasami bierze sprawy biednych.

- Dziękuję. Jak zwraca się do pani chłopiec? - pyta szybko Sears, zapewne pragnąc zmienić temat.

Olimpia domyśla się, że nie robi tego z powodu skromności, ale nie chce, aby sąd zwrócił uwagę na słowo „biedni” - określenie, którego żaden adwokat w sprawie o opiekę nad dzieckiem nie chciałby łączyć ze swoim klientem.

- Nazywa mnie *maman*, oczywiście.

- A pani męża?

- *Papa*.

- Chłopiec nie zna innych rodziców, prawda? -Tak.

- Pani Bolduc, proszę powiedzieć, czemu nie zaadoptowali państwo dziecka legalnie?

- Nie znaleziono ojca. Ale pragniemy tego. I siostry mówią nam, że możemy to zrobić po pięciu latach.

- A kiedy zamierzacie państwo posłać chłopca do szkoły?

- W wieku sześciu lat.

- Dziękuję pani Bolduc, to wszystko.

Olimpia patrzy, jak Sears wraca do swojego stolika, podnosi poły surduta i siada na krześle. Albertine, wciąż pozostając na miejscu dla świadka, wyjmuje z torebki chusteczkę i ociera sobie górną wargę.

- Wysoki sędzie - Tucker wstaje - mam kilka pytań do pani Bolduc.

Sędzia robi notatki i przez chwilę nie odpowiada. Olimpia wyciąga rękę w spontanicznym geście zachęty

i dotyka dłoni Paysona. Adwokat patrzy na rękę dziewczyny, a potem na jej twarz.

- Tak, proszę - mówi Littlefield.

Tucker niechętnie zabiera dłoń i podchodzi do Albertine Bolduc.

Przez chwilę obserwuje ją z uwagą. Albertine, speszona jego spojrzeniem, wyraźnie się niepokoi.

- Pani Bolduc - odzywa się wreszcie Tucker - chciałbym zadać kilka pytań dotyczących pani pochodzenia.

- Tak?

- Czy jest pani obywatelką amerykańską? -Tak.

- Czy urodziła się pani tutaj? W tym kraju?

- O, tak.

- W Ely Falls?

- Tak, moja matka pracuje w fabryce już czterdzieści siedem lat.

- Czterdzieści siedem lat? - Tucker wydaje się zdziwiony. - To szmat czasu, pani Bolduc.

- Tak - mówi Albertine. - Ma siedmioro dzieci.

- Tak? To niezwykle.

- Ależ nie - wyjaśnia kobieta. - Wcale nie. Jest wiele rodzin pochodzących z Francji, które wiele lat pracują w fabrykach z wieloma dziećmi. To normalne.

- Może pani podać inny przykład?

- Moja siostra pracuje dwadzieścia cztery lata i ma czworo dzieci, a jedno zmarło. - Albertine robi znak krzyża.

- Ile ma teraz lat? Pani siostra?

- Trzydzieści dwa.

- To znaczy, że zaczęła pracować w fabryce, gdy miała... osiem lat?

- Tak, to prawda. Sears zrywa się z krzesła.

- Wysoki sędzie, nie rozumiem związku tych pytań ze sprawą.
 - Panie Tucker?
 - Wysoki sędzie, chcę ukazać kontekst kulturowy, w jakim będzie wzrastał chłopiec. Wydaje mi się, że te pytania mają ścisły związek ze sprawą.
 - Zgadzam się, proszę kontynuować.
 - A jeśli chodzi o panią, pani Bolduc? Kiedy zaczęła pani pracę w fabryce?
 - W wieku ośmiu lat, jak moja siostra.
 - Rozumiem. Czy chodziła pani do szkoły?
- Sears, który dopiero co usiadł, znowu zrywa się z krzesła.
- Doprawdy, wysoki sędzie, nie uważam, aby kwestia, czy pani Bolduc chodziła do szkoły, czy nie, w jakikolwiek sposób wpływała na ocenę, czy jest odpowiednią matką dla chłopca.
 - Wysoki sędzie - wyjaśnia Tucker, idąc powoli w stronę sędziego Littlefielda. - Powtórzę raz jeszcze, że próbuję przedstawić kontekst kulturowy, w jakim będzie wychowywany chłopiec. Ma to wielkie znaczenie, ponieważ żadni rodzice nie funkcjonują w próżni. Osobowość chłopca jest kształtowana nie tylko przez matkę i ojca, ale także przez środowisko. Sąd nie może podjąć właściwej decyzji o prawach do opieki nad dzieckiem bez pełnego obrazu tego środowiska.
- Sędzia rozważa punkt widzenia adwokata powódki, studiując wysoką postać prawnika. Cisza przedłuża się i nawet publiczność zamilkła w oczekiwaniu na decyzję Littlefielda.
- Bardzo dobrze, panie Tucker - mówi w końcu. - Panie Sears, proszę przez chwilę nie przerywać i pozwolić panu Tuckerowi prowadzić obronę linię pytań do świadka.

Payson wraca do Albertine i podchodzi tak blisko, że mógłby oprzeć ramię o mównicę.

- Pani Bołduc - powtarza pytanie. - Czy chodziła pani do szkoły?
Albertine spuszcza wzrok.

- Nie. Nie chodziłam. Moja matka nie ma pieniędzy na szkołę.

- Ale chciała panią posłać do szkoły katolickiej, za którą trzeba płacić?

- Tak. Do szkoły Świętego Andrzeja.

- Czy tam właśnie chce pani posłać swojego przybranego syna?

- O, tak.

- I w tej szkole pani przybrany syn będzie mówił po francusku i będzie pobierał lekcje po francusku. Prawda?

Z tyłu sali rozległy się krzyki: „*La langue*” i „*Je me souviens!*”.

Littlefield uderzył młotkiem, wyraźnie zirytowany nieprzestrzeganiem jego poleceń.

- Woźny, proszę usunąć osoby, które przerwały rozprawę. Jeśli usłyszę jeszcze jeden głos z sali, usunę nie tylko tego, kto przeszkadza, ale całą publiczność. Czy to jasne? Pani Bolduc, proszę odpowiedzieć na pytanie.

Albertine spogląda na Tuckera, przyciskając do siebie torebkę.

- Tak, to dla mnie ważne - mówi. - Wszyscy wierzymy w *la langue*.

- Proszę powiedzieć, dlaczego?

- Jeśli porzucamy francuski i mówimy tylko po angielsku, tracimy nasze życie... naszą... - Szuka właściwego słowa. - *La culture*.

- Rozumiem. A więc należy pani do parafii Świętego Andrzeja?

- O, tak.

- Jak często chodzi pani do kościoła?

- Co niedziela.

Olimpia zastanawia się, dlaczego Tucker zadaje Albertine wszystkie te pytania. Jej zdaniem podkreślają one kwalifikacje tej kobiety na dobrą matkę. Czyż jej adwokat powinien poruszać sprawę praktyk religijnych?

- Pani Bolduc, na czym polega pani praca w fabryce? - pyta Tucker.

- Jestem greplarką. Wyczesuję bawełnę.

- Ile godzin dziennie pani pracuje?

- Pracuję dziesięć i pół godziny dziennie.

- Ile wynosi pani zapłata?

- Dostaję ponad trzysta dolarów rocznie. Adwokat uśmiecha się do Albertine.

- Czy mam rację, że jest pani dumna ze swojej pracy, pani Bolduc?

- O, tak, jestem dumna. Jestem dobrą pracownicą i nadzoruję pracę wielu kobiet.

- Czy uważa pani, że dziecko powinno być wychowywane w kulcie pracy?

- Nie rozumiem pana. - Albertine wydaje się zdziwiona.

- Czy powinno się uczyć dziecko, że praca to dobra rzecz?

- Ależ tak - odpowiada speszona. - Każdy musi pracować.

- Właśnie - Tucker kiwa głową. - A jakie inne zasady chce pani wpoić Pierre'owi?

- Uczciwość, tak? Uprzejmość w stosunku do innych.

Posłuszeństwo, tak?

- Oczywiście. Sprecyzujmy więc wyraźnie - proponuje adwokat. -

Ma pani nadzieję, że pani przybrany syn będzie mówił po francusku, prawda?

-Tak.

- Ma pani nadzieję, że pani syn zostanie wychowany w wierze katolickiej?

- *Mais oui* - mówi szybko kobieta.

- Będzie pani wpajać mu takie zasady moralne jak uczciwość, posłuszeństwo i uprzejmość dla innych?

- Oczywiście.

- I będzie pani uczyć go etyki pracy, co jest właściwe dla środowiska franko-amerykańskiego.

- Tak, muszę.

- Ale nie pośle pani Pierre'a do pracy w fabryce w wieku ośmiu lat, tak jak to było w pani przypadku?

- Nie - odpowiada Albertine, kręcąc głową.

- Poczekaj pani, aż syn skończy dziesięć lat. Pani Bolduc myśli chwilę.

- Tak, dziesięć - potwierdza.

Tucker chwilę milczy, a następnie powtarza:

- A więc dziesięć?

- Dziesięć, tak myślę. Zdecydowanie.

Następuje moment ciszy. Nagle Sears, do którego dotarł sens pytania, zrywa się na nogi i zaczyna coś mówić, ale nawet Olimpia dostrzega, że już za późno. Obserwuje, jak na twarzy Albertine Bolduc pojawia się najpierw wyraz dezorientacji, a potem nagle wszystko staje się jasne. Telesphore, siedzący przy stole dla pozwanych, zasłania dłońmi twarz.

- Panie Sears, proszę usiąść - mówi sędzia Littlefield.

- Ależ wysoki sędzie! - oponuje prawnik Bolduców. i

- Proszę siadać, panie Sears.

W sali sądowej panuje niezwykła cisza, w powietrzu i wyczuwa się wielkie napięcie.

- Nie mam więcej pytań, wysoki sędzie - przerywa tę ciszę adwokat Olimpii.

- Nie ma pan więcej świadków?

- Nie, nie mam. Chciałbym jednak prosić o zgodę na wygłoszenie mowy końcowej.
- Wysoki sędzie - protestuje Sears, zaczerwieniony z przejęcia. - To wysoce nietypowe. Mecenas Tucker nie może wygłaszać mowy końcowej w tym momencie.
- Strona wnosząca sprawę zakończyła swoje wystąpienie - oświadcza Tucker.

Littlefield myśli przez chwilę.

- To postępowanie wydaje się nietypowe, panie Sears, ale nie jest wbrew procedurze. Pan mecenas Tucker może ryzykować powodzenie przedstawianej sprawy, wygłaszając mowę końcową przed wysłuchaniem do końca argumentów pozwanych. Ale jeśli podjął taką decyzję, nie widzę przeszkód.

- Zdecydowałem się na to - potwierdza Tucker.

- Wysoki sędzie, to wysoce nietypowe.

- Tak, panie Sears, rozumiem. Powtarzam jednak, nie stoi to w sprzeczności z regulaminem. Panie Tucker, proszę kontynuować.

Sears siada niechętnie, kręcąc głową. Albertine, wyraźnie zaskoczona nagłym zakończeniem swojej wypowiedzi, a także przerażona potencjalną szkodą, jaką sama sobie wyrządziła, pozostaje bez ruchu na miejscu dla świadków. Sędzia Littlefield spogląda w jej stronę i uprzejmie prosi, aby wróciła do stolika pozwanych. Wstrząśnięta kobieta chwieje się na nogach i, o ironio, zmuszona jest przyjąć dłoń Tuckera, który pomaga jej wrócić na miejsce. Rozgniewany Sears natychmiast oferuje swojej klientce pomoc.

Tucker podchodzi do swojego stolika i wyjmuje z teczki plik notatek. Patrzy na Olimpię, jakby chciał jej coś powiedzieć, ale nie może. Olimpia odprowadza go wzrokiem do mównicy. Przyszłość, cała jej przyszłość

spoczywa w rękach tego młodego człowieka, który ledwo skończył studia prawnicze, debiutanta, który zapewne nie prowadził dotąd przed sądem żadnej sprawy.

- Wysoki sędzie - zaczyna Tucker - moja mowa końcowa, aczkolwiek z zamierzenia nie ma wydźwięku zapalnego, przez wielu członków społeczności franko-amerykańskiej może zostać w ten sposób odebrana, a ponieważ sąd nie jest forum dla debat politycznych, a ja nie chciałbym, aby publiczność przerywała mi krzykami i gwizdami, wnioskuję o opróżnienie sali na czas mojego wystąpienia.

Sala reaguje natychmiast hałaśliwym sprzeciwem -rozlegają się okrzyki po angielsku i po francusku. Zaniepokojona Albertine odwraca się na krześle, aby spojrzeć na zgromadzonych. Littlefield uderza mocno młotkiem, aż wreszcie publiczność się uspokaja.

- Panie Tucker, przez ostatnią godzinę starałem się znaleźć jakiś regulaminowy powód, aby opróżnić salę. Bardzo panu dziękuję. Woźny, proszę pomóc zebranim wyjść. Każdy, kto nie zastosuje się do tego polecenia, zostanie aresztowany.

Adwokat stoi bez ruchu na mównicy.

- Panie Tucker - odzywa się sędzia, kiedy sala jest pusta. - Myślę, że nie grożą nam już potencjalne zamieszki. Może pan zaczynać. Aura spokoju, jaką rozciąga Tucker, zaczyna się rozchodzić dookoła niby koncentryczne kręgi.

- Wysokie sędzie - zaczyna. - Jeśli przegramy sprawę o opiekę nad dzieckiem, nie możemy gwarantować poziomu jego edukacji. Sąd Najwyższy w Teksasie wypowiedział się na ten temat w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym roku, przyrównując władzę rodzicielską do zarządzania dobrami publicznymi:

„Państwo, jako protektor i promotor spokoju oraz dobrobytu w zorganizowanym społeczeństwie, zainteresowane jest właściwą edukacją i wychowaniem dziecka, które w efekcie powinno stać się pożytecznym, a nie zdeprawowanym obywatelem. Chociaż obowiązuje tu generalna zasada, że interes dziecka i interes społeczeństwa jest wtedy najlepiej chroniony, gdy pozostawi się jego edukację i wychowanie aż do uzyskania pełnoletności w rękach kochających rodziców, niekrepowanych nadzorem państwa, w szczególnych wypadkach państwo zachowuje prawo pozbawienia rodziców opieki nad dzieckiem, jeśli wymaga tego interes dziecka i społeczeństwa”.

Wysoki sędzie, mogliśmy się przekonać, że Albertine i Telesphore Bolduc są głęboko zżyci z franko-amerykańską społecznością Ely Falls. Sami to powiedzieli, podkreślał to również ich adwokat. Wszakże społeczność franko-amerykańska tego miasta w sposób niebudzący wątpliwości udowodniła, że sprzeciwia się postępowej wizji wychowywania dzieci. W tym roku tylko trzysta dwadzieścioro dzieci z tego środowiska na osiemset siedemdziesięcioro będących w wieku szkolnym uczęszczało do szkół. Wysoki sędzie, to zaledwie jedna trzecia dziecięcej populacji. Siedemdziesiąt procent franko-amerykańskich dzieci w tym mieście, w wieku między osiem a czternaście lat, pracuje w fabrykach. Pragnę przypomnieć wysokiemu sądowi o obowiązujących w tym stanie prawach dotyczących pracy małoletnich: żadne dziecko poniżej dwunastego roku życia nie może być zatrudnione w fabryce lub innych tego typu zakładach pracy. Podobnie jak żadne dziecko poniżej piętnastego roku życia nie może pracować podczas szkolnych wakacji, chyba że chodziło do szkoły przez szesnaście tygodni w roku poprzedzającym jego szesnaste urodziny.

Jak wytłumaczyć więc fakt, że w Ely Falls tak wiele dzieci podejmuje pracę w fabrykach? - pyta retorycznie Tucker. - Odpowiedź jest prosta. Rodzice ze środowiska franko-amerykańskiego omijają prawo regulujące zatrudnienie małoletnich, ukrywając ich wiek. To nie jest opinia, ale fakt. Nie postępują tak dlatego, że są złymi ludźmi. Robią to, ponieważ w ich kręgu kulturowym praca nie jest niczym złym i ponieważ są bardzo biedni. Oto cytat z ostatniego wydania „L'Avenir”, gazety wychodzącej w środowisku franko-amerykańskim: „W tym stanie regulacje prawne dotyczące pracy małoletnich z zasady nie są przestrzegane, ponieważ wielu franko-amerykańskich rodziców ukrywa wiek swoich dzieci. Nawet dobre siostry z klasztoru Świętego Jana Chrzciciela de Bienfaisance są zaszokowane i zaniepokojone, że tak wiele franko-amerykańskich dzieci pracuje w fabrykach”. - Przerywa, aby opinia zakonnic dotarła do wszystkich na sali. - Mam tutaj pewną liczbę fotografii, które chciałbym przedstawić sądowi - mówi dalej. - Owe wstrząsające zdjęcia wykonano w tym roku w fabrykach w Ely Falls. Na jednym widzimy sześcioro dzieci, z których żadne nie ma więcej niż dziesięć lat. Są brudne i zmęczone, stoją między maszynami tkackimi, co najmniej dwa razy większymi od nich. Na innym widać nędznie ubranego chłopca, dodam też, że bez butów, wspinającego się na skrzynkę, aby dosięgnąć do przycisków maszyny, przy której pracuje. Podchodzi do podium i podaje zdjęcia sędziemu Littlefieldowi, który dokładnie je przegląda. Sears nie prosi o możliwość obejrzenia dokumentacji.

- Wysoki sędzie - ciągnie swoją mowę Tucker - wszyscy wiemy o sytuacji panującej w Ely Falls, ale wolimy postrzegać ją inaczej. Władze miasta, zarówno jankeskie,

jak i frankońskie, uznały, że „Petit Canada” powinna sama dbać o porządek. Nie jest to sprawa, którą powinniśmy teraz oceniać w sądzie, jest jednak ważna o tyle, o ile wiąże się z przyszłością pewnego małego chłopca, Pierre'a Francis'a Haskella.

Jeśli chłopiec zostanie pod opieką Albertine i Telesphore'a Bolduców, przed dwunastym rokiem życia rozpocznie pracę w fabryce. Pozwolę sobie wyjaśnić, co to będzie dla niego znaczyło. Nie tylko zostanie pozbawiony dalszej edukacji, ale także będzie harował jedenaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu, w zapyłonym pomieszczeniu, bez dostępu świeżego powietrza i słońca. Będzie narażony na wiele chorób, łącznie z odrą, dyfterytem i śmiertelnie niebezpieczną bysynożą. Będzie opóźniony w rozwoju fizycznym i narażony na choroby oczu. Nie będzie uprawiał żadnego sportu, nie licząc wysiłku przy pracy. Będzie mieszkał w osiedlu robotniczym, gdzie zazwyczaj są karaluchy, myszy i szczury i gdzie brud oraz nędza sprzyjają rozwojowi takich groźnych chorób jak ospa i cholera. Sam biskup Louis Giguere tak pisał w tym roku w „L'Avenir”: „Nie sposób wprost opisać warunków mieszkalnych robotników. Są tam cuchnące wychodki, wilgotne piwnice pełne śmieci i niebezpieczne klatki schodowe. Przez dziury w skorodowanych rurach kanalizacyjnych ulatnia się toksyczny gaz. Budynki nie mają właściwej wentylacji, nie są też odpowiednio zaopatrzone w wodę”.

Wysoki sądzie, nie chcę sugerować, że pokój, w którym mieszkają Albertine i Telesphore Bolduc, tak właśnie wygląda, ale Pierre Francis Haskell, jako członek społeczności franko-amerykańskiej, będzie wzrastał w podobnym otoczeniu. Co więcej, kiedy wejdzie w wiek dorosły, jeśli w ogóle będzie mu to dane, jedynym miejscem,

w którym zdoła się realizować zawodowo, stanie się fabryka. Nie otrzyma wykształcenia ani żadnych innych umiejętności poza tymi, jakich wyuczy się w pracy. Czy sąd chce skazać Pierre'a Haskella na takie życie? Chcę postawić sprawę jasno: oddanie opieki nad dzieckiem w ręce Albertine i Telesphore'a Bolduców równa się skazaniu chłopca na utratę szans życiowych i nędzę.

Olimpia patrzy w stronę stolika pozwanych. Sears trzyma rękę na ramieniu Albertine, jakby ją uspokajał. Telesphore mruczy gniewnie: „*Non, non, non*”.

- Wysoki sędzie - kontynuuje Tucker - obie kobiety, które zostały dziś przesłuchane, będą przeżywać wielkie cierpienie albo wielką radość w wyniku wyroku. Jednak, jak powiedział tu mój kolega, mecenas Addison Sears, nie możemy się kierować radością bądź cierpieniem matki. Przede wszystkim musimy dbać o dobro dziecka. Nie ulega wątpliwości, że chłopiec zostanie wychowany w lepszych warunkach przez Olimpię Biddeford, która gwarantuje własnym przykładem, że jej syn otrzyma odpowiednią edukację, nawet na poziomie uniwersyteckim, a także będzie zabezpieczony finansowo. Decydujemy tu dzisiaj o jego przyszłości, czy zostanie robotnikiem fabrycznym, czy też lekarzem, profesorem, a może nawet sędzią. Pozbawienie chłopca tych szans byłoby zbrodnią. - Tucker robi przerwę. - Wysoki sędzie, Olimpia Biddeford sama była dzieckiem, gdy okazało się, że jest w ciąży. Od tego czasu jej życie wygląda tak, że każda chrześcijanka mogłaby jej pozazdrościć i traktować jako wzór: zdobyła wyższe wykształcenie, prowadzi skromną i przyzwoitą egzystencję i mądrze wykorzystwała szanse, jakie dały jej dobre pochodzenie i znaczący majątek. Nie sądzę, aby ktokolwiek z nas wątpił dzisiaj chociaż przez moment, że będzie dobrą matką dla swojego dziecka. -

Adwokat zbiera notatki rozłożone na pulpicie. - Sąd podejmie decyzję nie tylko o ogromnej wadze prawnej, lecz także moralnej: komu powierzyć opiekę nad dzieckiem? - Tucker patrzy znacząco na sędziego Littlefielda, a potem wolno odwraca się w stronę Olimpii. Przez długą minutę nie spuszcza z niej oczu. - Zwróćmy dziecko jego prawowitej matce - mówi.

Wyrok zostanie ogłoszony jutro o trzeciej po południu. Przyjadę po Ciebie o jedenastej i zjemy razem lunch. Odwagi! Tucker

Olimpia wsuwa żółtą kartkę z telegramem do kieszeni sukni.

Zamykając kuchenne drzwi, obserwuje, jak mały chłopiec, który przyniósł telegram, wybiega na drogę, ściskając w ręku monety.

Dziewczyna idzie prosto do kredensu i, co do niej niepodobne, nalewa sobie porcję alkoholu, aby uspokoić nerwy. Zastanawia się, z jakiej okazji kupiła tę butelkę whiskey. Karafka jest stara, z rżniętego kryształu i należała do jej babki. Ze szklaneczką w dłoni Olimpia przechodzi do frontowego pokoju i staje przy oknie.

Zachodzące słońce zmienia barwę wody na ciemnoszmaragdową, który to odcień znika już w następnej chwili. Olimpia stawia szklanę na parapecie i wyjmuje spinki z włosów, przytrzymując ciężkie pukle ręką.

Wyrok zostanie ogłoszony. Jej los jest przypieczętowany, a ona nie wie jeszcze, jaki będzie. Czuje się zaskoczona, że oczekiwanie tak szybko się kończy. Tucker powiedział, że wydanie wyroku zajmie sędziemu Littlefieldowi co najmniej tydzień, a skończyło się na czterech dniach. Nie jest jeszcze na to przygotowana.

Siada na swoim windsorskim krześle i bierze do ręki nocną koszulkę, którą szyje dla synka. Wyjmuje z materiału szpilki o perłowych główkach i wpina je w starą po-duszczykę z końskiego włosia, którą zrobiła, gdy była dzieckiem. Obcina nożyczkami nitkę, łączącą brzegi materiału. Na podłodze wokół niej leżą skrawki lnu i bawełny. Już wcześniej mogła skończyć szycie, ale całe popołudnie męczyły ją wspomnienia z procesu, obrazy stawały jej przed oczami jak żywe i co chwilę musiała przerywać pracę.

Olimpia myśli o Tuckerze, o chwili, gdy wrócił do stolika po wygłoszeniu mowy końcowej. Był blady i drżały mu ręce.

Zrozumiała wówczas, ile wysiłku kosztowało go przedstawienie argumentów na jej korzyść, co uczynił z wielką kulturą. Ktoś inny mógłby być po zakończeniu takiej mowy bardzo pewny siebie, a Tucker wydawał się zgaszony. „Ryzykowne posunięcie”, tylko tyle powiedział jej później, gdy chciała mu podziękować.

Olimpia przypomina sobie też Searsa, wygłaszającego swoją mowę końcową. Otyły, łysy prawnik, gwałtownie gestykulował i rzucał oskarżenia pod adresem Olimpji, a w każdym jego słowie wyczuwało się wściekłość na Tuckera. Jego podsumowanie, tak samo jak przemówienie wstępne - gwałtowne i bardzo ekspresywne - było równie mocne jak wystąpienie Tuckera. Sears wielokrotnie podkreślał, że nie powinno się osądzać zachowania człowieka przez pryzmat warunków kultury, w jakich żyje. A kiedy skończył, Olimpia nie była pewna, które przemówienie sędzia uzna za bardziej przekonujące.

Wspomina też, jak zeznawała. Wracają do niej te wszystkie okropne pytania, na które musiała odpowiadać, przede wszystkim o tym, jak ona i Haskell kochali się przed laty. Myśli również o ojcu, zeznającym jako świa-

dek. Był blady i przygarbiony i nie mógł pojąć, dlaczego jego życie potoczyło się w ten sposób, dlaczego znalazł się w takim miejscu.

Myśli o zdumiewającej opowieści Josia-ha, jak jechał z niemowłciem do Ely Falls, o podróży, będącej tak ciężkim przeżyciem dla Lisette. Pamięta matkę Marguerite w habicie i wykrochmałonym barbecie, której każde słowo brzmiało tak prawdziwie. Widzi panią dziekan Bardwell w tweedowym kostiumie, opowiadającą

o Averillu Hardym i jego podłych, tchórzliwych insynuacjach. Myśli też o Zachariahu Cote, upokorzonym pod koniec zeznań i o tym, jak cudowną satysfakcję sprawił jej wówczas widok tego podłego intryganta, w którego zeznania wątpił nawet sędzia Littlefield.

Później przypomina sobie panią Bolduc na miejscu dla świadków - Albertine mówiącą łamaną angielszczyzną

1 bez wątpienia kochającą przybranego synka, o czym świadczyły wymowne fotografie. Olimpia gwałtownie kręci głową. Nie może myśleć o tej kobiecie.

Podnosi z kolan koszulkę i przez chwilę przygląda się swojemu dziełu. Miesiąc temu w chwili słabości kupiła w Ely Falls pięć kościanych guzików, które teraz przyszyła do koszulki, każdy w kształcie innego zwierzątka: słońca, małpy, niedźwiedzia, żyrafy i czegoś, co przypomina byka. Idzie z ubrankiem do kuchni, rozkłada deskę do prasowania i stawia żelazko na piecu, aby je rozgrzać.

Rozprasowując szwy, myśli o kufierku na górze, pełnym koszulek, spodenek, skarpetek, bielizny, swetrów i marynarek - rzeczy, które uszyła lub zrobiła na drutach dla chłopca. To prawdziwa praca z miłości, a nawet coś więcej - jedynie to zajęcie pozwoliło jej przetrwać długie, zimowe miesiące, gdy czekała na początek procesu.

Nagle rozlega się dzwonek u drzwi. Zaskoczona Olimpia nasłuchuje, trzymając w ręku żelazko. Dwie wia-

domości w ciągu dwudziestu minut? Może to kolejny telegram? Czyżby sędzieja Littlefield był tak niecierpliwy, że odczytał wyrok już dzisiaj? Nie, z pewnością nie. Dziewczyna odstawia żelazko na cegłę i idzie w stronę kuchennych drzwi.

Za drzwiami stoi on, chwilę wcześniej nacisnął dzwonek. Olimpia widzi jego twarz przez szybę. Musi oprzeć się ręką o ścianę, aby zachować równowagę. On ma na sobie marynarkę i szary, filcowy kapelusz. A także kamizelkę zapinaną na guziki. Olimpia nie widzi nic więcej, ponieważ oślepia ją zachodzące słońce, które mocno świeci między pozbawionymi liści drzewami.

Chwila radości. A potem niedowierzanie.

Jak w transie robi sześć czy siedem kroków w stronę drzwi i otwiera je.

- Olimpio - mówi Haskell. Cofa się, a on staje w progu.

Nie odrywa od niej wzroku, jakby także nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Dziewczyna odwraca się i idzie w stronę kuchni, wiedząc, że Haskell idzie za nią. Serce bije jej tak mocno, że musi przycisnąć dłoń do piersi, aby je uspokoić.

- Olimpio - powtarza Haskell.

Olimpia odwraca się, a on zdejmuje kapelusz.

Jego twarz wydaje się starsza, ale wciąż jest promienna jak dawniej.

Krótko obcięte włosy odrobinę cofnęły się nad czołem. Wydaje się jej szczuplejszy i bardziej żyłasty, niż to zapamiętała. Największe wrażenie jednak robią jego oczy. Są stare, starsze niż twarz, puste i otoczone zmarszczkami, jakby ciężar ostatnich czterech lat skupił się właśnie tam i tam poczynił największe spustoszenie.

Stoją po przeciwnych stronach kuchennego stołu i patrzą na siebie.

- Przyjechałem, gdy tylko się dowiedziałem - mówi w końcu Haskell, przerywając ciszę.

Ona milczy.

- Byłem daleko stąd, w głębi kraju. Właśnie przyjechałem pociągiem z Minneapolis.

Olimpia kręci głową i kładzie ręce na oparciu krzesła, aby się uspokoić.

- Z Minnesoty - dodaje Haskell. Dziewczyna podnosi głowę.

- Gdy wróciłem do pensjonatu w Minneapolis, gdzie się zatrzymałem, czekał tam na mnie list od mecenasa Tuckera.

Przeczytałem też w gazetach o procesie. Wszędzie o nim piszą.

Olimpia odwraca się do niego plecami i patrzy w okno.

- Nikt nie wie, że przyjechałem - ciągnie Haskell. - Nikomu nie powiedziałem, nawet Tuckerowi. Obawiam się, że moja obecność, ponieważ wciąż jestem prawnym opiekunem dziecka, może skomplikować sprawę, a nawet wpłynąć na wyrok.

Olimpia zaciska usta.

- Zatrzymałem się w Dover Inn - dodaje Haskell. - Jestem pewien, że nikt ze znajomych mnie nie widział.

Ona cofa się i opiera plecami o zlew.

- Olimpio - szepcze Haskell, kładąc na stole kapelusz.

- Napijiesz się herbaty? - pyta dziewczyna łamiącym się głosem i widzi, że Haskell nie wie, co odpowiedzieć. - Postawię czajnik - dodaje. - Jeśli zostawisz mnie na chwilę, przyniosę herbatę do salonu.

Haskell waha się przez moment, ale rozumie, o co jej chodzi.

- Oczywiście - mówi i niechętnie wychodzi przez wahadłowe drzwi.

Olimpia obejmuje głowę rękami, kolana uginają się pod nią i pada na podłogę. Spódnica wydyma się na moment, a potem oblepia jej nogi. Olimpia wtula głowę głębiej w ramiona. Łka głośno, wiedząc, że on jej nie słyszy. W swoich marzeniach, nawet najśmielszych, nie wyobrażała sobie tego. Robi się miękka jak glina na mokradłach. To jego wina.

Po chwili bierze się w garść i wstaje. Wyciąga z kieszeni chusteczkę i wyciera nos. Na wpół świadomie nalewa wodę do czajnika, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że nie powinna kazać mu tak długo czekać.

Haskell patrzy na ocean. Jedną rękę opiera na wąskim parapecie okna, drugą trzyma w kieszeni spodni. Olimpia widzi, że mimo tak długiego czasu spędzonego gdzieś na głębokiej prowincji nie stracił nic z właściwej sobie elegancji ruchów.

Haskell słyszy szelest jej spódnicy i odwraca się.

- Nigdy nie byłem tu w innej porze roku niż latem -mówi. - Plaża jest wspaniała, gdy nie ma na niej ludzi.

- Natura często prezentuje się najlepiej bez widzów -zauważa Olimpia.

- Wiesz, niemal nie czuję się teraz winny. Pozostała tylko kara.

- Twoje dzieci - odpowiada Olimpia.

- Poczucie winy przytępiło się przez te lata. Najbardziej odczuwam stratę. Stracone dni, które nigdy nie wrócą.

- Dlaczego wyjechałeś tak daleko?

- Catherine tego zażądała. Nie mogłem odmówić. Olimpia milczy, rozmyślając o tym życzeniu i okolicznościach, w jakich nastąpiło.

- I pomyśleć, że nie widziałem cię od tamtej nocy. -Haskell badawczo jej się przygląda.

- To była straszna noc.
- Bardziej przerażająca niż inne w moim życiu - przyznaje. - Byłem wstrząśnięty cierpieniem Catherine. Nie potrafiła się pogodzić z tym, co zaszło. W drodze do domu rzuciła się z powozu.
- Nie wiedziałam.
- Złamała sobie łokieć.
- Nikt mi o tym nie powiedział.
- Nie miałem pojęcia, że kocha mnie w ten sposób. Ledwo czuła ból po złamaniu ręki. Bolała ją inna rana.
- Pamiętam jej urodę - mówi dziewczyna.
- O, tak.

Haskell nie spuszcza wzroku z jej twarzy. Olimpia pierwsza odwraca głowę.

- Co robiłeś w Minnesocie? - pyta.
- Pracowałem wśród norweskich imigrantów i Indian Arapaho. Miałem swój gabinet, ale rzadko tam bywałem. Większość pacjentów mieszkała poza miastem. Czasami nie było mnie nawet kilka dni.

- To ciężka praca?
- Tylko wtedy, gdy musiałem patrzeć na ich cierpienie. To trudno opisać.

Olimpia widzi, że Haskell opalił się na twarzy. Jego ręce też są ogorzałe od słońca. Wydaje jej się, że ma silniejsze ramiona niż kiedyś. Jego ręce też są jakby większe.

- Widziałaś chłopca?
- Tak. - Waha się chwilę. - Jest bardzo podobny do ciebie. Obserwuje, jak on z trudem panuje nad wyrazem twarzy.
- Czy ta twoja praca była... karą? - pyta, mając na myśli Indian.
- W pewnym sensie. Wygnanie.

Olimpia poprawia spódnicę. Wciąż ma na sobie fartuch.

- Ja też zostałam wysłana na wygnanie - oznajmia. - Po porodzie.

- Do szkoły.

- Tak. To był rodzaj więzienia.

- Wiesz, że miałem chłopca - mówi Haskell. - Przez jeden dzień.

- Tak.

- Nie wiedziałem, że tak bardzo mogę go pokochać. Całą noc leżałem obok niego na łóżku. Wynająłem mam-kę, która przychodziła go karmić do pokoju. Planowałem, że zaniosę chłopca do sierocińca od razu rano, ale nie mogłem się z nim rozstać. W końcu mamka upomniała mnie, że niemowlę potrzebuje lepszej opieki, niż mogłem mu zapewnić.

Olimpia nie jest w stanie znieść obrazu mężczyzny i dziecka leżących razem na łóżku.

- Myślałem, że umrę, gdy go tam zostawiłem - ciągnie Haskell. -

Dosłownie. Chciałem umrzeć. Zamierzałem utopić się w Falls.

- Nie czułeś wcześniej takiej samej miłości do swoich dzieci? - pyta Olimpia.

- Czułem, ale to Catherine zajmowała się nimi, gdy były maleńkie. - Przerywa na chwilę. - Martha pójdzie do Wellesley.

Olimpia zapomniała, że Martha jest w wieku, w którym wybiera się college.

- Mogłybyśmy uczyć się tam razem - mówi.

- Wiedziałem, że mam tylko tę jedną noc - opowiada Haskell. - To ten ograniczony czas spowodował, że przeżywałem ową miłość tak intensywnie.

- Czyżby? - pyta Olimpia.

Haskell zaczyna krążyć niespokojnie po pokoju.

- Zacząłem pić - wyznaje. - Zacząłem się włóczyć. Od czasu do czasu telefonowałem na pocztę, pytając o wiadomości. Właśnie w ten sposób dotarł do mnie list od twojego ojca. To był bardzo gorzki list. Ale zasługiwałem na wszystkie zarzuty.

- Nic o tym nie wiedziałam.

- Wtedy, po nocy spędzonej z dzieckiem, zrozumiałem, jak banalne jest picie i niszczenie samego siebie. Pojechałem więc na zachód.

Olimpia usiłuje wyobrazić go sobie pracującego wśród Indian.

- Jesteś jeszcze piękniejsza - mówi Haskell. Dziewczyna odwraca głowę.

- Nigdy przedtem nie nosiłaś rozpuszczonych włosów.

- Zwykle tak się nie czeszę - odpowiada. - Teraz je rozpuściłam.

- Bolałem nad tą katastrofą. Nad życiem, które już zawsze będzie uboższe.

Olimpia zastanawia się, dlaczego Haskell wydaje się jej taki znajomy, a zarazem obcy. Jest kilka lat starszy, choć nie widać tego po jego sylwetce, tylko po wyrazie oczu, które być może za dużo widziały.

- Nie mogę prosić o przebaczenie. - Haskell wkłada ręce do kieszeni i kręci głową. - Tego nie można przebaczyć, bo zrobiłbym znowu to samo. Jeśli wierzyłbym, że to możliwe, padłbym na kolana i modlił się, aby wróciły chwile, które spędziłem z tobą.

Olimpia patrzy na niego wstrząśnięta. To brzmi jak bluźnierstwo rzucone Bogu w twarz. Lecz czy ona też nie zrobiłaby tego raz jeszcze? Czyż nie przyznała się do tego w sierocińcu? W sądzie?

- Pamiętaj o kosztach.
 - Nawet wliczając koszty.
 - Nie możesz tak mówić - sprzeciwia się Olimpia. - Nie znasz jeszcze kosztów. Wszystkich kosztów.
 - Nie - zgadza się Haskell. - Nie znam. - Siada na windsorskim krześle, pod stopami ma skrawek bawełnianej tkaniny. - Wygrałaś proces? - pyta.
 - Nie wiem. Wyrok zostanie ogłoszony jutro.
 - Oczywiście muszę wracać. Chciałbym jednak poznać wyrok. Z przyjemnością myślę o tobie razem z chłopcem.
 - Całym sercem chcę być z nim.
 - Powinienem go zobaczyć.
 - Możesz go zobaczyć, tak jak ja to robiłam - mówi ostro Olimpia. - Stojąc po drugiej stronie ulicy i mając nadzieję, że wyjdzie z domu.
 - Przykro mi, że musiałaś to robić w ten sposób.
 - Musiałam też odpowiadać na pytania dotyczące ciebie. Musiałam im opowiedzieć o nas. O tym, co robiliśmy w hotelu i w twoim domu.
 - Mój Boże.
 - Tego nie dało się opowiedzieć - ciągnie Olimpia. - Nie chodzi mi o przyznanie się do popełnienia pewnych czynów. To już dawno sobie uświadomiłam. Chodzi o wypowiedzenie tego na głos, w obecności tych wszystkich ludzi, których nie znałam i nigdy więcej nie chciałabym zobaczyć. Kiedy znalazłam się na miejscu dla świadka, czułam się tak, jakby zdejmowano ze mnie ubranie. A nawet gorzej.
 - Olimpio, tak mi przykro.
- Dziewczyna wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć, że teraz to nie ma znaczenia.
- Czy praktyka lekarska w Minnesocie daje ci satysfakcję? - pyta.

- Tam są olbrzymie potrzeby. - Haskell rozgląda się po pokoju. -
Mieszkaś tu sama?

-Tak.

- To niezwykle.

- Czyżby?

- Tak myślę.

- Chciałam ci powiedzieć, że nie zrobię herbaty.

- Nie jestem pewien, czy utrzymałbym w ręce filiżankę - odpowiada
Haskell.

- Masz ochotę na coś mocniejszego? Właśnie zamierzałam się napić.

- Naprawdę? To niepodobne do ciebie. Ale skąd mogę wiedzieć, co
jest teraz podobne do ciebie. Tak, proszę.

Dziewczyna idzie do kredensu i nalewa whiskey do szklaneczki. Gdy
wraca, Haskell znowu patrzy w okno. Bierze od niej szklaneczkę.

Olimpia czuje, że kłębi się w nim mnóstwo refleksji, do których ona
nie ma dostępu.

-Jest mi niezwykle przykro, Olimpio. Urodziłaś dziecko, gdy byłaś
taka młoda i w tym samym momencie je straciłaś. To więcej niż
można znieść.

- Nie chciałam, żeby było ci przykro.

- Jestem szczęśliwy jedynie z tej prostej przyczyny, że znalazłem się
w tym pokoju - zapewnia ją Haskell. - Wyobrażałem sobie tę chwilę
tysiące razy.

Lecz nawet to szczęście, Olimpia widzi to po jego oczach, jest
mniejsze, niż oczekiwał. Poświęcił swoje dzieci. Zmusił je, aby się
go wyrzekły. Jak można być w pełni szczęśliwym po takiej stracie?

- Nigdy nie przestałem cię kochać - wyznaje. - Ani na minutę. -

Pociąga łyk ze szklaneczki. - Muszę ci to powiedzieć. Nawet teraz
czuję radość, gdy to mówię. Nie sądziłem, że taką miłość można
zachować w sobie tak długo, ale tak jest. Nie ma sensu się wypierać,
bo to prawda.

- Czułam ulgę, mówiąc Tuckerowi prawdę - oznajmia Olimpia. Obejmuje się ramionami. Słońce zaszło i w pokoju robi się chłodno. - Chciałabym ci coś pokazać - dodaje. - Na górze. Poczekaj chwilę. - Idzie do kuchni po nocną koszulkę. - Chodź ze mną - mówi po powrocie do pokoju.

Haskell podąża za nią do frontowego holu, a potem szerokimi schodami na górę. Idą ciemnym korytarzem. Olimpia zatrzymuje się na moment przed drzwiami pokoju - ale nie jest to jej sypialnia - i po chwili je otwiera. Podchodzi do stołu i zapala lampę. Ich oczom ukazuje się dziecięce łóżeczko, przykryte biało-niebieską kapą. Na podłodze leży granatowy chodniczek z czerwoną gwiazdą pośrodku. Są też stolik i krzeselka oraz drewniana skrzynia na zabawki pomalowana na czerwono. W oknach wiszą niebieskie firanki w gwiazdy. Z sufitu opadają gwiazdki na sznureczkach.

- Znalazłam te rzeczy na strychu - wyjaśnia Olimpia. - Należały kiedyś do mnie. Sama zrobiłam chodniczek, kapę i gwiazdki - dodaje nie bez cienia dumy w głosie. - Mój pokój znajduje się za ścianą. Pomyślałam, że chciałby być blisko mnie. Jestem pewna, że będzie się bał. Ja też się boję.

Podchodzi do metalowego kuferka, klęka i otwiera go. W środku leżą ubranka dla chłopca, które sama uszyła. Składa pieczołowicie nocną koszulkę i umieszcza ją na wierzchu. Zamyka kufer.

- Wiem, że będziesz dla niego dobrą matką - mówi Haskell.

Olimpia patrzy na stojącego w progu mężczyznę.

- Muszę już iść - oświadcza Haskell.

Nie jest jeszcze na to przygotowana i chcąc zyskać na czasie, ucieka się do kurtuazyjnego pytania.

- Masz bryczkę?
 - Pójdę pieszo do Ely i tam wsiądę w tramwaj. Spacer dobrze mi zrobi, chociaż na bagnach grunt jest dość niepewny.
- Olimpia wstaje.
- Nie opowiedziałaś mi, jak to wszystko przeżyłaś - odzywa się Haskell.
 - Nie mogę.
 - Twoja twarz stała się teraz taka piękna. Bardziej wyrazista. Jakby twój charakter całkiem się wykrystalizował.
 - Jesteśmy wciąż niedokończonymi portretami - zauważa Olimpia.
 - Nie podasz mi ręki? - pyta Haskell. - Nigdy tak naprawdę się nie pożegnaliśmy.
 - Nie. Nie było nam to dane.
- Podchodzi do drzwi i wyciąga rękę, którą on bierze w obie dłonie. Jego skóra jest szorstka.
- Mamy dziecko - mówi Haskell. - Trudno to sobie wyobrazić.
 - Często się zastanawiałam, kiedy to nastąpi - wyznaje Olimpia.
- Rozgląda się po pokoju, który będzie należał do jej syna. - On może tu być już jutro. Pomyśl tylko!
- Kochaj go - odzywa się nagle Haskell. - Także za mnie.
- Olimpia ścisną z całej siły jego dłoń, wbijając mu paznokcie w skórę. Pragnienie jest za silne, smutek zbyt dojmujący.
- Mogłeś wrócić w każdej chwili! - wybucha.
 - Postanowiłem trzymać się z dala. Nie widzisz, jak daleko musiałem odejść?
 - Mogłeś zatrzymać naszego syna!
 - Nie, Olimpio, nie mogłem.

Przyciąga ją do siebie i bierze w ramiona. Łka jak dziecko, zanosząc się płaczem, i nawet nie próbuje tego przed nią ukryć. Olimpia nie może wydobyć głosu, wstrząśnięta ukojeniem, jakie daje jej bliskość tego mężczyzny.

On bierze w dłonie jej twarz.

- Czy możesz mi teraz powiedzieć, że mnie kochasz? - pyta, całując ją.

Olimpia przypomina sobie dotknięcie jego ust, ich smak.

- Nigdy nie dam wiary, że to coś złego - mówi Haskell.

Olimpia patrzy na niego i natychmiast podejmuje decyzję. Zamyka za nimi drzwi i prowadzi go korytarzem do pokoju z tapetami w niezapominajki i ozdobioną bursztynami lampą na mahoniowym stoliku. Jeszcze nie czuje się na siłach, aby zaprowadzić go do swojej sypialni.

- Pamiętam ten pokój, to było tej nocy, gdy doszło do katastrofy statku na morzu. - Haskell rozgląda się wokół.

Olimpia podchodzi do wąskiego łóżka, nie bardzo wiedząc, jak zacząć.

- Możemy mieć dla siebie całą noc - mówi. - Możemy spać obok siebie całą noc i nikt nam nie będzie przeszkadzał.

- Nikt - powtarza Haskell. - Cóż za wspaniały spokój. - Słucha jej słów z niedowierzaniem.

Olimpia może się tylko domyślać, że tam, gdzie mieszkał, było nieprzytulnie i głośno.

- Kochałaś innego? - pyta. Olimpia kręci głową.

-A ty?

- Próbowałem być z inną kobietą. Chciałem pomniej-

szyc wagę tego, co było między nami. Myślałem, że jeśli to strywializuję, będzie mi łatwiej znieść rozłąkę.

Olimpia czuje ostre ukłucie zazdrości. Ciała innych kobiet!

- Nie potrafiłem - ciągnie Haskell. - Wciąż widziałem ciebie. -

Przesuwa palcem po linii jej ust. - Przez to najbardziej cierpiałem - mówi. Całuje ją, jakby spłoszony, nie tak jak kiedyś. - Czy masz wciąż ten medalion?

- pyta-

Dziewczyna kiwa głową.

- Mogę go zobaczyć?

Olimpia odpina guziki sukni, a on zapala lampę. Medalion połyskuje na jej piersi, tuż nad gorsetem. Haskell bierze go w dłoń.

- To dowód, że naprawdę mnie kochasz. Nawet jeśli sama byś mi tego nie powiedziała. - Upuszcza medalion i przeciąga palcem po jej skórze, tak jak wcześniej po ustach. - Męczyło mnie też wspomnienie tego - wyznaje.

Olimpia nie śpi, obawiając się, że gdy się obudzi, jego już nie będzie. W środku nocy Haskell ubiera się i schodzi do kuchni, aby przynieść coś do zjedzenia. Wraca z chlebem, masłem, dżemem i kilkoma plecami. Rozbiera się i z powrotem wchodzi do wąskiego łóżka, gdzie czeka na niego Olimpia. Nad kołdrą unoszą się ich oddechy. Obok, na nocnym stoliku, dopala się gruba świeca w kolorze wina, pozostawiając zadziwiające, woskowe łzy.

Haskell zasypia, a Olimpia oddaje się rozmyśleniom: na miłość składa się wiele elementów - sprawy fizyczne, obawa przed rozstaniem, zazdrość, poczucie straty. To nie jest równy tor ani linia prosta, raczej talia kart, które się tasuje, jedna trafia w to miejsce, a druga w inne.

- Nie możesz teraz odejść - mówi, budząc go. - Gdybym miała cię znowu utracić, nie zniosłabym tego.

- Jesteś rozkojarzona - zauważa Tucker.

Ściany restauracji pokrywa czerwony jedwab. Na stolikach stoją w wazonach bukiety wczesnych żonkili. Białe, lniane obrusy są grube, wytłaczane, to naprawdę najpiękniejsze obrusy, jakie Olimpia kiedykolwiek widziała. W restauracji jest tłoczno w porze lunchu, przeważają mężczyźni, ale jest też kilka kobiet w kostiumach i toczkach na głowie. Skąd w Ely Falls taki lokal?

Olimpia wpatruje się w talerz. Leży na nim olbrzymi stek wołowy, który chwilę wcześniej kelner przełożył ze srebrnego półmiska.

Olimpia odkrawa mały kawałek i macza go w sosie chrzanowym.

- Nie wiedziałam, że są tu takie miejsca - mówi.

- To jedyna przyzwoita restauracja w mieście. Często tu jadam.

- Naprawdę?

Obserwuje, jak Tucker kroi swoją porcję mięsa. Domyśla się, że w dniu ogłoszenia wyroku adwokat włożył swój najlepszy garnitur z doskonałej, grafitowej wełny, do tego jedwabny, czarny krawat, odcinający się od śnieżnobiałej koszuli. Włosy, pokryte brylantyną i zaczesane do tyłu, lśnią niemal jak gładki kask. Napięcie można poznać jedynie po ledwo zauważalnym rozdrażnieniu w rozmowie z kelnerem i być może także z Olimpią. Jej zdenerwowanie objawia się całkowitym brakiem apetytu, dziewczyna z wysiłkiem żuje mały kawałek wołowiny i popija go wodą.

- Jaki to był zakład? - pyta.

- Zakład?

- Sędzia Littlefield powiedział, że twój ojciec jest mu winien skrzynkę jabłek.

- Mój ojciec założył się z Littlefieldem, że nigdy nie pójdę na prawo. Sędzia przyjął zakład. Ojciec posłał mi już te jabłka.

Czyż nie byłoby lepiej, gdybym pokochała Tuckera, zastanawia się Olimpia. Czy nie tak właśnie powinno być?

- Wiesz, co się dzisiaj stanie - mówi prawnik. - Wejdziemy na salę, usiadziemy, potem wejdzie Littlefield i odczyta wyrok.

- I będzie po wszystkim.

- I będzie po wszystkim. - Tucker podnosi kieliszek z winem. - Miałś na sobie ten kostium, gdy spotkaliśmy się na obiedzie w Highland Hotel - dodaje.

Ona patrzy na szmaragdowy żakiet, ledwie pamiętając, co ma na sobie.

- Zawiozę cię i chłopca do Fortune's Rocks - proponuje jej adwokat.

- Chłopiec prawdopodobnie nigdy nie jechał samochodem - tłumaczy Olimpia. - Może się bać.

- Późnym wieczorem lepiej jechać samochodem niż tramwajem.

Poza tym mogą się zdarzyć jakieś nieprzyjemne incydenty.

Dziewczyna domyśla się, że chodzi mu o Francuzów.

- Dziękuję - mówi. Bierze do ust następny kęs wołowiny. -

Najtrudniejsze wydaje mi się to, że wyrok sądu jest egzekwowany natychmiast. Bez żadnego okresu przejściowego.

- Procesy o prawa rodzicielskie zawsze są bardzo trudne - wyjaśnia Tucker. - Jednak sąd już dawno uznał, że natychmiastowa zmiana jest lepsza dla dziecka, zwłaszcza w takim wieku. Większość dzieci, dorósłszy, nie pamięta nic z czasów, gdy miała trzy latka.

- A zatem, jeśli wygramy, mój syn nie będzie jej pamiętał.

- Prawdopodobnie nie.

- To okrutne.

Tego ranka Olimpia wcześniej pożegnała się z Haskel-lem. Umyła włosy, a potem przygotowała pieczonego kurczaka i kukurydziany chleb, swoje ulubione danie z dzieciństwa, aby w Fortune's Rocks na nią i na jej synka czekała gotowa kolacja. Nie mając nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, przeczytała dwie książki o macierzyństwie i życiu rodzinnym. Kupiła także podręcznik do gramatyki francuskiej, który od wielu dni przeglądała, spodziewając się, że chłopiec nie mówi zapewne po angielsku.

- Byłeś dla mnie bardzo miły. Przez wzgląd na siebie, ale także przez wzgląd* na ciebie, mam nadzieję, że wszystko dziś pójdzie dobrze.

- Nie możesz jeść - zauważyła prawnik, patrząc na jej talerz.

- Nie, nie mogę. Przykro mi.

- Doskonale to rozumiem.

Wyciąga do niej rękę i w tej chwili Olimpia uświadamia sobie z całą wyrazistością, że po odczytaniu wyroku - zapewne jeszcze nie dziś, nie tego popołudnia, ale wkrótce - będzie musiała powiedzieć temu mężczyźnie, że mimo wszystko nie może mu dać żadnej nadziei.

Przed gmachem sądu widzą, tak jak poprzednio, zgromadzonych u wejścia dziennikarzy i członków społeczności

franko-amerykańskiej, popierających Bolduców. Na szczęście

Tucker, który zostawił auto przed restauracją i przyszedł pieszo z

Olimpią, spostrzega tłum wcześniej, niż ktokolwiek z tych ludzi ich dojrzał. Robi szybko w tył zwrot i ciągnie za sobą Olimpię.

- Znam boczne wejście - wyjaśnia. - Chciałbym dzi-

siaj uniknąć spotkania z tłumem, zarówno wchodząc, jak i wychodząc z sądu.

Bierze ją pod ramię i razem wchodzą od tyłu do sali sądowej.

Olimpia jest mu wdzięczna za wsparcie, bo kiedy widzi ubraną na czarno Albertine, z różańcem w ręku, bezgłośnie poruszającą ustami i zaciskającą mocno powieki w modlitwie - a później Telesphore'a, który też ma zamknięte oczy, ręce skrzyżowane na piersi i wygląda, jakby spał lub się modlił - sama niemal chwieje się na nogach.

Uświadamia sobie nagle z pełną wyrazistością, ile cierpienia mogą im wszystkim przynieść najbliższe chwile. Tucker prowadzi Olimpię na miejsce, taktownie siadając między nią a Albertine.

- Sędzia wkrótce przyjdzie - informuje. - Jeszcze kilka minut i będzie po wszystkim.

I rzeczywiście woźny sądowy prosi o powstanie i zapowiada wejście sędziego. Levi Littlefield i Addison Sears wchodzą do sali jednocześnie z dwóch różnych stron. Littlefield szeleści obszerną togą, a zasapany Sears przeciska się między rzędami ławek jak uczeń spóźniony na lekcję. Sędzia nie zwraca uwagi na opieszałość adwokata. Tego dnia jest w poważnym nastroju, wydaje się wręcz smutny. Usta ma zaciśnięte i nie patrzy ani na Olimpię, ani na Albertine, tylko na swoje notatki.

- Ogłaszam wyrok sądu w sprawie Biddeford versus Bolduc - mówi i wkłada okulary.

Olimpia rozgląda się po wyłożonej ciemną boazerią sali, oświetlonej elektrycznym światłem z kinkietów na ścianach. Za chwilę zadecyduje się jej przyszłość.

A więc niech tak będzie, myśli.

- W tej sprawie wystosowano pozew *habeas corpus* z intencji Olimpii Biddeford przeciw Albertine i Telesphore'owi Bolducom, zalecając im przyprowadzenie

przed oblicze sądu Pierre'a Francisa Haskella, syna powódki. - Littlefield patrzy znad okularów na zgromadzonych w sali ludzi. - Powódka zeznała, że niemowlę płci męskiej zostało jej bezprawnie odebrane i po serii niezgodnych z prawem decyzji oddane pod opiekę Albertine i Telesphore'a Bolduców, którzy wychowywali dziecko przez trzy lata.

Kątem oka Olimpia widzi, że Albertine pochyla się do przodu, jakby chciała lepiej słyszeć każde słowo sędziego.

- Albertine i Telesphore Bolduc utrzymują, że przyznano im opiekę nad dzieckiem; oświadczyli też, że jako przybrani rodzice mają prawa do chłopca z uwagi na odpowiednią i troskliwą opiekę, a to już nie wymaga żadnych innych argumentów; nie zgadzają się również z zarzutem pozbawienia dziecka wolności czy sprawowania nad nim opieki w sposób niezgodny z prawem; uważają wreszcie, że dziecko jest w takim wieku, iż odebranie go im mogłoby spowodować wielką szkodę dla jego rozwoju psychicznego. - Littlefield przerywa, aby napić się wody. - Po rozpatrzeniu tej sprawy sąd uznał, że wyrok może mieć dalekosiężne skutki. Sąd chciałby, gdyby mógł, odwołać się do podstaw prawnych; niestety, sprawa, którą rozpatrujemy, nie ma precedensów prawnych.

Olimpia znowu obserwuje Albertine i w tej samej chwili słyszy jakiś ruch z tyłu sali. Odwraca się, aby zobaczyć ktoś wchodzi. Haskell szybko zajmuje miejsce. Woźny, widząc jego torbę, domyśla się, że przybyły jest lekarzem, którego zapewne wezwał sędzia na wypadek konieczności udzielenia komuś pomocy, nie pyta go więc o nic i nie każe wyjść.

Tucker spogląda na Olimpię, a następnie odwraca się, aby zobaczyć, co zwróciło jej uwagę. Momentalnie wraca

spojrzeniem do dziewczyny. Jego oczy badawczo obserwują jej twarz. Nigdy nie widział Haskella, ale czy może się nie domyślić, kim jest ów mężczyzna, po wyrazie jej twarzy? Olimpia widzi, jak ciekawość zmienia się w zrozumienie.

- Sąd ma dzisiaj dać odpowiedź na dwa pytania -kontynuuje Littlefield. - Po pierwsze: Czy należy naprawić wyrządzone krzywdy i przyznać, że dziecko zostało zabrane matce bezprawnie? I po drugie: Do jakiego stopnia sąd jest odpowiedzialny za zagwarantowanie dziecku dobrobytu? - Ślini palec i odwraca stronę.

- Sąd musi rozważyć nie tylko kwestię opieki, jaką chłopiec miał dotychczas u swoich przybranych rodziców, musi też wziąć pod uwagę środowisko, w jakim będzie wychowywany. Jesteśmy zmuszeni zdecydować, czy środowisko i otoczenie domowe chłopca wpłyną na jego przyszłość negatywnie lub pozytywnie. Jeśli sąd ma podjąć decyzję dotyczącą przyszłego życia dziecka, musi uwzględnić wszelkie mogące zaistnieć okoliczności.

Olimpia zamyka oczy.

- Mino wyraźnych zastrzeżeń co do charakteru Olimpii Biddeford, które w swoim wystąpieniu przedstawił adwokat pozwanych, mimo niezaprzeczalnych dowodów, że pozwani okazali się troskliwymi opiekunami dziecka, mimo szkód, jakich może doznać dziecko po rozdzieleniu go z jedyymi rodzicami, których zna, sąd stwierdza, że pozwani nie zadowolili sądu jako osoby mogące zapewnić chłopcu przyszłą edukację i dobrobyt.

Tucker ściska rękę Olimpii. Olimpia spogląda na niego, a potem odwraca głowę w stronę Bolduców. Sears siedzi z kamiennym wyrazem twarzy, z zainteresowaniem przyglądając się rączce swojej teczki. Albertine i Telesphore zdają się nie rozumieć tego, co zostało powiedziane,

choć czują zapewne, że informacje nie są dla nich pomyślne.

Albertine rzuca Olimpii pełne wściekłości spojrzenie.

- Sąd - kontynuuje Littlefield - bez względu na to, jak trudno podjąć tę decyzję, nie może pozwolić, aby chłopiec pozostał w domu, w którym w przyszłości byłby narażony na wpływy swoich opiekunów lub osób, pod których wpływem oni się znajdują, lub byłby skazany na okoliczności, na które jego opiekunowie nie mają wpływu, takie jak nędza, niekorzystne wpływy środowiska, czy też przestępstwa przeciw prawu stanowemu.

W sali rozlega się rozpaczliwy krzyk. Littlefield podnosi wzrok znad notatek. Albertine, wymachując w powietrzu rękami krzyczy: „*Non! Non! Non!*”. Littlefield nie prosi o zachowanie spokoju, jakby zdawał sobie sprawę, że ta kobieta ma prawo przerywać sądowi. Albertine odwraca się i kurczowo chwyta męża za ramię.

- Dodatkowo - kontynuuje Littlefield - sąd musi wziąć pod uwagę fakt, że zastępczy rodzice dziecka, Albertine i Telesphore Bolduc, aczkolwiek bez swojej winy, stali się jego opiekunami w wyniku bezprawnego odebrania syna jego naturalnej matce. W tej sprawie sąd ma zatem wypowiedzieć się w dwóch kwestiach: w kwestii zadośćuczynienia krzywdy, jaką wyrządzono dziecku i jego naturalnej matce, Olimpii Biddeford i w kwestii zapewnienia właściwej opieki dziecku, która gwarantowałaby, o ile sąd i jakkolwiek inna instytucja może komuś gwarantować przyszłość, właściwą troskę o jego edukację i zdrowie.

Telesphore zakrywa twarz dłońmi. Albertine opuszcza głowę na oparcie stojącego przed nią krzesła.

- Niniejszym ogłaszam następujący wyrok, wydany w odpowiedzi na pozew *kabeas corpus*.

Albertine zaczyna płakać, w sali słycać jej długie, głębokie łkanie. Littlefield, wyraźnie poruszony, przetyka ślinę.

- Dziesiątego marca tysiąc dziewięćset czwartego roku sąd wysłuchał w tej sprawie wielu zeznań, opinii i zapoznał się ze stanowiskami stron, co zostało zapisane w aktach, i na podstawie zebranego materiału, przedstawionego na piśmie i w mowie, sąd wyrokuje, że dziecko płci męskiej, Pierre Francis Haskell, zostało bezprawnie pozbawione wolności i przetrzymywane przez osoby, do których skierowano pozew, i w związku z powyższym wzmiankowane dziecko zostanie zwrócone matce, Olimpii Biddeford, podpisanej pod pozwem.

- Jest twój - szepcze Tucker do Olimpii.

- Woźny - mówi sędzia Littlefield, zdejmując okulary i wycierając czoło chusteczką. - Proszę przyprowadzić chłopca.

Sears zrywa się z krzesła.

- Wysoki sędzie, czy matka i ojciec mogą się pożegnać z dzieckiem? Littlefield pociera palcem nos.

- Przybrani rodzice mogą pożegnać się z dzieckiem, ale nie wolno im go przestraszyć. Jeśli pani Bolduc i jej mąż nie są w stanie się opanować, będę musiał usunąć ich z sali. Nie chcę tu żadnych scen.

- Wysoki sędzie - pyta dalej Sears - czy państwo Bolduc mogą pożegnać się z dzieckiem na osobności?

- Nie, sąd nie wyraża na to zgody. To musi się odbyć publicznie.

Drzwi z tyłu sali rozpraw otwierają się i pojawia się w nich woźny ze swoim podopiecznym. Chłopiec ubrany jest w granatowy płaszczyk i czapkę, na nogach ma

długie, szare rajtuzy i te same brązowe zniszczone buciki. Szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami rozgląda się po sali, być może trochę lękliwie, ale jest też podekscytowany, jakby przeczuwał czekającą go zmianę. Olimpia przygląda się, jak Albertine z wielkim wysiłkiem próbuje się opanować, aby nie przerazić malca. Wstaje i wkłada do kieszeni czarnego kostiumu różaniec. Telesphore też wstaje, jego ramiona opadają bezwładnie, jakby miał przetrącony kręgosłup, N Sears obchodzi dookoła stolik i staje za plecami Telesphore'a.

Woźny i chłopiec mijają Haskella, który siedzi sztywno jak w kościele lub podczas szczególnie uroczystych okazji. Olimpia ma wrażenie, że podobieństwo między chłopcem a ojcem jest tak uderzające, iż nie sposób tego nie zauważyć. Malec patrzy zdziwiony na Olimpię, Tuckera i Littlefielda, a potem w przejściu między krzesłami dostrzega swoją przybraną matkę.

- *Maman!* - krzyczy, wrywając się woźnemu. – *Maman!*

Biegnie na tłustych nóżkach do Albertine. Kobieta wykonuje instynktowny, dobrze znany ruch: pochyla się, unosi w ramionach chłopca i przyciska go mocno do siebie. Dzieciak chowa buzię w jej wełnianym kostiumie. Albertine odsuwa go odrobinę od siebie, chłopiec zaciska nóżki na jej talii i zarzuca kobiecie rączki na szyję. Albertine mówi coś do niego po francusku, a malec przechyla nieco głowę na bok, jakby starał się pojąć instrukcje matki. Jednak kiedy ponownie patrzy na jej twarz - czerwoną i zapuchniętą od płaczu - Olimpia domyśla się, że chłopiec czuje, iż dzieje się coś złego.

Kobieta podaje dziecko mężowi, który przytula swoją dużą twarz do buzi chłopca, pragnąc ukryć przed nim rozpacz. Całuje go szybko w policzek i oddaje chłopca z powrotem żonie.

Poły wyciągniętego, wełnianego zakietu Albertine zakrywają dziecko. Kapelusz zsuwa jej się z głowy. Cała sala zdaje się oczekiwać potężnego, niepoahamowanego wybuchu rozpacz. Minuty upływają - zostało ich bardzo niewiele, dziewczyna czuje to bardzo wyraźnie - i Albertine zmuszona jest postawić chłopca na ziemi. Odwraca go tak, aby widział przed sobą Olimpię. Albertine patrzy na nią kamiennym wzrokiem. Twarz ma wykrzywioną i napiętą. Zaskoczony chłopiec nie rusza się z miejsca. Przejście między rzędami krzesel wydaje mu się otchłanią. Woźny bierze go ponownie za rękę.

-*Maman?* - woła malec pytająco i odwraca się do Albertine. Olimpia czuje się niezręcznie, zdając sobie sprawę, że musi wyciągnąć do chłopca ręce w obecności tamtej kobiety, ale chce go przywitać. Kuca, aby być jego wzrostu i zwraca się do niego po imieniu.

- Pierre.

Chłopiec przygląda się obcej kobiecie, którą ma przed sobą. Dlaczego *maman* każe mu iść z tą panią? Może to przyjaciółka mamy? Ale jeśli to przyjaciółka, to dlaczego mama i tata płaczą?

- *Maman!* - woła znowu, odwracając się przez ramię.

Olimpia wyciąga rękę i dotyka chłopca. Malec niechętnie podchodzi do niej bliżej. Albertine wyrywa się z gardła wstrząsające łkanie - żywiołowe i prymitywne.

Chłopiec drętwieje, jakby nagle pojał znaczenie tego, co się dzieje wokół niego.

- *Non!* - krzyczy, odpychając rękę Olimpii. Biegnie w stronę matki, która schyla się i chowa go w fałdach swojej spódnicy. Mija długa chwila.

- Woźny - odzywa się sędzia Littlefield z wyraźnych ociąganiem.

Woźny, purpurowy na twarzy, niechętnie wykonuje spoczywający na nim obowiązek i nieporadnie próbuje rozłączyć chłopca z matką.

- Panie Sears - mówi Littlefield. - Proszę porozmawiać ze swoimi klientami.

Sears mija Telesphore'a, podchodzi do Albertine i dotyka jej ramienia.

Kobieta prostuje się, a potem znowu pochyla do chłopca. Mówi coś do niego i wskazuje na Olimpię. Dziecko milczy. Albertine unosi do góry podbródek swojego przybranego synka, tak że oboje patrzą sobie prosto w oczy.

Olimpia widzi ze swojego miejsca spojrzenie, jakie wymieniają matka i syn - spojrzenie, które będzie musiało wystarczyć na całe życie, na wszystkie kolejne dni, na dni od teraz na zawsze już naznaczone cierpieniem.

Patrzy na Tuckera, który pod ciężarem odpowiedzialności poszarzał na twarzy. Szuka wzrokiem Haskella, stojącego z zaciśniętymi ustami, z rękoma złożonymi na piersi. I dopiero później ośmiela się spojrzeć na Albertine Bolduc, która w tej chwili traci dziecko, swojego syna. Ból jest większy, niż jakakolwiek kobieta może znieść, większy niż inna kobieta może oglądać.

- Nie - mówi Olimpia.

Woźny patrzy na nią, a potem na sędziego.

Olimpia wstaje.

-Nie.

Tucker kładzie jej dłoń na ramieniu.

- Panno Biddeford? - pyta z niedowierzaniem w głosie.

- Wycofuję mój pozew - prędko mówi dziewczyna.

- Ależ panno Biddeford, wydano wyrok na pani korzyść.
- Nie mogę go przyjąć - wyjaśnia Olimpia.
- Panno Biddeford!
- Nie mogę.

Albertine obejmuje chłopca. Olimpia odwraca się i idzie szybko między krzesłami, mijając Haskella, który milczy i nie czyni nic, aby ją zatrzymać. Wychodzi przez masywne drzwi sali sądowej i kieruje się w stronę wyłożonego kamieniem holu z brązowymi popiersiami. Obcasy jej pantofli stukają głośno, gdy mija korytarz, podchodzi do wyjścia i otwiera drzwi. Wzdryga się na widok tłumu, o którym zapomniała. Szybko, jakby bała się stracić odwagę, toruje sobie drogę między dziennikarzami i ludźmi z transparentami. Wychodzi na chodnik, odwraca się i najszybciej, jak potrafi, idzie do najbliższego rogu. Dopiero tam, gdy tłum pozostaje już za nią, a przed sobą ma całe życie, zaczyna rozumieć to, co powinna zrozumieć od samego początku. On nie należy do niej. Nigdy do niej nie należał.

Nie wolno zatrzymywać oddechu. Za każdym razem, gdy poczujesz ból, musisz głęboko oddychać.

Z piersi dziewczyny wydobywa się jęk, ledwo przypominający ludzki głos. Jej cienkie blond włosy lepią się do czoła. Perkalowa koszula i pościel są szorstkie i przepocone. Gdyby rozwiązanie nie było tak blisko, Olimpia jeszcze raz przebrałaby rodzącą.

Od czasu do czasu do drzwi podchodzi ojciec dziewczyny i zagląda do środka. Ten nieogolony mężczyzna w roboczym kombinezonie i wełnianej koszuli interesuje się jednak przebiegiem porodu raczej z obowiązku niż z troski o córkę. Olimpia modli się, aby mające przyjść na świat dziecko nie było owocem zbliżenia między tymi dwojgiem. Wcześniej rodząca powiedziała, że ma piętnaście lat, co Olimpia uznała za wiarygodne. Od przynajmniej dziesięciu lat w tej rodzinie nie było matki.

Dziewczyna jęczy przeraźliwie i szarpie prześcieradło, przywiązane w tym celu do nogi łóżka. Olimpia smaruje maścią srom rodzącej i delikatnie sprawdza, jak bardzo główka przesunęła się do przodu. Przed porodem przykryła materac z końskiego włosia gumową płachtą, a na niej rozłożyła stare gazety, a potem płócienny podkład. Przyniosła czyste, flanelowe pieluszki, nożyczki, baweł-

niane opatrunki, gazę i agrafki i wszystkie te rzeczy ułożyła na jedynym w pokoju stole. Przemyśla też mocnym naparem zielonej herbaty sutki rodzącej i zrobiła jej porodową koszulę z czystego prześcieradła. Olimpia macza ściereczkę w lodowatej wodzie, którą ojciec przyniósł ze studni, wyżyma i przykładą do czoła dziewczyny. - Proszę wyrzucić na drogę - mówi do mężczyzny, który najwyraźniej chce się czymś zająć. - Lekarz powinien być już blisko.

Olimpia martwi się, że biodra rodzącej są zbyt wąskie. Umie sama odebrać poród, wolałaby jednak mieć przy sobie Haskella, z jego olbrzymim doświadczeniem. Mogą też być potrzebne kleszcze. Dziewczyna męczy się już dwanaście godzin i zaczynają ją powoli opuszczać siły.

Olimpia rozgląda się po pokoju. Widzi, że usiłowano tu posprzątać, ale najwyraźniej ciężarna dziewczyna nie jest najlepszą gospodynią. W dwóch oknach wiszą przybite małymi gwoździkami do framug wypłowiałe, czerwone zasłony, powyciągane na skutek wielokrotnego prania. Na podłodze widać brudny chodnik, którego wzór wytarł się już niemal zupełnie. U wezłowania łóżka leży złożony w kostkę wełniany, dziurawy koc. Jednak nawet te nikłe ślady zagospodarowania nie ukrywają gorzkiej prawdy o pokoju, jednym z dwóch w tym małym domku daleko za miastem. Ściany są nieotynkowane, widać też więźbę wysokiego dachu. W domu nie ma szafy, więc dziewczyna i jej ojciec wieszają ubrania na drewnianych kołkach. Zza okien dobiega Olimpię beczenie owiec, monotonne i nawet dość przyjemne odgłosy.

Wyłapuje też inny dźwięk, szum silnika samochodu, najpierw dość daleko, zamierający, ale zaraz potem słyszalny ponownie, głośniejszy, gdy samochód zbliża się po wyboistej, zakurzonej drodze. Dziewczyna ma szczęście,

że rodzi w tym tygodniu; za kilka dni drogi będą zalane błotem, że żaden samochód tędy nie przejedzie. Olimpia widzi błysk czerwieni i beżu, czeka na dobrze znany odgłos trzaśnięcia drzwiami.

Haskell wchodzi do domu bez pukania, tak się już przyzwyczał, że robi to nawet wtedy, gdy idą z wizytą.

- Jestem, Olimpio - mówi, pojawiając się w sypialni. Stawia torbę lekarską i zdejmuje płaszcz. Kładzie dłoń na jej ramieniu. Olimpia wie, jak bardzo Haskell tego potrzebuje, nawet po tylu latach chce się upewnić, że ona wciąż z nim jest.

- Dziecko jest już gotowe - oznajmia Olimpia. - Boję się jednak, że ona ma zbyt wąskie biodra.

- Na ile rozwarcie?

- Więcej niż na półdolarówkę.

Haskell podchodzi do stołu, gdzie stoi miednica, podwija rękawy i myje ręce, narzekając na lodowatą wodę. Olimpia przygląda się jego szerokim plecóm. Włosy lekko mu posiwiały, chociaż broda wciąż ma kolor orzechowy. Staje przy łóżku dziewczyny i dłuższą chwilę na nią patrzy. Jest tak wyczerpana, że zapada w sen między atakami bólu. Przez okno Olimpia i Haskell widzą jej ojca, stojącego przy popehartfordzie, znacznie bardziej zainteresowanego samochodem niż rodzącą córką.

- Nie ma matki? - pyta Haskell. Olimpia kręci głową.

On mruży oczy.

- Powiedz mi, że nie jest tak, jak podejrzewam.

- Nie wiem. Pomyślałam o tym samym. Modlę się, aby było inaczej.

Dziewczyna nie chce powiedzieć, kto jest ojcem, ale może mieć wiele powodów.

W ciągu tych ośmiu lat, odkąd pracują razem, Olimpia i Haskell nieraz mieli do czynienia z kazirodczymi związ-

kami. Kiedyś odbierali poród dziewczyny, która nie próbowała nawet ukryć swojej fizycznej fascynacji bratem; Haskell zawsze jest wstrząśnięty takimi przypadkami. - Jak się nazywa jej ojciec?

- Colton.

Olimpia pochyla się nad dziewczyną.

- Lydio, to jest doktor Haskell - mówi, widząc, że dziewczynę budzi kolejny atak bólu.

W odpowiedzi rodzica zaciska zęby i wydaje z siebie krótkie, chrapliwe jęki.

Haskell unosi prześcieradło i bada ją.

- Nie jestem pewien co do bioder - mówi. - Ale z pewnością rozwiązanie jest już blisko. Jak tu przyjechałaś?

- Josiah.

- Czy dzwonił do ciebie wielebny Milton?

- Tak, usiłowałam cię złapać w klinice. Josiah obiecał, że spróbuje cię znaleźć. Prawdę powiedziawszy, ten człowiek powiadomił pastora dopiero wtedy, gdy córka rodziła już ponad dziesięć godzin. Chyba wydawało im się, że sami sobie poradzą.

Haskell kręci głową. Wprawnymi ruchami - które zawsze są podobne, ale nigdy identyczne - zsuwa dziewczynę w dół łóżka, zgina jej kolana i delikatnie przywiązuje kostki do łóżka, podczas gdy Olimpia unosi ją do pozycji półsiedzącej, podkładając pod plecy poduszki. Cały czas do niej mówi, aby złagodzić jej lęk, mimo to Lidia jest przerażona, najprawdopodobniej z powodu bólu.

- Zaczynamy - odzywa się Haskell.

- Lydio - instruuje ją Olimpia. - Musisz przeć. Dziewczyna prze. Jęczy i z trudem chwyta oddech. Posłuszna wskazówkom prze jeszcze raz. I jeszcze. I jeszcze.

- Widzę główkę - mówi po chwili Haskell. - Nie będą mi potrzebne kleszcze. Lydio, przyj mocno. Z całych sił.

Dziewczyna krzyczy, jakby jej ciało rozrywało się na pół. Na zewnątrz ojciec nieruchomieje przy samochodzie. Główka wychodzi, Haskell przesuwając palcami po szyi noworodka, aby sprawdzić czy nie owinęła się wokół niej pępowina.

- Lydio, przyj mocno - rozkazuje lekko niecierpliwym tonem. - Teraz, masuj - mówi po chwili do Olimpii.

Olimpia kładzie rękę na podbrzuszu dziewczyny i naciska na macicę. Noworodek, śliski i purpurowy, przychodzi na świat. Haskell pewnie trzyma dziecko obiema rękami i natychmiast wysysa z jego ust śluz. Olimpia słyszy, jak chłopiec wydaje z siebie pierwszy, pełen zdziwienia krzyk. Dziewczyna na łóżku płacze; Olimpia wiele-kroć słyszała ten rodzaj łkania, który towarzyszy jedynej w swoim rodzaju chwili po porodzie; to połączenie uczucia ulgi, radości, wyczerpania i czegoś jeszcze - lęku przed nadchodzącymi dniami i nocami. W drzwiach staje biały jak płótno ojciec.

Podczas gdy Haskell zajmuje się noworodkiem, Olimpia masuje macicę dziewczyny, aby zapobiec krwotokowi i przyspieszyć wydalenie łożyska. Haskell przecina pępowinę i łożysko wypływa.

- Lydio, już po wszystkim - oznajmia Olimpia, sprawdzając, czy wyszło całe. Odkłada je na bok, zostanie zbadane później. Wstaje. - Pozwól mi - mówi i bierze noworodka z rąk Haskella.

Zawija maleństwo w pieluszki. To taki naturalny odruch, wziąć dziecko od mężczyzny.

Olimpia wygładza spódnicę na kolanach i zawiązuje pod brodą wstążkę kapelusza. Samochód podskakuje na

wybojach, gdy przejeżdżają przez wioskę i kierują się na główną drogę do miasta.

- Zajrzę tu jutro - mówi.

- Dziewczyna nie ma nikogo?

- Z tego, co wiem, nie.

- Jej ojciec mi się nie podobał.

- Mnie też. Muszę zadzwonić do wielebnego Milтона i zapytać, co wie o tej rodzinie. John, wydaje mi się, że powinniśmy ją zabrać.

- Jest miejsce?

- Tak, będzie. Eunice jedzie jutro do Portsmouth.

- Zostanie nauczycielką u Johnsonów? -Tak.

- A co z niemowlakiem?

- Mój drogi, ten „niemowlak" ma już półtora roku.

- Naprawdę? Czyżby upłynęło już tyle czasu od jej przybycia?

Wjeżdżają na przedmieścia Ely Falls. Odkąd pozamykano część fabryk, ulice są mniej gwarne niż kiedyś. Jeśli Ely Falls podzieli los takich miast jak Lowell i Manchester, już niedługo będą przejeżdżać obok pustych hoteli robotniczych i zrujnowanych budynków fabrycznych. Kierują się na wschód do Ely Road.

- Jak było w klinice? - pyta Olimpia.

- Tak jak zawsze. Chociaż trafił się okropny wypadek, przypadkowe zatrucie kwasem szczawiowym. Kobieta pomyliła się, myślała, że to sole Epsom i podała kwas mężowi. Zmarł w ciągu dwudziestu minut po przywiezieniu do kliniki. Próbowałem ratować go magnezją i węglem, ale było za późno.

- Czy to aby na pewno wypadek? - pyta Olimpia. Haskell rzuca żonie szybkie spojrzenie.

- Moja droga, jesteś zbyt podejrzliwa - mówi, dotyka-

jąc jej kolana. - Policja ma obowiązek zbadać okoliczności każdego takiego wypadku. Był u mnie także jakiś człowiek, który próbował mi sprzedać aparat rentgenowski;

- Kupisz?

- Tak, myślę, że mógłbym. Jestem raczej przekonany do tych badań. Delikatnie gładzi jej udo przez spódnicę.

- Wpadł też Tucker - dodaje.

- Doprawdy? - dziwi się Olimpia.

- Chciał porozmawiać o pewnych sprawach związanych z pozyskiwaniem funduszy. Wspomniał, że zamierza się ożenić.

- Z kim?

- Nazywa się Alys Keep.

- Ta poetka?

- Chyba tak.

- To niesamowite.

- Pytał o ciebie.

- Tak?

- Wiesz co, mam wrażenie, że on czuje do ciebie wyjątkową słabość. Gdy pyta o ciebie, wygląda to na coś więcej niż uprzejme zainteresowanie.

Haskell zdejmuje rękę z jej uda, aby zmienić biegi, a Olimpia zaczyna myśleć o swoim spotkaniu z Tucke-rem, procesie o odzyskanie praw do dziecka i okropnych miesiącach, jakie nastąpiły potem. O nocach, kiedy krążyła po domu i płakała z tęsknoty za synem. Haskell słyszał ją, przychodził i prowadził z powrotem do łóżka. To on pod nieobecność Olimpii opróżnił pokój dziecka i wyniósł mebelki na strych.

Teraz zjeżdża niespodziewanie na pobocze i skręca w wąską dróżkę. Olimpia wygląda przez okno i widzi, że są na bagnach. Haskell gasi silnik.

-John? - pyta zaskoczona, że się zatrzymali.

W odpowiedzi odwraca się i odpina dwa górne guziki u jej bluzki. Wsuwa palce za stanik Olimpii, która się śmieje.

- John? - pyta znowu.

- Z a chwilę będziemy w domu - tłumaczy Haskell -otoczeni przez dwadzieścia trzy dziewczyny i nie znajdziemy ani chwili dla siebie. A potem muszę znowu jechać do kliniki, a kiedy wrócę, będę tak zmęczony, że natychmiast pójdę spać.

- Ależ nie. To po prostu wymówka.

- Czyż potrzebne nam wymówki? - pyta, pieszcząc jej pierś.

- Nie, chyba nie - mówi Olimpia.

- Byliśmy tu już kiedyś, na moczarach - przypomina Haskell, odpinając kolejne guziki jej bluzki.

Olimpia pamięta ten dzień tak wyraźnie, jak wyraźnie widzi lśniąca drewno i skórę wewnątrz samochodu. Wilgotny dół spódnicy. Trzepot ptasich skrzydeł. Słońce przeświecające przez żdźbła traw. Wtedy po raz pierwszy zrozumiała naturę seksualnej namiętności.

Jego broda drapie skórę na jej piersi. Olimpia czuje zapach jego włosów. Nie zdejmują ubrań, jakby byli młodymi kochankami, którzy nie mają dokąd pójść.

Parkują przy wejściu dla dostawców i wchodzi, jak zwykle, przez tylne drzwi. Haskell niesie swoją torbę i torbę Olimpii. Maria rozmawia przez telefon w holu, recytując do słuchawki listę zakupów.

- Sześć tuzinów jajek, cztery krążki sera, tego samego, który przysłaliście w poniedziałek, siedem kurczaków... Może pan chwilę poczekać? -

Zasłania dłonią słuchawkę i odwraca się w stronę Olimpii. - Właśnie rozmawiam ze

sklepem spożywczym Goldthwaite'a - wyjaśnia. - Masz gościa.

- Naprawdę? - pyta Olimpia, zdejmując szal.

- Przyszedł pan Philbrick.

- To wspaniałe - cieszy się Olimpia.

- Skoczę na górę i zmienię koszulę - mówi Haskell i wiesz na kołku płaszcz - a potem przyjdę się przywitać. - Sprawdza godzinę na kieszonkowym zegarku. - Ale muszę zaraz wracać do kliniki. Zaproś Rufusa na kolację, zjemy razem.

Olimpia patrzy, jak jej mąż przechodzi przez kuchnię i po drodze wyciąga spod ściereczki ciastko biszkoptowe. Domyśla się, że od rana nic nie jadł.

- Mario, podałaś panu Philbrickowi herbatę?

Maria, która pojawiła się u nich dopiero siedem miesięcy temu, udowodniła, że jest najbardziej pojętna ze wszystkich dziewcząt i Haskellowie zaproponowali jej pracę - pomaga Lisette.

-Tak.

- A gdzie jest Josiah?

- W biurze, przegląda rachunki.

Olimpia zakłada kosmyk włosów za ucho. Otwiera wahadłowe drzwi i natychmiast wita ją kakofonia dźwięków, niczym podmuch ciepłego powietrza. Lubi myśleć o tym jako o zorganizowanej kakofonii, chociaż nie zawsze tak jest. Przechodzi przez jadalnię, w której stoją teraz dwa długie stoły, i mija salonik, gdzie Lisette czyta na głos książkę medyczną. Wokół niej siedzi osiem młodych kobiet, niektóre to jeszcze dziewczynki, w wieku od piętnastu do dziewiętnastu lat. Są wśród nich Francuzki, Irlandki, Jankeski, wszystkie ciężarne. Rodziny się ich wyrzekły. Kiedy nadejdzie czas, dziewczyny urodzą dzieci w gabinecie na piętrze, a potem zostaną tu tak długo, jak

będzie trzeba. W czasie rekonwalescencji w miarę możliwości pomagają w domu: zajmują się niemowlętami, piorą lub przygotowują posiłki. Jedynym warunkiem jest to, aby nie zostawiały swoich dzieci.

Idąc w stronę gabinetu, Olimpia przypomina sobie noc, kiedy po raz pierwszy przyszedł jej do głowy ten pomysł - siedziała wtedy na łóżku w pokoju z tapetami w niezapominajki. W ciągu kilku miesięcy po procesie Haskell pomógł jej zrealizować owo zamierzenie, mimo że zaczynał właśnie urządzać własną klinikę w Ely Falls. Oboje przeprowadzili się do dawnych pokoi matki, a pozostałe pomieszczenia przeznaczyli na schronisko. W ciągu pierwszego roku przyjmowali dziewczęta, które przychodziły do kliniki lub o których się dowiadywali. Potem dziewczęta i ich rodziny błagały o miejsce w schronisku, a Haskell i Olimpia cały czas je powiększali. W lecie, kiedy będzie ładna pogoda, wyremontują kaplicę, aby urządzić w niej dużą sypialnię dla swoich podopiecznych.

Nie dochowali się własnych dzieci. Być może nigdy nie będą ich mieli. Nie tak dawno pewien specjalista z Bostonu orzekł, że bezpłodność Olimpji prawdopodobnie jest skutkiem porodu w tak młodym wieku.

Philbrick czeka w gabinecie, który niegdyś należał do ojca Olimpji, a teraz służy jej. Wciąż czerstwy i energiczny, mimo swych sześćdziesięciu lat, ma na sobie ciemnobrązową marynarkę i spodnie w szkocką kratę. Wieczny łakomczuch, myśli Olimpia, widząc kątem oka na stole pustą tacę po kanapkach.

- Olimpio - Philbrick wstaje.

- Panie Philbrick. Proszę, niech pan nie wstaje. Pokój jest zdecydowanie bardziej kobiecy niż za dawnych czasów. Na jednej ścianie wciąż stoją półki z książ-

kami, ale na drugiej Olimpia powiesiła kolekcję obrazów i rysunków, wykonanych przez miejscowych artystów, które zaczęła gromadzić przed sześciu laty: prace Childe'a Hassama, Cloude'a Legny'ego, Johna Appletona Browna i Ellen Robins. Stare krzesło kapitańskie ojca zastąpiła kanapa z biało-czerwonego jedwabiu, Olimpia zachowała jednak jego biurko. Zostały też przedmioty - malachitowy przycisk do papieru, wysadzany kamieniami krzyż i muszle - które przypominają czasy, kiedy Phillip Biddeford siadywał na swoim krześle i czytał jedną z wielu setek książek, wyrzuszonych od wilgoci.

- Dawno się nie widzieliśmy - mówi Olimpia, siadając.

- Masz wspaniałe gospodarstwo.

- To dzięki ludziom, którzy tu pracują - mówi Olimpia.

- Od dawna chciałem zobaczyć wasz dom. Oczywiście, wiele słyszałem. Ile macie tu dziewcząt?

- Dwadzieścia trzy. Osiem z nich jest przed porodem. Inne pozostaną tak długo, jak będą chciały. Niektóre z nich są tu już trzy lata.

- Wspaniała sprawa.

- Nasi sąsiedzi myślą inaczej. Philbrick się uśmiecha.

- No tak. Z czasem jednak zrozumieją konieczność powstawania takich domów jak wasz. Zawsze mówiłem, że czeka cię niezwykła przyszłość, Olimpio.

- Mam nadzieję, że ja także mieszcę się w tej przyszłości - odzywa się Haskell, przechodząc przez pokój, aby uścisnąć dłoń gościa.

- John - Philbrick wstaje jeszcze raz - słyszałem same dobre rzeczy o twojej klinice.

- Dziękuję Philbrick. Proszę, siadaj. To było owocne przedsięwzięcie. I udaje się nam zdobywać fundusze.

- O tym też słyszałem. Prowadzenie prywatnego szpitala dla biedaków to trudna sprawa. Ale wszystko idzie już pełną parą?

- Tak i mogę nawet w tym roku zatrudnić dwóch nowych lekarzy.

Niestety, muszę już was opuścić, jadę porozmawiać z pewnym młodym człowiekiem z Nowego Jorku, który chciałby u mnie pracować. Wracam na kolację i mam nadzieję, że zjesz ją z nami.

- Dziękuję - mówi Philbrick. - Z przyjemnością. Haskell pochyla się i całuje żonę.

- Niestety, Rufus, przez ten dom samotnych matek i moją klinikę ja i moja żona często musimy specjalnie umawiać się na spotkania - mówi Haskell.

Philbrick przygląda się obojgu.

- Jak widać, nie szkodzi to waszemu małżeństwu - zauważa przyjaźnie.

- Nic nigdy mu nie zaszkodzi - zapewnia Haskell.

Młoda kobieta rzuca szybkie spojrzenie mężowi, który uśmiecha się do gościa i być może tylko ona wie, co stracił i czego nic nigdy nie zastąpi, niezależnie od tego, jak bardzo jest dumny ze swojej pracy, a także od tego, jak bardzo kocha ją, Olimpię. Stracił swoje dzieci - po raz pierwszy, gdy wybrał uczucie, po raz drugi, kiedy ona nie zdecydowała się odebrać synka Bolducom, a teraz po raz trzeci, poślubiwszy kobietę, która zapewne już nigdy nie będzie mogła urodzić dziecka. Olimpia często zastanawia się, jak to jest, że pragnienie - pragnienie, które tamuje oddech i każe się zatrzymać w pół zdania - może wpłynąć na całe nasze życie i doprowadzić nawet do choroby duszy.

- Powiedz mi, jak się mają twoi rodzice? - pyta Philbrick, po wyjściu Haskella.

- Ojciec często nas odwiedza - mówi Olimpia. - Bardzo nas wspiera finansowo. Mama czuje się dobrze i przyjedzie do Fortune's Rocks latem.

- Mam nadzieję, że uda mi się z nimi spotkać.

- Z pewnością. Wynajmują dom przy plaży, niedaleko stąd.

- Olimpio, przyszedłem w ważnej sprawie. - Nagła zmiana w głosie Philbricka zaskakuje młodą kobietę.

- Tak? - pyta.

- Zmarła Albertine Bolduc.

Filizanka wyślizguje się jej z palców i z brzękiem uderza o spodeczek. Olimpia stawia talerzyk na marmurowym blacie, bojąc się, że potłucze porcelanę.

- Umarła sześć miesięcy temu - wyjaśnia Philbrick. - Na bysynożę. Można się było tego spodziewać.

Olimpia odwraca głowę. Rzadko pozwala sobie na wspomnienia o synu, na domysły, jak on teraz wygląda. Przez lata próbowała wszystko wymazać z pamięci. Usiłowała nie myśleć, że chłopiec ma dziewięć, a potem dziesięć lat.

- Opiekuje się nim Telesphore Bolduc - kontynuuje Philbrick - ale sam też jest chory. Gruźlica. Chłopiec ma jedenaście lat.

Olimpia milczy.

- To ważny okres w rozwoju dziecka, wiesz o tym -mówi mężczyzna, bacznie jej się przyglądając. - To Telesphore prosił mnie, abym do ciebie przyszedł.

- Naprawdę? - Do Olimpji z trudem docierają jego słowa.

- Wiesz, że zgodnie z wyrokiem sądowym jesteś jego prawną opiekunką.

- Zrzekłam się prawa do opieki nad dzieckiem - szybko odpowiada Olimpia.

- Tak, wiem. Zrobiłaś coś niezwykłego.
- Od czasu do czasu posyłałam im pieniądze - ciągnie - ale uważałam, że lepiej jeśli będę się trzymać od niego z daleka.
- Oczywiście - zgadza się Philbrick. - Ale nie pieniędzy potrzebuje teraz ten chłopiec.
- Nie rozumiem.
- Wiem, że z uwagi na minione wydarzenia nie ponosisz odpowiedzialności za to dziecko, niemniej jednak będziesz musiała wyrazić zgodę na ponowne umieszczenie go w sierocińcu.
- Musi tam wrócić?
- Obawiam się, że tak. To wciąż jeszcze dziecko. I boję się, że tym razem nie będzie łatwo znaleźć rodzinę zastępczą dla niego, ponieważ małżeństwa adoptujące dzieci nie są raczej zainteresowane jedenastoletnimi chłopcami.
- A co z resztą rodziny?
- Większość z tych ludzi już tu nie mieszka. Bolesnie odczuli zamknięcie fabryk. Wielu wyjechało dalej na południe.
- Rozumiem.
- Od początku interesował mnie los tego chłopca - wyjaśnia Philbrick. - Czułem się do tego poniekąd zobowiązany, rozumiesz? Odwiedzałem go od czasu do czasu. Mógłbym go wziąć do siebie, lecz mały nie tego potrzebuje. Ciągle chodzi smutny. Ale sama przekonasz się, że jest bardzo bystry. Ma nieoszlifowaną inteligencję.
- Przekonam się?
- On jest tutaj - mówi szybko Philbrick.
- Jest tutaj? W tym domu?
- Przywiozłem go ze sobą. O niczym nie wie i nie ma pojęcia, kim jesteś - dodaje. - Powiedziałem mu tylko, że

muszę kogoś odwiedzić. Olimpio, wybacz mi zburzenie twojego spokoju, ale pomyślałem, że tak będzie najlepiej. Uważałem, że warto, abyś spotkała się z tym chłopcem, zanim zdecydujesz o jego przyszłości.

- Panie Philbrick, jestem zaszokowana!

- Myślę, że jakoś potrafisz to znieść, a może myślę się co do kobiet?

- Gdzie on jest? - pyta Olimpia.

- Na werandzie. Wydaje mi się, że bardzo zainteresował go twój teleskop.

Lekko chwiejąc się na nogach, Olimpia przechodzi z gabinetu do frontowego pokoju, zastawionego teraz meblami, które służą dziewczętom i ich dzieciom, gdy zbierają się tu po kolacji. Przez okno widzi stojącego na werandzie chłopca. Jest wysoki, włosy ma fatalnie ostrzyżone. Nosi sweter, który kiedyś był zapewne w kolorze kości słoniowej. Olimpia przygląda się, jak chłopiec reguluje ostrość w teleskopie, pochyla się, aby spojrzeć i przesuwając go w przód i w tył, najwyraźniej szukając na morzu czegoś interesującego. Młoda kobieta bierze z oparcia krzesła szal i wychodzi na werandę.

- Dzień dobry - mówi.

- O, dzień dobry pani - wita ją chłopiec, podnosząc głowę znad teleskopu.

Robi krok w jej stronę i wyciąga rękę. Grzeczny, myśli Olimpia. Dobrze wychowany. Ma zimne palce od zbyt długiego przebywania na powietrzu.

- Z pewnością zmarzłeś - zauważa.

- Ależ nie - zaprzecza chłopiec i cofa rękę, wyraźnie nie mając jeszcze ochoty wchodzić do domu. - Pani tu mieszka?

- Tak. Nazywam się Olimpia Haskell.

Chłopiec jest chudy i niezgrabny, w tym wieku kości rosną szybciej niż reszta ciała. I nie przypomina teraz tak bardzo Haskella. Chociaż orzechowe oczy są te same. Wstrząsająco te same.

- Pani jest tą znajomą, do której przyjechał z wizytą pan Philbrick? - pyta chłopiec.

Niezdarnie, być może z zimna, chowa ręce do kieszeni spodni.

-Tak.

- Czy to pani? - pyta, wskazując ręką na teleskop.

- Tak, mój.

Jego angielski, chociaż mówi z obcym akcentem, nie jest zły.

Olimpia sądzi, że musiał gdzieś się uczyć tego języka.

- Chodziłeś do szkoły? - pyta.

- Czasami. Olimpia kiwa głową.

- Pan Philbrick zabierze mnie ze sobą w czerwcu do Bostonu -

oznajmia chłopiec. - Obejrzymy muzeum techniki i park miejski.

- Kiedyś tam mieszkałam, tuż obok parku - mówi Olimpia.

- Naprawdę? - pyta z wyraźnym zainteresowaniem. - Czy to prawda, że wiosną chłopcy urządzą w sadzawce wyścigi miniaturowych łódek?

- Tak. Jeśli jest się tam we właściwym czasie, można to zobaczyć.

- Rok temu byliśmy w Portsmouth.

- I co sądzisz o tym mieście?

- Podobało mi się to miejsce, gdzie buduje się statki.

- Stocznia.

- Tak. Można stąd zobaczyć Francję? - pyta chłopiec, znowu pokazując ręką na teleskop.

-Nie.

- A gwiazdy? -.Gwiazdy tak.

- Jak to jest, że można zobaczyć gwiazdy, choć są tak daleko, a nie można zobaczyć Francji, która jest bliżej?

- To interesujące pytanie - mówi Olimpia. - Mam wrażenie, że wynika to z faktu, iż ziemia jest okrągła. A poza tym gwiazdy mocno świecą.

- Czy zobaczymy Ely Falls, jeśli skierujemy teleskop w odpowiednią stronę? - pyta chłopiec.

- Nie jestem pewna. Ale jeśli weszlibyśmy na dach, moglibyśmy zobaczyć wieżę kościoła Świętego Andrzeja,

- Chciałbym wejść na dach - przyznaje się chłopiec.

- A zatem jeśli odwiedzisz mnie ponownie, zrobimy to.

- Dobrze, ale pani nie powinna tam wchodzić - odpowiada, najwyraźniej przerażony myślą, że dorosła kobieta miałaby spacerować po dachu.

- No, ja może nie. Ale mój mąż wejdzie tam z pewnością.

- Czy pani mąż jest tutaj?

- Nie, wróci wieczorem.

- Szkoda - wzdycha rozczarowany.

- Powinieneś nas odwiedzić, kiedy będzie w domu -proponuje Olimpia.

- Byłem na tej plaży - mówi chłopiec.

- Doprawdy? Kiedy?

- Byłem tu na festynie czwartego lipca.

- I dobrze się bawiłeś?

- O, tak. Moja mama zrobiła piknik, a potem kąpała się ze mną w morzu. -
Twarz chłopca nagle zastyga w smutku.

- Widzisz tego rybaka w łódce? - mówi szybko Olimpia, wskazując na morze.

Chłopiec spogląda przez teleskop.

-Widzę go! - woła. - Chyba łowi homary. Proszę, chce pani spojrzeć? Cofa się o krok, robiąc miejsce Olimpii, która pochyla się nad instrumentem. Chłopiec stoi tak blisko, że młoda kobieta dotyka jego łokcia i ramienia.

Widzi trawnik, który jest bardzo blisko, i kaplicę, która niedługo zostanie zamieniona na sypialnię. Kamienny falochron. Morze. Kręci gałką, aby nastawić ostrość. Jest też rybak w nieprzemakalnym kombinezonie, wyciągający węciecz. W oddali majaczy druga łódka, a za nią są wyspy Schoals, ledwo widoczne pasmo mgiełki. Gdzieś daleko za wyspami leży Francja. A dalej gwiazdy. A jeszcze dalej stracone lata i historia zapisana w jej pamięci. Ale tuż obok Olimpii stoi chłopiec, który ma na imię Pierre.